

NELE BUDUJE SWOJE KRYMINAŁY Z ZEGARMISTRZOWSKĄ PRECYZJĄ.
TUTAJ PRZESZŁA SAMĄ SIEBIĘ! NA NAJBLIŻSZY ROK
ZAWIESZAM WYPRAWY DO LASU.

KATARZYNA BONDA



**GORZKA
CZEKOLADA**

**NELE
NEUHAUS**

W LESIE

**[TRAUMA Z DZIECIŃSTWA. ZMOWA MILCZENIA.
KRYMINALNY MAJSTERSZTYK]**



Media Rodzina

NELE
NEUHAUS
W LESIE

Tłumaczyli
Anna i Miłosz Urbanowie

Media Rodzina

Spis treści

MAPY

SPIS POSTACI

PROLOG

WTOREK 7 PAŹDZIERNIKA 2014

CZWARTEK 9 PAŹDZIERNIKA 2014

PIĄTEK 10 PAŹDZIERNIKA 2014

SOBOTA 11 PAŹDZIERNIKA 2014

NIEDZIELA 12 PAŹDZIERNIKA 2014

PONIEDZIAŁEK 13 PAŹDZIERNIKA 2014

WTOREK 14 PAŹDZIERNIKA 2014

ŚRODA 8 PAŹDZIERNIKA 2014

CZWARTEK 9 PAŹDZIERNIKA 2014

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

Tytuł oryginału

IM WALD

Copyright © Ullstein Buchverlage GmbH, Berlin

Published in 2016 by Ullstein Verlag

Copyright © 2017 for the Polish translation by Media Rodzina Sp. z o.o.

Mapki na s. 6 i 7 © Peter Palm, Berlin / Germany

Projekt logotypu Gorzka Czekolada

Dorota Wątkowska

Projekt okładki

Agata Wodzińska-Zajac

Zdjęcia na okładce

iStock

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych — możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8008-325-7

Media Rodzina Sp. z o.o.

ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań

tel. 61 827 08 50

mediarodzina@mediarodzina.pl

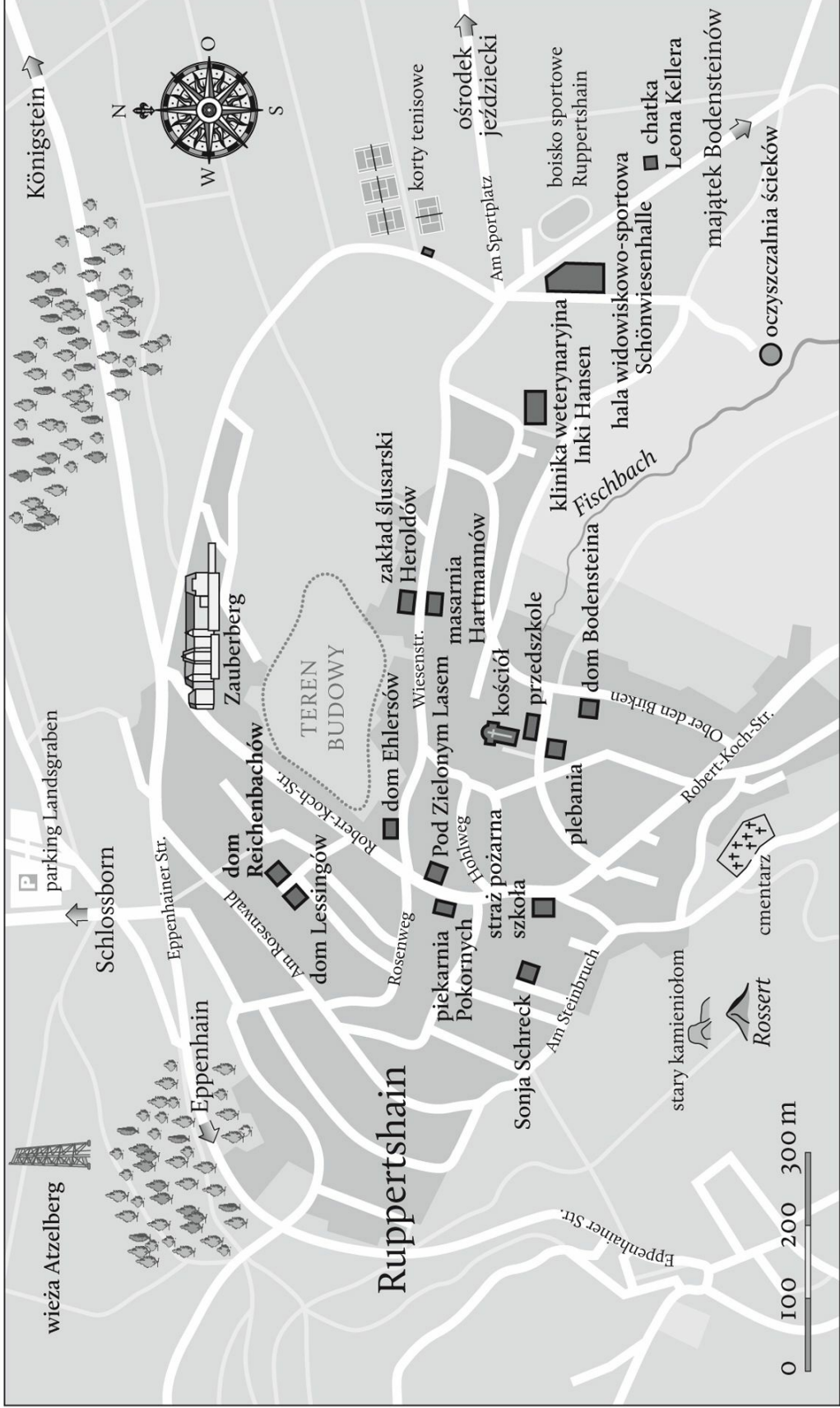
www.mediarodzina.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer** firmy Elibri.

Dla Matthiasa

Dziękuję Ci za cierpliwość, motywację, wsparcie i miłość.





©Peter Palm, Berlin / Germany

Wyparcie to najgorsza forma kłamstwa.

Niniejsza książka jest powieścią. Cała historia została przeze mnie wymyślona od A do Z. I choć miejscowość Ruppertshain istnieje naprawdę, wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych jest przypadkowe i niezamierzone.

SPIS POSTACI

SZKOLNI KOLEDZY i koleżanki Olivera von Bodensteina w porządku alfabetycznym:

Ralf Ehlers, przedsiębiorca i hedonista

Jakob Ehlers, jego brat

Patrizia Ehlers z domu Kroll, jego żona

dr Inka Hansen, lekarz weterynarii

Andreas Hartmann, rzeźnik

Franziska Hartmann, jego siostra

Elisabeth Hartmann, jego matka

Edgar Herold, ślusarz

Conny Herold, jego żona

Rosemarie Herold z domu Kroll, jego matka

Clemens Herold, jego brat

Sonja Schreck z domu Herold, jego siostra

Detlef Schreck, mąż Sonji

Wieland Kapteina, leśnik

Ronja Kapteina, jego córka

Klaus Kroll, lokalny policjant, brat Rosemarie Herold i Patrizii Ehlers

dr Peter Lessing, bankier inwestycyjny

Henriette Lessing, jego żona

Elias Lessing, jego syn

Letizia Lessing, jego córka

Konstantin Pokorny, piekarz

Sylvia Pokorny, jego żona

Roman Reichenbach, instalator

Simone Reichenbach z domu Ohlenschläger, jego żona

Pauline Reichenbach, ich córka

Pozostałe osoby:

Adalbert Maurer, emerytowany kapłan

Irene Vetter, jego siostra

Leo Keller, robotnik miejski — służby komunalne

Annemarie Keller, jego matka

Felicitas Molin, siostra dzierżawczyni Domu Przyjaciół Lasu

dr Renate Basedow, lekarka w Ruppertshain

Benedikt Rath, policjant w stanie spoczynku

Valentina Berjakov

Claudia Ellerhorst, jej przyjaciółka

Estefania Ugonelli

Wydział K11:

Oliver von Bodenstein, szef wydziału K11

Pia Sander, wcześniej Kirchhoff, policjantka, wydział K11

dr Nicola Engel, szefowa pionu kryminalnego komendy policji w Hofheim

Kai Ostermann, policjant, wydział K11

Kathrin Fachinger, policjantka, wydział K11

Tarik Omari, policjant, wydział K11

Cem Altunay, policjant, wydział K11

Christian Kröger, policjant, szef zespołu techników kryminalistyki

prof. Henning Kirchhoff, szef Instytutu Medycyny Sądowej we Frankfurcie

dr Frederick Lemmer, medyk sądowy

Gianni Lombardi, specjalista do spraw przesłuchań, Krajowa Policja Śledcza

dr Kim Freitag, biegła sądowa z zakresu psychiatrii, siostra Pii
Merle Grumbach, osoba odpowiedzialna za opiekę nad ofiarami przestępstw,
pion kryminalny komendy w Hofheim
Stefan Smykalla, rzecznik prasowy pionu kryminalnego komendy w Hofheim

I inni:

Karoline Albrecht
dr Christoph Sander
Sophia von Bodenstein
Gabriella von Rothkirch
Heinrich hrabia von Bodenstein
Leonora hrabina von Bodenstein
Quentin von Bodenstein
Lorenz von Bodenstein
Thordis von Bodenstein z domu Hansen

PROLOG

31 sierpnia 1972

Nie chcę tego. Ale muszę. Nie mam innego wyjścia. Nie mogę pozwolić, żeby wszystko zepsuł. A tak by się stało, i to już niedługo. Opowie komuś to samo co mnie. Może nawet pójdzie z tym na policję. Oni wciąż szukają tego małego Ruska i przepytują wszystkich ze wsi. Uwierzą mu, jak ja mu uwierzyłam. Wieść szybko się rozniesie i wszyscy będą gadali. Będą udawali zaskoczenie i współczucie, ale za plecami będą się śmiać, że okazałam się taka naiwna. Już słyszę te ich plotki. I jak milkną, kiedy się zbliżam. Muszę działać, zanim sprawy zajdą za daleko. Muszę. Nie mam wyjścia.

Przez całą noc myślałam. Ułożyłam plan. Bardzo dobrze, że wszyscy uważają, że jestem tępawa. Nikt mnie nie będzie podejrzewał. Wszystkich, tylko nie mnie.

Wybieram drogę wśród sadów, choć jest nieco dłuższa. Gdy kogoś spotkam, powiem, że chciałam narwać jabłek. Słońce pali z błękitnego nieba. Jest tak gorąco, że czuję, jak poca mi się uda. Powietrze jest nieruchome. Od wielu dni nie spadła ani kropla deszczu, ale dzisiaj będzie burza. Jaskółki latają tuż nad ziemią, w powietrzu czuć wyładowania elektryczne.

Wreszcie docieram do lasu. W cieniu drzew jest tylko nieco chłodniej. Panuje nienaturalna cisza. Jakby las wstrzymywał oddech. Może przeczuwa, co zamierzam? Wśród wysokich świerków stoi jego domek. Sam go rozbudował, a ja mu pomagałam. Znam tu każdy zakątek, choć czasem tego żałuję.

Najchętniej bym zawróciła i uciekła, ale nie mogę. Muszę to zrobić, inaczej zniszczy moją jedyną szansę, by uwolnić się od rodziny. Powierzchnia małego oczka wodnego, które razem wykopaliśmy w zeszłe wakacje i do którego przynieśliśmy żabi skrzek, połyskuje niczym czarne nieruchome zwierciadło. Serce wali mi w piersi, kiedy pukam do drzwi. Przez kilka sekund mam nadzieję, że go nie zastałam. Lecz wtedy otwiera. Ubrany jest w same dzinsy. Ma nagi tors i mokre włosy. Przesuwa spojrzeniem po mojej twarzy. Uśmiecha się z niedowierzaniem. Nie spodziewał się odwiedzin. Oczywiście, że nie. Nie po tym wszystkim, co mu przedwczoraj powiedziałam.

— Cześć, cudownie, że przyszedłeś — mówi, a oczy mu błyszczą.
— Poczekaj, szybko się ubiorę.

Jest taki przyzwoity i dobry. A jednak go nienawidzę. Nienawidzę za to, że chce mnie zatrzymać. Tutaj, w tym życiu, w którym dotychczas tkwiłam i którego już nie chcę. Wkłada T-shirt.

— Wejdiesz? — pyta. Jest trochę niepewny.

— Chętnie. Jeśli mnie wpuścisz... — Uśmiecham się, choć mam ochotę uciec. Jest mi niedobrze. Domek składa się w zasadzie z jednego pomieszczenia. Zbiera rozrzucone rzeczy i odkłada je na krzesło. Spoglądam na starannie posłaną kanapę.

— Siadaj. — Jest spięty i podekscytowany. Ma nadzieję, że przyszedłam mu powiedzieć, że przemyślałam wiele rzeczy i chcę do niego wrócić. Mimo wszystko. — Napijesz się czegoś? Mam colę.

— Nie, dzięki — mówię.

— Pięknie wyglądasz — mówi zmieszany. — Bardzo ci do twarzy w tej sukience.

— Dziękuję. — Muszę się pospieszyć. Żeby nikt mnie tu nie zastał. Przysuwam się do niego. Pachnie żelem pod prysznic i szamponem. Zamykam oczy, bo zbiera mi się na płacz. Gdyby tylko było jakieś inne rozwiązanie!

— Przepraszam za to, co ci powiedziałam — mamroczę.

— A ja przepraszam, że ci groziłem. — Jego głos rozlega się tuż przy moim uchu. — Ale musisz to wiedzieć. To był przecież twój...

— Nie! Proszę! Wiem, że chcesz dobrze...

Ale i tak nie pozwolę ci zniszczyć mojego szczęścia — myślę. — Ani tobie, ani nikomu innemu. Po raz pierwszy w życiu mam realną szansę.

Spogląda na mnie, a ja dotykam jego policzka i pleców. Wszystko tak dobrze znam.

Odejdź! — krzyczy głos w mojej głowie. — *Odejdź i zostaw go w spokoju!*

Zaciskam zęby, żeby nie płakać. Niczego się nie spodziewa.

— Tak bardzo za tobą tęsknię. — Czuję jego usta, delikatne i miękkie, na moich włosach.

Teraz — myślę. — Boże! Błagam, wybacz!

Nie rozumie, co się z nim dzieje. Spogląda na mnie z niedowierzaniem. Już po wszystkim.

Pięć minut później wdycham głęboko ciepłe powietrze. Czuję zapach świerków, żywicy i lata. Kolana się pode mną uginają. Nie chciałam tego. Ale musiałam. Nie zostawił nam wyboru.

WTOREK 7 PAŹDZIERNIKA 2014

Dzięki za podwózkę!

— Nie ma sprawy. — Mężczyzna skinął obojętnie głową, spoglądając już w lusterko wsteczne; chwilę wcześniej włączył kierunkowskaz, żeby wrócić na drogę. — Powodzenia.

— Panu również. — Wyskoczył z kabiny samochodu dostawczego, z gumowego dywanika podniósł plecak i zatrzasnął drzwi. Miał szczęście, że gość w ogóle się zatrzymał, bo z Königstein do Billtalhöhe było bardzo pod górkę, a on chciał jeszcze przed zmierzchem dostać się do przyczepy kempingowej. Kierowcy wracający do Dolnego Taunusu z pracy we Frankfurcie z zasady nie zabierali autostopowiczów, a już na pewno nie podwieźliby faceta z długimi włosami, który wyglądał jak włóczęga. Jego ojciec też by tego nie zrobił. Samochód dostawczy włączył się do ruchu i odjechał, a on poczekał, aż będzie mógł bezpiecznie przejść na drugą stronę ulicy.

Do kempingu przy gospodzie Waldfreundehaus — „Dom Przyjaciół Lasu” — zostało mu już tylko półtora kilometra piechotą. Każdej nocy w ciągu trzech miesięcy, które spędził w więzieniu dla młodocianych przestępców, marzył właśnie o tym. O drzewach sięgających nieba, o ciężkiej woni wilgotnej ziemi, o półmroku i o odgłosach lasu. Jak daleko sięgał pamięcią, kochał las. Jego siostra się bała, lecz on uwielbiał, gdy miał nad sobą kopułę z koron drzew. Tylko wtedy czuł się bezpiecznie. Może powinien być zostać leśnikiem? Albo drwalem? Kiedy tylko zrobi maturę, jak zaplanował.

Po lewej stronie szutrowej drogi pojawiło się kilka stawów należących do

lokalnego związku wędkarskiego. Pośród jodeł i świerków rosły pojedyncze drzewa liściaste, już naznaczone jesienią. Kiedy usłyszał silnik zbliżającego się samochodu, ukrył się za szerokim pniem buka; nikt nie powinien go zobaczyć. Z czasem nauczył się wtapiać w otoczenie, jakby był niewidzialny. Zmierzchało już, kiedy wreszcie dotarł do dużej polany. Żeby nie przejść tuż obok leśnej gospody, posuwał się między drzewami aż do niskiej, pordzewiałej siatki, którą przygiął do ziemi, żeby dostać się na teren kempingu. Potem usiadł pod drzewem i czekał. Z miejsca, które wybrał, mógł, sam pozostając niezauważonym, obserwować wszystkie przyczepy kempingowe ustawione dookoła polany. Większości od lat nikt nawet nie próbował przestawiać. Ich właściciele korzystali z kempingu jedynie latem lub okazjonalnie w weekendy. Część wyglądała tak, jakby od dawna nikt się nimi nie interesował. Właśnie w jednej z nich chciał spędzić kilka najbliższych dni, do zakończenia odwyku.

Dziś mijał czwarty dzień nowej ery. Tyle wytrzymał bez narkotyków. Pierwsze cztery dni zawsze są najgorsze, wiedział to z autopsji, bo nie po raz pierwszy próbował zerwać z nałogiem. W więzieniu przechodził to samo, jednak tam się poddał, zanim dobił do siedmiu dni. Tym razem naprawdę chciał z tym skończyć. Chciał zerwać z ciągłą pogonią za towarem, która wypełniała jego życie. Zerwać na dobre. Obiecał to Nike. I ich dziecku, które za kilka tygodni miało przyjść na świat. Będzie miał syna, obwieściła mu Nike, pokazując zdjęcia USG. A potem dodała, że nie ma się u niej pokazywać, dopóki nie będzie czysty. Płakała. On również.

W tamtej chwili zdecydował, że z tym skończy. Chciał być ojcem dla swojego syna. Dobrym ojcem. Nie ćpunem, który myśli tylko o kolejnej działce towaru i którego wstydziliby się każdy dzieciak. Jednak przede wszystkim zależało mu, by być lepszym od własnego ojca.

Pierwsze trzy dni — najgorsze — spędził w jakimś pustostanie

w Bockenheim. Jęczał i zwijał się na podłodze, zlewając zimnym potem, który obrzydliwie cuchnął trucizną władającą jego ciałem i umysłem. Całe pomieszczenie śmierdziało rzygowinami i moczem. Ale chyba tego właśnie potrzebował — poczucia, że jest najgorszym śmieciem.

Począł, aż zgasną światła w domku obok gospody. Tylko w jednej przyczepie na kempingu ktoś przebywał, pozostałe tonęły w mroku. Dla siebie wybrał najdalszą, ustawioną na samym końcu obozowiska. Zmurszałe stopnie prowadzące na werandę otaczającą przyczepę trzeszczały pod jego stopami. Zamek w drzwiach to był jakiś kiepski dowcip. Wyłamał go w kilkadziesiąt sekund. Powietrze w środku pachniało stęchlizną, lecz to mu nie przeszkadzało. Zapalniczką oświetlił zaskakująco obszerną przyczepę. Nie był zdziwiony paskudnym stylem przeniesionym żywcem z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Znalazł za to wszystko, czego potrzebował: łóżko z poduszkami i kołdrą oraz toaletę turystyczną. Ku swemu radosnemu zaskoczeniu na blacie roboczym w części kuchennej dostrzegł kilka zgrzewek wody mineralnej, w szafce obok konserwy z ravioli i tuńczykiem i kompoty domowej roboty. Wyłączona lodówka miała lekko uchylone drzwiczki, a w środku czekało sześć puszek piwa. Tak, świetne miejsce, by zatrzymać się na jakiś czas. Rzucił plecak na ławkę narożnikową, zsunął buty z nóg i opadł na łóżko. Jeszcze dwa, trzy dni i będzie mógł powiedzieć Nike, że jest czysty.

— Zobaczysz, Nike — mruknął. — Wszystko będzie dobrze.

Kilka minut później zapadł w głęboki sen.

CZWARTEK 9 PAŹDZIERNIKA 2014

Wybuch zatrzęsł drewnianym domkiem. Szyby w oknach zabrzęczały, a na korytarzu rozszczeły się psy. Huk eksplozji wyrwał Felicitas Molin z głębokiego snu. Serce waliło jej jak oszalałe i z początku nie miała pojęcia, co się dzieje. Na firanki poruszone gwałtownym podmuchem padała czerwona poświata. Dostrzegła niewyraźne i rozmazane cyferki na wyświetlaczu odtwarzacza DVD pod telewizorem. Druga dwadzieścia cztery. Dopiero wtedy do niej dotarło, że nie jest w swoim przytulnym i bezpiecznym mieszkanku w Friedrichsdorfie, tylko całkowicie sama w domu swojej siostry, pośrodku lasu, a od najbliższych sąsiadów dzieli ją kilka kilometrów. Wyciągnęła dłoń. Zamiast znajomego ciała poczuła pod palcami jedynie oparcie kanapy. Od dokładnie dziewięciu miesięcy, dwóch tygodni i trzech dni stale musiała się upewniać, że z jej życia zniknął również mąż numer dwa, i to w sposób urągający wszelkim standardom. Dokładniej rzecz biorąc, nie zniknął ot tak, po prostu, lecz zdradził ją, poniżył i opuścił, uprzednio wydając jej pieniądze i zaciągając na jej konto potężne długi, które teraz musiała spłacać. Coraz częściej myślała o pierwszym mężu, z którym spędziła dwadzieścia pięć lat życia, po czym odeszła do chłopaczka o oczach wiernego psiaka i wyjątkowo apetycznym ciele. Do dziś nie mogła pojąć, co się właściwie stało. Z jej dawnego życia nie zostało właściwie nic. Ponieważ nie wiedziała, co ze sobą począć i gdzie się podziać, trafiła w końcu tutaj, do Manu i Jensa i tej paskudnej drewnianej rudery, która zdawała się żyć własnym życiem. Belki skrzypiały i strzelały, wiatr wył w kominie, a między ścianami niestrudzenie dreptały jakieś małe łapki. Noce były najgorsze.

Felicitas miała ochotę schować się pod kołdrą, zignorować huk i czerwoną poświatę i spać dalej. Lecz psy szczekały, jakby dostały szału.

— Niech to cholera! — Felicitas włożyła sporo wysiłku w próbę podniesienia się, lecz zaraz się zachwiała i padła na kanapę. Znow zasnęła na niej, a nie w łóżku. W głowie jej huczało, miała wrażenie, że pokój wiruje, a w ustach czuła suchość. Cała butelka czerwonego wina i pięć szklaneczek whiskey z colą to pewnie była przesada, ale z drugiej strony, bez otumaniającego działania alkoholu poprzedniego wieczoru najpewniej umarłaby ze strachu. Wstała ostrożnie i z wysiłkiem, po czym podeszła do okna. Odsunęła zasłonkę i wyjrzała. Jedyne, co udało jej się dostrzec, to rozmyta poświata otaczająca plac kempingowy. Bez soczewek kontaktowych była ślepa jak kret. Na półce w korytarzu leżała lornetka Jensa, przez którą jej szwagier latem podglądał dziewczyny w kostiumach kąpielowych. Felicitas po omacku wyszła na korytarz. Psy wprawdzie przestały ujadać, ale znieruchomiały przed drzwiami, warcząc. Nagle ściany omiółł snop światła. Pracujący silnik! Felicitas sparaliżował strach, lecz na szczęście samochód pojechał dalej. Odetchnęła. To nie włamywacz, który nie wahałby się jej zabić, tylko ktoś, kto o tej porze przejeżdżał przez las; możliwe, że jakaś parka w poszukiwaniu ustronnego miejsca.

Wróciła do pokoju i uniosła lornetkę. Dłonie drżały jej tak mocno, że z trudem ustawiła ostrość. I w końcu to zobaczyła. Coś płonęło z tyłu dużej polany, na której stały przyczepy kempingowe. Ogień sięgał bardzo wysoko. Musiała jak najszybciej zawiadomić straż pożarną! Miała pecha, bo w tej głuszy telefony komórkowe nie łąpały zasięgu, a jedyny aparat stacjonarny znajdował się od frontu, w biurze Manu. W chwili, kiedy chciała się odwrócić, kempingiem wstrząsnęła kolejna eksplozja, silniejsza od poprzedniej. Potężny kłęb ognia wystrzelił w czarne nocne niebo, szyby w oknach zadzwoniły, a psy znow zaczęły ujadać. Przez kilka sekund Felicitas

wyraźnie widziała czyjąś sylwetkę na tle jasnopomarańczowej kuli ognia. Nie mogła opanować drżenia, a strach ścisnął jej gardło, kiedy z powrotem wybiegła na korytarz. Boże! Tam ktoś był! Ktoś, kto podpalił przyczepę! Nie odważyła się zapalić światła. Akurat wczoraj przeczytała w gazecie o podpalaczu, który od miesięcy nękał okolicę i podkładał ogień, wywołując przynajmniej dwadzieścia pięć pożarów.

Psy skakały na drzwi wiatrołapu i ujadły jak szalone. Bear i Rocky były australijskimi psami pasterskimi. Te rudoszare zwierzaki o jasnych, żywych oczach i śnieżnobiałych zębach niczego się nie bały. Czy powinna wypuścić je na dwór? Co Manu zrobiłaby w takiej sytuacji? Jej siostra, trzeźwo myśląca i odważniejsza, pewnie wyszłaby od razu na dwór, żeby dopaść gościa. Niech to szlag, dlaczego takie rzeczy muszą się zdarzać akurat teraz, kiedy ona tkwi tu sama jak palec, bo Manu wyjechała na sześć tygodni do Australii? Felicitas pchnęła drzwi do niewielkiego pomieszczenia, dotarła po omacku do biurka i podniosła słuchawkę bezprzewodową. Drżącymi palcami wybrała numer alarmowy 112 i zamknęła za sobą drzwi, bo szczekanie psów zagłuszyłoby rozmowę. Potem podniosła wzrok, wyjrzała przez okno i... omal nie dostała zawału. Tuż za szybą stał jakiś mężczyzna i się do niej uśmiechał.

— TATA! TA-TA! Tata! Obudź się!

Przenikliwy dziecienny głosik i mała rączka szarpiąca za piżamę brutalnie wyrwały inspektora Olivera von Bodensteina z objęć snu i pchnęły w rzeczywistość zbyt wczesnego poranka.

— Która godzina? — wymamrotał i zamrugał, by uchronić oczy przed światłem lampy sufitowej.

— Dwa pięć jeden — odparła Sophia. Mała jeszcze nie do końca opanowała posługiwanie się zegarkiem. — A twoja komórka dzwoni od dwa trzy siedem. Tylko że nie pokazuje numeru.

Czy robiła mu wyrzuty? Bodenstein aż podskoczył ze strachu, kiedy tuż obok

ucha zapiszczał sygnał.

— Przyniosłam ci telefon, żebyś nie musiał wstawać. — Siedmioletnia córka, całkowicie rozbudzona, podała mu smartfon. Numer zastrzeżony o tej porze mógł oznaczać albo matkę Sophii, która akurat była na jakiejś egzotycznej wyprawie w miejscu oddalonym o kilka stref czasowych, albo dyżurnego z komendy policji rejonowej w Hofheim. Bodenstein założył drugą opcję i się nie pomylił. Na kempingu leśnym między Königstein a Glashütten wyleciała w powietrze przyczepa kempingowa, a eksplozja była tak silna, że huk słyszano w samym Königstein. Wzywano go na miejsce, gdyż od kilku miesięcy w okolicy grasował podpalacz, a wydział K11 poza przestępstwami przeciwko życiu i zdrowiu był również odpowiedzialny za podpalenia na terenie między Menem a Taunusem.

— Zaraz będę — powiedział Bodenstein i zakończył rozmowę. Westchnął ciężko i przymknął oczy. Gdyby kemping leżał zaledwie dwieście pięćdziesiąt metrów dalej na zachód, telefon wyrwałby ze snu jego kolegę po fachu z rejonu Górny Taunus. Niech to diabli. Miał dziś dyżur, mimo że akurat zajmował się córką, bo osoba układająca grafik nie mogła przecież dostosowywać się do jego sytuacji osobistej. Tym bardziej że ostatnio wyjątek zmienił się w regułę i Sophia mieszkała u niego prawie na stałe.

— Musisz jechać? — zapytała córka.

— Niestety.

— A ja też mogę?

Dobre pytanie. W żadnym wypadku nie mógł zostawić siedmioletniego dziecka samego. Był środek nocy, zdecydowanie nieodpowiednia pora, żeby pojawiać się w domu którejs z koleżanek Sophii. Chcąc podrzucić ją do swoich rodziców, musiałby nadłożyć drogi, a poza tym nie miał pewności, czy ktokolwiek by go wpuścił do środka, bo w pałacu wciąż nie było dzwonka i trzeba było pukać do drzwi.

— Są jakieś trupy?

Podobne pytanie zadałaby pewnie matka Sophii, była żona Bodensteina, którą poznał przed niemal trzydziestoma laty przy okazji oględzin miejsca wybranego przez samobójcę.

— Nie wiem — odparł, ziewając. — Najprawdopodobniej zwykłe podpalenie.

— Szkoda. — Sophia wskoczyła na łóżko. — Chciałabym kiedyś zobaczyć trupa.

— Słucham?! — Bodenstein wytrzeszczył z przerażenia oczy, wyprostował się gwałtownie i spojrzał na najmłodszą latorośl, która siedziała po turecku na kołdrze, bawiła się kosmykiem ciemnych włosów i oglądała go bardzo uważnie.

— No tak, bo Greta na przykład widziała już swoją babcię. No wiesz, z mózgiem, krwią i w ogóle — wyjaśniła dziewczynka. — A ja na razie widziałam tylko kilka martwych zwierząt. To takie niesprawiedliwe!

— Jesteś jeszcze trochę za młoda na oglądanie zwłok — odparł Bodenstein krótko.

W grudniu dwa lata wcześniej córka Karoline, Greta, przeżyła ogromny wstrząs, lecz najwyraźniej potrafiła już rozmawiać o traumatycznych wydarzeniach. To dobry znak, bo dotychczas ani słowem nie wspominała o śmierci babci. Karoline natychmiast odebrała córkę z internatu i rozpoczęła terapię u psychologa dziecięcego. I ona, i jej były mąż poświęcili Grecie bardzo dużo czasu, a Karoline, która przecież sama głęboko przeżyła śmierć matki, podróżowała jedynie wtedy, gdy mała była u ojca. Większość czasu pracowała w domu, będąc na każde zawołanie córki.

Bodenstein usiadł i zsunął nogi z łóżka.

— O rany, co ja teraz zrobię?

— Weź mnie ze sobą! — Sophia zeskoczyła radośnie na podłogę, a w jej

oczkach pojawił się błysk nadziei. — Tato! Proszę! Proszę, proszę, proszę!

— Jest trzecia nad ranem — przypomniał jej Oliver. — Rano musisz iść do szkoły, więc powinnaś się wyspać.

— Już jestem wyspana. Słowo — zapewniła go Sophia. — A jak jutro wrócę ze świetlicy, mogę pospać po południu. Proszę, tatusiu!

Musiał ją wziąć. Nie miał żadnej alternatywy. Cosima zostawiała wprawdzie małą na kilka godzin samą, kiedy musiała coś załatwić, ale nigdy w nocy.

— Niech ci będzie. Ubieraj się. I zabierz plecak do szkoły.

— Hura! — Sophia podskoczyła z radości i wybiegła z sypialni ojca. Bodenstein stał przez chwilę i kręcił głową, a potem otworzył szafę z ubraniami i wyjął ciepły sweter. Znał ten kemping przy gospodzie, na wzniesieniu Billtalhöhe. W lesie zawsze było kilka stopni mniej niż w mieście, nie mówiąc już o tym, że w połowie października noce w Taunusie stawały się naprawdę zimne.

ULICE BYŁY WYLUDNIONE, a domy pogrążone w ciemności. Latarnie rzucały matową pomarańczową poświatę na ich fasady i na asfalt, który był jeszcze zupełnie suchy.

Tuż przed świtem — pomyślał Bodenstein, skręcając w Robert-Koch-Strasse, która dzieliła Ruppertshain, niewielką miejscinę w Taunusie, na połowę. Po jednej stronie drogi znajdowała się starsza część miasteczka z jej krętymi uliczkami, a po drugiej — nowe dzielnice, które od mniej więcej czterdziestu lat rozrastały się na stromym zboczu. Przy kompleksie Zauberberg, w którym dawniej mieściło się sanatorium dla gruźlików, Bodenstein włączył migacz i skręcił w prawo, w stronę Königstein. O tej porze nawet dostawcy prasy jeszcze spali, a każda osoba idąca chodnikiem z definicji stawała się podejrzana. Siedemdziesiąt procent wszystkich przestępstw jest popełnianych w nocy. Człowiek nie bez powodu boi się ciemności.

Sophii nie zamykała się buzia, lecz on słuchał jej tylko jednym uchem, od czasu do czasu pomrukując na znak, że się z nią zgadza. Dziewczynka czuła potrzebę bezustannej rozmowy, a do tego wykazywała szczególny talent do dzielenia się natychmiast wszystkim, co tylko przyszło jej do głowy. Reflektory wyłowiły z ciemności znak przy drodze.

— O rany, już sześćdziesiąt pięć wypadków z udziałem zwierzyny leśnej od dwa tysiące siódmego roku — przeczytała. — Dwa tygodnie temu było jeszcze sześćdziesiąt cztery. Czy te cyferki zmieniają się automatycznie, tato? No wiesz, jak ceny na stacjach benzynowych?

— Nie — wyjaśnił Bodenstein. — Pewnie jakiś policjant jest za to odpowiedzialny.

Przez chwilę w aucie panowała cisza.

— A tato? To jest czarny punkt, bo wypadki są w nocy? I są białe punkty, jak się zdarzają w dzień?

— Nie, kochanie. — Bodenstein nie mógł powstrzymać uśmiechu. — Czarny, bo to kolor smutku i żałoby.

— Aha.

Po kilku kilometrach las po prawej stronie się przerzedzał, ustępując miejsca otoczonemu murem ośrodkowi szkoleniowemu, należącemu do jednego z większych banków. Zza budynków widać było światła miasteczka Königstein na zboczu doliny. Za to powyżej królowały majestatycznie podświetlone ruiny zamku.

— Tato? Wiedziałeś, że tam się ktoś zastrzelił?

— Gdzie?

— W altance przy hotelu KTC — wyjaśniła Sophia. — Dziadek mi powiedział. Ale to było dawno.

— Hm — mruknął Bodenstein i postanowił, że przy okazji musi poważnie porozmawiać z ojcem. To, że mała jest przemądrzała i wydaje się przez to

doroślejsza, nie oznacza, że historie o strzelających do siebie samobójcach nadają się dla siedmiolatki — zwłaszcza o tak bujnej i jednocześnie mrocznej wyobraźni.

Po lewej stronie drogi znajdował się parking leśny, na którym, przy okazji innej sprawy dawno temu, trafił na zwłoki w ferrari. Po dziesięciu latach na stanowisku szefa wydziału K11 w rejonowej komendzie policji kryminalnej w Hofheim, Bodenstein nie potrafił jechać po tych okolicach ot tak sobie. Wspomnienia miejsc zbrodni, morderstw, pobić ze skutkiem śmiertelnym czy samobójstw tworzyły w jego głowie siatkę punktów orientacyjnych. Nie dało się tego uniknąć przy pracy, jaką wykonywał, jednak dziecko w wieku Sophii nie powinno postrzegać swoich stron rodzinnych jako mapy z zaznaczonymi miejscami znalezienia kolejnych zwłok.

Za zakrętem św. Nepomucena zjechał w Ölmühlweg. Jak zawsze poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku, kiedy pomyślał o tym, co zastanie po przyjeździe na miejsce potencjalnej zbrodni. Strażacy podejrzewali, że ktoś mógł przebywać w przyczepie, kiedy doszło w niej do eksplozji. O tym wolał Sophii nie wspominać. Zwłoki osób, które zginęły w płomieniach, stanowiły przerażający widok. W jego prywatnym rankingu najgorszych widoków zajmowały pozycję na samej górze — obok ciał topielców leżących dłużej czas w wodzie i ciał przez kilka dni znajdujących się w wysokiej temperaturze, przez co przestawały przypominać ludzi. Obiektami tajemniczych podpałek, do których doszło w ciągu ostatnich kilku tygodni, były w zasadzie jedynie niezamieszkałe altany ogrodowe, szopy, kontenery na makulaturę i stogi siana, i to najczęściej na terenach miejskich w Kelkheim. Nikt dotychczas nie odniósł obrażeń. Czyżby teraz miało być inaczej?

Światła na skrzyżowaniu B8 migają pomarańczowo w nocnym trybie. Poranny szczyt komunikacyjny rozpocznie się dopiero za dwie godziny. Wtedy przez ten newralgiczny punkt okręgu Königstein przetoczy się lawina aut

pędzących w stronę Frankfurtu. Bodenstein skręcił w lewo, w stronę Limburga.

Oby ten pożar dotyczył jedynie przyczepy — pomyślał. Mógłby wtedy szybko przekazać sprawę biegłym z zakresu pożarnictwa. Droga krajowa zataczała szeroki łuk w lewo, by po chwili skręcić w prawo. Już z daleka dostrzegł pulsujące niebieskie światła radiowozu. Samochód stał zaparkowany przy zjeździe w leśną drogę prowadzącą do gospody na wzniesieniu Billtalhöhe. Umundurowany policjant należał do znajomej ekipy z Königstein, więc kiedy go rozpoznał, skinieniem głowy pozwolił mu przejechać.

Bodenstein ruszył szutrową drogą przez las. Zapach spalenizny poczuł, jeszcze zanim dotarł do polany. Dym unosił się między drzewami i przez system wentylacyjny auta dostawał się do środka. W końcu, między pniami świerków, dostrzegł blask płomieni. Na parkingu stało kilka samochodów, w tym karetka z otwartymi drzwiami. Bodenstein zaparkował między jednym z radiowozów a ciemnozielonym jeepem, po czym odwrócił się do córki, która zajęta była właśnie rozpinaniem pasa.

— Słuchaj, muszę teraz iść do pracy — powiedział. — Ale chciałbym, żebyś została w samochodzie, dobrze?

— Nie! To niesprawiedliwe! Dlaczego? — Sophia zrobiła obrażoną minę.

— Bo tak i koniec. Włączę ci ogrzewanie postojowe i poproszę, żeby któryś z policjantów z prewencji miał cię na oku.

— Ale ja chcę zobaczyć pożar! Proszę, tato! Proszę!

— Nie.

— A co mam tutaj sama robić, jak myślisz? — Dziewczynka przewróciła oczyma. — Umrę z nudów!

— Taki mieliśmy układ. Masz przecież iPoda, prawda? To jak, mogę liczyć, że mnie nie zawiedziesz i zostaniesz w samochodzie? Nie zrobisz niczego głupiego?

— A jak będzie mi się chciało pić? Albo siusiu?

Bodenstein zaczął tracić cierpliwość.

— Wtedy poprosisz o pomoc pana policjanta. Zawsze któryś będzie w pobliżu, żeby cię pilnować. Ale pod żadnym pozorem nie wolno ci wysiadać i szukać toalety, dobrze? Mogę na ciebie liczyć?

Sophia usłyszała ostry ton w jego głosie.

— Pewnie — odpowiedziała, ale nie spojrzała mu w oczy. Bodenstein miał złe przeczucia. Szanse, że córka rzeczywiście zostanie w aucie, oceniał na mniej więcej pięć procent. Mała nie znała żadnych zasad, bo Cosima pozwalała jej robić wszystko, co zechce, żeby tylko nie zawracała jej głowy. Bodenstein toczył przez to z córką ustawiczne boje, ilekroć się nią zajmował. Nieważne, czy chodziło o zachowanie przy stole, godziny kładzenia się spać, korzystanie z iPoda czy telewizję, za każdym razem Sophia zaczynała dyskutować, co nierzadko kończyło się łzami i wybuchami złości.

GOSPODA I DOM mieszkalny obok pogrążone były w ciemności i nie wyglądały zachęcająco, tym bardziej że wszystkie meble z ogródka piwnego zostały już schowane na zimę. Nawet optymiści nie spodziewali się pogody sprzyjającej picciu piwa na dworze — nie tutaj, wysoko w Taunusie. Bodenstein otworzył bagażnik i wyjął kalosze. Nie chciał niszczyć butów, brodząc w mazi błota i wody z wozów strażackich. Potem postawił kołnierz kurtki i się rozejrzał. W zielonym jeepie, na przedniej szybie od środka wisiała tabliczka na przyssawce, informująca, że to auto należy do nadleśnictwa Hesji. Wszystkie szyby były zaparowane, bo w środku siedział pies.

Nieco dalej na dużej polanie, na której stało dwadzieścia parę przyczep kempingowych, panował ożywiony ruch. Wśród gęstego dymu Bodenstein dostrzegł kilka wozów strażackich, a światła ich mocnych reflektorów mieszały się z czerwienią płomieni, tworząc poświatę w łososiowym kolorze, pośród której strażacy w czerni wyglądali jak ludziki wycięte z papieru.

Bodenstein z rosnącą obawą przyglądał się gorączkowej bieżącej. Wciąż jeszcze nie udało się opanować pożaru, a płomień objęły stojące nieopodal drzewa i zmieniły je w pochodnie. Przez ostatnich kilka tygodni nie padało, istniało więc ryzyko, że ogień przeniesie się na wyschnięty las i rozprzestrzeni. W tej samej chwili pień jednego ze świerków pękł z takim hukiem, że zagłuszył pracujące silniki wozów strażackich, a w powietrze wzbily się snopy iskier. Widok ognia miał w sobie coś demonicznego, jakby był żywcem wzięty z malowideł Pietera Brueghla. Od gęstego dymu piekło gardło i łzawiły oczy. Płonęły tworzywa sztuczne i benzyna. Taki sam zapach miały płonące stacje benzynowe.

Przy wjeździe na teren kempingu stało kilkoro gapiów. Jeden ze strażaków rozmawiał z mężczyzną w zielonym flauszowym płaszczu. Wieland Kapteina był leśniczym i przyjacielem Bodensteina z dzieciństwa.

Po chwili zauważył go jeden ze strażaków i podszedł. Jego również Bodenstein dobrze znał. Często spotykali się w miejscach takich jak to, w okolicznościach równie nieprzyjemnych jak teraz.

— Dzień dobry — przywitał się Bodenstein.

— Dobry, dobry, panie komisarzu — odparł Jan Kwasniok, komendant straży pożarnej z Königstein.

— Co tu mamy?

— Płonie jedna z przyczep kempingowych, zapalił się od niej samochód — wyjaśnił Kwasniok. — Ogień objął też kilka drzew.

— Znowu podpalacz?

— Wszystkie dotychczasowe podpalenia miały miejsce w Kelkheim i Liederbach. — Kwasniok zamyślił się i ściągnął usta. — Nie mam jeszcze stuprocentowej pewności, ale moim zdaniem wykorzystano jakiś środek łatwopalny. Potem dodatkowo eksplodowało kilka butli turystycznych z gazem, co by tłumaczyło gwałtowność pożaru.

— Jakieś ofiary?

— Istnieje duża obawa, że ktoś był w środku samochodu zaparkowanego obok. Ale jeszcze nie mamy jak tego sprawdzić.

— Kto zgłosił pożar?

— Siostra najemczyni gospody. — Szef straży pożarnej wskazał głową na kobietę w towarzystwie dwóch policjantów. — Obudził ją huk eksplozji. Potem zobaczyła ogień i zadzwoniła po nas.

W tej chwili zatrzeszczała krótkofalówka strażaka.

— Muszę uciekać — przeprosił Kwasniok i założył hełm. — Do zobaczenia.

Drogą przez las zbliżały się dwa kolejne wozy strażackie z włączonymi sygnałami świetlnymi. Po chwili wjechały na wyboisty parking i dalej na łąkę. Bodenstein poprosił jednego z policjantów z prewencji, żeby pilnował Sophii, po czym skierował się w stronę kobiety, która zgłosiła pożar. Na jego oko miała pięćdziesiąt, najwyżej pięćdziesiąt pięć lat i była chuda, jakby cierpiała na anoreksję. Zniszczona twarz, wąskie usta i trwała nie pierwszej świeżości ufarbowana na blond, choć włosy przy nasadzie zdążyły odzyskać swój naturalny kolor. Przez grube szkła okularów jej zaczerwienione oczy wydawały się nienaturalnie duże. Kiedy otworzyła usta i przedstawiła się jako Felicitas Molin, Bodensteina zamurowało. Nie pamiętał, kiedy ostatnio owionęła go woń alkoholu o takiej mocy.

— Czy pani coś piła? — zapytał.

— Żeby pan wiedział — potwierdziła kobieta, zasłaniając usta dłonią i chichocząc histerycznie. — Ja na tym pustkowiu normalnie umieram ze strachu. Bez butelki wina oka bym nie zmrużyła.

— Ale przecież pani tu mieszka, prawda? Więc jak to możliwe?

— Bo ja tu tylko w zastępstwie. Poza tym jak już tu jestem, to nigdy sama. Moja siostra z mężem dzierżawią gospodę. — Felicitas Molin wskazała

niedbałym ruchem dłoni na budynek, przy którym znajdował się pusty ogródek piwny. — Po raz pierwszy od pięciu lat zrobili sobie urlop, a w czasie ich nieobecności ja mam doglądać interesu. Mam wolny zawód, więc mogłam tu przyjechać.

— Czy poza panią ktoś jeszcze jest tutaj na stałe?

— Nie, nie sędzę. Sezon się skończył, więc prawie nikt tutaj nie zagląda.

— Co pani widziała? — Bodenstein miał duże wątpliwości, czy Felicitas Molin mogła w takim stanie poczynić jakiegokolwiek przydatne policji obserwacje, jednak nie tracił nadziei.

— No więc słyszałam jakiś samochód — odparła kobieta z wahaniem. — I jeszcze widziałam kogoś przy ogniu. Ale głowy nie dam.

Spojrzała w stronę dwójki policjantów z prewencji.

— Bo tam... to znaczy przy oknie stał jeszcze jakiś człowiek i patrzył do środka — wyszeptała z szeroko otwartymi oczyma.

— Rozumiem. Gdzie konkretnie?

— Przy biurze. Okna tam wychodzą na drugą stronę domu, na drogę. Zadzwoiłam po straż pożarną i... i zobaczyłam, że gapi się na mnie przez okno. O mało nie dostałam zawału! — Pani Molin wyciągnęła dłoń. — Niech pan popatrzy, jaka jestem roztrzęsiona.

— Czy zwróciła pani uwagę, gdzie zniknął ten mężczyzna sprzed okna? — pytał Bodenstein.

— Nie — wyszeptała kobieta. — I to mnie przeraża.

— Ktoś już przeszukał teren?

— Ja... ja nikomu jeszcze o nim nie powiedziałam.

Bodenstein poprosił jednego z funkcjonariuszy, aby udał się na drugą stronę domu i poszukał odcisków butów.

— Do kogo właściwie należy teren kempingu? — zwrócił się do pani Molin, kiedy skończył wydawać polecenia.

— Do związku „Przyjaciele Lasu Hesji”. Przyczepy należą do członków związku, a w tym drewnianym domu są pokoje, które można wynajmować. Wraz z końcem września kończy się sezon, więc i tutaj ruch całkowicie zamiera.

— Zna pani nazwisko właściciela spalonej przyczepy?

— Nie, niestety. — Wzruszyła ramionami. — Ale mam gdzieś zapisany telefon do zarządu. Zaraz go poszukam.

— Dziękuję, bardzo się przyda.

Podszedł młodszy z dwójki policjantów.

— Szefie, mam wiadomość od pańskiej córki. Prosiła przekazać, że musi do toalety i że umiera z pragnienia — powiedział, uśmiechając się szeroko.

— Dziękuję, zajmę się tym. — Bodenstein skinął głową, odwrócił się zrezygnowany i gestem przywołał Sopię. Dziewczynka natychmiast otworzyła drzwi i wyskoczyła z samochodu.

— Ciąga pan córkę po takich miejscach? — Pani Molin skrzywiła się z dezaprobatą. — I to o takiej porze?

— Proszę mi wierzyć, że nie miałem wyboru — odparł Bodenstein chłodno. — Nie mogłem przecież zostawić siedmiolatki samej w domu.

— Za sześćdziesiąt sześć dni będę miała osiem lat — zaprotestowała Sophia zdecydowanym tonem. — Poza tym tata mnie nigdy nie bierze do pracy. To przez te trupy, tak mówi. Ale mama wyjechała do Rosji ze swoim nowym...

— Czy możemy skorzystać z toalety? — Bodenstein przerwał córce pośpiesznie, zanim zdążyła podzielić się z nieznajomą najbardziej prywatnymi sprawami rodziny.

— Tak, w gospodzie, o tam. — Felicitas Molin przyglądała mu się wodnistymi oczyma, a Bodenstein nie potrafił zinterpretować jej spojrzenia. Dezaprobata czy współczucie? A może... żąda sensacji? „Wysoki rangą policjant nocami jeździ z siedmioletnią córką na miejsca zbrodni!”.

Bodenstein oczyma wyobraźni zobaczył taki i podobne tytuły w prasie brukowej i poczuł, że się czerwieni.

— Sophia, idziemy — rzucił krótko.

— Mogę ją zaprowadzić do toalety — zaproponowała usłużnie pani Molin.

— A potem mała może posiedzieć u mnie, aż pan skończy swoją robotę na dworze. Na pewno będzie jej cieplej niż tutaj.

Zadrzał na samą myśl, że miałby zostawić córkę pod opieką podpitej nieznałomej. Wolałby chyba poprosić Wielanda, żeby zajął się małą. Z nim i tak musiał jeszcze porozmawiać.

— Dziękuję, ale nie — odpowiedział grzecznie.

— Jak pan sobie chce. — W głosie Felicitas pojawiła się nutka bezczelności. — Skoro pan woli, żeby mała biegała tu sama po nocy, to ja nic na to nie poradzę.

— Nie jestem mała! — zaprotestowała Sophia.

— I nie biega tu sama po nocy — dodał Bodenstein, niepotrzebnie ostrym tonem.

— Dobrze już, dobrze. — Pani Molin prychnęła szyderczo, po czym z kieszeni puchowej kurtki wyjęła pęk kluczy i się odwróciła. Bodenstein schwycił córkę za rękę i ruszył za gospodynią, która prowadziła ich przez nieczynny ogródek piwny w stronę toalety. W pewnej chwili uruchomił się aktywowany czujnikiem ruchu reflektor. Policjant włączył światło w damskiej ubikacji, wpuścił córkę do środka i stanął przy zamkniętych drzwiach. Był już chyba najwyższy czas na rozmowę z Cosimą, choć zupełnie mu się to nie uśmiechało. Nie mógł jednak tolerować sytuacji, że była żona zostawiała mu córkę, kiedy jej się żywnie podobało. Na początku całkiem dobrze się dogadywali i przestrzegali ustalonego grafiku, lecz mniej więcej rok temu, od czasu kiedy Cosima dowiedziała się, że jej matka zmieniła testament na korzyść Bodensteina, któremu postanowiła zostawić swoją posiadłość w Bad

Homburg, przestała trzymać się reguł.

— Panie komisarzu? — Zza narożnika domu wyłonił się funkcjonariusz, którego Bodenstein wysłał na poszukiwanie śladów. — Dorwałem gościa — oznajmił i walcząc o zachowanie powagi, zaprezentował dynię wyciętą w halloweenowy lampion. — Poznaje pani tę twarz? Czy to ją widziała pani przez okno?

Bodenstein zaśmiał się rozbawiony.

— Kpicie sobie ze mnie! — prychnęła Felicitas Molin urażona. — To już szczyt wszystkiego!

Po czym odwróciła się i ruszyła do domu.

— Dziękujemy za pomoc! — krzyknął za nią Bodenstein. — Później jeszcze zgłoszę się do pani, bo mam kilka pytań!

— Wie pan, gdzie mnie znaleźć — syknęła kobieta i zniknęła w ciemnościach.

— Dynia! — Funkcjonariusz zachichotał i odstawił ją na betonową podłogę. — Ale nie ma się co dziwić. Tak od niej leci alkoholem, że pewnie widzi już białe myszki.

DOPIERO NAD RANEM strażakom udało się opanować ogień. Dym spowijał łąkę niczym mgła i wspinał się w kilku miejscach w zabarwione purpurą niebo. Strażacy zwinęli węże i pierwsze wozy gaśnicze odjechały do remiz. Z przyczepy z przedsiionkiem został jedynie szkielet. Cała zewnętrzna powłoka, styropian z izolacji termicznej i drewniany wystrój wnętrza doszczętnie spłonęły. Woda użyta do gaszenia i wysoka temperatura ognia zmieniły teren dookoła w łąsą plamę, pokrytą błotem zmieszonym z popiołem. Obok straszyl wrak spalonego samochodu. Jego stan nie pozwalał na określenie modelu ani producenta, ba, ogień stopił nawet tablice rejestracyjne. Ku uldze leśnika strażakom udało się powstrzymać ogień przed rozprzestrzenieniem się na las, spłonęło ledwie pięć świerków stojących

półkolem dookoła przyczepy. Krótco przed szóstą rano dwóch strażaków mogło wejść na pogorzelsko, aby przejrzeć jego zawartość i dogasić pozostałe zarzewia ognia.

Bodenstein stał kilka metrów dalej z rękoma w kieszeniach kurtki i w milczeniu przyglądał się ich pracy. Codziennie płonęły kuchnie, pokoje, garaże i przyczepy kempingowe, bo ludzie nieostrożnie obchodzili się z benzyną i butlami gazowymi. W większości przypadków mieszkańców płonących domów dało się uratować, lecz przecucie mu podpowiadało, że tym razem będzie inaczej. Mimo to cały czas żywił nadzieję, że los oszczędzi mu prowadzenia dochodzenia w sprawie podpalenia z ofiarami śmiertelnymi, zwłaszcza że zostało mu już tylko dwa i pół miesiąca szefowania wydziałowi K11.

Z końcem roku zamierzał rozpocząć dwunastomiesięczny urlop. Długo bił się z myślami o przerwie i dobrze przemyślał tę decyzję, zanim udał się do szefowej, doktor Nicoli Engel, by poinformować ją o swoich zamiarach. Pracę postrzegał zawsze jako coś więcej niż sposób zarabiania pieniędzy. Sercem i duszą był policjantem i detektywem i nigdy się nie zastanawiał nad robieniem kariery w Krajowej Policji Śledczej czy Komendzie Głównej. W ostatnich latach coś się jednak zaczęło zmieniać. Rzeczy, do których dawniej zachowywał zdrowy dystans, zaczęły go boleśnie dotykać i nie potrafił się od nich uwolnić. Nie udawało mu się zachować granicy między życiem zawodowym a prywatnym. Dręczyły go prowadzone sprawy. Został policjantem, bo wierzył w sprawiedliwość, wartości i zasady. W dobro i zło. A teraz zaczynało mu brakować tej wiary, tego instynktu łowcy, który wcześniej go wypełniał i napędzał. Nie chciał już słuchać, jak ludzie kłamią mu w żywe oczy, i nie podobało mu się, że traktują go jak głupka. Czuł, że marnuje życie, spędzając długie godziny na rozmowach z osobami, co do których wiedział, że nie mówią mu całej prawdy. A i tak, kiedy zgromadził

wszystkie poszlaki, ślady i dowody i posiadał podstawę do aresztowania, pojawiał się jakiś przemądrzały adwokat i proszę, z dożywocia bez możliwości przedterminowego zwolnienia wychodziło piętnaście lat albo przymusowe leczenie w szpitalu psychiatrycznym. W sprzyjających okolicznościach sprawca wychodził po jakimś czasie na wolność, lecz ofierze nikt życia przywrócić nie mógł. Trauma, z jaką zmagala się rodzina zamordowanego, zdawała się coraz mniej obchodzić sądy, biegłych i prokuratorów. Nie tak rozumiał sprawiedliwość.

Sprawa, którą prowadził dwa lata wcześniej i dzięki której poznał Karoline Albrecht, przeważała szalę. Nie udało się odpowiednio wcześnie dopaść psychopaty, a kiedy w końcu wpadli na jego ślad, zwycięstwo miało gorzki smak, bo zbyt wielu ludzi musiało zginąć. Przytłaczające poczucie bezradności i niesatysfakcjonujące zakończenie sprawy zmieniły w pewność niejasne przeczucie, że nadszedł w życiu czas na zmiany. Karoline również miała swój udział w jego decyzji o roku przerwy od pracy. Bodenstein chciał mieć dla niej więcej czasu, bo była dla niego ważna. Ich związek rozwijał się dotychczas bardzo spokojnie i subtelnie, lecz od kilku miesięcy czuł, że stanęli w miejscu; chciał się dowiedzieć, dlaczego tak się stało.

Doktor Nicola Engel nie była, delikatnie rzecz ujmując, zachwycona jego decyzją, lecz mimo to przesłała wniosek o roczny urlop do Wiesbaden, by tam podjęto ostateczną decyzję. I oto przed kilkoma tygodniami Bodenstein odbył rozmowę w cztery oczy z komendantem głównym, którego znał z czasów, kiedy pracował we Frankfurcie w policji kryminalnej. W przeciwieństwie do większości poprzedników obecny szef policji nie był urzędnikiem robiącym karierę zza biurka i sam przez wiele lat służył na pierwszej linii; najpierw w oddziałach antyterrorystycznych, a potem w wydziale zabójstw i terroru kryminalnego we Frankfurcie, gdzie prowadził śledztwa w sprawie najgłośniejszych morderstw i uprowadzeń. Z pełnym zrozumieniem odniósł się

do wniosku Bodensteina o urlop i oczywiście go zaaprobował. Nicola Engel skomentowała to jedynie wzruszeniem ramion i ostrzegła Bodensteina, że nie może liczyć na fotel szefa K11, kiedy wróci do pracy. Ta zapowiedź nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Wprawdzie nie zapadła jeszcze ostateczna decyzja o jego następcy, lecz był niemal pewien, że pałeczkę przejmie jego dotychczasowa podwładna Pia Sander. W przeszłości nie raz udowodniła, że ma wiedzę i umiejętności, by sprostać takiemu zadaniu.

— Przepraszam? — Z zamyślenia wyrwał go głos szefa strażaków. — Znaleźliśmy zwłoki. Najlepiej, żeby pan sam to zobaczył.

Ostatnia iskierka nadziei zgasła. Właśnie tego obawiał się od samego początku — samochód zaparkowany tuż obok przyczepy musiał do kogoś należeć. Szedł za Kwasniokiem przez ziemię pokrytą lepkiem popiołem i czuł przez gumowe podeszwy kaloszy, że jest jeszcze ciepły. Przez wszystkie lata pracy w policji widział bardzo wiele zwłok, taki los, lecz nie mógł się przyzwyczaić do widoku śmierci. I tym razem przeszedł go dreszcz. Jeszcze kilka godzin temu zwęglone zwłoki były żywym człowiekiem, który oddychał i czuł. Strażacy nie mieli wątpliwości, że pożar był skutkiem podpalenia. Teraz trzeba będzie jeszcze ustalić, czy ofiara zmarła przed pojawieniem się ognia, czy wskutek jego działania.

Bodenstein wyjął z kieszeni telefon komórkowy, by powiadomić najpierw centralę, a potem Pię.

— Zadzwonię zaraz do Henninga, tak będzie najlepiej — zdecydowała policjantka. — Niech jak najszybciej przyjedzie na miejsce, bo inaczej będzie narzekał. Kto wezwie techników od zabezpieczenia śladów?

— Centrala ma się tym zająć.

— Dobra. W takim razie zaraz ruszam.

Pia rozłączyła się, a Bodenstein schował telefon.

— Pan pozwoli tutaj, chciałbym coś pokazać. — Szef strażaków poczekał,

aż Bodenstein skończy rozmawiać, po czym poprowadził go szerokim łukiem dookoła pozostałości po przyczepie. W końcu się zatrzymał i wskazał na kilka okrągłych metalowych skorup pośród pogorzelniska. Wyraźnie było na nich widać ślady działania wysokiej temperatury.

— Tyle zostało z butli gazowych — wyjaśnił Kwasniok.

— Aha. — Bodenstein nie miał pojęcia, do czego zmierza jego rozmówca. Sam nie jeździł na kempingi, ale przecież każdy wie, że tego typu przyczepy kempingowe są ogrzewane gazem z butli, który wykorzystuje się również do gotowania.

— Z zasady butla z propanem nie może eksplodować — ciągnął strażak. — Bez tlenu gaz się nie pali. A butle mają taką konstrukcję, żeby w przypadku znacznego wzrostu temperatury, który powoduje zwiększenie ciśnienia wewnątrz butli, otwierał się zawór bezpieczeństwa.

— I dopiero wtedy wszystko eksploduje.

— Otóż nie. Gaz się po prostu wypala. Wygląda wtedy tak, jakby ktoś używał miotacza płomieni. Niebezpiecznie robi się dopiero, kiedy gaz ulatniający się z butli nie zostanie natychmiast spalony, czyli kiedy w jakimś pomieszczeniu tworzy się mieszanina gazu i powietrza. Wystarczy wtedy pojedyncza iskra, żeby wszystko eksplodowało.

Bodenstein potaknął.

— Butle zostały rozmieszczone w przedsionku — ciągnął strażak. — To tylko przypuszczenie, ale jestem w stanie wyobrazić sobie taką sytuację: ktoś wykręca zawory bezpieczeństwa z butli i ustawia je tak, żeby gaz gromadził się w zamkniętym pomieszczeniu.

Mężczyzna znów ruszył dookoła przyczepy i zatrzymał się od frontu, po czym wskazał na wypalony w trawie ślad, który w świetle nadchodzącego poranka był coraz lepiej widoczny.

— Potem ta osoba rozlewa benzynę i robi z niej coś w rodzaju lontu. —

Kwasniok szedł wzdłuż wypalanej ścieżki. Bodenstein cały czas trzymał się tuż za nim.

Rozmokła ziemia chlupotała im pod kaloszami.

— Dobrych trzydzieści metrów. Wystarczyło zapalić zapalną, rzucić ją na rozlaną benzynę i... bum! Wszystko wyleciało w powietrze.

— Brzmi logicznie. — Bodenstein przesunął dłoń po nieogolonej brodzie.

— To robota podpalacza, który wcześniej wszystko starannie zaplanował — stwierdził Kwasniok. — Nie sądzę, żeby to był ten sam człowiek, który grasuje w Kelkheim.

— Dzięki. Ktoś z wydziału podpaleń jeszcze się z panem skontaktuje.

— Nie ma sprawy. Kilku moich ludzi zostanie na miejscu, żeby mieć oko na pogorzelnisko. Mogą się przydać do pomocy w wydobywaniu ciała. — Kwasniok na pożegnanie zaskłamał, muskając palcem skroń, i wrócił do swojego zastępu.

Bodenstein się rozejrzał. Wypalony ślad na trawie został rozjechany przez wozy strażackie. Miejsce pożaru, które po znalezieniu ciała stało się równocześnie miejscem zbrodni, zmieniło się za sprawą płomieni i wody w koszmar z najgorszych snów techników zabezpieczających ślady. Kröger i Becht, specjalista od pożarów z wydziału K10, nie będą szczególnie zachwyceni, lecz Bodenstein nie miał na to rady. Wracając do samochodu, podsumował w myślach wszystko, czego zdążył się dowiedzieć. Wyszło mu, że w opowieści Felicitas Molin musi być jakaś nieścisłość związana z chronologią zdarzeń. Kobieta twierdziła, że obudziła ją eksplozja. Następnie miała słyszeć warkot oddalającego się samochodu i dopiero potem, przy drugiej eksplozji, zobaczyła zarys czyjejś sylwetki na tle płomieni. To nie miało sensu. Chyba że podpalacz nie był jedyną osobą, która pojawiła się tu minionej nocy.

OKOŁO SZÓSTEJ RANO słońce zapowiedziało cudowny dzień, zalewając świat

zapierającym dech w piersiach szkarłatem, a już godzinę później skryło się za chmurami i wyglądało na to, że do wieczora nie ma zamiaru się pokazać. Mżyło, kiedy komisarz Pia Sander zatrzymała samochód na parkingu przy kempingu i wysiadła. Tutaj, wysoko w Taunusie, nie rosły drzewa liściaste, a wyłącznie iglaste. Wysokie świerki, jodły i sosny tłoczyły się wokół polany, tworząc ciemną ścianę. Gospoda leśna i przylegające do niej podniszczone drewniane budynki nie wyglądały zachęcająco.

Pia się rozejrzała. Między radiowozem a zielonym jeepem nadleśnictwa stał prywatny samochód Bodensteina, a poza tym, jak okiem sięgnąć, nie było widać żywej duszy. Ogień został ugaszony już jakiś czas temu, lecz mimo to w powietrzu unosił się gryzący zapach dymu. Dalej, na łące otoczonej obecnie białą-czerwoną taśmą policyjną, obok czarnej górki zwęglonych pozostałości po przyczepie stał wóz straży pożarnej.

— Dziwne. Gdzie się wszyscy podziali? — Pia włożyła kamizelkę puchową, którą wzięła z tylnej kanapy, a potem wyjęła komórkę i otworzyła listę kontaktów. Wybrała numer Bodensteina, lecz nie mogła się połączyć. Brak zasięgu. Spojrzała na samochód szefa, potem na radiowóz.

— Halo? Co pani tu robi? — zapytał ktoś tuż za jej plecami. Pia podskoczyła i odwróciła się szybko. Zobaczyła chudą kobietę o smutnej twarzy, w zanedbanej trwałej. Nieznajoma spoglądała na nią nieufnie. Grube okulary nadawały jej wygląd rozczochranej sowy.

— Pia Sander, policja kryminalna — przedstawiła się i pokazała legitymację. — Z kim mam przyjemność? I co pani w ogóle tu robi?

— Mieszkam tu, chyba mi wolno, prawda? — odparła wychudzona kobieta, a w jej głosie słychać było jadowity ton. Sięgnęła po legitymację Pii, niemal ją wyszarpnęła z dłoni policjantki, po czym bardzo starannie obejrzała, jakby była celnikiem na amerykańskim lotnisku. — Moja siostra dzierżawi gospodę. To ja wezwałam dzisiaj straż pożarną.

Potem sięgnęła do kieszeni znoszonej kurtki dżinsowej z futerkowym kołnierzem, który kiedyś musiał być biały.

— Ten policjant wcześniej, to on chciał ode mnie jeden numer telefonu. —
Podała Pii karteczkę. — Tutaj go zapisałam.

— Dziękuję.

Policjantkę uderzyła woń alkoholu, czosnku i naftaliny. Zapach otaczający kobietę był wręcz duszący, lecz Pia zachowała kamienną twarz.

— Może pani wie, gdzie jest teraz mój szef? Ten policjant? Nie mogę się do niego dodzwonić, bo tu nie ma zasięgu.

— A więc to jest pani szef... Mogę tylko pogratulować przełożonego. —
Kobieta wyduła usta w pogardliwym uśmiechu. — Biega po lesie, bo jego córka dała nogę. Powiem szczerze, że trzeba mieć nierówno pod sufitem, żeby ciągnąć tu po nocy dzieciaka, a potem zostawić go bez opieki.

Przyjazna obojętność, jaka cechowała kontakty Pii z obcymi osobami, natychmiast ustąpiła miejsca niechęci.

— A proponowałam mu, że się zajmę jego córką, to nie, nie chciał mnie słuchać. — Kobieta wzruszyła ramionami. — Wolał ją zamknąć w zimnym samochodzie. To się w głowie nie mieści.

Pia nie potrafiła pozostać obojętna wobec pogardy, z jaką nieznajoma kobieta mówiła o jej szefie.

— Nie mieści — odparła lodowato.

— Jasne. — Jej rozmówczyni nawet nie próbowała ukrywać niechęci i lekceważenia. — Kruk krukowi oka nie wykole.

W tym momencie Pia straciła cierpliwość.

— Swojego dziecka również bym nie zostawiła z kimś, kto śmierdzi jak gorzelnia — odparła ostro.

— Jak pani śmie? — Kobieta zmrużyła ze złością oczy. — Co pani w ogóle o mnie wie, żeby mnie oceniać?

— Pewnie mniej więcej tyle samo, co pani o moim szefie — odparowała policjantka. — Nie wolno oceniać ludzi, o których się nic a nic nie wie, pani...

— Molin. Felicitas Molin. Piszę artykuły do różnych gazet, gdyby to panią interesowało. — W oczach Felicitas pojawił się błysk złośliwości. — Policjant, który nocą ciąga swoją małoletnią córkę po miejscach zbrodni. Gorący news, jak nic.

— W takim razie powodzenia w pisaniu. — Pia kiwnęła głową. — Tylko proszę uważać, żeby nie przekroczyć granicy, za którą będzie na panią czekał pozew o zniesławienie.

Okularnica zaczęła perorować o wolności prasy i o prawie do informacji, lecz Pia jej nie słuchała. Odwróciła się i ruszyła w stronę pogorzelska. Kilka lat wcześniej wybrała się tu z Christophem na obiad. Wówczas nie zwróciła uwagi na to, że poza gospodą funkcjonuje tu spory kemping. Na polanie stało około czterdziestu przyczep, które w mglistym świetle poranka wyglądały na porzucone i zaniebane. Niektóre w celu ochrony przed skutkami pogody okryte były pożółkłymi plandekami, inne chroniły jedynie drewniane płotki pokryte mchem. Najwyraźniej nikomu nie zależało szczególnie na zaparkowanych tu pojazdach.

Kiedy Pia dotarła do resztek przyczepy, zza osmolonych nagich pni pięciu świerków sterczących z czarnego pogorzelska niczym rozcapierzone palce dobiegły czyjeś głosy. Od strony lasu zbliżało się trzech strażaków i dwóch policjantów z oddziałów prewencji, a za nimi jakiś mężczyzna w zielonym ochronnym ubraniu i Bodenstein. Szef ciągnął za sobą córkę, ze stoicką miną ignorując jej głośne protesty. Pia z całego serca mu współczuła, nie po raz pierwszy zresztą, od kiedy poznała jego najmłodszą pociechę. Mała bywała czasem prawdziwym utrapieniem.

— Dlaczego nie zadzwoniłeś? — zapytała po krótkim powitaniu.

— Przecież wiesz, że bym cię zastąpiła.

— Ostatnio i tak za często cię o to prosiłem — odparł Bodenstein i zwrócił się do Sophii: — A ty zostaniesz teraz tutaj, rozumiano? Zaraz odwiozę cię do szkoły.

— Ale ja chcę... — zaczęła dziewczynka podniesionym głosem.

— Starczy! — przerwał jej ojciec ostrym tonem. — Ani słowa więcej!

Sophia tupnęła gniewnie i zawyła głośno.

— Co ja przed chwilą powiedziałem? — Bodenstein zniżył groźnie głos. — Ostatni raz cię ze sobą zabrałem. Ostatni!

— Ale ja coś sobie zro...bi...i...łam! Auć! — zawyła dziewczynka, po czym usiadła na mokrej trawie. — Chyba złamałam nogę!

Bodenstein zignorował teatr, jaki odstawiała jego córka, i przedstawił Pii Wielanda Kapteinę, leśniczego odpowiedzialnego za tę część lasów Taunusu. Mężczyzna był wysoki, ogorzały, miał kwadratową szczękę, głębokie bruzdy wokół ust, melancholijne spojrzenie i posiwiałe włosy wokół łysiny na czubku głowy.

— Siostra właścicielki, pani Molin, twierdzi, że zobaczyła kogoś, kiedy ogień już płonął, po tym, jak słyszała odjeżdżający samochód. — Bodenstein podsumował krótko wydarzenia minionej nocy. — Zabezpieczyliśmy ślady krwi, które prowadzą do lasu. Mógł je zostawić sprawca albo ktoś zupełnie inny.

— W takim razie trzeba by wezwać psy tropiące. — Pia nie wspomniała o nieprzyjemnej rozmowie z siostrą dzierżawczyni. — Może ten ktoś jest cały czas w pobliżu albo zostawił ślady, które pozwolą go odnaleźć.

Wyboistą leśną drogą zbliżały się dwa samochody — niebieski transporter volkswagen, którym poruszał się zespół techników zabezpieczających ślady, i furgonetka śledczego od spraw pożarów i podpałek. Samochody zatrzymały się oddalone od siebie o dobrych pięćdziesiąt metrów. Bodenstein spojrzał na

zegarek.

— Dobra, muszę lecieć, bo Sophia nie zdąży do szkoły — oznajmił ze zmarszczonym czołem. Widać było, że nie uśmiecha mu się odjeżdżać z miejsca zbrodni akurat teraz, kiedy policja miała zacząć pracę.

— Niczym się nie przejmuj — uspokoiła go Pia. — Ja się wszystkim zajmę.

— Dzięki. — Bodenstein westchnął. — Na najbliższe dni znajdę jakieś rozwiązanie. Choć obawiam się, że ciężko będzie przekonać kogoś, żeby zajął się Sophią.

— Naprawdę, nie stresuj się przesadnie. Przecież jestem. — Pia wiedziała, w jakiej sytuacji znalazł się jej szef i że jego była żona coraz częściej znajdowała wymówki, aby nie musieć się zajmować młodszą córką. Starsze dzieci Bodenstein też wychował właściwie sam, bo Cosima bezustannie jeździła po świecie i kręciła filmy dokumentalne. Zdaniem Pii, jego związek z sympatią z dzieciństwa, weterynarką Inką Hansen, rozpadł się głównie przez Sophię. Policjantka nie miała też pewności, czy nowa partnerka jej szefa, Karoline Albrecht, ma dość sił, by wytrzymać z tak trudnym dzieckiem i jego całkowicie niesłowną matką. To się dopiero miało okazać.

— Mogę jakoś pomóc? — zapytał leśnik o twarzy basseta, kiedy Bodenstein z córką oddalali się w stronę parkingu.

— Zna pan może ludzi, do których należą te przyczepy?

— Niestety, nie z imienia i nazwiska. — Wieland Kapteina pokręcił z żalem głową. — Poza kobietą, która dzierżawi gospodę, i jej mężem znam tylko kilka osób, ale przelotnie.

— Szkoda. — Pia wsunęła dłonie do kieszeni kurtki i przez przypadek dotknęła karteczki, którą dostała od nieprzyjemnej kobiety w okularach.

— Proszę chwilę poczekać, zaraz wrócę — rzuciła w stronę mężczyzny w zielonym płaszczu i ruszyła biegiem za Oliverem, którego właśnie zagadnął Kröger. Przywitała szefa zespołu techników kryminalistyki komendy rejonowej

w Hofheim i jego ludzi, którzy wyładowali swój sprzęt z samochodu.

— To wygląda jak pobojuwisko po starciu pod Waterloo! Normalnie porzygać się można od takiej roboty! — narzekał Christian Kröger, nie kryjąc złości. — Ciekawe, czy tym gościom od sikawek w ogóle przeszło przez myśl, że ktoś będzie musiał zabezpieczać tu ślady!

Bodenstein i Pia byli przyzwyczajeni do jego humorów. Kröger był perfekcjonistą i najchętniej anektowałby każde miejsce zbrodni przed wszystkimi, by nikt niczego nie poprzesztawiał albo nie zniszczył mu śladów.

— To nie wszystko, będzie znacznie gorzej — oznajmił Bodenstein rzeczowo. — Ze względu na stan zwłok wezwałem na miejsce profesora Kirchhoffa.

— Mój szczęśliwy dzień — burknął Kröger. — Przynajmniej znów jestem pierwszy.

— Boże, ale z was dzieci! Obydwaj! — Pia potrząsnęła głową na wspomnienie infantylnego współzawodnictwa między swoim byłym mężem a szefem techników.

— W tej chwili prowadzę jedenaście do trzech. — Kröger wyszczerzył zęby w tryumfalnym uśmiechu. — Takiej straty już nie odrobi. Doktorek ma powody do zmartwienia.

On i Henning Kirchhoff od wielu lat pielęgnowali serdeczną wzajemną wrogość, co chwilami ocierało się o groteskę, bo potrafili pokłócić się o błahostkę i na miejscu znalezienia zwłok skoczyć sobie do gardeł. O ich awanturach krążyły legendy, ale że te ciągłe tarcia w żadnym razie nie prowadziły do pogorszenia jakości ich pracy, wszyscy, którym przyszło być świadkami tej specyficznej rywalizacji, odnosili się do niej całkowicie obojętnie.

— Rany, Oliver, dobrze, że sobie przypomniałam. Ta rozczochrana sowa przekazała coś dla ciebie. — Pia podała szefowi karteczkę. — Numer

telefonu. Ponoć prosiłeś.

— Tak, dzięki. — Bodenstein rzucił okiem na karteczkę. — To do zarządcy pola kempingowego. Zadzwoń z samochodu, może się dowiem, do kogo należała spalona przyczepa.

Potem odwrócił się i odszedł, ciągnąc za sobą dramatycznie utykającą Sophię. Pia została przy aucie Krögera, bo w tym miejscu akurat miała zasięg. Zadzwoiła do centrali i poprosiła o przysłanie psa tropiącego i wsparcia, by rozpocząć poszukiwania osoby, która mogła stać za podpaleniem lub być świadkiem tego zdarzenia. Na koniec wybrała odpowiedni numer i powiadomiła prokuratora, który pełnił dyżur.

Tymczasem na teren parkingu wtoczyło się kilka samochodów: dwa radiowozy, srebrny mercedes kombi doktora Henninga Kirchhoffa i należący do policji cywilny opel, którym przyjechała trójka ludzi Krögera i jeden nowy policjant z wydziału K11. Jako ostatni dołączył do nich biały smart z rzucającym się w oczy logo prywatnej telewizji.

— Oto doktorek we własnej osobie — mruknął Kröger i skrzywił się kwaśno, po czym nasunął na głowę kaptur jednorazowego kombinezonu. Profesor Henning Kirchhoff ruszył w ich stronę, taszcząc metalową walizkę.

— I media... — dokończyła Pia. — Zaraz się wszystkim zajmę. Każę ogrodzić tyle terenu, ile się da.

SZŁOCHAJĄC Z POWODU UPOKORZENIA, Felicitas Molin otwierała ze złością jedną kuchenną szufladę po drugiej. Była raptem ósma rano, lecz ona i tak najchętniej napiłaby się czerwonego wina. Wszystko przez tę napuszoną blond policjantkę i jej pogardliwy ton! I jeszcze przez pozostałych gliniarzy, którzy się z niej naśmiewali. Doskonale widziała, jak chichotali! Dynia! Akurat! Ależ tą histerią narobiła sobie wstydu! Ten ich szef dopiero musiał sobie o niej pomyśleć... Najgorsze, że wyglądał na bardzo sympatycznego faceta. W typie Liama Neesona, z trzydniowym zarostem i siwizną na skroniach. Felicitas

stała przy oknie i oparła czoło o chłodną szybę. Przystojny mężczyzna — wysoki i szczupły, ale szeroki w barach. Otaczała go budząca zainteresowanie aura tajemniczości. Miał piękny głos, głęboki, przyjemny baryton i mówił bardzo czystym językiem bez śladu lokalnych naleciałości. Niestety, został pokarany nieznośnym dzieciakiem. Czy jego małżeństwo mogło się posypać przez to, że za dużo czasu poświęcał na łapanie drani? A może uwikłał się w jakiś romans i zdradził swoją nudną prowincjonalną żonę z inną kobietą? Nawet jeśli, to co jej do tego? W niej i tak widział jedynie zapijaczoną, zaniedbaną jędzę.

Odepchnęła się dłońmi od parapetu i zdecydowanym krokiem podszła do biurka Manu, po czym metodycznie, jedna po drugiej, przeryła wszystkie szuflady. Gdzie go schowała? W końcu, w najdalszym kącie szafki na ścianie znalazła to, czego szukała. Ostrożnie wyjęła drewnianą skrzyneczkę, postawiła ją na porysowanym blacie biurka i otworzyła wieko. Manuela jakiś czas temu wspomniała o pistolecie Jensa, który trzymał broń, od kiedy zamieszkali w środku lasu. Nie wiedziała, czy szwagier w ogóle posiada pozwolenie; nie obchodziło jej to. Felicitas ostrożnie chwyciła pistolet i wyjęła ze skrzyneczki połyskujący metaliczną czernią przedmiot. Minęło wiele lat, od kiedy po raz ostatni miała w ręku broń. Była wtedy na strzelnicy i gromadziła materiały do jakiegoś artykułu. Czowała ciężar pistoletu. Był naładowany. To lekkomyślne, lecz czego się spodziewać po Jensie. Jakkolwiek by patrzeć, czuła się teraz zdecydowanie bezpieczniej. Spojrzała na psy, które wślizgnęły się za nią do biura i śledziły każdy jej ruch.

— Obrońcy od siedmiu boleści — mruknęła i wsunęła pistolet za pasek. — Tylko szczekać potraficie i nic poza tym.

Przez okno widziała kawałek polany. Biało-czerwoną taśmę policyjną i sporo ludzi. Najwyraźniej pożar przyczepy kempingowej nie był najgorszą rzeczą, jaka się wydarzyła. Usiadła przy biurku siostry, otworzyła swój laptop

i sprawdziła pocztę. Napisała ostatnio cztery artykuły i rozesłała je do kilkunastu redakcji, więc w końcu powinna dostać jakąś odpowiedź! A jednak nic. Tylko trochę spamu. Żadnych zaproszeń do zasiadania w jury, żadnych wejściówek na gale, premiery książkowe ani odczyty, choć wcześniej otrzymywała tego tyle, że kasowała bez czytania. Z tygodnia na tydzień przychodziło coraz mniej mejli, aż do wczoraj, bo wczoraj nie dostała żadnego. Po prostu żadnego. Zapomniano o niej. Co się stało z jej życiem? Dlaczego nikt jej już nigdzie nie zapraszał ani nie dzwonił? Nerwowo zatrasnęła komputer. I co, do cholery, w ogóle tu robiła, w tej pełnej myszy ruinie pośrodku lasu? Przecież nienawidziła lasu! I brzydził ją stary, brudny i zniszczony dom. Ale nie miała wyboru i musiała kątem pomieszkiwać u młodszej siostry. To takie poniżające...

— WIEDZIAŁAŚ, że w dziewiętnastym wieku nie rosły w tym miejscu drzewa?
— Podkomisarz Tarik Omari podszedł do niej, zatrzymał się i postawił kołnierz oliwkowej kurtki wojskowej. — Ponoć przy dobrej widoczności można było z Frankfurtu dojrzeć celtyckie grodzisko warowne na szczycie Altkönig. Dzisiaj wszystko porasta las i nic już nie widać.

— Skąd ty w ogóle wiesz takie rzeczy? — Pia nie pierwszy raz była pod wrażeniem wiedzy nowego współpracownika, który ledwie przed dwoma miesiącami zasilił szeregi K11. Kiedy na początku sierpnia Kathrin Fachinger niespodziewanie oznajmiła, że jest w ciąży i w listopadzie idzie na zwolnienie, doktor Nicola Engel błyskawicznie wyczarowała dla niej zastępstwo.

— Gdzieś o tym czytałem — odparł Tarik i wzruszył ramionami. — Mam fotograficzną pamięć i nigdy nie zapominał niczego, co przeczytałem albo zobaczyłem.

Pia spojrzała szybko w jego stronę, żeby ustalić, czy chce ją nabrać albo zrobić na niej wrażenie, lecz najwyraźniej mówił zupełnie poważnie i bez

przechwałek.

Tarik Omari miał dwadzieścia osiem lat i do pracy przyszedł prosto ze szkoły policyjnej w Wiesbaden, którą ukończył ze świetnym wynikiem. W sprawach komputerowych bez wysiłku dorównywał Kaiowi Ostermannowi, posiadał też ogromną wiedzę, z którą wcale się nie krył, co zaowocowało przezwiskiem Einstein, jakie nadali mu współpracownicy z komendy rejonowej policji w Hofheim.

Razem dotarli na pogorzelisko. Woda z agregatów strażackich i mżący deszcz zmieniły popiół w szaroczną lepłą masę, z której sterczały powyginane kawałki metalu. Tu i ówdzie unosiły się jeszcze cieniutkie stróżki dymu. Dwóch ludzi Krögera ustawiło namiot, by zabezpieczyć miejsce pracy przed deszczem, po czym przystąpiło do rozstawiania metalowych płotków dookoła spalonej przyczepy. Technicy zabrali się do pracy. Rozciągnęli siatkę z cienkich sznurków nad ciałem i zajęli się umieszczaniem plaketek z cyframi w miejscach, w których znaleźli potencjalne dowody do zabezpieczenia. Jeden z nich fotografował każdy fragment pogorzeliska, spalony samochód ofiary i same zwłoki pod każdym możliwym kątem. Wszystkie przedmioty i fragmenty przedmiotów, które wzbudziły ich zainteresowanie, były pakowane do woreczków na dowody, a zwały popiołu i resztek przyczepy musiały zostać przesiane, by nie został przeoczony najmniejszy fragment kości czy nawet pojedynczego zęba. Większość z zebranych śladów w późniejszym postępowaniu okazywała się zazwyczaj nieprzydatna, lecz na tak wczesnym etapie śledztwa nie dało się jeszcze ocenić, co ma znaczenie, a co nie, więc wszystko ładowało w torebkach, by trafić do laboratorium. Tym razem ich zadanie było wyjątkowo niewdzięczne z powodu mokrego i lepkiego popiołu, pełnego resztek spalonych tworzyw sztucznych i gumy. Henning i Christian przykucnęli obok zwęglonych zwłok i zadziwiająco rzeczowo omawiali dalsze postępowanie z nimi.

— Tak przy okazji, na skraju lasu znaleziono ślady krwi — przypomniała Pia. — I mamy naocznego świadka. Kobieta twierdzi, że kogoś widziała, dlatego warto by przeszukać polanę pod kątem odcisków butów.

Kröger podniósł wzrok i pokręcił głową.

— Nie da rady. Mam tylko pięcioro ludzi — odparł gburowato. — I wszystkich potrzebuję na miejscu.

— W takim razie każę ogrodzić cały teren, żeby nikt tu nie łąził, dopóki nie przyjedzie wsparcie. — Pia wyjęła z kieszeni telefon. — Nie wygląda to raczej na przypadek zaśnięcia z niedopałkiem, co?

— Raczej nie. Musiało dojść do powstania bardzo wysokiej temperatury — potwierdził Tarik i pociągnął nosem. — Jednoznaczny zapach benzyny.

— I pieczystego.

— Słucham?

— Spalonego mięsa. Trochę jak gęsi, którą ktoś zbyt długo trzymał w piekarniku.

— No tak, oczywiście. — Tarik potaknął. — Moja dotychczasowa wiedza na temat ciał ofiar pożarów jest czysto teoretyczna, bo nigdy wcześniej nie widziałem takich zwłok naocznie. Jednak to tutaj potwierdza wszystko, czego się uczyłem.

— W sensie? — zapytała Pia nieco rozbawionym tonem.

— Że ciało człowieka składa się w siedemdziesięciu procentach z wody — odpowiedział młody policjant. — W wypadku oddziaływania bardzo wysokiej temperatury płyny ustrojowe zaczynają wrzeć, a zwłoki, prócz spalenizny i dymu, ponoć również wydzielają zapach przypalonego mięsa i tłuszczu.

Pia była pod wrażeniem, za to jej były mąż przysłuchiwał się tej wymianie zdań z wyrozumiałym uśmiechem.

— To pan jest tym nowym, tak? — zapytał.

— Tak jest, to ja. Podkomisarz Tarik Omari. — Młody mężczyzna skinął

głową. — A pan to profesor Kirchhoff, szef Instytutu Medycyny Sądowej i antropolog sądowy.

— Zgadza się. — Henning Kirchhoff otworzył walizkę, w której miał podstawowe instrumentarium konieczne w jego pracy. — Po raz pierwszy na miejscu znalezienia zwłok?

— Tak.

— To ma pan szczęście, bo od pani Sander wiele się pan może dowiedzieć. Miała świetnego nauczyciela.

— Daj spokój, Henning, to śmierdzi chwalipięctwem. — Pia uśmiechnęła się kpiąco.

— Śmierdzi? Nic nie czuję. Pewnie straciłem węch — odparł zadowolony z siebie, po czym wyprostował się i popatrzył uważnie na Pię.

— O co znowu chodzi? — zapytała rozzłoszczona.

— Dalej na śniadanie opychasz się nutellą?

— Bo co? — Pia poczuła, że pieką ją policzki. Nigdy nie była przesadnie szczupła, ale ostatnio rzeczywiście przybrała kilka kilogramów, wszystko przez to, że nie mogła wziąć się w garść i rzucić węglowodanów i słodczy. To takie typowe dla jej byłego męża: ośmieszyć ją przy obcych!

— Bo masz na twarzy trochę nutelli — wyjaśnił Henning i z szerokim uśmiechem wskazał palcem na kącik ust.

Tarik Omari z coraz większym zdziwieniem przysłuchiwał się tej wymianie zdań.

— To mój były mąż — wyjaśniła szybko Pia i dyskretnie starła kciukiem i palcem wskazującym słodki krem z ust. — Ale że jego prawdziwą wybranką była praca, musiałam przesiadywać w salach sekcyjnych Instytutu Medycyny Sądowej, żeby spędzić z nim trochę czasu.

— No, już czysto. — Henning puścił do niej oko. — Poza tym przesadzasz. Nie było aż tak źle.

— Doprawdy? Dopiero po dwóch tygodniach się zorientowałeś, że cię zostawiłam i wyprowadziłam z mieszkania — przypomniała mu Pia. Od tamtego czasu minęło dziesięć lat. Rany dawno się zagoiły. Przez całe małżeństwo z Henningiem więcej czasu spędziła w Instytucie Medycyny Sądowej niż w ich mieszkaniu w Sachsenhausen. Niezależnie jednak od tego, że potrafiłaby wymienić całą masę przyjemniejszych rzeczy niż spędzanie niezliczonych wieczorów i weekendów w towarzystwie zwłok w różnym stopniu rozkładu, zmumifikowanych czy samych szkieletów, skłamałaby, gdyby powiedziała, że nic jej to nie dało; zyskała ogromną wiedzę, która przydawała jej się w obecnej pracy. Henning był przecież jednym z bardzo niewielu antropologów sądowych w kraju i cieszył się ogromnym uznaniem na całym świecie jako prawdziwy autorytet w swojej dziedzinie, a ona przez szesnaście lat, chcąc nie chcąc, asystowała mu w pracy. W tym czasie przepisała setki stron jego odręcznych notatek do artykułów i monografii naukowych i całą rozprawę doktorską. Specjalistyczne słownictwo i zwroty z medycyny sądowej weszły do jej codziennego języka i jeśli chodzi o sekcje i oględziny zwłok, nie było chyba niczego, czego by nie widziała albo nie wąchała.

— Byłaś przy sekcji zwłok osoby, która zginęła w pożarze? — Głos Tarika wyrwał ją z zamyślenia.

— Tak, nie raz. — Przeszli nad metalowymi barierkami i w milczeniu przyglądali się temu, w co ogień zmienia ludzkie ciało. Zwłoki leżały na brzuchu. Były całkowicie zwęglone, a kończyny niemal doszczętnie spalone. W wysokiej temperaturze mięśnie się skurczyły, więc pozostałości ramion i nóg były wyprężone, a usta rozchylone jakby w niemym krzyku.

— O rany, to rzeczywiście wygląda tak okropnie, jak sobie wyobrażałem. — Tarik przykucnął.

— No i? — zapytała Pia. — Powiedz, co widzisz.

— W czaszce ofiary jest otwór — odpowiedział. — Ale w tak wysokiej

temperaturze może dojść do zagotowania się mózgu, a przez to ciśnienie może rozsadzić kości. Zdarza się, że takie uszkodzenia czaszki są mylone z uszkodzeniami powstałymi w wyniku działania sił od zewnątrz, inaczej mówiąc, w wyniku uderzenia. Dopiero dokładne badania laboratoryjne mogą dać jednoznaczną odpowiedź, czy uszkodzenie jest wynikiem urazu z zewnątrz, czy eksplozji od wewnątrz.

— Piątka z plusem — pochwalił go Henning i machnął niecierpliwie dłonią. — A teraz dajcie mi trochę spokoju, bo chciałbym zabrać się do pracy.

— Potrafisz określić, czy to zwłoki mężczyzny czy kobiety? — zainteresowała się Pia.

— Co by pan odpowiedział? — Henning zwrócił się do Tarika, po czym wyjął coś z walizki. Policjant jeszcze uważniej przyjrzał się ludzkim szczątkom.

— Hm, wygląda na to, że to mężczyzna — odpowiedział po chwili zamyślenia, cały czas skupiony na zwłokach. — *Os femoris* — czyli kość udowa — jest moim zdaniem zbyt długa i zbyt masywna, by mogła należeć do kobiety.

— Proszę, proszę. — Henning Kirchhoff wyprostował się i popatrzył na nowego współpracownika Pii z mieszaniną zainteresowania i sceptycyzmu.

— Jeśli natomiast działanie czynników zewnętrznych uniemożliwi ustalenie płci ofiary, można zidentyfikować chromosom Y za pomocą fluorescencyjnej hybrydyzacji *in situ*.

— A jaką metodą? — dopytywał się Henning.

— Barwienia *quinacarine mustard*. — Tarik znów przeszedł przez barierki. — Przy czym optymalnym materiałem badawczym są włosy i chrząstki. Tak nawiasem mówiąc, przeczytałem to w Internecie, w artykule z 1979 roku, autorzy to Tröger, Spann i Tutsch-Bauer. Ale w swojej książce pod tytułem *Medycyna sądowa w praktyce. Podręcznik dla prawników i policji* na stronie

dwieście czterdziestej pierwszej, rozdział czternasty akapit drugi, opisuje pan cechy charakterystyczne trudnych do identyfikacji zwłok ofiar pożarów.

Pia nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy zobaczyła, że Henning przez ułamek sekundy z wrażenia przestał panować nad mimiką.

— Najwyraźniej bardzo dokładnie przeczytał pan moją książkę — stwierdził. — Byłbym niezwykle szczęśliwy, gdyby moi studenci tak samo się do tego przykładali. No nic, całkiem nieźle, nie powiem.

— Tarik ma fotograficzną pamięć — wtrąciła Pia.

— Dziękuję. — Policjant aż poczerwieniał z wrażenia, słysząc pochwałę Henninga. — Pana książki są świetne, bo pisze pan bardzo zrozumiale w przeciwieństwie do autorów innych najważniejszych pozycji z tej dziedziny.

— Próbuje się pan podlizywać? — Profesor Kirchhoff zmarszczył brwi.

— O nie! — W odpowiedzi na tę insynuację Tarik nerwowo pokręcił głową.

Henning przyglądał mu się przez chwilę, lecz z jego twarzy nie dało się odczytać, co myśli.

— Wszelka teoria jest szara, drogi przyjacielu, jak mawiał Goethe — burknął, po czym założył kaptur jednorazowego kombinezonu i zabrał się do pracy. Technicy kryminalistyki, którzy przysłuchiwali się tej wymianie zdań, nie przestawali się uśmiechać.

— Jest na mnie zły? — Tarik spojrzał niepewnie na Pię.

— A niby dlaczego? — Ona również nie potrafiła ukryć rozbawienia. Bardzo rzadko widziała, by jej eksmąż był pod wrażeniem. — Jest raczej mile połączony. Ale wolałby odgryźć sobie język, niż się do tego przyznać.

Odezwała się jej komórka. Odeszła na bok i odebrała połączenie. Pies tropiący i jego przewodnik z grupy poszukiwawczo-ratowniczej Ren-Men byli już w drodze, podobnie jak prokurator z Frankfurtu. A w Moguncji-Kastel formowała się grupa policjantów z prewencji, która zaraz miała wyruszyć na

miejsce, by pomóc w poszukiwaniach. Machina ruszyła.

— TAK, OCZYWIŚCIE, że się tym zajmę. — Głos Karoline dobiegał z głośników i wypełniał samochód Bodensteina. — Odbiorę ją około trzeciej ze świetlicy i przywiozę do domu. Będziemy tam czekać na twój przyjazd.

— Bardzo ci dziękuję. Jesteś skarbem. — Bodensteinowi kamień spadł z serca, bo dopiero co odwiózł Sopię do szkoły w Eppenhain, a już znalazł rozwiązanie problemu, co dalej zrobić z córką. Po chwili o czymś sobie przypomniał. — A nie masz przypadkiem umówionego na dzisiaj chętnego na dom?

Już jakiś czas temu Karoline postanowiła sprzedać dom rodziców w Oberursel, lecz, jak się okazało, nie była to taka prosta sprawa. Wielu potencjalnych klientów traciło zainteresowanie nieruchomością w chwili, gdy wychodziło na jaw, co się stało w domu, który zamierzali kupić. Inni natomiast umawiali się tylko po to, żeby zobaczyć z bliska miejsce zbrodni. W końcu Karoline miała tego dość i wycofała ogłoszenie ze wszystkich portali. Ludzie, z którymi się umówiła, byli bardziej zainteresowani działką niż budynkiem.

— To było wczoraj — odparła Karoline z lekkim rozbawieniem.

— No tak, racja. — Bodensteinowi zrobiło się gorąco. Poprzedniego dnia miał bardzo dużo pracy, po wyjściu z biura pędził odebrać Sopię z przyjęcia urodzinowego, a na koniec musiał jeszcze zrobić szybkie zakupy. To dlatego zapomniał o jej spotkaniu z klientem. Miał nadzieję, że Karoline nie potraktuje jego gapiostwa jako braku zainteresowania. — Jak poszło?

— Opowiem ci dzisiaj wieczorem, dobrze?

— Tak, oczywiście. No i jeszcze raz dzięki za pomoc.

— Nie ma o czym mówić. Do zobaczenia później.

Bodenstein zakończył rozmowę, przeklinając w duchu swoją słabą pamięć.

Karoline spotkał dwa lata wcześniej w okolicznościach, które chyba nie mogły być gorsze, więc w najśmielszych snach nie mógł się spodziewać, że

cokolwiek z tego wyniknie. A jednak, krocze po kroczku, ich znajomość zaczęła rozwijać się we właściwym kierunku. Z czasem pojawiło się przyspieszone bicie serca, przyciąganie i fizyczne pożądanie, przez które przypominali niekiedy chichoczące nastolatki, a wzajemny szacunek i identyczne wartości, które wyznawali, stanowiły doskonały fundament dla związku. Problemem była natomiast Greta, która od pierwszej chwili reagowała na niego — nowego mężczyznę w życiu matki — z ogromną zazdrością. Dla Karoline córka zawsze stała na pierwszym miejscu. Miała poza tym straszne wyrzuty sumienia, że tak długo ją zaniedbywała, dlatego teraz robiła wszystko, aby jej ten czas wynagrodzić. Bodenstein przyglądał się tej sytuacji z rosnącymi obawami, lecz wolał unikać dziewczynki i kiedy tylko się dało, schodzić jej z drogi, bo Karoline nawet na najdrobniejszą krytykę małej reagowała przesadnie. A że własne życie musiał coraz bardziej dostosowywać do wymagań Sophii, mieli dla siebie z Karoline coraz mniej czasu. Ona uważała, że Cosima wykorzystuje go jako opiekunkę do dziecka, on z kolei sądził, że Karoline przesadza i za bardzo trzęsie się nad Gretą. To był punkt zapalny, zarzewie poważnego konfliktu, lecz mimo wszystko Bodenstein spoglądał w przyszłość z nadzieją.

Zadzwonił telefon. Przyjął połączenie i się przedstawił.

— Z kim rozmawiam? — zapytał głęboki kobiecy głos, niewątpliwie wieloletniej palaczki.

Bodenstein powtórzył swoje nazwisko.

— Hildegard Indenhock z tej strony. Nagrał się pan na moją pocztę głosową — wyjaśniła kobieta. Dopiero wtedy sobie uświadomił, że to musi być szefowa Związku Przyjaciół Lasu, której numer zapisała dla niego siostra dzierżawczyni gospody.

W kilku słowach wyjaśnił, co takiego się stało minionej nocy na kempingu, i starannie opisał miejsce, w którym stała spalona przyczepa.

— Mój Boże, to straszne! — sapnęła pani Indenhock i zanosła się kaszlem.
— Niestety, nie jestem w stanie pojechać na miejsce, bo czekam na hydraulika, który miał być o ósmej rano, a jeszcze się nie pojawił.

— Nic nie szkodzi — odparł Bodenstein. — Chciałem tylko zapytać, do kogo należała ta przyczepa.

— Ostatnia po prawej stronie, tak? Taka z zielonym przedSIONKIEM i parkanem?

— Z przedSIONKA i parkanu, nawet jeśli były, nic nie zostało. Za to bezpośrednio za nim stało kilka świerków, które niestety również spłonęły.

— W takim razie to przyczepa Rosie — oznajmiła pani Indenhock po krótkim namyśle. — Rosemarie Herold.

Bodenstein zadrżał na dźwięk tego nazwiska.

— Rosemarie Herold z Ruppertshain? — upewnił się i poczuł ucisk w żołądku.

— Tak, tej samej — potwierdziła przewodnicząca Związku Przyjaciół Lasu i znów zanosła się kaszlem. — Mogę panu podyktować jej adres i numer telefonu, jeśli pan potrzebuje.

— Dziękuję, to nie będzie konieczne — odparł Bodenstein. — Znam panią Herold.

Pani Indenhock dodała coś jeszcze, lecz on już jej nie słuchał. Przez te wszystkie lata, kiedy jako policjant zajmował się poszukiwaniem sprawców morderstw, miał to szczęście, że nie musiał prowadzić sprawy dotyczącej śmierci kogoś znajomego. Czyżby tym razem los miał się od niego odwrócić i przyszła pora na smutną premierę? Rosemarie Herold była matką Edgara, jednego z jego kolegów z klasy w podstawówce, a na dodatek, kiedy była młoda, pracowała jako pomoc w majątku rodziców Bodensteina. Mężczyźni i kobiety z okolic Ruppertshain od pokoleń szukali — i znajdowali — pracę w pobliskim majątku, czy to w obejściu, na należących do niego polach, czy

też w lasach rodziny von Bodenstein, głównie z braku jakiegokolwiek alternatywy. Ruppertshain było biedną wioską do końca dziewiętnastego wieku, gdy zbudowano tam centrum leczenia chorób płuc, które z czasem stało się największym pracodawcą w okolicy.

Po czwartej klasie Bodenstein i jego rodzeństwo poszli do gimnazjów w Königstein, zamiast uczyć się w szkole powszechnej w Fischbach, jak większość dzieci z Ruppertshain. Mimo to czuli się związani z tym miejscem — ojciec Olivera przez całe lata sprawował funkcję szefa koła łowieckiego obejmującego pobliskie lasy i pola, a jego matka aktywnie uczestniczyła w życiu lokalnego kościoła i pomagała w przedszkolu. Dlatego przed trzema laty, kiedy Bodenstein kupił dom w Ruppertshain, odniósł wrażenie, że to nie przeprowadzka, a powrót w rodzinne strony.

Przy kompleksie Zauberberg skręcił w prawo, a potem jeszcze raz, ostro, w drogę prowadzącą do Ruppertshain. Wracając na pogorzelsko, chciał wstąpić do lokalnej piekarni i kupić śniadanie dla swoich ludzi, a poza tym sam bardzo potrzebował dawki kofeiny. Pięćset metrów dalej włączył migacz i chciał szerokim łukiem wjechać na niewielki parking przy gospodzie „Pod Zielonym Lasem”, lecz o mały włos nie zderzył się z terenówką. Kobieta, która siedziała za kierownicą, miała ten sam plan. Przestraszony zahamował ostro... i dopiero wtedy dostrzegł, kto prowadził drugie auto.

NA LEŚNEJ DRODZE wzdłuż płotu z zardzewiałej siatki, który otaczał polanę, do pracy przygotowywała się ekipa telewizyjna. Operatorka kamery robiła, co w jej mocy, by zdobyć dla swojego nadawcy możliwie najbardziej spektakularne ujęcia ludzkiej tragedii. W drodze byli również przedstawiciele innych mediów; ilekroć dochodziło do przestępstwa, niczym muchy zlatywali się na miejsce, gdzie zostało popełnione.

— Skąd oni w ogóle wiedzą, że znajdą tu cokolwiek wartego zobaczenia?
— dziwił się Tarik.

— Pod słuchują policyjne częstotliwości — wyjaśniła Pia krótko. Do coraz liczniej zgromadzonych dziennikarzy wysłała dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, by nikomu przez myśl nie przeszło wspinać się na płot i wchodzić na polanę, a sama ruszyła w stronę leśniczego. Wieland Kapteina z kamienną twarzą słuchał tyrady pulchnej kobiety, która zdawała się bardzo wzburzona.

— ...po prostu nie mieści się w głowie! — usłyszała Pia, kiedy znaleźli się bliżej. — Ktoś powyrywał z ziemi wabiki! Gorzej, wziął je ze sobą! To jest sabotaż!

— Sabotaż? W jakim sensie? — zapytała Pia.

Nieznajoma popatrzyła na policjantkę. Kobieta była niska, krępa i miała dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia kilka lat. Mimo że pogody zdecydowanie nie można było określić piękną, ona miała na sobie mocno przylegającą białą krótką koszulkę z głębokim wycięciem w serek. Podwinięte do kolan spodnie w panterkę odsłaniały muskularne łydki, a na stopach miała proste trapery.

— To, co ci debile zrobili z naszymi wabikami! — wyrzuciła z siebie, trzęsąc się ze złości. Kciukiem odchyliła brzeg koszulki i jednym ruchem poprawiła biustonosz. Jej gest był całkowicie naturalny i pozbawiony kokieterii, lecz mimo to Tarik w jednej chwili oblał się rumieńcem.

— Dalej nie rozumiem, kto i co zrobił? — powtórzyła Pia.

— Chodzi o nasze wabiki — westchnęła krępa kobieta i przewróciła oczyma, jakby mówiła do dziecka. Miała uderzająco zielone oczy i gęste, długie rzęsy, ładną twarz z zadartym lekko nosem i idealnie gładką bladą skórą, charakterystyczną dla osób o rudych włosach. Wszystko w niej było krągłe i jędrne niczym dojrzała brzoskwinia: pełne policzki, broda z zarysem drugiego podbródka i obłe ramiona. Miedzianorude włosy nosiła związane w prosty kok, a kiedy patrzyła na Pię, jej pełne usta wydymały się lekceważąco.

Tarik usiłował nie gapić się na jej biust, ale bez powodzenia.

— To pani Pauline Reichenbach, jeśli można — wtrącił się Wieland Kapteina. — Pani Reichenbach udziela się jako wolontariuszka w Lidze Ochrony Przyrody i jest odpowiedzialna za projekt badawczy związany z przebywaniem dzikich kotów w Taunusie. To naprawdę duża sprawa, prowadzona we współpracy z organizacjami ekologicznymi, Urzędem Ochrony Przyrody i Instytutem Genetyki Dzikich Zwierząt Senckenberga.

— W celu monitorowania przemieszczania się dzikich kotowatych umieściliśmy w kilku miejscach fotopułapki. — Pauline nie wytrzymała tak długiego milczenia. — Dzikie koty nie chodzą oczywiście po lesie, szukając aparatów, żeby zrobić a kuku i strzelić sobie selfie, dlatego przygotowaliśmy również wabiki nasączone olejkami, których zapach te zwierzęta przyciąga. Na razie wszystko jasne?

— Tak. Tak myślę. — Pia potaknęła. W jej głowie zaczęła się kształtować ciekawa myśl.

— Co takiego strasznego się dzieje, kiedy ginie któryś z wabików? — Tarik spojrzał na młodą dziewczynę.

— Przepraszam?! Czy pan w ogóle ma pojęcie, ile takie cholerne cudo kosztuje? — Pauline nie mogła pohamować złości i podparła się pod boki. — A przyszło panu do głowy, ile pracy jest z rozmieszczeniem tych wabików? My to robimy za darmo, jako wolontariusze! Poświęcamy na to swój wolny czas! I w ogóle, abstrahując od tego, akurat tej nocy mógł przechodzić tędy jakiś ryś czy inny dziki kot, a my go przegapiliśmy!

— Proszę się tak nie unosić, na pewno jeszcze tu wróci, skoro raz tędy przechodził — powiedział Tarik, bo chciał uspokoić podekscytowaną kobietę, jednak jego koncyliacyjny ton przyniósł skutek odwrotny do zamierzonego. W tej samej chwili Pia uświadomiła sobie, dlaczego słowa dziewczyny wydały jej się tak ważne.

— Proszę się nie denerwować — spróbowała uspokoić Pauline. — Gdzie są rozmieszczone wasze fotopułapki? I ile ich macie?

— Trzy. Jedna zaraz tutaj, jakieś sto pięćdziesiąt metrów poniżej polany, druga na szczycie dębu, a trzecia niedaleko wałów. — Pauline Reichenbach zamilkła i spojrzała na nią nieufnie. — Do czego to pani potrzebne? I kim pani w ogóle jest?

— Pia Sander, policja kryminalna Hofheim. To mój współpracownik Tarik Omari. Dzisiaj w nocy ktoś podłożył ogień i wywołał pożar, w którym zginęła jedna osoba.

Młoda kobieta zrobiła minę, jakby dopiero teraz zrozumiała, co oznacza obecność techników w kombinezonach jednorazowych, strażaków i biało-czerwone taśmy policyjne otaczające polanę.

— Przepraszam... nie wiedziałam... myślałam, że po prostu spłonęła któraś z przyczep. — Spoważniała. — To... straszne. Cholera.

— Bardzo by nas interesowało, czy kamera w pobliżu polany mogła zarejestrować coś, co byłoby przydatne dla śledztwa — wyjaśniła Pia. — Dałaby pani radę sprawdzić, czy coś się nagrało?

— Tak. Ja... oczywiście. Już. — Pauline była wyraźnie zawstydzona przedstawieniem, jakie zrobiła. Ruszyła spieszenie w stronę swojego auta — starej, porzewiałej toyoty — otworzyła drzwi od strony pasażera i wyjęła tablet, który następnie umieściła na masce. Przygryzając koniuszek języka, ze skupioną miną operowała palcami po ekranie urządzenia.

— Kamera numer czternaście rzeczywiście coś zarejestrowała. Siedem minut po trzeciej nad ranem! I to nie było zwierzę! — oznajmiła podekscytowana. Potem wytrzeszczyła oczy i zasłoniła usta bladą dłonią z paznokciami polakierowanymi na czarno. — O cholera...

— Co takiego? Mogę zobaczyć? — Pia podeszła szybko i nachyliła się nad tabletem. Fotopułapka pracowała w nocy w podczerwieni, dlatego nagranie

było słabej rozdzielczości i nieostre, lecz to, co się nagrało, bez wątpienia było pierwszym poważnym śladem.

— CZEŚĆ, INKO — przywitał Bodenstein swoją byłą partnerkę, która zaparkowała właśnie pod gospodą „Pod Zielonym Lasem”, naprzeciwko piekarni. Mimo że Inka była teściową jego syna Lorenza, a na dodatek prowadziła w dolinie klinikę weterynaryjną dla koni, minęło sporo czasu, od kiedy ostatnio z nią rozmawiał. Również Inka nie przywiązywała szczególnej wagi do spotkań z nim, ba, nie pojawiała się nawet na uroczystościach rodzinnych, chyba że wcześniej było wiadomo, że Bodenstein nie może przybyć.

— Cześć — odparła chłodno. — Co u ciebie?

Grzecznościowe pytanie. Nie łudził się, że naprawdę ją to interesuje.

— Wszystko dobrze — odparł. — A u ciebie?

— Świetnie. — Jej blond włosy średniej długości poprzetykane były pierwszymi pasemkami siwizny. Ciągłe była szczupła, ale sprawiała niekorzystne wrażenie mocno wyczerpanej. Oliver dostrzegł zmarszczki na jej szyi i drgnął.

Starzeje się — pomyślał — aby w następnej chwili się poprawić — oboje się starzejemy. Inka była przecież tylko trzy miesiące młodsza od niego. Przez chwilę stali naprzeciwko siebie i żadne nie wiedziało, co powiedzieć. Dzwonek komórki Inki przerwał niezręczną ciszę.

— Muszę odebrać — powiedziała po szybkim spojrzeniu na ekran.

— Ja też się spieszę — odparł. Skinęli sobie na pożegnanie, po czym Bodenstein przeszedł na drugą stronę ulicy, a Inka wsiadła do samochodu.

To wszystko, co po ponad czterdziestu latach zostało z dawnej przyjaźni — zakłopotane milczenie, nic nieznaczące banały i skrywana uraza. Bodenstein westchnął, pokonał dwa schodki i wszedł do piekarni. Rozkołysał drzwiami staromodny dzwonek nad progiem i niemal natychmiast poczuł

apetyczną woń świeżo wypieczonych drożdżowych bułeczek. Jeśli Inka również planowała tu wizytę, musiała zmienić zdanie, bo właśnie wyjeżdżała z parkingu po drugiej stronie drogi. Mijając piekarnię, nawet nie spojrzała w jego stronę.

— No dzień dobry, dobry, kogo tu przyniosło! — przywitała Bodensteina Sylvia Pokorny, żona piekarza. Serdeczna i przyjazna kobieta mówiła w heskim dialekcie. — Dawno się nie widzieliśmy. Co ma być?

— Kawa, czarna, jeśli można — odparł Bodenstein. — To na miejscu, a na wynos dziesięć bułek i jeszcze dziesięć kaw.

— Ma się spust, co nie? — Puściła do niego oko i podeszła do błyszczącego chromem ekspresu. — Ludzie gadają, że ci z miasta to nową ulicę tu nam pobudują, słyszałeś co o tym? Stąd aż na sam dół, do lasu. Wszystko ponoć dla rozwoju niby. Wtedy dopiero się zaczniesz, mówię ci!

— Doprawdy? — Bodenstein nie wdawał się w dyskusję. Nie miał w tej chwili najmniejszej ochoty dać się wciągnąć w dywagacje piekarskiej. Nie dawały mu spokoju informacje, które uzyskał od szefowej Związku Przyjaciół Lasu. A jeśli zwęglone zwłoki w zgliszczach przyczepły to ciało Rosie Herold? Od kiedy pracował w policji, zbyt często musiał przekazywać ludziom tragiczne wiadomości na temat ich bliskich i panicznie bał się chwili, kiedy będzie musiał zapukać do drzwi kogoś znajomego.

Sylvii ani na chwilę nie zamykały się usta, jednak Bodenstein zupełnie jej nie słuchał. Na odbiór przełączył się dopiero, kiedy na ladzie pojawiła się jego kawa.

— Ty, a to prawda, co ludzie mówią? — Pytanie zostało zadane ot tak, niby mimochodem, lecz nie dało się nie zauważyć ciekawskiego błysku w nieco wylupiastych oczach kobiety. — Że niby nocą coś tam poszło z dymem przy gospodzie w lesie? Syn Kuhne-Michela to on w straży robi i słyszał od kolegi z Königstein.

Bodenstein wiedział, że nie ma sensu zaprzeczać, bo najpóźniej przed południem w porannych gazetach i w Internecie będą wałkować ten news.

— Tak, był pożar — potwierdził. — Właśnie stamtąd wracam.

— Jezusie Maryjo! Takie coś! — Sylvia Pokorny jeszcze mocniej wytrzeszczyła oczy i znieruchomiała. — Bo ja słyszałam jeszcze, że tam trupa znaleźli.

Bodenstein wzruszył ramionami. Miał nadzieję, że Sylvia przyspieszy z przygotowaniem jego zamówienia. Lecz na nieszczęście był jedynym klientem w sklepie, a ona wyraźnie miała ochotę wyciągnąć z niego jak najwięcej interesujących wiadomości.

— Ej, no nie bądź taki! Mnie możesz wszystko powiedzieć jak na spowiedzi. Wiesz przecież, że zawsze milczę jak grób.

Bodenstein nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Jeśli ktokolwiek na świecie nie był nawet teoretycznie zdolny, by dochować tajemnicy, to właśnie ona. Nie bez przyczyny lokalna piekarnia znana była jako giełda wymiany najświeższych informacji. Jeśli ktoś chciał się czegoś dowiedzieć o najnowszych skandalach, sensacjach i plotkach, wystarczyło, że pojawił się u Sylvii. Bodenstein mieszkał wprawdzie w Ruppertshain, lecz nie miał zbyt wielu okazji, by integrować się z lokalną społecznością. Nie należał do osób, które przesiadują wieczorami przy barze w miejscowej gospodzie i pijąc piwo za piwem, omawiają, co się wydarzyło lub jakoby miało wydarzyć.

Kiedy piekarczowa zrozumiała, że niczego z niego nie wyciągnie, zabrała się do kompletowania zamówienia. Potem rozległ się szum młynka do kawy, który uniemożliwiał jakąkolwiek rozmowę, a po chwili z zaplecza wyszedł mąż sprzedawczyni z dużą blachą wypieków.

— Oliver, jak tam? — przywitał się.

— Wszystko dobrze, mam nadzieję, że u ciebie też, Koni — odparł Bodenstein.

Konstantin Pokorny już jako dziecko przysadzisty i oszczędny w słowach, z biegiem czasu rozrósł się do tak monstrualnych rozmiarów, że tylko z trudem się przeciskał przez drzwi prowadzące do sklepu.

— Znowu mielesz jęzorem, plotkaro? — zganił żonę i wysypał parujące bułki do kosza na wystawie. Szyba witryny natychmiast pokryła się kropelkami wody, a zapach świeżego pieczywa sprawił, że Bodensteinowi kiszki zagrały marsza.

— Oj tam, oj tam, zaraz mielesz, się pytam, a co, pytać się już nie można, jak coś się dzieje? — odparła Sylvia cierpko. — Ciebie to i tak nic nie interesuje.

— Za to ty wyrabiasz normę za nas dwoje — odburknął Pokorny i otłuszczonym ramieniem otarł pot z czoła. Kraciaste spodnie robocze miał związane gdzieś poniżej brzucha, a za krótka koszulka odsłaniała spory pas nagiej skóry potężnego kałduna.

— Mógłbyś przynosić towar jak nie ma klientów, bo tylko ludzi straszysz. — Sylvia zmierzyła swojego małżonka pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

— Oli już widział mnie w samych gatkach — odparł mężczyzna z niewzruszoną miną. — Co nie, Oli? Było tak!

I roześmiał się tubalnie.

— Ale wtedy byłeś tyci szczuplejszy. — Sylvia skończyła przygotowywać kubki z kawą, umieściła je w papierowej wytłoczce i postawiła całość na ladzie, obok torebek z bułkami.

— Jak ktoś jest piękny, to kilka centymetrów mu nie zaszkodzi. — Pokorny uśmiechnął się radośnie, puścił oko do Bodensteina i zniknął na zapleczu.

— Ile jestem winien? — zapytał Bodenstein i wyjął portfel. Zadzwoił dzwonek nad drzwiami i do piekarni weszły dwie kobiety i siwy mężczyzna: Annemarie Keller, mimo osiemdziesięciu lat z okładem wciąż miała sokoli wzrok, jej syn Leo i sąsiadka Elfriede Roos o czerwonej twarzy, znacznej

tuszy i urywanym, sapiącym oddechu. Bodenstein przywitał się z nimi grzecznie. Obie kobiety spojrzały na niego z zaciekawieniem, a Leo zatrzymał się przy drzwiach i wbił wzrok w podłogę. Przed wieloma laty był wysportowanym młodym człowiekiem, lecz ciężki wypadek pokrzyżował mu plany i uczynił z niego kalekę. I tak, mimo sześćdziesiątki, wciąż jeszcze mieszkał z matką, wykonując dorywcze prace na terenie miasta.

— Witaj, Leo. — Bodenstein spojrzał w jego stronę.

— Wi... taj... — wyjąkał mężczyzna, nie podnosząc wzroku. Nie kontrolował drżenia szczęki, a z kącika ust skapywała mu ślina. Jego widok budził żal i współczucie.

Sylvia nie mogła się już doczekać, kiedy Oliver w końcu pójdzie, bo chciała podzielić się najnowszymi wiadomościami o pożarze w lesie, nieco ubarwiając całą historię. Wieść lotem błyskawicy rozejdzie się po miejscowości i pojawią się jakieś spekulacje. Bodenstein musiał wracać na miejsce pożaru, żeby się dowiedzieć, co profesor Kirchhoff ustalił na temat płci i wieku ofiary. Gdyby się miało okazać, że to nie zwłoki Rosie Herold, musiał jak najszybciej się z nią skontaktować, zanim lokalne plotkary się zorientują, czyja przyczepa spłonęła.

— Dwadzieścia pięć siedemdziesiąt.

— Policz mi do dwudziestu siedmiu. — Położył na ladzie pieniądze, odebrał resztę i sięgnął po bułki i kawę.

— Co u pana matki? — zapytała Annemarie Keller, jak zawsze, kiedy ją spotykał, i otworzyła mu drzwi. Oliver doskonale pamiętał, jak dawniej razem z mężem prowadziła sklep spożywczy przy Wiesenstrasse. Wówczas zastawione półki sięgające sufitu i świeże owoce były symbolem prawdziwego luksusu. Szczególnie przyciągały go zawsze słodyczne przy kasie, tym bardziej że pani Keller każde dziecko obdarowywała lizakiem, jeśli wracając ze szkoły, zajrzało się do jej sklepu.

— Wszystko w jak najlepszym porządku, dziękuję. — Jego odpowiedź jak zawsze była całkowicie neutralna. — U ojca również.

Jeszcze dwadzieścia lat wcześniej w ich niewielkiej miejscowości mieściło się wiele różnych sklepów: dwóch rzeźników, dwie piekarnie, oddział banku, stacja benzynowa, warsztat samochodowy, sklep spożywczy, cztery gospody, kawiarnia i jeszcze kilka innych. Lecz od kiedy większość ludzi dysponowała samochodami i mogła udać się wygodnie do wielkiego supermarketu w którejś z sąsiednich miejscowości, lokalny handel z dnia na dzień coraz bardziej wymierał. W zasadzie zostały się już tylko piekarnia państwa Pokornych i sklep mięsny Hartmanna. Bodenstein wyszedł na wąski chodnik zastawiony chodzikiem pani Keller i zatrzymał się, czekając, aż będzie mógł przejść na drugą stronę ulicy, która w tym miejscu zakręcała. Dwa razy dziennie panował tu stosunkowo duży ruch — rano, między wpół do ósmej a wpół do dziesiątej, kiedy rodzice odwozili dzieci do szkoły w Eppenhain, a inni jechali do pracy, i wieczorem między siedemnastą a dziewiętnastą, kiedy wszyscy wracali do domów. Chodnikiem po drugiej stronie szedł starszy, siwy mężczyzna.

— Pochwalony, proszę księdza! — zawołał Bodenstein.

Staruszek uniósł głowę, popatrzył w jego stronę i się zatrzymał.

— Oliver — powiedział.

A potem, zupełnie nieoczekiwanie i nie rozglądając się na boki, wszedł na jezdnię. Nie wiedział, że zza zakrętu wyjechał właśnie autobus. Bodenstein zmartwiał ze strachu.

— Uwaga! — ryknął przerażony. — Stój!

Kierowca autobusu zaczął ostro hamować, lecz było już za późno. Rozległ się głuchy odgłos uderzenia, który zmroził Bodensteina do szpiku kości. Po raz drugi tego dnia serce waliło mu ze strachu jak szalone. Kątem oka dostrzegł wykrzywione twarze pasażerów. W uszach dźwięczał pisk hamulców i krzyki. Za jego plecami rozległ się dzwonek, ktoś musiał otworzyć drzwi piekarni.

Pospiesznie odstawił tacę z kawą i bułki na chodzik i przemknął między stojącymi samochodami w stronę przodu autobusu.

— Stać! — powiedział ostro, by powstrzymać Sylwię Pokorny, która chciała ruszyć za nim. — Proszę się nie zbliżać!

Jego umysł automatycznie przestawił się na tryb policyjny, rutyną działania wypierając strach przed oczekującym go widokiem ciała zmiażdżonego kołami ciężkiego wozu. Zgroza dopadnie go później. Nocą, we śnie.

ZA CZERWONO-BIAŁĄ TAŚMĄ policyjną stali policjanci z prewencji, by tyralierą, krok po kroku przeczesać teren całej polany. Inni mieli za zadanie pilnować, by dziennikarze i gapie, którzy jakimś cudem znaleźli się tak wcześnie rano pośrodku lasu, zachowali odstęp i nie utrudniali im pracy. Henning Kirchhoff i zespół Krögera uwijali się pod presją czasu, badając resztki spalonej przyczepy i leżące w niej zwłoki, nad którymi wcześniej rozstawiono duży namiot, chroniący ślady przed deszczem. Pies tropiący z grupy poszukiwawczo-ratowniczej Ren-Men — suczka owczarka belgijskiego imieniem Leila, siedziała w klatce transportowej w samochodzie swojej przewodniczki i nie mogła się doczekać, by podjąć trop.

Bodenstein jeszcze nie wrócił, więc Pia przejęła jego obowiązki i zreferowała dotychczasowe ustalenia przybyłemu na miejsce prokuratorowi. Doktor Jörg Heidenfeld był starym znajomym, z którym nieraz współpracowała. Wciąż miała w głowie wspomnienie pierwszej sekcji zwłok, przy której był obecny: nie wytrzymał i zwymiotował, kiedy profesor Kronlage wyjął serce i płuca z ciała zmarłej Isabel Kerstner. Od tego czasu minęło już dziewięć lat, a doktor Heidenfeld nabrał odporności i trzeba było czegoś więcej, by go poruszyć. Młodzieńcza dociekliwość i żywotność zniknęły z jego twarzy bez śladu, tak samo jak błysk ciekawości z oczu. Tak właśnie zmieniał się człowiek, konfrontowany na co dzień z ciemną stroną ludzkiej duszy. Każda z licznych ofiar, każde spotkanie ze sprawcą, każda

porażka przed sądem pozbawiała cząsteczki iluzji, która wcześniej sprawiła, że ktoś zostawał policjantem albo prokuratorem.

— Ofiara ognia czy ogień dla ukrycia ofiary? — zapytał.

— Jeszcze nie wiemy, dopiero sekcja zwłok da jednoznaczną odpowiedź — poinformowała Pia.

— Czy dobrze rozumiem, że sprawca skaleczył się przy podkładaniu ognia i uciekł do lasu? — Prokurator zmarszczył brwi.

— To tylko jedna z wersji. — Pia pokręciła głową. — Mamy świadka, kobietę, która najpierw słyszała odjeżdżający samochód, a dopiero potem dostrzegła zarys postaci na tle ognia. Kamera na podczerwień umieszczona nieco poniżej polany siedem minut po trzeciej rano nagrała człowieka. Jakość jest wystarczająca, by stwierdzić, że to na pewno mężczyzna. Zabezpieczyliśmy ślady krwi, więc wychodzimy z założenia, że jest ranny. Na nagraniu ma ze sobą kantówkę, mniej więcej metr trzydzieści długą, nasączoną środkiem wabiącym dzikie koty. Wyrwał ją wcześniej z ziemi.

— Po co?

— Nie wiem, może chciał się nią podpierać? — dywagowała Pia. — Albo potrzebował jej jako broni. Naprawdę nie mam pojęcia.

Nieco dalej policjanci z tyraliery musieli zauważyć coś interesującego, bo jedna z funkcjonariuszek ruszyła biegiem w ich stronę. Po chwili zasapana zameldowała, że inna przyczepa nosi ślady włamania, a dodatkowo widać przy niej krew. Pia, Tarik Omari i prokurator Heidenfeld ruszyli za młodą kobietą, aż do ostatniej przyczepy w rzędzie, ustawionej pod rozłożystymi gałęziami kilku jodeł. Dawno temu ktoś zainwestował w to miejsce sporo pracy: do samochodu zostało dobudowane coś w postaci werandy w pseudobawarskim stylu, a dookoła stał rozpadający się płotek myśliwski. Dziś jednak królowały tu porzucone śmieci i narzucało się wrażenie ogólnego zaniedbania. Na zmurszałych deskach leżał zardzewiały grill, wały się puste

doniczki, zniszczona budka dla ptaków i skorupy porozbijanych krasnali ogrodowych, wymieszanych z innymi starymi rupieciami, a cały ten śmietnik pokrywała gruba warstwa igliwia. Komisarz Ewald Fritsche, szef grupy, z której uformowano tyralierę, wraz z dwoma pomocnikami czekał przy schodkach. Skinieniem głowy przywitał Pię i prokuratora. Mężczyzna miał pięćdziesiąt kilka lat i był doświadczonym policjantem o kanciastej czerwonej twarzy i krótkiej wojskowej fryzurze. O jego dokonaniach pedagogicznych i wcześniejszej karierze snajpera krążyły legendy.

— Ślady stóp na schodach są stosunkowo świeże — poinformował. — Na dodatek wszędzie walają się niedopałki i ktoś wyłamał drzwi do środka.

Pia wyjęła z kieszeni kamizelki parę lateksowych rękawiczek. Ostrożnie wspięła się zbutwiałymi schodami i ruszyła w stronę wejścia, cały czas uważnie obserwując podłogę pod nogami, by przypadkowo nie zniszczyć istotnych śladów. Drzwi do przyczepy zostały brutalnie wyważone, a zardzewiała metalowa brecha, którą zapewne posłużył się włamywacz, leżała w środku przy progu. Wnętrze wozu było bardzo przestronne i, jak się spodziewała, opuszczone. Śmierdziało starym potem i pleśnią. Pia się rozejrzała. Zużyta wykładzinę PCV pokrywały krople krwi. Łóżko wyglądało na używane: pościel była zwinięta niedbale, a na poduszce wciąż jeszcze widać było odcisk czyjejś głowy. Puste butelki plastikowe, puszki po piwie i po konserwach stały gdzie popadnie, a filiżanka w kwiatowy wzorek kipiała niedopałkami. Pia aż się uśmiechnęła, bo włamywacz pozostawił mnóstwo śladów biologicznych i odcisków palców, które Kröger i jego ludzie mogli wykorzystać. Przy odrobinie szczęścia znajdą ich właściciela w policyjnej bazie danych, gdzie gromadzone są dane daktyloskopijne osób mających wcześniej konflikt z prawem. Mając jego nazwisko i zdjęcie, będzie można przeprowadzić porównanie z nagraniem z fotopułapki. Zadowolona wyszła z przyczepy. Biorąc pod uwagę, że dopiero dziesięć minut temu minęła druga,

zrobili duże postępy w śledztwie.

FELICITAS OBSERWOWAŁA przez okno rozgardiasz panujący na spokojnej dotychczas polanie. Co tam się naprawdę stało? Policja nie zadawałaby sobie aż takiego trudu z powodu starej przyczepy, która spłonęła w pożarze! Rany, ściągnęli nawet psa tropiącego! Może kogoś zapytać? Nie, po porannej kompromitacji nie miała ochoty rozmawiać z żadnym z tych gliniarzy. Znow by się z niej nabijali.

Rozległ się dzwonek do drzwi, a psy zaczęły ujadać. Podskoczyła ze strachu i boleśnie uderzyła się kolanem o archaiczny kaloryfer. Przeklinając pod nosem, dokuśtykała do drzwi. Ktoś znow nacisnął dzwonek. Felicitas uciszyła psy i na wszelki wypadek najpierw sprawdziła przez wizjer, kto czeka po drugiej stronie. Dwóch mężczyzn. Nie wyglądali na policjantów. Założyła łańcuszek i uchyliła drzwi.

— Dzień dobry — przywitał się młodszy z nich i uśmiechnął się serdecznie. — Jesteśmy z radia HitRadio FFH i chcielibyśmy zapytać, co się właściwie wydarzyło tej nocy. Bo z tego, co wiemy, ktoś zginął w pożarze, a że pani tu mieszka, to pomyśleliśmy, że może znała pani ofiarę?

Trup? Felicitas poczuła, że poca się jej dłonie, a na plecach dostaje gęsiej skórki. To by wyjaśniało, skąd ten tłum funkcjonariuszy i zamieszanie na polanie. Ale dlaczego nawet słowem się o tym nie zająknęli, kiedy wcześniej rozmawiali? Niecałe pięćset metrów dalej, w zgliszczach przyczepy leżały spalone zwłoki i nikt nie uznał za stosowne jej o tym powiadomić! Zadrzała. Ofiarą mógł być jedynie mężczyzna, który poruszał się szarym audi. Pojawiał się zazwyczaj późnym wieczorem i wyjeżdżał z samego rana. Nigdy jej się nie przedstawił, a jeśli spotykali się przypadkowo, kiedy wyprowadzała psy, witał się milczącym skinieniem głowy. Felicitas zaczęła szukać w pamięci, czy Manuela kiedykolwiek wspomniała, kto to. Siostra musiała go dobrze znać; znała wszystkich właścicieli przyczep.

— Nie, nie mam o niczym pojęcia. A teraz dajcie mi spokój! — warknęła i machnęła ręką, a kiedy dziennikarze się odwrócili, zatrzasnęła drzwi. Rozdzwonił się telefon stacjonarny. Pewnie znowu jakiś dziennikarz albo ta stara jędba z Przyjaciół Lasu. Włączył się staromodny automat zgłoszeniowy, jednak nie czekała, aż dzwoniący nagra wiadomość. Wbiegła schodami do pokoju gościnnego na poddaszu.

— Mam już dość! — powiedziała głośno, choć była sama, po czym otworzyła szafę pachnącą kulkami naftaliny. — Nie zostanę tu ani chwili dłużej!

Wyciągnęła spod łóżka walizkę i zaczęła wrzucać do niej ubrania. Wołała wydać ostatnie oszczędności na hotel, niż spędzić kolejną noc w tym przeklętym domu jak z horroru! Później napisze siostrze mejl z wiadomością, żeby z tej Australii zdalnie poszukała sobie kogoś do opieki nad psami.

Pięć minut później zwlekła ciężką walizkę na parter, przełożyła pistolet do torebki i ruszyła po omacku wąskimi schodkami do piwnicy. Każdy stopień miał inną wysokość, a żarówka już dawno się przepaliła, więc musiała bardzo uważać, żeby nie spaść. Jednak na dole znajdowało się tylne wyjście, przez które mogła niezauważenie przemknąć do garażu i zniknąć.

— CZY ON ŻYJE? O Boże! O Boże! W ogóle go nie widziałem! — jęczał kierowca autobusu, gruby, łysy mężczyzna, którego twarz połyskiwała potem. — To nie moja wina! Nie, to nie moja wina! No przecież, że nie moja!

— Proszę księdza! — Bodenstein położył dłoń na ramieniu staruszka, który leżał na asfalcie i nie dawał oznak życia. — Czy ksiądz mnie słyszy?

Kiedy duchowny otworzył najpierw jedno, a potem drugie oko, policjant poczuł tak wielką ulgę, że zakręciło mu się w głowie.

— Oliver! Co... co się stało? — wychrypiał Adalbert Maurer i dotknął dłonią potylicy.

— Potrącił księdza autobus — odparł Bodenstein. — Coś się księdzu stało?

— Wcale go nie potrąciłem! Sam wszedł mi pod koła! — krzyknął oburzony kierowca.

— Nikt nie twierdzi, że pan go celowo potrącił — odezwał się ktoś z grupy, która zdążyła się zebrać na chodniku.

— Jak to nie! Ten gość tak powiedział! Ale ja się na to nie zgadzam! Mowy nie ma! Nigdy nikogo nie przejechałem, nigdy w życiu! A od czterdziestu lat prowadzę autobus! Zaraz dzwonię na policję!

Autobus stał tak, że blokował całą ulicę, kolejki pojazdów z obu kierunków robiły się coraz dłuższe, a na chodniku zbierali się gapie. Słysząc było trzaskanie drzwi samochodowych. Coraz więcej kierowców i pasażerów opuszczało auta, by sprawdzić, co się dzieje. Dookoła szybko zrobiło się tłoczno.

— Możemy jakoś pomóc?

— Co tu się właściwie stało?

— Kierowca przejechał księdza!

— O nie, tylko nie księdza!

— Nikogo nie przejechałem, do jasnej cholery! Nikogo! Ten facet wyskoczył na jezdnię! — protestował kierowca.

— Nic mi nie jest — zapewnił ksiądz drżącym głosem. — Trochę za mocno uderzyłem głową o asfalt, ale nic mi się nie stało.

— Może lepiej wezwać pogotowie. — Bodenstein miał wątpliwości. Adalbert Maurer miał osiemdziesiąt kilka lat i choć dobrze się trzymał, to taki upadek mógł mieć przecież fatalne skutki nawet dla zdrowego, młodego człowieka!

— Nie, naprawdę, nie trzeba. Nic mi nie jest. Nabiłem sobie guza, ot i wszystko. A teraz proszę, pomóż mi wstać.

Na piętrze gospody otworzyło się okno i wyjrzała z niego Anita Kern, gospodyni, by zobaczyć, co się dzieje na ulicy tuż przed wjazdem na jej

parking. Również w piekarni ustała praca i wszyscy wyszli śledzić rozwój wypadków. Sylvia Pokorny i sapiąca Elfriede Roos dołączyły do gapiów. Bodenstein obejrzał się przez ramię i dostrzegł zatroskane i ciekawskie twarze.

— Nie mogłem wybrać sobie bardziej niedogodnego miejsca, by wejść pod autobus, niż dokładnie naprzeciwko piekarni — zażartował ksiądz drżącym głosem, kiedy stał już na nogach i otrząpywał nogawki z kurzu.

— No i właśnie! Sam powiedział, że wszedł mi pod koła! — zawołał kierowca i powiódł tryumfującym spojrzeniem po twarzach zebranych. — Słyszeliście wszyscy, prawda?

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Kierowcy innych aut usiłowali zawracać na wąskiej uliczce, inni trąbili niecierpliwie.

— Ależ mi ksiądz napędził stracha. — Bodenstein uważnie przyjrzał się staruszkowi. Dość dawno go nie widział i teraz już na pierwszy rzut oka zauważył, jak bardzo się zmienił. Zniknęła jego dziarskość i urok, a co więcej, starszy mężczyzna sprawiał wrażenie ogromnie spiętego. Miał wychudłą twarz, cienie pod oczyma i poważną minę, choć zawsze zarażał innych uśmiechem. Czy to wina wypadku, czy może był chory?

Kilka kobiet robiło rwetes, co wyraźnie się księdzu nie podobało.

— No już, wystarczy — zaprotestował. — W końcu nic się nie stało.

— Odwiozę księdza do domu — zaproponował Bodenstein. — Albo do lekarza, tak pewnie będzie lepiej. Po czymś takim nie wykluczyłbym wstrząśnienia mózgu.

— Nie, nie, naprawdę, to nie będzie... — przerwał staruszek, a przez jego twarz przemknął cień, który zniknął równie szybko, jak się pojawił. Bodenstein miał wrażenie, że duchowny jest przerażony. Ale czym? Policjant się rozejrzał, lecz dookoła tłoczyli się jedynie gapie i gorączkowo dyskutowali o tym, co zaszło.

Kierowca poprosił pasażerów, by wrócili na miejsca i ruszył dalej, choć wcześniej zostawił Bodensteinowi swoje dane, kiedy dowiedział się, że ma do czynienia z funkcjonariuszem policji. Kierowcy wsiadali do swoich aut. Przedstawienie dobiegło końca, a ludzie zaczęli się rozchodzić. Obyło się bez krwi i ofiar. Do piekarni weszli nowi klienci, więc Sylvia, chcąc nie chcąc, musiała wrócić za ladę i ich obsłużyć. Pani Keller wsparta na chodziku czekała na Bodensteina, żeby zabrał swoją kawę i bułki.

— Proszę nie próbować mnie wyprzedzić, ja pierwsza mam umrzeć! — zawołała do księdza drżącym głosem. — Ksiądz mi to obiecał, proszę o tym nie zapominać!

— Zrobię, co w mojej mocy, Annemie — odparł staruszek i uśmiechnął się z przymusem.

Do Bodensteina dołączył Klaus Kroll, lokalny policjant, który mieszkał w Ruppertshain i teraz próbował przekonać księdza, by udał się do lekarza, lecz i jego namowy nie odniosły żadnego skutku.

— Nie chce, to nie chce. Co zrobisz, jak nic nie zrobisz? — Kroll wzruszył ramionami.

— Człowiek ma wolną wolę — skomentował ktoś z chodnika. Bodenstein odwrócił się i rozpoznał Jakoba Ehlersa, starszego brata Ralfa, kolegi ze szkoły, który mieszkał ledwie parę domów dalej. Mężczyzna miał na sobie garnitur i krawat. Bodenstein spoglądał za odchodzącym księdzem. Miał złe przeczucia.

— Co się właściwie stało? — zapytał Kroll.

— Ksiądz wyszedł na jezdnię, nie upewniwszy się wcześniej, czy coś nie jedzie — wyjaśnił Bodenstein. — Kierowca autobusu zaczął hamować, ale miał za mało czasu i trafił go w ramię.

Mówiąc to, podał lokalnemu policjantowi karteczkę z numerem telefonu do kierowcy.

— Dobra, zajmę się tym, a później zajrzę jeszcze do księdza i sprawdzę, czy nic mu nie jest — obiecał Kroll.

Ostatni gapie rozeszli się do swoich zajęć i nawet dwie staruszki z domu przy piekarni, których ulubionym zajęciem było wyglądanie przez okno, zniknęły ze swoich punktów obserwacyjnych.

— Chyba nie było aż tak groźnie i obeszło się bez szkód. — Jakob Ehlers spojrział na zegarek. — No dobrze, muszę lecieć. Do zobaczenia!

Bodenstein skinął w odpowiedzi głową. Od kiedy pamiętał, Jakob był urzędnikiem stanu cywilnego w Kelkheim i pewnie czekała na niego jakaś radosna młoda para, która wybrała sobie ten dzień na najszczęśliwszy w życiu. Na Olivera zaś czekały spalone zwłoki i cała lista pytań, na które nikt jeszcze nie znał odpowiedzi.

PIĘĆ MINUT PÓZNIEJ Felicitas podskakiwała na leśnej drodze krzyżującej się z B8 w zdezelowanym land roverze siostry. W lusterku wstecznym widziała kilka samochodów i ludzi, a na wysokości stawów hodowlanych napotkała wóz transmisyjny stacji telewizyjnej, za którym sznurkiem posuwało się jeszcze kilka aut. Nie miała zamiaru zjeżdżać z wąskiej drogi na miękkie, zarośnięte pobocze ani tym bardziej się cofać. Zamrugła kilka razy światłami, aż swoją nieustępliwością przekonała kierowcę wozu transmisyjnego, aby to on wrzucił wsteczny. Po około dwudziestu metrach mogła skrócić w prawo, na rozwidleniu przed terenami należącymi do związku wędkarskiego. Wprawdzie nie miała pojęcia, dokąd ta droga prowadzi, ale założyła, że w końcu dotrze nią do trasy B8. Zadowolona obserwowała wściekłość kierowcy wozu transmisyjnego, jak krzyczy i wymachuje rękoma. Uśmiechnięta odczekała, aż cała kawalkada wycofa się na odpowiednią odległość, po czym włączyła migacz i dodała mocno gazu. Silnik zawył na wysokich obrotach, żwir spod kół zabębnił o podwozie, a kierownica ciężkiego samochodu stawiała taki opór, że Felicitas miała problem, by dobrze skrócić. Nie do końca poradziła

sobie ze zjazdem w wąską dróżkę i zahaczyła o rów. Land rover szarpnął gwałtownie i zawadził lewym błotnikiem o zardzewiałą siatkę otaczającą stawy, a Felicitas uderzyła mocno głową o boczną szybę. Najrozsądniejszym krokiem w tej sytuacji byłoby włączenie biegu wstecznego, lecz nie chciała dać satysfakcji reporterom, którzy pewnie obserwowali jej zmagania. Gwałtownie nadepnęła na pedał gazu.

— No dalej! — Felicitas oblała się potem. — Dawaj, stary złomie!

Land rover podskoczył jak narowisty koń i gdyby nie pasy bezpieczeństwa, wypadłaby z fotela. Dzięki napędowi na cztery koła wóz, wyjął silnikiem, wyjechał z rowu i wrócił na drogę. Ze złością dodała gazu i w szalonym pędzie pokonała najbliższy zakręt. Była wściekła na siebie. Dlaczego nie potrafi się opanować i zachować spokoju? Dlaczego z każdym musi się kłócić i denerwować o najmniejszą błahostkę? Co z nią było, do diabła, nie tak? I co takiego się stało, że gnała tą śmierdzącą kupą zardzewiałego złomu przez las, zamiast wyglądać zza kierownicy swojego porsche boxstera, szukając miejsca parkingowego przy Goethestrasse? Oczy zaszyły jej łzami i przestała widzieć drogę przed sobą. Dopiero w ostatniej chwili dostrzegła zarys ludzkiej postaci przed maską. Z całej siły nacisnęła hamulec. Zablokowane koła ślizgały się po mokrych liściach pokrywających drogę, a samochód prawie nie zwalniał.

W CZASIE DROGI na kemping Bodenstein rozmyślał o starym księdzu. Dlaczego Adalbert Maurer sprawiał wrażenie mocno poruszonego, ba, niemal przerażonego? Mimo że od piętnastu lat był na emeryturze, nadal brał czynny udział w życiu lokalnej społeczności — angażował się w działanie przedszkola, dbał o rodziny uchodźców, które zamieszkały w okolicy, odwiedzał domy, od czasu do czasu przejmował w zastępstwie odprawianie mszy i spowiadał w kościele. Bodenstein postanowił, że wieczorem zajrzy do niego i zapyta, co chciał mu powiedzieć, kiedy go rano zobaczył. Plebania znajdowała się ledwie kilka minut od jego domu.

W miejscu gdzie leśna szutrowa droga dochodziła do B8, minął go wóz straży pożarnej z Königstein i zaraz za nim bmw prokuratora Heidenfelda. Prawnik wykonał gest dłonią, sygnalizujący, że później zadzwoni. Powoli odjeżdżały też samochody prasy.

Bodenstein zaparkował samochód przy polanie, wysiadł i wziął ze sobą tackę z kawą i bułki. Policjanci z tyraliery zebrali się naprzeciwko parkingu i czekali przy furgonetkach, którymi tu przyjechali.

Pię i Krögera zastał przy wozie techników kryminalistyki podczas rozmowy z Ewaldem Fritschem, szefem oddziałów prewencji.

— Ktoś reflektuje na śniadanie? — zapytał i poczęstował bułkami i kawą. Mężczyźni sięgnęli po bułki, a Pia wzięła tylko kubek kawy.

— Udało ci się porozmawiać z kobietą z tego stowarzyszenia od kempingu? — zapytała.

— Tak, oddzwoniła do mnie. — Bodenstein potaknął. — Przyczepa należała do Rosemarie Herold z Ruppertshain.

Wypadek starego księdza sprawił, że na jakiś czas zapomniał o swoim strachu o matkę kolegi z klasy. Teraz znów go poczuł.

— No to przynajmniej mamy pewność, że nie ona jest ofiarą — oznajmił Christian Kröger, żując bułkę. — Doktorek jest przekonany, że denat był mężczyzną.

— Tak? — Bodenstein na chwilę poczuł ulgę, że nie będzie musiał pukać do drzwi kolegi z informacją o śmierci matki. Jednak w następnej sekundzie dotarło do niego, co to mogło oznaczać. A jeśli zmarłym był właśnie Edgar?

— Znasz tę kobietę? — Pia spojrzała na niego z zainteresowaniem.

— Tak. Z dawnych czasów.

Ponieważ nie wykazywał chęci, aby dokładniej naświetlić charakter znajomości z właścicielką spalonej przyczepy, Pia opowiedziała mu o włamaniu do innego wozu.

— Człowiek, który wyłamał drzwi, musiał spędzić w środku sporo czasu — zakończyła. — A to sprawia, że zeznania okularnicy z gospody stają się wiarygodne.

— Zabezpieczyliśmy odcisk całej dłoni i pojedynczych palców — ciągnął Kröger. — No i jeszcze sporo próbek materiału biologicznego pozwalającego na przeprowadzenie testów DNA: włosów, fragmentów naskórka, śliny.

— Wiemy też, że chodzi o mężczyznę między osiemnastym a trzydziestym rokiem życia — dodała Pia.

— A skąd ta pewność? — zapytał Bodenstein zaskoczony.

— Wolontariuszka, która prowadzi jakiś projekt monitorowania dzikich kotów, pokazała nam film nagrany przez fotopułapkę zainstalowaną poniżej polany — wyjaśniła Pia. — Jakość pozostawia wprawdzie sporo do życzenia, ale to bez wątpienia mężczyzna.

— Świetnie. — Oliver potaknął z uznaniem. — Rozejrzeliście się już między drzewami?

— Nie. Woleliśmy poczekać, aż wszystko sprawdzi pies tropiący, żeby go nie dezorientować naszymi zapachami.

— To pies też już jest? A Omari?

— Omari odbywa ćwiczenia praktyczne w terenie. — Pia się zaśmiała. — On i troje ludzi Ewalda w towarzystwie Leili, suczki owczarka belgijskiego, i młodej wolontariuszki od dzikich kotów poznają florę i faunę Taunusu.

— Co się tu dzieje? — rozległ się poirytowany głos profesora Henninga Kirchhoffa. Jak na komendę się odwrócili. — Wyżsi rangą przedstawiciele policji urządzają sobie pogaduszki przy kawie, a niewolnicy mają zasuwać w pocie czoła i o suchym pysku, tak?

— O matko, pan to zawsze jęczy, kiedy musi się pan dzielić zwłokami — zakpił Kröger, który siedział rozparty wygodnie w odsuniętych drzwiach

transportera.

— Nieprawda, nie jęczę — zaprotestował Henning urażonym tonem. — Dostrzegam nierówności, ot co.

— Niewiele pan traci w każdym razie — zauważył Kröger. — Kawa jest zimna i ohydna.

— To bez znaczenia. — Lekarz zdjął rękawiczki i wrzucił je do kosza na śmieci przytwierdzonego do drzwi volkswagena, po czym poczęstował się kubkiem z tacy Bodensteina. — Zimna czy ciepła, kofeiny ma tyle samo. Dobra, przesuń się, panie zbieraczu, też chcę usiąść.

— Cała przyjemność po mojej stronie, panie grabarzu — odparował Kröger i zrobił mu miejsce. Henning kilkoma łykami opróżnił kubek i sięgnął po następny. Pia przyglądała się byłemu mężowi niczym entomolog zafascynowany rzadkim owadem.

— Dobra, gdzie się podziewa ten Hindus? — Kirchhoff wsunął jeden pusty kubeczek w drugi.

— Jaki Hindus? — zdziwiła się Pia.

— Ten nowy od was.

— Tarik jest Syryjczykiem — poprawiła go, choć wiedziała, że to syzyfowa praca, bo jeśli Henning raz wbił sobie coś do głowy, nic nie mogło tego zmienić. — A dokładniej rzecz biorąc, to Niemiec syryjskiego pochodzenia. Zrobił na tobie wrażenie, co?

— Akurat, teoretyk taki! — Henning machnął lekceważąco dłonią. — Trzeba czegoś więcej, żeby zrobić na mnie wrażenie.

— Możesz powiedzieć już coś o ofierze? — zapytał Bodenstein, żeby nie dopuścić do przepychanek słownych między Pią a jej byłym mężem.

— Ustalenie obecności chromosomu Y będzie tylko formalnością. — Henning zdjął okulary, wyjął z kieszeni chustkę i przystąpił do czyszczenia szkieł. — Oceniając po długości kości udowej, ofiarą był wysoki mężczyzna.

Metr osiemdziesiąt pięć to minimum, a zakładam, że był wyższy. Zostały jeszcze jakieś bułki?

Kröger bez słowa podał medykowi sądowemu kolejną papierową torebkę, a Kirchhoff wyjął z niej bułkę z metką i zaczął jeść.

Bodenstein się zamyślił. Starał się sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widział kolegę z podstawówki, który po śmierci ojca przejął prowadzenie jego warsztatu ślusarskiego. Czy Edgar Herold był tak wysoki?

Znów poczuł nieprzyjemne pieczenie w żołądku.

— Poza tym był za życia raczej masywnie zbudowany — dodał Henning Kirchhoff i ugryzł kolejny kęs. — Popiół dookoła ciała jest lepki, a to oznacza, że spłonęło sporo tłuszczu. Facet leżał na brzuchu, więc jego twarz w znacznym stopniu uchroniła się przed działaniem płomieni. Ubranie, skóra, tkanka tłuszczowa, mięśnie, ścięgna i większość organów wewnętrznych uległy spaleni, jednak zachowała się część dziąseł i zęby.

— Żył, kiedy wybuchł ogień? — zapytała Pia.

— Nie wykluczałbym tego. Jak dotąd nie znalazłem śladów wskazujących na śmiertelne pchnięcie ostrym narzędziem czy postrzał. — Henning wzruszył ramionami. — Dopiero w laboratorium, po dokładnym badaniu, będę mógł stwierdzić, czy czaszka eksplodowała w wyniku działania bardzo wysokiej temperatury, czy wcześniej został uderzony. — Trącił łokciem Krögera. — A ostatnie słowo wyjątkowo zostawiam dzisiaj wam.

— Ostatnie słowo? — Bodenstein popatrzył skonsternowany na medyka sądowego, a potem na szefa zespołu techników kryminalistyki.

— Niewiele zostało z drzwi przyczepy. — Christian Kröger przejął pałeczkę. — Jednak udało nam się zabezpieczyć zamek i część ościeżnicy. W zamku dalej tkwi klucz. Temperatura zdeformowała metal, jednak na podstawie pozycji rygla można z całą pewnością stwierdzić, że zamek był zamknięty.

— Gdybym nocowała samotnie na pustym kempingu w środku lasu, też bym się zamknęła na zamek — potaknęła Pia.

— Problem polega na tym, że drzwi zamknięto od zewnątrz — poprawił ją Kröger, a w jego głosie słychać było nutkę tryumfu. — Gość został zamknięty w środku przyczepy i dopiero wtedy ktoś podłożył ogień.

LEILA, SUCZKA owczarka belgijskiego wytresowana do tropienia ludzi, wychłęptała miskę wody, po czym wskoczyła do swojej klatki transportowej. Dyszała ciężko i machała ogonem zadowolona z zadania, jakie wykonała, bo dla psa to fantastyczna zabawa, która w dodatku zawsze kończy się smakowitą nagrodą.

Bodenstein i Pia poprosili o pokazanie drogi, jaką poruszała się Leila, a Tarik został na polanie i rozmawiał z Pauline Reichenbach. Dziewczyna stała oparta o błotnik swojego pordzewiałego gruchota i z przekrzywioną głową słuchała policjanta. Wcześniej rozpuściła kok, a bujne miedziane loki rozsypały się naturalnie po jej ramionach. Tarik mówił coś uśmiechnięty i gestykulował przy tym obiema rękoma, a Pauline przytakiwała i chichotała od czasu do czasu. Pia nie potrafiła powiedzieć, które z nich jest bardziej zafascynowane drugim, lecz z ich gestów i postawy wnioskowała, że tematem rozmowy z całą pewnością nie są spalone zwłoki.

— Ślad prowadził tędy. — Przewodniczka Leili wyjęła z samochodu atlas, otworzyła go na mapie okolicy i jaskrawozielonym paznokciem wskazała drogę, jaką przebyła z psem. Ranny mężczyzna błądził po lesie na obszarze między trasami B8 z Königstein do Glashütten a L3369 z Königstein do Ruppertshain. Poruszał się wzdłuż tak zwanego „toru saneczkowego”, przez placyk Stoltzego i obok dawnego zbiornika retencyjnego doktora Bethemanna, w dół doliny, w której leżało miasteczko Königstein, aż do stawów hodowlanych Farmy Rybnej Reinhardta przy Ölmühlweg. Potem poruszał się brzegiem tej drogi, minął zakręt św. Nepomucena, by po kilku metrach skręcić

na parking leśny i ruszyć tą samą drogą z powrotem. Wracając, kierował się na północny zachód — celowo lub nie — aż dotarł do Victoriaweg, ulicy biegnącej poniżej kempingu, która nieco dalej w górze, przy stawach związku wędkarskiego, łączyła się z szutrową drogą prowadzącą od trasy B8 do leśnej gospody.

— I dokładnie w tym miejscu Leila straciła ślad. — Przewodniczka psa tropiącego wskazała jaskrawozielonym paznokciem punkt na mapie. Była wyraźnie rozczarowana. — Zrobiliśmy kilka kółek, żeby przeszukać okolice i podjąć ślad. Ale go tam nie było. Urywa się dokładnie tutaj.

— Taki kawał drogi to naprawdę ogromny wysiłek dla kogoś, kto stracił dużo krwi. — Bodenstein się zamyślił i zmarszczył czoło.

— To jest kawał drogi nawet dla kogoś, kto w ogóle nie stracił krwi — zauważył Tarik, który skończył flirtować z Pauline Reichenbach. Dziewczyna wsiadła do swojej toyoty, uruchomiła silnik i odjechała, lecz zanim to zrobiła, po raz ostatni rzuciła mu płomiennie spojrzenie.

— Człowiek nie może ot tak rozpląnąć się w powietrzu, więc możemy przyjąć, że wsiadł tam do jakiegoś samochodu — stwierdziła Pia, przyglądając się koledze, który był wyraźnie rozkojarzony. — Pytanie tylko, czy zrobił to z własnej woli, czy ktoś go do tego zmusił. Jak sądzisz, Tarik?

— Eee... słucham? Przepraszam, nie uważałem... — wyjąkał zawstydzony.

— Czy nasz uciekinier zatrzymał przejeżdżające tamtędy auto, czy raczej ktoś go zmusił, żeby wsiadł? — powtórzyła Pia.

Tarik robił, co mógł, żeby się skupić. Zmarszczył czoło i myślał przez chwilę.

— Myślisz, że ktoś, kto podpalił przyczepę, go śledził?

— Nie, to bym raczej wykluczyła. Ale biorę pod uwagę obecność jeszcze trzeciej osoby. — Pia zamknęła atlas i oddała go przewodniczkce psa. — Dziękuję za pomoc.

— Przykro mi, że tylko tyle udało nam się ustalić. — Kobieta uniosła ramiona w geście bezsilności. — Choćbyśmy nie wiem jak się starały, czasem nic więcej nie da się zrobić.

Bodenstein, Pia i Tarik obserwowali w milczeniu, jak kobieta zamyka tylną klapę samochodu, wsiada i odjeżdża.

— Ciekawe, gdzie teraz jest ten człowiek — mruknęła Pia i przygryzła dolną wargę.

— I dlaczego w ogóle włąmywał się do przyczepy na takim odludziu — dodał Bodenstein.

— Co dalej? — zapytał Omari.

— Jedziemy do Rosie Herold zapytać, kto dysponował kluczami do jej przyczepy — zdecydował Oliver. — Może to nas przybliży do ustalenia tożsamości ofiary.

Jego wzrok zatrzymał się na powalanych gliną butach Tarika.

— Pan niech może pójdzie porozmawiać z siostrą dzierżawczyni gospody. Trzeba by spisać do protokołu jej zeznania na temat dzisiejszej nocy. — Udał, że nie dostrzega zawodu malującego się na twarzy najmłodszego członka zespołu. — Potem proszę wracać do Hofheim. Ostermann zajmie się zakładaniem całego dossier sprawy, a pan niech się od niego uczy.

— Oczywiście. — Tarik potaknął.

— A, i jeszcze jedna ważna rzecz. Pod żadnym pozorem nie można dać się sprowokować prasie do jakiegokolwiek wypowiedzi na temat tej sprawy, czy to jasne?

— Jak słońce, szefie.

Pia wyjęła z samochodu służbowego plecak i oddała kluczyki Tarikowi.

— Pani Reichenbach mówiła coś ciekawego? — zapytała mimochodem i zauważyła, że młodszy kolega od razu się zaczerwienił.

— E... nie, nic takiego. Ale na wszelki wypadek wymieniliśmy się

numerami telefonów. Nigdy nie wiadomo, czy to się nam do czegoś nie przyda.
— Wzruszył ramionami. — Pauline zna tutaj wszystkich, więc może być bardzo pomocna.

— Pewnie. — Pia uśmiechnęła się szeroko i wsiadła do wozu szefa.

— SKĄD ZNASZ Rosemarie Herold? — zapytała Pia.

Bodenstein wyjaśnił, że wcześniej pracowała w majątku jego rodziców, a z jej synem Edgarem chodził do jednej klasy w szkole podstawowej. Pia w mig pojęła, co go dręczy.

— Myślisz, że ofiarą może być jej syn?

Minęli właśnie tablicę z informacją o liczbie wypadków, a chwilę później po lewej stronie pojawił się kompleks Zauberberg.

— Mam nadzieję, że nie — powiedział. — Ale wykluczyć tego oczywiście nie mogę.

Zakład ślusarski Herold leżał prawie naprzeciwko masarni i sklepu mięsnego Hartmanna, po lewej stronie Wiesenstrasse. Pradziadek obecnego właściciela był wiejskim kowalem i pod koniec dziewiętnastego wieku postawił tu dom. Kolejne pokolenia właścicieli, w miarę przyływu gotówki, rozbudowywały go i dobudowywały kolejne budynki, co było częstą praktyką w takich miejscach. Obecnie niewielka działka była zatłoczona do granic możliwości, a to, co na niej postawiono, dawno straciło praktyczne uzasadnienie i najprawdopodobniej łamało wszelkie możliwe przepisy przeciwpożarowe. Bodenstein zaparkował na ulicy, bo podwórze wypełniała zbieranina najprzeróżniejszych przedmiotów: części schodów, kraty okienne, przęśła płotów, wgnieciona i pordzewiała brama garażowa, palety pełne zapakowanych drzwi i okien oraz skrzynie ze złomem i butle gazowe. Na jednym ze stosów palet przysiadł biało-czarny kot i mrużąc oczy, przyglądał się Pii i Bodensteinowi, którzy przeciskali się obok samochodu dostawczego z otwartą paką, zajmującego niemal całe wolne miejsce na podwórzu.

W jednej z przybudówek o płaskim dachu znajdował się warsztat, a dawne stajnie zmieniły się w garaże, choć ze względu na całkowicie zagracone podwórze, przez które nie dało się przejechać, były dziś wykorzystywane jako magazyny.

Z warsztatu dochodził jazgot szlifierki kątovej, a przez brudną szybę widać było snopy iskier. Drzwi były uchylone, lecz Bodenstein i tak najpierw zapukał.

— Otwarte! — krzyknął ktoś ze środka. Oliver przekroczył próg i poczuł się tak, jakby w jednej chwili cofnął się o czterdzieści lat. Poza mężczyznę przy warsztacie nic się tu nie zmieniło. Kiedy bywał tu jako dziecko, wydawało mu się, że to bardzo mroczne i przestronne miejsce, a maszyny i narzędzia budziły w nim strach. Jedno spojrzenie z perspektywy dorosłej osoby przywróciło właściwe proporcje. Zwykły wiejski warsztat ślusarski, stary i ciasny, ale bardzo czysty.

— Witaj, Edgarze. — Bodensteinowi kamień spadł z serca na widok dawnego kolegi całego i żywego.

— Oliver! — Zaskoczony ślusarz odłożył szlifierkę. — Co cię tu sprowadza? Chodzi ci o te kraty do okien?

Edgar Herold był średniego wzrostu i krępej budowy, miał krzaczaste brwi, ciężkie, mięsiste powieki i nosił bujne wąsy. W jego spojrzeniu pojawiło się poczucie winy.

— Nie, nie... jestem tu służbowo. — Każdy w Ruppertshain wiedział, że Edgar potrzebowałby kilku lat, żeby dokończyć wszystkie prace, których zleceniodawcy nie naciskali i nie pospieszali. Bodenstein już dawno zapomniał, że krótko po przeprowadzce do nowego domu, czyli mniej więcej dwa i pół roku temu, zamówił kraty do okien w przyziemiu. — To moja współpracowniczka, Pia Sander. Jesteśmy...

Ciasne pomieszczenie znów wypełnił ryk szlifierki kątovej. Z tej odległości

był ogłuszający. Herold skrzywił się i odwrócił do młodego człowieka w słuchawkach i okularach ochronnych, który skupiony wykańczał metalową poręcz.

— Hej! — ryknął. Chłopak nie zareagował. Herold chwycił pierwszy lepszy kawałek metalu i rzucił nim przez cały warsztat. Pocisk trafił w ramię pracownika, który, rozzłoszczony, podniósł głowę i zsunął z ucha słuchawkę.

— Co jest? — warknął niegrzecznie w stronę szefa. — Miałem to skończyć, tak?

— Miałeś! Ale teraz masz zrobić przerwę! — odkrzyknął Herold. — Idź na zewnątrz załadować to żelastwo do cynkowania.

Mrucząc coś pod nosem, chłopak cisnął okulary na stół roboczy i wyszedł z niezadowoloną miną.

— Dzisiaj kończę punktualnie — oznajmił, mijając szefa.

— Jak ci się nie podoba, to możesz od razu się wynosić! No dalej, bierz rzeczy i spadaj! — krzyknął za nim Herold.

Pia starała się nie pokazywać po sobie, co sądzi o tonie, jakim szef zwracał się do swojego pracownika. Bodenstein również zachował kamienną twarz.

— Tej nocy na kempingu Przyjaciół Lasu spaliła się jedna z przyczep — zaczął policjant. — Z tego, co wiemy, należała do twojej matki.

Ślusarz nie wydawał się szczególnie poruszony tą wiadomością.

— No proszę. Ten stary pierdolnik. — Spojrzał na Bodensteina z mieszaniną podejrzliwości i agresji w oczach. — A co ja niby mam z tym wspólnego?

— Mam nadzieję, że nic.

Milczenie.

Herold przeniósł na chwilę wzrok na Pię, a potem z powrotem na dawnego kolegę z klasy.

— Czego właściwie ode mnie chcecie?

— W zasadzie to nie przyjechaliśmy tu do ciebie, tylko porozmawiać z Rosie. Zastaliśmy ją?

— Nie, nie ma jej — odparł Herold. — Kilka tygodni temu trafiła do hospicjum. Ma raka. Zostało jej już niewiele czasu.

— Naprawdę? Nie miałem pojęcia... — Ta wiadomość była dla Bodensteina zaskoczeniem. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, a co więcej, nie wiedział, co go bardziej szokowało: to, że Rosie umierała, czy obojętność, z jaką Edgar o tym mówił.

— Nie wiesz może, komu zostawiła swoją przyczepę? — zapytał, kiedy się nieco otrząsnął.

— Nie, nie mam pojęcia.

— A co z Clemensem i Sonją?

— A co ma z nimi być? — Twarz Herolda spochmurniała. Sięgnął po klucz z grzechotką i zaczął się nim bawić.

— Mają klucze do przyczepy?

— Skąd mam wiedzieć? — burknął ślusarz nieprzyjemnym tonem. — Sonja przychodzi tylko wtedy, kiedy czegoś ode mnie potrzebuje, a Clemens... Ostatni raz widziałem go na pogrzebie naszego staruszka, dobrych piętnaście lat temu. Wtedy zresztą też przyszedł tylko dlatego, że chciał swoją część spadku. Musiałem wziąć kredyt, żeby spłacić tego lenia. A teraz żyje sobie jak panisko, tylko że ja za to zapłaciłem! Od tamtego czasu nie słyszałem, co się z nim dzieje. I wiesz co? W ogóle za nim nie tęsknię.

Bodenstein bez trudu dostrzegł w tym zgorzkniałym mizantropie chłopca, którego znał z podstawówki. Już wtedy Edgar trwał w przekonaniu, że życie krzywdzi go na każdym kroku. Stał się w tym bardzo podobny do ojca, którego okropnie nienawidził, co według Olivera zakrawało na gorzką ironię.

Na zewnątrz rozlegały się co rusz zgrzyty i hałasy, lecz Herold nie zwracał na to uwagi.

— Jest jeszcze coś. — Pia włączyła się do rozmowy. — W wyniku pożaru przyczepy pańskiej matki nieznanemu mężczyźnie stracił życie. Dlatego zależy nam na ustaleniu osób, które miały dostęp do pojazdu. Proszę się zastanowić, kto mógł mieć klucze.

Herold popatrzył na nią obojętnie i wyduł usta w zgorzkniałym uśmiešku, który jednak momentalnie zniknął.

— Nie. Mam. Pojęcia. Kto. To. Mógł. Być! — Zrobił się cały czerwony, potrząsając kluczem w dłoni. — Mam gdzieś tę przyczepę. Matka wolała ją od swojego domu. Mówiła, że chce wolności, żeby w spokoju poczytać albo pomyśleć! A przecież każdy wiedział, co wyprawia w tym... burdelu na kółkach! Ojciec przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział!

Karl-Heinz Herold przez wiele lat pracował jako kowal w majątku rodziców, więc Bodenstein doskonale pamiętał wysokiego, potężnego mężczyznę. O tak, był porywczy i przekonany o własnej nieomyślności, szczególnie kiedy wypił kilka głębszych — czyli bardzo często. Z drugiej strony trzeba było mu oddać, że był dobrym ślusarzem i kowalem, punktualnym i rzetelnym, a przy tym społecznikiem z powołania. Ludzie go szanowali, choć wzbudzał w nich strach. Za to życie Rosie nie było usłane różami, więc Bodenstein potrafił zrozumieć, że po śmierci męża wolała mieszkać w lesie, bo dzięki temu unikała spotkań z okropnie kłótliwą żoną syna Edgara, Conny.

— W którym hospicjum leży pańska matka? — zapytała Pia.

— „Zmierzch”, tak się nazywa. W Hornau — odparł Herold i zaśmiał się gorzko. — Musicie się pospieszyć, jeśli chcecie zdążyć z nią pogadać. Lada chwila przejdzie na drugą stronę. I cholera wie, czy to będzie niebo czy piekło.

— CO ZA ODRAŻAJĄCY TYP! — oburzała się Pia, kiedy wyjechali już z Ruppertshain i ruszyli w stronę Königstein. — Jak w ogóle można tak mówić o umierającej matce?

Pojechali porozmawiać z Sonją Schreck, lecz pod adresem podanym przez brata nikt im nie otworzył, więc wrzucili jedynie do skrzynki karteczkę z prośbą o kontakt.

— Zupełnie go nie rozumiem, jest okropny. — Policjantka potrząsała głową.
— A to jak traktuje pracownika... widziałeś? I to przy nas!

— Starzy mieszkańcy Ruppertshain to specyficzni ludzie — przyznał Bodenstein.

— Serio chcesz powiedzieć, że byliście kiedyś przyjaciółmi? — Pia nie potrafiła sobie wyobrazić, że dobrze wychowany, uprzejmy szef jako dziecko przestawał z tak nieokrzesanym, gburowatym człowiekiem jak Edgar Herold.

— Przyjaciel to trochę za dużo powiedziane. Przez cztery lata chodziliśmy do jednej klasy, na samym początku podstawówki. Razem z innymi chłopakami byliśmy w jednej bandzie, jeśli można tak to określić — opowiadał Oliver.
— Tak naprawdę blisko zaprzyjaźniony byłem jedynie z Wielandem Kapteiną.

— Tym leśnikiem?

— Tak, właśnie z nim. — Bodenstein potaknął. — Po wojnie jego rodzice uciekli z Prus Wschodnich. Ojciec Wielanda został stajennym u nas w majątku, a jego matka była główną intendentką.

Mimo że Pia od niemal dziesięciu lat pracowała z Bodensteinem i знаła jego rodziców i ich spory majątek między Schneidhain a Ruppertshain, świat arystokracji, ze wszystkimi dziwnymi zwyczajami, wyznawanymi wartościami i obowiązkami wciąż jeszcze wydawał jej się nad wyraz anachroniczny. Rodzice Bodensteina i jego młodszy brat Quentin, który przed kilkoma laty przejął prowadzenie gospodarstwa, byli skromnymi, bardzo pracowitymi ludźmi, którym na pewno się nie przelewało. Dochód ze stadniny i gospodarstwa rolnego wystarczał zaledwie na utrzymanie wszystkiego w ruchu, a gdyby restauracja w zamku, prowadzona przez energiczną bratową Olivera, nie cieszyła się takim uznaniem, cała rodzina Bodensteinów byłaby

w poważnych tarapatach.

— Kim może być człowiek znaleziony w spalonej przyczepie?
— zastanawiała się Pia na głos.

— Mam nadzieję, że zaraz dowiemy się czegoś od Rosie. — Bodenstein nigdy nie miał problemów, by nadążyć za niespodziewanymi zmianami wątków, które Pia rozpracowywała jeden po drugim.

— A drugi syn? Jego też znasz?

— Clemens. Tak, oczywiście, że go znam. Ale jego po raz ostatni widziałam dobrych trzydzieści lat temu, jeśli nie więcej. — Bodenstein zatrzymał się na czerwonym świetle przy domu zdrojowym w Königstein. — Wygląda na to, że na dobre wyłączył się z życia rodzinnego, tak w każdym razie wynikałoby ze słów młodszego Herolda. Clemens był kilka lat starszy od nas. Za to Sonja jest młodsza od Edgara.

Samochody przesuwają się w ślimaczym tempie między dwiema betonowymi ścianami. Zbliżali się do ronda.

— Ofiara albo sprawca. Jeden z nich musiał dysponować kluczem, a to by oznaczało, że przynajmniej jeden z nich miał jakiś kontakt z Rosemarie Herold — zastanawiała się dalej Pia. — No chyba, że ta kobieta trzymała go lekkomyślnie pod wycieraczką czy pod doniczką. Wtedy każdy, kto o tym wiedział, miał dostęp do przyczepy.

Przez chwilę milczeli zamyśleni.

— Na razie mam wrażenie — zaczęła Pia — że osoba, która włamała się do przyczepy Rosemarie Herold, a potem ją podpaliła i rzuciła się do ucieczki, poważnie się poraniła. Może miała miejsce kłótnia albo doszły do głosu inne emocje?

— W takim razie kto odjechał samochodem? Siostra kobiety, która prowadzi gospodę, słyszała silnik, prawda? — zapytał Bodenstein.

— Ciekawe, czy rzeczywiście go słyszała, czy tylko sobie wymyśliła? —

Pia odpowiedziała pytaniem. — Prawdę mówiąc, nie uważam tej całej Molin za szczególnie wiarygodnego świadka.

— Ja też nie. — Bodenstein potaknął. — Z drugiej strony, jeśli tam rzeczywiście był jakiś samochód, nie musiał mieć od razu związku z pożarem. Masa ludzi kręci się po lesie. Nie zdziwiłbym się, gdyby to był ktoś od dzikich kotów.

— Możliwe. — Pia potaknęła. — Poproszę Tarika, żeby to sprawdził. Odniosłam wrażenie, że polubił się z tą kocicą.

Bodenstein minął maszt z fotoradarem za rondem w Königstein i przyspieszył. Zgodnie z informacjami z Google'a, hospicjum „Zmierzch” znajdowało się w Mainblick naprzeciw klasztoru. Jechali trasą B519 w kierunku Kelkheim, minęli zjazd najpierw na Johanniswald, a potem na Altenhain, by dopiero kilka kilometrów dalej zjechać w kierunku miejskiego cmentarza w Kelkheim.

— Super, teraz tędy! — Pia wskazała na dyskretny drogowskaz. Pięćset metrów dalej trafili na kolejny, tym razem nakazujący skręt w lewo. Ruszyli wzdłuż parku. Hospicjum znajdowało się niedaleko, ukryte za rzędem drzew. Bodenstein zatrzymał się przed szlabanem zagraudzającym wjazd na parking, nacisnął przycisk i wziął bilet, po czym podał go Pii.

— Lepiej ty go miej, bo ja go zaraz gdzieś zgubię — powiedział i poczekał, aż szlaban się podniesie.

To była jedna z tych z pozoru całkowicie naturalnych i błahych sytuacji, lecz niosła w sobie tyle wspomnień, że Pię ogarnęło poczucie bolesnej straty. Jak często przez ostatnich dziesięć lat jechali razem w różne miejsca? Ile razy oddawał bilet parkingowy, pokwitowanie czy inny dokument, wypowiadając dokładnie te same słowa? Pia się obawiała, że nawet jeśli szef tylko mówił o rocznej przerwie, to tak naprawdę nie wróci już po niej do pracy. Była przekonana, że prowadzą ostatnią wspólną sprawę i że to koniec ich

partnerstwa, które znaczyło dla niej znacznie więcej niż potencjalny awans na szefową wydziału K11. Może to dziecinne i głupie, ale czuła się zawiedziona i pozostawiona samej sobie.

— Wszystko w porządku? — zapytał Bodenstein.

— Tak, pewnie. — Pod żadnym pozorem nie mogła pokazać, co czuje, i mimo że zbierało jej się na płacz, zmusiła się do uśmiechu.

HOSPICJUM „ZMIERZCH” mieściło się w przyjemnym parterowym budynku, otoczonym świeżo zaprowadzonymi rabatami kwiatowymi, trawnikami i niewielkimi, niedawno posadzonymi drzewkami podpartymi jeszcze palikami. Za kilka lat, kiedy rośliny się przyjmą i rozrosną, ogród będzie wyglądał idyllicznie. Bodenstein i Pia weszli do holu. Wnętrze było jasne, utrzymane w intensywnych śródziemnomorskich barwach. Płytki na posadzce i sięgające podłogi okna, przez które widać było ogromne atrium z fontanną, cięte kwiaty i cicha muzyka z dyskretnie rozmieszczonych głośniczków nadawały temu miejscu urok przyjemnego hotelu na wsi.

Istnieją znacznie gorsze miejsca, w których ludzie spędzają ostatnie chwile życia — pomyślała Pia i zadrżała na wspomnienie okropnego domu starości, w którym wegetowała jej ukochana babcia, czekając na śmierć — chora na demencję, samotna i pozostawiona samej sobie.

Podeszli do recepcji i poprosili o wskazanie miejsca, gdzie mogliby zastać Rosemarie Herold i z nią porozmawiać.

— Zaraz sprawdzę, czy może przyjmować gości — odparła recepcjonistka, pogodna brunetka przed pięćdziesiątką, z twarzą pokrytą piegami i dołeczkiem w brodzie. Zgodnie z plaketką na jej fartuchu, nazywała się Luzia Landenberger. — Rosie bardzo dużo śpi. Proszę, niech państwo poczekać sekundę.

— Jeszcze tylko jedna sprawa. — Bodenstein sięgnął do portfela i wyjął z niego wizytówkę, a potem wziął z lady recepcji długopis i zapisał swój

numer telefonu komórkowego. — Gdyby pani zechciała, proszę przekazać to pani Herold.

— Oczywiście. Z przyjemnością. — Pani Landenberger uśmiechnęła się, prezentując zęby, które mogłyby być żywą reklamą pasty do zębów, i bez skrępowania spojrzała na wizytówkę. — O, państwo są z policji?

— Znam Rosie, od kiedy tylko pamiętam — wyjaśnił Bodenstein pospiesznie.

— Pani Herold od kilku dni znów czuje się nieco lepiej. — Recepcjonistka mimo to była sceptyczna. — Ale i tak nie powinna się denerwować.

— Chcieliśmy zapytać o jedną rzecz, nic więcej. — Bodenstein posłał jej szczere spojrzenie jamnika, które prawie zawsze przynosiło zamierzony skutek. Luzia Landenberger westchnęła.

— No dobrze. — Wsunęła wizytówkę do kieszeni fartucha. — Sprawdzę, czy nie śpi.

— Dziękuję, to bardzo miło z pani strony.

Kobieta ruszyła bezszelestnie jednym z korytarzy.

— Z jej reakcji nie odniosłam wrażenia, żeby pani Herold leżała na łożu śmierci. — Coś mi się wydaje, że to takie życzeniowe myślenie twojego kolegi, szarmanckiego Edgara.

— Hospicja przyjmują jedynie tych pacjentów, którzy przeszli całą drogę terapeutyczną i nie mają szans na wyzdrowienie, a lekarze nie mogą już nic dla nich zrobić — wyjaśnił Bodenstein. — Ale może Rosie ma przed sobą jeszcze kilka tygodni. Żeby zakosztowała trochę spokoju na koniec!

Po kilku minutach do recepcji wróciła Luzia Landenberger.

— Pani Herold śpi — oznajmiła. — Może zajrzycie państwo trochę później? Rosie bardzo cieszą każde odwiedziny.

— Troszczy się o nią ktoś z rodziny? — zapytał Bodenstein.

— O tak! Jej syn przychodzi do nas w zasadzie codziennie — odparła

Luzia. — Poza tym odwiedzają ją sąsiedzi i starzy znajomi. Dobrze jej tu u nas.

— Ani przez chwilę w to nie wątpiłem. — Bodenstein uśmiechnął się ciepło. — To naprawdę piękne miejsce.

— Dziękuję. — Pani Landenberger się rozpromieniła. — Bardzo się staramy, by nasi pensjonariusze czuli się u nas jak najlepiej.

Oliver już zmierzał do wyjścia, jednak Pia chciała zapytać o coś jeszcze:

— Który z synów tak regularnie odwiedza panią Herold? — zainteresowała się.

— Ten najstarszy, Clemens — wyjaśniła recepcjonistka i uśmiechnęła się rozmarzona. — Na starość każdy chciałby mieć takiego syna.

Pia podziękowała jej za informacje. Wyszli z hospicjum, przecięli parking i wsiedli do samochodu. Ledwie Bodenstein uruchomił silnik, rozdzwonił się jego telefon. Odebrał połączenie, a z głośników auta popłynął głos Kaia Ostermanna.

— Mamy trafienie z naszej bazy danych — oznajmił. — Odciski palców pasują do Eliasa Lessinga. Dziewiętnaście lat, obecnie bez stałego miejsca zamieszkania. Wcześniej notowany i karany za drobne przewinienia: posiadanie środków odurzających, naruszenie miru domowego, kradzieże sklepowe, kradzież z włamaniem i tak dalej. Trzy miesiące aresztu za napad rabunkowy, w tej chwili na zwolnieniu warunkowym. W aktach z sądu dla nieletnich są informacje o innych czynach tego pana, ale żeby się do nich dostać, potrzebuję specjalnego zezwolenia.

— Wygląda na to, że to ćpun usiłujący zdobyć pieniądze na prochy — zauważyła Pia. — Może chciał opędzłować przyczepę, ale coś poszło nie po jego myśli i napotkał opór. Możliwe, że to jego szukamy.

— Ale jakiś inny, wcześniejszy adres masz, prawda? — dopytywał się Bodenstein.

— No, szefie, ja przepraszam, ale od jak dawna się znamy? — W głosie Ostermanna słychać było nieskrywaną urażę. — Kuratorka sądowa Eliasa Lessinga mieszka we Frankfurcie, przy Bockenheimer Strasse. On sam w czasie ostatniego zatrzymania podał adres w Bockenheim, ale się okazało, że to dom przeznaczony do rozbiórki, z którego ćpuny zrobiły sobie melinę...

— W takim razie powinniśmy przede wszystkim porozmawiać z jego kuratorką.

— Gdybyś dał mi dokończyć, szefie, dowiedziałbyś się jeszcze kilku interesujących rzeczy, bo nie siedziałem tutaj z założonymi rękoma — odparł Ostermann z godnością, a Pia nie mogła powstrzymać uśmiechu.

— No tak, oczywiście, Kai. Wybacz, proszę, i kontynuuj.

— Elias Lessing — ciągnął Ostermann — pochodzi z Kelkheim, dzielnica Ruppertshain i tam też jest zameldowany, cały czas pod adresem rodziców: doktora Petera Lessinga i Henrietty Lessing, Herlenstückshaag 48.

Bodenstein milczał, jednak Pia widziała, że coś się w nim zmieniło.

— Dzięki, Kai — powiedział w końcu. — Wyszliśmy przed chwilą z hospicjum w Kelkheim, w którym przebywa właścicielka spalonej przyczepy. Sprawdź, proszę, w bazie danych urzędu meldunkowego niejakiego Clemensa Herolda.

— Już się za to biorę. Do usłyszenia.

— Coś mi się wydaje, że znasz Lessingów, prawda? — zapytała Pia.

— Tak.

— Skąd?

— Z Peterem Lessingiem chodziłem do szkoły.

— No proszę... Jeśli wolisz, mogę wziąć Tarika i pojechać do nich porozmawiać o Eliasie — zaproponowała Pia.

— Nie, nie trzeba, sami się tym zajmujemy. I to od razu — zdecydował Bodenstein i skręcił w prawo, w kierunku centrum miasta. — Nie wiedziałem,

że Peter ma syna. Słyszałem tylko o jego córce. Jest trochę młodsza od Rosalie.

Pia знаła go dość dobrze, więc nie mogła nie zauważyć, jak nieswojo się czuje.

— Ten Peter Lessing... jakim jest człowiekiem? — zapytała.

— Od lat z nim nie rozmawiałem. — Bodenstein wymigał się od odpowiedzi. — Za to słyszałem, że odnosił sukcesy zawodowe. Jest bankierem inwestycyjnym, przez dłuższy czas mieszkał za granicą. Chyba w Londynie, o ile się nie mylę.

— A wcześniej? Jaki był dawniej?

— Był szefem naszej bandy — wyjaśnił Bodenstein po krótkim wahaniu.

— Lubieś go?

— Dobre pytanie... — Bodenstein ściągnął usta. — Na pewno lepiej było mieć w nim przyjaciela niż wroga. Z jakiegoś powodu byłem dla niego ważny, więc nigdy się mnie nie czepiał.

Oliver zaskoczył Pię tą dziwną odpowiedzią.

— Bałem się go — ciągnął po chwili. — Nie ja jeden. Wszyscy się go bali. Szczególnie ci, którzy nie należeli do naszej bandy. Peter był... hm, jak to powiedzieć... potrafił wzbudzać strach. A poza tym...

— Co poza tym?

— Nie, nic.

— Oj, przestań! Skończ, skoro zacząłeś! Minęło przecież ponad czterdzieści lat!

Bodenstein westchnął.

— On, Edgar i Ralf lubili wyrywać nogi pająkom. Słomką nadmuchiwali żaby, aż pękały. Strzelali z procy do gołębi. To była ich rozrywka. A któregoś dnia Peter zabił kota staruszki z miasta. Zrobiło się straszne zamieszanie, ludzie byli oburzeni, ale on wszystkiego się wyparł. Podejrzanie padło na

Ralfa, potem na Edgara i Konstantina, ale nie było żadnych dowodów.

— A kto wiedział, że to on zabił kota?

— My wszyscy.

— I co? Żaden z was nic nie powiedział? — zapytała zdumiona Pia.

— Nie — potwierdził Bodenstein. — Gdyby ktokolwiek otworzył usta, z miejsca stałby się zdrajcą. A ja na dodatek za bardzo się bałem, że Peter spełni swoją groźbę.

— Jaką groźbę?

— Miałem wtedy oswojonego lisa imieniem Maxi — wyjaśnił Bodenstein po chwili. — Mój ojciec znalazł go w lesie jeszcze jako szczeniaka i przyniósł do domu, a ja wykarmiłem go butelką. Wszędzie za mną chodził jak piesek. Peter zagroził, że poderżnie mu gardło, jeśli zdradzę komuś jego tajemnicę.

— O rany. — Pia pokręciła głową. — To zabrzmiało jak groźba mafijna.

— Żebyś wiedziała. Dziecięce bandy funkcjonują w zasadzie jak mafijne grupy, opierając się na takim samym systemie. — Bodenstein patrzył na drogę przed maską. — O wszystkim decyduje najsilniejszy, a pozostali milczą i wykonują polecenia. I podobnie jak w mafii, z takiej bandy nie da się wypisać ot tak, jak z jakiegoś klubu.

— Kiedy wydarzyła się ta sprawa z kotem? — dopytywała się Pia.

— Nie pamiętam dokładnie. Miałem dziewięć, może dziesięć lat.

Pia milczała. Dręczenie zwierząt było klasyfikowane jako jeden z symptomów rozwijających się skłonności do używania przemocy i łamania prawa. A poza tym często się zdarzało, że ludzie dopuszczający się dręczenia zwierząt sami stawali się ofiarami przemocy.

Pozostałą część drogi przez Kelkheim i Fischbach do Ruppertshain pokonali w ciszy. Bodenstein prowadził pogrążony w myślach. Jaki wpływ będzie miała jego znajomość z potencjalnymi podejrzanymi na prowadzone przez niego śledztwo? Pia ani przez sekundę nie wątpiła w jego profesjonalizm, lecz

nie potrafiła jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czy Oliver von Bodenstein będzie potrafił obiektywnie oceniać ludzi, których wcześniej dobrze znał, a niektórych nawet lubił.

DOM LESSINGÓW wyglądał jak płaska bryła z szarego betonu z kilkoma okienkami wielkości otworów strzelniczych i znajdował się na samym końcu ślepej uliczki. Budynek z wyglądu przypominał bunkier, a kamery przemysłowe i czujniki ruchu tylko potęgowały to wrażenie. Pia, ku swemu zaskoczeniu, zauważyła po drugiej stronie ulicy zaparkowaną starą toyotę, całą pordzewiałą i bogato oklejoną kolorowymi naklejkami. Samochód Pauline Reichenbach. Ciekawe, co tu robiła?

Bodenstein zadzwonił i minęło ledwie kilka sekund, a drzwi ponurego domu się uchyliły i w progu pojawił się jego właściciel — choć „uchyliły” nie jest chyba właściwym słowem, bo gospodarz pchnął je z taką siłą, że omal nie wypadły z zawiasów. Kiedy ich zobaczył, zrobił bardzo zdziwioną minę, jakby spodziewał się kogoś zupełnie innego. Jego poznaczona bliznami po trądziku twarz była czerwona z gniewu lub z powodu innych, równie gwałtownych emocji.

— Oliver! Kopę lat! — Mężczyzna zmusił się do uśmiechu. Nikt nie reaguje radością, kiedy w progu jego domu nieoczekiwanie stają funkcjonariusze policji kryminalnej, lecz Peter Lessing szybko odzyskał panowanie nad sobą. — Cóż cię tutaj sprowadza?

— Cześć, Peter — odparł Bodenstein. — To moja współpracowniczka, Pia Sander. Chcielibyśmy zamienić kilka słów z tobą i twoją żoną.

Lessing spojrział na Pię, a ona momentalnie poczuła gęsią skórę na plecach. Dawny morderca kotów przewyższał ją przynajmniej o głowę, był szczupły, ale bardzo muskularny, miał wysokie czoło, rzymski nos i wystającą brodę. Włosy, raczej szare niż blond, nosił krótko obcięte i ułożone żelem tak, by zasłaniały miejsca, w których prześwitywała różowa skóra głowy.

— Przeszkadzamy? Ma pan akurat gości? — zapytała Pia, bo przypomniała sobie reakcję Pauline Reichenbach, kiedy zobaczyła osobę nagraną przez fotopułapkę. To, że jej samochód stał zaparkowany właśnie w tym miejscu, nie mogło być przypadkiem. Musiała znać Eliasa Lessinga i rozpoznała go na filmie. Tylko dlaczego nie powiedziała jej o tym od razu?

— Skąd ten pomysł? — W oczach Petera Lessinga o niespotykanym jasnoszarym odcieniu pojawiła się czujna podejrzliwość.

Pia wskazała głową w stronę ulicy, gdzie przy krawężniku stała stara toyota.

— Ach, o to chodzi! — Mężczyzna się roześmiał i potrząsnął głową. — Pauline zawsze zostawia tam tego starego gruchota. Reichenbachowie to nasi sąsiedzi. Oliver, znasz chyba Simone i Romana, prawda?

Bodenstein potaknął krótko.

— Zapraszam do środka. — Lessing odsunął się i wpuścił ich do holu. Dom był zdecydowanie większy, niż wydawało się z zewnątrz.

— Co się stało z domem twoich rodziców? — zainteresował się Bodenstein. — Wydawało mi się, że stał dokładnie w tym miejscu?

— Zgadza się. — Lessing potaknął. — Na początku chciałem go przebudować, ale się okazało, że ściany są zagrzybione. Kiedy po drodze wyszło na jaw jeszcze kilka innych problemów, postanowiliśmy go zburzyć, a na jego fundamentach postawić nowy.

Kiedy dawni koledzy ze szkoły rozmawiali, Pia rozglądała się z zaciekawieniem. Szkło, beton i stal. Te materiały dominowały w wystroju wnętrza, a na ścianach wisiały wielkie obrazy utrzymane w żywych barwach, wszystkie odpowiednio oświetlone. Szerokie drewniane schody prowadziły z holu do pomieszczenia poniżej, którego jedna ściana była w całości przeszklona, a widok, jaki się stamtąd roztaczał na Ruppertshain i tereny między Renem a Menem, po prostu zapierał dech w piersi. Pia bez skutku szukała przedmiotów i śladów, które dawałyby jakieś wyobrażenie

o mieszkających tu ludziach, lecz tych brakowało: nie dostrzegła ani fotografii rodzinnych, ani żadnych osobistych drobiazgów. Miała wrażenie, że jest na wystawie: wszystko tu było nowe, stylowe, drogie i... pozbawione duszy.

— No dobrze, to o co chodzi? — zapytał Lessing. Miał na sobie dżinsy, kaszmirowy sweter z wycięciem w serek i bose stopy. Cała jego postać emanowała pewnością siebie człowieka przyzwyczajonego do wydawania poleceń i posłuchu. Do dziś pozostał szefem.

— Zeszłej nocy na kempingu Przyjaciół Lasu doszło do pożaru, spłonęła przyczepa — wyjaśnił Bodenstein. — Jest też jedna ofiara śmiertelna.

— No i? — Lessing uniósł brwi.

— Doszło również do włamania do jednej z pozostałych przyczep. W środku zabezpieczyliśmy odciski palców, które udało nam się zidentyfikować jako należące do niejakiego Eliasa Lessinga. Baza danych urzędu meldunkowego podała ten adres jako jego adres zamieszkania.

— Zgadza się. — Lessing zmarszczył czoło. — To nasz syn. Niestety, ma niepokładane w głowie.

— „Niepokładane w głowie” chyba nieszczególnie pasuje do opisu jego dotychczasowych dokonań — dodała Pia. — Wielokrotnie karany, skazany na karę więzienia, obecnie na zwolnieniu warunkowym. Zdaje pan chyba sobie sprawę, co to dla niego oznacza?

Na pokrytej trądzikowymi bliznami twarzy Lessinga ukazał się wymuszony uśmiech, który — przynajmniej w jego mniemaniu — miał być szarmancki.

— Ojoj, ależ ta twoja koleżanka jest ostra! — Spojrzał na Bodensteina z wyraźnym współczuciem, co jeszcze bardziej rozżłościło Pię. — Oczywiście, że wiem, co to oznacza. Jednak z prawnego punktu widzenia nasz syn jest pełnoletni i sam odpowiada za swoje czyny, a my nie mamy wpływu na jego postępowanie.

— Kiedy ostatnio widziałeś Eliasa albo miałeś z nim kontakt? — zapytał

Bodenstein.

— Zabroniłem mu w ogóle zbliżyć się do tego domu — wyjaśnił Lessing.
— Jeśli żona niczego przede mną nie ukrywa, dotychczas przestrzegał mojego zakazu. Po raz ostatni widziałem się z nim siedemnastego września dwutysięcznego trzynastego roku. Potem już nie.

— Bardzo dokładnie zapamiętał pan tę datę — zauważyła Pia.

— Bo tamtego dnia zabroniłem mu przekraczać próg naszego domu. Miałem już dosyć jego zachowania. Nie przestrzegał zasad, którymi się kierujemy.
— Słowa Lessinga były proste, jednoznaczne i pozbawione emocji. Najwyraźniej los syna zupełnie go nie interesował.

— Poszukujemy pańskiego syna ze względu na to, że albo jest zamieszany w poważne przestępstwo, albo może być bardzo ważnym świadkiem. — Pii nawet nie drgnęła powieka, kiedy spoglądała prosto w pozbawione wyrazu, gadzie oczy gospodarza. — Pauline Reichenbach pewnie panu o nim wspomniała, prawda? Czy to dlatego był pan tak wściekły?

— Nie — uciął gospodarz i podszedł do poręczy. — Henriette! Pozwól, proszę! Mamy gości.

Po chwili przy schodach pojawiła się szczupła, wysoka kobieta. Jej ciemne, proste włosy związane w koński ogon poprzetykane były pierwszymi pasemkami siwizny, lecz nawet zmarszczki w kącikach oczu i ust nie zakłócały symetrii twarzy. Henriette Lessing była piękną kobietą.

— Wydział zabójstw, wyobraź sobie — wyjaśnił jej mąż. — Szukają naszego syna.

— Wydział zabójstw? — powtórzyła kobieta z przestachem i otworzyła szeroko oczy.

— Dzień dobry. — Bodenstein przedstawił Pię i siebie. — W miejscu, gdzie doszło do przestępstwa, zabezpieczono odciski palców Eliasa Lessinga. Musimy jak najszybciej z nim porozmawiać.

— Ale... nie wiem, gdzie jest. — Henriette Lessing sięgnęła dłonią do niewielkiego srebrnego krzyżyka na cienkim łańcuszku. Potem popatrzyła na męża.

— Zechciałaby pani odpowiedzieć na kilka pytań? — Bodenstein mówił uspokajającym tonem. — Nie musi pani tego robić, bo chodzi o członka rodziny, jednak myślę, że to by nam bardzo pomogło.

— Tak, oczywiście, odpowiem. Może się państwo czegoś napiją? Kawy? Może herbaty?

Choć pani Lessing była wyraźnie wstrząśnięta, bardzo dobrze skrywała swoje prawdziwe emocje. Oznaka siły czy może próba zyskania na czasie, by wszystko jeszcze raz przemyśleć?

— Chętnie, kawę poproszę. — Bodenstein uśmiechnął się ujmująco. — Czarną.

Pia grzecznie odmówiła. Razem ruszyli za panią domu schodami w dół, do przestronnego pomieszczenia, składającego się z ultranowoczesnej kuchni i jadalni. Tuż przy oknie stał drapak dla kota. Pia natychmiast sobie przypomniała, co jej szef mówił o Peterze Lessingu.

Przy stole ze szkła poczekali, aż pani Lessing poda kawę i również usiądzie. Jej mąż stał za jednym z krzeseł i z założonymi na piersi ramionami spoglądał na żonę. Bodenstein powtórzył wszystko, co mówił wcześniej.

— Elias miałby być w to zamieszany? — Henriette Lessing obracała w palcach krzyżyk na szyi, zdradzając w ten sposób nerwowość.

— Niekoniecznie. Jednak istnieje możliwość, że coś zauważył.

— Rozmawiałaś z nim ostatnio? — Lessing zwrócił się bezpośrednio do żony. Jak wyglądał kiedyś, jako dziecko, zanim trądzik na zawsze poznał jego twarz szpecącymi bliznami? Czy był przystojnym chłopakiem, który ciężko przeżywał okres dojrzewania, bo nagle stał się odpychający? Kota zabił wcześniej, co oznaczało, że długo przedtem nosił w sobie agresję.

— Nie — odparła pani Lessing i przeniosła wzrok na Bodensteina. — Elias... ma problemy. Z narkotykami. Zawsze staraliśmy się mu pomóc, ale nigdy nie chciał naszego wsparcia. Jako matka z wielkim trudem znoszę myśl, że mieszka gdzieś na ulicy, bez dachu nad głową. Dawniej jeździłam po okolicy i wszędzie go szukałam. Wtedy przynajmniej wiedziałam, gdzie jest.

— Elias to nieudacznik. Jest słaby i pozbawiony charakteru. — Peter Lessing skrzywił się ponuro. — Już jako dziecko był miękki i szedł po linii najmniejszego oporu. Wyleciał z trzech szkół za wagary i okradanie innych uczniów. Czasem przez kilka dni z rzędu nie wracał do domu, a my nie mieliśmy pojęcia, gdzie się podziewa. Okradał siostrę, okradał matkę, a w końcu opróżnił nam cały dom, kiedy wyjechaliśmy na weekend. Wtedy miarka się przebrała. Nie interesuje mnie, gdzie jest i co się z nim dzieje.

„Miał czelność nie wypełniać moich poleceń” — taki właśnie przekaz docierał do Pii z każdego jego słowa.

Po zachowaniu Henrietty Lessing było widać, że nie po raz pierwszy słyszy te słowa. Siedziała prosto jak trzcina, nie opierając się plecami o oparcie krzesła. Przy każdym kolejnym gorzkim wyrzucie męża drżała, jakby dostawała razy rzemieniem. Pod maską opanowania kryły się troska i strach. Pia potrafiła sobie wyobrazić, co tu się działo przez ostatnich kilka lat. Elias był problematycznym dzieckiem w rodzinie, w której nie było miejsca na słabość i niedoskonałość.

— Czy domyśla się pani, gdzie obecnie mógłby przebywać pani syn? — zapytał Oliver. — Komu ufa? Czy potrafi pani sobie przypomnieć nazwiska jego znajomych?

— Pauline Reichenbach na przykład? — wtrąciła Pia. — Czy Elias ją zna?

Henriette i Peter wymienili szybkie spojrzenia, co nie uszło uwagi policjantki.

— Oczywiście, że tak — odparł Lessing, nie dopuszczając żony do głosu.

— Reichenbachowie to przecież nasi sąsiedzi.

— Ma pani może numer jego telefonu? — Bodenstein nie dawał za wygraną, zwracając się bezpośrednio do pani Lessing.

— Nie ma komórki. — Peter ponownie ubiegł małżonkę. — Dawno zastawił ją w lombardzie.

Bodenstein nie dał się wyprowadzić z równowagi.

— Czy wie pani, jak mógłbym skontaktować się z jego kuratorką? — pytał cierpliwie.

— Dawniej od czasu do czasu z nią... — zaczęła pani Lessing, lecz mąż nie dał jej dokończyć.

— Nie zawracaj sobie nią głowy — prychnął pogardliwie. — Ta idiotka wierzy w jakieś idealistyczne mrzonki i daje mu się okłamywać.

— Kiedy ostatnio rozmawiała pani z synem? — Bodenstein niewzruszenie brnął dalej.

— Kilka... kilka dni temu napisał do mnie mejla. Że planuje odwyk — odparła Henriette Lessing po krótkim wahaniu. Niepewnie spojrzała na męża, bojąc się jego reakcji, jak pies, który wie, że pan zaraz może kopnąć. Przez jej twarz przemknął słaby uśmiech pełen nadziei, lecz zniknął równie szybko, jak się pojawił. Zaciśnęła usta, a w jej oczach pojawiły się łzy. Peter Lessing nie dał po sobie poznać, czy zaskoczyła go tą wiadomością czy nie.

— Elias nie jest złym człowiekiem. — Henriette próbowała usprawiedliwiać syna. — Nie poradził sobie z presją, którą na nim wywieraliśmy.

— Jak długo jeszcze chcesz się obwiniać? — zapytał Peter, zaciskając zęby, żeby nie stracić nad sobą kontroli. — Słyszałaś przecież, że mógł podpalić przyczepę, w której zginął człowiek!

Kłęska jego syna wyraźnie go uwierała. Wyraźnie sprawiała mu ból.

— Nie! Nie wierzę w to! — wyszeptala jego żona, potrząsając gwałtownie

głową. — Elias nigdy nie zrobiłby nikomu krzywdy! Nie on! On przecież ratował pająki i żuczki...

Zamilkła. Pojedyncza łza spłynęła jej po policzku i skapnęła z brody, potem następna, a Pia nie po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy potrafiłaby znaleźć w sobie więcej zrozumienia dla kobiet pokroju Henriette, gdyby sama miała dzieci. Wszyscy rodzice na świecie starają się usprawiedliwiać i tłumaczyć wybryki swoich latorośli, choć przodują w tym matki. Pia siedziała już naprzeciwko matek seryjnych morderców, podpalaczy, gwałcicieli i chuliganów, które za żadne skarby nie chciały przyjąć do wiadomości, do jakich czynów zdolne są ich dzieci.

— Czy zechciałaby pani pokazać nam mejl od Eliasa? — poprosił Bodenstein łagodnym tonem.

— Skasowała go — wtrącił się Lessing. — Skasowałaś, prawda?

Jego żona wierzchem dłoni otarła łzy z policzka i potaknęła. Pia miała już dość.

— Dlaczego nie dopuszcza pan żony do głosu? Na pewno potrafiłaby sama udzielić nam odpowiedzi — zaatakowała gospodarza. — Może się pan boi, że powiedziałyby coś nie po pana myśli?

Peter Lessing przez chwilę świdrował ją wzrokiem.

— W żadnym razie — odparł lodowato. — Proszę bardzo, może sobie pani rozmawiać z nią, ile pani zechce, pani...?

— Sander.

— Sander? Jak dyrektor zoo Fundacji Opla? — Lessing udał zaskoczenie, choć Pia mogła przysiąc, że Oliver już ją przecież przedstawił.

— Tak jest. To mój mąż.

— Wspaniale! Proszę go serdecznie pozdrowić. Dobrze się znamy. Moja firma zawsze bardzo chętnie i szczerze wspiera największe projekty zoo.

— Uniósł znacząco brew. — Do tej pory w każdym razie.

W pierwszej chwili Pia miała wrażenie, że się przesłyszała. Ostatnie słowa Lessinga zabrzmiały przecież jak zawołana groźba, a przynajmniej jak jednoznaczne wywieranie nacisku! Przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się niewinnie.

— Doprawdy? Robi pan to z czystego altruizmu, czy może chodzi o wyrzuty sumienia z powodu dręczenia zwierząt w młodości? Tak przy okazji, gdzie się podział pański kot? Bo chyba jeszcze go pan ma, prawda?

Twarz Lessinga stężała, a na szyi wyszły mu czerwone plamy. W oczach mężczyzny pojawił się nienawistny, ponury błysk. Peter Lessing nienawidził sytuacji, w których nie kontrolował wszystkiego i wszystkich. Może właśnie dlatego nie potrafił znieść syna, który wymknął się jego kontroli?

PO PORDZEWIAŁEJ TOYOCIE Pauline nie było śladu, kiedy opuszczali dom Lessingów. Mimo to Pia podeszła do drzwi Reichenbachów i zadzwoniła, lecz nikt jej nie otworzył.

— Nie powinnaś była tego mówić. — Bodenstein skrzywił się cierpko, kiedy wracali do samochodu. — W ten sposób całkowicie niepotrzebnie nastawiłaś go przeciwko policji, a na dodatek ukazałaś mnie w bardzo złym świetle. Przecież musi się domyślać, skąd wiedziałaś o kocie.

— Przepraszam?! Lessing mi jednoznacznie groził! — zaprotestowała Pia oburzoną tonem. — Ten gość odpowiada książkowej definicji psychopaty! Nie ma się co dziwić, że syn wolał życie na ulicy niż z takim ojcem.

— Mimo to nie postąpiłaś właściwie. — Oliver pilotem otworzył samochód. — Źle zrobiłem, że w ogóle ci o tym powiedziałem. Zachowałaś się nieprofesjonalnie.

— Może trochę, ale miałam powód — przyznała Pia. Zajęła miejsce w fotelu pasażera i sięgnęła po pas bezpieczeństwa. — Znam takich gości jak on. Guzik go obchodzi, co się dzieje z jego synem, ba, nawet to, że mógł kogoś zabić! Jemu zależy tylko na zachowaniu pozorów. Sam chce pokazać się

w dobrym świetle i to jego jedyny cel. Oboje nas okłamali! Jestem na sto procent pewna, że chwilę przed nami odwiedziła ich Pauline Reichenbach, bo rozpoznała Eliasa na nagraniu z fotopułapki. I idę o zakład, że mamuśka doskonale wie, gdzie można znaleźć synka. Nie wykluczam nawet, że sam się już do niej zgłosił. Jest ranny, słaby i nie wie, co dalej. To by również tłumaczyło, dlaczego jego ślad urwał się w środku lasu, przy samej drodze: pojechała po niego i wywozła do jakiejś kryjówki.

— To są same spekulacje! — Bodenstein potrząsnął głową. — Powinnas się uspokoić.

Pia nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jest tak wściekła na Petera Lessinga. Przez wiele lat bezustannie ktoś próbował ją traktować z góry albo protekcjonalnie — głównie ludzie jego pokroju, o osobowości socjopatycznej i narcystycznej, ludzie przekonani o swojej wyższości, zgodnie z teorią Darwina. Nauczyła się też, że osoby o skłonnościach psychopatycznych zachowują się z pozoru całkowicie normalnie, a nawet wykazują się nadprzeciętnym wyczuciem norm społecznych. Często to szarmanccy, elokwentni i wrażliwi ludzie sukcesu, ukrywający drugą stronę osobowości — chronicznych kłamców, manipulantów i intrygantów. Przed wieloma laty sama padła ofiarą osoby o takich skłonnościach, więc wyjątkowo szybko i z wielką ostrożnością reagowała na ich sztuczki.

W drodze do bazy Pia wygooglowała doktora Petera Lessinga. Jego życiorys niczym jej nie zaskoczył: studia ekonomiczne na elitarnych uniwersytetach w Anglii i Stanach Zjednoczonych, doktorat, awanse, błyskotliwa kariera w międzynarodowych bankach inwestycyjnych w Nowym Jorku i Londynie. Ich nazwy nawet dla niej brzmiały znajomo — Goldman Sachs, Lehman Brothers, J.P. Morgan Chase.

Na ekranie jej telefonu pojawiło się powiadomienie o nowej wiadomości. Nie znała numeru, spod którego wysłano SMS-a.

— No proszę, co za niespodzianka — mruknęła zaskoczona. Opłaciło się zostawić Henriette Lessing wizytówkę. — Otóż Elias Lessing jednak posiada telefon — poinformowała szefa. — Jego matka właśnie przesłała mi numer. Przy okazji przeprosza za zachowanie męża. I... to jest dopiero! Elias ma dziewczynę imieniem Nike, aktualnie w ciąży. Dla niej i dla nienarodzonego dziecka postanowił rzucić narkotyki i rozpocząć nowe życie.

— Hm — burknął Bodenstein i to był jego jedyny komentarz.

Pia przesłała wiadomość do Kaia Ostermanna i poprosiła, by postarał się zlokalizować komórkę młodego Lessinga. Przez resztę drogi Oliver milczał. Pia również nie była w nastroju do rozmów, bo z coraz większą mocą docierało do niej, że swoim impulsywnym zachowaniem mogła zaszkodzić Christophowi. Miała wyrzuty sumienia. Zoo utrzymywało się głównie z datków i pieniędzy sponsorów, zwłaszcza tych hojnych i regularnych. A jeśli Lessing w przyszłości rzeczywiście wycofa swoje wsparcie finansowe? I czy w ogóle powinna rozważać podobne rzeczy podczas wykonywania swoich obowiązków? Czy nie powinna ignorować prywatnych odczuć, aby nie zagłuszać intuicji i śledczego nosa? Czy kierowania się pozadochodzeniowymi względami nie powinno się przypadkiem traktować jako najkrótszej drogi do korupcji?

Kiedy Bodenstein parkował na dziedzińcu komendy, Pia postanowiła, że tego wieczoru musi omówić tę sprawę z mężem.

W sali odpraw K11 czekali na nich Kai Ostermann i Tarik Omari, zajęci przygotowaniami do prowadzenia śledztwa w sprawie znalezionej ciała. Tablice suchościeralne na ścianach były wprawdzie jeszcze puste, lecz Kai zdążył przytwierdzić po lewej stronie kilka pierwszych zdjęć spalonych zwłok i podpisać je na czerwono POŻAR NA KEMPINGU W KÖNIGSTEIN. Na stole pracował jego laptop, a obok piętrzyły się jakieś dokumenty. W powietrzu unosił się zapach czosnku i frytury, a Pia, która od rana miała

w ustach jedynie tosty z nutellą, poczuła burczenie w brzuchu.

— No, w końcu jesteście. — Kai mówił z pełnymi ustami, w lewej dłoni trzymał owiniętą w folię aluminiową reszkę kebabu w naleśniku. Do sali wkroczył Cem, niosąc kubeczek kawy. Wydział był prawie w komplecie.

— O matko, śmierdzi tutaj jak w kebabowni. — Pia rzuciła plecaczek na jedno z krzeseł, podeszła otworzyć okna, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, i oparła się o brzeg stołu.

— Koleżanka Sander nie w humorze? — zapytał Cem.

— Skądże znowu! — warknęła Pia. — Gdzie Kathrin?

— U lekarza. Wizyta kontrolna. — Cem usiadł na blacie stołu, założył nogę na nogę i poprawił śnieżnobiałe mankiety koszuli. Dzięki symetrycznym, harmonijnym rysom twarzy, zadbanemu trzydniowemu zarostowi i starannie przyciętym i ułożonym kruczoczarnym włosom bardziej przypominał amanta filmowego niż policjanta. — A ja jestem już do waszej dyspozycji. Wypadnięcie z okna w domu spokojnej starości było bez wątpienia samobójstwem.

— Co z rozmową z siostrą dzierżawczyni gospody przy kempingu? — Pia spojrzała na Tarika, który akurat wycierał tłuste palce w listek papierowego ręczniczka.

— Nie otwierała — wyjaśnił, kończąc przeżuwanie. — Wsunąłem jej pod drzwiami wizytówkę z numerem telefonu i prośbą o kontakt.

— Potrzebowałabym telefonu do Pauline Reichenbach.

— A po co?

— Bo tak! — Pia zgromiła wzrokiem młodszego kolegę. — Muszę wszystko uzasadnić?

— Nie, oczywiście, że nie — zapewnił Tarik potulnie. — Już ci wysyłam.

— Mamy już pierwsze informacje na temat spalonego samochodu osobowego. — Kai powiódł wzrokiem dookoła. — Nasi specjaliści twierdzą,

że to było audi. Poza tym udało mi się ustalić adres pobytu Clemensa Herolda i zebrać kilka interesujących informacji na temat jego siostry Sonji.

— Chętnie wysłuchamy. — Bodenstein stał w progu, trzymał dłonie w kieszeniach i nie zamierzał siadać.

— Clemens Herold, urodzony w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku, żonaty, zamieszkały w Idstein-Niederrod. Dużo podróżuje w celach zawodowych, pracuje jako serwisant turbin wiatrowych. Czasem nie ma go przez kilka tygodni, jeździ wtedy po całej Europie. — Kai mówił z pamięci. — Części z tych wiadomości nie ma oczywiście w bazie danych urzędu meldunkowego, ale tutaj bardzo pomocny okazał się telefon do jego żony Mechthild.

— W sensie?

— Dowiedziałem się od niej, że Clemens jest z zawodu elektrykiem i wcześniej razem z kolegą prowadził własną firmę, ale po jakimś czasie musiał ogłosić upadłość. Doksztąpił się potem, został elektrotechnikiem ze specjalnością turbiny wiatrowe. Całkiem dobrze zarabia, ale też dużo czasu spędza w drodze. Ostatnio bardzo się troszczył o matkę, ponoć bardzo chorą. Ma wyłączoną komórkę, ale jego żona twierdzi, że to normalne, kiedy wchodzi na wiatrak.

— Co z Sonją? — dopytywał się Bodenstein.

— Urodzona w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku, przed rozwodem Ehlers, ponownie wyszła...

— Słucham? — Bodenstein wyprostował się gwałtownie.

— Tak? — Ostermann uniósł głowę i spojrział zaskoczony na szefa.

— Sonja była żoną człowieka o nazwisku Ehlers? — upewnił się Oliver, a na jego czole pojawiła się głęboka pionowa zmarszczka.

— Najwyraźniej. — Niespodziewane pytanie szefa wybiło go z rytmu. Musiał zajrzeć do notatek, żeby podjąć wątek. — Teraz nazywa się... zaraz...

Schreck. Mieszka w Kelkheim-Ruppertshain. Fryzjerka, posiada własny zakład. Dzwoniłem siedemnaście po trzeciej, ale już nie odbierała. Włączył się automat zgłoszeniowy.

— Ehlers... — mruknął Bodenstein. — No proszę...

Po czym bez słowa się odwrócił i wyszedł z sali odpraw, a Kai spojrzał skonsternowany na Pię. Cem i Tarik również nie wiedzieli, co o tym wszystkim myśleć, i spoglądali na drzwi, za którymi zniknął szef.

— Co się z nim dzieje? — zapytał Ostermann. — Przecież jeszcze nie skończyłem.

— Zna Rosemarie Herold i jej rodzinę — wyjaśniła Pia, choć sama była mocno zaskoczona zachowaniem szefa.

— No dobrze, a czego dokładnie dotyczy ta sprawa? — zainteresował się Cem.

Pia streściła mu wydarzenia poprzedniej nocy na kempingu leśnym. Opowiedziała o rozmowie z Edgarem Heroldem i Lessingami, a także o wizycie w hospicjum w Kelkheim, która nie wniosła niczego nowego do sprawy. Od chwili, kiedy Jürgen Becht i Christian Kröger potwierdzili, że bez najmniejszych wątpliwości doszło do podpalenia, a drzwi do przyczepy były zamknięte od zewnątrz, sprawa została sklasyfikowana jako morderstwo. Prokuratura wyraziła zgodę na upublicznienie wizerunku poszukiwanego Eliasa Lessinga, jednak sąd uznał, że nie zachodzą jeszcze przesłanki do wystawienia nakazu aresztowania.

— Komórka Eliasa Lessinga jest wyłączona, więc nie da się ustalić, gdzie w tej chwili przebywa. Wystąpiłem natomiast do telekomu o udostępnienie historii logowań do stacji przekaźnikowych. Tyle że to może trochę zająć.

— Musimy pogadać z jego kuratorką, przydzieloną na czas zwolnienia warunkowego. I znaleźć jego dziewczynę — stwierdziła Pia. — Poza tym musimy skontaktować się z Clemensem Heroldem. Może będzie wiedział, kto,

poza jego matką, dysponował kluczem do przyczepy.

— Ja się mogę tym zająć — zgłosił się Cem.

— Zapytasz szefa, czy z tobą pojedzie? — zaproponowała Pia.

— Pewnie.

— A co ja mam robić? — Tarik spojrział na nią z nadzieją.

— Ksero — odpowiedział mu Ostermann i wskazał na stos papierów na stole.

— O nie, no proszę! — Młody policjant zrobił rozczarowaną minę.

— Każdy musi odbębnić frycowe — Kai się uśmiechnął.

— Ale ja jestem podkomisarzem, a nie praktykantem! — zaprotestował Tarik, ale posłusznie sięgnął po papiery. — Studia skończyłem z najwyższą średnią.

I z ociąganiem ruszył w stronę kopiarki.

— Sekcja zwłok ciała znalezionej w spalonej przyczepie została zaplanowana na jutro z samego rana — poinformował Ostermann. — Kto ma czas o dziesiątej?

— Ja. — Pia puściła do niego oko. — I Tarik.

Poczekala, aż on i Cem wyjdą z sali odpraw, po czym wstała i zamknęła za nimi drzwi.

— Popęlniłam dzisiaj głupi błąd — zaczęła i opowiedziała Kaiowi o rozmowie w domu Lessingów. — Teraz szef jest na mnie zły, bo uważa, że go skompromitowałam przed kolegą z podstawówki.

— Ja na jego miejscu też nie byłbym zachwycony — odparł Kai, czym nie poprawił Pii samopoczucia.

— Lessing celowo mnie prowokował — usprawiedliwiła się. — Bezustannie wchodził żonie w słowo i nie pozwalał jej mówić. A szef w ogóle na to nie reagował. Nie wiem, był cały czas taki... uległy.

— On? Uległy?

— Rany, może to nie najlepsze słowo... — Pia westchnęła. — Usłużny?

— To jest jeszcze gorsze. — Kai potrząsnął głową i uśmiechnął się szeroko.

— Matko, sama nie wiem! — Podniosła się z krzesła i podeszła do okna. Nie wiedziała, jak zasugerować Kaiowi, że dawna znajomość szefa może wpływać na jego profesjonalizm, nie narażając się jednocześnie na zarzut nielojalności. — Zresztą, nieważne.

— Wiesz może, kto zastąpi szefa? — Ostermann zmienił temat.

— Nie. Ty? — Przez ostatnich kilka godzin Pii udało się całkowicie wyprzeć ze świadomości fakt, że to jej ostatnia sprawa prowadzona wspólnie z Oliverem. Teraz nagle poczucie osamotnienia wróciło ze zdwojoną siłą i tylko spotęgowało wyrzuty sumienia. Dlaczego, do diabła, dała się sprowokować do tak nieprzemyślanej wypowiedzi? — Nie mam pojęcia.

— Ja obstawiam, że ty zostaniesz nową szefową.

— Nie byłabym taka pewna. — Pia przysunęła sobie krzesło i usiadła. — Szczerze mówiąc, wolałabym nie. W ogóle najlepiej by było, gdyby szef został.

— Wróci — zapewnił ją Kai. — Ale od sprawy Snajpera bardzo się zmienił. Mocno wtedy dostał w kość. — Zdjął okulary i zamyślony zaczął masować dwoma palcami nasadę nosa. — A ma bardzo kuszącą perspektywę. Kto wie, może na jego miejscu zrobiłbym to samo? Nasza robota potrafi być okropnie frustrująca.

— Ja też go rozumiem — przyznała Pia. — A mimo to jest mi przykro. Jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby za rok rzeczywiście wrócił. Nie daje tego po sobie poznać, ale nie ma ochoty wracać.

— Właśnie dlatego robi sobie roczną przerwę. — Kai założył okulary, które natychmiast zsunęły się w głęboki rowek na grzbiecie nosa, w miejsce, gdzie wcześniej się opierały. — Nie powinnaś odbierać tego tak osobiście.

— Staram się. Niech mu ta przerwa wyjdzie na dobre. — Pia oparła łokcie

na stole, a brodę na dłoniach. Nie mówiła całej prawdy, ale też niezależnie od tego, jak dobrze znała się z Kaiem, nie mogła mu przecież wyjawić, jak się naprawdę czuje na myśl o tym, że Bodenstein wróci do życia, które będzie toczyło się całkowicie poza nią. Kolega mógłby źle ją zrozumieć. — Boję się tylko, kogo nam tutaj przyślą.

— Ciem też byłby dobrym kandydatem — podsunął Kai.

— Albo ty. Masz tutaj najdłuższy staż z nas wszystkich.

— O nie, nie, mowy nie ma! — Kai zdecydowanie potrząsnął głową i postukał w protezę nogi. — Pamiętaj, że ja tu wyrabiam statystki zatrudnienia osób niepełnosprawnych, więc nikt mnie stąd nie ruszy.

Pia uśmiechnęła się szeroko.

— Pojadę z Tarikiem do tej kuratorki Lessinga. — Wstała z krzesła i sięgnęła po plecak. — Dasz sobie radę bez niego?

— Pewnie. — Kai potaknął i uruchomił laptop. — Właśnie, Pia?

— No? — Zatrzymała się z dłonią na kłamce i spojrzała na kolegę.

— *Tempora mutantur, et nos mutamur in illis.*

— Marnujesz na mnie swoją wiedzę, mądralo — powiedziała cierpko. — Nie znam łaciny.

— Jestem wstrząśnięty. — W udawanym przerażeniu wytrzeszczył oczy. — Przecież chodziłaś do żeńskiej szkoły katolickiej!

— Dobra, powiesz, co to znaczy, czy mam trwać w niewiedzy? — Pia nie mogła powstrzymać uśmiechu.

— Czasy się zmieniają, a my razem z nimi — przetłumaczył Kai i puścił do niej oko. — Inaczej rzecz biorąc: życie toczy się dalej!

WIEŚ NIEDERROD składała się w zasadzie z domów stojących wzdłuż głównej ulicy. W miejscu, gdzie droga ostro zakręcała, trzeba było zjechać w lewo, w dróżkę Steinchenstrasse, przy której stało pięć domów, dwa po lewej i trzy po prawej. Plac zabaw dla dzieci, a za nim utwardzona droga prowadząca

w stronę pól i łąk. Clemens Herold mieszkał w ostatnim domu po lewej stronie, całkowicie przeciętnym, z kolektorami słonecznymi na dachu i wiatą parkingową z jasnego drewna, pod którą stało kanarkowożółte mini z numerami z Rüdesheim. Wioska należała do okręgu administracyjnego Rheingau-Taunus.

— Idylliczne miejsce — westchnął Cem, kiedy zaparkowali samochód przy placu zabaw i przeszli na drugą stronę uliczki. — Nie słychać samolotów, szumu samochodów i jest czym oddychać.

Na łąkach, które pokrywały zbocze wzgórza za wsią, pasło się kilka koni. Gdzieś dalej zaszczekał pies, dołączyły do niego kolejne, a po chwili wszystkie ucichły. Wieczorne niebo było czyste i bezchmurne, a gdzieś wysoko krążył myszołów i pokrzykiwał przenikliwie od czasu do czasu.

Drzwi wejściowe otworzyły się, zanim zdążyli zadzwonić, a w progu stanęła korpulentna kobieta przed pięćdziesiątką o twarzy poznaczonej plamami trądziku różowatego. W dłoni trzymała portmonetkę, a pod pachą ścisnęła siatkę na zakupy.

— Pani Herold? — Bodenstein poszukał w pamięci, czy może żonę Clemensa Herolda również znał z przeszłości, lecz jej twarz wydała mu się obca.

— Tak, a o co chodzi?

— Dzień dobry, Bodenstein, policja kryminalna z Hofheim — przedstawił się i pokazał legitymację. — A to mój współpracownik, Cem Altunay. Chcielibyśmy zamienić kilka słów z pani mężem, jeśli to możliwe.

— Mąż wyjechał w delegację — odparła Mechthild Herold. — Już wcześniej powiedziałam wam o tym przez telefon, więc nie musieliście się fatygować.

— Mówił może, kiedy wraca? — zapytał Cem.

Przy płocie rozdzielającym sąsiadujące posesje, między przekwitłymi

słonecznikami i czerwonymi berberysami, pojawiła się ciekawska twarz jakiejś staruszki.

— Może wejdźcie panowie do środka, zanim cała wieś zbiegnie się podsłuchiwać — zaproponowała pani Herold, która również dostrzegła zainteresowanie sąsiadki. Cem otworzył furtkę i razem z Oliverem ruszyli w stronę drzwi przez kwietnik mieniący się jesiennymi kolorami.

— Przepiękny ogród — zauważył Bodenstein. — Sama pani dba o to wszystko?

— Tak. — Mechthild Herold uśmiechnęła się skromnie, choć widać było, że jest dumna ze swego dzieła. — Najwyraźniej mam rękę do roślin.

Weszli do ciemnej sieni. Dom musiał niedawno przejść remont, bo w powietrzu wciąż unosił się zapach świeżej farby.

— Właśnie malowałam jadalnię — wyjaśniła gospodyni i odłożyła siatkę na komódkę. — Mąż już od miesiący się za to zabierał, ale nie miał czasu, szczególnie od kiedy zachorowała jego matka.

— Słyszeliśmy, że bardzo o nią dba — potwierdził Bodenstein.

— Tak, każdą wolną minutę spędza przy jej łóżku. — Czyżby w jej głosie słychać było delikatny wyrzut? Możliwe, że była zazdrosna o czas, jaki jej mąż spędzał przy umierającej matce?

— Kiedy spodziewa się go pani z powrotem?

— W zasadzie miał być już wczoraj wieczorem — odparła pani Herold. — Ale pewnie dostał jakieś wezwanie, to się czasem zdarza. Wtedy spóźnia się i kilka dni. Zdążyłam się już przyzwyczaić.

— I przez cały czas miał wyłączony telefon? Ani razu nie dzwonił?

— Tak też się czasem zdarza — potaknęła po chwili milczenia. Widać było, że się zawahała. — Kiedy jest na wiatraku, ma wyłączoną komórkę.

— Kiedy rozmawiała z nim pani po raz ostatni? — zapytał Cem.

— Wczoraj wieczorem, przed dwudziestą drugą. — W jej spojrzeniu

dopiero teraz pojawiła się troska. — Zadzwoił, kiedy wrócił do hotelu po kolacji.

— Do którego hotelu? W jakiej miejscowości?

— W Sauerland, niedaleko Meschede. Dlaczego zadajecie mi tyle pytań? Czy coś mu się stało?

— To znaczy, że dzisiaj jeszcze pani z nim nie rozmawiała, tak? — Cem zignorował jej pytanie.

— Nie, jeszcze nie. Ale tak bywa, jak człowiek od trzydziestu lat jest z kimś w związku. — Pani Herold zmusiła się do uśmiechu, choć teraz już nie kryła troski.

— Pani Herold — zaczął Bodenstein, przejmując stery rozmowy. — Wczoraj w nocy spłonęła przyczepa pani teściowej.

— Wiem, pański kolega wspomniał o tym przez telefon.

— W chwili pożaru w środku przebywał jakiś mężczyzna. Obok stał zaparkowany samochód osobowy, który również spłonął. Zależy nam bardzo na informacji, kto dysponował kluczami do przyczepy. Czy pani teściowa ją komuś wynajmowała?

— O nie, to na pewno nie. Ona jest do niej bardzo przywiązana. Z tego, co wiem, jedynie mój mąż i jego siostra dysponują kluczami. — Nagle pani Herold uświadomiła sobie, co to może oznaczać, i gwałtownie pobladła. — Mąż czasem wpada tam zajrzeć, czy wszystko jest w porządku, szczególnie od kiedy Rosie tak zaniemogła. Niech panowie poczekają, spróbuję do niego zadzwonić.

Z ładowarki na komodzie w korytarzu podniosła słuchawkę bezprzewodową i nacisnęła przycisk ponownego wybierania numeru. Ani przez chwilę nie spuszczała przy tym wzroku z twarzy Bodensteina. Policjant miał złe przeczucia. Nikt, kto wyjeżdża w delegację i musi być dostępny pod telefonem, nie wyłącza na tak długo komórki.

— Dziwne. Nic nie rozumiem... — Pani Herold potrząsnęła głową. Kiedy odkładała słuchawkę, drżały jej dłonie.

— Jakim samochodem jeździ pani mąż?

— Ciemnoszarym audi a4, numer rejestracyjny HB-VK 391, o ile pamiętam. To służbowe auto.

Czy Clemens Herold rzeczywiście wyjechał, czy okłamał żonę? A może miał kochankę, z którą spotykał się w tajemnicy w przyczepie, w lesie? Takie sytuacje nie są niczym nadzwyczajnym, również w małżeństwach o długim stażu — a może właśnie w nich najczęściej, o czym Bodenstein przekonał się na własnej skórze.

— Jak nazywał się hotel, w którym pani mąż się zatrzymał? — zapytał delikatnie Cem. — Poza tym potrzebowalibyśmy numer jego telefonu, numer do jego firmy i do jego współpracowników. Na takie wysokie wiatraki nie wchodzi się przecież samemu, prawda?

— Nie, zawsze jest ktoś drugi. Mąż najczęściej pracuje z Thomasem Polzinem — wyszeptała pani Herold. — Dlaczego ja na to nie wpadłam? Zaraz do niego zadzwonię.

— Może będzie lepiej, jeśli zostawi to pani nam — zaproponował Bodenstein, spodziewając się, że Clemens mógł poinstruować kolegę, co ma mówić jego żonie, gdyby dzwoniła.

— Pan myśli... że on... że on...? — W oczach kobiety pojawił się błady strach. Po chwili zamilkła i nie zdołała zapytać o to, czego bała się najbardziej.

— Na tym etapie niczego nie możemy wykluczyć. — Bodenstein z powagą pokiwał głową.

— O Boże! — Schwyciła się za gardło i zachwiała się niebezpiecznie, lecz zanim Oliver albo Cem zdążyli ją złapać, oparła się o komódkę. — Już dobrze, dziękuję.

— Czy ma pani kogoś, kto mógłby przyjść dotrzymać pani towarzystwa? — zapytał Oliver ze współczuciem w głosie. — Nie powinna pani zostawać teraz sama.

— Tak... ja... chyba zadzwonię po syna — odparła kobieta głucho. — Mieszka z żoną w Heftrich.

Bodenstein poczekał, aż syn i synowa pani Herold przyjadą na miejsce, po czym pożegnał się i obaj z Cemem wrócili do samochodu. Na dworze panował już mrok. Zanim ruszyli, Cem zatelefonował w kilka miejsc, a kiedy skończył rozmawiać, jego mina zdradzała, że ma złe wieści.

— Herold nie nocował wczoraj w tym hotelu — oznajmił. — Od roku się tam nie pokazywał. Jego współpracownik widział go po raz ostatni w zeszły piątek, a potem Clemens poszedł na dwutygodniowy urlop. Tłumaczył, że musi się zająć chorą matką. Na moje oko ich małżeństwo nie jest takie idealne, jak by się mogło wydawać.

Bodenstein potrząsnął głową. Był zły. Cały świat wypełniały kłamstwa i półprawdy. Dawniej uznaliby, że to zupełnie naturalne, lecz dziś nie potrafił tego zaakceptować. Spojrzał po raz ostatni na dom pani Herold. W jednym z okien dostrzegł zarys jej sylwetki. Jak cienka była granica oddzielająca prozę codzienności od strasznej tragedii! Potwierdzenie jego obaw, że w spalonej przyczepie znaleziono zwłoki Clemensa, byłoby wystarczająco straszne. Lecz dla jego żony byłby to dopiero początek, bo nigdy by się już nie dowiedziała, kiedy po raz ostatni był wobec niej naprawdę szczery. Do końca życia ten brak pewności i ukrywane kłamstwa położyłyby się cieniem na wszystkim, co wcześniej było dobre i piękne.

BYŁO ZIMNO. Zimno i ciemno. Otaczał ją nieprzenikniony mrok. Głowa pulsowała bólem, a język miała wyschnięty na wiór. Felicitas uniosła dłoń i dotknęła czoła. Palcami wyczuła pokaźny guz. Co się stało? I gdzie się znajdowała? Szeroko otworzyła oczy, jakby chciała przeszyć wzrokiem

ciemność. Dookoła panowała martwa cisza. Słyszała jedynie przyspieszone bicie swojego serca i świst oddechu. Chciała usiąść, lecz uderzyła głową o coś twardego.

— O nie... — szepnęła i opadła z powrotem na plecy. Ostrożnie wyciągnęła dłoń i zadrżała, bo dotknęła ściany. — O nie! Nie, nie, nie! Proszę, tylko nie to...

Nie musiała unosić wysoko ramienia, by dotknąć pokrywy nad sobą. Po obu stronach ograniczały ją twarde, zimne ściany. Zbyt gładkie, by były z betonu albo cegieł. Serce zaczęło walić jej jak młotem, a gardło ścisnęła panika. Dreszcze wstrząsnęły ciałem, a czoło zalał pot. Ściany nie miały żadnych luk. Były zimne i gładkie. Metal! Felicitas wsunęła dłonie pod siebie. Wykładzina filcowa. Dopiero teraz poczuła lekki zaduch. Zapach psów! Zadrżała jeszcze mocniej, bo dotarło do niej, gdzie się znajduje. Metalowa skrzynia stała w garażu, o ile jej szwagier nie ładował jej na tył land rovera, żeby coś przewieźć. Jak się w niej znalazła? Kto ją tu przywiózł? I po co?

Ogarniała ją coraz większa panika, oddychała z najwyższym trudem, a serce waliło jej jak oszalałe. Od czasu, kiedy siostra zamknęła ją w domu rodziców w saunie i włączyła piec, cierpiała na bardzo silną klaustrofobię. Były wtedy dziećmi i to miał być dowcip, ale do Manueli zadzwoniła koleżanka i dziewczynka zapomniała o uwięzionej siostrze. Od tego czasu Felicitas nie mogła przebywać w ciasnych, zamkniętych pomieszczeniach. Unikała wind, małych samochodów, przebieralni sklepowych i nawet musiała przerwać badanie tomografem komputerowym, bo w ciasnej tubie dostała ataku paniki.

Może to tylko koszmar, z którego zaraz się przebudzi?

— Halo? — powiedziała głośno i nabrała głęboko powietrza. — Halo? Czy ktoś mnie słyszy?

Jej głos zabrzmiał głucho. Przez chwilę wsłuchiwała się w ciszę. Nic. Nawet najlżejszego szelestu. Łzy bezradności wypełniły jej oczy. Zaparła się

kolanami o wieko metalowej skrzyni w nadziei, że uda jej się wyrwać zamek, lecz bez względu na to, jak mocno naciskała, nie mogła uwolnić się z więzienia. Masywna płyta nie uchyliła się nawet na milimetr. Powstrzymywany z wysiłkiem strach rozsadzał każdą komórkę jej ciała. Co będzie, jeśli komuś, kto ją tu zamknął, coś się stanie? Czytała kiedyś książkę o podobnej sytuacji — uwięziona osoba zmarła z pragnienia. Oblał ją zimny pot. Nikt nie wiedział, gdzie przebywała. Manu z Jensem mieli wrócić z Australii dopiero w połowie listopada. Do tego czasu nikt nie będzie jej szukał.

W DRODZE przez Taunus Bodenstein starał się ułożyć w głowie wszystkie informacje, jakie w ciągu dnia do niego dotarły. W normalnych warunkach prowadzący śledztwo byli krok po kroku konfrontowani z ofiarami, ich krewnymi i znajomymi, a podczas tych spotkań i rozmów wyłaniał się obraz konkretnego podejrzanego. Co rusz pojawiały się nowe twarze, nowe nazwiska i związane z nimi informacje, które pozwalały zrozumieć ich rolę i ustalić miejsce w układance, jaką było śledztwo. Jednak tym razem... tym razem wszystko wyglądało całkiem inaczej. Przez to, że Oliver niemal od zawsze znał dotychczasowych aktorów dochodzenia oraz lokalne plotki i tajemnice, a także wiedział, jakie pogłoski o każdej z tych osób krążyły po okolicy, miał problemy, by z dystansu dostrzec jeden jasny obraz.

Minęli rondo Königsteiner Kreisel, kiedy odezwała się jego komórka. Nie znał numeru, który pojawił się na ekranie. Może oddzwaniała Rosie?

— Dzień dobry, mówi Luzia z hospicjum. Był pan dzisiaj u nas w Kelkheim, chciał pan rozmawiać z panią Herold, prawda?

— Tak, zgadza się. Może mnie pani z nią połączyć?

— Nie, niestety. — Siostra Luzia się zawahała. — Dziś po południu... zupełnie niespodziewanie... pani Herold... zmarła.

Bodenstein wyprostował się gwałtownie.

— Słucham?! — zapytał wstrząśnięty. — Przecież mówiła pani, że Rosie czuje się ostatnio znacznie lepiej?

Kątem oka dostrzegł pytające spojrzenie Cema, więc gestem nakazał skrócić w prawo.

— Nie wiem, czy dobrze robię, że do pana dzwonię — zaczęła Luzia niepewnie, a w jej głosie pojawiła się troska. — Mam po prostu wrażenie, że coś tutaj nie gra. Pani Herold bardzo się ucieszyła, kiedy przekazałam jej pana wizytówkę. Chciała oddzwonić po południu. Najpierw zjadła obiad, potem usiadła na tarasie, żeby trochę odpocząć. A kiedy inna siostra poszła sprawdzić, jak się czuje, okazało się, że już nie żyje. Leżała obok krzesła.

Cem włączył migacz i na wysokości szpitala zwanego potocznie kolejowym zjechał do zatoczki autobusowej.

— Czy zawiadomiła pani jej rodzinę? — zapytał Bodenstein.

— Nie, jeszcze nie. Tym zawsze zajmuje się nasza szefowa. Wie pan — dodała cicho, a w jej głosie słychać było napięcie — wie pan, dla nas to nic nadzwyczajnego, że nasi pensjonariusze umierają. W końcu po to do nas trafiają. Ale pani Herold... to nie był jeszcze jej czas.

Na dźwięk tych słów Bodenstein poczuł zimny dreszcz. Minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni widział Rosie, lecz nagle odniósł wrażenie, że to było nie dalej jak wczoraj. Nie miała w życiu zbyt wielu powodów do radości, a mimo to zawsze była serdeczna, uśmiechnięta i miła.

— Jest pani jeszcze w hospicjum? — zapytał.

— Tak.

— Czy na miejscu pojawił się już lekarz?

— Jeszcze nie, ale lekarka zajmująca się panią Herold jest już w drodze.

— Proszę w takim razie dopilnować, żeby przy zwłokach niczego nie zmieniać, żeby nawet lekarka ich nie dotykała — poinstruował ją Bodenstein z naciskiem w głosie. — Za dziesięć minut będziemy u pani.

BODENSTEIN NIE POZNAŁBY Rosemarie Herold, gdyby przypadkowo wpadli na siebie na ulicy. Zapamiętał ją jako korpulentną kobietę, lecz ciężka choroba całkowicie ją wyniszczyła. Pani Landenberger udało się powstrzymać koleżanki przed podniesieniem ciała z ziemi i zanieśieniem do pokoju, na łóżko. Dzięki temu, kiedy Bodenstein dotarł na miejsce, Rosie Herold leżała w tej samej pozycji, w jakiej ją znaleziono. Kobieta mieszkała w pokoju na parterze, z wyjściem na niewielki taras, z którego rozciągał się widok na pola, a z dala widać było połyskującą panoramę Frankfurtu. Ciało staruszki spoczywało przy krześle, na którym wcześniej siedziała, paląc papierosa. W ceramicznej popielniczce leżały trzy niedopałki odpowiadające marką paczce na stoliku.

— Nie zabraniamy naszym pensjonariuszom kultywowania swoich ulubionych zwyczajów — wyjaśniła Luzia Landenberger, widząc zaskoczenie na twarzy policjanta. — Większości z nich nie pozostało zbyt wiele czasu, dlatego staramy się, żeby był on tutaj jak najszczęśliwszy.

Pani Landenberger i jej współpracowniczka, która znalazła ciało, stały w drzwiach balkonowych i obserwowały rozwój sytuacji. Bodenstein wciągnął rękawiczki jednorazowe i przykucnął obok ciała. Brak pulsu. Skóra była już chłodna. Kiedy odwracał delikatnie na bok wychudzone ciało Rosie, z jej głowy zsunęła się peruka. Na karku i z boku szyi dostrzegł ciemne plamy.

— Widzisz? — zapytał Cema. Pierwsze oznaki plam opadowych pojawiają się zazwyczaj dwadzieścia minut do pół godziny po zgonie.

— Aha. Już wyraźne.

— Pojawiło się też stężenie pośmiertne. — Bodenstein bez skutku usiłował otworzyć denatce szczękę, by przyjrzeć się jej językowi. — To by oznaczało, że śmierć nastąpiła dwie do czterech godzin temu. Masz może latarkę?

— Tak. — Cem podał mu miniaturową latareczkę firmy Mag-Lite. Oliver uniósł powiekę zmarłej i w jasnym świetle dostrzegł to, czego się obawiał

— punktowe wylewy zwane wybroczynami, świadczące o uduszeniu.

— Co się tu dzieje? — rozległ się czyjś głos, a w drzwiach tarasowych pojawiła się kolejna kobieta. — Kim są ci ludzie?

Bodenstein dostatecznie dużo zobaczył. Wyprostował się i odwrócił. Obok Luzii Landenberger i jej koleżanki stanęła około sześćdziesięcioletnia kobieta o krótkich siwych włosach.

— Mógłby mi ktoś wytłumaczyć, co to wszystko ma znaczyć? — zapytała ostrym tonem, na co Bodenstein i Cem pokazali jej swoje legitymacje.

— Policja kryminalna? Coś się stało?

— Istnieje podejrzenie, że pani Herold nie zmarła z przyczyn naturalnych — wyjaśnił Oliver. — Pani jest jej lekarką?

— Zgadza się, Renate Basedow. — Siwa kobieta była bardzo poruszona. — Nie zmarła z przyczyn naturalnych? Czyli?

— Wszystko wskazuje na to, że się zakrztusiła albo została uduszona.

— O Boże... — Doktor Basedow, wyraźnie wstrząśnięta, pokręciła głową. — Kiedy pani Landenberger mnie wzywała, ani słowem nie wspomniała o takich podejrzeniach, więc założyłam, że Rosie zabiła choroba...

— Niestety nie.

— Czy mam... czy mam dokonać oględzin zwłok?

— Nie, dziękuję, to nie będzie konieczne. — Bodenstein uśmiechnął się do niej nieznacznie. — Wezwałem już medyka sądowego. Proszę jednak zostawić numer telefonu, gdybyśmy później mieli do pani jakieś pytania.

— Oczywiście. — Doktor Basedow otworzyła kuferek lekarski i wyjęła ze środka wizytówkę. — Mam gabinet w kompleksie Zauberberg w Ruppertshain, ale zawsze jestem pod telefonem.

Do pokoju Rosie wkroczyła otyła blondynka. Miała krótką, praktyczną fryzurę i modne kanciaste okulary. Ubrana była w czarne spodnie i czarną bluzkę, na którą narzuciła dłuższy jaskraworóżowy sweter.

— Pani Reichenbach, nasza szefowa — przedstawiła ją Luzia Landenberger. Kobieta nawet nie próbowała kryć niezadowolenia z obecności policji kryminalnej w jej placówce.

— Nie poznajesz mnie, co? — zapytała, na wpół z urazą, na wpół rozbawiona. — Fakt, jestem dwa razy większa niż w czasie, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

Bodenstein gorączkowo myślał, skąd mógłby kojarzyć jej twarz, lecz nic mu nie przychodziło do głowy.

— Simone? — podsunęła mu. — Dzisiaj Reichenbach, a dawniej Ohlenschläger? Coś zaczynasz sobie przypominać?

Niewiele brakowało, a zawołałby „O mój Boże!”, ale na szczęście w porę ugryzł się w język. Bo rzeczywiście, przypomniał sobie, kim jest ta kobieta, lecz równocześnie ogarnęło go przerażenie, jak wielka była różnica między tamtą Simone a kolosem naprzeciwko. Dawniej była najlepszą przyjaciółką Inki Hansen i, podobnie jak jej mąż, koleżanką Olivera ze szkoły podstawowej.

— No proszę, co za niespodzianka — udał radosne zaskoczenie. — Ostatni raz widzieliśmy się chyba na waszym weselu, co? Kiedy to było?

— Lipiec osiemdziesiątego trzeciego. — Przyjrzała się uważnie jego twarzy. — Prawie się nie zmieniłeś.

— Ty również — zrewanżował się natychmiast, lecz ona machnęła lekceważąco dłonią.

— Pan von Bodenstein uroczy i szarmancki jak zawsze. — Po chwili zmieniła temat. — Jak to się stało, że ty się tu pojawiłeś? Raczej nie przypadek? Luzia wspomniała, że już wcześniej chciałeś rozmawiać z Rosie?

— Zeszłej nocy spłonęła jej przyczepa, a w zgłiszczach znaleźliśmy czyjeś zwłoki — wyjaśnił.

— No tak, ten pożar na kempingu w lesie... córka mi mówiła. — Simone

Reichenbach zmarszczyła brwi. — Czyli to była przyczepa Rosie...

— Twoja córka?

— Tak, Pauline. Nasza najmłodsza. Studiuje biologię i jako wolontariuszka pilotuje projekty związane z dzikimi kotami. Wieland do niej zadzwonił.

Bodenstein przypomniał sobie jak przez mgłę, że na miejscu rzeczywiście widział pulchną dziewczynę w spodniach w panterkę przy zardzewiałym aucie, które potem stało przed domem Lessingów.

— Technicy i medyk sądowy są już w drodze — potwierdził Cem.

— Naprawdę myślisz, że Rosie mogła zostać zamordowana? — zapytała Simone Reichenbach półgłosem. — Bo wiesz, ona była ciężko chora. I tak bardzo niewiele jej zostało...

— Obawiam się, że ktoś jej pomógł na samym finiszu — odparł Bodenstein.
— Powiadomiłaś już rodzinę?

— Do Clemensa nie mogłam się dodzwonić, więc dałam znać jego żonie, jednak nie mogła przyjechać. Za to Sonji i Edgara można się spodziewać w każdej chwili.

Simone Reichenbach była przyzwyczajona, że jej pensjonariusze prędzej czy później umierali, lecz mimo to Bodenstein nie mógł uwierzyć, jak mało ją obeszło zamordowanie kobiety powierzonej jej opiece, którą ponadto znała od zawsze. Jedyne, czym się martwiła, to reputacja hospicjum. Wiadomość o przybyciu policji kryminalnej rozeszła się lotem błyskawicy, a że akurat o tej porze wielu pensjonariuszy i pensjonariuszek miało odwiedziny, informacja o morderstwie w hospicjum rychło wydostała się poza jego mury. Nie była to najlepsza reklama dla nowej placówki.

Bodenstein rozejrzał się po niewielkim tarasie. Bez wysiłku można było się tu dostać niezauważenie, tak samo jak na teren placówki; płot, który ją otaczał, pełnił funkcję bardziej symboliczną niż ochronną. Nie trzeba było być wysportowanym, by go pokonać. Wszędzie rosły drzewa i krzewy, które mogły

służyć za kryjówkę, a tarasiki przy pokojach na parterze dla ochrony prywatności oddzielały od siebie wysokie drewniane ekrany.

— Chciałbym obejrzeć nagrania z kamer monitoringu — zwrócił się Bodenstein do Simone. — Z tego, co zauważyłem, macie ich tutaj sporo dookoła budynku i w środku.

— Na razie to są tylko atrapy. — Simone Reichenbach wzruszyła ramionami i szybko przeszła do ataku, żeby uciszyć wyrzuty sumienia: — Mam nadzieję, że policja nie będzie się teraz tego czepiać. Kamery i oprogramowanie nie są na liście priorytetów hospicjum. Sam rozumiesz, kto mógłby się spodziewać, że coś takiego się tu wydarzy?

Nie zaskoczyła Bodensteina. Nie pierwszy raz spotykał się z sytuacją, kiedy kwestie bezpieczeństwa były spychane na dalszy plan. Znacznie bardziej interesowało go pytanie, czy sprawca znał to miejsce? Czy wiedział, że kamery nie działają i że wejście na teren hospicjum nie niesie z sobą właściwie żadnego ryzyka?

— Dałoby się odtworzyć listę osób, które w ostatnich tygodniach odwiedziły Rosie? — zapytał.

— Ciężko będzie. U nas nie ma konieczności wpisywania się do rejestru. — Simone Reichenbach potrząsnęła głową. Nawet nie udawała żalu. — A do Rosie waliły prawdziwe tłumy. Przez ostatnich kilka tygodni przewinęło się z pół Ruppertshain. Spotkania z gośćmi dobrze jej robiły.

Cem przykrył ciało delikatną narzutką, bo trawnikiem zbliżali się pierwsi ciekawscy i wyciągając smartfony i szyje, usiłowali coś zobaczyć.

— Kiedy Rosie do was trafiła? — dopytywał się Bodenstein.

— W połowie września — odpowiedziała pani Reichenbach. — Bardzo źle się wtedy czuła, ostatnia chemioterapia zupełnie nie zadziałała. Pewnie wolałaby zostać w tej swojej przyczepie, ale tam nie miałyby nikogo, kto by o nią dbał. Tutaj bardzo odpoczęła. Swoją drogą to typowe dla nowotworów.

Zazwyczaj koniec przychodzi bardzo szybko po krótkiej fazie złudnej poprawy.

— Kto opłacał jej pobyt tutaj?

— Jej ubezpieczyciel. Dlaczego o to pytasz?

— Rutyna — uspokoił ją. — Znasz jej lekarkę?

— Tak, od dłuższego czasu. Pani doktor Basedow ma gabinet w Ruppertshain i zajmuje się wieloma z naszych pensjonariuszy.

Komu mogłoby zależeć na śmierci Rosie? Była przecież śmiertelnie chora, więc i tak długo by już nie pożyła. Ktoś jednak uznał, że nawet to trzeba przyspieszyć. Jeśli miałyby się okazać, że Rosie rzeczywiście została zamordowana, a jutro potwierdziłoby się, że w zgliszczach przyczepy znaleziono zwłoki Clemensa Herolda, zasadne okaże się postawienie pytania, kto najwięcej skorzysta na śmierci tych dwojga. Najoczywistsza odpowiedź była zbyt prosta, a on zbyt długo był policjantem, żeby wierzyć w przypadki.

MIMO SYTUACJI, w jakiej się znalazła, udało jej się usnąć, a potem, przez kilka sekund po obudzeniu, jej mózg okrutnie z niej zakpił, bo w pierwszej chwili miała wrażenie, że wszystko jest w porządku. Uświadomiła sobie w przyływie gorzkiej ironii, że po raz pierwszy od miesiący zasnęła bez pomocy alkoholu. Wściekłość z powodu bezradności szybko ustąpiła miejsca przerażeniu. Miała wyschnięte usta. Chciało jej się jeść i coraz mocniej dawał o sobie znać pełny pęcherz. Już dawno straciła poczucie czasu. Na szczęście metalowa skrzynia miała otwory, przez które do wnętrza dostawało się powietrze. Jak długo spała? Czy na zewnątrz było jeszcze jasno, czy panował już mrok? Kto ją tutaj zamknął? I dlaczego? Co zamierzał z nią zrobić? Zostawi ją tu na pewną śmierć, czy w końcu wypuści z tej skrzyni, żeby ją wykorzystać, torturować i dopiero potem zamordować? Wyobraźnia podsuwała jej scenariusze rodem z horrorów, każdy kolejny gorszy od poprzedniego. Żałowała, że przeczytała w życiu tyle thrillerów, bo przez to

wiedziała, do jak strasznych czynów są zdolni psychopaci.

Niepewność co do dalszego losu była równie okropna jak świadomość, że nikt jej nie będzie szukał ani za nią tęsknił. Może poza Bearem i Rockim, które nie dostaną nic do jedzenia i picia, jeśli umrze. Zdechną z głodu, zanim Manu i Jens wrócą z Australii. Jedno było pewne, pomyślała Felicitas w przypiływie zgorzknienia: siostra będzie bardziej żałować swoich kundli niż jej. A jeśli kiedykolwiek znajdą jej wyschnięte zwłoki, nikt nie przyjdzie na pogrzeb, najwyżej ci, których zniszczyła ostrym piórem albo którym poprzetręcała z zazdrości kariery. *Dlaczego jesteś taka złośliwa, zgorzkniała i zawistna? Co sprawiło, że tak się zmieniłaś?* W jej uszach znów zabrzmiały słowa siostry, aż poczuła wewnętrzny skurcz. Ona sama wszystko zepsuła. Miała dobrego męża, takiego, który cierpliwie znosił jej humory i nigdy się jej nie czepiał. Bolało nawet samo wspomnienie rozczarowania w jego oczach, kiedy mu oznajmiła, że się wyprowadza.

— Popełniasz błąd — powiedział jej wtedy Stefan. — Ten człowiek nie jest nic wart. Jest dwadzieścia lat młodszy od ciebie. Zależy mu jedynie na twoich pieniądzach i twoich znajomościach.

Nie posłuchała go. Była jak opętana! Kiedy skończyły jej się pieniądze, a mieszkanie dawno należało właściwie do banku, skończyła się też czułość Saschy i komplementy. Manu i Jens nie mieli pojęcia, w jak tragicznej sytuacji się znalazła, i nawet przez myśl im nie przeszło, że ukrywa się u nich przed kilkoma naprawdę nieprzyjemnymi wierzycielami. Zrozpaczona popełniła błąd i zaciągnęła pożyczki u prawdziwych lichwiarzy. Gdyby teraz wpadła w ich łapy, nie byłoby jej do śmiechu.

Bardzo jej się nie podobało rozpamiętywanie własnych porażek, jednak w metalowym więzieniu nie miała na czym się skupić, a nic innego nie przychodziło jej do głowy.

— Chcę stąd wyjść! — zawyła i z wściekłością zaczęła łomotać nogami

o ścianę skrzyni. — Pomocy! Czy ktoś mnie słyszy? POMOCY!

Kopała, krzyczała i rzucała się na boki, aż w końcu zmoczyła spodnie. Po policzkach spłynęły jej łzy. W końcu znieruchomiała i w milczeniu czekała, czy ktoś przyjdzie i ją wypuści, lecz nic takiego się nie stało. Jedyne odgłosy, jakie do niej docierały, to bicie jej własnego serca i burczenie w żołądku.

PIĄTEK 10 PAŹDZIERNIKA 2014

Wdrodze do Frankfurtu Tarik był wyjątkowo małomówny, jednak Pii to nie przeszkadzało. Poprzedniego wieczoru Bodenstein zadzwonił jeszcze, żeby poinformować, że Rosemarie Herold nie żyje i że jej śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych. Zadzwoniła do niego jedna z pracownic hospicjum, więc z Cemem szybko pojawili się na miejscu, a kiedy zdecydował, że ciało powinno zostać przewiezione do Instytutu Medycyny Sądowej, doszło do poważniejszej kłótni, bo Edgar Herold zaczął protestować i nie chciał się na to zgodzić. Szefowa placówki również była przeciwko, głównie z racji obaw o dobre imię hospicjum. Oliver nie dał im się zakrzyczeć, przekazał ciało do Instytutu i powiadomił o swoich podejrzeniach prokuraturę. Prokurator podzielił jego podejrzenia co do przyczyn śmierci Rosemarie Herold, podobnie jak sędzia, który zatwierdził sekcję zwłok i wysłał niezbędne dokumenty. Wydział K11 nierzadko badał więcej niż jedną sprawę naraz, jednak dwa morderstwa w tak małej miejscowości jak Kelkheim i to popełnione w ciągu dwóch dni, jeszcze się nie zdarzyły. Kathrin lada chwila miała pójść na zwolnienie, a Bodenstein na bezpłatny urlop. Tymczasem Tarik nie miał jeszcze doświadczenia, więc zasoby kadrowe wydziału były nader skromne.

Pauline Reichenbach nie odbierała telefonu, kiedy poprzedniego wieczoru Pia usiłowała się do niej dodzwonić, a skontaktowała się dopiero na wyraźną prośbę przesłaną SMS-em. Dziewczyna zarzekała się, że nie rozpoznała mężczyzny uwiecznionego przez fotonaukę, a zapytana o cel odwiedzin u Lessingów zawahała się i przez chwilę milczała, by w końcu wyjaśnić, że

przyjaźni się z Letizią Lessing i chciała z nią pogadać. Pia miała wątpliwości, czy młoda wolontariuszka mówi prawdę, ale nie potrafiła znaleźć powodu, dla którego ta miałaby ją okłamywać. Mimo to miała mieszane uczucia po zakończeniu rozmowy.

Korek zaczął się na wysokości hotelu Radisson Blu, którego imponująca forma przywodziła na myśl gigantyczną niebieskawą szybę. Wprawdzie apogeum porannego szczytu minęło, jednak w czasie Frankfurckich Targów Książki wokół terenów targowych panował wzmożony ruch. Pia powtarzała sobie w myślach, że wieczorem koniecznie musi porozmawiać z Christophem o spotkaniu z Peterem Lessingiem. Poprzedniego dnia mąż wrócił do domu jeszcze później niż ona, a potem zadzwonił Bodenstein i zupełnie wypadło jej to z głowy.

— W zasadzie to dlaczego w ogóle pracujesz w K11? — niespodziewanie przerwał ciszę Tarik.

Pia się zawahała. Tak bezpośrednio nikt jej jeszcze o to nie pytał. Tak po prostu wyszło. Po traumatycznym przeżyciu z młodości, które całkowicie zmieniło jej życie i pozbawiło ją naturalnej beztroski, rzuciła studia i wstąpiła do policji. Jej siostra Kim, która zazwyczaj nie potrafiła sobie odmówić szybkiej analizy bliskich i znajomych, uważała, że ta decyzja była nieuświadomioną potrzebą poszukiwania bezpieczeństwa — jako policjantka nie czuła się już bezbronna. Możliwe, że rzeczywiście było w tym trochę prawdy, lecz Pia nigdy tak tego nie widziała. Podobała jej się szkoła policyjna. A potem poznała Henninga, a przez niego świat morderstw i zabójstw.

— Od zawsze lubiałam rozwiązywać pogmatwane sprawy — odpowiedziała. — Poza tym dawniej K11 uchodziło za królewski wydział, ten najważniejszy. Elitę policji kryminalnej. Każdy chciał tam trafić, więc ja też miałam taką ambicję. Nawet szybko mi się udało. Jednak to wyglądało

zupełnie inaczej, niż sobie wcześniej wyobrażałam, a moi współpracownicy okazali się zadufanymi w sobie facetami w stylu macho, którzy na każdym kroku starali się utrudnić mi życie. Byłam jedyną kobietą w wydziale i na dodatek żoną medyka sądowego. W końcu miałam dość i zrobiłam sobie przerwę. — To nie do końca tak wyglądało, jednak prawdziwy powód zawieszenia kariery w policji pozostawał jej tajemnicą, którą dotychczas z nikim się nie podzieliła. — Przez kilka lat byłam panią domu, a potem niespodziewanie zaproponowano mi posadę w nowo tworzonego wydziale zabójstw w Hofheim. Przyjęłam ofertę i tak się tu znalazłam.

— Hm. — Tarik pokiwał zamyślony głową. — Jak ty to wszystko znosisz? No wiesz, te tragedie, rozmowy z rodzinami ofiar, przemoc?

— Trzeba się nauczyć zachowywać zdrowy dystans do tego wszystkiego, jednocześnie nie popadając w obojętność albo cynizm — odparła. — Cały czas pilnuję, żeby oceniać wszystko z odpowiedniego dystansu, bo tylko tak mogę zachować obiektywizm. No i nie postrzegam tej pracy jako walki z całym złem tego świata. Mimo że jest czasem paskudna i frustrująca, daje mi poczucie, że przywracam ofiarom część ludzkiej godności, wyjaśniając okoliczności ich śmierci. Ale nie tylko o to chodzi, bo bliskim ofiar, którzy przecież też stają się ofiarami, skazanie sprawcy przynosi ogromną ulgę. I właśnie dlatego pracuję w K11 i nie wyobrażam sobie, żebym mogła trafić do innego wydziału.

— A zdarza się, że sprawy, którymi się zajmujesz, mimo wszystko cię dotykają?

— Pewnie, że tak — odparła Pia. — Szczególnie takie, w których nie mogę ustalić tożsamości ofiary albo kiedy pokrzywdzonymi są dzieci i młodociani. Takie śledztwa nie dają mi żyć. Nie ma chyba smutniejszej i tragiczniejszej sprawy niż niezidentyfikowane ciało, zakopane gdzieś na odludziu albo porzucone. Ktoś, kogo nikt nie szuka. Właśnie dlatego czuję, że dobrze robię.

Tuż za targami ruch był znacznie płynniejszy. Jeśli nic się nie zmieni, uda im się dotrzeć na czas do Instytutu Medycyny Sądowej na sekcję zwłok.

— A ty? — zapytała Pia. — Co sprawiło, że trafiłeś do K11?

— W czasie studiów zaginęła jedna z dziewczyn z naszej uczelni, moja znajoma. Wynajmowała pokój w tym samym mieszkaniu co ja — wyjaśnił Tarik. — Jej ciało znaleziono dopiero osiemnaście miesięcy później. Została zgwałcona, uduszona i poćwiartowana. Jej rodzina potwornie ciężko to przeżyła, nie mogli znieść niepewności. Ale policja się nie poddawała i przez półtora roku nie dawała za wygraną. W końcu wyjaśnili sprawę. Byłem pod wielkim wrażeniem. Dlatego zostałem policjantem.

— No tak. Widzisz, każde z nas ma swoje powody, dla których zdecydowało się zająć łapaniem morderców. — Pia się uśmiechnęła.

Minęli dworzec główny i przejechali mostem Friedensbrücke w kierunku Sachenhausen. Szklane fasady wieżowców i gładka jak szyba powierzchnia Menu na wyścigi odbijały ciepłe promienie słońca.

— Dlaczego szef chce to rzucić?

— Nasza praca wymaga ogromnego zaangażowania, motywacji i sprawia, że jesteśmy w permanentnym stresie. Dlatego nasz zawód należy do zawodów podwyższonego ryzyka. — Po prawej stronie pojawił się kompleks budynków szpitala uniwersyteckiego. — Wielu z nas dociera w końcu do punktu, w którym po prostu nie daje dalej rady. Może szef właśnie znalazł się na takim zakręcie i nie może już dłużej znieść napięcia? W ostatnich latach prowadziliśmy kilka naprawdę ciężkich spraw, bardzo wyczerpujących i trudnych.

— Szkoda, że odchodzi — podsumował Tarik.

— Też żałuję. — Pia westchnęła. — To najlepszy szef, jakiego kiedykolwiek miałam. Żaden inny nie może się z nim równać.

— Myślisz, że wróci po roku?

— Nie mam pojęcia. Naprawdę nie mam zielonego pojęcia.

— MIMO NAJSZCZERSZYCH CHĘCI nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego ktokolwiek mógłby zrobić mamie coś takiego. — Sonja Schreck wciąż jeszcze nie doszła do siebie po wstrząsie. Dłońmi obejmowała wyszczerbiony kubek kawy z dużym logo drużyny Eintracht Frankfurt. Miała spuchnięte, zaczerwienione oczy. — Przecież wszyscy ją tak bardzo lubili!

— Ja to bym na jej miejscu nie brał pokoju na parterze. — Detlef, mąż Sonji, siedział na krześle rozkraczony, z ramionami założonymi na piersi. — Tylu penerów, co się teraz kręci, to bym się nie dziwił, że któryś chciał coś zajmować.

— Nic z jej pokoju nie zginęło — zauważył Bodenstein. — Na stoliku nocnym leżał zegarek, a na komódce zostawiła otwartą portmonetkę.

Siedzieli w trójkę przy stole w brudnej kuchni. Przed Oliverem stała filiżanka kawy. Po pierwszym łyku uznał ją za absolutnie paskudną i wolał ją zostawić, żeby wystygła, niż zepsuć sobie żołądek. Jasne drewno blatu zdobiły liczne ślady po mokrych kubkach. W pomieszczeniu królowała tania płyta meblowa, straszyły obłupane narożniki i poobwieszane drzwiczki szafek.

— Każdy może tam wleźć i wyleźć, nikt tego nie pilnuje. — Detlef machnął lekceważąco ręką. — Na wszystkim oszczędzają, ale nikt się przecież nie będzie skarżył, bo i tak są tam na krótko. A rodziny siedzą cicho, bo się cieszą, że mają problem z głowy. Ta cała Simone to ma kieszenie pełne kapuchy! Niedawno powiedziała, że taka placówka to prawdziwa żyła złota! Miała z czego postawić taki pałac przy Herlenstückshaag. — Prychnął pogardliwie. — A to przecież nie pierwszy raz, że coś się dzieje, co nie, Sonny?

Jego opuchnięta szczurza twarz była aż czerwona, a ze złości nie mógł normalnie oddychać, tylko krótkimi, gwałtownymi haustami łapał powietrze. Z przyszczatego chłopaczka wyrósł masywny, ba, zwalisty mężczyzna. Wąsikiem maskował zajęczką wargę, która w młodości szpeciła go do tego

stopnia, że żadna dziewczyna nie chciała się z nim umówić. Popielatoblond włosy zastąpiła łysina, a wianuszek wokół tonsury i pojedynczy pukiel, uparcie rosnący nad czołem, regularnie golił. Dawniej Detlef Schreck starał się trzymać w pobliżu bandy Clemensa Herolda, Jakoba Ehlersa, Leona Kellera i pozostałych, choć tak naprawdę nigdy nie należał do grupy. Był raczej wykorzystywany przez swych darzonych podziwem kolegów. Starał się wkupić w ich łaski i w tajemnicy pozwalał im tankować za darmo mopedy na stacji benzynowej rodziców. Jednak w końcu dowiedział się o tym jego ojciec i potraktował pierworodnego pasem tak mocno, że ten przez tydzień nie mógł usiąść. Co się takiego stało, że piękna Sonja została jego żoną?

— Wiesz może, kto miał klucze do przyczepy twojej matki? — Bodenstein wykorzystał ciszę, kiedy Detlef musiał zrobić przerwę, żeby nabrać powietrza.

— Jej przyczepa... Tam czuła się naprawdę szczęśliwa.

Oczy Sonji znów zaszyły łzami. Uniosła dłoń i nieświadomym gestem bawiła się włosami, nawijając kosmyk na palec. Ciemny lakier na paznokciach miejscami odprysnął, a skóra powyżej była niezdrowo zaczerwieniona.

— Klucze mieliśmy ja i Clemens. Edgar nie chciał.

— Czy ktoś korzystał ostatnio z przyczepy?

— Tak, Clemens. Często tam jeździł, bo potrzebował spokoju. Zamierzał spisać kronikę rodzinną. Dla mamy na siedemdziesiąte piąte urodziny. Których już nie będzie obchodzić...

— No naprawdę, jak ty mu możesz wierzyć w takie bajki?! Kronikę rodzinną chciał pisać, akurat! — Detlef prychnął pogardliwie. — Posuwa tam jakąś pannę, a naiwna Mechthild jest za głupia, żeby to pojąć!

— Przestań! Wystarczy już! — pisnęła Sonja tak głośno i niespodziewanie, że Bodenstein aż podskoczył ze strachu i niewiele brakowało, a wylałby kawę. — To nieprawda!

— Poczekaj, a się przekonasz! — burknął jej mąż obrażonym tonem i wstał.

— Dobra, zmywam się do warsztatu. Nie będziesz sobie na mnie pokrzykiwała, kiedy ci przyjdzie ochota.

I czerwony ze złości wyszedł z kuchni. Chwilę później rozległo się trzaśnięcie drzwiami.

— Przepraszam. — Sonja spojrzała na Bodensteina. — Detlef tak się normalnie nie zachowuje, ale jak chodzi o Clemensa, to traci panowanie nad sobą. Nie mam pojęcia, dlaczego mój brat tak na niego działa.

Bodenstein przeczuwał, że szwagier nie był jedyną osobą, z którą Detlef miał problem.

— Nie miałem pojęcia, że wyszłaś za mąż.

— W czerwcu siedemnaście lat będzie. Wierzyć się nie chce, co? Jak ten czas leci... — Sonja wyjęła chusteczkę jednorazową z pudełka i wydmuchała nos. — Jeszcze niedawno człowiek był młody i miał całe życie przed sobą... a potem nagle patrzysz i widzisz, że pół życia już minęło.

— To jest twoje drugie małżeństwo, prawda?

— Zgadza się. — Sonja się zaśmiała, lecz nie było w jej śmiechu wesołości. Spochmurniała. — Byłam młoda i głupia. Wydawało mi się, że złapałam najlepszą partię w okolicy.

— Co się stało? — zapytał Bodenstein. Po raz pierwszy od dawna przyszedł mu na myśl dawny kolega, Ralf Ehlers, i jego nieobliczalny charakter. Kiedyś często odczuwał dyskomfort z tego powodu, że Ralf w zasadzie nie zwracał na nic uwagi, nie zważał na żadne granice i nigdy nie potrafił dotąd i nie dalej. Nie raz i nie dwa swoimi idiotycznymi pomysłami ściągał na całą bandę kłopoty. Ku rozpaczyci rodziców stał się lekkoduchem, który nigdy nie potrafił zagrzać na dłużej miejsca w żadnej pracy. Bodenstein nie miał pojęcia, czy w ogóle jeszcze żyje, a jeśli tak, to gdzie mieszka i co porabia.

— Tak konkretnie to nic się nie stało — odparła Sonja po krótkim wahaniu.

— Miałam po prostu zupełnie inne oczekiwania. Chciałam założyć rodzinę, mieć dzieci, domek z ogródkiem, a on miał pstro w głowie. Marzył o wyjeździe do Azji. I o podróży dookoła świata! Ale zupełnie go nie interesowało, skąd wziąć na to pieniądze. Uważał, że jestem prowincjonalna i ograniczona. Pewnie miał trochę racji. Byłam zbyt tchórzliwa, żeby to wszystko ot tak porzucić. Mamę, która mnie potrzebowała... — Jej twarz rozświetlił na chwilę tęskny uśmiech. — Dlatego wybrałam bezpieczeństwo: nauka zawodu, mąż, domek, trójka dzieci i salon fryzjerski. Od czasu do czasu wakacje w Austrii albo we Włoszech. I tyle. Rozpamiętywanie, co by było gdyby, niczego już nie zmienia.

Kolejne małżeństwo również nie dało jej szczęścia. Bodenstein z ciężkim sercem przyglądał się jej rezygnacji.

— Ech... nie mogę sobie wybaczyć, że moja ostatnia rozmowa z matką była bardzo nieprzyjemna. A teraz... teraz nie będę już miała okazji, żeby ją przeprosić za swoje słowa.

Sonja była prześliczną nastolatką, zawsze uśmiechniętą, pełną życia... była kolorowym motylem. Z przystojnym Ralfem musiała tworzyć cudowną parę. Dziś, z czterdziestką na karku, wyglądała na wypaloną. Niezadowolenie, brak radości życia... wszystko to sprawiało, że przestała się uśmiechać, a jej oczy straciły blask.

— Kiedy ostatnio z nią rozmawiałaś? — dopytywał się Bodenstein.

Przez chwilę Sonja w milczeniu spoglądała przed siebie, a na jej twarzy malował się coraz głębszy smutek. W końcu westchnęła ze szlochem.

— W poniedziałek chyba. Tak, w poniedziałek. Wtedy mam zamknięty salon. Obiecałam mamie, że przyjdę zrobić jej fryzurę. A przecież nie miała już własnych włosów. Dlatego kupiłam jej peruczkę. Zależało jej, żeby dobrze wyglądać.

— Czego dotyczyła wasza ostatnia rozmowa? — drążył ostrożnie Oliver.

Sonja przez chwilę walczyła ze sobą, lecz w końcu odpowiedziała.

— Wyznała mi, że tata nie był moim biologicznym ojcem. Powiedziała to ot tak. Bez żadnego wstępu. Fajnie, nie? — W jej groszkowozielonych oczach znów pojawiły się łzy. — Jakbym dostała obuchem w głowę. Najpierw mnie zamurowało, a potem ogarnęła mnie wściekłość. Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziała? — Wzburzona potrząsnęła głową na wspomnienie tamtej rozmowy. — Chciałam się dowiedzieć, kto w takim razie jest moim prawdziwym ojcem, ale tego nie chciała mi wyjawić. Zapowiedziała, że dowiem się przy następnym spotkaniu, bo teraz się źle czuje. Żyłka mi normalnie pękła. No bo sam wiesz, leżała w hospicjum, z nowotworem w ostatnim stadium. Skąd miałam wiedzieć, czy w ogóle będzie jakieś kolejne spotkanie?! Wykrzyczałam jej to prosto w twarz. I jeszcze, że zniszczyła mi życie, bo zawsze mnie hamowała. Boże, ale się teraz tego wstydę! Najchętniej zapadłabym się pod ziemię!

Bodenstein popatrzył na nią ze współczuciem. Nie było w tym niczego nadzwyczajnego, ludzie w obliczu śmierci chcą odciążyć sumienie i niespodziewanie wyjawiają skrywane latami tajemnice, nie zważając na to, jak bardzo to dotknie osoby, których takie sekrety dotyczą.

— Tylko o tym rozmawialiście? Czy może coś jeszcze ci powiedziała? — zapytał. — Nie odniosłaś wrażenia, że była przybita albo zmartwiona? Może czegoś się bała?

— Nie, czuła się całkiem dobrze i była w świetnym humorze. — Sonja wydmuchała głośno nos, zmięła chusteczkę w kulkę i rzuciła w stronę kosza na śmieci, lecz chybiła. — Całe życie spędziłam w strachu, że coś sobie zrobi. To dlatego nigdy nie odważyłam się stąd wyjechać. Czułam, że powinnam się nią opiekować. Odkąd pamiętam, cierpiała na depresję. Bywały dni, że w ogóle nie wstawała z łóżka.

— Naprawdę? — Bodenstein nie mógł uwierzyć własnym uszom, bo Rosie,

którą znał, była radosną, pełną życia osobą. Nigdy nie słyszał, żeby miała takie problemy.

— Nie dawała niczego po sobie poznać i zachowywała się tak, jakby wszystko było w porządku. Tylko że bez tabletek, które brała, dawno by się powiesiła — wyjaśniła Sonja smutno. — Moim zdaniem to przez to dostała raka. Wyrzuty sumienia zżarły ją od środka.

— Wyrzuty sumienia? Z jakiego powodu? — zdziwił się Bodenstein, choć podejrzewał, że chodzi o romans, którego owocem była Sonja. — Dlatego, że ci nie powiedziała, kto jest twoim biologicznym ojcem?

— Nie, to dla niej nie miało wielkiego znaczenia — odparła Sonja gorzko. — Mama skrywała jeszcze inne tajemnice. Wyznała mi, że ściągnęła na wieś klątwę. Bo miała na sumieniu czyjeś życie.

POZOSTAŁO PIĘĆ MINUT do dziesiątej, kiedy dotarli do Instytutu Medycyny Sądowej przy Kennedyallee. Na szczęście nie musieli długo szukać miejsca na parkingu w podwórzu. Henning nienawidził spóźnień. Biegiem pokonali wyłożony drewnianą boazerią korytarz, przy którym mieściły się pomieszczenia biurowe. Drzwi do sali wykładowej, w której odbywały się zajęcia ze studentami, stały otworem, jednak wewnątrz panowała pustka. Z klatki schodowej prowadzącej do piwnicy, gdzie mieściły się obie sale sekcyjne, wyszedł Ronnie Böhme, najstarszy rangą asystent sekcyjny.

— Cześć, Pia — przywitał się.

— Witaj, Ronnie — odparła policjantka. — Od kogo zaczynamy?

— Profesorowie uznali, że będą pracowali równolegle. — Ronnie spojrzał na Tarika. — Jesteście we dwójkę, to nie powinno być problemu.

— Prokurator już na miejscu?

— Nie, dzisiaj go nie będzie. — Ronnie ruszył dalej, a Pia wskazała nowemu koledze drogę schodami do piwnic.

— Zgodnie z paragrafem osiemdziesiątym siódmym ustęp drugi kodeksu

postępowania karnego, względnie paragrafem trzydziestym trzecim ustęp czwarty zaleceń dotyczących postępowania karnego oraz postępowania w sprawach zagrożonych karą grzywny, przedstawiciel prokuratury nie jest zobowiązany do uczestnictwa w sekcji zwłok, o ile po analizie dostępnych informacji uzna, że jego obecność nie jest konieczna — zacytował Tarik z pamięci, kiedy schodzili schodami.

— Trafna uwaga, Einsteinie. — Pia uśmiechnęła się szeroko, zapukała do uchylonych drzwi pokoju socjalnego i weszła do środka. Henning i jego współpracownik, doktor Frederick Lemmer, stali oparci o blat aneksu kuchennego i popijali kawę. Byli już ubrani w fartuchy do przeprowadzania sekcji.

— Dzień dobry — przywitała się Pia. — Policja kryminalna melduje się na miejscu.

— O, widzę, że przyprowadziłaś wsparcie. — Henning znad oprawek okularów przyjrzał się Tarikowi. — Pana pierwszy raz?

— Tak jest. I jestem strasznie podekscytowany — odparł policjant i aż rozbłysły mu oczy. — Bo jak pan wczoraj powiedział: „Wszelka teoria jest szara”.

— Nie inaczej. — Henning dopił kawę, a Frederick Lemmer uśmiechnął się szeroko. Każdy pracownik Instytutu wiedział, z jaką radością Henning obserwował każdą nową osobę, która nie wytrzymała sekcji i krztusząc się, i wymiotując, wybiegała z sali w poszukiwaniu toalety. Pamiętał wszystkie takie przypadki i jeszcze wiele lat później z upodobaniem wypominał policjantom i prokuratorom te początkowe chwile słabości. Tym razem jednak przeczuwał, że Tarik nie będzie jego kolejną ofiarą.

— Wszystko gotowe, szefie. Ofiara z pożaru czeka w jedyńce, druga w dwójce — zakomunikował Ronnie. — Można zaczynać.

— O, dzięki. Wczoraj prześwietliliśmy rentgenem ciało z przyczepy. —

Henning spojrział na Pię. — Przy okazji dokonaliśmy dość interesujących ustaleń.

— My i my! Cały czas tylko my i my! — burknął Ronnie. — Jakoś nie pamiętam, żeby ktoś mi towarzyszył w czasie robienia tych zdjęć.

— Ustaliliśmy, że ofiara pożaru miała wszczepioną endoprotezę biodra. To może wydatnie ułatwić identyfikację. — Henning przeszedł do porządku dziennego nad protestami asystenta, lecz celowo podkreślił zaimek osobowy w końcówce osobowej czasownika. — Poza tym, zrobiliśmy... Wiesz co? Chodź i sama zobacz.

Ruszyli do sali sekcyjnej numer jeden. Zwłoki ze spalonego kampera, w charakterystycznej przykurzonej pozie wywołanej działaniem wysokiej temperatury na mięśnie i ścięgna, leżały na stole ze stali nierdzewnej pośrodku pomieszczenia. Pia przełknęła głośno ślinę na widok ciała, które nie miało w sobie już nic ludzkiego. Ekstremalnie wysoka temperatura w ciągu kilku minut zmieniła masywnego, żywego mężczyznę, który oddychał, czuł, śmiał się, robił plany i kochał, w nieforemny, zwęglony kształt składający się z resztek tkanek i kości. Pozostałości ofiary czekały teraz w jaskrawym świetle jarzeniówek na otwarcie i badanie, które pozwoli ustalić, czy śmierć nastąpiła wskutek działania ognia, czy też jeszcze przed jego wybuchem.

Pia przyglądała się zwłokom na stole i z bezsilności zacisnęła ukryte w kieszeniach dłonie. Jaka była jego ostatnia myśl? Czy czuł gorąco? Czy pojmował beznadziejność swojego położenia? Czy rozumiał, że zaraz umrze? Może był nieprzytomny? Jak się czuje człowiek, który wie, że zaraz zginie? O czym ona by pomyślała na jego miejscu? O tym, czego nie zdążyła zrobić? Pia zacisnęła szczęki, walcząc ze współczuciem, które zdawało się ją przygniatać. A to wszystko dosłownie kilkadziesiąt minut po tym, jak wygłosiła Tarikowi w samochodzie te wszystkie frazesy o zachowywaniu zdrowego dystansu! Prawda wyglądała jednak tak, że im była starsza, tym

trudniej jej przychodziło zachowywać ten dystans.

Nagle usłyszała, że Henning coś mówi i się odwróciła. Chwila słabości minęła. Tarik z pełnym szacunku zainteresowaniem przyglądał się zwłokom na stole i wcale nie sprawiał wrażenia, jakby miało mu się zrobić niedobrze.

— Popatrzcie! — Henning stał obok wyświetlaczy, które zastąpiły dawne podświetlane szybki do oglądania zdjęć rentgenowskich. Dziś wszystkie zdjęcia miały formę plików cyfrowych. — Tutaj, po lewej stronie, macie zdjęcie wykonane *post mortem*. A po prawej prześwietlenie szczęki wykonane *ante mortem*, przysłane nam mejlem przez pewnego dentystę z Königstein.

Wskazał palcem na znaczącą przerwę między dolnymi jedynkami, kilka koronek i wypełnień. Nie było najmniejszej wątpliwości, że obydwa zdjęcia dotyczyły tej samej osoby. Bodenstein miał rację: mężczyzną, którego ciało znaleziono w zgliszcach przyczepy, był Clemens Herold.

— ...PIĘĆDZIESIĄT SIEDEM, pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt dziewięć, sześćdziesiąt.

Sześćdziesiąt minut. Czy coś pomyliła? Pragnienie odbierało jej zmysły. Ile czasu minęło? Która była godzina? Od kiedy leżała zamknięta w tej skrzyni? Zmoczyła spodnie, jej więzienie cuchnęło paskudnie jak klatka w zoo i swędziła ją skóra na głowie. Przez całe życie przykładła wielką wagę do swojego wyglądu, a jej zamięłowanie do porządku Stefan zwykł określać mianem łagodnej manii prześladowczej. Zawsze kiedy to powtarzał, traciła panowanie nad sobą. Ironia losu, że kiedy — jeśli! — ją znajdą, zapamiętają jako zaszczaną, śmierdzącą brudaskę. Ciekawe, jaka informacja znajdzie się w policyjnym raporcie? Zadrzała na samą myśl o takiej ewentualności, jednak, w dziwny sposób, pomogło jej to zapomnieć o rozpaczach. Przynajmniej na pewien czas. Ścierpła jej lewa noga. Czuła w niej setki drobnych igiełek, kiedy próbowała nią poruszyć.

Jaki był jej ostatni dzień? Wtorek? Nie, środa. Na pewno środa. Czy może

jednak czwartek? Pożar. Paliło się, ale kawałek dalej, na kempingu. W środku nocy. Felicitas potarła skronie. Potwornie bolała ją głowa, a guz na czole rozrósł się do wielkości kurzego jaja. Poza tym czuła ból w plecach i biodrach. Leżenie na twardym metalu strasznie dawało się we znaki. Co się właściwie stało? Jakie ostatnie wspomnienie miała w pamięci? Uspokoila się i skupiła. Szum silnika pośrodku nocy. Eksplozja. Ujadające na wyścigi psy. Przystojny policjant z córką. Dynia na parapecie, przez którą stała się pośmiewiskiem. Potem pojawiła się ta blond policjantka i potraktowała ją z góry. Głupia krowa. Wzięła prysznic. Umyła włosy. Spakowała się, bo chciała uciec z domu pośrodku lasu. Ktoś zadzwonił do drzwi. Co potem? Potem nic już nie pamiętała i to wyprowadzało ją z równowagi. Niezależnie od tego, jak bardzo się starała, nie potrafiła niczym wypełnić luki we wspomnieniach. Nagle usłyszała szuranie. Zamarła. Serce waliło jej jak szalone, aż czuła ból w klatce piersiowej. Powinna wzywać ratunku czy milczeć? A jeśli porywacz wrócił tylko po to, żeby ją zabić? Nie miała niczego, czym mogłaby się bronić!

— Boże, pomóż mi! — wyszeptała w panicznym strachu. — Obiecuję, że jeśli mi pomożesz, już zawsze będę...

Znów jakiś dźwięk. Jakby ktoś otwierał metalową zasuwę. I błysk światła!

— Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje — zaczęła się modlić, po raz pierwszy od lat i z pełnym przekonaniem.

Skrzypienie.

— ...przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja... — wypełniał ją paniczny strach.

Zgrzyt metalu o metal.

— ...jako w niebie, tak i na ziemi...

Jak w ogóle mogła liczyć, że Bóg jej pomoże, skoro przez pół życia całkowicie ignorowała jego istnienie? Ale zaraz, przecież On miał pomagać

zbłąkanym grzesznikom, odrzuconym, ladacznicom i synom marnotrawnym, którzy się nawrócą!

— Boże, błagam! Błagam! — szeptała gorączkowo. — Zrobię wszystko, wszystko! Tylko pomóż mi...

Wieko jej więzienia uniosło się z ogłuszającym zgrzytem, a do wnętrza wpadło oślepiające światło. Zamrugła. Ogarnął ją paralizujący strach, bo pierwszą rzeczą, jaką dostrzegła, był wylot lufy wycelowanego w nią pistoletu.

BODENSTEIN ODŁOŻYŁ SŁUCHAWKĘ, oparł brodę na dłoniach i westchnął głęboko. Denat ze spalonej przyczepy został zidentyfikowany na podstawie zdjęć rentgenowskich szczęki i nie było żadnych wątpliwości, że to Clemens Herold. Numer seryjny protezy biodra tylko to potwierdzi. A Rosie uduszono. W ten sposób hipotetyczne pytanie, które od wczoraj sobie zadawał, stało się jednym z najważniejszych, na jakie trzeba było znaleźć odpowiedź: komu zależało na uśmierceniu Rosie i Clemensa Heroldów?

Na podstawie skąpych informacji, którymi aktualnie dysponował, odpowiedź wydawała się jasna: Sonji albo Edgarowi. Oboje potrzebowali pieniędzy i mogli liczyć na spadek albo wypłatę ubezpieczenia. Czyżby rozwiązanie miało być tak proste? Czy obu morderstw mógł się dopuścić jeden i ten sam sprawca? Każde z nich zostało popełnione w zupełnie inny sposób. W myślach od razu skreślił Sonję. Uznał, że nie byłaby w stanie zrobić czegoś takiego bratu i matce. Za to jej mąż i drugi brat... czy mogli działać w porozumieniu? Obaj nie znosili Clemensa, a Edgar dodatkowo wstydził się tego, jak prowadziła się jego matka. Czy to by wystarczyło za motyw? Bodenstein nieraz spotykał ludzi, którzy nie potrafili uwierzyć, że ktoś, kogo znali, był zdolny do popełnienia morderstwa. Zorientował się, że sam zaczął w ten sposób oceniać innych.

Myślami wrócił do przeszłości. Przypomniał sobie, jak z Edgarem, Ralfem,

Peterem i innymi chłopakami, którzy należeli do ich bandy, przemierzali pola, lasy i łąki. Bawili się i kłócili, bili i znów godzili. Za to kiedy dochodziło do konfrontacji z bandami z Fischbach czy Eppenhain, ich wewnętrzna rywalizacja schodziła na drugi plan, a oni trzymali sztamę. W głowie Olivera otworzyły się drzwi do wspomnień, które, jak sądził, już dawno zginęły w mrokach niepamięci. Od wielu lat nie zaprzętał sobie głowy niektórymi rzeczami, tymczasem teraz nagle wróciło wspomnienie ich „bazy”, częściowo zawalonej chatki w lesie, w której przechowywali swoje trofea i skarby, gdzie układali plany albo po prostu spędzali czas. Aż pewnego dnia dowiedzieli się, że starsi chłopacy odkryli centrum ich dzieciennego jeszcze świata i je sprofanowali. Spotykali się tam z dziewczynami, palili, pili alkohol i wszystko niszczyli. Clemens, Jakob, Detlef i pozostali musieli mieć piętnaście, może szesnaście lat. Clemens jeździł wtedy ogniście czerwonym kreidlerem florettem, z którego był dumny jak paw. Peter, Ralf i Edgar zaczęli obmyślać zemstę za zajęcie ich bazy. Kto wpadł na pomysł, żeby przeciąć przewody hamulcowe w mopedach? Bodenstein dostał gęziej skórki na wspomnienie diabolicznej radości, z jaką chłopacy sobie wyobrażali, że ich bracia i Detlef będą mieli wypadek i może nawet umrą. Jakob i Detlef zauważyli pułapkę. Clemens nie. Następnego ranka wsiadł na swój moped i ruszył. Przy wjeździe na główną trasę chciał przyhamować, lecz nie dał rady; pomknął pasem rozbiegowym wprost pod nadjeżdżające auto. Trafił do szpitala z połamanymi kośćmi i urazami głowy, a jego moped zmienił się w kupę złomu nie do uratowania. O nie, to nie był zwykły wygłup dzieciaków. To było coś znacznie gorszego. Bodenstein pamiętał, że żaden z prowodyrów nie okazywał potem najmniejszego żalu. Starsi chłopacy domyślali się, kto stał za zamachem. Rodzice i policja wypytywali ich o wszystko, lecz prawda nigdy nie wyszła na jaw, bo milczeli i nie puścili pary z ust.

Bodenstein się zamyślił. Splótł dłonie za głową, odchylił się na oparcie

i wyjrzał przez okno w błękitne październikowe niebo. Od tamtego czasu minęło czterdzieści pięć lat. Czy opierając się na tamtych wydarzeniach, można było wyciągnąć wniosek, że Edgar zamordował brata, którego nienawidził, i to do tego w tak bestialski sposób? Im dłużej nad tym myślał, tym więcej wracało we wspomnieniach nieprzyjemnych i niepokojących sytuacji, które tylko pozornie wyparł z pamięci. Uświadomił sobie, że jego dzieciństwo przebiegało pod znakiem ustawicznego strachu, od którego uwolnił się dopiero w piątej klasie, zmieniając otoczenie i przenosząc do innej szkoły. Będąc samotnikiem i indywidualistą, nigdy nie czuł się dobrze jako członek bandy, a szczególnie niebezpieczni wydawali mu się właśnie Edgar i Peter. Każda próba uwolnienia się spod presji grupy rówieśników kończyła się niepowodzeniem. Jeśli nie pojawiał się w umówionym miejscu, przychodzili po niego do domu, szwendali się po stajniach i stodołach majątku rodziców i lustrowali wszystko zimnym, pogardliwym niemal wzrokiem, jakby oceniali, co zniszczą, jeśli ich nie posłucha. To był zły czas, czas przepełniony strachem; czas, dzięki któremu zrozumiał, że są na świecie ludzie z natury źli i pozbawieni skrupułów. Za jedynego sprzymierzeńca uznawał Inkę, choć nie wiedział dlaczego. Nigdy otwarcie nie stanęła po jego stronie ani nie próbowała zapobiec brutalnym kłótniom w bandzie. Tylko go obserwowała. Kierowała na niego spojrzenie swoich błękitnych, nieprzeniknionych oczu i milczała.

Sprawa z kotem wyznaczała granicę jego beztroskiego dzieciństwa. Groźba Petera, że skrzywdzi Maxiego, jeśli piśnie choć słówko i go zdradzi, była pierwszym spotkaniem z prawdziwym zagrożeniem, szantażem i strachem. Kosztowało go to niejedną bezseną noc. Doskonale wiedział, że nie zawahają się przed zemstą. Ze strachu o życie pupila przez całe tygodnie przemyślał go nocą do swojego pokoju i pozwalał spać we własnym łóżku, a jednak i tak nie udało mu się go uchronić.

Tamte dzieci stały się dorosłymi mężczyznami. Wszyscy mieli rodziny, udzielali się w stowarzyszeniach i klubach, robili kariery... jednak charakter człowieka, to, co czyni go tym, czym jest — to się nie zmienia. Nigdy. Ba, upływ czasu potęguje negatywne cechy znacznie bardziej niż pozytywne.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu.

— Cześć, mamó — przywitał się, widząc na ekranie, kto dzwoni.

— Witaj, synku. — W głosie matki usłyszał troskę. — Mam nadzieję, że nie pomyślisz, że jestem wścibska, ale... czy to prawda, że Rosie została zamordowana?

— A kto tak twierdzi?

— Dostawca warzyw opowiedział wszystko Marie-Louise.

Zastanawianie się, skąd handlarz warzywami z Kelkheim, który zaopatrywał pałacową restaurację prowadzoną przez jego szwagierkę, posiadał takie informacje, zakrawało na kompletny bezsens. Poprzedniego wieczoru spora grupa ludzi śledziła pracę policji i techników zabezpieczających ślady. Na miejscu pojawił się również medyk sądowy, przyjechał też karawan, którym zwłoki Rosie zostały przetransportowane do Instytutu Medycyny Sądowej.

— Tak, to prawda — potwierdził zrezygnowany.

— Mój Boże, na świecie jest tyle zła — westchnęła jego matka wstrząśnięta. — A dopiero co odwiedziliśmy ją w hospicjum, kiedy Clemens nam powiedział, że tam trafiła, bo nie było już szans na wyleczenie.

— Kiedy wam to powiedział? Kiedy i gdzie dokładnie? — Bodenstein sięgnął gwałtownie po notatnik i długopis, żeby zapisać nowe informacje. — Pamiętasz może?

— Oczywiście, że tak. Mam już wprawdzie swoje lata, ale bez przesady.

— Wybacz, nie miałem niczego złego na myśli.

— W czasie dożynek. U nas w gospodarstwie. Dokładnie czwartego października.

— Clemens był u was sam czy z kimś?

— Nie mam pojęcia. Tyle się wtedy działo, że nie zwróciłam na to uwagi.

— A kiedy byliście u Rosie?

— Dwa, może trzy dni później.

— Czyli w tym tygodniu?

— Tak... poczekaj. Już wiem, to było w poniedziałek wieczorem. Twój ojciec miał wizytę u dermatologa, a ja poszłam piechotą do klasztoru. Kiedy wyszedł z przychodni, przyjechał tam po mnie.

— Jak Rosie się czuła? Jak wyglądała?

— Była bardzo słaba, ale miała zaskakująco dobry nastrój — odparła hrabina Leonora von Bodenstein. — Pogoda w poniedziałek była cudowna, więc pomogłam jej wyjść na taras. Koniecznie chciała zapalić.

— Hm. Jak wyglądało wasze spotkanie?

— Rozmawialiśmy o jakichś błahostkach. O dawnych czasach. No wiesz, jak dwie staruszki.

— Możesz bardziej konkretnie?

— Jak konkretnie?

— Nie mam pojęcia — przyznał Bodenstein. — Staram się dowiedzieć, dlaczego komuś mogło zależeć na jej śmierci. Ktoś uznał, że trzeba ją zabić, choć i tak miała już niewiele życia przed sobą.

— W ogóle nie sprawiała wrażenia, jakby coś ją traskało — przypominała sobie matka Olivera. — Wręcz przeciwnie. Była bardzo ożywiona, radosna i rozluźniona. Powiedziała, że to cudowne uczucie, w końcu zrzucić ciężar z barków i móc umrzeć w spokoju...

— Zrzucić ciężar z barków? — Bodenstein pamiętał, co powiedziała mu Sonja, więc przerwał szybko matce i zanotował to zdanie. — Dokładnie tak się wyraziła?

— Tak, tak mi się wydaje.

— Wiedziałaś, że cierpiała na depresję?

— Wiedziałam. Chyba każdy wiedział. Ludzie o tym plotkowali — odparła starsza pani. — Przez całe lata się na to leczyła.

— Dziwne. Od kiedy pamiętam, miałem wrażenie, że jest wyjątkowo pozytywną osobą. Ani przez chwilę nie podejrzewałem jej o depresję.

Przez chwilę się zastanawiał, czy nie zapytać matki, co Sonja mogła mieć na myśli, kiedy wspominając Rosie, powiedziała coś o kłątwie.

— Mówiła o swoich dzieciach? O Edgarze? Clemensie albo o Sonji? — zapytał.

— Nie. Pochwaliła tylko Clemensa, że tak czule się nią opiekuje. Dlaczego to dla ciebie takie ważne?

Bodenstein postanowił powiedzieć prawdę.

— Clemens również nie żyje — wyjął. — Przedwczoraj w nocy zginął w pożarze przyczepy Rosie.

— O Boże, to straszne! — jęknęła hrabina. — Myślisz, że te dwie śmierci są jakoś powiązane?

— Ja już nie wierzę w przypadki — odparł Bodenstein.

— Właściwie tylko Edgar mógłby stać za tym wszystkim. On od zawsze przejawiał takie inkwizytorskie zapędy — stwierdziła matka. — Tak samo jak wcześniej jego ojciec.

Jej spontaniczna reakcja bardzo go zaskoczyła.

— Skąd taki pomysł? — zapytał.

— Przypomniało mi się jedno zdarzenie sprzed lat, to było w czasie odpustu. Chodziły wtedy pogłoski, że Rosie coś łączy z jakimś żonatym mężczyzną. — Staruszka zniżyła głos. — Zapytała mnie, czy też o tym słyszałam, na co jej odpowiedziałam, że nie zajmuję się plotkami. Wspomniała wtedy, że Edgar wpadł w furję i nakrzyczał na nią, że takie stare wiemy jak ona powinno się kamienować albo palić żywcem.

Bodenstein nie mógł uwierzyć własnym uszom.

— To tylko plotka, czy było w tym coś więcej? — zapytał ciekawie.

— Możliwe, że to nie tylko plotka — przyznała matka po chwili wahania.

— Rosie zawsze była... jak by to ująć... ciekawa życia. Lubiła zainteresowanie i komplementy.

Ten delikatny i eufemistyczny opis zamordowanej kobiety potwierdzał to, co wcześniej o niej słyszał: że nie stroniła od zrad.

— Czy to możliwe, że ojcem Sonji nie był mąż Rosie? — zadał niedyskretne pytanie, lecz nie miał wyrzutów sumienia, bo pamięć jego matki była niczym kronika.

— Cóż, kiedy się okazało, że Rosie znów jest przy nadziei, po okolicy zaczęły krążyć takie plotki — przyznała po chwili. — Chłopcy byli już duzi, a Karl-Heinz... tak mówiono... nie był w stanie już... takie tam wioskowe gadanie. Nie przywiązywałabym do tego wagi.

Oliver usłyszał tyle, ile potrzebował. Już czterdzieści lat wcześniej chodziły słuchy o prawdziwym ojcu Sonji, a tuż przed śmiercią Rosie wyznała córce prawdę. Jaka szkoda, że nie zdradziła tożsamości tego mężczyzny!

Po skończonej rozmowie Bodenstein siedział i wpatrywał się w swoje notatki. Zastanawiał się, które informacje zaklasyfikować jako plotki, które jako oceny, a które jako cenne i prawdziwe dane.

SYTUACJA WYGLĄDAŁA GROTESKOWO. Młody człowiek, który siedział naprzeciwko niej na krześle i z wytrzeszczonymi oczyma celował do niej z pistoletu, trząsł się jak w febrze. Kto tu się bardziej bał kogo? Felicitas również drżała i nogi miała jak z waty, była jednak przekonana, że bez trudu wytrąciłaby mu broń z ręki i uciekła. A jednak tego nie robiła. Bo dokąd miałaby się udać? Na policję? Wyśmialiby ją pewnie. Nikt by jej nie uwierzył, bo przecież już raz uznali, że popija i chce robić dookoła siebie szum. A gdyby jej twarz pojawiła się w gazetach, byłoby to jeszcze gorszym rozwiązaniem,

bo w ciągu kilku godzin na jej trop wpadliby windyktorzy lichwiarza, u którego się zapożyczyła. Dlatego siedziała obezwładniona ulgą, obracała w dłoniach pustą butelkę po wodzie i spoglądała na chłopaka, któremu zawdzięczała najstraszniejsze godziny życia. Stara Felicitas rzuciłaby się na niego i skłęła na czym świat stoi, lecz złość i nienawiść, które wcześniej płonęły w jej duszy, zgasły. Czterdzieści osiem godzin pewności, że czeka już tylko na śmierć, pozwoliły jej się oczyścić.

— Przepraszam, naprawdę jest mi przykro — powtarzał chłopak raz po raz. — Nie chciałem, żeby tak wyszło. Ale wpadłem w panikę, bo pani straciła przytomność, a kiedy zaczęła pani dochodzić do siebie, wspomniała coś o gliniarzach.

Felicitas sięgnęła dłonią do guza skrytego pod włosami i westchnęła. W gruncie rzeczy bardzo chłopakowi współczuła.

— Nie chciałem pani wiązać ani nic, dlatego zamknąłem panią w tej skrzyni w garażu. I naprawdę nie planowałem tak długo pani w niej trzymać. Usiadłem na chwilę na kanapie, żeby pomyśleć... i jakoś tak wyszło... no jakoś tak się stało, że zasnąłem.

Chłopak skrzywił twarz. Był zlany potem, mimo że w kuchni nie było szczególnie gorąco. Miał zaczerwienione oczy i ciemne worki pod nimi. Jego twarz o regularnych rysach, nawet dość ładna, z jednej strony przybrała śliwkowy kolor i pokryła się opuchlizną. Poza tym miał woskową cerę. Przetłuszczone ciemnoblonde włosy opadały mu strąkami na ramiona, a kiedy spróbował się wyprostować, zauważyła pokrytą strupami ranę na jego lewej skroni.

— Problemy z policją, tak? Jakie konkretnie? — zapytała.

— Dawno temu i nieprawda — wykręcił się od odpowiedzi. — Ale lepiej, żeby nie wiedzieli, gdzie jestem.

Bawił się pistoletem.

— Mógłbyś to odłożyć? Nie bój się, nie będę próbowała uciekać ani wzywać policji.

Chyba rzeczywiście jej ufał, bo położył broń na stoliku przed sobą, a potem opowiedział jej, co się stało. Niewiele brakowało, a potrafiłaby go w lesie. W ostatnim momencie szarpnęła kierownicą i zjechała z drogi. Uderzyła przy tym w stos powalonych drzew z taką siłą, że głową wybiła boczną szybę i straciła przytomność.

— Wiedziałem, skąd pani jest, bo znałem pani samochód.

— Doprawdy? Jak to?

— Kiedyś pracowałem w tej gospodzie jako kelner. Stąd wiedziałem o przyczepach.

— O przyczepach? — Felicitas nie potrafiła wyobrazić sobie tego chłopaka między gośćmi, w czystym ubraniu, lecz z drugiej strony klienci leśnej gospody nie należeli do przesadnie wymagających.

— Robiłem sobie detoks — odparł chłopak, a w jego wyblakłych dotychczas oczach pojawił się błysk. — Moja dziewczyna spodziewa się dziecka.

— Aha.

— Dlatego chcę wyjść z nałogu. I pomyślałem, że przez jakiś czas przegaram tutaj, w lesie. Po to zamieszkałem w jednej z przyczep. Od czasu do czasu wychodziłem, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, ale tylko nocą albo późnym wieczorem, bo ktoś ciągle siedział w innej przyczepie, a ja nie chciałem, żeby mnie widział. Tak przy okazji, kilka razy patrzyłem z daleka, jak pani wyprowadza psy.

Boże drogi! Psy! Zupełnie o nich zapomniała! Gdzie były? Co się z nimi działo?

— W środku nocy coś wybuchło. Pomyślałem, cholera, co się dzieje, że taka eksplozja, i wybiegłem na dwór. A tu nagle jakiś gość staje naprzeciwko

mnie i się gapi. Więc ja też się gapię na niego i tak stoimy. Nagle on zaczyna uciekać i chwilę później przyczepa wylatuje w powietrze. — Chłopak przerwał i odruchowo uniósł dłoń do zranionej skroni.

— Jesteś ranny — stwierdziła Felicitas i w tej samej chwili wróciły do niej wspomnienia. Czyjaś sylwetka na tle ognia! Czyżby to był on?

— Coś mnie trafiło w głowę. Krwawiłem jak zarzynany świniak. Ale mało nie posrałem się ze strachu przez tego gościa, więc zviałem do lasu. Dość dobrze znam te okolice.

Adrenalina. Pewnie z początku w ogóle nie zauważył, że jest ranny i stracił sporo krwi. To, w połączeniu z gwałtownym odstawieniem narkotyków, było przyczyną jego niezdrowego wyglądu.

— Złamałem zasady zwolnienia warunkowego, bo wyjechałem z Frankfurtu, choć miałem zakaz — ciągnął po chwili. — Gliny na sto procent już mnie szukają. Ten gość z kempingu pewnie też. Pomyślałem, że tutaj będę bezpieczny i poczekam, aż poczuję się lepiej.

— Niezły z ciebie ananas — stwierdziła Felicitas. — Co teraz?

— Nie mam pojęcia. — Chłopak wzruszył ramionami. — Jeśli wezwie pani gliny, mam przesrane.

Felicitas wierzyła w jego historię. Mógł ją przecież okraść, wyciągnąć nieprzytomną z samochodu i zostawić w lesie.

— Jeśli pozwolę ci się tu ukrywać, też ściągnę na siebie kłopoty — odparła.

— Tak, wiem. — Potaknął zrezygnowany.

Tylko co zyskałaby na powiadamianiu policji? Czy nie lepiej byłoby mieć jakieś towarzystwo, dopóki Manu i Jens nie wrócą z Australii? Felicitas wstała z krzesła i zmarszczyła nos. Okropnie śmierdziała, a przez zaschnięty mocz spodnie wydawały się strasznie sztywne.

— Poczekaj tutaj — zaproponowała. — Wezmę prysznic i przebiorę się

w jakieś czyste rzeczy. Potem zrobię nam coś do jedzenia i zastanowimy się, co dalej, dobrze?

— Dobrze. — Jego twarz na chwilę rozjaśnił słaby uśmiech. — Dzięki, że nie sprzeda mnie pani glinom.

Miał piękne oczy, ciemne, emanujące wewnętrznym ciepłem. Mówił wprawdzie jak zwykły nastolatek, jednak od czasu do czasu używał zwrotów wskazujących na to, że pochodzi z dobrego domu. Wyrzutek, który nie wiedział, co dalej. Tak samo jak ona.

— Nie ma o czym mówić — odpowiedziała Felicitas. — Też za nimi nie przepadam. Jak masz na imię?

— Elias — przedstawił się chłopak. — A pani?

— Felicitas. — Uśmiechnęła się. — I skończ już z tą panią.

— CLEMENS HEROLD najprawdopodobniej żył, kiedy w kamperze wybuchł ogień. — W czasie popołudniowej odprawy Pia w skrócie przedstawiła najważniejsze ustalenia obu sekcji zwłok, zanim przeszła do omawiania szczegółów. — Jego matka, Rosemarie Herold, została uduszona.

Dwa morderstwa w ciągu dwudziestu czterech godzin skłoniły doktor Nicolę Engel do przesunięcia wszystkich wolnych sił komendy na potrzeby tego śledztwa, więc w sali odpraw na pierwszym piętrze tłoczyło się teraz czternaście osób, a Pia przedstawiała dotychczasowe ustalenia. Szefowa podjęła taką decyzję, nie konsultując jej wcześniej z Bodensteinem, co uświadomiło mu, że zupełnie przestała się liczyć z jego zdaniem. Gdyby to nie była jego ostatnia sprawa jako szefa K11, poprosiłby ją stanowczo o wyjaśnienia, lecz Bogiem a prawdą był już zmęczony jej bezustannym podgryzaniem i osobistymi wycieczkami, które robiła przez ostatnie kilka lat. Już niedługo ktoś inny będzie musiał znosić jej nieustanne próby wpływania na przebieg śledztwa.

— Clemens Herold został uderzony ciężkim i tępym przedmiotem w głowę

— ciągnęła Pia. — W wyniku działania ekstremalnie wysokich temperatur doszło do rozsadzenia czaszki. Sekcja wykazała, że bez najmniejszych wątpliwości pierwotnym uszkodzeniem kości było punktowe uderzenie od zewnątrz, zadane najprawdopodobniej młotkiem. Wewnątrz czaszki znaleziono fragment kości odpowiadający wybitemu otworowi wraz z otaczającymi go charakterystycznymi pęknięciami.

Na tablicy magnetycznej i na planszy korkowej wisiały zdjęcia miejsca pożaru i znalezienia zwłok, ofiary morderstwa oraz fotografia Eliasa Lessinga, na którego ślad, mimo intensywnych poszukiwań, nie udało się dotychczas wpaść.

— Przy tak silnej eksplozji, jaka miała miejsce w przyczepie kempingowej, nie da się wiele więcej odczytać z ułożenia zwłok, jednak z całą pewnością wiadomo, że drzwi do przyczepy były zamknięte na zamek od zewnątrz, co pozwala przypuszczać, że ogień został podłożony w celu zatarcia śladów zbrodni. — Pia, jak wiele razy wcześniej, rzeczowo referowała dotychczasowe ustalenia. Bez problemu poradzi sobie z prowadzeniem prac wydziału. W zasadzie dotychczas Bodenstein ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że to ona zastąpi go w fotelu szefa K11, jednak na razie nikt tego oficjalnie nie potwierdził. Czyżby Nicola Engel planowała pominąć Pię tylko po to, żeby po raz ostatni mu pokazać, kto tu rządzi? Bo w gruncie rzeczy była zła, że idzie na roczny urlop?

— Clemens Herold mierzył metr dziewięćdziesiąt i ważył około stu dziesięciu kilogramów, więc na pewno byłby w stanie obronić się przed napaścią, a jednak tego nie zrobił. Dlatego obecnie wychodzimy z założenia, że nie był to napad i że znał sprawcę.

— W jaki sposób doszło do powstania w przyczepie aż tak wysokiej temperatury? — zainteresowała się doktor Nicola Engel. Dotychczas stała z tyłu pomieszczenia, nie odzywając się słowem, i z ramionami założonymi na

piersi przysłuchiwała się odprawie.

— Na miejscu pożaru zabezpieczono pozostałości po butlach służących do przechowywania i transportu propanu — odpowiedzi zamiast Pii udzielił Christian Kröger, po czym podszedł do tablicy magnetycznej. Nakreślił na niej pisakiem przyczepę kempingową wraz z namiotem służącym za przedsionek i oznaczył miejsca, gdzie stały butle. — Sprawca najprawdopodobniej umożliwił wypływ gazu do przedsionka i do środka przyczepy, a następnie wylał benzyną ścieżkę, którą zakończył w odległości czterdziestu ośmiu metrów i siedemdziesięciu centymetrów od przyczepy i tam ją podpalił.

— Taki namiot nie jest przecież szczelny — zauważyła Kathrin Fachinger. — Więc jak mu się to w ogóle udało?

— Sprawca działał szybko i wiedział, co robi — wyjaśnił Kröger. — Przypuszczam, że po obezwładnieniu ofiary morderca odkręcił wewnątrz przyczepy zawory butli turystycznych, a następnie to samo zrobił z butlami w przedsionku. Gazy skroplone mają bardzo niski próg wybuchowości. Wystarczy już niewielka ilość skroplonego gazu, by parując, stworzył z powietrzem mieszankę wybuchową. Litr skroplonego propanu daje dwieście sześćdziesiąt litrów gazu, który zmieszany z powietrzem w ilości dwunastu tysięcy czterystu litrów daje właśnie taką mieszankę. W naszym przypadku mieliśmy do czynienia z sześcioma jedenastokilogramowymi butlami turystycznymi, co daje odpowiednio sześć tysięcy pięćdziesiąt litrów gazu z każdej, a więc łącznie sześć razy więcej, czyli trzydzieści sześć tysięcy trzysta litrów gazu.

— Proszę się streszczać, kolego Kröger — przerwała mu Nicola i spojrzała demonstracyjnie za zegarek. — Chyba nikomu nie jest teraz potrzebny szczegółowy wykład z chemii.

— Z fizyki, jeśli już — poprawił ją Kröger oschle. — Temperatura spalania mieszanki propanu z powietrzem wynosi tysiąc osiemset dwadzieścia pięć

stopni Celsjusza, a w połączeniu z czystym tlenem dwa tysiące osiemset pięćdziesiąt. Dla porównania — piec do spopielenia zwłok pracuje w temperaturze od dziewięciuset do tysiąca dwustu stopni Celsjusza.

— Do tego jeszcze sprawca wykorzystał dużą ilość benzyny — zauważyła Pia. — Chciał mieć pewność, że spłonie wszystko i nie zostaną żadne ślady.

— Zgadza się, tam się rozszalało ogniste piekło — potwierdził Kröger. — Do tego stopnia, że nie znaleźliśmy właściwie niczego poza stopionymi kawałkami różnych metali...

— Co wiemy o drugiej ofierze? — Nicola Engel bezceremonialnie przerwała szefowi techników, za co ten zmierzył ją urażonym wzrokiem.

— Rosemarie Herold została uduszona i zmarła z powodu braku dostępu tlenu do mózgu. — Pia otworzyła złożoną kartkę, na której zanotowała sobie kilka ważnych informacji. — Wybroczyny na śluzówce oczu, w ustach i na dziąsłach, podskórne wylewy krwi na szyi, krwiaki w tkance mięśniowej przedniej części szyi i w okolicach krtani, złamania rogów kości gnykowej i rogów górnych chrząstki tarczowatej oraz podbiegnięte krwią miękkie części krtani. Dalsza analiza wykazała, że zarówno w nosie, jak i w ustach ofiary znajdują się włókna obcego pochodzenia, co pozwala wysnuć wniosek, że poza duszeniem Rosemarie Herold miała zatkane usta i nos, najprawdopodobniej po to, żeby nie mogła krzyczeć. Nie udało się ustalić jednoznacznych odcisków dłoni ani paznokci na jej szyi, tak samo jak nie znaleziono żadnych uszkodzeń wskazujących na próbę obrony. Trzeba przy tym zaznaczyć, że ofiara była śmiertelnie chora.

— To po co ktoś ją w ogóle mordował? — zapytał głos z sali.

Pia spojrzała na Bodensteina, lecz on skinieniem głowy polecił jej dalej tłumaczyć szczegóły sprawy.

— Powinniśmy skupić się teraz na poszukiwaniu odpowiedzi na to właśnie pytanie — wyjaśniła. — Kto najbardziej skorzysta na śmierci Rosemarie

i Clemensa Heroldów? Kto mógł się do nich zbliżyć, nie wzbudzając podejrzeń? Kto potrafił i miał możliwość pozbawić ich życia? — Podeszła do tablicy magnetycznej i wskazała na jedno z nazwisk zapisanych tam przez Kaia Ostermanna. — W tej chwili naszym głównym podejrzanym jest Edgar Herold, lat pięćdziesiąt cztery, mistrz ślusarski, zamieszkały w Kelkheim-Ruppertshain, syn jednej i brat drugiej ofiary. Należy przyjąć, że on i jego siostra będą dziedziczyli po zmarłej matce. Pieniądze to jeden z najczęstszych motywów zbrodni. Do tego Edgar Herold prowadzi zakład ślusarski, w którym wykorzystuje się propan, a więc posiada doświadczenie w obchodzeniu się z butlami i ma jak je transportować. W czasie rozmowy bardzo negatywnie wyrażał się o swoim bracie.

Pia ponownie zrobiła krótką przerwę i spojrzała na Bodensteina, lecz szef dalej milczał.

— Mimo że aktualnie Herold jest osobą, która wzbudza największe podejrzenia, nie powinniśmy zakładać, że to na pewno on — ciągnęła po krótkim wahaniu. — Skupimy się teraz na sprawdzeniu jego alibi. Trzeba również zbadać sytuację materialną całego rodzeństwa Heroldów. Konieczne będą rozmowy z ich sąsiadami, znajomymi i rodziną. Należy także odtworzyć ostatnie dni i godziny życia Clemensa Herolda, w czym bardzo pomogą zapis logowań jego komórki do kolejnych stacji przekaźnikowych, bilingi i historia jego przeglądarki internetowej. Należy wziąć pod lupę zarówno jego życie prywatne, jak i zawodowe. Nie powiedział żonie, że bierze dwa tygodnie urlopu, i okłamał ją, mówiąc, gdzie będzie przebywał. Należy rozważyć hipotezę romansu, który mógłby być powodem zabójstwa.

— Mamy dalej szukać Eliasa Lessinga? — zapytał policjant z wydziału do walki z przestępczością gospodarczą.

— Tak, oczywiście — potwierdziła Pia. — Elias Lessing to bardzo ważny świadek. — Wcześniej rozmawialiśmy z kuratorką nadzorującą go na

zwolnieniu warunkowym. Ostatni raz kontaktował się z nią tydzień temu, od tego czasu nie dawał znaku życia. Zapowiedział jej wtedy, że zamierza zrobić sobie odwyk od narkotyków. Jednym z warunków jego zwolnienia było meldowanie się u kuratorki, więc tak długie milczenie jest złamaniem tych warunków. Ona jednak nie chciała wpędzać go w kłopoty, więc tego nie zgłosiła. Jej zdaniem Elias Lessing bardzo dobrze rokuje, jeśli chodzi o powrót do społeczeństwa, dlatego dała mu szansę.

— Co za ckliwie głupoty! — Radczyni kryminalna potrząsnęła pogardliwie głową. — Łatwowierni idealisci nie powinni brać się za taką robotę, bo się do niej nie nadają! Ale to nie pierwszy raz, że ktoś z dobrego serca ułatwia innym popełnianie przestępstw. Czy Lessing należy do grona podejrzanych?

— Raczej nie, jednak na obecnym etapie nie możemy tego całkowicie wykluczyć — odparła Pia. — Przetransportowanie na polanę butli z gazem i kanistra czy kanistrów z benzyną wymagało z całą pewnością środków, samochodu i planowania. Naszym zdaniem Lessing nie miał możliwości ani umiejętności, by tego dokonać. Nawet nie posiada prawa jazdy.

— To jeszcze nic nie znaczy — prychnęła Nicola Engel. — Sądzi pani, że to dowód na niewinność?

— ...nie. — Pia nie wiedziała, jak się zachować. — Oczywiście, że nie. Stwierdziłam jedynie fakt.

W tym samym momencie Bodenstein zauważył szybkie spojrzenie, jakie Nicola wymieniła z Cemem. Nie umknęło jego uwadze ani szydercze zmarszczenie brwi przełożonej, ani milczące porozumienie, jakie najwyraźniej panowało między nią a podwładnym. Czy to coś oznaczało? Czyżby w wydziale toczyła się jakaś gra przeciwko Pii?

— Zwrócimy się o pomoc do opinii publicznej? — Cem pytanie skierował bezpośrednio do niego, lecz Oliver, zajęty analizą tego, co przed chwilą zauważył, nie odpowiedział.

— Panie von Bodenstein, co pan o tym sądzi? — Nicola podniosła się z parapetu i spojrzała na niego wyzywająco. Wszystkie rozmowy w sali momentalnie ucichły, bo każdy wiedział, że on i szefowa są po imieniu.

— Hm... — mruknął jedynie i zmarszczył brwi.

Pomoc opinii publicznej mogła być im bardzo na rękę, ale niosła ze sobą również spore ryzyko. Jedyne świadek tragicznych nocnych wydarzeń jakby zapadł się pod ziemię, jednak jeśli jego personalia nie zostaną upublicznione, zyska w jakimś stopniu ochronę przed mordercą Clemensa Herolda. Z drugiej strony ogłoszenie, kogo szukają, możliwe, że nawet opublikowanie jego wizerunku w prasie, zwiększyłoby szanse na zlokalizowanie jego kryjówki.

— Uczyni nam kolega honor i jeszcze dzisiaj udzieli odpowiedzi? Czy nie mamy na co liczyć? — W głosie Nicoli słychać było niezadowolenie. Niekoniecznie z jego powodu, ale najwyraźniej postanowiła wyładować się akurat na nim, a to bardzo go rozzłościło.

— Właśnie się zastanawiam. — Bodenstein nie dał się skompromitować przed resztą zespołu.

— W takim razie jak kolega do czegoś dojdzie, bardzo proszę przedstawić wynik swojego procesu myślowego mojemu sekretariatowi — warknęła. — Mam kilka spraw do załatwienia poza komendą i nie będę w nieskończoność czekała, aż kolega będzie gotów.

I jak zazwyczaj po tak mocnych słowach, chciała wyjść z sali z miną niekwestionowanego zwycięzcy, co było jej specjalnością. W ten sposób miała pewność, że jest górą. Większość policjantów bała się tej taktyki szefowej i przez to w jej obecności zachowywali się bardzo uległe, co nie było konstruktywne.

Bodensteina nie interesowało, czy przełożona jest do niego dobrze nastawiona czy nie. Miał już po dziurki w nosie tych wojenek i gier. Bez wahania zastąpił jej drogę, uniemożliwiając wyjście na korytarz.

— Co to ma znaczyć? — Zatrzymała się tuż przed nim. Oliver doskonale wiedział, jak bardzo nienawidziła zadzierać głowę, by spojrzeć na kogoś wyższego. W jej oczach pojawiły się błyski wściekłości.

— Twoje biuro czy moje? — zapytał krótko. Zebrani zaniemówili.

— Moje! — warknęła radczyni kryminalna, na co on zszedł jej z drogi. Minęła go i wyszła, demonstracyjnie nie zamykając za sobą drzwi.

— Co dalej? — Cem przerwał pełne napięcia milczenie, kiedy oddalające się kroki szefowej ucichły.

— Będę za dziesięć minut — odparł Bodenstein. — Mój zespół niech zostanie i poczeka. Reszta niech wraca do swoich zajęć aż do odwołania.

— CO TO ZA POMYSŁ, żeby bez pytania wtrącać się w moje śledztwo? — Bodenstein bez słowa minął asystentkę doktor Nicoli Engel i energicznym krokiem wmaszerował do jej biura. Szefowa zdążyła skryć się za masywnym biurkiem.

— Nie rozumiem, o czym mówisz — odparła kobieta lodowato. — Jedyne, co mogę powiedzieć, to to, że nie podoba mi się twoja... niesubordynacja. Możesz się spodziewać konsekwencji.

Bodenstein zignorował groźbę.

— Powołujesz zespół do rozwiązania mojej sprawy, w ogóle nie pytając mnie o zdanie. Rozstawiasz po kątach moich pracowników i traktujesz ich jak uczniów z pierwszego roku szkoły policyjnej. Mogłabyś mi wyjaśnić, o co w tym chodzi?

— Siadaj. — Nicola świdrowała go wściekłym spojrzeniem.

— Wolę postać.

— Jak chcesz.

Mierzyli się wściekłym wzrokiem jak dwa pitbulle, tylko czekające na sygnał, by się rzucić przeciwnikowi do gardła.

— Zachowujesz się, jakbyś myślami był już na urlopie — zarzuciła mu

Nicola. — Przez całą odprawę nie powiedziałeś ani słowa.

— Większej głupoty dawno nie słyszałem! — Bodenstein potrząsnął głową, bo oskarżenie było całkowicie absurdalne. — Tobie chodzi o coś innego, prawda? Chcesz utracić kandydaturę Pii jako mojej następczyni tylko dlatego, że to ja ją zaproponowałem. Chcesz mi dać nauczkę.

— Skąd taki pomysł?

— Nie jestem przecież ślepy. — Wzruszył ramionami. — Wolisz kogoś innego z mojego zespołu. Wybrałaś Cema, prawda?

— Wydaje ci się, że jego będzie łatwiej kontrolować niż Pię — dodał po chwili zamyślony.

— Mogę cię jedynie zapewnić, że stanowisko obejmie ktoś od nas. A Cem jest na krótkiej liście — przyznała Nicola.

Cem był dobrym policjantem, opanowanym, byстрыm i potrafił pracować w zespole, a dodatkowo posiadał intuicję i nie bał się podejmować decyzji. Bodenstein nie wątpił, że dałby sobie radę, jednak nie wiedział, jak zareagowałaby Pia, gdyby mimo najdłuższego stażu w policji i w wydziale została pominięta przy awansie.

— Kiedy chcesz ogłosić swoją decyzję?

— Kiedy wybrana kandydatura zostanie oficjalnie zatwierdzona, a jeszcze nie została. — Nicola założyła okulary, zebrała dokumenty i ułożyła je w stosik, który umieściła pod kątem prostym do drugiej sterty akt. — Czy to wszystko?

— Tak, to wszystko. — Bodenstein odwrócił się, jakby chciał odejść, choć spodziewał się, że to nie koniec.

— Ach, Oliver, jeszcze jedno.

Nicola nie potrafiła znieść myśli, że ostatnie słowo miałoby należeć do kogoś innego.

— Tak? — Zatrzymał się i odwrócił.

— Byłam bardzo zaskoczona, kiedy zadzwonił do mnie komendant główny policji i poskarżył się, że wylewasz mu swoje żale.

— Słucham? Jakie żale? Nic takiego nie miało miejsca — zaprotestował Bodenstein oburzony jej słowami.

— A jak inaczej byś to nazwał? — Nicola uniosła starannie wyregulowane brwi. — Ja to odbieram jako przyznanie się, że nie dajesz sobie rady z pracą. Chyba że chorujesz na modną ostatnio chorobę — wypalenie?

Słowa w jej ustach miały kpiący, wręcz pogardliwy wydźwięk.

— Uzasadniłem mu, dlaczego chcę wziąć bezpłatny roczny urlop — wyjaśnił Bodenstein. — Tak samo jak tobie.

— Innym możesz mydlić oczy, mnie nie oszukasz — prychnęła Nicola. — Dlaczego po prostu nie powiesz prawdy? Nie potrzebujesz już swojej pensyjki gliniarza, bo zostałeś spadkobiercą teściowej. Ale zamiast uczciwie się do tego przyznać, chodzisz i opowiadasz jakieś głodne kawałki. Zastanawiałeś się, w jakim świetle stawiasz naszą komendę? I przede wszystkim mnie?

Urażona duma i próżność — więc o to chodziło!

— Nie mam pojęcia, jak wpadłaś na pomysł, że będę dziedziczył po teściowej — odparł Bodenstein lodowato. — Jak dotąd moja teściowa czuje się świetnie i mam nadzieję, że to się jeszcze bardzo długo nie zmieni. Mam pięćdziesiąt cztery lata, a od trzydziestu jestem policjantem. Chciałbym mieć więcej czasu dla córki, a poza tym potrzebuję dystansu i odpoczynku od tej pracy. Po co w ogóle zaczynasz ten temat? Przecież sama podpisałaś zgodę na ten urlop!

— A miałam inne wyjście? Raczej nie! — prychnęła, zmarszczyła czoło i zacisnęła usta, aż zbieleły. — Cholera, Oliver! — Nagle przestała się kontrolować, a on mógł zobaczyć jej prawdziwe emocje. — Powiedz, skąd u ciebie tak mało ambicji? Od lat twoje nazwisko co rusz pojawia się na giełdzie kandydatów na różne wyższe stanowiska, a ty ot tak sobie niszczysz

swoje szanse, bo wmówiłeś sobie emocjonalne problemy. Przecież to się znajdzie w twoich aktach!

W tym momencie Bodenstein zrozumiał, co nią naprawdę kierowało. Nicola była bardzo władczą osobą, która nie potrafiła znieść, że ktoś wymyka się jej kontroli. Najprawdopodobniej miała dla niego obmyśloną ścieżkę kariery i upatrzone stanowisko, z którego, w dalszej perspektywie, ona czerpałaby najwięcej korzyści. Tymczasem pokrzyżował jej plany. Jej błąd, że nie potrafiła od początku grać w otwarte karty.

— Przecież doskonale wiesz, że nie uśmiecha mi się taka robota jak twoja — odpowiedział. — Zawsze najchętniej prowadziłem śledztwa i nie wykluczam, że pewnego dnia wrócę, by dalej robić to samo. Nie jestem stworzony do tej całej polityki i walki o kolejne szczeble kariery.

Nicola zmrużyła oczy i spojrzała na niego uważnie.

— Cóż, wygląda na to, że nie mam innego wyjścia i muszę to zaakceptować — westchnęła. — Wiesz chyba, że bardzo cię szanuję, prawda? Ale musisz pamiętać, Oliverze, że mnie zawiodłeś. Rozwiąż te dwie sprawy. Potem idź na urlop i wracaj z niego. — Ku jego zaskoczeniu Nicola niespodziewanie się uśmiechnęła. — W Wiesbaden panuje przekonanie, że kto by nie przejął prowadzenia K11, zajmie to stanowisko tylko tymczasowo.

KIEDY BODENSTEIN wrócił do sali odpraw, czekało na niego znacznie okrojone grono funkcjonariuszy. Poza Pia, Cemem, Kathrin, Kaiem i Tarikiem, przy stole siedział jeszcze Christian Kröger. Ledwie przekroczył próg, wszystkie rozmowy momentalnie ucichły, tak jak cichną dźwięki instrumentów, kiedy dyrygent wchodzi na podest przed orkiestrą. Wcześniej ktoś otworzył dwa okna i świeży jesienny wiaterek przegnał duchotę wywołaną obecnością kilkunastu osób na małej przestrzeni.

— No dobrze — zaczął. — Ja z Cemem pojedziemy do żony Clemensa Herolda. Pia, ty i Tarik zajmijcie się Edgarem Heroldem. Dowiedzcie się, czy

ma alibi, a potem je sprawdźcie. Christian, weź swoich chłopaków i jedźcie z nimi. Przeszukajcie dom, warsztat i całą posesję. Na koniec sprawdźcie mieszkanie Rosie Herold.

— Bez nakazu przeszukania?

— Zaraz go dostaniemy — zapewnił Bodenstein.

— Ja się tym zajmę — zgłosił się Kai.

— Co z sąsiadami Herolda? Nie powinniśmy ich również przepytać?
— chciał wiedzieć Cem.

— Zdecydowanie. — Bodenstein potaknął. — Weźcie tylu ludzi, ilu potrzebujecie. Porozmawiajcie ze wszystkimi mieszkańcami ulicy. Może w środę wieczorem ktoś zauważył coś dziwnego. Spotkajcie się również z Sonją, siostrą Clemensa i Edgara. Jeszcze nie wie, że jej brat nie żyje.

— W porządku. — Pia skinęła głową.

— Mamy już historię logowań komórki Eliasa Lessinga?

— Lada chwila powinniśmy ją dostać — odpowiedział Kai. — Tak samo jak dane na temat komórek braci Heroldów. Całą resztą zajmie się Kathrin.

— Świetnie. Czy kuratorka Eliasa Lessinga powiedziała coś na temat jego dziewczyny?

— Kobieta twierdzi, że słyszała tylko, że ma na imię Nike, ale nic więcej o niej nie wie — odparła Pia. — Obiecała rozejrzeć się i popytać. Zgłosi się, gdy tylko czegoś się dowie. Przy okazji — bardzo się o niego martwi, bo jeśli wyjdzie na jaw, że złamał zasady zwolnienia warunkowego, automatycznie trafi z powrotem za kraty. Bardzo jej zależy, żeby tak się nie stało, dlatego poprosiła nas, żebyśmy, jak długo to możliwe, nie nagłaścili poszukiwań. Chce mu dać szansę. Wystarczy, że sam się do niej zgłosi.

— To bardzo piękne i wzruszające, ale absolutnie nieakceptowalne — orzekł Bodenstein i przypomniał sobie, jak Peter Lessing opisał panią kurator.

— Prasa zostanie poinformowana, a informację o poszukiwanym będą

transmitowały radio i lokalna telewizja. Niech treść ogłoszenia będzie możliwie ogólna. Dobrze, jeszcze coś?

— Tak, ja mam jeszcze kilka informacji — zgłosił się Kröger i wstał. — Przeszukaliśmy teren w promieniu kilometra dookoła hospicjum. Sprawdziliśmy całą masę śmieci, zbadaliśmy każdy papierek i niedopałek. W ten sposób zabezpieczyliśmy między innymi ciemnoszary wełniany szal, który musiał znaleźć się tam stosunkowo niedawno. — Podeszedł do tablicy magnetycznej, na której wisiało zdjęcie lotnicze okolic hospicjum, i palcem wskazał konkretny punkt. — Mniej więcej... tutaj. To ścieżka prowadząca z klasztoru do ronda, przy którym znajduje się parking dla odwiedzających cmentarz. Gdyby miało się okazać, że tym szalem uduszono ofiarę... moglibyśmy założyć, że sprawca zostawił tam samochód i stamtąd szedł piechotą przez łąki do hospicjum.

— To by oznaczało, że doskonale orientuje się w okolicy i że wiedział, w którym pokoju mieszkała Rosie Herold — dokończył Cem.

— No właśnie. — Kröger potaknął. — Szal jest w tej chwili w laboratorium. Do jutra rana powinniśmy mieć wyniki.

— Ile osób wiedziało, że Rosemarie Herold przebywa w hospicjum? — zapytał Cem.

— Wiele, nawet bardzo wiele. W Ruppertshain była bardzo znana i lubiana — odparł Bodenstein. Przypomniał sobie rozmowę z matką. — Wracając z Niederrod zajrzemy do siostry dzierżawczyni leśnej gospody i do hospicjum, żeby porozmawiać z pracownikami. Dobrze, a teraz do roboty. Widzimy się tutaj o piątej.

W DRODZE do Ruppertshain Pia łamała sobie głowę nad tym, dlaczego do żony Clemensa Herolda Bodenstein wziął ze sobą Cema, a nie ją. Czyżby wciąż był na nią zły za wczoraj? A może chciał ją w ten sposób przyzwyczaić do pracy bez niego? Żeby dawała sobie radę, kiedy on będzie na urlopie? Znając jego

bezinteresowność i empatię, było to całkiem możliwe. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Bodenstein stał się bardzo ważną częścią jej życia, do tego stopnia, że nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy go zabraknie. Z kim będzie analizowała sprawy? Kto mógłby go zastąpić? Był dla niej kimś daleko ważniejszym niż po prostu przełożony, z którym dobrze się pracuje. Razem odnosili sukcesy i razem znosili gorycz porażki. Razem rozwiązywali zagmatwane śledztwa i ratowali się z niebezpiecznych sytuacji, a w trudnych chwilach mogli na sobie polegać. Zostali przyjaciółmi, rozmawiali o prywatnych sprawach i nie było nikogo, komu Pia by do tego stopnia ufała.

W warsztacie Herolda robotnicy pracowali, jakby nic się nie stało, więc albo Edgar Herold w ten sposób starał się zagłuszyć smutek po tragicznej śmierci matki, albo pokazywał, że nic go to nie obeszło. Kiedy Pia z Tarikiem weszli do środka, nie wydawał się szczególnie zaskoczony.

— Tak się właśnie spodziewałem, że się tu pojawicie — burknął, nie odrywając się od pracy. — O co znowu chodzi?

— Musimy zadać panu kilka pytań. — Pia doświadczyła już dziwniejszych reakcji ze strony bliskich ofiar. — Może przeszlibyśmy w jakieś spokojniejsze miejsce?

Herold wzruszył ramionami i odłożył metalową część, przy której pracował, po czym wydał kilka krótkich poleceń swoim pracownikom, by następnie z Pią i Tarikiem wyjść z warsztatu. Spochmurniał na widok Krögera i jego ludzi, którzy akurat wkładali kombinezony jednorazowe.

— Co to ma znaczyć? — Herold zmarszczył czoło tak mocno, że jego krzaczaste brwi połączyły się w jedną linię. Z całą pewnością zauważył również dwie starsze kobiety, które zatrzymały się po przeciwnej stronie ulicy i bez skrupowania zaglądały przez otwartą bramę. W takich małych wioskach wiadomość o każdym wydarzeniu rozchodziła się lotem błyskawicy.

— Dysponujemy nakazem przeszukania pańskiej posesji — oznajmiła Pia

i jak zawsze w takich sytuacjach wyjaśniła, jakie prawa ma przeszukiwany.

— Niby po co?

— Przedwczoraj w nocy w pożarze przyczepy kempingowej pańskiej matki zginął pański brat, Clemens Herold — wyjaśniła Pia. — Mamy jednoznaczne dowody, że doszło tam do podpalenia.

— I co, że niby ja go miałem podpalić? — Jego złość ustąpiła miejsca jawnej wrogości.

— Musimy rozmawiać o tym teraz, na podwórzu? — zapytała Pia.

Dwie staruszki po drugiej stronie ulicy zyskały wsparcie w postaci siwowłosego mężczyzny i grubej kobiety w fartuchu.

— No, Edgar! — wrzasnęła gruba. — Doigrałeś się w końcu, co?

Herold zacisnął usta i wykonał w jej stronę wulgarny gest.

— Chodźcie — warknął.

Pia i Tarik ruszyli za nim wąskimi schodkami oplatającymi dom. Drzwi wejściowe nie były zamknięte, bo obie klamki połączone zostały gumowym węzłem, który nie pozwalał im się zatrzasnąć.

— Zamyka pan na noc bramę na podwórzu i drzwi do domu? — zapytał Tarik.

— Drzwi do domu tak. — Herold poprowadził ich do mieszkania na półpiętrze. — Bramy na podwórzu nie.

— A warsztat? Przecież na pewno trzyma pan tam drogie narzędzia?

— Już dawno się zamortyzowały — burknął mężczyzna i zaprowadził ich do pomieszczenia, które służyło za biuro. Przeładowane biurko, zdominowane przez staromodną obudowę komputera stacjonarnego, drukarka laserowa na podłodze, regały uginające się pod ciężarem skoroszytów. Na komódce stało kilka tacek na dokumenty, zawalonych piętrzącymi się papierami, a wszystkie wolne miejsca zajmowały katalogi.

— Dobra, to czego ode mnie chcecie? — Herold stanął plecami do okna

wychodzącego na podwórze. — Nie mam za dużo czasu.

Umilkło wycie piły do metalu, bo trzech robotników wykorzystało nieobecność szefa i zrobiło sobie przerwę. Wyszli razem na podwórze i zapalili papierosy.

— Co pan robił nocą z ósmego na dziewiątego października? — Pia uznała, że nie będzie robić żadnych wstępów i nie zamierzała oszczędzać Herolda. Jeśli mu się wydawało, że jest twardy, to właśnie trafiła kosa na kamień. — I gdzie pan przebywał wczoraj, około godziny siedemnastej?

Mężczyzna natychmiast pojął, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa, i poczerwieniał.

— Dobra, wystarczy! — warknął oburzony. — Moja matka i brat nie żyją, a wy przychodzicie i takie coś mi sugerujecie! Gdzie jest Bodenstein? Z panią i tym czarnowłosym nie zamierzam gadać.

— Obawiam się, że nie ma pan innego wyjścia. Pan von Bodenstein udał się do pańskiej szwagierki — odparła Pia chłodno. — Wracając do pytania, gdzie pan wtedy przebywał?

— Nocą zazwyczaj śpię — prychnął Edgar z wściekłością.

— A przedostatniej nocy konkretnie?

— No przecież mówię! Żona może potwierdzić!

— Ktoś poza pańską żoną również?

— Niestety, żona nie zgadza się, żeby kochanka u nas nocowała, więc nie.

— Proszę, proszę, a więc ma pan kochankę. — Pia zupełnie nie spodziewała się takiego refleksu u gburowatego ślusarza, więc udała, że nie zrozumiała dowcipu. — Interesujące. Jak się nazywa i gdzie mieszka?

— To był dowcip! — Herold był coraz bardziej zły.

— W sprawach o morderstwo nie mamy poczucia humoru — odpowiedziała lodowatym tonem. — I panu też radzę potraktować to wszystko bardzo poważnie. Gdzie przebywał pan wczoraj, około godziny

siedemnastej?

— U klienta. Miałem dostawę i montaż. Możecie zapytać mojego pracownika.

— Z całą pewnością to sprawdzimy — zapewniła go policjantka. — Który z nich był tam z panem?

— Żaden z tej trójki — odpowiedział ślusarz ponuro. — Wziąłem Leona, pracuje w komunalce i jak ma wolne, pomaga mi w różnych pracach.

— Leona? — drążył Tarik. — Proszę podać jego nazwisko i numer telefonu.

— Leo Keller — burknął Herold niechętnie. — Mieszka tutaj, niedaleko, przy Wiesenstrasse. Z matką.

— Gdzie pan pracował wczoraj wieczorem? — zapytała Pia.

— W Kelkheim — odpowiedział Herold. — Na Beethovenstrasse, pod numerem sto drugim. Montowałem balustradę na balkonie.

Tarik zapisał tę informację w telefonie.

— Dziękuję. — Pia uśmiechnęła się oszczędnie. — Na razie to wszystko. A teraz, jeśli można, proszę zaprowadzić nas do mieszkania pańskiej matki.

— Skoro uważacie, że to wam coś da... — Herold wzruszył ramionami. Przecisnął się obok nich, wyszedł na klatkę schodową, wszedł piętro wyżej i otworzył jakieś drzwi. Klatka schodowa wyglądała, jakby została żywcem przeniesiona z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Luksfery, poręcz obciążnięta zielonym plastikiem i stopnie z brązowego lastriko. Na ścianach oklejonych tapetą wisiały obrazki ze zwierzętami i pojedyncze zdjęcie lotnicze posesji Heroldów, też około sześćdziesięcioletnie.

Mężczyzna nacisnął kłamkę i pchnięciem otworzył drzwi po lewej stronie.

— Zapraszam. — Uczynił gest w kierunku wnętrza, z trudem powstrzymując złośliwy uśmiech. — Rozejrzyjcie się. Nie musicie się spieszyć.

Pia z kamienną twarzą weszła na plac budowy, w który zmieniło się mieszkanie Rosie Herold. Ze ścian smętnie zwisały resztki tapet, a na

betonowej podłodze widać było ślady po taśmie do wykładzin.

— Spieszyło się panu z remontem. — Podeszła do jednego z okien. Rozciągał się z niego widok aż na Zauberberg i las. Poniżej stały trzy duże kontenery na śmieci, wypełnione gruzem, drewnem i innymi odpadami. — Gdzie podziały się rzeczy osobiste pańskiej matki?

— To, czego nie wzięła ze sobą, wyrzuciliśmy — odparł Herold z korytarza. Pia miała wrażenie, że sam dźwięk tych słów wypełniał go głęboką radością. Policjantka odwróciła się i spojrzała na niego. Rosie Herold przed kilkoma tygodniami trafiła do hospicjum, a jej rodzina uznała, że nie ma nic pilniejszego, niż usunąć wszystkie ślady jej egzystencji, jeszcze zanim pożegnała się z tym światem. Spotkała w życiu wielu niemiłych typów, jednak Edgar Herold bezapelacyjnie zajął miejsce w czołówce najbrzydliwszych bydlaków. Odezwała się jej komórka. Kröger. Przeszła do sąsiedniego pokoju.

— Brakuje siedmiu butli z propanem — oznajmił Christian bez długich wstępów. — Pracownicy nie mają pojęcia, co się z nimi stało. Czasem Herold wypożycza butle gazowe, ale wtedy zawsze jest jakieś pokwitowanie, a ludzie muszą wpłacić pięćdziesiąt euro kaucji. W biurze jest rejestr takich operacji, ale nie znalazłem w nich żadnych aktualnych wpisów.

— Dzięki, Christian — odparła półgłosem. — W tej chwili jesteśmy na piętrze, w mieszkaniu Rosie Herold. Niestety, wszystko zdążyli wyrzucić. Na dole znajdziesz trzy kontenery. Przeszukajcie je, proszę, pod kątem osobistych rzeczy zamordowanej. Ach, jeszcze jedno. Podeślij do mnie dwójkę z prewencji. Bierzemy Herolda na komendę.

— Pewnie, już się robi.

Pia schowała komórkę i wróciła na korytarz.

— Najlepiej będzie, jeśli szef osobiście się z panem rozmówi — oznajmiła i się uśmiechnęła.

— No i co, nie dało się tak od razu? — Herold poczuł się pewnie. — Wracam do warsztatu, będzie wiedział, gdzie mnie szukać.

— Źle mnie pan zrozumiał. Pojedzie pan teraz z nami. — Pia przyglądała się, jak z twarzy Edgara znika zarozumiały uśmieszek na widok dwóch umundurowanych policjantów. — A żeby nie zawieść pańskich sąsiadów, pojedzie pan radiowozem. Na tylnej kanapie.

BODENSTEIN PRZEZ LATA PRACY w policji widział już chyba każdą możliwą reakcję bliskich ofiary, którym przekazywał tragiczną wiadomość na zawsze zmieniającą ich życie. Niektórzy przeżywali załamanie i zalewali się łzami, inni wpadali w stan otępienia i nic do nich nie docierało, jeszcze inni rzucali się w wir jakichś bezsensownych czynności, byle tylko czymś się zająć. Zdarzały się osoby, które nie chciały uwierzyć w jego słowa. Nazywały go kłamcą, przeklinały, z płaczem rzucały mu się na szyję, a kiedyś pewna kobieta, którą powiadomił o śmiertelnym wypadku samochodowym męża, z całym przekonaniem upierała się, że na pewno przyszedł z programu z ukrytą kamerą.

Mechthild Herold i jej syn zareagowali z wielkim opanowaniem, kiedy razem z Cemem przedstawili im wyniki sekcji zwłok. Rozumiejąc sytuację bliskich ofiary, pominęli przy tym najbardziej drastyczne szczegóły. Poza bólem i rozpaczą, którą żona i syn odczuwali, w ich serca powoli zaczęła sączyć się złość, w miarę jak zaczynali rozumieć, że Clemens Herold, małżonek i ojciec, od jakiegoś czasu prowadził podwójne życie. Mechthild do samego końca będzie zadręczać się pytaniami, co robił jej mąż, kiedy miał być na wyjazdach służbowych. Które jego słowa były prawdziwe, a kiedy kłamał? Czy jego współpracownicy i koledzy wiedzieli, co robił?

Nie protestowała, gdy Oliver poprosił ją o wydanie komputera i kalendarza męża, a potem bez słowa sprzeciwu wyraziła zgodę, by zeszli i rozejrzeli się po niewielkim pomieszczeniu w piwnicy, które Clemens zaadaptował na

swoje biuro.

Bodenstein i Cem wsiedli do samochodu i ruszyli z powrotem do Hofheim, gdzie na rozmowę czekał Edgar Herold, jednak w okolicach Billtalhöhe zjechali z trasy B8 w kierunku leśnego kempingu. Oliver miał cichą nadzieję, że Cem sam poruszy temat stanowiska szefa K11, jednak młody współpracownik mówił jedynie o innych sprawach. Może dlatego, że w gruncie rzeczy nie było o czym rozprawiać, a ostateczna decyzja już dawno zapadła?

Na parkingu przed gospodą spotkali Felicitas Molin. Kobieta ugięła się pod ciężarem dwóch pełnych siatek zakupów, które przed chwilą dźwignęła z bagażnika zmęczonego życiem, starego land rovera. Wyglądała świeżo, znacznie lepiej niż poprzedniej nocy, a i pachniała o niebo znośniej.

— Bardzo mi przykro, że wczoraj tak wyszło. — Uśmiechnęła się przepraszająco i przyjrzała się policjantom. — Strasznie mnie to wszystko rozbiło.

— Doskonale to rozumiem. — Bodenstein potaknął empatycznie. — Na pewno nie każdej nocy wyrywa człowieka ze snu eksplozja.

— Przede wszystkim to nie każdego wieczoru piję tyle alkoholu, żeby mylić dynię z człowiekiem — przyznała ze wstydem i zaśmiała się słabo.

— Proszę za nic nie przeproszać. — Bodenstein był przyjemnie zaskoczony niesamowitą przemianą Felicitas. Kobieta miała na sobie obcisłe džinsy, buty na obcasie i beżową kurtkę puchową z futrzanym kołnierzem, a całości dopełniał staranny makijaż. Wprawdzie najważniejsze jest pierwsze wrażenie, jednak czasem człowiek zasługuje na drugą szansę.

— W tym pożarze... ktoś w nim zginął, prawda? — Wskazała głową na gazetę, która wystawała z jednej z siatek. — Widziałam dzisiaj w dodatku lokalnym.

— Niestety tak — potwierdził Bodenstein. — Przy czym wiadomo już, że ta

przyczepa została podpalona. Podejrzewamy, że jest naoczny świadek tego, co się stało. To młody chłopak, który pomieszkiwał w innej przyczepie. Aktualnie jest poszukiwany.

— Słyszałam o tym. — Pani Molin skinęła głową. — No dobrze, a jak ja mogłabym pomóc?

— Z tego, co pani mówiła, doszło do dwóch eksplozji, potem słyszała pani odjeżdżający samochód, a chwilę później zobaczyła pani kogoś w pobliżu ognia.

— Zgadza się.

— Dla nas wielkie znaczenie ma chronologia tych wszystkich zdarzeń — wyjaśnił Cem. — Kiedy słyszała pani warkot silnika? Przed drugą eksplozją czy już po niej?

— Przed, zdecydowanie przed — odparła Felicitas bez chwili wahania. — Obudził mnie huk pierwszej eksplozji, więc zerwałam się i podbiegłam do okna. Niestety jestem ślepa jak kret, dlatego musiałam poszukać lornetki szwagra. Wtedy właśnie usłyszałam silnik tego samochodu.

— A kiedy zobaczyła pani sylwetkę na tle ognia?

— Zaraz potem. Właściwie to bardzo niewyraźnie ją widziałam, zarys człowieka na tle płomieni.

— Czy zauważyła pani, jak ten człowiek był ubrany? Albo jak wyglądał?

— Nie, niestety. — Felicitas Molin potrząsnęła z żalem głową. — W ogóle to na początku pomyślałam, że mi się przywidziało, ale potem popatrzyłam przez lornetkę i zobaczyłam, że to był jednak człowiek. Biegł w kierunku lasu.

— Dobrze, dziękuję. — Cem potaknął i się uśmiechnął. — To dla nas bardzo ważne informacje.

— Co się stało z pani autem? — zapytał Bodenstein.

Land rover był stary i wyraźnie zaniedbany, jednak wgniecenie na lewym błotniku wyglądało na całkiem świeże.

— To samochód mojej siostry — wyjaśniła pani Molin. — Moje auto stoi u mechanika, dlatego korzystam z jej wozu, póki nie wróci do kraju.

Bodenstein zajrzał do środka i zauważył ciemne plamy na fotelu kierowcy. Czyżby to była krew?

— Czy w czasie ostatnich kilku dni zwróciła pani może uwagę na coś dziwnego? Czy coś panią zaniepokoiło?

— Nie, nic szczególnego się nie wydarzyło. — Pani Molin wyjęła z bagażnika skrzynkę coli i głośno zatrzasnęła klapę. — O tej porze roku tutaj naprawdę niewiele się dzieje. Od czasu do czasu przebiegnie jakiś biegacz, czasem mignie rowerzysta czy przejedzie ktoś na koniu.

— Może byśmy pomogli z zakupami? — zaproponował Cem i uśmiechnął się ujmująco. — Zrobiła pani solidne zapasy.

— Gdy się mieszka pośrodku lasu, czasem trzeba się solidniej zaopatrzyć, żeby nie jeździć ciągle tam i z powrotem. — Pani Molin uśmiechnęła się w odpowiedzi. — Wie pan, stąd jest spory kawałek do supermarketu. Dziękuję za propozycję, ale dam sobie radę.

Zamknęła samochód, podniosła z ziemi drugą siatkę i ruszyła w stronę gospody.

— Wracamy? — zapytał Cem.

— Jeszcze nie. — Bodenstein odczekał, aż kobieta zniknie za narożnikiem domu, po czym włączył aparat w komórce i zrobił kilka zdjęć wnętrza land rovera i uszkodzonego błotnika. Na klamce drzwi od strony kierowcy dostrzegł krew. Była wprawdzie zaschnięta i na pierwszy rzut oka wyglądała na brud, jednak Oliver nie miał wątpliwości.

— Uwaga, wraca! — ostrzegł Cem. Bodenstein błyskawicznie schował telefon do kieszeni.

— Mogę jeszcze jakoś pomóc? — zapytała Felicitas.

— Nie, nie, to już wszystko — zapewnił ją Oliver. — Może jednak mój

współpracownik pomoże pani z tymi skrzynkami?

Kobieta przekrzywiła głowę i rozbawionym wzrokiem przyjrzała się Cemowi.

— Niech będzie. Skoro ma pan szansę zaliczyć dzisiaj jakiś dobry uczynek, nie będę pana powstrzymywała. — Wskazała głową skrzynki z napojami. — Gdyby zechciał pan postawić je przy wejściu do gospody, byłabym wdzięczna.

Cem chwycił skrzynkę z wodą i drugą z colą i ruszył za Felicitas. Bodenstein wykorzystał okazję, wyjął z kieszeni próbnik z patyczkiem do pobierania materiału do badań DNA, odkręcił zakrętkę i przesunął wacikiem po zaschniętej krwi na kłamce.

W zachowaniu Felicitas Molin było coś, co budziło jego podejrzliwość. Ten jej uprzedzający uśmiech, gotowość do współpracy i pomocy, wyraźnie udawana radość — czuł, że coś przed nimi ukrywa. Czyżby jednak błędnie ją ocenił? Czy może chodziło o nieufność, która niechybnie dotyka każdego, kto wykonuje taką jak on pracę? Był sens zawracać głowę Kaiowi i prosić go, by przygotował krótki raport na jej temat? Nie, to raczej niepotrzebne. Była tylko świadkiem i nikim więcej. Złożyła już zeznania, a on nie potrafił uzasadnić swojej podejrzliwości. Intuicja to trochę za mało.

MINĘŁO WPOŁ DO DZIEWIĄTEJ wieczorem, kiedy Pia zjechała na biegnącą wzdłuż autostrady utwardzoną polną drogę do swojego gospodarstwa. Na szczęście dni takie jak dziś były wyjątkiem, poza tym istniała możliwość, że oba morderstwa uda się wyjaśnić w rekordowo krótkim czasie. Edgar Herold nie zamierzał wprawdzie przyznać się do winy, jednak wszystkie poszlaki wskazywały właśnie na niego jako sprawcę, a dowodów przeciwko niemu było coraz więcej. Szal znaleziony przez ludzi Krögera na ścieżce prowadzącej przez łąki poniżej klasztoru należał do syna zamordowanej. W laboratorium zabezpieczono na nim ślady śliny i drobinki skóry. Obecnie

badano zawarte w nich DNA, by porównać je z DNA Rosemarie Herold. Ślusarz nie potrafił podać przekonującego uzasadnienia ani dla braku siedmiu butli z propanem, ani wytłumaczyć, jak jego szal, którego jakoby miał nie używać od ponad dziesięciu lat, znalazł się na dróżce niedaleko miejsca, gdzie doszło do morderstwa. Alibi na czwartkowe popołudnie było bardzo wątpliwe. Leo Keller, robotnik, który okazjonalnie pomagał Heroldowi, żeby dorobić sobie do pensji, był chętny do współpracy i z całą pewnością brakowało mu sprytu i inteligencji, żeby przekonująco kłamać. Rozmowa z nim zajęła im niemal godzinę, gdyż mężczyzna z trudem formułował zdania i za każdym razem, kiedy padało jakieś pytanie, musiał je przetrawić i zrozumieć. W końcu udało się ustalić, że Herold zostawił go u klientów w domu przy Beethovenstrasse około wpół do czwartej po południu, po czym sam pojechał dalej. Wrócił dopiero półtorej godziny później. „Eddy”, jak nazywał go Keller, przywiózł materiały, które kupił w markecie budowlanym. Mimo faktury ze sklepu należało zweryfikować tę wersję, bo przecież nie musiał być tam osobiście, a zakupy mógł zrobić ktoś inny. Alibi Herolda na noc ze środy na czwartek również nie miało wielkiej wartości, zeznania małżonków z założenia traktuje się bowiem jako stronnicze.

W kontenerze na odpady zmieszane ludzie Krögera odnaleźli kompletne wyposażenie mieszkania Rosie Herold, w tym ogromne ilości lekarstw, z których spora część była przeterminowana. Brakowało jednak jakichkolwiek osobistych przedmiotów zamordowanej, albumów ze zdjęciami, ramek z fotografiami najbliższych i całej masy drobiazgów i pamiątek, które gromadzi się przez całe życie, a które dla postronnych nie mają żadnego znaczenia. Całkowita obojętność, a przede wszystkim pośpiech, z jakim Herold pozbył się wszystkich śladów i pamiątek po matce, wydawały się Pii podejrzane i dziwne. Edgar gardził wprawdzie matką, jak sam twierdził, wstydził się jej prowadzenia i pewnie mógł jej nawet nienawidzić. Logiczne

wydawało się więc to, że przy pierwszej nadarzającej się okazji zniszczył przyczepę kempingową matki, a wraz z nią, dzięki sprzyjającemu zbiegowi okoliczności, pozbył się również brata. Czy to możliwe? Ten punkt właśnie budził jej spore wątpliwości. Edgar Herold nie był wprawdzie geniuszem, ale musiał przecież zdawać sobie sprawę, że automatycznie stanie się głównym podejrzanym. W końcu nigdy nie krył niechęci do brata i zupełnie otwarcie krytykował matkę. Czy zostawiłby tak jednoznaczne ślady? Czy w tak lekkomyślny sposób skierowałby uwagę całej policji na siebie, jakby chciał, by natychmiast go znaleziono? Morderstwo Clemensa Herolda zostało bardzo starannie zaplanowane, z wyraźnym kryminalnym zacięciem, a sposób, w jaki tego dokonano, był manifestacją chęci zniszczenia. Pia nie wierzyła, by prosty ślusarz był w stanie zaplanować i przeprowadzić taką operację.

Zatrzymała się przed bramą na podwórze i sięgnęła po pilota. Po chwili lewe skrzydło zaczęło się otwierać. Dopiero jadąc wysypanym żwirem podjazdem, dostrzegła obcy samochód obok znajomego pick-upa Christopha. Nagle przypomniała sobie, że zaprosiła Kim na wieczorny obiad. Przez nerwowy dzień wypadło jej z głowy, żeby zadzwonić do siostry i odmówić. Kim długo pełniła funkcję zastępcy dyrektora Szpitala Sądowego dla psychicznie i nerwowo chorych w pobliżu Hamburga. Mimo że były siostrami, przez wiele lat nie utrzymywały kontaktu. Dopiero przed dwoma laty Kim postanowiła spędzić Boże Narodzenie z rodzicami w Wiesbaden. Wspólne święta w rodzinnym gronie okazały się wprawdzie katastrofą, lecz sprawiły, że Pia i Kim nawiązały nic porozumienia i pozostawały od tego czasu w kontakcie. Było to o tyle łatwiejsze, że Kim objęła kierownictwo Zakładu Psychiatrii Sądowej na uniwersytecie w Monachium, a jej partnerką życiową została radczyni kryminalna Nicola Engel. Siostra Pii musiała przez to krążyć bezustannie między Monachium a Frankfurtem.

W zasadzie — pomyślała Pia — nie stało się źle, że zapomniała odwołać

spotkanie z siostrą. Zaparkowała samochód obok jej wozu i wysiadła. Kim była przecież biegłą sądową, prokuratura wielokrotnie zamawiała u niej opinie, a ona sama doradzała w centrum analiz operacyjnych Krajowej Policji Śledczej. Wcześniej przez kilka lat pracowała w jednostce analizy behawioralnej FBI w bazie w Quantico, więc była naprawdę doświadczoną specjalistką z ogromną wiedzą z zakresu psychiatrii i wieloma opracowanymi profilami sprawców w portfolio, co zresztą obecnie było jej specjalnością. Być może, jeśli zda jej relację z obecnej sprawy, Kim będzie mogła coś odpowiedzieć.

Apetyczny zapach czosnku i bazylii wypełniał cały dom. Ledwie Pia przestąpiła próg sieni, poczuła, jak ślinka napływa jej do ust. Szybko zdjęła buty i wsunęła stopy w żabiozielone crocsy. Dawniej jej psy zrywały się z legowisk i szczekały jak szalone od momentu, kiedy uruchamiała otwieranie bramy. Od tamtego czasu minęło wiele lat i zwierzaki nie miały już tak dobrego słuchu. Dopiero teraz obydwie zamachały ogonami i ruszyły jej na powitanie, trącając ją radośnie posiwiałymi ze starości pyskami. Pia pogłaskała je i ruszyła do kuchni. Christoph i Kim siedzieli przy nakrytym stole, lecz na jej widok wstali.

— Tak strasznie mi przykro, że się spóźniam — przeprosiła Christopha, pocałowała go i objęła siostrę. — O rany, ależ cudownie tu pachnie! Dzisiaj zjadłam jedną skromną bułeczkę i chyba zaraz padnę z głodu!

— Tak właśnie myślałem. — Jej mąż wstawił talerz do kuchenki i uruchomił podgrzewanie.

— Christoph bronił przede mną twojej kolacji jak lew. — Kim uśmiechnęła się i usiadła. — Ale miał rację, bo inaczej pewnie już dawno wszystko bym zjadła. To było naprawdę pyszne. Muszę przyznać, że świetnie gotuje!

Pia umyła ręce i uśmiechnęła się dyskretnie, bo w koszu na odpady do recyklingu zobaczyła zdradzieckie aluminiowe tacki.

— Tortellini z nadzieniem ze szpinaku i sera ricotta, do tego sos maślany z bazylią i dużą ilością czosnku. Tak jak moja ukochana lubi. — Christoph się uśmiechnął, wyjął talerz z kuchenki mikrofalowej i postawił przed żoną, po czym puścił do niej oko. — Do tego lampka sancerre.

— Dzięki, kochanie. — Pia rozłożyła serwetkę, posypała makaron startym parmezanem i przesłała Christophowi całusa. — Jesteś boski!

— Ach, właśnie, miałem przekazać ci pozdrowienia od Giuseppe. Pytał, kiedy znów cię zobaczy.

— Giuseppe? — Kim spojrzała na siostrę, potem przeniosła wzrok na szwagra. W końcu dodała dwa do dwóch i oburzona podparła się pod boki. — Słucham? Czy to znaczy, że jednak sam tego nie ugotowałeś? Ależ mnie nabrałeś!

— Może i sam nie gotowałem, ale przynajmniej sam zamówiłem i sam kupiłem w naszej ulubionej włoskiej restauracji. — Christoph znów się uśmiechnął i uniósł butelkę, by zaproponować Kim wino, lecz ona przykryła kieliszek dłonią.

— Dziękuję, mnie już wystarczy — odmówiła. — Wracam samochodem.

— W takim razie nie będę wam przeszkadzał, pogadajcie sobie w spokoju — powiedział Christoph, wstał i wziął swój kieliszek. — I tak muszę popracować nad wykładem, więc wybaczenie.

— Kim, mogłabym cię poprosić o zawodową opinię w jednej sprawie? — Pia spojrzała na siostrę. — Od wczoraj mamy na tapecie nową sprawę, a właściwie to aż dwie.

— Pewnie. — Kim od razu nastawiła z zainteresowaniem ucha. — Wal.

Pia omówiła oba morderstwa i zreferowała dotychczasowe ustalenia śledztwa.

— W moim odczuciu obie zbrodnie mogły zostać popełnione przez tego samego sprawcę — podsumowała Pia, nie przerywając jedzenia. Smak

czosnku i szaławii był tak cudowny, że jej kubeczki smakowe przeżywały ekstazę. — A jednak obie zostały popełnione w zupełnie inny sposób.

— Hm... — Kim się zamyśliła. — Skąd się bierze twoje przekonanie, że nie szukacie akurat tego ślusarza?

Pia opisała siostrze Edgara Herolda i wyjaśniła swoje wątpliwości dotyczące podpalenia przyczepy kempingowej.

— Teraz wszystko wskazuje na niego, tym bardziej że nie ma niepodważalnego alibi. Mimo to nie sędzę, żeby kłamał. Nie we wszystkich sprawach w każdym razie. Z drugiej strony mógł mieć współnika.

— Domyślcie się motywów obydwu zbrodni?

— Nie. Nie mogło chodzić o pieniądze, bo Rosemarie Herold miała raptem niecałe pięć tysięcy euro w banku i żadnego ubezpieczenia na życie, a udziały w domu i zakładzie już lata temu przekazała dzieciom. Jedyne, co posiadała, to ta stara przyczepa.

— Wspomniałaś, że była śmiertelnie chora?

— Tak. Rak, stadium terminalne. Lekarze wysłali ją do domu, bo nic więcej nie mogli dla niej zrobić. Cały czas zadajemy sobie pytanie, po co mordować osobę, która ma przed sobą kilka dni życia.

— Najbardziej uderzającą różnicą w sposobie popełnienia obu zbrodni jest to, że w jednym wypadku doszło do kontaktu z ofiarą, a druga została dokonana z pewnego dystansu — powiedziała Kim. — Uduszenie kogoś wskazuje na jakiś związek sprawcy z osobą zamordowaną. Zaciśnięcie komuś palców na szyi i jednoczesne spoglądanie tej osobie w oczy wymagają nie tylko siły, ale też ogromnych emocji, wściekłości, której nie odczuwa się w stosunku do obcych osób.

— To kolejna poszlaka wskazująca na Edgara.

— Właśnie niekoniecznie tylko na niego — zaprotestowała Kim. — Mógł to zrobić ktoś znajomy, dawny przyjaciel, były partner w interesach...

— A kobieta?

— Tak, ale silna. Ofiara była wprawdzie osłabiona i nie mogła stawiać oporu, ale i tak wymagało to trochę wysiłku. Dziewięćdziesiąt procent morderstw jest dokonywanych przez sprawców w jakiś sposób związanych z ofiarami.

— Wiem. — Pia знаła statystyki. — Sprawa podpalenia przyczepy wygląda zupełnie inaczej. Sprawca podłożył butle gazowe... Musiał wszystko bardzo starannie zaplanować.

— A ofierze roztrzaskał głowę, tak?

— Tak.

— Do tego również potrzeba sporo siły.

— Tak, ale z racji szczegółowego planu nie można mówić o zbrodni w afekcie.

— Zgodzę się, że przeciwko temu może świadczyć dokładne przygotowanie podpalenia przyczepy — potwierdziła Kim. — Jednak ten czyn wygląda na połączenie działania napędzanego emocjami i racjonalnego myślenia. Być może ten ktoś pojawił się tam jedynie po to, żeby podpalić przyczepę i dopiero na miejscu sprawa się skomplikowała. Może nie spodziewał się, że zastanie kogoś w środku. Miał do wyboru albo podjąć decyzję, albo zniweczyć cały plan. Istnieje jednak prawdopodobieństwo, że był przygotowany na różne scenariusze i jadąc na kemping, wziął ze sobą narzędzie zbrodni. Musiał liczyć się z tym, że w razie konieczności będzie modyfikował plan.

— Myślisz, że wcale nie musiało chodzić o Clemensa Herolda?

— Moim zdaniem jego głównym celem było zniszczenie tej przyczepy i to stanowiło clou jego planu.

— Tylko czy w takim razie ilość materiałów, no wiesz, benzyna i butle z gazem, czy to nie wygląda na przesadę?

— Nie. Ogień i jego intensywność nie były pierwotnie pomyślane jako narzędzie unicestwienia ciała ofiary. Nie wykluczam, że sprawca brał pod uwagę możliwość takiego rozwoju wypadków, jednak w mojej ocenie chodziło mu o absolutną pewność, że zarówno przyczepa, jak i jej zawartość zostaną całkowicie zniszczone.

— To znów wskazuje na Edgara Herolda. — Pia westchnęła. — Mówił, że każdy w Ruppertshain wiedział, co wyprawiała jego matka w tej przyczepie. Wydaje mi się, że miał na myśli jej bardzo liczne romanse, a może też chodziło o czysto seksualne kontakty. Gardził tym, co się tam działo, i dawał temu wyraz.

— Jestem w stanie zrozumieć, że chciałby zniszczyć przyczepę, upatrując w niej symbolu znienawidzonego sposobu życia matki. Ale nie to, że miałyby zabić brata, a potem spalić jego zwłoki. To nie pasuje do całości. — Kim potrząsnęła głową i spojrzała na zegarek. — Na waszym miejscu szukałabym sprawcy z otoczenia ofiary. Kogoś, kto dobrze zna rodzinę Heroldów, ma dostęp do domu Edgara i może wchodzić na ich posesję, nie wzbudzając podejrzeń.

— Super. W takim razie musimy przyjrzeć się połowie męskiej populacji Ruppertshain! — Pia się skrzywiła. — Herold jest ślusarzem i udziela się w kilku klubach i stowarzyszeniach. A jego matka była bardzo lubianą i powszechnie znaną osobą.

— Do popełnienia tych morderstw nie pchnął sprawcy żaden z podstawowych motywów w takich przypadkach. Nie była to ani zazdrość, ani zemsta. Chciwość sama wykluczyłaś. No dobrze, siostra, pewnie wolałabyś usłyszeć ode mnie coś innego, ale moim zdaniem szukacie mężczyzny, który miał do wyrównania jakieś rachunki albo chciał uciszyć osoby, które o czymś wiedziały. I prawdę mówiąc, byłabym zaskoczona, gdyby skończyło się tylko na tych dwóch ofiarach.

— Seryjny morderca? — Pia poczuła, że czająca się przez cały dzień obawa zaczyna przeradzać się w strach.

— Nie — zapewniła Kim zdecydowanym tonem. — Seryjny morderca morduje, żeby urzeczywistnić swoje chore fantazje. Jego czyny mają wyraźne zabarwienie sadystyczne, którego tutaj brakuje, tak samo jak fazy wyciszenia.

— Hm. — Pia bawiła się kieliszkiem do wina. — Co właściwie miałaś na myśli, mówiąc o uciszaniu osób, które o czymś wiedzą? O czym?

— To już wasze zadanie, żeby to odkryć. — Kim się uśmiechnęła. — Ale jak już to ustalicie, będziecie go mieli na wyciągnięcie ręki.

SOBOTA 11 PAŹDZIERNIKA 2014

Tej nocy, po raz pierwszy od wielu lat, Bodensteina dręczył koszmar, który zapamiętał z dzieciństwa: uciekał przed jakimś zagrożeniem, którego istnienie wyraźnie odczuwał, a jednak nie mógł zobaczyć. Wiedział też, że to coś jest coraz bliżej i bliżej, już depta mu po piętach. Podobnie jak wcześniej, nie chodziło jedynie o niego; musiał kogoś uratować albo przynajmniej ochronić, co czyniło całą sytuację jeszcze trudniejszą i bardziej przerażającą. Obudził się zły z potem, na chwilę zanim miało stać się nieuniknione. Serce waliło mu jak szalone i musiało minąć trochę czasu, zanim udało mu się otrząsnąć z pełnej grozy atmosfery snu, z tego strachu, paniki i bezradności, które go wypełniały. Konfrontacja z własną przeszłością, do której zmusiło go zamordowanie Clemensa i Rosie, obudziła w nim jakiś dziwny niepokój i poruszenie. Dlatego nie zdziwił się, że podświadomość wyszperała ze swych zapomnianych czeluści i ten koszmar.

Minęła piąta. Wiedział, że już raczej nie zaśnie. Zszedł więc na dół, zaparzył sobie kawę i ruszył na poszukiwania iPada. Znalazł go na kanapie w salonie. Po tłustych odciskach maleńkich paluszków na dotykowym ekranie i okruszkach jedzenia zaścielających wszystko w promieniu pięciu metrów od urządzenia, doszedł do wniosku, że Sophia musiała zorganizować sobie sesję gier, choć wyraźnie zabronił jej używać do tego iPada. Kiedy poprzedniego wieczoru wrócił do domu, spała już spokojnie w swoim łóżeczku.

Bodenstein upił łyżeczek kawy i otworzył program pocztowy. Cosima łaskawie odpisała na jego mejl, choć to dużo powiedziane, bo nawet nie raczyła nic wpisać w pole tematu i skreśliła ledwie parę słów. W tej chwili

podróżowała z ekipą filmową do Gaziantep w Turcji, by nakręcić dla telewizji jakiś materiał z granicy turecko-syryjskiej. Nie miał co liczyć na jej powrót przed końcem następnego tygodnia. I to wszystko. Ani pozdrowień dla Sophii, ani dla niego. Cosima nigdy nie pielęgnowała w sobie matczynych uczuć, a swobodnie czuła się jedynie w drodze, najlepiej w okolicach objętych działaniami wojennymi albo w miejscach, gdzie żadna biała kobieta nie postawiła jeszcze stopy. Dawniej, w czasach przed upowszechnieniem się telefonów komórkowych i Internetu, zdarzało się, że mijały całe tygodnie, a do niego nie docierały żadne wieści od żony. Umierał wtedy ze zmartwienia.

Dostał też mejl od Pii. Poprzedniego wieczoru omówiła obydwu morderstwa ze swoją siostrą i przesłała mu wnioski z tej rozmowy. Przed dwoma laty doktor Kim Freitag pomogła rozwiązać trudną sprawę, więc jej opinia mogła być wielkim wsparciem dla ich działań. Czytając, co szanowana profilerka mówiła o sprawcy, Bodenstein poczuł, jak włosy stają mu dęba. Już wczoraj wieczorem, w trakcie przesłuchania, doszli do wniosku, że wbrew wszystkim poszlakom wskazującym na Edgara Herolda, opryskliwy ślusarz nie zamordował matki i brata. A ponieważ ryzyko ucieczki było znikome, po rozmowie wypuścili go do domu.

Ostatnie zdanie listu Pii przeczytał dwukrotnie. *Kim uważa, że powinniśmy szukać kogoś, kto ma do wyrównania jakieś rachunki albo zabija współników, ewentualnie świadków. I byłaby zaskoczona, gdyby miało się skończyć tylko na tych dwóch morderstwach.*

Wspólnicy, ewentualnie świadkowie. Nierzadko dochodziło do zbrodni z powodów, które dla osób z zewnątrz mogły wydawać się błahe, jednak dla samych zainteresowanych przybierały wymiar katastrofy egzystencjalnej. Jaką tajemnicę mogli znać Rosie i Clemens? Jaka wina mogła ich obciążać? Wiedza o czym miała taką wagę, że musieli za nią zginąć? I dlaczego akurat teraz? Rosie miała przed sobą raptem kilka dni, przy odrobinie szczęścia może kilka

tygodni. Po tym krótkim czasie choroba sprowadziłaby na nią śmierć i wyręczyła mordercę. Może razem z Clemensem szantażowała kogoś, kto nie widział innego wyjścia z sytuacji i zapędzony w narożnik zabił? Kto mógł wiedzieć, że Clemens korzystał z przyczepy kempingowej matki i pomieszkiwał tam, by w spokoju spisywać kronikę rodzinną? Co się stanie, jeśli siostra Pii miała rację i te dwa morderstwa stanowią jedynie preludium do całej serii kolejnych? Jak dotąd nie mieli pojęcia, jakie motywy kierowały sprawcą i brakowało im jednoznacznych informacji, a to z kolei nie pozwalało zawęzić grona podejrzanych. Co gorsza, nikt tak naprawdę nie wiedział, co te morderstwa spowodowało. Prawda nigdy nie pojawiała się cała od razu, trzeba ją było rekonstruować z tysięcy drobnych, podobnych do siebie fragmentów. I choć po pesymistycznej prognozie Kim Freitag nie mieli czasu do stracenia, mimo wszystko musieli uzbroić się w cierpliwość i czekać na wyniki wszystkich badań laboratoryjnych, na wnioski płynące z analizy telefonów i na raport specjalistów informatyków z centralnego laboratorium kryminalistycznego policji śledczej. Nic tak bardzo nie zagrażało śledztwu, jak uczipienie się jednego scenariusza i już na wczesnym etapie dochodzenia skupienie się na jednym podejrzanym.

Zamyślony podrapał się po nieogolonej brodzie, po czym napisał krótką odpowiedź do Pii i potwierdził dzisiejszą odprawę o dziesiątej rano. Na prośbę Pii również jej siostra miała wziąć udział w spotkaniu. Dla wygody do listy adresatów dodał cały zespół, włącznie z Nicolą Engel i Christianem Krögerem. Być może obecność Kim da jakiś impuls, który pomoże im w poszukiwaniach sprawcy? Musieli wpaść na jego ślad, zanim znów zaczną zabijać.

Chwilę przed siódmą w salonie pojawiła się Sophia. Bez słowa podeszła do telewizora i go włączyła. Poprzedniego wieczoru Karoline zaczekała na jego powrót. Bodenstein miał nadzieję, że zostanie na noc, lecz krótko potem

wyszła i zostawiła go samego. Greta znów wpadła w jakieś kłopoty, tym razem na wycieczce szkolnej. Były mąż Karoline odebrał córkę z Monachium, a ona natychmiast poodmawiała wszystkie spotkania, by trząść się nad Gretą jak kwoka. Ludzie, którzy przyjechali oglądać dom jej rodziców, wyrażali bardzo poważne zainteresowanie kupnem nieruchomości, jednak zdecydowanie nie za cenę, jakiej oczekiwała. Kiedy wyszła, Bodenstein usiadł przed telewizorem i machinalnie przełączał kanały. Wypił dwa kieliszki wina, rozmyślając, dlaczego podświadomie wybiera kobiety, dla których jest zawsze drugi na liście. Nie miał wątpliwości, że już w małżeństwie był tą stroną, która mocniej kochała, niż była kochana. Czasem miał wrażenie, że dla Cosimy jest obciążeniem; większa część jej życia toczyła się gdzieś indziej, całkowicie go omijając, przez co udzielało mu się poczucie niepewności. Przelotny romans z Anniką Sommerfeld, która, jak się okazało, jedynie go wykorzystywała, również nie przyczynił się do poprawy jego samooceny. W przypadku Inki tak naprawdę do dziś nie wiedział, czy między nimi kiedykolwiek pojawiła się miłość, czy może raczej próbowali wskrzesić bliskość sprzed trzydziestu lat. A teraz Karoline...

W czasie weekendów, które spędzali razem, wszystko układało się cudownie i czuł się wspaniale. Jednak zawsze kończyło się to brutalnym sprowadzeniem na ziemię. Od kilku tygodni Bodenstein miał wrażenie, że Karoline coraz bardziej się od niego odsuwa. Nie potrafił wyjaśnić jej zachowania, a ona unikała rozmów, które mogłyby rozwiązać jego wątpliwości. Zawsze wyglądało to podobnie: a to Greta miała koszmary, a to dokuczali jej w stadninie. Greta kłóciła się z przyrodnim rodzeństwem, Greta wagarowała, Greta została przyłapana na paleniu haszyszu — co rusz jakiś problem z Gretą. Wystarczyło, że Oliver usłyszał jej imię, a już zaczynał się trząść z frustracji. Czyżby Karoline wykorzystywała swoją córkę ze wszystkimi jej problemami wieku dorastania jako wymówkę? Może problem tkwił zupełnie gdzie indziej?

A jeśli tak, to gdzie? Czy popełniał błąd, nie pytając, co się dzieje? Może powinien zadziałać z większym zdecydowaniem, naciskać, a gdyby próbowała się wymówić, postawić jej ultimatum? Czy coś się zmieni, kiedy niedługo będzie miał dla niej więcej czasu?

— Tata, zrobisz mi kakao? — Sophia weszła do kuchni. W salonie telewizor grał na cały regulator. Piskliwe głosiki jakichś postaci z bajki rysunkowej mieszały się z denerwującą muzyką.

— Tak, pewnie. — Bodenstein wstał od stołu, wyjął z lodówki mleko i postawił garnek na kuchence. — Wyłączyłabyś telewizor, skoro już nie oglądasz?

— Oglądam. O siedem cztery zero zaczyna się Bibi i Tina.

— Nie ma już na to czasu — przypomniał córce. — Muszę odwieźć cię do Darcy.

Tego dnia na szczęście udało mu się umówić z rodzicami koleżanki Sophii, u której mała miała zostać na noc. W nadchodzącym tygodniu z Włoch wracała teściowa, która chciała wziąć wnuczkę do siebie do końca przerwy jesiennej. A potem się zobaczy, jeśli Cosima po raz kolejny przedłuży swój pobyt za granicą.

— Wczoraj wieczorem przyszedł tu taki stary pan — przypomniała sobie jego córka. Akurat wkładała dwie kromki chleba do tosterka. — Dzwonił chyba z dziesięć razy.

Bodenstein nastawił uszu.

— No i? — zapytał. — Dlaczego Karoline nie otwierała?

— Bo akurat poszła do sklepu i na pocztę. — Córka wyjęła nóż z szuflady obok kuchenki.

— Czego chciał ten człowiek? — Bodenstein podniósł rozgrzany garnek z mlekiem, dodał kakao i zamieszał. Toster strzelił sprężyną i ze środka wyskoczyły dwie kromki chleba. Oliver wyjął je i położył na blacie.

— Nie wiem. Nie otworzyłam mu przecież. — Sophia zaczęła smarować grzanki masłem. — Sam mówiłeś, że nie wolno mi nikogo wpuszczać, jeśli ciebie nie ma.

— To prawda. Znasz tego pana?

— Chyba. Z kościoła.

Bodenstein natychmiast przypomniał sobie, że poprzedniego dnia miał zajrzeć do księdza. Całkowicie wypadło mu to z głowy!

— Czy to nie był przypadkiem ksiądz Maurer?

— Raczej tak.

— Rozmawiałaś z nim? Mówił coś?

— Tylko przez domofon.

— No i co powiedział?

— Że przyszedł do ciebie.

— Tylko tyle?

— Aha. — Spojrzała na niego tak szczerze, że się wzruszył. Teraz czekał go szybki prysznic, odwiezienie córki do Darcy i dojazd do pracy. Ale zanim pojedzie do biura, zajrzy do księdza Maurera, postanowił.

FELICITAS NIE POZNAWAŁA samej siebie. Nigdy nie chciała mieć dzieci i nawet nie żałowała tej decyzji, jednak podobało jej się matkowanie temu chłopakowi. Miał w sobie coś kruchego, delikatnego. Gdyby nie niszczył swego ciała w tak brutalny sposób, byłby bardzo przystojnym mężczyzną. Postanowiła, że go odkarmi i pomoże stanąć na nogi. W aptece kupiła środki opatrunkowe i paracetamol, starannie oczyściła rany na głowie Eliasa i nałożyła bandaż. Na koniec przygotowała mu ciepłą kąpiel, a kiedy był w łazience, ugotowała pożywny rosół. Umyty i przebrany najadł się do syta i zasnął w łóżku jej siostry i szwagra. Wcześniej specjalnie dla niego przygotowała świeżą pościel. Od tego czasu minęło dwanaście godzin, a on jeszcze się nie obudził. W czasie rozmowy niewiele mówił o sobie, za to

bardzo dużo o dziewczynie imieniem Nike, którą kochał do szaleństwa. W ogóle nie myślał o człowieku, którego zobaczył w noc pożaru. Znacznie ważniejsze wydawało mu się powiadomienie Nike, że spełnił jej warunki i odstawił narkotyki. Miał z tym jednak problem, bo bał się włączyć komórkę. Spodziewał się, że nawet chwila wystarczy, by policja namierzyła, gdzie przebywa. Zapewne miał rację.

Felicitas nie chciało się wierzyć, żeby ktoś, kto przez całe lata faszerował się najróżniejszymi narkotykami, po kilku dniach odstawienia stawał się automatycznie czysty. Elias był marzycielem, który chwycił się nadziei jak tonący brzytwy, bo wierzył, że dzięki Nike i dziecku może ot tak w jednej chwili zmienić swoje życie. Nie miała serca, by mu wyjaśnić, jak bardzo jest naiwny.

Felicitas zeszła na parter. Skrzypienie schodów obudziło psy. Oba momentalnie zerwały się z legowisk i stanęły naprzeciwko, wyczekująco merdając ogonami.

— No dobra, chodźcie, pobiegacie i wracamy. — Założyła im obroże, z haczyka zdjęła smycze i wsunęła stopy w kalosze, które czekały przy drzwiach.

Powietrze na dworze było chłodne i rześkie. Wiatr szumiał w koronach drzew, pachniało igliwem i wilgotną ziemią. Jednak najbardziej fascynujący był spokój. Gdzieś między gałęziami ćwierkały ptaki, a z dala niosło się stukanie dzięcioła. Wysoko nad jej głową, po październikowo błękitnym niebie, przesuwał się samolot, zostawiając smugę kondensacyjną. Łąka była jeszcze ogrodzona policyjnymi taśmami, jednak Felicitas schyliła się i przeszła dołem. Spokojnym krokiem ruszyła w stronę spalonej przyczepy. Psy skakały radośnie po łące i przez chwilę goniły jakiegoś królika. W końcu dały spokój i potruchtaly dokądś. Kobieta przyglądała się im przez jakiś czas. Cudownie było oddychać świeżym powietrzem, spoglądać w błękitne niebo

i żyć. Teraz wiedziała, że tak naprawdę nic jej nie groziło, ale zamknięta w metalowej skrzyni nie miała tej wiedzy. Strach, klaustrofobia, przerażająca niepewność co dalej. Takie przeżycia pozostawiają ślady na bardzo długo.

Po krótkim marszu po podmokłej łące, rozoranej w kilku miejscach kołami ciężkich wozów strażackich, dotarła do pogorzelniska. Poczowała ciarki na plecach, przyglądając się kupce popiołu i jakimś niezidentyfikowanym, zwęglonym resztkom. W tym miejscu ktoś zginął. Ciekawe, co takiego zrobił Clemens H., sześćdziesięcioletni mieszkaniec Idstein, jak zapamiętała z gazet, że został tu zamordowany? Mrożąca krew w żyłach wizja śmierci żywcem w płomieniach była chyba najbardziej przerażającym sposobem pożegnania się z tym światem, jaki potrafiła sobie wyobrazić. Z tego, co pamiętała, człowiek zanim spłonie, traci przytomność z powodu zatrucia dymem. To jednak w żaden sposób nie łagodzi drastyczności takiej śmierci. Resztki samochodu osobowego, który spłonął obok przyczepy, zostały zabrane gdzieś do analizy, ciało oczywiście też. Wszystko wyglądało tak spokojnie i wręcz przyjemnie, a jednak Felicitas nie mogła się oprzeć wrażeniu, że las dookoła skrywał jakąś mroczną tajemnicę, jakby gdzieś między drzewami czaiło się niebezpieczeństwo, niewidzialne jak promieniowanie radioaktywne.

Nagle w jej głowie pojawiło się wspomnienie sytuacji, której nie poświęciła wcześniej zbyt wiele uwagi. Zdarzenie, o którym sobie przypomniwała, miało miejsce mniej więcej przed dwoma tygodniami. Wraciała akurat z zakupami. Słońce kryło się za horyzontem i robiło się ciemno. Chciała skręcić na parking przed gospodą, kiedy zupełnie nagle z drogi za łąką wyskoczyło ciemne kombi z wyłączonymi światłami. Dopiero w ostatniej chwili dostrzegła pędzący samochód. Zahamowała ostro i odbiła w prawo, a kierowca drugiego auta, zamiast przeprosić, minął ją szybko i odjechał. Nie roztrząsała tego zdarzenia zbyt długo, bo miała wrażenie, że to zwykła błaźnista, tym bardziej że nic jej się nie stało. Teraz jednak, patrząc

z perspektywy wydarzeń ostatnich dni, doszła do wniosku, że tamto spotkanie mogło jednak mieć znaczenie. Serce zabiło jej szybciej, kiedy mózg poukładał wszystkie elementy w jedną całość: leśna dróżka, z której wyjechało tamto auto, prowadziła wzdłuż kempingu, tuż obok spalonej przyczepy, dosłownie kilka metrów od płotu. Czyżby zaskoczyła wtedy mordercę, kiedy ten przeprowadzał rekonesans? Może powinna zawiadomić policję? Z drugiej strony nietrudno w takich sytuacjach o pomyłkę, a tamten człowiek mógł nie mieć nic wspólnego z późniejszymi tragicznymi wydarzeniami. Co miałyby przekazać śledczym? Ani nie zapamiętała marki samochodu, ani jego koloru czy tym bardziej numerów rejestracyjnych. Nie potrafiłaby nawet opisać, jak wyglądał człowiek za kierownicą.

Felicitas ruszyła z powrotem. Gdzie się podziały psy?

— Bear! — zawołała, rozglądając się. — Rocky!

Po żadnym ani śladu!

— Rocky! Bear! Do mnie! Ale już! — Jej głos stał się piskliwy. Nagle las zmienił się nie do poznania; był teraz groźny i złowrogi. Przyczepy kempingowe przycupnęły pod drzewami niczym jakieś groteskowe zwierzęta, a ich okna wyglądały jak wielkie oczy, śledzące każdy ruch. Wtedy po drugiej stronie płotu coś przyciągnęło jej uwagę. Psy musiały znaleźć dziurę w zardzewiałej siatce i wydostały się na zewnątrz. Teraz skakały dookoła jakiegoś spacerowicza i jego psa.

— Rocky! Bear! — krzyknęła głośno i zobaczyła, że nieznajomy daje im coś do jedzenia. Jakim prawem? Czy on ma dobrze w głowie? W jednej chwili poczuła wzbierającą falę złości i strachu.

— Panie! Co pan?! — wrzasnęła i rzuciła się biegiem. — Nie wolno karmić moich psów! Zabraniam!

Sprint po błotnistej łące w kaloszach za dużych o dwa numery był karkołomnym zadaniem, a kiedy udało jej się dotrzeć do płotu, nieznajomy

mężczyzna zniknął bez śladu. Rocky i Bear wróciły z podkulonymi ogonami, ze wstydem oblizując pyski. Bały się podnieść wzrok, bo wiedziały, że przeskrobały.

— Wiecie, że nie wolno brać jedzenia od obcych! — krzyknęła. Rozglądała się przestraszona, lecz nie dostrzegła żywej duszy.

PLEBANIĘ POBUDOWANO w czasie prac renowacyjnych starego kościoła, jeszcze w latach dwudziestych zeszłego stulecia. Sama świątynia ustąpiła w 1967 roku miejsca nowej, jednak nikt nie rozbierał domku po drugiej stronie drogi. Żaden z księży, którzy zastąpili Adalberta Maurera, nie wyraził chęci zamieszkania w tym starym budyneczku, dlatego od przeszło pięćdziesięciu lat staruszek był jedynym lokatorem wzniesionego z cegły domku porośniętego dzikim winem. Bodenstein otworzył bramę z kutego żelaza i ruszył krótką dróżką w stronę drzwi. Na niewielkim, starannie przystrzyżonym trawniku leżały kolorowe liście, a wokół przygarbionej jabłoni, wśród błyszczących rosą ździebeł, leżały zielone i czerwone jabłka. Dzikie wino zakrywające fasadę zmieniło kolor na ognisty. Za kilka tygodni, kiedy pojawią się pierwsze przymrozki, wszystkie liście opadną na ziemię.

Bodenstein pociągnął za staromodny sznurek uruchamiający dzwonek przy drzwiach, a wtedy w środku rozbrzmiał trzytonowy gong. Co takiego ksiądz chciał mu powiedzieć, kiedy poprzedniego wieczoru specjalnie pofatygował się do niego do domu? Dlaczego Sophia nie powiedziała Karoline, że ksiądz Maurer go szukał? Siedmiolatka nie musiała wiedzieć, że to ważne, a on nie mógł jej o to obwiniać. Dzieci w tym wieku żyją chwilą i nie rozumieją konsekwencji zachowań z taką jasnością jak dorośli. Dla Sophii bajka w telewizji była znacznie ważniejsza niż odwiedziny jakiegoś starszego pana i rozmowa z nim przez domofon.

Bodenstein powtórnie zadzwonił, lecz na plebanii panował całkowity bezruch. Już chciał wsunąć między drzwi a futrynę wizytówkę z prośbą

o kontakt, kiedy usłyszał skrzypnięcie bramy. Odwrócił się, lecz zamiast księdza na dróżce do plebanii zobaczył jego siostrę, która pomagała mu prowadzić dom. Mimo podeszłego wieku kobieta o każdej porze roku i niezależnie od godziny poruszała się po Fischbach i Ruppertshain wiekowym holendrem. Dziś również miała na sobie różowe tenisówki i jaskrawozieloną kamizelkę odblaskową, narzuconą na szary, rozciągnięty sweter zrobiony na drutach.

— Dzień dobry pani — przywitał się Bodenstein. — Wcześniej jest pani na nogach.

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. — Irene Vetter oparła rower o ścianę, podniosła koszyk z bagażnika i wyjęła klucze. — Księdza nie ma?

Kobieta poruszała się sprężysto niczym nastolatka; na pierwszy rzut oka nie dało się zauważyć, że zbliża się do osiemdziesiątki.

— Nie — odparł Bodenstein. — Nie przedstawiłem się, przepraszam. Jestem Oliver von...

— Daj spokój, kochany, przecież cię znam. — Pani Vetter spojrzała na niego rozbawiona. — Najstarszy chłopak Leonory! Myślisz, że jak jestem stara, to nie pamiętam już, kto dawniej służył do mszy?

Bodenstein poczuł się zaskoczony, bo ministrantem był dobrych czterdzieści lat wcześniej. Irene Vetter otworzyła drzwi i weszła do domu. Gumowe podeszwy jej tenisówek zaskrzypiały na wytartej posadzce korytarza.

— Dziwne, naprawdę dziwne. Zwykle ksiądz zamyka drzwi od środka i zostawia klucz w drzwiach.

Zniknęła we wnętrzu domu i zawołała brata, lecz nie otrzymała odpowiedzi. Dziwnie było słyszeć, jak wzywa go po imieniu, choć zawsze mówiła o nim po prostu „ksiądz”. Bodensteina ogarnęły złe przecucia. Może ksiądz Maurer się przewrócił i leży teraz nieprzytomny gdzieś w domu? Albo umarł, co w jego wieku nie byłoby niczym zaskakującym. W sieni unosił się zapach

kulek na mole i zasuszonych kwiatów. W garderobie wisały dwa płaszcze, ciemna kurtka i długa łyżka do butów, a na półeczce leżało kilka staromodnych kapeluszy. Na ścianie wisiał kalendarz biskupiego dzieła pomocy „Misereor”, a obok niego miedziany krucyfiks z małą kropielnicą u dołu.

— Nie ma go. — Irene Vetter wróciła z poszukiwań i ze zmartwioną miną przyjrzała się garderobie.

— Nie ma jego niebieskiej kurtki. I brązowych butów. Mój Boże, miejmy nadzieję, że nic mu się nie stało!

— Skąd w ogóle ten pomysł?! — zaprotestował Bodenstein.

— Ach, wiesz, przecież nie jesteśmy już młodzi, a mój brat zrobił się ostatnio trochę nieporadny — przypomniała mu. — Dopiero co wszedł prosto pod autobus. Sam ani słowem mi o tym nie wspomniał, ale Sylvia zaraz do mnie zadzwoniła, bo to się stało tuż przed jej piekarnią.

Otworzyła drzwi i gestem dłoni wskazała mu wyjście.

— Chodź, sprawdzimy w kościele. Może tam go znajdziemy.

Bodenstein ruszył przez ogród plebanii. Razem przecięli ulicę i weszli na dziedziniec kościoła. Po prawej stronie znajdowało się katolickie przedszkole, dziś oczywiście zamknięte, a za nim wznosiła się świątynia ze spiczastym dachem i otwartą dzwonnica zbudowaną z betonowych elementów, w stylu bardziej pasującym do remizy niż do kościoła.

— O, widzę, że Patrizia już jest — stwierdziła Irene Vetter w biegu. Bodenstein zdziwił się, skąd może to wiedzieć, lecz po chwili sam dostrzegł rower oparty o ścianę porośniętą gęstym bluszczem. — Biedna dziewczyna, tak bardzo jej współczuję! W jednej chwili stracić siostrę i siostrzeńca! A potem jeszcze to... straszne, naprawdę straszne.

Całkowicie zaskoczone spojrzenie Olivera wystarczyło, by Irene Vetter poczuła się w obowiązku poświęcić ostatnie dwieście metrów drogi na dogłębne wprowadzenie go w genealogię rdzennych mieszkańców

Ruppertshain i ich rodzin. Patrizia, żona Jakoba Ehlersa, była najmłodszą pociechą w liczącej dziewięć istnień gromadce dzieci budzącego bardzo negatywne uczucia klanu Krollów. Do jej rodzeństwa należeli między innymi Rosie i miejscowy policjant Klaus. Trzy minuty później Bodenstein był na bieżąco z aktualnym stanem skomplikowanych powinowactw i koligacji rodzin Heroldów, Krollów i Ehlersów. Dodatkowo się dowiedział, że od czasu połączenia parafii w Fischbach, Ruppertshain i Eppenhain Patrizia otrzymywała czterysta pięćdziesiąt euro jako pracownica sekretariatu przedszkola i biura parafialnego.

Dopiero widok zamkniętego na cztery spusty głównego wejścia do kościoła sprawił, że Irene zamilkła i przełknęła ślinę. Zaczynała się naprawdę martwić.

— Może udał się z wizytą duszpasterską do którejś z tutejszych rodzin? — podsunął Bodenstein i spojrział na zegarek. Za godzinę z niewielkim okładem miała się odbyć odprawa, którą sam zwołał.

— Nie, powiedziałyby mi o tym — odparła staruszka i potrząsnęła głową. — Poczekaj, kochany, pobiegnę po klucze do kościoła. Patrizia powinna mieć komplet. — I czym prędzej ruszyła przed siebie.

Bodenstein westchnął, wyjął z kieszeni telefon i napisał wiadomość do Pii, żeby nie była zaskoczona, jeśli się spóźni. Słońce wędrowało w górę po bezchmurnym, cudownie błękitnym niebie, zwiastując wspaniały dzień. Może po południu uda mu się wyjść z Karoline na spacer albo...

— No, już jestem. — Irene Vetter wróciła w towarzystwie Patrizii Ehlers. Obie kobiety dziarsko maszerowały wyłożonym kostką brukową dziedzińcem świątyni. Minęło sporo czasu, od kiedy Bodenstein po raz ostatni miał okazję widzieć żonę Jakoba, więc teraz musiał z zaskoczeniem stwierdzić, że ta „biedna dziewczyna” w rzeczywistości dalej jest nad wyraz atrakcyjną kobietą. Była nieco starsza od niego, pewnie zbliżała się już do sześćdziesiątki. Zamiast praktycznej krótkiej fryzury, jaką często wybierały

kobiety w podobnym wieku, Patrizia ścięła włosy na eleganckiego boba, który bardzo korzystnie okalał jej twarz i podkreślał delikatne rysy. Nie potrafił wprawdzie stwierdzić, czy błyszczący brąz włosów jest naturalny, czy raczej uzyskany po nałożeniu farby, jednak to nie miało znaczenia, bo bardzo ładnie wyglądał.

— Dzień dobry — przywitała się. — Dawno się nie widzieliśmy.

— Dzień dobry. — Bodenstein gorączkowo szukał w pamięci informacji, czy kiedykolwiek byli na ty. — Moje kondolencje.

— Dzięki. — Patrizia Ehlers skinęła smutno głową. — Wciąż nie możemy tego pojąć. Biedna Rosie! Nie miała wiele życia przed sobą, a tu coś takiego! Mam jedynie nadzieję, że nie cierpiała.

Miała suche oczy. Jedynym widocznym znakiem żałoby było czarne ubranie, jednak Bodenstein wyczuwał aurę smutku, która otaczała ją niczym zapach perfum. Tymczasem Irene Vetter podeszła do głównego wejścia i otworzyła zamek, po czym weszła do środka. Słońce wpadało przez okna prezbiterium i barwą światła zmieniało wysoką nawę główną ze skośnym dachem w coś na kształt przestronnego namiotu. W powietrzu unosił się zapach kadzidła.

— Adalbert! Adalbert! — Głos Irene Vetter rozbrzmiewał w świątyni. Kobieta ruszyła nawę główną, a Bodenstein i Patrizia powoli posuwali się za nią. Nagle Oliver zaczął coś podejrzewać.

— Stać! Pani Vetter! Proszę poczekać! — krzyknął głośno i rzucił się biegiem, widząc, jak staruszka sięga w stronę klamki drzwi do zakrystii. Cofnęła dłoń, a w jej oczach pojawił się strach. Odsunęła się. Bodenstein spróbował otworzyć łokciem.

— Zamknięte — stwierdził. — Mamy klucz?

— Tak. — Patrizia Ehlers wzięła od Irene Vetter pęk kluczy, które wcześniej jej przekazała, wyszukała ten właściwy i podała policjantowi. Oliver otworzył, zajrzał do środka i najchętniej cofnąłby się natychmiast i za

sobą zamknął, by oszczędzić obu kobietom budzącego grozę widoku. Usłyszał, jak Patrizia Ehlers ze świstem nabiera powietrza. Irene Vetter krzyknęła rozpaczliwie. Chciała precyzyjnie się obok policjanta i wejść do zakrystii, lecz on w ostatniej chwili chwycił ją za nadgarstek i zdecydowanie odciągnął. Zwłoki Adalberta Maurera wisiały na sznurze przeciągniętym przez hak w suficie, a pod jego nogami leżało przewrócone krzesło.

— Pozwól mi tam wejść! — krzyczała staruszka i starała się wyrwać Bodensteinowi. Po jej policzkach ciurkiem płynęły łzy. — Adalbert! O Boże, Adalbert!

Bodenstein odciągnął ją od drzwi. Irene Vetter robiła, co mogła, żeby się uwolnić, lecz w końcu dała za wygraną.

— Weź ją, proszę, do przedszkola — polecił Patrizii Ehlers, która powoli dochodziła do siebie po pierwszym szoku. — Tutaj nie wolno niczego dotykać ani przestawiać. I bardzo cię proszę, z nikim o tym nie rozmawiajcie.

— Tak, oczywiście — wyjąkała Patrizia i przytuliła szlochającą staruszkę. — Zajmę się nią.

— Dzięki. — Bodenstein wyjął z kieszeni telefon, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z ciała starego księdza. Twarz Adalberta Maurera przybrała sinofioletową barwę, z ust zwisał napęczniały język, a pod nosem i uszami zakrzepły strużki krwi. Oliver był nie mniej przerażony niż obie kobiety. Jednak w nim największy wstrząs wywołał nie widok zwłok, a fakt, że ksiądz popełnił samobójstwo. W jakim stanie musiał się znajdować, żeby zdecydować się na taki krok? I... czy miałyby szanse go powstrzymać, gdyby wczoraj wieczorem był w domu, kiedy ksiądz przyszedł porozmawiać?

— ŚMIERĆ PRZEZ POWIESZENIE, która zabiera pięć do sześciu tysięcy ofiar rocznie, to najczęściej wybierany sposób popełnienia samobójstwa w naszym kraju — oznajmił Tarik. — Jednak tylko w połowie przypadków specjaliści medycyny sądowej dokonują oględzin zwłok. Dlaczego tak to wygląda?

Henning Kirchhoff skończył oględziny ciała powieszzonego księdza i usiadł w pierwszej ławie, by wypełnić kartę zgonu. Pod czujnym okiem Christiana Krögera, który jak zawsze obawiał się zniszczenia jakichś ważnych śladów, dwójka pracowników zakładu pogrzebowego starała się ostrożnie wynieść z zakrystii zwłoki kapłana, by umieścić je w worku do transportu, a zadania nie ułatwiało im w pełni rozwinięte stężenie pośmiertne. Z całą pewnością nie był to widok dla kogoś o słabszych nerwach.

— Dlaczego, dlaczego, dlaczego! — burknął Henning pod nosem. — Bo tak! Jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Gdzie nie spojrzeć, zamykają Instytuty Medycyny Sądowej albo łączą kilka w jeden, by zmniejszać koszty. Martwi głosu nie mają.

Pia zdawała sobie sprawę, że Tarik poruszył temat, który od lat oburzał jej byłego męża. Uważał, że stanowczo zbyt mały odsetek zwłok poddawany jest sekcjom i nie był w tym twierdzeniu odosobniony.

— W Niemczech obowiązek przeprowadzenia obdukcji istnieje tylko w przypadku, jeśli zachodzi podejrzenie zaistnienia przestępstwa — wyjaśnił Henning. — A dopóki lekarze pediatrzy, okuliści i ortopedzi bez żadnego doświadczenia w tej materii będą wystawiali karty zgonu, dalej będzie nam umykać spora liczba zabójstw.

— W Bremie inaczej to wygląda — powiedział młody policjant. — Od kiedy wprowadzono tam obowiązek wystawienia tymczasowej karty zgonu, osiemdziesiąt procent wszystkich zmarłych jest badanych przez medyków sądowych. A jeśli chodzi o dzieci poniżej szóstego roku życia zmarłe bez wyraźnie wyszczególnionej przyczyny, sekcja zwłok jest obowiązkiem zapisanym w prawie.

— Zgadza się. — Henning spojrzał na niego z uznaniem. — W ten sposób udaje się ujawnić rocznie około pięćdziesięciu przypadków śmierci z przyczyn nienaturalnych, które wcześniej zostałyby zakwalifikowane jako naturalne. To

powinno dać niektórym do myślenia, co?

— Jesteś w stanie podać w przybliżeniu czas zgonu? — zapytała Pia, zanim Henning przystąpił do wygłoszenia jednego ze swoich pełnych emocji wykładów na temat konieczności przeprowadzania sekcji.

— Plamy opadowe nie ustępują pod naciskiem, w pełni rozwinięte stężenie pośmiertne — odparł jej były mąż. — W mojej ocenie zgon nastąpił wczoraj między dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią.

— Samobójstwo przez powieszenie — podsumowała Pia.

— Tego nie powiedziałem. — Henning postawił zamaszty podpis pod kartą zgonu i podał dokument Pii.

— Hmm, a nie było tak, że miał na szyi pętlę, wisiał pod sufitem, obok leżało przewrócone krzesło, a drzwi zakrystii zostały zamknięte od wewnątrz, podobnie jak drzwi kościoła? — zapytała policjantka, nie kryjąc sarkazmu. — Denat miał w kieszeni pęk kluczy.

— Na pierwszy rzut oka wszystko rzeczywiście się zgadza — potwierdził Henning, po czym z całkowitym spokojem zdjął z nosa okulary i papierową maseczką, którą miał wcześniej na twarzy, zaczął wycierać szkła. — Jednak w mojej ocenie specjalisty medycyny sądowej sprawa nie wygląda już tak prosto i dostrzegam słabe punkty tej hipotezy.

Jak zwykle, najważniejsze fakty zachował na sam koniec. I zupełnie w swoim stylu, z oględzin zwłok uczynił zajęcia praktyczne dla Tarika, który okazał się bardzo wdzięcznym słuchaczem.

— Dlaczego mnie to nie dziwi? — Pia przewróciła oczyma. Henning nie pracował jak inni, a ona zdążyła się już przyzwyczaić do jego nieszablonowego podejścia. Wiedziała, że studenci uwielbiają jego wykłady, zmieniające się czasem niemal w inscenizacje teatralne. — Bądź zatem tak miły i oświeć nas, ślepych laików.

— Wedle życzenia. No dobrze, młody człowieku, co o tym sądzisz? —

Henning zwrócił się do policjanta i wsunął okulary z powrotem na nos. Wcześniej uniósł je pod światło i starannie sprawdził, czy na szklach nie ostał się żaden pyłek. — Dlaczego na karcie zgonu nie zaznaczyłem „zgon z przyczyn naturalnych”?

— Bo... bo powieszenie się nie jest naturalną przyczyną zgonu? — zapytał Tarik zbity z tropu.

— W gruncie rzeczy racja. — Henning roześmiał się i potaknął, po czym wstał i zatrzymał się przy zwłokach. — Niech pan podejdzie, pokażę panu coś ciekawego, coś, na co zawsze powinien pan zwracać uwagę, ilekroć uda się pan na oględziny miejsca popełnienia przestępstwa. Panowie — zwrócił się do pracowników firmy pogrzebowej — przerwijcie, proszę, na moment. Dobrze. Jak określiliby pan kolor twarzy denata? — Henning spojrzał na młodego policjanta.

— Hm. Sinoniebieska.

— Bardzo poprawnie. — Nachylił się nad ciałem księdza i uniósł jedną powiekę. — Widzi pan te drobne czerwone punkciki?

— Tak.

— To są tak zwane wybroczyny, spowodowane wynaczynieniem krwi z naczyń — tłumaczył Henning. — Powstają w wyniku uniemożliwienia odpływu krwi przez żyły przy jej dopływie tętnicami. Wzrastające ciśnienie prowadzi do pęknięcia naczyń krwionośnych i do rzeczzonego wynaczynienia do błony śluzowej. Tego typu wybroczyny powstają po około piętnastu, dwudziestu sekundach od zablokowania odpływu krwi, a w przypadku bardzo intensywnego procesu dochodzi do powstania wybroczyn w obrębie całej twarzoczaszki, czy to jasne?

— Tak.

— Kiedy dochodzi do bardzo gwałtownego zatrzymania dopływu krwi do głowy przez tętnice, jak to ma miejsce w przypadku powieszenia się, nie

powstają również warunki do przekrwienia żylnego. — W oczach Henninga pojawił się błysk, kiedy wskazywał na szyję denata. — Poza tym przy typowym samobójstwie przez powieszenie bruźda wisielcza prowadzi w górę szyi, za uszami. W tym wypadku bruźda wisielcza również jest dobrze widoczna, jednak jak przebiega?

— Całkowicie poziomo dookoła szyi — odparł Tarik podekscytowanym tonem. — To znaczy, że właściwie to ktoś inny zadzierzgnął pętlę, prawda?

— Mógł pan sobie oszczędzić tego słówka „właściwie”, bo niczego nie wnosi. Idźmy dalej. Na czole denata widzimy ranę, której ofiara mogła nabawić się sama, zupełnie przypadkowo, jednak i tak powinna budzić naszą czujność. — Henning wstał i dał znak pracownikom zakładu pogrzebowego, że mogą już wracać do pracy. — Krwawienie z nosa i uszu także potwierdza tezę o dławieniu. Do tego dochodzą podbiegnięte krwią ślady na przedramionach i nadgarstkach denata, podobnie jak słabo widoczne wylewy krwi w obrębie twarzy. Muszę to oczywiście potwierdzić pełną sekcją zwłok, jednak w tej chwili mogę potwierdzić, że do śmierci tego człowieka przyczyniło się działanie osób trzecich.

— Jesteś pewny? Jak bardzo? — zapytała Pia.

— Tak bardzo, że możesz o tym mówić kolegom. — Puścił do niej oko. To powiedzenie było jego stałym żartem.

— Dzięki, Henning.

— *De rien, ma chère.*

Pia odwróciła się i ruszyła nawą główną szukać Bodensteina.

— Pia! — usłyszała wołanie Krögera. — Podejdiesz na chwilę?

Niechętnie zawróciła.

— Co się dzieje? — zapytała.

— Chodź! — Christian był podekscytowany, co oznaczało, że coś znalazł. Poprowadził ją i Tarika do zakrystii i wskazał na krzesło obok szafy, w której

trzymano szaty liturgiczne. — Widzicie?

— Ja widzę krzesło — mruknęła Pia zniecierpliwionym tonem. — Ale to nic nowego, wcześniej też je widziałam. Tylko to chciałeś mi pokazać?

— Popatrz na podłogę! — Kröger nie tracił entuzjazmu.

— Słuchaj, nie jestem w nastroju do zgadywanek... — jęknęła policjantka.

— Krwawy odcisk buta! — obwieścił mężczyzna tryumfalnie. — Boże, jak ja kocham luminol!

Zamknął drzwi i wyłączył światło. Pozbawione okien pomieszczenie pogrzyżyło się w ciemności, a na podłodze przy krześle pojawiły się emanujące delikatnym błękitnym blaskiem ślady.

— Ofiara krwawiła i posuwała się na czworakach — rozległ się w ciemności głos Krögera. — Sprawca odsuwał się od niej, a w końcu pewnie usiadł na krześle, o czym świadczą odciski butów. Potem, kiedy już powiesił ciało, starał się wytrzeć krew z posadzki, co widać po rozmazanych śladach. Na szczęście pominął jeden odcisk buta.

Nagle Pia zrozumiała, co tu się wczoraj wydarzyło. Sprawca nie działał pod wpływem impulsu, tylko w sposób przemyślany i zaplanowany. Najpierw pobił emerytowanego księdza, by w końcu zacisnąć mu pętlę na szyi i udusić. Na koniec próbował zmylić wszystkich i ukryć, co zrobił, dlatego powiesił swoją martwą już ofiarę, by podejrzenia skierować w inną stronę. Nie, nie spieszył się. Wiedział, że z tego małego, pozbawionego okien pomieszczenia nie wydobędzie się żaden dźwięk. Wiedział o tym, bo znał to miejsce. A i stary kapłan musiał go znać. Nie spodziewał się z jego strony żadnego zagrożenia. Tylko skąd sprawca miał klucze, by zamknąć zakrystię i kościół, kiedy odchodził? Pia zadrżała.

— Dzięki, Christian — powiedziała. — To bardzo dużo wyjaśnia.

PIA CHCIAŁA jak najszybciej opowiedzieć szefowi o wszystkim, czego się dowiedziała, bo wcześniej popatrzył tylko krótko na ciało znajomego księdza

i wyszedł z kościoła, nie czekając na żadne ustalenia. Znalazła go niedaleko, na ławce. Siedział w słońcu, z założonymi nogami i dłońmi splecionymi za głową. Miał zamknięte oczy. Z początku myślała, że śpi, więc dyskretnie odchrząknęła.

— Spokojnie, nie usnąłem. — Oliver otworzył oczy. — Myślałem.

— O czym? — Mocne październikowe słońce i osłonięte od wiatru miejsce sprawiły, że zaczęła się pocić pod puchową kurtką.

— Adalberta Maurera znałem, od kiedy tylko pamiętam. To on przygotowywał mnie do pierwszej komunii, u niego służyłem do mszy jako ministrant. On udzielał ślubu mnie i Cosimie i w końcu chrzczył nasze dzieci — zaczął Bodenstein. — Adalbert był katolikiem i księdzem, a Kościół katolicki potępia samobójstwo i to stanowczo. Nie wierzę, by sam odebrał sobie życie. Po prostu w to nie wierzę.

Postawił obie stopy na ziemi, nachylił się i potarł twarz dłońmi.

— Nie odebrał sobie życia. — Pia potwierdziła jego podejrzenia. Rozpięła kurtkę i zdmuchnęła z czoła kosmyk włosów.

— Nie? — Bodenstein uniósł głowę i spojrzał na nią. Policjantka zdała mu relację z wniosków Henninga i ustaleń Krögera, a kwestię zabezpieczonego odcisku buta zostawiła na sam koniec.

Nie dało się przeoczyć ulgi, z jaką Bodenstein zareagował na te wiadomości, a po jego minie było widać, że doszedł na ich podstawie do tych samych wniosków, co Pia chwilę wcześniej.

— To stawia sprawę dotychczasowych morderstw w zupełnie innym świetle.

— Myślisz, że to mógł być ten sam sprawca, który wcześniej zabił Rosie i Clemensa Heroldów? — zapytała Pia.

— Trzy morderstwa w trzy dni. I wszystkie ofiary pochodzą z Ruppertshain. — Bodenstein zmarszczył czoło. — Z całą pewnością są ze sobą powiązane,

tylko my na razie nie widzimy, w jaki sposób. Poczęstujesz mnie papierosem?

— Od osiemdziesięciu dwóch dni nie palę — przypomniała mu. Dzięki aplikacji w telefonie wiedziała dokładnie, ile czasu minęło od ostatniego papierosa i ile pieniędzy oszczędziła, od kiedy przestała je kupować.

— No tak, racja. — Bodenstein wstał i się przeciągnął. — Wczoraj wieczorem ksiądz Maurer przyszedł do mnie do domu, bo chciał mi coś powiedzieć. Ja byłem jeszcze w pracy, a Sophia go nie wpuściła, choć powiedział, że to bardzo pilne.

— Ale nie wiesz, o co mogło chodzić?

— Nie mam pojęcia. Chciałem zajrzeć do niego dzisiaj rano i zapytać, ale, jak widzisz, spóźniłem się. — Wzruszył bezradnie ramionami. — Boże, kim trzeba być, żeby zamordować osiemdziesięcioletniego księdza!

— Na pewno nie miał zielonego pojęcia o pracy śledczych, techników i medyków sądowych — dodała Pia. — Inaczej nie próbowałby tak nieudolnie zacierać śladów, bo wiedziałby, że to i tak na nic.

— Zgoda, ale uważam, że powinniśmy dać sprawcy do zrozumienia, że się nabraliśmy na jego sztuczkę z inscenizowanym samobójstwem — uznał Bodenstein. — Wtedy nie będzie się krył i być może szybciej popełni błąd.

Pia przyglądała się przez chwilę zaciętej twarzy szefa. Nie trzeba było psychologa, żeby zauważyć, jak bardzo dotykają go te morderstwa. Znał wszystkie trzy ofiary, i to od dzieciństwa, a w dodatku mieszkał niedaleko, ledwie sto pięćdziesiąt metrów w linii prostej od kościoła. Zdziwiłaby się, gdyby nim to nie wstrząsnęło.

— Słuchaj, Oliver, może będzie lepiej, jeśli ja i Cem przejmemy prowadzenie śledztwa? — zaproponowała delikatnie. — Znasz tutaj wszystkich. Domyślam się, jakie to musi być dla ciebie trudne.

— Uważasz, że mogę nie być obiektywny, tak? — zapytał.

— Sama nie wiem. — Spojrzała na niego uważnie. — A możesz?

Nabrał głęboko powietrza, zamyślił się i powoli je wypuścił.

— W zasadzie z nikim nie utrzymywałem kontaktów od czasu, jak się tu przeprowadziłem — zaczął. — Sąsiadów spotykam jedynie w dniu wywozu śmieci, kiedy wystawiamy pojemniki. Od czasu do czasu wpadam na kogoś w piekarni albo pod szkołą Sophii, kiedy odwożę ją na lekcje — przerwał i zamilkł na chwilę. — Jednak w rzeczywistości znam ich wszystkich znacznie lepiej, niż myślałem — ciągnął. — Oni również zdają sobie sprawę, że wiem o wielu dawnych sprawach, pamiętam stare plotki i zapomniane tajemnice. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy to dobrze czy źle. Wielu zechce mi zaufać dzięki temu, że uważają mnie za swojego. Inni widzą we mnie kogoś obcego, ale to nic nowego, dawniej też tak było. Pochodzenie, szlacheckie nazwisko, to, że wychowałem się w majątku rodziców, w pałacu, a wielu starszych pracowało w naszym gospodarstwie... to wszystko budzi ostrożność, zazdrość i nieufność.

— Ale to również sprawia, że nikt cię nie będzie lekceważył — zauważyła Pia. — W tych okolicach jesteś nie byle kim. Ja i reszta jesteśmy tylko gliniarzami, z którymi nie rozmawia się zbyt chętnie.

— Wydaje mi się, że jestem w stanie zachować obiektywizm — odparł Bodenstein. — Jeśli będziesz miała wrażenie, że jest inaczej, natychmiast daj mi znać. Wtedy przekażę ci prowadzenie tego dochodzenia. Zgoda?

— Zgoda. — Pia potaknęła.

— Dobrze, w takim razie chodźmy teraz na plebanię. Trzeba porozmawiać z siostrą księdza. Może będzie miała jakieś ważne informacje.

— GDZIE MIESZKASZ, kiedy akurat nie włamujesz się do przyczep kempingowych? — zapytała Felicitas.

— Raz tu, raz tam... — Elias siedział naprzeciwko niej na ławie narożnikowej w kuchni i zamyślony dłużył widelcem w jedzeniu. Z mięsa z wczorajszego rosołu kobieta przygotowała potrawkę ze szparagami,

grzybami, kaparami, sokiem z cytryny i ryżem, jednak miała wrażenie, że chłopak nie jest zachwycony tym daniem.

— A z czego żyjesz?

— Czasem gdzieś popracuję. Dawniej robiłem jakieś włamy do domów, kradłem, co się dało, i zaraz to sprzedawałem.

— Co z twoimi rodzicami?

— Wywalili mnie z chaty — przyznał po chwili. — Narobiłem za dużo gnoju. Ale moi starzy to jakaś tragedia. Horror, mówię ci. Nawet gdyby mnie nie wywalili, na pewno bym z nimi nie mieszkał — wyjaśnił gorzkim tonem. — Chyba ich rozczarowałem. Nie okazałem się dla nich dość dobry, bo nie byłem takim kujonem jak moja siostra.

— Hm.

— Tylko że to, co wyprawiałem, bardziej zaszkodziło mnie niż im. — Wzruszył ramionami. — Popełniłem błąd, wiem. Ale teraz chcę się zmienić i mówię to zupełnie poważnie.

— Byłeś już w więzieniu? — zainteresowała się Felicitas.

— Byłem — przyznał i skinął głową. — Kilka miesięcy. Teraz jestem na zwolnieniu warunkowym. Jak gliny mnie dopadną, z miejsca wracam za kratki i będę musiał odsiedzieć wyrok.

— Przecież nie możesz już zawsze przed nimi uciekać i kryć się po jakichś dziwnych miejscach.

— Cholera, myślisz, że nie wiem? — Elias westchnął ciężko. — Postanowiłem, że kiedy nasze dziecko przyjdzie na świat, oddam się w ręce policji.

Wyglądał na tak zagubionego, że kobietę ogarnęło współczucie. Taki młody chłopak, a problemy miał w zasadzie bardzo podobne do jej własnych. Kiedy Manu i Jens w końcu ją stąd wyrzucą i każą wracać do siebie, nie pozostanie jej nic innego, jak wsparcie dla bezrobotnych z ośrodka pomocy społecznej

albo życie całkowicie na koszt państwa, bez pracy, ubezpieczenia zdrowotnego i pieniędzy. Kwota, jaką wisiąta tym lichwiarzom, każdego dnia rosła nieubłaganie i osiągnęła już taką wysokość, że nigdy w życiu jej nie spłaci.

Mimo tego wszystkiego, co usłyszała, była szczęśliwa, że nie musi być sama w gospodzie pośrodku lasu. Od pierwszego dnia, kiedy się wprowadziła, nie czuła się tu swobodnie. Dała się ponieść euforii, bo była pewna, że poprzedniej nocy uciekła grabarzowi spod łopaty i miała nadzieję, że wszystko będzie dobrze. A jednak nie było. Bała się coraz bardziej, a przerażenie przybierało coraz konkretniejsze formy. Morderca, który podpalił przyczepę kempingową i zabijał innych, wciąż był na wolności. Chyba gdzieś czytała, że sprawca zawsze wraca na miejsce popełnienia zbrodni — a jeśli ten też tak zrobił i przez przypadek zobaczył Eliasa, jak wyprowadza psy? Chłopaka szukała policja, a jego dane można było znaleźć w gazetach, więc prawdopodobnie również morderca wiedział, jak się nazywa.

— Naprawdę widziałeś człowieka, który podpalił tę przyczepę?
— zapytała.

— Można tak powiedzieć.

— Czyli? Bo nie rozumiem.

— Wyszedłem ze swojej przyczepy, przykucnąłem i zapaliłem papieroska. Był środek nocy. Słyszałem kłótnię. Dwóch gości skakało sobie do gardeł. Wiedziałem, że jeszcze jedna przyczepa jest zamieszkana i że to ten gość się z kimś kłóci. No to przeczołgałem się w ich stronę, żeby lepiej słyszeć.

Rozejrzał się niespokojnie. Pytanie tylko, czy mówił prawdę, czy po prostu opowiadał bajki.

— Kiedy znalazłem się bardzo blisko, zapanowała cisza — ciągnął Elias.
— Jeden z tych facetów wrócił do samochodu, który stał niedaleko przyczepy,

i wyjął coś z bagażnika. Drzwi do przyczepy były zamknięte, a po tym drugim człowieku nie było ani śladu. Wtedy sobie pomyślałem, że coś jest nie tak. Wyjąłem komórkę, ale na polanie nie było zasięgu. Całe szczęście, że kamera dalej działała.

— Zrobiłeś jakieś zdjęcia? — zapytała Felicitas z niedowierzaniem.

— Nie. Ale za to filmowałem całość.

— Co widać na nagraniu?

— Pojęcia nie mam. Bateria mi padła, a nie mam ładowarki.

— Zauważył cię? — Felicitas zaniemówiła.

Elias się zawahał i palcami zaczął kreślić koła na blacie. Potem podrapał się w plaster na skroni.

— Tak, chyba tak.

— Twoje imię i nazwisko jest dzisiaj w każdej gazecie. — Felicitas czuła, jak na przemian robi jej się zimno i gorąco. — W radiu, w telewizji i w Internecie informują, że jesteś poszukiwany. Nawet jeśli ten człowiek nie zdążył cię zapamiętać, to dzisiaj na pewno już wie, kogo ma dopaść.

Elias ściągnął usta i zastanowił się nad jej słowami.

— Cholera, nieciekawie, co?

— Wychodziłeś na dwór, kiedy ja leżałam zamknięta w skrzyni?

— Możliwe. — Chłopak przygryzł dolną wargę. Powoli zaczynało do niego docierać, w jakim znalazł się niebezpieczeństwie. — Tak, wychodziłem. Wypuściłem psy na spacer.

— Fantastycznie. — Felicitas potrząsnęła głową i wstała. — Przynies komórkę. Może gdzieś znajdę ładowarkę, która do niej pasuje. Musimy się dowiedzieć, co jest na twoim nagraniu. Jeśli widać podpalacza, oddamy ją policji.

— Mowy nie ma! — zaprotestował Elias. — Nie chcę wracać do pudła! Jeszcze nie teraz!

— Wolisz, żeby twoje dziecko wychowywało się jako pólsierota? — zaatakowała go. — Ten człowiek już raz kogoś zabił! A teraz będzie chciał uciszyć jedyne naoczne świadka!

— Na razie nie wie, gdzie jestem, prawda? — Elias naprawdę się bał. — Gdyby wiedział, już dawno by się tu pojawił.

— Może i tak — odparła Felicitas bez przekonania. Przypomniała sobie mężczyznę w samochodzie, z którym się mijала. Znajdą się w pułapce, jeśli morderca wróci i postanowi podpalić starą drewnianą gospodę, kiedy będą spali. Jak dotąd jednak żadne rozwiązanie tej sytuacji nie przyszło jej do głowy.

— NIE! NIE ZGADZAM SIĘ! W żadnym razie nie wyrażę zgody na coś takiego! — Staruszka tak energicznie potrząsała głową, że Bodenstein zaczął się obawiać, by nie uszkodziła sobie kręgosłupa. — Jak by to wyglądało?! Ksiądz, który popełnia samobójstwo?!

— Pani Vetter, proszę się uspokoić — powiedziała Pia delikatnie. — Opublikujemy sprostowanie, kiedy zakończymy śledztwo i ujmiemy mordercę.

— Ale to przecież kłamstwo!

— To nie byłoby kłamstwo, tylko celowa dezinformacja podyktowana strategią dochodzeniową — poprawiła ją Pia. — Chcielibyśmy, żeby sprawca trwał w przekonaniu, że daliśmy się nabrać. Byłaby wtedy szansa, że szybciej popełni błąd.

Siedzieli przy stole w niewielkim pomieszczeniu socjalnym w przedszkolu. Kim dołączyła do nich pół godziny wcześniej i stała teraz przy oknie, oparta o parapet. Ściany niewielkiego pokoju od sufitu do podłogi pokrywały dziecięce rysunki, a na tablicy korkowej wisiał rozkład zajęć, jakieś ulotki i ogłoszenia. Patrizia Ehlers, która wcześniej dotrzymywała towarzystwa Irene Vetter, poszła jakiś czas temu do domu. Bodenstein obiecał, że później do niej zajrzy i odda klucze do przedszkola. Niestety, nikt nie wiedział, ile kompletów

kluczy do kościoła i zakrystii było w obiegu, a od trzydziestu lat co najmniej nikt nie wymieniał zamków w drzwiach. W razie potrzeby po prostu dorabiano klucze. Nie istniał również grafik zamykania i otwierania kościoła, podobnie jak nikt nie posiadał listy osób, które miały dostęp do kluczy.

Kiedy zespół Christiana Krögera zakończył badanie kościoła i zakrystii, zajął się sprawdzeniem domu emerytowanego księdza i w poszukiwaniu użytecznych śladów przetrząsnął budynek od piwnicy po strych. Cem i Tarik wyruszyli rozmawiać z okolicznymi mieszkańcami, licząc na to, że dopóki nie minęło dużo czasu od tragicznego zdarzenia, ktoś coś sobie przypomni. Może słyszano jakieś odgłosy lub pojawiły się osoby, które wzbudziły choćby cień podejrzeń.

— Za parę tygodni prawda nie będzie już nikogo interesowała! — prychnęła pani Vetter oburzonym tonem. — Ludzie zapamiętują tylko pierwsze usłyszane informacje. A ja nie pozwolę, żeby pamięć mojego brata została zbrukana z powodów jakiejś strategii dochodzeniowej!

Miała zaczerwienione oczy i bardzo niezadowolone spojrzenie. Bodenstein w duchu przyznawał jej rację. Samobójstwo zawsze było i będzie traktowane przez rodzinę jako wstyd, porażka, o której powinno się milczeć. Sam nieraz był świadkiem, jak bliscy samobójców i samobójczyń ciężko przeżywali ich odejście, coraz bardziej obarczając się winą za ich decyzję.

— Poza tym kto mi zagwarantuje, że w ogóle złapiecie mordercę? — Irene Vetter spojrzała wyzywająco na Bodensteina, po czym przeniosła wzrok na Pię. Widać było, że jest gotowa walczyć do samego końca. — Chcecie trzymać mojego brata w kostnicy tak długo, aż wam się uda dopaść zbrodniarza? Mój Boże, samobójstwo to grzech śmiertelny! Samobójcy nie mają katolickiego pogrzebu, rozumiecie?

— Ale to przecież nieprawda, on nie popełnił samobójstwa. — Bodenstein starał się ją jakoś uspokoić. — Poza tym dawniej rzeczywiście odmawiano

kościelnego pogrzebu, ale dzisiaj...

Staruszka uderzyła gwałtownie dłońmi w stół.

— Wystarczy! — krzyknęła, nie kryjąc złości. — Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek rozpowiadał, że Adalbert sam odebrał sobie życie! Zrozumiano?

— Tak, oczywiście. — Bodenstein potaknął. — Proszę zapomnieć, że w ogóle braliśmy pod uwagę taką możliwość, bardzo mi przykro z tego powodu. Nie chcieliśmy obrazić ani pani, ani pamięci pani brata.

Pia spojrzała na niego zaskoczona, jednak nie odezwała się. Irene Vetter wyjęła z podwiniętego rękawa chusteczkę z materiału i wytarła nos. Przez chwilę siedziała nieruchomo, pogrążona w myślach, i patrzyła przed siebie. Ciszę zakłócało jedynie bardzo głośne buczenie lodówki.

— Mogę zrobić pani herbatę? — zaproponowała Pia. — Czy może wolałaby pani napić się wody?

— Nie potrzebuję herbaty. — Staruszka odrzuciła propozycję policjantki. — I żadnego psychologicznego czary-mary!

Mówiąc to, spojrzała bardzo niechętnie, ba, niemal wrogo na Kim, którą Pia przedstawiła jako psycholożkę. Pia rzeczywiście zamierzała zaproponować staruszce spotkanie z lekarzem albo choćby wezwanie bliskiej lub znajomej osoby, by przez jakiś czas nie zostawiać jej samej. Kobieta bez wątplenia była w szoku i nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje. Otrzeźwienie i zrozumienie przychodziły z reguły nieco później.

— Musimy zadać pani kilka pytań — zaczął Bodenstein bardzo ostrożnie, przygotowany na kolejny wybuch złości. — Zdaję sobie sprawę, że czas może nie być odpowiedni na takie rozmowy, ale...

— Pytaj, chłopcze. — Irene Vetter schowała chusteczkę pod podwinięty mankiet i westchnęła. — Oglądam te wszystkie seriale kryminalne w telewizji, więc wiem, że tak to wygląda.

— Dobrze. — Oliver zmusił się do uśmiechu, choć Pia doskonale zdawała

sobie sprawę, że humor ma kiepski. Dość dobrze znała szefa, by wiedzieć, co teraz przeżywa. Myśl, że ktoś w tak brutalny sposób torturował i zamordował osiemdziesięcioletniego emerytowanego kapłana kilka chwil po tym, jak ten chciał się pilnie z nim rozmówić, musiała bardzo go obciążać. A jeśli chodziło o tę samą sprawę? Czy morderca mógł obserwować księdza Maurera i wiedział, że staruszek poszedł porozmawiać z policjantem? Może nawet go śledził i słuchał, kto zgłosił się przez domofon? Czy szef bał się teraz o Sophię?

— Mojemu bratu od kilku dni coś wyraźnie ciążyło — zaczęła Irene Vetter, nie czekając na pytania. — Był przybity i smutny.

Wyjrzała przez okno na pusty plac zabaw i zamyślona obracała w palcach obrączkę. Bodenstein i Pia wymienili szybkie spojrzenia. Wiedzieli, że teraz bardzo potrzebna jest cierpliwość, nawet jeśli nie mieli na nią czasu.

— Wydaje mi się, że to mogło dotyczyć jakiejś sprawy z Rosie. — Pani Vetter znów niespodziewanie przerwała milczenie.

— Rosie? Ma pani na myśli Rosemarie Herold? — upewniła się Pia, kompletnie zaskoczona.

— Tak jest, właśnie ją. Mój brat udzielił jej sakramentu ostatniego namaszczenia, choć dziś mówi się na to sakrament chorych. Musiała mu wtedy powiedzieć o czymś, co go bardzo przybiło. Kiedy wrócił do domu, nie był sobą.

— Kiedy dokładnie pani brat odwiedził Rosemarie Herold?

— Chyba w niedzielę... — Pani Vetter się zastanowiła. — Tak, na pewno w niedzielę. Akurat upiekłam placek z kruszonką. Mój brat bardzo go lubi... to znaczy lubił. Ale kiedy wrócił, w ogóle nie miał apetytu, choć wcześniej potrafił zjeść trzy kawałki, jeden po drugim.

— Proszę spróbować sobie przypomnieć, co wtedy pani powiedział, ze wszystkimi szczegółami — poprosiła Pia, zanim pani Vetter pogrzyżyła się

w czułych wspomnieniach. — To dla nas bardzo, bardzo ważne.

— Adalbert bardzo poważnie traktował tajemnicę spowiedzi.

— Nikt nie twierdzi, że było inaczej. Jednak może w rozmowie dawał sygnały, co takiego się wydarzyło? Może robił jakieś aluzje, czego dotyczyła jego rozmowa z Rosie? Co sprawiło, że wrócił taki smutny?

Irene Vetter się zawahała.

— Przyrzekłam bratu, że nigdy nikomu nie zdradzę ani słowa z naszych rozmów — spróbowała zakończyć nieprzyjemny dla siebie temat, lecz dzięki temu Pia się domyśliła, że staruszka wie znacznie więcej, niż chce im zdradzić.

— Wystarczy nam kilka wskazówek, to może ogromnie pomóc śledztwu — zapewniła siostrę zamordowanego. — Przecież pani też na pewno zależy, żebyśmy jak najszybciej złapali tego, kto zabił pani brata, a potem próbował upozorować jego samobójstwo. Zależy pani, prawda?

— No oczywiście, że tak. — Na twarzy starszej kobiety niepewność mieszała się ze smutkiem. W końcu jednak chęć podzielenia się wiedzą, która mogła być ważna dla policji, wzięła górę nad obietnicą złożoną bratu, a którą być może nieraz łamała.

— Wypowiadał ją jeszcze. I był potem wstrząśnięty. Znał ją przecież tyle lat, a jednak nigdy by mu przez myśl nie przeszło, że ona... że Rosie...

— Ma na sumieniu czyjeś życie? — dokończył Bodenstein, wprawiając Pię w zdumienie.

— Skąd wiedziałeś? — zapytała Irene poirytowanym tonem.

— Sonji też to powiedziała.

— No to wiecie wszystko. — Irene Vetter wzruszyła ramionami. Ulżyło jej. — Nic więcej mi nie powiedział, żadnych szczegółów. Tylko tyle, że Rosie miała wiedzieć, co się wtedy stało z tym chłopcem.

— Z jakim chłopcem? — zapytała Pia, zbita z tropu. Spojrzała na

Bodensteina i zamarła, widząc wyraz jego twarzy. Mężczyzna był blady jak śmierć i nie odrywał wzroku od staruszki. Przez chwilę w pokoju panowała martwa cisza.

— Muszę wyjść na świeże powietrze — sapnął w końcu i zerwał się z miejsca tak gwałtownie, że niewiele brakowało, a przewróciłby krzesło.

Pia odprowadziła go wzrokiem. Nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Te trzy morderstwa najwyraźniej znacznie bardziej go dotknęły, niż chciał przyznać. Ani słowem nie wspomniał jej o rozmowie z córką Rosie, Sonją. Może wiedział również, że stary ksiądz odwiedził w hospicjum zamordowaną? Może rzeczywiście będzie lepiej, jeśli zrzeknie się prowadzenia tego śledztwa?

— Chodzi o Artura. Tak miał na imię chłopiec, który przepadł bez śladu w sierpniu siedemdziesiątego drugiego — mówiła słabym głosem Irene Vetter. — Doskonale pamiętam tamten dzień. To było straszne, po prostu straszne. Jego rodzice mieszkali tu jeszcze kilka lat po tym, jak zniknął, ale nie potrafili sobie z tym poradzić. Rok w rok w dniu jego zaginięcia stawiali z dużym plakatem pod ratuszem i czekali. Nic nie mówili, tylko tam stali. Trzymali wartę. Dla syna.

Czterdzieści dwa lata wcześniej. Pia nie była dobra w obliczeniach w pamięci, ale z tym poradziła sobie bez trudu: Bodenstein miał pięćdziesiąt cztery lata, więc wtedy musiał być jedenasto-, dwunastolatkiem.

— Czy mój szef znał tego zaginionego chłopaka? — W zasadzie nie musiała zadawać tego pytania. Gwałtowna reakcja Olivera mówiła sama za siebie. A jednak chciała, by ktoś to potwierdził.

— Czy go znał? Oczywiście! — Irene potaknęła i westchnęła. — Mały Artur był jego najlepszym przyjacielem.

ELIAS BYŁ BIEDNYM CHŁOPCEM, który najwyraźniej nigdy nie zaznał miłości i akceptacji. Sama doskonale wiedziała, jak to jest nie mieć w domu nikogo

przychylnego. Tyle że ona była dorosła i sama nawarzyła sobie tego piwa. On nie. Jego przepędzili rodzice, bo nie spełniał ich oczekiwań. Przez to popadł w uzależnienie od narkotyków. A jednak nie stracił woli walki. Sam chciał się uwolnić od nałogu, sam odstawił prochy i planował coś zrobić ze swoim życiem. Należał mu się szacunek i podziw. Postanowiła, że mu pomoże — na tyle, na ile będzie mogła.

Po obiedzie Elias położył się na kanapie i włączył telewizor, a ona zajęła się doprowadzeniem kuchni do porządku. Potem poszuka w biurze siostry ładowarki do jego przedpotopowego modelu iPhone'a. Może uda jej się zdobyć zaufanie chłopaka i przekonać go w kwestii pilnego kontaktu z policją. Podpalacz szukał przecież Eliasza, a nie jej. W zasadzie mogła przekazać jego komórkę policji i wyjaśnić, że znalazła ją gdzieś w lesie. Przy odrobinie szczęścia morderca z pola kempingowego zostanie szybko złapany i koszmar dobiegnie końca.

Felicitas wyjrzała przez okno. Biegacze, rowerzyści i spacerowicze korzystali ze wspaniałej pogody. Świeciło słońce, a las, który na co dzień wyglądał mrocznie i ponuro, dziś sprawiał przyjazne wrażenie. Ona jednak w ogóle nie zwracała uwagi na piękno tego październikowego dnia. Dopóki na dworze nie zapadł zmrok, czuła się stosunkowo bezpieczna. Dopiero późnym popołudniem sytuacja się zmieniła. Do wieczora i ciemności pozostało mniej więcej siedem godzin. Do tego czasu musiała wpaść na jakiś pomysł. W biurze siostry rzeczywiście udało jej się znaleźć odpowiednią ładowarkę. Felicitas brakowało technicznej wiedzy, jak szybko policja może zlokalizować komórkę. Czy wystarczyło podłączyć ją do prądu, czy raczej musiała zostać włączona? I czy chciała ryzykować?

Kiedy tak siedziała przy biurku, wyglądała przez okno i zastanawiała się, zadzwonił telefon. Nieznany numer. Zawahała się. Może to Manu wróciła z australijskiego buszu do miejsca, z którego mogła nawiązać kontakt

z rzeczywistością, i chciała zapytać, co się u niej dzieje? Z drugiej strony, nieznany numer mógł równie dobrze oznaczać policję. W końcu zdecydowała się odebrać.

— Tak? — zapytała możliwie neutralnym tonem.

W słuchawce usłyszała czyjś oddech. Po chwili połączenie zostało przerwane. Strach, który dotychczas tlił się w jej wnętrzu, wybuchł z siłą wulkanu. To nie była policja ani pomyłka. To był on. Podpalacz. Dzwonił, żeby się upewnić, czy jest w domu. Zrozumiała, że musi natychmiast się spakować i wziąć nogi za pas, bo jeśli nie, stanie się coś naprawdę złego.

ROSIE MIAŁA MU POWIEDZIEĆ, że wie, co się stało z chłopakiem, który wtedy zniknął. To pojedyncze krótkie zdanie wystarczyło, by z siłą buldożera zniszczyć wznoszony przez czterdzieści dwa lata mur niepamięci wokół wspomnień tamtego lata. Wszystkie nagle wróciły. Miał je przed oczyma, jakby to się stało wczoraj, a nie tyle lat wcześniej. Poczł strach. Wyrzuty sumienia. Dręczące, uporczywe poczucie winy. *To ty na niego nie uważałeś! Ty jesteś winien, że coś mu się stało!* Nikt mu nigdy tego nie zarzucał: ani jego rodzice, ani rodzice Artura. Sam uznał, że wina spada na jego barki. Bo akurat tego jednego jedyne go wieczoru, kiedy postanowił nie odprowadzić Artura do domu, coś mu się stało. Coś złego. Coś strasznego.

Bodenstein ukrył twarz w dłoniach. W jego głowie pojawiły się zapomniane wcześniej obrazy. Raz uwolnione nie dały się już zatrzymać.

Lato 1972 było bardzo ciepłe, wręcz upalne. Na tyle w każdym razie, że wysychały stawy hodowlane, a lustro wody w zbiorniku przeciwpożarowym mocno opadło. Oliver pamiętał zapach świeżo skoszonej trawy i świeżego potu, wilgotnej ziemi, żywicy i suchych liści. Ciepły sok w saszetkach ze słomką, lody, guma do żucia i landrynki. Jaskółki na ciemnobłękitnym niebie i nietoperze o zmroku. Granatowe burzowe chmury nad złotymi łanami pszenicy. Śpiew ptaków w chłodnym mroku lasu. Woda tak lodowata, że

bolała skóra. Pokrzywy i kolczaste jeżyny. Szelest bosych stóp na mchu. Chmary muszek kłębiących się wokół koni. Ogniska. Pieczone kartofle. Przypalone kiełbaski.

Tamtego cudownego lata byli nierozłączni, on, Wieland i Artur. Aż do tragicznego dnia... Czy przeczuwali, że lato przyniesie takie zakończenie? Czy właśnie dlatego byli tak głodni życia i przygód? Czy dlatego znajdowali w sobie coraz to nowe pokłady odwagi i śmiałości? Mimo wyraźnego zakazu przechodzili na drugą stronę ulicy i wędrowali po lesie, zawsze w towarzystwie Maxiego, jego oswojonego lisa. Byli niczym Sokole Oko z Mohikanami Chingachgookiem i Unkasem, niczym Daktari, Mike i Jack albo jak Old Shatterhand, Winnetou i Old Surehand; byli terrorystami ukrywającymi się przed policją. Bodenstein pamiętał jasne, chłopiące głosy rozbrzmiewające w lesie. Ale równie często zamiast się bawić, leżeli po prostu w trawie i patrzyli w niebo prześwitujące między koronami drzew. Znali tam każdą ścieżkę i każdy kamień, każdy powalony pień i wykrot. Świat na zewnątrz był oślepiająco jasny, a między drzewami panował chłód i przyjemny cień, i pełna tajemnic cisza. Słyszał było jedynie owady, ptaki i szelest łapek drobnych zwierzątek w ściółce.

Może chodziło o ulgę, że w końcu uwolnił się spod wpływu Petera, Ralfa i pozostałych? Może to właśnie to nadało wakacjom dodatkowego uroku? Bez wątpienia był to cudowny czas, bardzo intensywny, radosny i niemal mistyczny. Wieland, Artur i on razem spędzali każdą minutę od wschodu aż do zachodu słońca. A potem nagle wszystko się skończyło. Tamtej nocy zniknął nie tylko Artur, ale też Maxi. Bodenstein starał się nie okazywać bólu, ale całymi tygodniami wymykał się do lasu po drugiej stronie drogi i przywoływał po imieniu swojego pupila, szukał go wszędzie, aż w końcu musiał pogodzić się z tym, że Maxi już do niego nie wróci. Rodzice twierdzili, że instynkt dzikiego zwierzęcia wziął górę i lis zamieszkał w lesie; tam, gdzie jego

miejsce. Na swój nieporadny sposób próbowali go pocieszyć i chwalili jego dojrzałość. Nie mieli pojęcia, co naprawdę czuł i jak wiele nocy przepłakał ze smutku i troski! Stracił to, co najbardziej kochał, a na dodatek czuł potworne wyrzuty sumienia, bo o lisa martwił się znacznie bardziej niż o Artura.

Wieland snuł najprzeróżniejsze domysły w związku z tym, co się mogło stać z Maxim i Arturem. Może chłopak w tajemnicy wrócił do Kazachstanu, do dziadków, za którymi tęsknił, i zabrał lisa ze sobą? A może został uprowadzony przez terrorystów z Frakcji Czerwonej Armii, bo wzięli go za kogoś innego?

Bodenstein podejrzewał coś zgoła innego. Brał pod uwagę scenariusz, którego nigdy z nikim nie omówił, nawet z Wielandem. Złamał przysięgę milczenia przypieczętowaną krwią, a karą za to była śmierć. To banda. To oni skrzywdzili Artura i Maxiego, żeby ukarać go za to, że od nich odszedł.

Bodenstein podwinął rękaw koszuli i zamyślony spojrzał na wąską białą bliznę powyżej lewego nadgarstka. „Braterstwo przypieczętowane krwią. Na śmierć i życie”. Te słowa wypowiedział Peter, spoglądając mu prosto w oczy. Musiał je za nim powtórzyć trzy razy z rzędu. Potem Peter naciął mu skórę skalpelem, który ukradł ojcu. Rana była głębsza, niż planował. Tak w każdym razie twierdził, choć możliwe, że po prostu chciał zobaczyć, jak Oliver płacze. Tymczasem on wytrzymał. Nie płakał. Nie skarżył się nawet na ból. Później matka zawiozła go do szpitala, żeby zszyć ranę, tak mocno krwawiła. Bodenstein nigdy nikomu nie zdradził, jak i gdzie się skaleczył.

Zadrżał na wspomnienie, jak pozostali powtarzali słowa przysięgi, a potem zlizywali krew z jego nadgarstka: Peter Lessing. Edgar Herold. Ralf Ehlers. Andi Hartmann. Simone Ohlenschläger. Roman Reichenbach. Konstantin Pokorny. I Inka Hansen.

— Od teraz należysz do bandy — oznajmił Peter Lessing. Oliver do dziś pamiętał jego uśmiech — pełen zadowolenia i zawołowanej groźby. — Na

śmierć i życie. Kto nas zdradzi, będzie musiał ponieść karę i umrze.

Mieli wówczas po dziesięć lat. Byli dziećmi. A jednak to był dzień, kiedy zrozumiał, co to znaczy odczuwać śmiertelny strach.

Ani on, ani Wieland nigdy już nie wypowiedzieli imienia Artura ani Maxiego. Zaczęli unikać swoich tajnych miejsc, które odwiedzali tamtego cudownego lata. Bodenstein jeszcze bardzo długo szukał lisa i wbrew zdrowemu rozsądkowi wierzył, że pewnego dnia go odnajdzie. Po jakimś czasie udało mu się wyprzeć z głowy i z serca wspomnienia tych strasznych wydarzeń i pozbył się wyrzutów sumienia. Przestał zadawać sobie pytania „kto” i „dlaczego” i nie pomyślał już o nich ani razu — do tego stopnia, że kiedy obecne wydarzenia przywołały je z mroków podświadomości, sam się ich przestraszył. Jak przez mgłę przypominał sobie policjanta ubranego po cywilnemu, który ich przesłuchiwał. Nie pamiętał jednak samych pytań. Wróciło za to wspomnienie kwaśnego oddechu tego mężczyzny i jego przekrwionych oczu, które sprawiały, że czuł się nieswojo. Pamiętał też, jak panicznie się obawiał, by nie powiedzieć czegoś niewłaściwego, bo wiedział, że będzie musiał umrzeć.

Kalejdoskop zdjęć i wspomnień w jego głowie kręcił się z ogromną prędkością. Dopiero po jakimś czasie zaczął zwalniać i zatrzymał się, jak koło fortuny w programie telewizyjnym. Strzałka stanęła na jednym z pól. I wtedy, całkowicie niespodziewanie, pojawiło się coś — myśl, wspomnienie — którego spodziewał się od chwili znalezienia zwłok Clemensa w resztkach spalonej przyczepy. Miał wrażenie, że poraził go prąd.

Nagle wszystko nabrało sensu: Rosie przeszło czterdzieści lat skrywała straszną tajemnicę, aby dopiero teraz, w obliczu śmierci, oczyścić sumienie. To by przynajmniej tłumaczyło jej depresję. Czy traktowała tę chorobę jako sprawiedliwą karę za milczenie? Jako przekleństwo, które na siebie ściągnęła? Clemens był przy jej spowiedzi. Był obecny, kiedy wyznawała

księdzu swoją tajemnicę. Dowiedział się o tym poprzedniego dnia, kiedy z Cemem podjechał porozmawiać z pracownikami hospicjum. Czy podała jakieś nazwiska? Czy w ten sposób Clemens stał się jej współnikiem i dlatego musiał umrzeć? W czwartek, kiedy Maurer wszedł wprost pod autobus, Bodenstein zauważył, jak bardzo staruszek był wzburzony. Dlaczego aż tak bardzo? Chyba nie przez jakiegoś chłopca, który zaginął przeszło czterdzieści lat wcześniej. O nie, w tym wszystkim musiało chodzić o coś innego. O coś, co sprawiło, że staruszek zaczął się bać.

Bodenstein sięgnął po kurtkę i zerwał się na równe nogi. Nie mógł dłużej siedzieć beczynie. W czwartek przed piekarnią ksiądz Maurer nagle umilkł w pół zdania. Wydawał się strasznie poruszony i rozbity. Może kogoś tam zobaczył? Następnego dnia chciał koniecznie z nim rozmawiać. Co takiego wydarzyło się przez te dwadzieścia cztery godziny? Gdzie podziewał się Maurer i co porabiał?

Bodenstein przyspieszył kroku i niewiele brakowało, a wpadłby na Pię, która wyszła z za rogu w towarzystwie Kim.

— Tutaj jesteś! — Spojrzała na niego uważnie. — Jak się czujesz?

— W porządku — rzucił, nie zwalniając.

— Artur był twoim najlepszym kumplem! — zawołała za nim Pia. — Nie oszukasz mnie, przecież widzę, że nic nie jest w porządku.

Zatrzymał się i po chwili się odwrócił.

— Tak, to prawda. To był dla mnie ogromny wstrząs, kiedy nagle... po tylu latach... padło jego imię. Ale ja...

— Teraz przynajmniej mamy już jasność, że przejęcie śledztwa przez kogoś innego nie jest propozycją, tylko koniecznością! — przerwała mu Pia. — Jesteś zbyt mocno zaangażowany w śledztwo i zbyt mocno związany z tymi wszystkimi ludźmi, Oliver.

Ton jej głosu wprowadził go w zaskoczenie. Czyżby naprawdę sądziła, że jest

przeciążony? Nagle zrozumiał, że błędnie go oceniła, jednak po jego gwałtownej reakcji nie mógł jej mieć tego za złe.

— Nie, nie! — Uniósł dłonie. — Źle to wszystko rozumiałaś, Pia! Artur jest kluczem do rozwiązania naszej sprawy, właśnie to rozumiałem. Rzeczywiście chodzi o kogoś z kręgu ofiar, kto zabija pozostałych, żeby prawda nie wyszła na jaw. Musimy ustalić, co się wówczas stało z Arturem. Wtedy będziemy mieli mordercę.

— Przecież przed laty policja też prowadziła pełne dochodzenie. — Pia była sceptyczna. — Dlaczego teraz mielibyśmy dowiedzieć się więcej o zaginięciu twojego kolegi niż oni wtedy?

— Dlatego, że teraz wiemy na pewno, że Artura zamordowano gdzieś tutaj — odparł Bodenstein z naciskiem.

Kobiety wymieniły szybkie spojrzenia.

— Nieprawda, nic na razie nie wiemy na pewno. — Pia potrząsnęła głową. — Jedyne, co mamy, to jakaś ogólna uwaga i to od kogoś, kto usłyszał to od jeszcze kogoś innego. Doskonale rozumiem, że chciałbyś po tylu latach znaleźć odpowiedzi, których wtedy nikt nie potrafił udzielić, ale ja niekoniecznie widzę związek między zaginięciem twojego kolegi a naszymi morderstwami.

— O czym ty mówisz, przecież ten związek jest oczywisty! — Bodenstein zaczynał się denerwować. Jej pełen współczucia i zrozumienia ton wyprowadzał go z równowagi. Dlaczego nie chciała dostrzec oczywistych faktów? — Rosie, w obecności syna Clemensa, wyznała księdzu Maurerowi nazwisko osoby, która stoi za śmiercią Artura! Być może Clemens i ksiądz skontaktowali się z tą osobą, a ona poczuła się osaczona i dlatego obaj musieli zginąć.

Pia przyglądała mu się przez chwilę.

— Poprosiłeś mnie, żebym dała ci znać, kiedy zauważę, że nie jesteś w stanie zachować obiektywizmu w tej sprawie — powiedziała. — No to

daję. Uważam, że powinieneś przekazać prowadzenie tej sprawy osobie, która będzie utrzymywać zdrowy dystans do tego wszystkiego. Twoje kontakty i znajomości w okolicach są bardzo ważne, ale w moim odczuciu zbyt mocno jesteś w to uwikłany. Jak myślisz, co się stanie, jeśli się okaże, że za tym wszystkim stoi któryś z twoich dawnych znajomych?

Bodenstein przeniósł wzrok na siostrę Pii. Kim nie dawała po sobie poznać, co myśli. Czy Pia mogła mieć rację? Musiał przyznać, że miał pewne problemy, by poukładać wszystkie informacje i przeanalizować je z dystansu. To, co znał z przeszłości, mieszało się z wiadomościami pozyskanymi w trakcie śledztwa, ważne sprawy z błahymi. A on tkwił pośrodku tego wszystkiego. Jednak nie uważał, by zarzucanie mu nadmiernego osobistego zaangażowania było fair. Nie będzie oszczędzał znajomych, jeśli uzna, że są podejrzani.

— Pia, ja... — zaczął, ale oprzytomniał, potrząsnął głową i zamilkł. Wdech, wydech. Spokój. Byle zachować spokój. — Może masz rację, może nie. Nie jestem przywiązany do myśli, by za wszelką cenę prowadzić to dochodzenie. Ale jednego jestem pewien: muszę ustalić, co się wtedy stało z Arturem. Intuicja mi podpowiada, że tamta sprawa i nasze śledztwo są ze sobą powiązane.

Po czym ruszył w stronę wyjścia.

— Dokąd idziesz? — zawołała za nim Pia.

— Muszę jeszcze raz porozmawiać z panią Vetter — odpowiedział. — Potem zamienię kilka słów z personelem hospicjum. Musimy ustalić, kto konkretnie odwiedzał Rosie. Ale najpierw zawiozę Sophię do Lorenza. Wolę, żeby jej teraz nie było w Ruppertshain.

— Dlaczego?

— Mamy na wolności mordercę, który nie uznaje żadnych świętości — przypomniał jej. — Chcę się skupić na śledztwie i mieć pewność, że jest

bezpieczna. Mógłby jej coś zrobić, gdyby uznał, że deptamy mu po piętach.

— Oliver! Tutaj nie chodzi przecież o ciebie! Traktujesz to zbyt osobiście!

Bodenstein się cofnął i spojrzał na Pię. Odetchnął głęboko i ściągnął usta.

— Artur Berjakov był moim najlepszym przyjacielem. Przyjechał do Niemiec z rodzicami ze Związku Radzieckiego. Dzieciaki w szkole strasznie mu dokuczały. Wziąłem go w obronę. Co wieczór odprowadzałem go do domu, bo panicznie bał się chłopaków ze wsi.

Przerwał na chwilę. Musiał stoczyć wewnętrzną walkę, by mówić dalej.

— Pewnego dnia rodzice kupili kolorowy telewizor. To była duża sprawa, nikt w okolicy nie miał kolorowego telewizora. Koniecznie chciałem zobaczyć odcinek *Bonanzy*, mojego ulubionego serialu. Dlatego Artur wyruszył do domu sam, żeby zdążyć na kolację. Ale tam nie dotarł.

Dopiero teraz udało mu się spojrzeć Pii prosto w oczy.

— Rozumiesz, dlaczego tak osobiście traktuję jego zniknięcie? Nie obroniłem go i dlatego coś mu się stało.

— Przecież miałeś raptem jedenaście lat! — zaprotestowała Pia. — Nawet gdybyś próbował, nie potrafiłbyś obronić go przed mordercą!

— Co nie zmienia faktu, że byłem za niego odpowiedzialny. — Bodenstein trwał przy swoim. — Dałem słowo jego rodzicom, że będę na niego uważał. Ale tamtego dnia nie zrobiłem tego. Wolałem oglądać telewizję.

LORENZ NIE ZADAWAŁ PYTAŃ i bez wahania zgodził się wziąć Sopię na cały weekend. Nie pierwszy raz zresztą opiekował się młodszą siostrzyczką, która przyszła na świat, kiedy on wyprowadził się już z domu. Ku ogromnej uldze Olivera, syn nawet sam zaproponował, że przyjedzie po małą do Ruppertshain. Kiedy odjechali, Bodenstein wyszedł na balkon, usiadł na leżaku z polirattanu i wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Rzadko palił, ale właśnie nadszedł taki moment, w którym potrzebował działania nikotyny. Widok z okien jego domu zapierał dech w piersi, niezależnie od pory roku i dnia. U jego stóp rozciągała

się równina między Renem a Menem aż do panoramy Frankfurtu i tamtejszego lotniska, a przy sprzyjającej pogodzie dało się gołym okiem dostrzec w oddali masyw Odenwald. Uwielbiał tu siedzieć i myśleć. Lubił swój dom, lubił jego ciszę, spokój i czyste powietrze górnego Taunusu. Dotychczas naprawdę świetnie czuł się w tym miejscu, we własnym domu i małej, spokojnej miejscowości. Dziś jednak nie mógł odnaleźć tego spokoju.

— Arturze — powiedział cicho. — Co oni ci zrobili?

Po czwartej klasie, jak wszystkie dzieci ze szkoły publicznej w Ruppertshain, Edgar, Ralf, Constantin, Roman, Simone i Andreas uczyli się w dalej w gimnazjum publicznym w Fischbach. Natomiast on i Wieland trafili do humanistycznego gimnazjum dla chłopców, a Peter i Inka do szkoły Taunusschule w Königstein. Właśnie wtedy do miasteczka sprowadziła się rodzina Berjakowów. Iwany, jak ochrzcili ich pogardliwie lokalni mieszkańcy. Zamieszkali na pierwszym piętrze starego szachulcowego domu pani Maier, która, jak się okazało, była ich bardzo daleką krewną. Bodenstein do dziś pamiętał, jak wówczas z dnia na dzień zmieniły się nastroje panujące w miasteczku. Jego koledzy zareagowali na pojawienie się Artura nieskrywaną wrogością, a Peter i Edgar wręcz go znienawidzili. Pozostali, częściowo z błędnie pojmowanej lojalności, byli nowemu chłopcu niechętni, lecz to wcale nie znaczy, że nie robili mu różnych świństw. Przez cały rok szkolny starali się uprzykrzać mu życie, ba, zmienili je w piekło. Artur nie mógł przed nimi uciec, bo chodził do tej samej szkoły. To były czasy, kiedy nie biegło się do rodziców z każdym problemem, a on wiedział, że rodzice również zmagają się z niechęcią sąsiadów i z zupełnie nowym otoczeniem, więc nie chciał ich dodatkowo martwić. Czy gdyby wówczas poprosił ich o pomoc, nie doszłoby do tego, co się ostatecznie wydarzyło?

Zatopiony w rozmyślaniach Bodenstein usnął na wygodnym leżaku, ogrzewany październikowym słońcem. I spałby tak pewnie długo, gdyby

w pewnej chwili nie odezwała się jego komórka i nie zmusiła, aby otworzył oczy.

— Tak? — zgłosił się nieprzytomny jeszcze. Serce zabiło mu szybciej, na ustach miał zaschniętą ślinę.

— Gdzie jesteś? — zapytała Nicola Engel. — Spałeś?

— Jestem akurat w domu — odpowiedział i usiadł prosto. Słońce chyliło się na zachodzie ku szczytom gór, już niemal muskało korony porastających je drzew. Która mogła być godzina? Nienawidził zasypiać w środku dnia, bo to całkowicie rozregulowywało jego zegar biologiczny.

— Właśnie miałam wizytę koleżanki Sander. Przyszła poprosić, żebym odebrała ci prowadzenie tej sprawy — oznajmiła Nicola. — Koleżanka Sander twierdzi, że sprawę traktujesz zbyt osobiście i nie zachowujesz dystansu, bo dobrze znałeś wszystkie trzy ofiary. Co ty na to?

— Może rzeczywiście będzie lepiej, jeśli ktoś inny przejmie prowadzenie śledztwa. — Bodenstein starał się otrząsnąć z resztek dziwnego snu. *Kobieta kąpiąca się nago w stawie*. Z całą pewnością chodziło o dorosłą osobę, nie żadną dziewczynkę. Mleczna skóra, ciemny trójkąt łona i jędrne piersi. Czy to był tylko sen, czy może raczej jakiś zapomniany obraz wynurzający się z jego podświadomości? Szelest wyschniętego sitowia. Grząska ziemia rozdeptana kopytami krów pasących się nieopodal. Księżyc prawie w pełni, czarne niebo... Do tego trudne do pomylenia z czymkolwiek poczucie zagrożenia. Strach. Kim była naga kobieta? Dlaczego o niej śnił?

— Dlaczego? Co się dzieje? Chcę wiedzieć, o co chodzi! — zażądała Nicola bez ogródek. — Przyjedziesz jeszcze do biura? Na dziewiętnastą zwołałam odprawę.

— Oczywiście, zaraz będę. — Bodenstein wstał. Słońce było tak mocne, że się spocił. Teraz zrobiło mu się zimno i drżał. Na leżaku leżał pęk kluczy. Musiały wysunąć mu się z kieszeni, kiedy spał. Klucze do kościoła

i przedszkola! Miał je oddać Patrizii!

— Dobrze, w takim razie wszystko wyjaśnisz mi na miejscu. Rozumiem więc, że nie masz nic przeciwko, żebym przekazała prowadzenie sprawy koleżance Sander. Od dziś to ona będzie odpowiedzialna za śledztwo. — Nicola wypowiedziała ostatnie zdanie, jakby było pytaniem. Najwyraźniej spodziewała się z jego strony protestu. Oliver jednak miał inne zmartwienia, a takie rozwiązanie było mu na rękę, bo mógł się dzięki temu zająć sprawą Artura.

— Tak, jak najbardziej, popieram taką decyzję. — Odsunął drzwi balkonowe i wszedł do pokoju. W tej samej chwili po raz drugi tego dnia go oświeciło.

— Słuchaj, muszę kończyć — powiedział pośpiesznie, bojąc się, aby strzępy myśli nie wyparowały mu z głowy, i szybko przerwał połączenie.

Naga kobieta. Podniecone chichoty. Kobieta nie była sama. Oprócz niej był tam jeszcze mężczyzna, a on się przyglądał, jak uprawiają seks. Ale nie zakradł się tam sam. Kto z nim był? Artur? Nie. Bodenstein skupił się na wspomnieniach i cofnął myślami w przeszłość. I nagle zrozumiał, co to wszystko oznaczało. Czego dotyczył sen. Podekscytowany otworzył zbiór kontaktów w telefonie i zjechał prawie na sam dół listy, by wybrać numer.

— AKTUALNIE mamy trzy ofiary. Dwie z nich są ze sobą blisko spokrewnione, trzecia jest ich bliskim znajomym. — Pia wskazała na tablicę magnetyczną, na której pisakiem zmazywalnym zanotowała trzy nazwiska. Z sali odpraw wydziału K11 przenieśli się do dużej świetlicy na parterze, zaraz za dyżurką, która była największym pomieszczeniem w całym budynku komendy policji w Hofheim. Poprzedni szef, dyrektor Nierhoff, regularnie wykorzystywał ją do zwoływania konferencji prasowych, które uwielbiał. Dziś prawie nikt tu nie przesiadywał, bo wszyscy mający służbę woleli przebywać w przytulnym i wygodnie urządzonej piwnicy. Pia stała przed

dwudziestoma policjantami i policjantkami ze wszystkich wydziałów, Nicola uznała bowiem, że po trzecim morderstwie stworzenie celowej grupy śledczej w ogóle nie podlega dyskusji.

— W nocy ze środy na czwartek zginął sześćdziesięcioletni Clemens Herold. Zmarł w pożarze przyczepy kempingowej jego matki, zaparkowanej na polu kempingowym w lesie powyżej Königstein — tłumaczyła Pia głośno. — Jego matka Rosemarie Herold przebywała w tym czasie w hospicjum „Zmierzch” w Kelkheim, jednak w czwartek wieczorem została uduszona i zadławiona.

— Uduszona i zadławiona? — przerwał jej ktoś z sali. — Czyli co konkretnie?

— W gruncie rzeczy została jednocześnie uduszona i zadławiona szalikiem — odparła Pia. — Ale szczegółami zajmiemy się później. Dziś rano znalezione zostały zwłoki osiemdziesięcioletniego emerytowanego kapłana Adalberta Maurera. Wisiały na sznurze w zakrystii kościoła w Ruppertshain, jednak przyczyną śmierci nie było samobójstwo przez powieszenie. Kapłan został uduszony, a cała reszta była inscenizacją mającą wprowadzić nas w błąd.

W świetlicy było bardzo gorąco i Pia czuła, jak ze skroni ścieka jej kropla potu i toczy się po szyi za kołnierzyk. Nie przerywała. Tłumaczyła i relacjonowała wszystkie dotychczasowe ustalenia. Po raz pierwszy cała odpowiedzialność za dochodzenie spoczywała od początku do końca tylko na jej barkach. Nie czuła się z tym dobrze. Miała wrażenie, że to ważny sprawdzian. Bodenstein stał wprawdzie obok niej, lecz to ona była szefową i nie mogła pozwolić sobie na jakikolwiek błąd. W przeciwnym razie jej szanse, by zastąpić Olivera w fotelu szefa K11, spaliłyby na panewce.

Przesunęła wzrokiem po skoncentrowanych twarzach policjantów i policjantek. Niespodziewanie poczuła się nieswojo. Czy zniesie presję

i treść, która już teraz dawała jej się we znaki? Co będzie, jeśli coś przeoczy i kolejna osoba straci życie? Co będzie, jeśli z jej winy śledztwo nie zakończy się sukcesem?

— Trzecia ofiara w minioną niedzielę odwiedziła ofiarę numer dwa, Rosemarie Herold. Pracownicy hospicjum w Kelkheim, gdzie wtedy przebywała, potwierdzili w rozmowach z nami, że w tym spotkaniu udział wzięli również syn Rosemarie, Clemens Herold, zamordowany jako pierwszy.

— To było wiadomo już wcześniej — przerwał jej Cem. — Wczoraj z Oliverem rozmawialiśmy z dwiema pielęgniarkami i z szefową ośrodka, i wszystkie trzy kobiety potwierdziły niezależnie od siebie, że w niedzielę w odwiedziny do Rosemarie Herold przyszedł ksiądz Maurer. Na miejscu zastał Clemensa Herolda, który był obecny przez całe spotkanie.

— Aha. — Pia przełknęła nerwowo ślinę i poczuła głuchą złość. Potrafiła zrozumieć, że Oliver zapomniał jej o tym wspomnieć, jednak Cem miał dziś dość czasu, by powiadomić ją o fakcie odbycia rozmów w hospicjum i o ich wynikach. Dlaczego tego nie zrobił? Był zły, że Engel jej powierzyła prowadzenie śledztwa, bo sam na to liczył? Chciał ją skompromitować jako niekompetentną i nieprzygotowaną do takiej funkcji? Bardzo trudno było go rozgryźć i choć od pięciu lat pracowali w jednym zespole, do dziś nie dałaby sobie uciąć ręki za jego lojalność względem niej i Bodensteina. Bez wątpienia był bardzo ambitnym policjantem. Poza tym był w odpowiednim wieku i miał wystarczające kwalifikacje, by zostać szefem wydziału.

— Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję? — zapytała i natychmiast poczuła złość, że w porę nie ugryzła się w język.

— Wczoraj wieczorem napisałem raport — odparł Cem. — Jest w moim katalogu, mogłaś go przeczytać.

W powietrzu czuć było nieprzyjemne napięcie. Pia musiała uważać na każde słowo, by nie palnąć czegoś, co ją jeszcze bardziej pogrąży.

— Adalbert Maurer wyznał swojej siostrze Irene Vetter, uprzednio ją zobowiązując, aby przysięgła milczenie, że Rosie Herold wyznała mu, jakoby latem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku zamordowała chłopca...

Stój! Błąd! Irene wcale tego nie powiedziała. Krople potu ściekały jej po plecach, między łopatkami, a bluza z kapturem, którą tego dnia włożyła, była mokra pod pachami. Wszyscy spoglądali na nią wyczekująco, spodziewając się, że będzie kontynuowała. Była sobota wieczorem, kwadrans po siódmej, i każdy chciał już skończyć, a Pia zabierała im czas. Tymczasem ona straciła wątek. Nagle drzwi się otworzyły. Pod Pią ugięły się kolana, bo w progu stanął Bodenstein. Zakręciło jej się w głowie z ulgi i jednocześnie ze strachu, żeby się przed nim nie skompromitować. Oliver zatrzymał się przy Krögerze i coś mu szepnął na ucho. Dlaczego nie przyszedł do niej? Przecież teraz to ona była szefową!

— Pia, o co ci właściwie chodzi? Dokończysz? — zapytał Cem nieprzyjemnym tonem. — Masz jakieś nowe informacje, czy to tylko spekulacje?

— No właśnie — dodał ktoś z sali.

— Mów tylko o faktach — zgłosił się ktoś inny.

— Po co my tu jeszcze siedzimy?

— Zaraz zaczyna się mecz.

Hałas, rozmowy, szuranie krzesłami. Cem chciał ją sprowokować? Zaczęła tracić kontrolę. Cholera! Spojrzała w stronę Nicoli Engel. Czy to był jej plan? Zniszczyć ją w obecności wszystkich?

— Spokój! Proszę jeszcze o chwilę skupienia! — Głos Olivera uciął wszystkie hałasy. — Od dzisiaj Pia prowadzi to śledztwo. Oczekuję, że będziecie ją wspierali w takim samym stopniu jak mnie. Nie życzę sobie żadnych samowolek, przeszkadzania czy utrudniania dochodzenia. Mamy trzy

ofiary i obawiamy się, że to nie koniec. Morderca może uderzyć po raz kolejny. Wszyscy mamy za sobą długi dzień i chyba nie ma sensu przeciągać tej odprawy, tak, Pia?

— Nie ma — przyznała mu rację, zaciskając zęby. — Idźcie, obejrzyjcie mecz czy co tam macie ochotę, ale proszę sobie nie pozwalać na procenty. Wszyscy pozostają w gotowości i pod telefonem.

Rozległo się szuranie krzeseł po linoleum, a zebrani zaczęli przeciskać się między stolikami w stronę wyjścia na korytarz. Pia czuła, że twarz jej płonie. Unikała patrzenia w stronę Nicoli Engel. Szefowa musiała pomyśleć, że kompletnie się do tego nie nadaje. Sama nie wiedziała jeszcze, czy powinna być wdzięczna Bodensteinowi za jego interwencję, czy raczej być na niego zła? Przejął pałeczkę tak naturalnie, jakby był znudzony, i w ten sposób podkopał jej autorytet. Pia zatrzymała wzrok na Cemie i poczuła, że kipi w niej złość.

— Cem! — zawołała i zaczęła się przeciskać w jego stronę. Mężczyzna zatrzymał się i zmierzył ją wzrokiem. Był rozluźniony, co wywołało w niej kolejną falę złości.

— Co to miało być? — zapytała wzburzona.

— Co niby? — udał zaskoczenie.

— Ukrywasz przede mną istotne dla śledztwa wiadomości i próbujesz ośmieszyć na odprawie! — oznajmiła oskarżycielsko. — Jesteś zły, że to ja mam prowadzić dochodzenie?

— Niczego przed tobą nie ukrywałem. — Uniósł brwi. — Coś ty taka drażliwa się zrobiła?

— Nie jestem! Ty... — zaczęła, ale w porę ugryzła się w język i zamilkła. Była wściekła na siebie, że tak się dała ponieść. Cem miał rację. Była zbyt drażliwa. W normalnych warunkach na złośliwości i podgryzanie reagowała uśmiechem albo kąśliwą ripostą, a Cem przecież zawsze lubił czymś takim się

posłużyć. Czyżby nie była w stanie sprostać presji prowadzenia sprawy trzech morderstw?

— Racja... sorry — mruknęła zawstydzona.

— Luz. — Cem poklepał ją po ramieniu. — Nie musisz niczego udowadniać. Rób po prostu swoje.

Wróciła do stołu, sięgnęła po swoją teczkę i wsunęła ją do plecaka. Sekcja zwłok Adalberta Maurera została zaplanowana na dwudziestą, a ona chciała wziąć w niej udział. Bodenstein czekał przy drzwiach. Mimo że wydawał się spokojny, musiał cały buzować. Widziała to w jego rozgorączkowanym spojrzeniu.

— Jedziesz ze mną do Instytutu Medycyny Sądowej? — zapytała, choć spodziewała się, jakiej udzieli odpowiedzi. Po niemal dziesięciu latach wspólnej pracy znała szefa lepiej niż większość kobiet swoich mężów. Znowu poczuła żal, że to prawdopodobnie ostatnia sprawa, przy której razem pracują. Nie chciała, żeby odchodził.

— Niestety nie, muszę z kimś pilnie porozmawiać — wyjaśnił półgłosem. — Mogę później do ciebie zatelefonować?

To dlatego tak się spieszył i zakończył odprawę przed czasem.

— A nie mówiłeś przypadkiem, że nie chcesz żadnych samowolek? — Pia spojrzała na niego, przekrzywiając głowę. Nie zapytał, czy pojedzie z nim na to tajemnicze spotkanie. Czyżby widział w niej już tylko i wyłącznie współpracowniczkę?

— Mówiłem i niczego nie zmieniam, bo chodziło mi o śledztwo, które prowadzimy. — Uśmiechnął się delikatnie. Myślni był już gdzie indziej. — Ustaliłem z Nicolą, że przyjrzę się też tej starej sprawie. Oczywiście mam jej błogosławieństwo.

Czy on na jej miejscu zgodziłby się bez słowa sprzeciwu na samowolne ustalenia za jego plecami? Czy przyklasnąłby takiemu pomysłowi i pozwolił

jej działać na własną rękę? Najchętniej zatrzymałaby go i zapytała, co konkretnie zamierza. Niestety nie miała na to czasu, a poza tym to nie był właściwy moment.

— Informuj mnie na bieżąco — poprosiła.

— Pewnie. Później się odezwę.

Odprowadziła go wzrokiem. Spieszył się do wyjścia. Kuloodporne drzwi do śluzы wyjściowej otworzyły się z cichym brzęczeniem i Oliver zniknął. Czy Nicola Engel rzeczywiście dała mu zielone światło? Czy pozwoliła na samodzielną misję? Pię ogarnął niepokój. Istniało niebezpieczeństwo, że morderca uderzy ponownie. A jeśli Bodenstein opętany myślą o wyjaśnieniu sprawy zaginięcia przyjaciela z dzieciństwa sam miałby stać się celem zabójcy? Koniec końców, ten zabił już trzy osoby, aby nie dopuścić do ujawnienia swojej tajemnicy.

PRZEKRĘCIŁA KLUCZYK w stacyjce. Uruchomił się wentylator i przygasły światła, lecz silnik wydał jedynie umęczony bulgot i zamarł. Co się działo? Przecież jeszcze wczoraj ten stary grat normalnie odpalał i jeździł! Felicitas raz za razem przekręcała kluczyk w stacyjce i wciskała pedał gazu. Z początku rozrusznik wydawał z siebie jakieś jęki i zgrzyty, lecz po kilku razach ucichł na dobre.

— Co za pieprzone gówno! — zakląła i z wściekłością zabębniła pięściami o kierownicę. — Dlaczego akurat teraz?!

Zmierzchało już, a ona uznała, że najwyższy czas opuścić to miejsce. W zasadzie już znacznie wcześniej chciała stąd wyjechać. Planowała jeździć po okolicy do wczesnego poranka i wrócić do gospody, kiedy zacznie świtać, bo morderca z całą pewnością nie odważy się zaatakować za dnia. Tymczasem ta stara, pordzewiała kupa złomu wszystko zepsuła!

— Co teraz? — zapytał Elias niepewnym głosem.

— Nie mam pojęcia. Nie znam się na samochodach — odparła Felicitas.

Była rozczarowana i zła. — Dasz radę coś pogrzebać?

— Gdzie tam. Nawet prawka nie mam.

Niewiele brakowało, a zapytałaby go, czy w ogóle jest coś, na czym się zna poza braniem prochów i robieniem dzieci, jednak w porę ugryzła się w język. Sarkazm nie był teraz potrzebny. Oby nie zechciał uciec w pojedynkę, a ją zostawić samą pośrodku lasu. Człowiek, który dzwonił wcześniej z zastrzeżonego numeru, najpewniej uderzy tej nocy. Była o tym przekonana. Felicitas sięgnęła po omacku, żeby sprawdzić, czy ma pistolet. Leżał na jej kolanach. Nagle przypomniała sobie te wszystkie okropne horrory, które jej pierwszy chłopak przynosił na kasetach wideo z wypożyczalni. To były jeszcze lata osiemdziesiąte zeszłego wieku. Bez słowa sprzeciwu oglądała je razem z nim, choć prawie umierała ze strachu. Poczowała, że poca jej się dłonie. Zawsze się zastanawiała, dlaczego główni bohaterowie takich filmów siedzą w wielkich, pustych domach pośrodku lasu, zamiast pojechać gdzieś, gdzie jest jasno, bezpiecznie i gdzie są inni ludzie. A teraz proszę, sama znalazła się właśnie w takim położeniu!

— Słuchaj, najlepiej będzie zadzwonić na policję — powiedziała po chwili milczenia.

— Nie! — zaprotestował chłopak. — Mowy nie ma!

Felicitas ponownie obróciła kluczyk w stacyjce. Bez efektu.

— To co, wolisz czekać z założonymi rękoma, aż morderca wróci tu po nas i nas zaszlachtuje?

— On będzie szukał mnie, a nie ciebie — oznajmił grobowym głosem.

— Więc jeśli zniknę, ty będziesz bezpieczna.

— A dokąd zamierzasz się udać?

— Gdyby tylko udało mi się porozmawiać z Nike i ją ostrzec, żeby bardzo na siebie uważała! — Elias zacisnął bezradnie pięści. — Pożyczyłabyś mi komórkę?

To pytanie padło w ciągu ostatniej doby przynajmniej ze dwadzieścia razy.

— Policja na pewno ma jej numer na podsłuchu. — Felicitas z trudem się powstrzymała, żeby na niego nie nakrzyczeć. Zaciśnęła palce na rękojeści pistoletu. Natychmiast poczuła się lepiej. Pewniej.

— Mógłbym do niej zadzwonić, ukrywając twój numer.

— Rany! Elias, idź po prostu na policję, przyznaj się, co zrobiłeś, i zacznij życie od nowa! Masz dziewiętnaście lat i lada chwila zostaniesz ojcem!

Znaleźli się w naprawdę dziwacznej sytuacji: żadne z nich nie miało gdzie się udać. Felicitas nie miała alternatywy dla tego paskudnego, starego domu pośrodku lasu. Zresztą nawet gdyby mieli dokąd uciec i chcieli tam pojechać, to nie mieli jak.

— Chodź, wracamy do środka — powiedziała. — Tam będziemy bezpieczniejsi niż tutaj.

Nagle psy w bagażniku land rovera zaczęły warczeć i szczekać jak szalone.

— To on? — wyszeptał Elias, sparaliżowany panicznym strachem.

— A skąd ja mam wiedzieć? Nie mam szklanej kuli! — syknęła Felicitas. — Szybko!

Otworzyła drzwi i wysiadła z pistoletem w dłoni. Palec wskazujący trzymała na spuście. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch przed garażem. O Boże! Był na zewnątrz i czekał na nich! Serce waliło jej w piersi, a w ustach poczuła suchość. Psy w samochodzie zamilkły. Felicitas schyliła się i zamarła w bezruchu. Czekwała, skryta w mroku garażu, przyciśnięta do samochodu. Pistolet trzymała w wyciągniętych przed siebie dłoniach dokładnie tak, jak policjanci na filmach. Usłyszała kroki. Skrzypienie żwiru. Myśli w jej głowie wirowały jak szalone. Niespełna dziesięć metrów dalej dostrzegła zarys sylwetki... Pociągnęła za spust.

w GOSPODZIE „Pod Zielonym Lasem”, lokalnej knajpie z wyszynkiem, panował zadziwiający tłok, zważywszy na to, że z braku telewizora nie można było

nawet obejrzyć meczu Niemiec z Polską. Mimo to Bodenstein bez trudu znalazł wolne miejsce na parkingu, pewnie dlatego, że stali goście przychodzili na piechotę. Otworzył drzwi. Oczy wszystkich skierowały się na nowego gościa. Ucichły rozmowy. W powietrzu, niczym mgła, unosił się papierosowy dym.

— Dobry wieczór — przywitał się Oliver uprzejmie. Odpowiedziały mu niewyraźne pomruki i niezbyt przychylnie spojrzenia. Przy barze ramię w ramię siedziało kilku mężczyzn pochylonych nad swoimi kuflami. Bodenstein znał niektórych, lecz nie pamiętał, jak mają na imię. Wśród gości nie dostrzegł żadnego z dawnych przyjaciół. W narożniku przy toaletach kilku młodszych mężczyzn grało w rzutki, celując w podziurawioną tarczę.

Bodenstein przyjechał kilka minut za wcześnie, Wielanda jeszcze nie było.

— Stało się coś? — zapytała gospodyni. Siedziała na stołku przy dystrybutorze do piwa, bo miała problemy z utrzymaniem się na nogach. — Szukasz tu czegoś, czy pomyliłeś drogę?

Od ponad sześćdziesięciu lat knajpę prowadziła Anita Kern, z początku razem z mężem, a od pewnego czasu sama. Staruszka zbliżała się już do dziewięćdziesiątki i poruszała się z wielkim trudem, a jednak dzień w dzień zwlekała swoje powykręcane reumatyzmem członki z mieszkania na piętrze, przysiadła na stołku za barem i serwowała swoim gościom piwo i wino jabłkowe.

— No właśnie! — Do staruszki dołączył gruby łysol i spojrzał wyzywająco na Bodensteina. Miał małe, świńskie oczka, które tonęły w fałdach jego nalanej twarzy. — Policja powinna łapać morderców, a nie szlajać się po knajpach!

W sali rozległy się pełne aprobaty pomruki.

— Ja nie narzekam, przynajmniej czuję się teraz bezpieczna. — Jedyna kobieta w całym lokalu, przyciężka pięćdziesięciokilkuletnia blondynka o bardzo tłustych włosach i zgorzkniałej twarzy zaśmiała się nieco zbyt głośno.

Żeby nie upaść, musiała się trzymać baru. — Jaśnie pan von Bodenstein we własnej osobie będzie mnie ochraniał!

Jej szyderczy śmiech przerodził się w napad kaszlu. Jeden z kompanów od kieliszka chciał poklepać ją po plecach, lecz odepchnęła go brutalnie.

Bodenstein dał znak gospodyni, że usiądzie przy jednym ze stołów w narożniku, na co staruszka skinęła głową, że nie ma nic przeciwko.

— Coś do picia? Wino jabłkowe? — zawołała za nim, kiedy szedł w stronę wolnego miejsca.

— Poproszę szprycera! — odkrzyknął Bodenstein.

Wprawdzie nie przepadał za najbardziej tradycyjnym napojem z Hesji, jednak chciało mu się pić, a nie miał ochoty na piwo. W głównej sali gospody, w której dobrych dwadzieścia lat temu podano ostatni posiłek, po czym przestawiono się jedynie na alkohol, od lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku nic się nie zmieniło. Wydeptana podłoga, której nikt jeszcze nie wymienił, ten sam bar, poznaczony licznymi nacięciami i rysami, i przykręcone na stałe stołki barowe, na których kolejne pokolenia miejscowych siedziały, żartowały i piły. Goście wrócili do swoich rozmów, choć nieco ciszej wymieniali się uwagami. Bodenstein przez cały czas czuł na sobie spojrzenia, a bywalcy nawet nie ukrywali, że go obserwują. Nie miał wątpliwości, że w rozmowach chodzi o trzy morderstwa, które wstrząsnęły lokalną społecznością, a wraz z coraz większą ilością skonsumowanego alkoholu pojawiały się coraz śmielsze spekulacje na ten temat. W końcu wszyscy znali ofiary tajemniczego mordercy.

Punktualnie o dziewiątej wieczorem otworzyły się drzwi i w progu gospody stanął Wieland Kapteina. Chudy wyżeł weimarski o błękitnych oczach posuwał się krok w krok za swoim panem, gdy ten ruszył w stronę stolika Bodensteina. Wszyscy witali leśnika znacznie serdeczniej niż wcześniej policjanta, a i on odpowiadał niektórym przyjaznym klepieniem w ramię.

— Piwo poproszę — zwrócił się do Anity, po czym zdjął kurtkę z lodenu i usiadł naprzeciwko Olivera. Pies zajął miejsce u jego nóg. — Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać akurat tutaj?

Jeśli ktoś chciał coś wypić, miał w Ruppertshain jeszcze dwa miejsca do wyboru i obydwa miały znacznie lepszą renomę niż „Pod Zielonym Lasem”. Poza tym oprócz alkoholu serwowały również jedzenie.

— Nie miałem czasu, wybrałem pierwsze, co mi przyszło do głowy. — Bodenstein nie przesiadywał w knajpach, więc kiedy miał zaproponować miejsce spotkania, zdecydował się na „Zielony Las” ze względu na niewielką odległość od domu Patrizii Ehlers, której musiał oddać klucze do kościoła i przedszkola.

— Paskudna sprawa, co? — Leśnik podrapał się po brodzie, a jego melancholijne spojrzenie stało się smutniejsze niż zazwyczaj. — To prawda, co mówią? Że książdź się nam powiesił?

— Niestety nie mogę wypowiadać się na temat śledztwa — odparł Bodenstein i w myślach przeprosił Irene Vetter, bo nie zaprzeczył plotce, której się tak obawiała. Wino jabłkowe podała mu tłusta blondynka, która ze znudzonym wzrokiem przesuwiała się po sali, żując gumę z otwartą buzią.

— No dobrze, to o co chodzi? — zapytał Wieland.

Bodenstein się zawahał.

— Musimy porozmawiać o Arturze — powiedział w końcu.

— CO TO... cholera... odbiło pani?! — W ciemności rozległ się oburzony kobiecy głos. — Niech pani natychmiast przestanie strzelać!

Felicitas poczuła ulgę tak mocną, że z trudem utrzymała się na nogach. Drżała na całym ciele jak osika. Opuściła pistolet, kiedy się przekonała, że hałasy, które słyszała w ciemności, i zgrzytanie żwiru nie były spowodowane przez mordercę, tylko jakąś dziewczynę, a właściwie młodą kobietę.

Elias również wysiadł z samochodu i włączył światło, zanim Felicitas

zdążyła zasłonić przełącznik przy bramie garażu. Zakurzona żarówka pod sufitem przebudziła się do życia. W jej słabym świetle Felicitas uważniej przyjrzała się niespodziewanemu gościowi. Dziewczyna miała rude włosy, bladą jak kreda twarz i szeroko otwarte z przerażenia oczy.

— Co ty tu robisz? — zapytał Elias.

— Wy... wy się znacie? — wyjąkała Felicitas. Nie lubiła takich niespodzianek.

— Tak. Panią też znam. Pani jest siostrą Manu, prawda? — zapytała ruda.

— Zgadza się. — Jej puls zaczął się uspokajać. — A kim ty jesteś?

— Pauline Reichenbach. Ostatnio dość często tu bywałam, bo prowadzę projekt liczenia dzikich kotów w lasach Taunusu. — Spojrzała na Eliasa. — Pomyślałam, że pewnie tutaj cię znajdę, skoro nie pojawiłeś się przy młynie.

— Wspomniałaś o tym komuś? — Chłopak rozejrzał się zdenerwowany, po czym spojrzał na nią ze złością. — Mój ojciec cię przysłał, tak?

— Zwariowałaś? — Ruda dziewczyna otaksowała Felicitas nieprzychylnym wzrokiem. — Dlaczego strzela pani na oślepa? Niewiele brakowało, a mogła mnie pani trafić!

— Bardzo przepraszam. — Felicitas musiała się oprzeć o samochód. — Myślałam... że to... że to ktoś inny...

— Słucham?! — Pauline wytrzeszczyła z niedowierzaniem oczy. — A tego kogoś innego planowała pani zastrzelić?

— Nic nie rozumiesz... — odparła kobieta. Nagle do niej dotarło, jak przesadnie reagowała na to, co się działo. Czyżby wyobraźnia zaczynała płatać jej figle? Przecież anonimowy telefon równie dobrze mógł być pomyłką!

— Phi! — parsknęła dziewczyna i potrząsnęła głową.

— Dobra, to jak na to wpadłaś, że mnie tutaj znajdziesz? — Chłopak nie

dawał za wygraną. — Powiedziałaś komuś o tym?

— No coś ty! Nikt nie wie, że tu jestem! Rozpoznałam cię na nagraniu z fotopułapki — wyjaśniła dziewczyna. — A w gazecie przeczytałam o przyczepie, do której ktoś się włamał. Szukają cię, bo ponoć byłeś świadkiem. No to dodałam dwa do dwóch i jestem.

Eliasa замуrowało.

— Czyli że co, sprzedawałaś mnie psom?

— Zwariowałeś? Oczywiście, że nie! Przysięgam!

— Może lepiej będzie kontynuować tę rozmowę w domu? Co wy na to? — Felicita oprzytomniała na tyle, aby na powrót zacząć trzeźwo myśleć. Adrenalina przestała krążyć w jej żyłach i rozsądek zaczął brać górę. Wsunęła pistolet do kieszeni torby podróżnej. — Nie musimy stać tutaj na widoku.

Podniosła torbę z tylnej kanapy i otworzyła bagażnik. Psy wyskoczyły na zewnątrz i natychmiast zniknęły gdzieś w ciemnościach. Jeszcze tego brakowało!

— Po co tu w ogóle przyjeżdżałaś? — zapytał Elias bardzo nieprzyjemnym tonem. — Śledzisz mnie? Dlaczego mnie szpiegujesz?

— W ogóle cię nie szpieguję! Pomyślałam po prostu, że możesz potrzebować pomocy — wyjaśniła Pauline. — Gliniarze robią, co mogą, żeby cię dopaść.

— Nie potrzebuję niczyjej pomocy! — warknął Elias. — Czuję się świetnie!

— Doprawdy? A nie wyglądasz.

— Dobra, wracamy do domu — zdecydowała Felicita i pchnęła ich delikatnie w stronę drzwi, mając nadzieję, że uda jej się powstrzymać ich przed skoczeniem sobie do gardeł. Wyłączyła światło w garażu i zaczęła przywoływać psy. Elias i Pauline weszli do domu. Została sama. Felicita słyszała ich oddalające się głosy. Czowała coraz większą złość na Eliasa.

Wiedział przecież, że boi się zostawać sama, a jednak się tym nie przejął.

— Rocky! Bear! — wołała Felicitas pośród ciszy pogrążonego w mroku lasu, choć wiedziała, że tak naprawdę to nie jest cisza. Noc w lesie zawsze jest pełna najprzeróżniejszych odgłosów, które zauważa dopiero człowiek pozbawiony możliwości widzenia. Szum wiatru w wierzchołkach drzew. Szelesty gdzieś w ściółce. Trzask pękającej gałązki. Dyszenie. Jęki. Wąchanie. Sapanie. Felicitas zamknęła gwałtownie bramę do garażu. Błazniana konstrukcja zjechała spod sufitu i z głośnym uderzeniem dobiła do betonu. Następnie wzięła torebkę, przewiesiła ją sobie przez ramię i pognęła do domu. Psy znały okolicę, więc nie będzie się o nie martwić. Prędzej czy później wróca.

WIELAND WPATRYWAŁ SIĘ W Bodensteina jak rażony piorunem i wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć. Nachylił się nad stołem.

— Arturze? Tak? Mówisz o naszym Arturze? — upewnił się półgłosem.

— O tym samym — potwierdził Bodenstein i upił łyk wina jabłkowego z wodą sodową.

— Mój Boże! Od dawna już o nim nie myślałem! Wyparłem wszystko z pamięci. Kiedy dokładnie się to stało?

— Sierpień tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego.

Żująca gumę dziewczyna przyniosła piwo i postawiła kufel przed Wielandem, po czym długopisem zaznaczyła na kartonowej podkładce pojedynczy krzyżyk. Leśnik skinął z wdzięcznością głową, upił duży łyk i wierzchem dłoni wytarł pianę z górnej wargi.

— Teraz to żeś mnie zupełnie zaszokował — powiedział.

— Jak to dzisiaj usłyszałem, to poczułem się tak samo — wyznał Bodenstein, patrząc w oczy przyjaciela z dzieciństwa. — Jakbym nagle wrócił do przeszłości. Co ciekawe, uświadomiłem sobie, że wprawdzie udało mi się tę sprawę wyprzeć, ale nigdy jej nie zapomniałem.

— No dobrze, a co chciałbyś wiedzieć? — Wieland Kapteina przyjrzał mu się uważnie. — Nie przyszedłeś chyba pogadać o starych, dobrych czasach i powspominać dzieciństwo, co?

Bodenstein popatrzył w stronę baru i napotkał kilka ciekawskich twarzy. Gapie odwrócili się natychmiast zawstydzeni. W gospodzie panował zbyt wielki harmider, żeby ktokolwiek mógł podsłuchać ich rozmowę.

— Najpierw musisz dać mi słowo, że nie będziesz z nikim na ten temat rozmawiał i nie wygadasz tego, czego dowiesz się ode mnie.

— To chyba oczywiste.

— No dobrze. Otóż są powody, które każą mi myśleć, że te trzy morderstwa są w jakiś sposób powiązane ze zniknięciem Artura — wyjawiał Bodenstein. — Rosie zasugerowała Sonji, kiedy ta odwiedziła ją przed śmiercią, że coś wie na temat tamtego zdarzenia.

— Chyba żartujesz, co? Naprawdę? — Wieland popatrzył na niego z niedowierzaniem. — Jak mogłaby zachować to tylko dla siebie, gdyby rzeczywiście wiedziała?

— Sam nie jestem w stanie tego pojąć. — Bodenstein upił kolejny łyk szprycera, po czym przeszedł do meritum. — Pamiętasz może, że kiedyś w nocy przy stawie przeciwpożarowym przyłapaliśmy jakąś kobietę, która się w nim kąpała?

Wieland zmarszczył brwi i zaczął się zastanawiać, i już po chwili jego twarz pojaśniała.

— Tak, oczywiście, że pamiętam! — powiedział, na co Bodensteinowi kamień spadł z serca. — To była próba odwagi. Mieliśmy spotkać się pod krzyżem zarazy z Edgarem, Peterem i Ralfem. Ale nie dotarliśmy na miejsce, bo zobaczyliśmy tę babkę. Była goluteńka jak ją Pan Bóg stworzył. Do dzisiaj pamiętam, że mało nam oczy nie wyszły z orbit, tak się gapiliśmy.

— Co było potem? — naciskał Oliver. — Pamiętasz jeszcze?

Wieland Kapteina przez dłuższą chwilę milczał. Starał się skupić i wyłowić z pamięci zdarzenia sprzed kilkudziesięciu lat.

— Dobra, to było tak, że spotkaliśmy się na pastwisku dla koni, tym z dębami — zaczął powoli. — Było pół godziny przed północą, bo dokładnie o dwunastej mieliśmy być pod krzyżem zarazy. — Mówiąc to, obracał w stwardniałych dłoniach szklanę piwa. — Planowaliśmy iść dalej ścieżką powyżej pastwiska dla krów, ale żeby się tam dostać, musieliśmy przejść obok stawu przeciwpożarowego, przy którym przyłapaliśmy tę parę. Facet i kobitka, co nie?

Bodenstein potaknął, ale nic nie powiedział.

— Noc była stosunkowo jasna, więc wszystko było widać — przypominał sobie Wieland. — Z początku nie mieliśmy pojęcia, co ta dwójka tam robi.

— Uprawiali seks. Na pomoście.

— Nie, nie, oni to zrobili za stertą drewna. Facet miał spodnie opuszczone do kolan, a nas cholernie bawił jego biały tyłek. — Jego pocziwe, przypominające pysk bassetta oblicze rozjaśnił uśmiech. — Baliśmy się przekraść obok, dlatego czekaliśmy, aż skończą. Potem ta babka skoczyła do wody popływać. Zupełnie golusienka. Facet się mocno stresował, a ona się z niego śmiała.

Bodenstein czuł, jak z nerwów zaczyna go ścisnąć w żołądku. Dotychczas jego wspomnienia pokrywały się w większości szczegółów ze wspomnieniami Wielanda.

— Wtedy ten facet nas zauważył. Złapał jakąś kłonicę i rzucił się w naszą stronę. — Wieland popatrzył na Bodensteina. — Ja ruszyłem w stronę lasu, ty w drugą. Nigdy w życiu tak się nie bałem. Boże, myślałem, że nas tam ukatrupi!

Jego słowa potwierdziły podejrzenia Olivera. Koszmar, który dręczył go przez całe dzieciństwo i który niespodziewanie powrócił poprzedniej nocy,

był wspomnieniem tamtego zdarzenia, z którym właściwie nigdy się nie rozprawił. A sen o nagiej kobiecie, z którego wyrwał go po południu telefon od Nicoli, był nawiązaniem do tamtego zdarzenia. Strach, który wtedy przeżył, wymazał jednak pamięć o szczegółach, pozostawiając jedynie przemożne uczucie wszechogarniającej paniki i pragnienia ucieczki.

— Mało brakowało, a by mnie dopadł. — Bodenstein dokończył wino.
— Ze strachu narobiłem w spodnie.

Wieland zaśmiał się cicho.

— Ale tamto zdarzenie miało też efekt pedagogiczny: potem już nigdy nie wykradaliśmy się w nocy przez okno. — Spojrzał na dawnego przyjaciela. — Ta kobieta... to była Rosie, prawda?

— Też mi się tak wydaje. — Oliver przyznał mu rację.

Milczeli przez chwilę.

— Jak myślisz, co się mogło stać Arturowi? — zapytał leśnik.

— Nie mam pojęcia. — Bodenstein westchnął. — W pewnej chwili przestałem o tym myśleć.

— Ty, a jeśli Rosie częściej spotykała się z facetami? Może nawet z tym gościem, który chciał nam rozwalić głowy tym kawałem drewna?

Bodenstein pamiętał odrazę i pogardę, z jaką Edgar mówił o przyczepie, w której jego matka spotykała się z mężczyznami, żeby uprawiać seks.

— Jestem przekonany, że to nie była jednorazowa sprawa. Powiem więcej: tuż przed śmiercią Rosie wyznała Sonji, że nie spłodził jej człowiek, którego uważała za swojego ojca.

Wieland w lot pojął, co Bodenstein chciał mu przekazać.

— Czekaj... Sonja jest z siedemdziesiątego trzeciego, wiem, bo jest rówieśniczką mojej żony — powiedział zamyślony.

— A Artur zniknął siedemnastego sierpnia siedemdziesiątego drugiego. — Oliver dokończył myśl przyjaciela. — To był dzień, kiedy wyjątkowo nie

odprowadziłem go do domu. Rodzice kupili akurat pierwszy telewizor kolorowy i koniecznie chciałem obejrzeć z Quentinem *Bonanzę*.

— *Bonanza* leciała zawsze o osiemnastej dwadzieścia, pamiętam jak dziś. A w sierpniu o tej porze jest jeszcze zupełnie jasno. — Wieland zaczął analizować sprawę jak detektyw. — Nie sądzę, żeby Rosie ryzykowała spotkanie z kochankiem jeszcze przy dziennym świetle.

— Masz rację. — Bodenstein poczuł rozczarowanie. Jego teoria pękła jak bańka mydlana.

— Ale nie wykluczałbym, że Artur w drodze do domu spotkał kogoś innego — zastanawiał się Wieland głośno. — Mógł wpaść na Edgara. A Edgar nienawidził Artura. On i reszta bandy byli wściekli, bo ty wolałeś trzymać się ze mną i Arturem, a nie z nimi.

Oliver poczuł, jak wzbiera w nim mroczna, nieprzyjemna fala żalu i doszczętnie go zalewa. Przez przypadek kilka faktów nabrało nowego znaczenia. *Mam na sumieniu ludzkie życie*, miała powiedzieć Rosie. To przecież nie musiało oznaczać, że własnoręcznie kogoś zabiła.

— Jeśli Edgar zabił Artura, nieważne, czy przez przypadek, czy celowo, matka zrobiłaby wszystko, żeby go uchronić przed konsekwencjami — wyszeptał Wieland konspiracyjnym tonem, a jego oczy rozbłysły ekscytacją, jak u psa myśliwskiego, którego przyprowadził ze sobą.

Bodenstein przez chwilę milczał. Pozwolił jego słowom działać na swoją wyobraźnię, po czym skinął głową. Musiał się dowiedzieć, jakie działania podjęła wówczas policja i kogo przesłuchano. Czy w ogóle ktoś zaprzętał sobie głowę rozmowami z pozostałymi dziećmi z okolic?

— Wieland, dzięki wielkie — powiedział krótko i uściśnił zdecydowanie dłoń przyjaciela. — Podsunąłeś mi pewien pomysł. I daję ci słowo, że się dowiem, co się wtedy stało.

PAULINE STARAŁA SIĘ przekonać Eliasa, by zgłosił się na policję, a Felicitas

w tym czasie zmieniała dom w obronną twierdzę. Pozamykała wszystkie okiennice i sprawdziła zamki w drzwiach. Chwilę wcześniej psy wróciły bezpiecznie do środka i spały teraz smacznie na swoich legowiskach. Felicitas długo nie mogła uspokoić nerwowego drżenia i napięcia, więc otworzyła butelkę wina i wypła dwa kieliszki.

Od piętnastu minut siedzieli przy kuchennym stole i rozprawiali, co dalej. Felicitas powiedziała Pauline, że Elias najprawdopodobniej nagrał komórką sprawcę podpalenia, jednak nie odważyli się uruchomić telefonu i sprawdzić, co dokładnie się zapisało. Ku jej wielkiej uldze, Pauline okazała się bardzo rozsądną dziewczyną. Jej rodzina mieszkała po sąsiedzku z rodzicami Eliasa, więc dobrze go znała i znała jego sytuację. Przyjechała, bo, jak sama wyjaśniła, chciała pomóc Eliasowi i mieszkańcom Ruppertshain, którzy po trzech morderstwach byli bardziej niż zaniepokojeni. Lecz czy jej pobudki rzeczywiście były tak altruistyczne? Czy może raczej szukała sposobu, by zwrócić na siebie uwagę i się dowartościować? Felicitas zauważyła, że stała się przynajmniej tak samo podejrzliwa jak Elias. Co skłoniło Pauline do tego, by o tej porze porywać się na samotną przejażdżkę po ciemnym lesie? Dlaczego nie przyjechała jeszcze za dnia, kiedy było widno? Czuła się z jakiegoś powodu zobowiązana do pomocy, czy kierowało nią coś zupełnie innego? Po czwartym kieliszku alkohol w końcu zaczął działać i napięcie zaczęło opuszczać Felicitas.

— Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz zawieźć mnie do Nike — wyrzucił Elias sąsiadce. Co gorsza, nie po raz pierwszy tego wieczoru. — Chcę zamienić z nią tylko kilka słów! Naprawdę, tylko chwilę porozmawiać!

Felicitas wymieniła szybkie, pełne rezygnacji spojrzenia z rudą dziewczyną, po czym ciężko westchnęła.

— Cholera, człowieku, naprawdę nie łapiesz? — Pauline straciła cierpliwość. — Ile razy mam ci to tłumaczyć? Przecież gliny już dawno

wiedzą, gdzie Nike mieszka i siedzą przed chatą jej starych na czatach! Tylko czekają, aż się tam pokażesz! Wystarczy, że ona ci pomaga, choć w ten sposób też łamie prawo i naraża się na odpowiedzialność karną!

— Nie jestem żadna ona — prychnęła Felicitas obrażonym tonem i naląła resztkę wina z butelki. Powoli zaczynał jej się plątać język. — Mam na imię Felicitas!

— Sorki. — Pauline wzruszyła ramionami i skarciła ją spojrzeniem. — Ale łoi pani równo, co nie?

— Nie twoja sprawa — syknęła kobieta.

— Też prawda — potwierdziła Pauline. — Pani sprawa, pani problem. Sprawdziła ekran komórki.

— Po co w ogóle przyjeżdżałaś, skoro nie masz zamiaru mi pomóc? — jęknął Elias jak małe uparte dziecko.

— Przecież chcę ci pomóc, Eli! — zapewniła go z naciskiem i chwyciła za dłoń. — Ale pomyśl! Nie żyją trzy osoby, które wszyscy znaleźliśmy! Ksiądz Maurer niby popełnił samobójstwo, ale ja w to nie wierzę. Jego też zamordowali. Rozumiesz już?

— Że niby ja mam z tym coś wspólnego?

— Jeśli naprawdę wiesz coś, co mogłoby pomóc glinom, powinieneś im to powiedzieć!

Telefon Eliasa leżał na stole pośród pustych talerzy. Pauline również nie odważyła się go włączyć. Felicitas wstała, żeby przynieść kolejną butelkę wina, lecz musiała przytrzymać się stołu, bo alkohol szybko przejął kontrolę nad jej głową i nogami.

— Nie mogę — burknął Elias ponuro i skrzyżował ramiona na piersi. — Zamkną mnie w pierdłu. Nie rozumiesz? Jestem czysty, a tam jest więcej prochów niż na dworcu u dealerów!

— Im dłużej się ukrywasz, tym bardziej pogarszasz swoją sytuację —

odparła Pauline. — Wiesz co? Zróbmy tak: daj mi komórkę z filmem, a ja zawiozę ją glinom. Kiedy dostaną nagranie, przestaną cię szukać i może uda się z nimi coś załatwić.

Elias przygryzł zamyślony dolną wargę. Po jakimś czasie powoli potaknął.

— Dobra — powiedział. — A mogłabyś przynajmniej zajrzeć do Nike i przekazać jej list ode mnie?

Pauline opadła na oparcie krzesła i przewróciła oczyma.

— Fuck, ja się poddam — westchnęła. — Jak ci tak bardzo zależy, podjadę do tej twojej wspaniałej Nike. Tylko się pospiesz z tym listem, bo nie będę czekała w nieskończoność, a muszę jeszcze zdążyć na imprezę urodzinową.

Chłopak zerwał się z krzesła i wybiegł z kuchni.

— Boże, ależ on jest upierdliwy! — Pauline potrząsnęła głową. — Oby tylko ta laska była tego warta.

— Jest czy nie, to bez znaczenia. Najważniejsze, że dla niej rzucił narkotyki. — Felicitas ziewnęła. W kuchni było tak ciepło, że oczy same jej się zamykały. W jej odczuciu Elias wcale nie był upierdliwy, tylko opętany. — Słuchaj, a ty serio chcesz wracać teraz po ciemku przez las?

— Pewnie. — Pauline wzruszyła ramionami z beztroską przynależną młodości, kiedy człowiek wierzy, że jest niezniszczalny. — Ciągłe latam po lesie, nawet nocą.

— Tylko że teraz po okolicy może kręcić się morderca — zaprotestowała Felicitas. — Może zostań z nami. Miejsca jest dosyć, prześpisz się i rano pojedziesz.

— Nie, dzięki. — Dziewczyna potrząsnęła głową. — To bardzo miłe z pani strony, ale muszę już lecieć. Poza tym wolę spać we własnym łóżku.

— Jak chcesz. — Felicitas walczyła ze znużeniem i naprawdę niewiele brakowało, a oparłaby głowę na stole i zasnęła. — Co jest nie tak z rodzicami Eliasa? Naprawdę są tak okropni, jak opowiada?

— Żeby pani wiedziała. Odbija im na punkcie rywalizacji i sukcesów, ich dzieci mają być najlepsze i koniec — odparła Pauline i skrzywiła się pogardliwie. — Jemu to nie pasowało. Najpierw zawalił naukę, a potem zaczął popalać trawę i brać prochy. Starzy próbowali go z tego wyciągnąć, ale tutaj dali ciała. Kiedyś jak wyjechali, Eli opróżnił im chatę i wszystko sprzedał paserowi. Nawet wóz matki. — Pauline prychnęła. — Wtedy stary wywalił go na ulicę i zabronił wracać. Masakra, nie? A Eli tak naprawdę jest...

Przerwała nagle, bo do kuchni wrócił Elias i podał dziewczynie kartkę z listem i swój telefon.

— Nigdy ci tego nie zapomnę — powiedział cicho. — Dzięki, Line.

— Dobra, a gdzie znajdę tę twoją wybranekę? — zapytała dziewczyna, nie kryjąc sarkazmu, i wstała.

— Zapisałem ci adres na liście. — Elias się uśmiechnął. — Jak maluch się urodzi, zostaniesz matką chrzestną.

— Jeszcze tego brakowało. — Pauline odpowiedziała mu uśmiechem. — Co roku musiałabym pamiętać o kolejnych urodzinach.

Elias objął ją i uściskał niezdarnie, po czym on i psy odprowadzili rudą dziewczynę do drzwi. Po chwili zniknęła w ciemnościach.

SEKCJA ZWŁOK księdza Adalberta Maurera potwierdziła w całej rozciągłości podejrzenia Henninga Kirchhoffa: duchowny został uduszony. Na podstawie temperatury ciała zmierzonej w chwili jego znalezienia, plam opadowych i zaawansowania stężenia pośmiertnego, Henning Kirchhoff i doktor Lemmer wyliczyli, że śmierć musiała nastąpić około godziny wpół do jedenastej wieczorem poprzedniego dnia. Na podstawie wylewów krwi na przedramionach i nadgarstkach dało się ustalić, że sprawca musiał go mocno przytrzymywać, kiedy zakładał mu sznur na szyję. Możliwe, że ukląkł na jego torsie, by go unieruchomić, bo Adalbert Maurer miał złamane dwa żebra.

Staruszek musiał się bardzo zaciekle bronić, bo w ferworze walki stracił nawet protezę zębową, która wypadła mu z ust i została złamana. Źródłem obfitego krwawienia ofiary było szerokie pęknięcie łuku brwiowego. W krew z tej rany wdepnął sprawca i zostawił nieopatrznie odcisk buta. W ten sposób śmierć z przyczyn nienaturalnych została potwierdzona ponad wszelką wątpliwość i z hipotezy stała się faktem.

Wracając z Instytutu Medycyny Sądowej do Hofheim, Pia zadzwoniła do Christiana Krögera, a on poinformował ją o rozczarowujących wynikach badania liny, która okazała się produktem masowym, do kupienia w każdym supermarkecie budowlanym i do zamówienia przez Internet. Wprawdzie w zakrystii udało się zabezpieczyć ogromną liczbę odcisków palców, bo niemal każda powierzchnia była nimi gęsto pokryta, to najpewniej wszystkie zostały pozostawione przez niewinne osoby, a nie przez mordercę, bo ten, poza odciskiem buta, nie zostawił innych śladów. W domu księdza nie znaleziono żadnych interesujących wskazówek, które dawałyby jakieś wyobrażenie o ostatnich godzinach jego życia. Nie było ani kalendarza, ani terminarza — nic. A Irene Vetter potwierdziła, że jej brat wszystkie godziny spotkań i umówione terminy zapamiętywał i do ich przechowywania używał tylko głowy.

Zbliżała się dwudziesta druga, kiedy w końcu przekroczyła próg biura. Wszyscy już dawno poszli do domu — wszyscy poza Tarikiem i Kaiem, którzy wciąż jeszcze pracowali. Za oknami panowała nieprzenikniona ciemność. Pia poinformowała kolegów o wynikach sekcji zwłok i o wszystkim, czego się dowiedziała od Bodensteina.

— Myślicie, że może mieć rację, a ta stara sprawa jest jakoś powiązana z naszym aktualnym śledztwem? — Kai ugryzł ciasteczko z kawałkami czekolady i podsunął Pii paczkę, żeby się poczęstowała.

— Dzięki — mruknęła. Wciąż jeszcze nie przyzwyczała się do

zmienionego wyglądu kolegi. Od kiedy go poznała, zawsze miał włosy związane w sięgający ramion koński ogon, ubierał się w sprane T-shirty z zabawnymi napisami, na które narzucał flanelowe koszule w kratę, nosił wytarte dżinsy i okrągłe okulary w niklowanych oprawkach. Tymczasem przed dwoma tygodniami zaskoczył wszystkich, gdy pojawił się w pracy krótko ostrzyżony, w nowych markowych dżinsach i eleganckiej koszuli zapiętej pod szyję, co więcej, kulturalnie wsuniętej w spodnie! „*Cherchez la femme*”, skomentował jego przemianę Bodenstein i uśmiechnął się nieznacznie, a Pia od dnia niespodziewanej metamorfozy starała się zgłębić jej przyczynę.

— Szef jest o tym przekonany — odpowiedziała ostrożnie i sprawdziła telefon. Bodenstein jeszcze nie próbował się do niej dodzwonić. — Faktem jest, że Rosemarie Herold, ofiara numer dwa, wyznała na spowiedzi Adalbertowi Maurerowi, ofierze numer trzy, że miała coś wspólnego z zaginięciem chłopca w siedemdziesiątym drugim roku. Albo przynajmniej miała o tamtej sprawie jakąś wiedzę.

— Przeczytałaś raport szefa na temat jego rozmowy z córką Rosie, Sonją? — zapytał Kai z pełnymi ustami. Był odpowiedzialny za pracę analityczno-logistyczną dotyczącą aktualnej sprawy i zajmował się prowadzeniem jej akt. Przy jego nieprawdopodobnej pamięci i niespotykanej organizacji pracy był wymarzoną kandydatem do takich zadań, a że z racji niepełnosprawności i tak nie mógł pracować w terenie, chętnie wypełniał swoje obowiązki.

— Jeszcze nie miałam czasu — mruknęła Pia i poczuła się nieswojo. Czy przypadkiem nie był to jej obowiązek, jako prowadzącej śledztwo, żeby być zawsze na bieżąco z najnowszymi ustaleniami? Spojrzała ukradkiem na współpracowników, lecz oni zdawali się nie przejmować jej błędem.

— Poczekaj. — Kai nadgryzł kolejne ciastko i otworzył na ekranie komputera wirtualne akta sprawy. — O, tutaj. Sonja Schreck i jej mąż Detlef... bla, bla, bla... W poniedziałek matka jej wyjawiała, że ma na sumieniu życie

człowieka, a jej zmarły mąż, którego Sonja przez całe życie uważała za ojca, w rzeczywistości nie był jej biologicznym ojcem.

— Hm, ciekawe. — Pia zmarszczyła brwi. — To, że ma czyjeś życie na sumieniu pani Herold wyznała też księdzu.

Czy dało się na tej podstawie stwierdzić, że to ona zabiła tego chłopaka? Czy może, gdyby to ona zabiła, nie powiedziałyby raczej: „Zabiłam człowieka”?

— Czekaj, to jeszcze nie koniec, dopiero teraz robi się ciekawie — powiedział Kai. — Zgodnie z zeznaniami siostry, Clemens Herold regularnie przemieszczał w przyczepie kempingowej matki, bo chciał mieć spokój przy pisaniu kroniki rodzinnej.

— Kroniki rodzinnej? — Pia spojrzała na Tarika, który siedział przed komputerem Clemensa Herolda i starał się wydobyć z niego wszystkie tajemnice. — Znalazłeś coś, co by do tego pasowało?

— Nie, tu nic takiego nie ma — odparł policjant. — Większość to jakaś dokumentacja z pracy; protokoły, raporty, same techniczne sprawy.

— Miał terminarz? Może zapisywał wszystko w kalendarzu?

— Niewiele. — Kai pokręcił głową. — Za to znacznie bardziej interesujące są rzeczy, które udało nam się znaleźć na jego koncie w chmurze. Tarik znalazł jego dane do logowania na komputerze, który zabraliśmy z jego domu.

— Rzeczywiście zajmował się pisaniem czegoś w rodzaju kroniki i to już od lat. — Tarik stukał na klawiaturze z oszałamiającą prędkością, ani na chwilę nie odrywając wzroku od ekranu. — Jednak w głównej mierze skupiał się na historii i tajemniczych zdarzeniach z Ruppertshain, a nie tylko na swojej rodzinie. Rozmawiał chyba z każdym w mieście i okolicy, skanował stare zdjęcia i dokumenty. Herold pracował na komputerze, który najpewniej spłonął w pożarze przyczepy.

— O jakich tajemniczych zdarzeniach mówisz? — zainteresowała się Pia.

— Chodziło o historyczne sprawy kryminalne, o ile dobrze zrozumiałem — powiedział Tarik. — Kradzież drewna z lasu, spalenie czarownicy, niewyjaśnione morderstwo robotnika w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku... Na takich sprawach się skupiał. Niestety, w chmurze miał nagranych raptem pięć dokumentów wordowskich. Resztę pewnie trzymał na laptopie.

— Co ze zdjęciami? Opisał je jakoś? Uporządkował?

— Tak, są ułożone latami. — Tarik potaknął, nie odrywając wzroku od ekranu. — Miał terabajtowy dysk, który prawie cały zapełnił zdjęciami, a chyba możesz sobie wyobrazić, ile to będzie JPG-ów.

Tego akurat nie mogła sobie wyobrazić, lecz na wszelki wypadek potaknęła.

— Interesowałyby mnie zdjęcia z siedemdziesiątego pierwszego i siedemdziesiątego drugiego — powiedziała.

— Poczekaj, zaraz wyślę ci zaproszenie do jego Dropboksa. Nasz serwer mógłby paść, gdybym chciał przesyłać ci wszystko mejlem.

Przez chwilę w biurze panowała cisza przerywana jedynie stukaniem klawiatury.

— Telefon Eliasa Lessinga ani razu nie został uruchomiony. — Pia pierwsza przerwała milczenie. — Co to może oznaczać?

— Że albo gość jest sprytny i dobrze wie, że gdyby go uruchomił, natychmiast byśmy go namierzyli — odparł Kai — albo już nie jest w stanie włączyć telefonu.

— A jak wy obstawiacie?

— Martwy — uznał Tarik.

— Sprytny — ripostował Kai. Odsunął się z krzesłem od biurka, oparł wygodnie i splótł dłonie za głową. — A ty co myślisz?

— Jego kuratorka nie miała od niego żadnych informacji — zastanawiała

się Pia. — Pytała wszędzie, gdzie wcześniej przebywał, ale od przedostatniego piątku nikt go nie widział. Myślę, że żyje, ale się ukrywa. Może tym razem naprawdę postanowił rzucić prochy? Rozmawialiście jeszcze raz z jego rodzicami?

— Tak. Nie mają żadnych informacji na jego temat. O jego dziewczynie wiemy tyle, ile powiedziała nam jego matka. Ma na imię Nike. Niewiele nam to daje.

Pia otworzyła skrzynkę pocztową. Przyszedł już mejl od Tarika z zaproszeniem do Dropboka Clemensa Herolda. Tylko w katalogu „Zdjęcia_1972” znajdowały się dwieście trzydzieści trzy pliki. Musiał poświęcić sporo czasu, żeby te wszystkie zdjęcia poskanować i opisać. Niewiele mniej zajmie teraz przeglądanie ich — pomyślała Pia. To robota dla Bodensteina, bo on, jako jedyny, zna wszystkie tutejsze twarze i będzie przynajmniej w stanie rozpoznać, co przedstawiają nagrane fotografie. Pia wyświetlała jedno zdjęcie po drugim. Większość była słabej jakości. Przy jednym z nich znieruchomiała. Przedstawiało grupę dzieciaków w strojach sportowych, a podpis głosił: „Turniej piłki nożnej juniorów, maj 1972”. Powiększyła obraz. Pośrodku stał blond chłopiec o ładnej buzi. Ramieniem przyciskał piłkę do boku i uśmiechał się radośnie w stronę obiektywu. Pia przyjrzała się twarzom pozostałych dzieci. Czy ten szczupły ciemnowłosy uczeń z tyłu to mógł być... Bodenstein? Oliver w wieku jedenastu lat. Czy grał wtedy w piłkę nożną? Postanowiła zapytać go przy najbliższej okazji. Pewnie bez trudu potrafiłby podać imiona i nazwiska pozostałych dzieci ze zdjęcia.

Pia siedziała zamyślona przed ekranem. Oczy paliły ją ze zmęczenia i miała coraz większe problemy z koncentracją. Jeśli Clemens Herold nie pracował nad kroniką rodzinną tylko kroniką lokalną, musiał, zbierając do niej materiały, rozmawiać z bardzo wieloma osobami. Czyżby przez to niechący otworzył puszkę Pandory? Może właśnie dlatego tak troskliwie zajmował się matką?

Może liczył, że się od niej czegoś dowie? Czy Rosie w ogóle wiedziała, że Clemens jeździł do jej przyczepy? I po co to robił? Szukał tam czegoś? Ukrytego dowodu jakiejś starej zbrodni? Dlaczego tak bardzo interesowały go te zakurzone już historie?

Wspólnik albo świadek — pomyślała. Morderca będzie pozbywał się ludzi, którzy wiedzą, co zrobił. Kto mógł wiedzieć o wydarzeniach z dnia, kiedy zniknął Artur? Zadrżała. Jeśli Bodenstein miał rację i wspólnym mianownikiem dotychczasowych morderstw było zaginięcie jego przyjaciela z dzieciństwa, słowa Kim nabierały wagi przepowiedni: sprawca jeszcze nie dokończył dzieła.

KRÓTKA WYMIANA ZDAŃ z Anitą Kern wzburzyła Bodensteina niemal tak samo, jak rozmowa z Wielandem Kapteiną, dlatego zupełnie zapomniał o kluczach, które miał zwrócić. Przypomniawszy sobie o nich dopiero, kiedy wsiadł do samochodu i uruchomił silnik. Westchnął, przekręcił kluczyk w stacyjce i wysiadł. Najpierw minął gospodę, a potem skręcił w Gärtnerweg. Dom, w którym mieszkała Patrizia Ehlers z mężem Jakobem, stał raptem kilka kroków dalej. Bungalow ze ścianami z cegły klinkierowej został wzniesiony na tyłach domu rodziców Jakoba i Ralfa w miejscu starej stodoły, do której nie było im wolno wchodzić, kiedy byli dziećmi. W oknach domu paliło się światło, jednak Bodenstein się zawahał, kiedy stanął przed drzwiami. Czy dwadzieścia po jedenastej wieczorem wypadało jeszcze używać dzwonka? Może grzeczniej byłoby wrzucić klucze do skrzynki na listy? Gdzieś za plecami usłyszał cichy szelest, a potem zgrzyt pazurów na kostce brukowej. Noc przecięło groźne warczenie, a chwilę później wielki czarny pies zaszczekał głośno i skoczył. Bodenstein zatoczył się i niewiele brakowało, a wylądowałby na rabacie hortensji. W ostatniej chwili oparł się o ścianę domu.

— Baloo! Spokój! Do mnie! — Ostry męski głos uratował go z opresji. Pies

zostawił Bodensteina w spokoju. Z ciemności wynurzyła się jakaś postać. W świetle padającym przez przeszklone drzwi Oliver rozpoznał Jakoba Ehlersa.

— Witaj, Oliver! — krzyknął zaskoczony mężczyzna. — Co ty tu robisz?

— Cześć, Jakob. — Bodenstein jeszcze trząśł się ze strachu. — Chciałem oddać Patrizii klucze do kościoła.

— Baloo jest trochę narwany, wybaczone. Coś ci się stało?

Pies stał obok swojego pana, machał radośnie ogonem i udawał przyjaznego, niegroźnego pupila.

— Nie, na szczęście nic, dzięki. — Bodenstein wyjął klucze z kieszeni spodni i podał je Jakobowi. — Przekaż Patrizii, że bardzo dziękuję.

— Proszę, wejdz na chwilę. — Jakob otworzył drzwi. — Wychylimy jednego na dla kurazu.

Bodenstein spojrzał na zegarek. Właściwie dlaczego nie? Sophia była bezpieczna, nazajutrz była niedziela, a on miał już wolne. Pies przecisnął się bezczelnie przodem, a on znów omal nie stracił równowagi.

— Przyjmij moje kondolencje.

— Dzięki. To straszne, nie rozumiem, dlaczego takie rzeczy się dzieją. — Jakob potrząsnął głową, zdjął kurtkę i odwiesił na haczyku. Potem zsuł brudne buty i wsunął stopy w domowe pantofle. Zauważył spojrzenie Bodensteina.

— Od kiedy zaczęli roboty drogowe, każde wyjście z psem jest jak bieg przełajowy. Chyba powinienem zacząć chodzić z Baloo ludziom po polach. — Zaśmiał się gorzko. — Wiesz, wszyscy są w szoku. Ludzie zaczynają gadać, że dobrze byłoby zorganizować jakąś straż sąsiedzką. Przykro mi to mówić, ale mało kto jeszcze wierzy w policję.

— Nie musi być ci przykro, potrafię to zrozumieć.

— Czy to prawda, że ksiądz nie popełnił samobójstwa... tylko... no, że ktoś jego też zamordował?

— Zobaczymy, czego się dowiemy z sekcji zwłok. — Bodenstein wolał wykręcić się od odpowiedzi. — Jak dotąd wszystko wskazuje na samobójstwo.

Na podwórze wjechał jakiś samochód i zaparkował przed podwójną bramą garażową. Pies zaczął radośnie merdać ogonem i popiskiwać.

— Jak pańcia wraca, ja przestaję się dla niego liczyć. — Jakob patrzył, jak pies biegnie w stronę auta. Trzasnęły drzwi i zaraz potem rozległ się stukot obcasów. Po chwili do domu weszła Patrizia. Miała na sobie tę samą czarną sukienkę co rano. Wyglądała na zmęczoną i wyczerpaną.

— Oliver! — Początkowe zaskoczenie szybko ustąpiło miejsca trosce. — Proszę, tylko nie mów, że znów coś się stało!

— Nie, nie — uspokoił ją. — Chciałem tylko oddać klucze.

— Bogu dzięki! — Westchnęła z ulgą i odstawiła torebkę na komodzie obok garderoby. — Co za paskudny dzień! Wracam właśnie od Sonji. Mechthild też przyszła. Ta kobieta jest na skraju załamania, bo Detlef opowiada, że Clemens spotykał się w przyczepie z jakąś kobietą. Koszmar, mówię ci!

Jej słowa były skierowane do męża, jednak Bodenstein potrafił sobie wyobrazić, jaka atmosfera musiała panować w domu państwa Schreck. Przypomnił sobie, że Sonja przez krótki czas była żoną Ralfa, brata Jakoba.

— Twój rodzice dalej mieszkają w domu z przodu?

— Mama tak. — Jakob wyjął z barku butelkę z wypalanej gliny, otworzył ją i nalał wódkę do trzech kieliszków. — Ojciec od dwóch lat mieszka w Königstein, w domu opieki. Ma osiemdziesiąt dziewięć lat i choruje na demencję.

— Przykro mi to słyszeć — powiedział Bodenstein.

Josef Ehlers był bardzo poważaną postacią we wsi: przez ponad czterdzieści lat był dyrektorem lokalnej szkoły i jednocześnie prowadził oddział banku Sparkasse. Bodenstein doskonale pamiętał, jak jego matka

reagowała rozbawieniem, kiedy pan dyrektor Ehlers witał ją ze staromodną galanterią, uchylając róna kapelusza.

— Coście zrobili z tym całym inwentarzem, który stał w szopie?

— Większość wylądowała na wysypisku. — Jakob podał mu kieliszek. — Stary traktor, prawdziwy lenz, trafił do Kurta Fischera. Kupił go za grosze i odrestaurował. Do dzisiaj nim jeździ i zwozi słomę jak trzeba. A stare samochody zatrzymał Ralf. Do spółki z Detlefem doprowadzili je do stanu używalności i sprzedali. Reszta była niewiele warta, może z wyjątkiem mebli, które trafiły do handlarza starzyzną.

— Właśnie, à propos Ralfa, co u niego? — Bodenstein upił odrobinę alkoholu. — Mieszka jeszcze w Ruppertshain?

— Wyobraź sobie, że na razie tak. Przez jakiś czas był w Azji. Kilka lat temu wrócił i kupił stary młyn w dolinie Silberbachtal. — Jakob nie krył delikatnej kpiny, kiedy mówił o bracie. — Jakie on miał plany! Chciał wyremontować tę ruinę, ale z tego, co wiem, niewiele się tam dzieje. Mój brat jest mistrzem świata, jeśli chodzi o budowanie zamków na lodzie, i w niczym więcej.

Patrizia wróciła do salonu i podniosła kieliszek.

— Za Rosie! — Jakob wzniósł toast. — Nie pasowała do tego świata z tym swoim złotym sercem. Będzie nam jej brakowało.

— To prawda. — Patrizia walczyła ze łzami. Wsparła się na ramieniu męża i go objęła. — Ją najbardziej kochałam z całego rodzeństwa.

— Też ją bardzo lubiłem — potwierdził Bodenstein i w myślach dodał: ale najwyraźniej wcale jej nie znałem.

Wysokoprocentowy alkohol przyjemnym ciepłem rozgrzewał żołądek. Przyglądał się Jakobowi i Patrizii. Cały czas byli bardzo piękną parą. Jakob wyglądał świetnie: można było mu zazdrościć, tak znakomicie trzymał linię, mimo wieku. Dawniej uchodził za wyjątkowego przystojniaka i nikt się nie

zdziwił, kiedy poślubił najpiękniejszą dziewczynę we wsi. Dziś wyglądał identycznie jak jego ojciec, kiedy miał sześćdziesiątkę: wydatny nos, gęste siwe włosy, głęboko osadzone oczy i krzaczaste brwi. Twarz, której lata nie wyrządziły szkody.

Wypili drugą kolejkę, a potem jeszcze jedną. Bodenstein napisał Karoline wiadomość, żeby się o niego nie martwiła. Uznał też, że wiadomość do Pii może poczekać, a samochód niech zostanie przy gospodarze. Jutro po niego wróci.

— IRENE TWIERDZI, że zamordowanie Rosie i Clemensa jest powiązane z zaginięciem tamtego chłopaka. — Patrizia bawiła się zamyślona kieliszkiem. Nie próbowała nawet ukrywać smutku, który zakradł się do jej spojrzenia, przygarbił plecy i starł uśmiech z twarzy. Jednak Bodenstein dostrzegł go u niej już dziś rano i domyślał się, że nie chodziło tylko o jej siostrę. Sięgał znacznie głębiej.

— Jakiego chłopaka? — Jakob chciał nalać kolejkę, lecz słowa żony tak go zaskoczyły, że zatrzymał się w pół ruchu.

— No, wiesz, tego małego repatrianta. Nie pamiętasz? — Patrizia spojrzała na Bodensteina, jakby miała nadzieję, że machnie ręką i powie, że to tylko głupie gadanie i żeby się nie przejmowała. Oliver od samego początku wiedział, że Irene Vetter nie będzie trzymać języka za zębami, mimo że i on, i Pia wyraźnie o to poprosili.

— Nie mogę wypowiadać się na temat toczącego się śledztwa — powtórzył zgraną formułkę. — Dotychczas nie mamy żadnych jednoznacznych dowodów. Tak naprawdę nie mamy nawet pewności, czy wszystkie trzy morderstwa zostały popełnione przez tego samego sprawcę.

— Ludzie strasznie się martwią — powiedziała Patrizia.

— Możesz mi wierzyć, że ja też — zapewnił ją Bodenstein.

— Gdybyś potrzebował wsparcia, wiesz, gdzie nas szukać. — Jakob nalał

w końcu kolejkę i stłumił beknięcie. — Znamy tutaj każdego.

Gospodarz domu mówił już niewyraźnie, a i jego żonie plątał się język.

— Dzięki. Gdybym czegoś potrzebował, na pewno dam znać. — Bodenstein skinął głową. — Teraz najważniejsze, żeby nie robić nic na oślep, postępować ostrożnie i mieć oczy szeroko otwarte.

— Dziwne. Od lat już o tym nie myślałam, a teraz nagle dokładnie sobie przypomniałam, jak to było, kiedy ten chłopak zniknął — odezwała się niespodziewanie Patrizia. Siedziała na brzegu sofy, wyprostowana, z dłońmi wsuniętymi między kolana. — Cała wieś stanęła na głowie. Pamiętam, że byłam w ciąży z Niklasem. Mieszkaliśmy wtedy u moich rodziców, a rodzina tego chłopaka ledwie dwa domy dalej. Pamiętasz, Jakob? Strasznie było patrzeć na jego rodziców, widzieć, jak ciężko to znoszą.

— Coś sobie przypominam, ale nie interesowałem się tym przesadnie — odparł jej mąż. — Pamiętaj, że byłem wtedy w woju i do domu przyjeżdżałem co drugi weekend.

— Policja zaglądała pod każdy kamień, a ja myślałam, że jeśli będę dużo chodziła i się rozglądała, to może go znajdę. Miły chłopak to był, tak nawiasem mówiąc. Dobrze wychowany. — Patrizia się rozluźniła. — Robiłam tak przez całe lata.

Czyżby coś wiedziała? Była przecież wtedy dorosła, mogła dużo pamiętać. Ale to nie był jeszcze właściwy moment na zadawanie pytań. Patrizia wydawała się bardzo poruszona i rozbita. Trudno się było temu dziwić. Brutalna śmierć dwóch członków rodziny to przerażający scenariusz, niezależnie od tego, o kim mowa. Dwa morderstwa właściwie dzień po dniu, a dziś była na dodatek obecna przy znalezieniu ciała księdza.

Jakob mruknął coś ze współczuciem, próbując ukryć ziewnięcie.

— Może powinniście przyrzeć się tamtej sprawie. — Patrizia się nachyliła, sięgnęła po butelkę i nalała sobie i mężowi. Bodenstein

podziękował. — Przecież macie znacznie lepsze metody niż te, którymi wtedy posługiwała się policja.

— Nowe metody na niewiele się zdadzą, dopóki nie mamy miejsca zbrodni albo chociaż ciała. — Bodenstein pokręcił głową.

— A rodzice tego chłopca jeszcze żyją? — Patrizia nie zareagowała na jego słowa. Mówiła jakby pod przymusem. — Bardzo dobrze pamiętam jego matkę. Pracowała w sanatorium jako pomoc kuchenna. Była zawsze bardzo przyjazna i miła, ale niewiele mówiła. Potem nagle wyprowadzili się z Ruppertshain. Ale w każdą rocznicę zaginięcia wracali, stawali na przystanku przed starym ratuszem i trzymali plakat ze zdjęciem syna.

Zadrżała. Jednym haustem opróżniła kieliszek.

— Jak rodzic może coś takiego wytrzymać? — ciągnęła. — Jak można żyć, nie wiedząc, co się stało z własnym dzieckiem? Niczego gorszego nie potrafię sobie wyobrazić. Co wy mówicie rodzinie w takich sytuacjach?

— Niewiele da się wtedy powiedzieć — przyznał Bodenstein. — Zwłaszcza jeśli człowiek sam ma dzieci, wtedy cierpi się razem z takimi ludźmi. — Przypomniał sobie sprawę z Altenhain, kiedy po dziesięciu latach od zaginięcia odnaleziono niespodziewanie szczątki dwóch zaginionych dziewczynek. Rodzina jednej z nich w pewnym momencie zaczęła życie od nowa, a druga rozsypała się pod ciężarem tragedii i niepewności. — Potwornie jest widzieć, jak rodzice łapią się każdej nadziei i jak robią sobie wyrzuty, jak się obwiniają, a potem stopniowo tracą chęć do życia...

— Wielu umiera, nie wiedząc, co się stało z ich dziećmi — dokończył Jakob. Zamykały mu się oczy, choć walczył z działaniem alkoholu i sennością. — Jak ta dziewczynka w dziewięćdziesiątym szóstym w Kelkheim, która zniknęła sprzed sklepu zoologicznego. Jej matka umarła. Znałem ją. I tę dziewczynkę też.

Bodenstein wiedział, o jakiej sprawie mówił. Sprawa Anniki Seidel

należała do najbardziej tajemniczych, z jakimi się kiedykolwiek spotkał, a policja od osiemnastu lat nie mogła trafić na najmniejszy ślad. Minęła północ. Najwyższy czas wracać do siebie. Jakob usypiał. W pewnej chwili głowa opadła mu na bok i zaczął chrapać.

— Chyba lepiej już pójdę — zwrócił się Oliver do Patrizii i wstał z fotela.
— To był bardzo ciężki dzień dla nas wszystkich.

Kobieta również się podniosła. Zakołysała się niepewnie i uśmiechnęła zawstydzona.

— Trochę za dużo wypiałam, a za mało zjadłam.

Odprowadziła Bodensteina korytarzem do drzwi. Jakob chrapał tak głośno, że słycać go było nawet w sieni.

— Czekaaj, wyjdę z tobą i zapalę. — Patrizia zdjęła kurtkę z wieszaka w garderobie i otworzyła drzwi na zewnątrz. Pies natychmiast wykorzystał okazję, zerwał się z legowiska i wybiegł przodem.

W chłodnym jesiennym powietrzu Bodenstein odczuwał działanie alkoholu raczej w nogach i ramionach niż w głowie. Patrizia zapaliła papierosa. Zaciągnęła się kilka razy, po czym niespodziewanie wyciągnęła rękę i oparła dłoń na ramieniu Olivera.

— Dobrze znałeś moją siostrę — wyszeptała z naciskiem. — Potrafisz sobie wyobrazić, że miałyby zamordować jakiegoś dzieciaka? Przecież nie da się aż tak pomylić w ocenie kogoś, kogo zna się od zawsze.

— Ja też nie mogę w to uwierzyć — przyznał Bodenstein szczerze. — Ale niestety, nieraz spotykałem ludzi, po których nie spodziewałem się niczego złego.

— Dlaczego w ogóle wypuściliście Edgara? — Patrizia się rozejrzała, jakby się bała, że ktoś ich podsłuchuje. — Wielu tutaj uważa, że to on za tym wszystkim stoi. Nienawidził Clemensa jak mało kogo.

— Wzięliśmy go tylko na rozmowę, nie było mowy o zatrzymaniu

— poprawił ją Oliver. — Poza tym Edgar ma alibi.

Wieland powiedział, że Artur mógł spotkać kogoś w drodze powrotnej. Kogoś innego — przypomniał sobie. Czyżby mógł mieć rację?

— Boję się. — Patrizia cofnęła dłoń i oparła się o ścianę domu. Palce, między którymi trzymała papierosa, drżały mocno. — Najpierw moja siostra, potem siostrzeniec. A teraz jeszcze stary ksiądz! A jeśli my mamy być następni? Jakob albo ja? Albo nasi synowie? Ich rodziny? Jeśli to robota kogoś stąd? Kogoś, kogo się zna i codziennie spotyka?

— Jestem przekonany, że sprawcą jest miejscowy, ktoś, kto pochodzi z Ruppertshain, i niewykluczone, że wciąż tu mieszka. — Bodenstein potwierdził jej obawy.

— Boże drogi... — Patrizia zdeptała papierosa i kopnęła niedopałek do studzienki deszczowej. — Komu w takim razie w ogóle można ufać?

— Znacznie ważniejsze jest inne pytanie: co łączy sprawcę i jego ofiary — poprawił ją Oliver. — Staramy się ustalić, z kim stary Maurer rozmawiał od zeszłej niedzieli. Jeśli Rosie w czasie spowiedzi naprawdę zdradziła mu jakieś informacje na temat zaginięcia Artura, mogła niechcący spowodować, że ten poszedł do sprawcy namówić go, żeby się przyznał.

— Do sprawcy? — W oczach Patrizii pojawiło się przerażenie.

— Wydaje mi się, że to mogła być prawda i Rosie dobrze wiedziała, co się stało z Arturem — ciągnął Bodenstein. — Nigdy o tym nie mówiła, bo mogła kogoś chronić, a jednocześnie tak z tego powodu cierpiała, że chorowała na depresję.

— Ale... ale przecież ksiądz ciągle rozmawiał z ludźmi — wyjąkała Patrizia. — On nieustannie krążył po mieście, miał swoje stałe spotkania. Na przykład co tydzień odwiedzał moją teściową.

— Nie miałem na myśli regularnych spotkań. Tylko te nietypowe.

— W zasadzie mogłabym popytać — podsunęła kobieta z wahaniem.

— To mogłoby być bardzo pomocne. Tylko pamiętaj o ostrożności.
— Komórka Bodensteina już któryś raz zawibrowała, lecz on to zignorował.
— Wiedziałaś, że matka Artura rzuciła wtedy klątwę na Ruppertshain? Dowiedziałem się tego dopiero dzisiaj wieczorem od Anity.

Patrizia chciała zapalić kolejnego papierosa, jednak ręce drżały jej tak bardzo, że nie mogła utrzymać ciężkiej zapalniczki. Bodenstein wyjął ją spomiędzy jej palców i podał ogień.

— Tak — potwierdziła szeptem. — W czasie spotkania w gospodzie „Pod Zielonym Lasem”. Jednego z tych, które organizowała policja. To było... dziwne. Nieprzyjemne. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby tyle mówiła. Zawsze była bardzo cicha i przyjazna. Ale tam... o Boże! Jakby coś ją opętało! Nikt nie mógł jej mieć tego za złe. Biedactwo. Mimo że wykrzyczała bardzo złe rzeczy.

— Pamiętasz jeszcze, co wtedy powiedziała? — zapytał Bodenstein. Anita Kern zeznała właściwie to samo, co teraz Patrizia, ale upierała się, że już nie pamięta, czego dotyczyły słowa matki Artura.

— Krzyczała, że przeklina każdego, kto skrzywdził jej syna. — Patrizia zadrżała i się przeżegnała. — Choroba, nieszczęście i śmierć w męczarniach miały być karą dla tych, którzy wyrządzili mu krzywdę. Dla nich, dla ich rodzin, dzieci i wnuków, aż wymierzona zostanie sprawiedliwość. A potem... potem w każdej rodzinie ktoś umarł i pojawiły się choroby.

Co, biorąc pod uwagę czterdzieści dwa lata, jakie od tego czasu minęły, nie było niczym nadzwyczajnym — pomyślał Bodenstein. Nie wierzył w takie opowieści, lecz wiedział, jak przesądni potrafią być ludzie. Każdą śmierć, nawet jeśli nastąpiła z przyczyn naturalnych, dało się zinterpretować jako zły omen albo karę.

— Muszę już iść — powiedział. — Mam za sobą bardzo długi dzień.

— Długi i bardzo tragiczny. — Patrizia zaciągnęła się nerwowo

papierosem. — Mam nadzieję, że szybko go złapiecie. Żeby już nikt więcej nie musiał zginąć.

NIEDZIELA 12 PAŹDZIERNIKA 2014

Choć Bodenstein spodziewał się zobaczyć na liście nieodebranych połączeń nazwisko Pii, okazało się, że to nie ona, a ktoś dzwoniący z numeru stacjonarnego z kierunkowym z Kelkheim. Przez chwilę się zastanawiał, czy wypada o tej porze oddzwaniać, jednak potem dostrzegł, że po raz ostatni ten ktoś próbował się z nim połączyć czternaście minut przed północą. Ku jego zaskoczeniu Irene Vetter odebrała już po drugim sygnale, a po krótkiej rozmowie pojechał prosto do niej, bagatelizując alkohol. Okazało się bowiem, że Adalbert Maurer powiedział siostrze nieco więcej, niż ta poprzedniego dnia wyznała, kiedy z Pią starali się od niej czegoś dowiedzieć. Staruszek musiał bardzo długo ze sobą walczyć, zanim zdecydował się na drastyczny krok, jakim było złamanie tajemnicy spowiedzi i próba rozmowy z policjantem. A jednak Irene Vetter nie wiedziała, co jej brat chciał mu przekazać — najwyraźniej nie miał aż takiego zaufania do siostry, jeśli chodziło o dyskrecję.

Czy może jednak zamienił z Sophią kilka słów i poprosił ją, by mu coś przekazała? A jeśli morderca już wtedy śledził Maurera i trafił w ten sposób do jego domu?

Dotychczas Bodenstein w pełni kontrolował strach, który tlił się gdzieś w jego wnętrzu, lecz teraz, kiedy sobie to wszystko uświadomił, poczuł, jak zalewa go fala przerażenia. Czy ktoś wiedział, że Sophia jest u Lorenza? Kto? Inka? Może. On i Karoline też, lecz nikt poza nimi.

Jest bezpieczna — powtarzał sobie w myślach, lecz nie udało mu się uspokoić. To śledztwo było zupełnie inne od wcześniejszych, kiedy po prostu

ścigał mordercę. Tym razem był w to uwikłany. To dotyczyło go osobiście, więc zupełnie inaczej odbierał wszystko, co się działo. Człowiek, który nie cofnął się przed uduszeniem umierającej staruszki i starego duchownego, którego potem jeszcze powiesił, z całą pewnością nie będzie zaprzętał sobie głowy, czy siedmiolatka rzeczywiście może coś wiedzieć czy nie.

Zakopali wtedy tego dzieciaka w lesie. Te słowa przekazała mu Irene Vetter. Mimo ogólności przekazu, szczególnie biorąc pod uwagę fakt, jak wielki obszar dookoła Ruppertshain zajmowały lasy, była to pierwsza informacja dotycząca przestępstwa popełnionego czterdzieści dwa lata wcześniej. Przed domem staruszki stał zaparkowany radiowóz, bo Bodenstein nie chciał ryzykować, że stanie się ona kolejną ofiarą.

Noc była spokojna i sucha, autostrada pusta, więc dodał gazu. W ogóle nie zwracał uwagi na rozświetlone sylwetki wieżowców Frankfurtu, które przesuwały się za oknami po prawej stronie. Dwadzieścia pięć minut później dotarł do Gronau, do dzielnicy Bad Vilbel. Wysiadł, zawahał się, lecz po chwili i tak podszedł do głównej bramy i zadzwonił. Minęło kilka minut, zanim dostrzegł jakiegokolwiek oznaki życia w starym domu z muru pruskiego. Na pierwszym piętrze otworzyło się okno i dostrzegł głowę Lorenza.

— Kto tam? — zapytał chłopak zaspianym głosem.

— To ja, tata! — zawołał półgłosem.

— Czekaj, już schodzę.

Okno się zamknęło, za to kilka chwil później rozległo się skrzypnięcie drzwi frontowych. Słysząc było, jak chłopak idzie przez podwórze, zatrzymuje się przy pomalowanej na zielono bramie i majstruje przy zamku. Zaraz potem otworzyła się niewielka furtka z boku. On i Thordis kilka lat wcześniej kupili starą, mocno podupadłą stadninę i własnymi siłami ją remontowali. Jeszcze nie wszystko było skończone, lecz już teraz niewielkie gospodarstwo z domem, stodołą i stajniami wyglądało przecudnie. Lorenz zarzucił bluzę

polarową na T-shirt i bokserki. Był bosy, co nie zaskoczyło Olivera, bo jego syn od dziecka tak wolał chodzić. Razem ruszyli przez wybrukowany dziedziniec w stronę domu.

— Wybacz, że tak późno w nocy zrywam cię z łóżka — przeprosił Bodenstein. — Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale nie odbierałeś.

— Na noc zawsze wyłączam dźwięk w komórce. — Lorenz ziewnął szeroko i potarł oczy. — Dobra, co się stało?

— Cześć, teściu. — Schodami zeszła do nich Thordis. Synowa była równie zaspana jak jej mąż i równie niekompletnie odziana. Blond włosy, które od jakiegoś czasu układała w wygodnego boba, sterczały rozczochrane na wszystkie strony. Zatrzymała się na ostatnim stopniu, usiadła i objęła się ramionami.

Bodenstein nie wyjaśnił wcześniej Lorenzowi, dlaczego uznał za wskazane, by Sophia następnych kilka dni spędziła poza domem, ale też nie zamierzał tłumaczyć im wszystkiego tak po prostu, z zaskoczenia. Dlatego w kilku słowach naświetlił sytuację ostatnich dni i dodał, że musi szybko zamienić kilka słów z córką.

— No po prostu bosko. — Lorenz pokręcił głową. Był wyraźnie niezadowolony. — A jeśli ten morderca trafi też tutaj?

— Nikt nie wie, że Sophia jest u was. — Bodenstein próbował go uspokoić. — Ja też zresztą nie mam pewności, czy ona wie cokolwiek, co mogłoby mieć znaczenie dla śledztwa.

— Fantastycznie. — Lorenz potrząsnął głową. — Zaczynasz mi przypominać mamę. U niej też z początku wszystko wygląda niewinnie i spokojnie, a potem zawsze kończy się trzęsieniem ziemi. Niech to szlag, muszę się napić kawy.

— No właśnie. — Thordis posłała Bodensteinowi złośliwy uśmiech. — Powinieneś wiedzieć, że twój syn nie lubi atrakcji i niespodzianek.

— Doskonale go rozumiem. Ja też nie.

— Zauważyłam. Bez wątpienia ma to po tobie. — Wstała i wskazała na górę. — Mała jest w pokoju gościnnym. Znasz drogę.

— Tak, dzięki. — Bodenstein nie potrafił rozgryźć swojej synowej. Poznał ją mniej więcej dziesięć lat wcześniej w czasie jednego z dochodzeń i nie miał wówczas pojęcia, że Thordis jest córką Inki Hansen, a na dodatek dziewczyna mocno go kokietowała. Nieco później związała się z Lorenzem i stała się w ten sposób stałą bywalczynią w ich domu. Z początku Bodenstein niczego nie podejrzewał, aż do chwili, gdy Cosima otworzyła mu oczy i rozbawiona zwróciła jego uwagę na sposób, w jaki Thordis wodzi za nim wzrokiem. A później, w czasie sylwestra, jeszcze przed ślubem z Lorenzem, próbowała go pocałować. Od tamtego czasu czuł się w jej obecności nieswojo i zawsze starał się zachowywać bezpieczny dystans. Thordis nawet teraz nie dawała za wygraną i nie odsunęła się, żeby go przepuścić, tylko spojrzała mu wyzywająco w oczy.

— Mogę przejść? — zapytał Oliver chłodno. Dopiero wtedy się cofnęła, lecz i tak musnęła jego ramię.

Pokój gościnny znajdował się na końcu wąskiego korytarza. Sophia spała jak aniołek w otoczeniu całej armii pluszowych maskotek. Mrok rozpraszała mała lampka nocna, w słabym świetle której widać było porozrzucane ubrania i zabawki. Bodenstein usiadł na brzegu łóżka i pogłaskał córkę po ramieniu.

— Kochanie — szepnął. — To ja, tatuś.

Sophia przewróciła się na plecy.

— Nie teraz — wymamrotała. — Mam taki fajny sen.

— Zaraz będziesz mogła spać dalej. — Oliver się uśmiechnął i przesunął palcami po ciepłym policzku Sophii. — Muszę cię o coś zapytać.

— Hmm.

— Przedwczoraj wieczorem, kiedy oglądałaś telewizję, ktoś zadzwonił do

drzwi, prawda?

— No tak...

— To był ten stary ksiądz, którego znasz z kościoła i który czasem prowadzi lekcje religii w szkole?

— Uhm... — Sophia otworzyła najpierw jedno oko, a po chwili drugie. Wyglądała na bardzo zaspaną, miała rozczochrane włosy i rumianą od snu buzię.

— Rozmawiałaś z nim? — Bodenstein nie był zachwycony tym, że musiał obudzić córkę i zarzucić ją pytaniami.

— Może...

— Proszę, spróbuj sobie przypomnieć.

— A zrobiłam coś złego?

— Nie. Nie zrobiłaś nic złego. To po prostu dla mnie bardzo ważne. Muszę wiedzieć, co ksiądz ci powiedział.

— No więc on dzwonił i dzwonił. Nie mogłam przez niego oglądać bajki.

— Mała usilnie myślała, przypominając sobie tamten wieczór. — No i chciałam zobaczyć, kto to. Bo to mógł być pan kurier, prawda? On czasem też tak późno przywozi paczki.

— Tak jest. — Bodenstein potaknął i się uśmiechnął. — Wpuściłaś go do domu?

Dziewczynka odwróciła wzrok.

— Tak. Ale ja go przecież znam, a nie wolno wpuszczać tylko obcych, prawda? — Sama nie wierzyła w to, co mówi.

— Tak. Ksiądz Maurer to nie obcy.

— Bardzo chciał z tobą rozmawiać. Mówił, że to bardzo pilne. Powiedział, że poczeka na ciebie, ale ja chciałam obejrzeć do końca *Klub Przyjaciół Myszek Miki*. — Westchnęła ciężko. — Byłam niemą, tak?

— Nie, nie bardziej niż zwykle — pocieszył ją tata.

— Przepraszę go, kiedy znów go zobaczę — obiecała Sophia i ziewnęła. Oczka same jej się zamykały.

— Czy powiedział, co takiego chciał ze mną omówić?

— Nie — wymruczała Sophia. — Tylko że masz do niego zadzwonić.

Bodenstein popatrzył na córkę i się zamyślił.

— Nic więcej nie powiedział? Naprawdę?

— Nie. — Spojrzała mu prosto w oczy, lecz nagle odwróciła wzrok i spuściła głowę. — Ale chyba mógł coś napisać. Dla ciebie. Na karteczce.

— Karteczce? — Bodenstein poczuł, jak zalewa go fala gorąca. Z trudem się powstrzymał, żeby nie złapać córki za ramiona i nią nie potrząsnąć. — To gdzie teraz jest ta karteczka?

— Nie wiem.

— Jak to nie wiesz? Jak ona wyglądała? Proszę, kochanie, spróbuj sobie przypomnieć, to naprawdę bardzo ważne.

— No ale ja naprawdę już nie wiem. — Dziewczynka robiła, co mogła, żeby sobie przypomnieć, jednak cały czas unikała jego wzroku. — Pamiętam tylko, że była taka zielona. Oliwkowa.

— Oliwkowozielona?

— No właśnie. I jeszcze czerwona. I biała. Tak trochę.

Genialnie.

— Jesteś zły? Będę musiała zostać tu za karę?

— Nie, nie jestem zły na ciebie, kochanie. I to nie jest kara.

Zły? Nie. Rozczarowany? Tak. Gdyby cokolwiek przekazała Karoline albo jemu, stary ksiądz mógłby jeszcze żyć. Ale idiotyczna kreskówka była ważniejsza. W tej samej sekundzie uświadomił sobie, że dla niego film też był wówczas ważniejszy. Zrobiło mu się gorąco. Przecież to wszystko przez *Bonanzę*... Kolejny odcinek serialu kosztował życie Artura i Maxiego. Zawstydzony pomyślał, że nie ma prawa oceniać siedmioletniej córki.

— Tylko musisz zrozumieć, że to bardzo ważne, żeby zawsze mówić prawdę. — Pogłaskał ją po buzi i odsunął niesforny kosmyk z czoła. — Nawet jeśli zrobiło się coś złego. A gdy ktoś cię prosi, żebyś przekazała coś innej osobie, musisz to zrobić, bo ten ktoś ci ufa i liczy na ciebie. Rozumiesz?

Sophia potaknęła z powagą głową.

— Przepraszam.

— Nic się nie stało.

— Zostaniesz tutaj na noc, tato?

— Nie, niestety, muszę wracać. — Nachylił się i pocałował ją w mięciutki policzek. Natychmiast objęła go za szyję.

— Kocham cię, tatusiu.

— Ja ciebie też, słoneczko.

— Już dobrze. — Wzięła w ramiona ulubioną maskotkę, wytartego pluszowego słonia, którego dostała kiedyś od Pii i Christopha. — Tamo też cię kocha. Powiesz mu dobranoc?

— Dobranoc, kochanie. Dobranoc, Tamo — powiedział i wstał z łóżka. — Śpijcie dobrze.

Stał przez chwilę i się przyglądał, jak mała zamyka oczy, a jej oddech się wyrównuje. Już po chwili smacznie spała. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Wczoraj rano go okłamała, ot tak, bez wahania, nawet nie zadrżała jej powieka. Poza tym kłamała bardzo przekonująco. Kłamstwa człowiek uczy się od kołyski. Ba, to pewnie sprawa genów. Zaprzeczać, lawirować, spychać winę na innych — to instynktowna reakcja w nieprzyjemnych sytuacjach. Bodensteina ogarnął smutek, bo w pracy bezustannie był okłamywany. Nie mógł uwierzyć, jak wprawną kłamczuchą była jego córka — a miała zaledwie siedem lat. Kto był temu winien? Czy to on sprawił, że skłamała, aby uniknąć kary?

Deski podłogi skrzypiały pod jego stopami, kiedy szedł w stronę schodów.

Lorenz siedział przy kuchennym stole, Thordis opierała się o blat z kubkiem kawy w dłoniach. Bodenstein przesunął spojrzeniem po jej twarzy i po raz pierwszy dostrzegł gorzki grymas ust. Była trzecia w nocy, a o tej porze nawet młodzi ludzie nie byli w najlepszej formie, jednak czuł, że nie chodzi o godzinę, a jej mina dotyczy czegoś innego. Między nią a Lorenzem coś było nie tak, jednak uznał, że to nie jego sprawa.

— No i? — zapytał Lorenz. — Nocne przesłuchanie przyniosło zamierzone efekty?

— Może... — Bodenstein udał, że nie zauważył sarkazmu w jego głosie. Thordis uniosła dzbanek z kawą, jednak podziękował ruchem głowy.

— Muszę jechać dalej. — Chciał jak najszybciej stąd wyjść i wrócić do siebie. Jeśli będzie to konieczne, zamierzał przetrząsnąć cały dom, włącznie z koszem z makulaturą, śmieciami i kontenerem na dworze. Wiadomość nie mogła przecież wyparować. — Dziękuję, że zajęliście się Sophią. I bardzo przepraszam za najście o tak późnej porze.

MGŁA JESZCZE WISIAŁA nad polaną, kiedy Pia zaparkowała na szutrowym parkingu swój wóz terenowy obok samochodu służbowego Bodensteina. Otworzyła drzwi i wysiadła. Szef stał oparty o błotnik z ramionami założonymi na piersi i wpatrywał się gdzieś w dal, w ciemność za wilgotną łąką. Ku zaskoczeniu Pii był sam. Jego głos w wiadomości, którą nagrał na pocztce głosowej, był nagły, wręcz gorączkowy. Przyszło jej nawet do głowy, że chodzi o znalezienie kolejnego ciała.

— Cześć — powiedziała.

— Cześć — odparł Bodenstein. — Dzięki, że tak szybko przyjechałaś.

Był nieogolony i zmęczony, wyglądał, jakby tej nocy prawie w ogóle nie spał. Pia знаła go dobrze i wiedziała, że czasem nachodzą go fale melancholii, które zaczęły się pojawiać, kiedy jego małżeństwo przeżywało problemy. Oliver von Bodenstein nie należał do osób, które chętnie uzewnętrzniają swoje

uczucia. Prywatne troski starał się zachowywać tylko dla siebie. Ale czy tym razem na pewno o to chodziło? Nie sprawiał wrażenia osoby zdeprymowanej i pozbawionej chęci do życia. Wręcz przeciwnie, był spięty i bardzo uważny, jakby na coś czekał.

— Co się dzieje? — Pia wsunęła dłonie w kieszenie dżinsów. — Po co tu przyjechaliśmy?

Chłód porannej mgły przyprawiał ją o delikatne dreszcze. Oliver bez słowa podał jej ulotkę reklamową jakiejś pizzerii.

— Co to? — zapytała zaskoczona.

— Wiadomość od księdza Maurera. Zostawił ją dla mnie — wyjaśnił Bodenstein. — Nie było mnie w domu, więc przekazał ją Sophii.

— Wybacz, bez okularów tego nie przeczytam. — Pia poddała się po kilku próbach odcyfrowania niewyraźnego odręcznego pisma na marginesie karty menu.

— Napisał, że ciało Artura najprawdopodobniej zostało zakopane na naszym starym rodzinnym cmentarzu w lesie. — Bodenstein zacisnął usta i spojrzał na Pię. Przez ułamek sekundy pozwolił jej zajrzeć w głąb siebie. — Domyślałem się, że to właśnie Rosie wyznała księdzu, a on postanowił mi tę wiadomość zdradzić. Niestety Sophia zapomniała mi o niej powiedzieć.

— To skąd ją w ogóle masz?

— Wczoraj w nocy zadzwoniła do mnie Irene Vetter. Miała wyrzuty sumienia, bo przemilczała coś, i nie odpowiedziała, gdy o to pytaliśmy. Zaraz potem pojechałem do Lorenza i obudziłem Sophię. Przyznała, że Maurer był u nas w domu i zostawił dla mnie karteczkę. Kiedy wróciłem, przewróciłem wszystko do góry nogami, aż w makulaturze znalazłem tę ulotkę. Oliwkowozielona, z białym i czerwonym.

— Słucham?

— Sophia przypomniała sobie te kolory, kiedy ją zapytałem, jak wyglądała

karteczka z wiadomością.

— Świetny zmysł obserwacji. — Pia się uśmiechnęła, ale natychmiast spoważniała. — Co teraz?

— Umówiłem się z Wielandem i moim bratem — oznajmił Bodenstein. — Chcę wyjaśnić tę sprawę do samego końca. I chcę, żebyś przy tym była.

Pia nie odpowiedziała.

— Przeraza mnie myśl, że przez te wszystkie lata Artur był tutaj w pobliżu i że byli ludzie, którzy dobrze o tym wiedzieli — ciągnął Bodenstein po chwili milczenia. — Ludzie, których nie obchodziły uczucia jego rodziców i ich cierpienie. Muszę się dowiedzieć, czy to prawda czy nie.

— Rozumiem cię — zapewniła Pia, i rzeczywiście tak było, mimo jej wszystkich wątpliwości. Potrafiła sobie wyobrazić, co Oliver teraz czuje, i sam jego widok w takim stanie sprawiał jej ból. Życie z poczuciem winy mogło być prawdziwą torturą. Logicznie rzecz ujmując, Bodenstein nie miał żadnego powodu, by się o cokolwiek obwiniać. To jednak nie miało żadnego znaczenia, bo czuł się winny. Pia wiedziała, że powinien wyjaśnić tę sprawę, bo w przeciwnym razie nie będzie szczególnie pomocny w obecnym dochodzeniu, a bardzo go potrzebowała.

— Ta osoba, która zamordowała Rosie, Clemensa i księdza, zabiła wcześniej Artura. Wczoraj wieczorem spotkałem się z Wielandem na rozmowę. Mamy pewną hipotezę.

Bodenstein wydawał się całkowicie pewny, że Artur padł ofiarą morderstwa, choć jak dotąd nie było ku temu żadnych przesłanek ani dowodów. Pia słuchała i nie protestowała.

— Mów dalej — poprosiła.

— Kiedy Artur wracał wieczorem do domu, mógł natknąć się na chłopaków ze wsi. Doszło do jakiejś kłótni, sytuacja wymknęła się spod kontroli i coś poszło bardzo nie tak. Wiesz sama, jak to czasem szybko idzie. Edgar i Peter

szczerze go nienawidzili i jeśli chodzi o dokuczanie i nękanie, oni byli prowodyrami. Przyjmijmy, że Artur zginął przez przypadek, a sprawcą był Edgar. Pobiegł zaraz do domu i opowiedział o wszystkim rodzicom, a oni zatroszczyli się, żeby nikt nie znalazł zwłok. Rosie przez całe życie cierpiała na depresję, bo nie potrafiła poradzić sobie z poczuciem winy. Na łożu śmierci chciała zamknąć wszystkie niezamknięte sprawy, więc się wyspowiadała. Przy jej spotkaniu z księdzem był obecny Clemens. Dlatego on i ksiądz też wiedzieli. Może Maurer próbował przekonać mordercę i przemówić do jego sumienia, a ten go zabił, bo się bał, że tajemnica zostanie ujawniona?

— A kto, twoim zdaniem, mógłby być mordercą?

— Nie mam pojęcia. — Bodenstein wzruszył ramionami. — Może winna jest cała banda?

— I co, przez te wszystkie lata nikt by nie puścił pary z gęby?

— Ktoś przez cały czas wywierał presję i pilnował, żeby nikt niczego nie wygadał. No wiesz, jak z tym kotem, opowiadałem ci. W pewnej chwili tajemnica staje się czymś w rodzaju tabu, o którym nikt nie chce rozmawiać.

Pia przypomniała sobie słowa Olivera o tym, że dziecięce bandy funkcjonują w oparciu o strukturę podobną do mafijnej, lecz mimo to miała wątpliwości.

— Wiem, że podążanie za intuicją, wbrew wszystkiemu, jest niebezpieczne — powiedział w końcu. — Nie wolno lekceważyć faktów.

Pia potaknęła. Tego typu sentencje wygłaszał dość regularnie.

— Tylko że w tym przypadku wszystko do siebie pasuje! — zapewnił ją. — Zobacz: butle gazowe użyte przy podpaleniu przyczepy kempingowej pochodziły z zakładu Edgara. Szal znaleziony w pobliżu hospicjum też należał do niego.

Pia zaczęła analizować ten pomysł.

— No dobra, przyjmijmy, że masz rację — powiedziała. — Dlaczego miałby popełnić aż tak głupi błąd i użyć własnego szala, żeby udusić matkę? Poza tym musiałyby się domyślić, że się zorientujemy, skąd pochodziły butle.

Bodenstein zastanowił się chwilę.

— Działał pod ogromną presją. Rosie mógł zabić w afekcie. Kolejne morderstwa przygotował znacznie staranniej.

— Miał jedenaście lat, kiedy Artur zniknął — ciągnęła Pia. — Nawet jeśli to jego kryła matka, nie poniósłby żadnych konsekwencji, bo w momencie popełnienia zabronionego czynu był małoletni. No i nie, nie sądzę, żeby akurat on był naszym sprawcą.

— Koniecznie muszę przejrzeć akta z siedemdziesiątego drugiego — powiedział Bodenstein. — I to najlepiej jeszcze dzisiaj.

— Oliver, to nie najlepszy moment, naprawdę, brakuje nam... — zaczęła Pia, jednak przerwała, widząc minę Bodensteina.

— Proszę, pozwól mi sprawdzić ten ślad. Przeczucie mi mówi, że te sprawy są ze sobą mocno powiązane.

— Dotychczas to ja byłam tą osobą, która miewała przeczucia. — Pia uniosła brew i uśmiechnęła się słabo. Dziwnie się czuła ze świadomością, że Bodenstein zwraca się do niej z prośbą o pozwolenie. Przez chwilę miała wrażenie, że zamienili się rolami.

— Niech ci będzie. Dopilnuję, żebyś dostał te akta najszybciej, jak się da — poddała się.

— Dzięki. — Bodenstein się skrzywił, co miało zapewne oznaczać uśmiech, po czym skinął głową.

— Dobra, nie ma o czym mówić. — Nagle Pia poczuła tęsknotę za papierosami. Sięgnęła do kieszeni, żeby wyciągnąć paczkę, lecz przypomniała sobie, że już nie pali. — Ale nie zostawisz mnie na lodzie, prawda?

— Pewnie, że nie — zapewnił ją Bodenstein. — Kiedy skończymy dziś to,

co mamy do zrobienia, jestem w stu procentach do twojej dyspozycji. Słowo.

— To co powinnam teraz zrobić? — zapytała Pia. — Co ty byś zrobił na moim miejscu? — poprawiła się.

Bodenstein przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Pomyślała nawet, że nie usłyszał jej pytania.

— Prasa zawsze wyskakuje z jakimiś szalonymi spekulacjami — powiedział w końcu. — Długo nie da się ich zwodzić. Czy mogłabyś poprosić Kim, żeby przygotowała dla nas profil sprawcy? Taki, który moglibyśmy upublicznić?

— Oczywiście, na pewno się zgodzi. Obiecała mi wsparcie, jeśli będę jej potrzebowała. — Mimo brzemienia odpowiedzialności, którego ciężar był dla niej zupełnie nowy i jednocześnie przerażający, Pia poczuła nieznaczną ulgę. Bodenstein nie zostawi jej samej. — Nie wiem, czy odczytałeś moje wczorajsze wiadomości, ale zgłosiła się do nas matka dziewczyny Eliasa Lessinga. Wieczorem ma wpaść do nas z córką.

— Świetnie.

Usłyszeli zbliżające się auto. Bodenstein wyprostował się i spojrzał na zegarek. Chwilę później obok nich zatrzymał się zielony jeep leśnika Wielanda Kapteiny, a zaraz po nim na parking wjechał pick-up Quentina von Bodensteina. Ekipa poszukiwawcza była w komplecie. Punktualnie o szóstej rano ruszyli w stronę lasu.

PIA, WIELAND KAPTEINA, Oliver i jego brat Quentin objuczeni kilofami, łopatom i innymi narzędziami zmierzali w stronę starego rodzinnego cmentarza, na którym ostatni pogrzeb odbył się mniej więcej przed stu laty, kiedy pochowano tu krewnego rodziny von Bodenstein, poległego w czasie pierwszej wojny światowej. Niewielka kapliczka, która tam niegdyś stała, po wojnie została roszabrowana i rozebrana do samych fundamentów przez okolicznych mieszkańców poszukujących materiałów budowlanych, a cmentarz

utracił swoją funkcję. Miejsce to stało się ukrytą w chaszczach pamiątką po dawnych, ginących w mrokach przeszłości czasach i przodkach, którzy wiele lat temu odeszli.

Suczka wyżła weimarskiego Wielanda szła grzecznie obok swojego pana. Między grubymi pniami stuletnich dębów rosły młode drzewa i krzaki jeżyn, a nierówne, poznaczone ostrymi krzakami podłoże utrudniało poruszanie się. W słabym świetle poranka maszerowali przez budzący się do życia las. Szli w milczeniu, pełni wyczekiwania, jakby wybierali się na polowanie. Gruba warstwa liści jeszcze z zeszłych lat tłumiła ich kroki i tylko od czasu do czasu słychać było trzask jakiejś suchej gałązki, która pękała pod naciskiem buta. W powietrzu unosiła się charakterystyczna woń suszonych ziół, którymi pachną opadające dębowe liście jesienią. Wszystko to przypominało Bodensteinowi czas młodości.

Minęło wiele, wiele lat od czasu, kiedy po raz ostatni odwiedził rodzinny cmentarz. Ze zdziwieniem stwierdził, że ma do przejścia znacznie dłuższą drogę, niż zachował w pamięci — co więcej, cały czas szli pod górkę. Wprawdzie lasy Taunusu trudno porównywać z dżunglami Ameryki Południowej czy dziewiczymi lasami Gór Skalistych, lecz wystarczą, by pomylić drogę i stracić orientację w terenie, dlatego bez Wielanda znalezienie starego cmentarza byłoby zdecydowanie trudniejsze.

— No, jesteśmy na miejscu! — oznajmił leśnik półgłosem. — Tam, na górze, za dużym rododendronem.

Między dwiema kamiennymi kolumnami porośniętymi mchem i oplecionymi dzikimi pnączami wisiała krzywo stara, zardzewiała brama dwuskrzydłowa w misternie wykute wzory. Reszta płotu, który niegdyś otaczał teren całego cmentarza, została zdemontowana i rozkradziona.

— Tu, z przodu, stała kiedyś kaplica. — Wieland wskazał na miejsce nieco powyżej. Las zdążył już odzyskać nad nim władanie. — Zostały tylko

fundamenty. Dokładnie tędy prowadziła dróżka. Dawniej była wysypana tłuźniem i ubita.

Pierwotnie stała tutaj kapliczka maryjna wzniesiona w szesnastym wieku przez właściciela okolicznych ziem, hrabiego von Stolberg-Königstein. Postawiona na szczycie wzniesienia górowała nad okolicą i w każde święto maryjne odprawiane były tu msze. Cmentarz został założony znacznie później przez jednego z hrabiów von Bodenstein i funkcjonował od połowy dziewiętnastego wieku do 1916 roku. W tym czasie dziewięćcioro członków rodziny von Bodenstein znalazło na nim miejsce spoczynku.

Brama z kutego żelaza i zawiasy były do tego stopnia skorodowane, że nie dało się ich ruszyć, więc obeszli ją bokiem, torując sobie drogę przez potężne rododendrony. Bodenstein poczuł, że serce bije mu szybciej, kiedy zobaczył pochylone, zaniedbane kamienne groby i porośnięte mchem płyty nagrobne. Prowadzone aktualnie dochodzenie zmuszało go do powrotu do przeszłości, o której nie chciał pamiętać.

— Zawsze najbardziej lubiłem ten nagrobek z aniołem — powiedział Quentin. — Miał w sobie jakąś taką tęsknotę.

Bodenstein przesunął wzrokiem po dziewięciu mogiłach. Krzywe nagrobki, płyty przykryte opadłymi liśćmi, pnącza... Zatrzymał się na marmurowym aniele, który zamyślony spoglądał gdzieś w dal. Sto lat zimowych mrozów i letnich upałów złagodziło rysy jego twarzy i obłupało nos...

Czy to w ogóle możliwe? Czy istniało prawdopodobieństwo, że tutaj, na zapomnianym leśnym cmentarzu znajdą rozwiązanie tajemnicy, która kładła się cieniem na jego duszy? Czy ktoś przywiózł ciało Artura w bagażniku samochodu aż pod samą bramę cmentarza? Czy może raczej, sapiąc z wysiłku, maszerował przez las, niosąc martwego chłopca w ramionach, jak ojciec z wiersza *Król olch*? Musiał być zdenerwowany, zaślepiony paniką i przerażony, że ktoś może go zobaczyć. Na pewno nie miał czasu na

obmyślanie strategii i staranne planowanie. Musiał pozbyć się ciała i to tak szybko, jak to tylko możliwe. Czy to Rosie podpowiedziała, gdzie może ukryć zwłoki? Może nawet przy tym była... Przez krótką chwilę się wahał, czy rzeczywiście powinien szukać szczątków przyjaciela pod pochylonymi nagrobkami. Paraliżował go strach, że rozczaruje się kobietą, którą przez całe życie znał i szanował. Czy Rosie była w stanie zrobić coś tak niepojętego, a potem przez ponad czterdzieści lat milczeć i ukrywać prawdę? Chwila zwątpienia minęła równie szybko, jak się pojawiła. Musiał zyskać pewność, niezależnie od tego, co miało się zaraz okazać.

— Gdzie zaczynamy? — Quentin wbił kilof w miękką ziemię.

— Najpierw spróbujmy wczuć się w sprawcę — powiedział Bodenstein zamyślony. — W bardzo krótkim czasie musiał podjąć sporo ważnych decyzji. Naszym zadaniem jest teraz odtworzyć jego tok myślenia.

— Spieszyło mu się, ale nie działał nieprzemyślenie — zauważyła Pia.
— W przeciwnym razie porzuciłby ciało gdziekolwiek.

— Przede wszystkim nie mamy pewności, że cokolwiek tu znajdziemy — przypomniał im Quentin, praktyczny z natury brat Olivera. — Jak dotąd to tylko przypuszczenia.

— Czekajcie, pomyślmy, zanim zabierzemy się do otwierania jednego grobu po drugim — poprosił Bodenstein, a jego brat mlasnął niecierpliwie językiem.
— Na pewno nie wybrał pierwszego grobu, na który trafił. To byłby objaw paniki. Niewykluczone, że rzeczywiście ją odczuwał, ale na pewno tego nie okazywał. Nie w obecności kobiety.

— Może to Rosie zdecydowała, który grób wybrać — podsunął Wieland, a Bodenstein potaknął. Tak, oczywiście, to musiał być jej pomysł! Nawet jeśli zdecydowała się zatuszować morderstwo popełnione przez syna, jako matka na pewno by się nie zgodziła, aby tamto dziecko zostało pochowane w sposób niegodny. Leśny cmentarz musiał być jej pomysłem. Ktoś inny porzuciłby

zwłoki gdzieś w krzakach, czy wrzucił do stawu. I wtedy do niego dotarło, gdzie powinni szukać.

— To grób z aniołem — powiedział zdecydowanym tonem.

— Obyś się nie mylił, braciszku. — Quentin skinął głową, z bocznej kieszeni spodni roboczych wyjął spory sekator i zabrał się za oczyszczanie grobu z pnączy. Po kilku minutach cały nagrobek został odsłonięty, a mężczyzna sięgnął po kilof.

— Czekaj! — Bodenstein powstrzymał brata. Przykucnął przy grobie i opuszkami palców zaczął badać brzeg płyty i jej obramowania. Obie części, porośnięte mchem i przybrudzone ziemią, zostały wykonane z grubo ciosanego kwarcytu z lokalnego kamieniołomu. Nagle Oliver von Bodenstein znieruchomiał.

— Tutaj! Coś tutaj jest! Kamień jest wyszczerbiony, czuć to pod palcami! — powiedział głosem zachrypniętym z napięcia. — Muszę dokładnie obejrzeć to miejsce, dajcie mi coś do oczyszczenia go.

Wieland podał mu szpachelkę i szczotkę drucianą pomógł usuwać porosty i brud z kamienia. Ciężka płyta leżała na równie grubo ciosanym obramowaniu wystającym z ziemi na najwyżej dziesięć centymetrów. Po prawej stronie widać było wyraźne ślady świadczące o manipulacji przy nagrobku. Bodenstein starannie obfotografował to miejsce telefonem komórkowym, po czym odsunął się i zrobił miejsce bratu. Quentin wsunął ostrze kilofa w przerwę między płytą a obramowaniem, lecz kamienny nagrobek był tak ciężki, że miał trudności, by go unieść. Przez dłuższą chwilę pracowali z Wielandem w milczeniu, od czasu do czasu jedynie przeklinając pod nosem. W końcu płyta drgnęła. Bodenstein przyszedł im z pomocą i razem odsunęli ją na bok. Nieprzyzwyczajone do dziennego światła stonogi rozpięzły się, szukając schronienia przed słońcem. Wszyscy mieli wrażenie, że nagle zapanowała martwa cisza, jakby nawet las wstrzymał oddech.

— Nigdy bym nie pomyślał... — wyszeptał w końcu Quentin.

— Boże... — jęknął Wieland i się przeżegnał.

Bodenstein westchnął głęboko. Jasne, delikatne kości wyraźnie kontrastowały z ciemną ziemią. Ogarnęła go ulga zmieszana z poczuciem grozy i głębokiego smutku. Po czterdziestu dwóch latach tkanki miękkie uległy rozkładowi, lecz szkielet zdawał się na pierwszy rzut oka kompletny. W tej samej chwili słońce przebiło się przez mgłę i złote promienie rozpałyły refleksami jesienny las, zmieniając zamglone, mroczne drzewa w dzieło sztuki malowane światłem i cieniem. Coś połyskiwało między kośćmi. Nie zwracając uwagi na spodnie, Bodenstein uklęknął na wilgotnej ziemi. Łzy napłynęły mu do oczu, bo rozpoznał błyszczący przedmiot. Wieland również go zauważył.

— No i? Jak myślicie, to on? — zapytał Quentin.

— Tak, to Artur — potwierdził Bodenstein zduszonym głosem.
— Znaleźliśmy go... po tych wszystkich latach go znaleźliśmy.

— Skąd wiesz, że to na pewno on? — zdziwiła się Pia.

— Widzisz tam? Ten zegarek z Myszka Miki? — odpowiedział Wieland. — Dostał go na jedenaste urodziny. Był z niego strasznie dumny. Nigdy go nie zdejmował.

Bodenstein klęczał przed grobem, wsparty na kamiennym obramowaniu. To nie był pierwszy ludzki szkielet, jaki widział. Za dużo kości — pomyślał. Jednym uchem słuchał, jak Pia odchodzi na bok i dzwoni do kolejnych osób; najpierw wezwała na miejsce techników, a potem byłego męża, który jako antropolog sądowy był najwłaściwszym człowiekiem do takiego zadania. Wieland podszedł do Quentina i o czymś rozmawiali. Wtedy Bodenstein coś zobaczył: czarny pasek z małym zardzewiałym zapięciem między delikatnymi poszarzałymi kośćmi. Przez chwilę się bał, że pęknie mu serce. Dłonie mu drżały, kiedy sięgnął po podłużną, zwierzęcą czaszkę o wielkich, głębokich

oczodołach i oczyścił ją palcami z ziemi.

— Wieland — powiedział półgłosem.

— Tak? — Leśnik przykucnął obok.

— Jak myślisz, co to jest? — wyszeptał.

— To... to jest czaszka lisa — odparł Wieland powoli. Starzy przyjaciele popatrzyli na siebie.

— Myślisz... że to... — zaczął leśnik, ale zamilkł.

— To tutaj to resztki obroży — wychrypiał Oliver. — Znaleźliśmy nie tylko Artura.

Maxi. Przeszył go ostry, gwałtowny ból i otworzył w jego piersi ranę, która przez te wszystkie lata nigdy się nie zagoiła. To było najstraszniejsze doświadczenie jego młodego życia. Strach i troskę starał się wówczas dusić i skrywać w sobie — nigdy z nikim o tym nie rozmawiał. Bo nie potrafiłby tego znieść. I też dlatego, że nikt by nie zrozumiał, jak mógł mocniej opłakiwać odejście zwierzęcia niż człowieka.

OBUDZIŁ JĄ sygnał telefonu, który leżał na stoliku nocnym obok łóżka. Przez szpary w okiennicach do pokoju przesączało się mleczne światło poranka i rysowało poziome kreski na zakurzonej drewnianej podłodze. Felicitas jęknęła. W ustach miała nieprzyjemny posmak i dudniło jej w głowie. Znowu to zrobiła. Nie pamiętała, jak poprzedniego wieczoru dostała się schodami na piętro, do swojego pokoju, lecz jakoś musiała sobie poradzić, skoro leżała w łóżku. Za to na pewno nie wystarczyło jej przytomności, by się rozebrać, bo spała w ubraniu. Wspomnienia wracały kawałek po kawałeczku. Land rover nie chciał odpalić. Jakaś postać wynurzająca się z ciemności. Strzał. Ona strzelała!

— O cholera... — burknęła Felicitas i przewróciła się na bok.

Podyktowała rudowłosej Pauline swój numer, żeby dała znać, jak jej poszło na policji i u Nike. Felicitas po omacku odszukała okulary, wsunęła je na nos

i sięgnęła po telefon. Potem wprowadziła kod, by go odblokować. Wiadomość, która ją obudziła, nie była od Pauline. Jakaś reklama. Dostała też mejl z banku. W miarę jak go czytała, robiło jej się coraz bardziej niedobrze. Wcześniej, kiedy jeszcze świetnie zarabiała i miała męża — doradcę biznesowego — opiekun klienta w jej banku co roku przysyłał na święta szampana i kosz ze smakołykami. Wczoraj ten sam człowiek poinformował ją krótką, suchą wiadomością, że jej konto zostało zablokowane ze względu na przekroczenie dopuszczalnego salda.

Felicitas zdjęła okulary i wbiła wzrok w sufit. Na tyle, na ile pozwalał jej alkohol krążący jeszcze w żyłach, zaczęła robić podsumowanie. A więc tak się czuje człowiek, który nie ma przed sobą perspektyw. Nie ma rodziny. Mieszkania. Pracy ani pieniędzy. Tutaj była niechcianym, ale tolerowanym gościem. Wiedziała jednak, że to się skończy i stąd też będzie musiała odejść. Tym bardziej po tym, jak jej szwagier nazwał ją pijawką. Życie, jakie znała i jakie polubiła, należało do przeszłości i nigdy już nie miało powrócić. W redakcjach prasowych i w środowisku ludzi kultury i sztuki również była spalona; narobiła sobie zbyt wielu wrogów, żeby mogła liczyć na jakiegokolwiek wsparcie i pomoc z tej strony. Przyjaciół nie miała żadnych.

Odsunęła kołdrę, wygramoliła się z łóżka i poczłapała do drzwi. Zamknięte! Dopiero wtedy przypomniała sobie, że sama przekreśliła klucz w zamku, bo nie ufała Eliasowi, który opętany myślą o kontakcie z Nike mógł wejść i niepostrzeżenie skorzystać z jej telefonu. Pistolet i przenośną słuchawkę telefonu stacjonarnego również zabezpieczyła, biorąc ze sobą na noc. Otworzyła drzwi, boso ruszyła do łazienki i usiadła ciężko na klozecie. Nikogo nie mogła obwiniać za sytuację, w jakiej się znalazła. Sama była sobie winna — ona i jej głupota. Ponury mejl z banku odebrał jej resztki optymizmu i energii, jakie jeszcze w sobie miała. Jej i tylko jej wina. Może najlepszym rozwiązaniem byłoby to wszystko zakończyć...

Zaskrzypiały drewniane schody, a potem na korytarzu rozległy się czyjeś kroki, coraz bliżej łazienki.

— Elias? — zapytała głośno. Zapomniała zamknąć za sobą na klucz drzwi do pokoju, ale też nie spodziewała się, że chłopak tak szybko wstanie. Nagle usłyszała szcęk zamka.

— Hej! — krzyknęła wściekle, podtarła się spieszenie i podciągnęła majtki.

Szarpnęła za klamkę. Zamknął ją od zewnątrz! Nie, przecież to nie mogła być prawda!

— Elias! — wrzasnęła, trzęsąc się ze złości. — Natychmiast otwieraj! Co to ma znaczyć?

— Przepraszam, naprawdę przepraszam — usłyszała jego przytłumiony głos. — Wypuszczę cię. Ale potem.

Z niedowierzaniem słuchała, jak jego kroki oddalają się od łazienki. Rzuciła się na drzwi, zaczęła walić w nie pięściami i krzyczeć. Po chwili się opanowała. Co za śmieć! A ona naprawdę chciała mu zaufać! Musiał czaić się na schodach i czekać, aż wyjdzie z pokoju. Wykorzystał okazję, żeby ukraść jej komórkę. Od początku o to mu chodziło: o jej cholerną komórkę i tę przeklętą Nike! Felicitas osunęła się na klapę sedesu i zaczęła szlochać.

MGŁA OPADŁA i październik ukazał swoje najpiękniejsze oblicze. Niebo nad lasami w kolorach jesieni było bezchmurne i precudnie błękitne.

Na parking przy łące wjechała Kim, zaparkowała samochód, wysiadła i ruszyła przez trawę w stronę Pii. Policjantka na wszelki wypadek już wcześniej poleciła odgrodzić biało-czerwonymi taśmami część łąki od strony lasu i rozstawić kilku funkcjonariuszy prewencji. Urocza dolina poprzecinana ścieżkami wśród pól i łąk ciągnęła się od majątku rodziny von Bodenstein aż do Ruppertshain i była jednym z ulubionych celów weekendowych wycieczek całych rodzin, biegaczy i rowerzystów. Pia się spodziewała, że w tak piękny dzień lada chwila zrobi się tu tłoczno. Mimo bardzo wczesnej godziny już

teraz przy taśmach stanęło kilku zaciekawionych gapiów. Lada chwila wieść o tajemniczej akcji policji rozejdzie się po okolicy. Piętnaście minut wcześniej, minutę po Henningu, na miejsce przybył Christian Kröger ze swoją ekipą i razem z antropologiem ruszył, żeby obudzić pogrążony w kilkudziesięcioletnim śnie stary cmentarz. Jedenaście do pięciu, nie omieszkał zauważyć Henning, zanim zabrali się do pracy.

Od kiedy Kim i Nicola Engel zostały parą, siostra Pii zaczęła wybierać modniejsze ubrania. Dziś miała na sobie ciemnobłękitne dżinsy z wyraźnym białym przeszyciem, wysokie kozaki i krwistoczerwony płaszczyk za pupę. Już jako dziecko Pia zazdrościła siostrze jej smukłej figury, idealnie gładkiej skóry i urody. Jej samej nigdy szczególnie nie zależało, żeby podobać się innym, ale może tylko dlatego, że i tak nie widziała dla siebie szans, bo patrząc na wysoką i szczupłą Kim, czuła się przy niej jak pulpet. Miała wrażenie, że w żaden sposób nie może się z nią równać, a rodzina tylko pogłębiała w niej poczucie niesprawiedliwości: wszystkie ciotki i obie babki krytykowały ją bezustannie i stawiały Kim za przykład. Jedynie ojciec starał się ją pocieszać. Tłumaczył, że to dziecięce krągłości, które szybko znikną, a ona wyrośnie na piękną kobietę. A poza tym mężczyźni wolą kobiety z krągłościami od kościstych wieszaków.

— Dzięki, że przyjechałaś. — Pia przywitała siostrę, która mimo wczesnej pory wyglądała na wypoczętą.

— Nie ma o czym mówić. — Kim schyliła się i przeszła pod taśmą. — Co się stało?

— Rzeczywiście znaleźliśmy szkielet — wyjaśniła Pia. — Oliver jest przekonany, że to szczątki tego chłopaka.

Idąc przez las w stronę cmentarza, Pia zapoznała Kim z najnowszymi ustaleniami śledztwa. Sama przestała wykluczać wersję Bodensteina i dopuszczała myśl, że ma rację, natomiast cały czas nie uważała, aby to Edgar

Herold był poszukiwanym sprawcą.

Kiedy dotarły do cmentarza, Bodenstein siedział na kamieniu przed zardzewiałą bramą z twarzą ukrytą w dłoniach i łokciami wspartymi na kolanach. Obok niego stali Quentin i Wieland Kapteina, którzy w milczeniu przyglądali się pracy techników i medyka sądowego. Oliver uniósł głowę, kiedy Pia przysiadła obok. Jego twarz wyrażała wyczerpanie i smutek, wyglądała tak, jakby w ciągu jednego dnia postarzał się o lata. Mimo to widać było, że nie zamierza się poddawać. Nabrał głęboko powietrza, wstrzymał je na chwilę i głośno wypuścił.

— Cieszę się, że w końcu mamy pewność — powiedział. Głos mu drżał, więc ze złością potrząsnął głową. — Daję słowo, że dopadnę tego, kto to zrobił, i postawię przed sądem.

— Dopadniemy. Razem go znajdziemy — poprawiła go Pia. — Jeśli jeszcze żyje.

— Żyje. Wiem, że żyje. — Wstał z kamienia i ruszył w stronę cmentarza, a Pia i Kim, brodząc po kolana w paprociach, podążyły za nim.

Jeden z ludzi Krögera przygotowywał dokumentację fotograficzną miejsca odnalezienia szkieletu. W ciszy lasu migawka aparatu brzmiała jak wystrzał. Dwóch innych techników, już w jednorazowych kombinezonach ochronnych, rozpościęrało nad starą mogiłą siatkę z cienkich nitek. Kamienna płyta została wcześniej całkiem odsunięta na bok. Asystent Henninga, student antropologii sądowej, pracował w skupieniu, oczyszczając kości małym pędzelkiem. Niedaleko leżały sita, którymi na koniec miała zostać przesiana ziemia z miejsca, w którym leżały ludzkie szczątki.

Pia zajrzała do otwartego grobu. Na widok szkieletu poczuła ciarki na plecach. Brązowawo zabarwiona czaszka. Dolna żuchwa z zębami. Łopatki. Obojczyki. Mostek. Żebra. Kręgosłup. Kości ramion. Nadgarstki. Zegarek, o którym mówił Wieland. Przełknęła głośno ślinę. Widok dziecka, które padło

ofiara przestępstwa, nieodmiennie sprawiał, że traciła wewnętrzny spokój i opanowanie. Nawet w sytuacjach takich jak ta, kiedy śmierć nastąpiła wiele lat wcześniej. I jak za każdym razem, kiedy widziała ludzkie szczątki, zadawała sobie pytanie, co się stało z życiem, które niegdyś wypełniało tego człowieka. Co się działo z ponoć nieśmiertelną duszą, kiedy ktoś wydawał ostatnie tchnienie?

— Miał dopiero jedenaście lat — odezwał się Bodenstein głuchym głosem. — Dziś Artur miałby pięćdziesiąt cztery lata, byłby moim rówieśnikiem. To był niewinny, pełen życia chłopak. Całe życie stało przed nim otworem, aż ktoś stanął na jego drodze i odebrał mu szansę, by mógł dorosnąć.

Henning Kirchhoff wyprostował się i spojrzał na policjanta.

— Skończyłeś już z przemowami pogrzebowymi? — zaatakował go nieprzyjemnym tonem. — Słuchaj, rozumiem, że ta sprawa jakoś tam ciebie też dotyka, ale musimy się skupić na pracy, a twoje sentymentalne wynurzenia nie ułatwiają nam zadania.

W każdej innej sytuacji Bodenstein z wrodzonym opanowaniem i dystansem zbywał Henninga, kiedy ten manifestował swój brak empatii i cynizm. Tym razem jednak zareagował bardzo emocjonalnie.

— Najwyraźniej niewiele z tego wszystkiego zrozumiałeś, Henning — powiedział tak ostro, że medyk sądowy znieruchomiał. — Ta sprawa nie dotyka mnie jakoś tam. Chłopak, którego kości leżą w tym grobie, był moim najlepszym przyjacielem. Czterdzieści dwa lata temu nagle zaginął, a ja byłem ostatnią osobą, która widziała go żywego. Dlatego traktuję tę sprawę w najwyższym stopniu osobiście. Czy teraz to dla ciebie jasne?

Pia знаła swojego byłego męża jak mało kto, więc przestraszona wstrzymała oddech. Wszyscy obecni zamarli, spodziewając się gwałtownej reakcji, lecz na wszelki wypadek każdy udawał, że nic nie słyszał i tylko Kröger spoglądał na nich z rozbawieniem. Pia obawiała się, że Henning ciśnie

narzędzia i odjedzie obrażony, bo zawsze wolał się wycofać, niż naprawić błąd. Tym razem bardzo ją zaskoczył.

— Wybacz — powiedział i dotknął ramienia Bodensteina. — Czasem zachowuję się jak skończony dupek.

Oliver nieznacznym skinieniem głowy przyjął przeprosiny.

— Masz już dla nas jakieś wiadomości? — zapytała Pia.

— Coś tam już mogę powiedzieć, tak. — Henning poczuł się nieswojo, więc uciekł w profesjonalizm. — Pod płytą nagrobną było około pięćdziesięciu centymetrów przestrzeni, która powstała w wyniku zapadnięcia trumny zakopanej poniżej około sto lat temu. Sprawca nie zasypał umieszczonych tu zwłok ziemią, dzięki czemu miało do nich dostęp powietrze. Proces rozkładu postępował bardzo szybko, jednak masywna kamienna płyta chroniła szczątki przed wpływem pogody i dzikimi zwierzętami. Dzięki temu można wyjść z założenia, że szkielet został odnaleziony dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej wówczas zostało złożone tu ciało. Co ciekawe, zwłoki nie zostały wrzucone do grobu byle jak. Chłopak leżał na plecach, z rękoma złożonymi na brzuchu, o czym świadczy pozycja kątowna kości ramion i nadgarstków.

— A szkielet lisa? — zapytała Pia.

— Mógł trafić do grobu w tym samym czasie — powiedział Henning.

— Wygląda na to, że chłopak został pochowany, a nie po prostu podrzucony — zastanawiała się głośno Pia. — Grób. Anioł. Złożone ręce.

— Można przyjąć hipotezę o emocjonalnym zadośćuczynieniu — odezwała się Kim. — W terminologii FBI funkcjonuje termin *undoing*, który dość dokładnie opisuje to, z czym mamy do czynienia. Widać, że niezależnie od wszystkiego, sprawca żałował tego, co się stało.

Czy to potwierdzało udział Rosie Herold jako sprawczyni albo przynajmniej osoby zaangażowanej w ukrycie zwłok?

— Wiadomo, jak zginął? — zapytała Pia.

— Nie, na pierwszy rzut oka nie jestem w stanie tego określić — odparł Henning. — Czaszka wygląda na nienaruszoną, ale muszę jej się dokładniej przyjrzeć. Kości są w zaskakująco dobrym stanie, jak na taki długi czas.

— W co był ubrany?

— Zapięcie i nity pozwalają założyć, że miał na sobie dzinsy. Bawełna rozkłada się niestety bardzo szybko, wystarczy jej pięć lat. Sztuczne tkaniny wytrzymują nieco dłużej, ale po czterdziestu dwóch latach też niewiele z nich zostało.

— To oznacza, że można wykluczyć przestępstwo na tle seksualnym? — chciała wiedzieć Pia, za co Henning zganił ją spojrzeniem.

— Nie zadawaj mi takich pytań — odparł. — To wy jesteście od wyciągania wniosków. Ja jestem od ustalania faktów.

— A JA PRZEZ TE WSZYSTKIE LATA nieustannie zadawałam sobie pytanie, co też mogło się stać z Arturem. — Hrabina Leonora von Bodenstein była głęboko poruszona wiadomością przyniesioną przez synów. — Mój Boże! Nie dałabym wiary, gdyby ktoś mi powiedział, że został zamordowany, a jego ciało ukryte akurat na naszym cmentarzu!

Siedzieli przy wytartym dębowym stole w domu w majątku rodu von Bodenstein i pili piekielnie mocną kawę przygotowaną przez Quentina. Jedynie Oliver stał nieco dalej i wyglądał przez okno.

— Aż trudno w to uwierzyć. — Ojciec Bodensteina był równie wstrząśnięty. — Jesteście pewni, że te kości to rzeczywiście szczątki tego dzieciaka? Może po prostu jakieś zwierzę tam wlaźło i zdechło.

— Jeśli zwierzęta noszą zegarki z Myszka Miki, dzinsy i pasek, to może. W przeciwnym wypadku wykluczone. — Quentin niegrzecznie uciął spekulacje.

— Żeby mieć pewność, musimy jeszcze poczekać na wyniki badania

w Instytucie Medycyny Sądowej — do rozmowy włączył się Oliver. Znał wybuchową naturę młodszego brata i chciał załagodzić sytuację. — Jednak ja nie mam żadnych wątpliwości, że znaleźliśmy dzisiaj szczątki Artura.

— I Maxiego — dodał Quentin i upił łyk kawy. — Chociaż prawdę mówiąc, cały czas się zastanawiam, jak kości tego zwierzaka trafiły do grobu.

— Maxiego? — Staruszka zamarła i niespodziewanie opuściła dłoń, którą sięgała po filiżankę. — Tego małego liska, którego wykarmiłeś butelką?

Pia spojrzała szybko na szefa. Oliver zacisnął zęby tak mocno, że zadrżała mu szczęka. Dopiero wtedy zrozumiała, że nie chodzi tylko o znalezienie szczątków Artura.

— Prawdopodobnie — przyznał niechętnie.

— Może tamtego wieczoru z przyzwyczajenia ruszył za Arturem — zastanawiał się Wieland. — Przecież wszędzie z nami chodził.

— Zechciałby mi ktoś wyjaśnić, o co chodzi z tym lisem? — zainteresowała się Kim. Wszyscy spojrzeli wyczekująco na Bodensteina, lecz on dalej z ponurą miną wyglądał przez okno, zaciskał usta i milczał. Mechanizm starego zegara stojącego zaszumiał i rozległo się dziewięć gongów.

— Rok wcześniej znalazłem w lesie trzy osieroczone liski — wyjaśnił hrabia von Bodenstein po chwili milczenia. — Dwa były zbyt słabe i szybko zdechły, ale trzeciego udało się Oliverowi uratować i wykarmić butelką. Zakładaliśmy, że gdy będzie samodzielny, zostanie wypuszczony do lasu, ale, jak się okazało, nie mogło być o tym mowy.

— Ten maluch zachowywał się jak psiak — przypomniała sobie hrabina. — Wylegiwał się z naszymi psami przed kominkiem i jadł razem z nimi z miski.

— Maxi stał się lokalną atrakcją. — Wieland zamyślony popijał kawę. — Nie odstępował nas nawet na krok; gdzie byśmy nie poszli, trzymał się tuż obok, a kiedy pływaliliśmy w stawie przeciwpożarowym, wskakiwał z nami do wody. No i potrafił nawet aportować.

— Wszyscy w okolicy go znali — potwierdził starszy pan. — Kilka razy odwiedzili nas nawet dziennikarze, by o nim napisać. Mam jeszcze gdzieś schowane wycinki z gazet.

— Spał u ciebie w łóżku — przypomniała sobie hrabina, spojrzała na najstarszego syna i się roześmiała. — Mimo że kategorycznie zabroniłam ci brać go do siebie.

— Dzieciaki czasem wyprowadzały go na spacer na smyczy. — Hrabia von Bodenstein patrzył na Pię i Kim. — Nie podobało mi się, że chodzi w obroży, ale...

— Którędy prowadziła droga na cmentarz? — Bodenstein przerwał bezceremonialnie ojcu. — Dało się wtedy podjechać autem pod samą bramę?

— Tak, oczywiście. — Staruszek potaknął, mimo że początkowo się zirytował. — Tak w ogóle, to wcześniej dało się tam dojechać na dwa sposoby. Jedna droga prowadziła stąd aż na cmentarz, a druga oddzielała się od leśnej drogi, którą się dojeżdżało do B455. Ale że już dawno nie ma kaplicy, a cmentarz został de facto zlikwidowany, ta droga zdążyła zarosnąć.

— Jak to wyglądało w siedemdziesiątym drugim?

Rodzice Olivera wymienili szybkie spojrzenia.

— Wówczas była na pewno przejezdna — stwierdził staruszek. — Wystąpiliśmy z wnioskiem o wpisanie cmentarza na listę zabytków i objęcie go ochroną, ale zanim to zrobiliśmy, zleciliśmy odnowienie grobów, bo do tej decyzji konieczna była opinia komisji do spraw ochrony zabytków. Leonora, pamiętasz jeszcze, kiedy to dokładnie było?

— W czerwcu siedemdziesiątego drugiego — odparła matka Bodensteina bez chwili wahania. — Doskonale zapamiętałam, jaką wtedy poczułam ulgę, bo dokładnie w tym samym dniu, w którym na cmentarzu pojawił się rzeczoznawca, policja ujęła Ulrike Meinhof.

Nawet Oliver pamiętał to wydarzenie, choć jak przez mgłę. Przybrana matka

najsłynniejszej terrorystki mieszkała w Eppenhain, więc całymi miesiącami w okolicach tej wsi w lasach roiło się od policjantów z oddziałów specjalnych. Wszyscy mieli nadzieję, że Ulrike Meinhof będzie chciała zobaczyć swoje bliźniaczki, które przebywały czasowo u jej przybranej matki. Jednak się nie pojawiła, aż w końcu piętnastego czerwca 1972 została zatrzymana w okolicach Hanoweru.

— Naprawdę dopuszczasz myśl, że Rosie mogła mieć z tym coś wspólnego?

— Hrabina von Bodenstein spojrzała na syna. — Niezależnie od tego, jak bardzo się staram, po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, by nasza Rosie zrobiła jakiemuś dziecku krzywdę.

— A jak ona miałaby sama podnieść nocą ciężką płytę z tego grobu? — Ojciec Bodensteina również był pełen sceptycyzmu.

— Nie była tam sama — odparł policjant zdecydowanie. — Jestem przekonany, że Rosie jedynie towarzyszyła mordercy Artura. Prawdopodobnie to ona wpadła na pomysł, by ukryć jego zwłoki na leśnym cmentarzu.

— Na tak porośniętej mchem płycie zaraz byłoby widać ślady, że ktoś ją podważał i podnosił — rzucił Quentin.

— Niekoniecznie. Przecież wtedy wszystkie groby były zupełnie czyste — zaooponowała hrabina. — Mówiłam już, że wyczyściliśmy wszystkie, żeby rzeczoznawca mógł przygotować opinię.

— A po tym, jak nasz wniosek został odrzucony przez konserwatora zabytków, daliśmy spokój i nikt już o niego nie dbał — dokończył Heinrich von Bodenstein. — Ja po raz ostatni byłem tam pewnie z dziesięć lat temu.

— Czy Rosie wiedziała o waszym wniosku w sprawie cmentarza? — Oliver spojrzał na matkę.

— Tak, myślę, że wiedziała — odparła starsza kobieta z wahaniem. — Jej mąż naprawiał ogrodzenie, a jeden ze starszych braci, który był kamieniarzem, robił nagrobki.

Bodenstein spojrział na Wielanda, lecz ten tylko uniósł brwi. To, co właśnie usłyszeli, oznaczało, że rodzice Edgara dobrze wiedzieli, jak wygląda cmentarz i co się tam dzieje. Zapewne zdawali sobie również sprawę, że kiedy wniosek von Bodensteinów o wpisanie cmentarza na listę zabytków zostanie odrzucony, pies z kulawą nogą się nim nie zainteresuje.

— Czy to nie jest trochę dziwne, że w czasie śledztwa w sprawie zaginięcia Artura policja nie sprawdziła dokładnie cmentarza? — Quentin wstał i odstawił filiżankę do zlewu.

— Poszukiwania skupiały się na terenach dookoła Ruppertshain, czyli tych miejscach, gdzie bawiły się dzieci — przypomniał mu ojciec. — Tymczasem cmentarz leży po przeciwnej stronie majątku, w zasadzie już na terenie Fischbach.

— Pamiętam, że wtedy policja rozmawiała z każdym mieszkańcem Ruppertshain — dodała hrabina. — Nawet z pacjentami i personelem sanatorium. A potem wydarzyła się ta straszna historia z Leonem. To syn Annemie Keller, znasz ją chyba, synku?

— Tak, znam — potwierdził Bodenstein. — Leona też oczywiście znam. Był nawet trenerem piłki nożnej w lokalnym klubie sportowym.

Pia skojarzyła nazwisko i przypomniała sobie, że rozmawiała już z kimś takim.

— Zaraz, chodzi o Leona Kellera? Tego, który od czasu do czasu pracuje dla Edgara? — zapytała. — Tego, który dał mu alibi na czwartek wieczór?

— Tego samego — potwierdził Bodenstein.

— Nie rozumiem, na mnie zrobił wrażenie raczej niedorozwiniętego.

— Nie zawsze tak było. Leo pracował w sklepie mięsnym u Hartmanna jako uczeń. To był naprawdę bardzo miły chłopiec. — Matka Olivera westchnęła ciężko. — Nie pamiętam wprawdzie dokładnie, co się stało, jednak policja zaczęła go podejrzewać, a w jego chatce, w której czasami nocował,

znaleziono części garderoby Artura.

— Tylko że dopiero po wszystkim — zaprotestował staruszek.

— Po czym wszystkim? — zapytał jego syn.

— Z jakiegoś powodu policja chciała się z nim rozmówić, lecz zanim doszło do takiej rozmowy, skorzystał z aparatu ubojowego i w masarni strzelił sobie z niego w głowę. Przez całe miesiące leżał nieprzytomny, a kiedy się obudził, nie był już sobą. Dziś pracuje dla miasta w służbach komunalnych. Od tamtego wypadku jest... inny.

— Nie miałem o tym pojęcia. — Bodenstein nerwowo przesunął dłonią po czole. — Całe życie myślałem, że to był tylko wypadek.

Quentin i Wieland byli równie zaskoczeni.

— Bo taką wersję opowiadało się dzieciom — przyznała hrabina. — Wszyscy byli wstrząśnięci, kiedy się okazało, że Leo gustował w młodych chłopcach. W końcu był trenerem młodzieżowej drużyny piłkarskiej i ludzie powierzali mu swoje dzieci.

— Przecież to jest kompletna bzdura! — Bodenstein z niedowierzaniem potrząsnął głową i zaczął chodzić po kuchni. — Często odwiedzaliśmy Leona w jego chatce, i to jak często! Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek zachował się wobec nas nieprzyzwoicie. Chyba już najwyższy czas zapoznać się z aktami tamtego śledztwa. Musimy wiedzieć, co ustalono.

— Policja i mieszkańcy potraktowali jego próbę samobójczą jako przyznanie się do winy. Wszyscy podejrzewali, że coś temu chłopakowi zrobił — wyjaśniła hrabina ze smutkiem. — Jego rodzice po tym wszystkim znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji. Z dnia na dzień stracili klientów. Musieli zamknąć sklep, w końcu ojciec wpadł w alkoholizm. Straszna tragedia, straszna.

— Niejedna w związku z tą sprawą — zauważyła Pia. — Dlaczego rodzice Leona zostali w Ruppertshain? Przecież mogli się gdzieś przeprowadzić, gdzie

nikt ich nie znał.

— Chcieli się stąd wyprowadzić. — Matka Bodensteina odpowiedziała twierdząco. — Próbowali sprzedać dom i sklep przy Wiesenstrasse, ale nie znalazł się żaden kupiec. Chcieli sprzedać kilka akrów łąki, ale też nie pojawił się nikt, kto chciałby to kupić. Dlatego nie mieli wyjścia i musieli tu zostać.

— Straszne! — Pia była szczerze wstrząśnięta. — Jak człowiek w ogóle może wytrzymać takie pomówienia?

Ojciec Olivera odchrząknął.

— Koniec końców, policja nie znalazła potwierdzenia tych podejrzeń — powiedział. — Jednak po zakończeniu śledztwa ludzie i tak nie przestali wierzyć, że Leo wykorzystał tego chłopaka, zamordował i ukrył gdzieś ciało.

— Skoro byli przekonani, że jest winien, dlaczego nikt nie próbował wymierzyć mu sprawiedliwości? — zainteresowała się Pia.

W kuchni zapanowała nienaturalna cisza. Bodenstein stał nieruchomo i wpatrywał się w rodziców, oczekując jakiejś odpowiedzi, jednak ani jego ojciec, ani matka nie odważyli się jej udzielić.

— Bo w gruncie rzeczy nikogo to nie obeszło. — Głos Olivera drżał od powstrzymywanej z trudem złości. — Przecież zaginał jakiś nielubiany chłopaczek z Rosji, a nie ktoś miejscowy. Dlatego.

BODENSTEIN I WIELAND KAPTEINA stali pod rozłożystym kasztanowcem, którego liście w mocnym jesiennym słońcu połyskiwały niczym czyste złoto. Po chwili z domu rodziców Olivera wyszła Pia, a za nią Kim i Quentin. Niebo było czyste, w powietrzu unosiły się pajęczyny, a przy stajniach na tyłach zabudowań panował spory ruch. Grupa młodych kobiet przygotowywała się do przejażdżki w terenie, czyściła i siodłała konie. Niezależnie od wszystkiego, życie toczyło się dalej.

Wieland się pożegnał i ruszył w stronę samochodu. Po chwili brat Olivera również zostawił ich samych i poszedł do stajni.

— Chcesz porozmawiać z Leonem Kellerem? — zapytała Pia.

— Nie. — Bodenstein potrząsnął głową. — W każdym razie jeszcze nie. Najpierw musimy się dowiedzieć, co mu wtedy zarzucano. Jeśli go teraz zatrzymamy, w jednej chwili wszyscy będą o tym wiedzieć, ktoś przypomni sobie tamtą historię i może się zacząć polowanie na czarownice. Nie możemy do tego dopuścić.

— Zakładasz, całkowicie teoretycznie, że rzeczywiście mógł być sprawcą? — zapytała Kim.

— Teoretycznie tak, pewnie. — Bodenstein ruszył, a Pia i Kim razem z nim. — W siedemdziesiątym drugim miał dwadzieścia lat, a Artur go dobrze znał. Tylko jaki mógłby mieć powód, żeby zabijać jedenastolatka?

— Może to był wypadek? — zasugerowała Pia.

— W takim razie co miałyby z tym wspólnego Rosie? — Bodenstein nie był przekonany.

— Załóżmy, że mieli romans, on i Rosie — rozważała Pia. — Jeśli chodzi o wiek, Leo Keller może być ojcem Sonji Schreck, wszystko by się zgadzało, a DNA dałoby jednoznaczną odpowiedź.

— Hm.

— Gdzie znajdowała się ta chatka Leona? — zapytała Pia.

— Kawaleczek poniżej miejsca, gdzie dzisiaj stoi Schönwiesenhalle — odparł Oliver.

— Artur wyszedł od was około wpół do siódmej wieczorem — zastanawiała się Pia. — Nie nadłożyłby dużo drogi, gdyby chciał wpaść do Leona i przywitać się z nim. Głupia sprawa, bo Leo akurat spotykał się tam z mężatką i Artur nakrył ich *in flagranti*. Zabili go, żeby ich nie zdradził.

— Z Wielandem rozważaliśmy już taką możliwość — przyznał Bodenstein. — Jednak doszliśmy do wniosku, że w sierpniu o tej porze jest zupełnie jasno i żaden z nas nie jest sobie w stanie wyobrazić, żeby Rosie ryzykowała

schadzkę z kochankiem jeszcze za dnia. No dobrze, ale przyjmijmy, że masz rację i że Artur zaskoczył Rosie i Leona w niedwuznaczonej sytuacji: kto w takim razie zamordował Clemensa, Rosie i Maurera? Leo na pewno by sobie z tym nie poradził.

Szli drogą w górę, w stronę parkingu, gdzie zostawili swoje samochody. Nagle Pia przypomniała sobie o zdjęciach, które Tarik znalazł w komputerze Clemensa Herolda.

— Oliver, właśnie, koniecznie musisz przyjrzeć się kilku zdjęciom — przerwała siostrze, która mówiła o możliwej współpracy ze specjalistami z Centrum Operacyjno-Analitycznego Krajowej Policji Śledczej w celu przygotowania profilu psychologicznego sprawcy.

— O jakich zdjęciach mówisz? — Bodenstein się zatrzymał i popatrzył na nią zdziwiony.

— Clemens Herold pracował nie nad kroniką rodziny, ale nad kroniką całej miejscowości, przy czym szczególnie interesował się różnymi przestępstwami — odparła Pia. — Zgromadził i skatalogował setki starych zdjęć. Nam nic nie mówią twarze uwiecznionych na nich ludzi, ale ty pewnie rozpoznasz kilka osób.

— Oczekujesz, że czegoś się z nich dowiemy? — zapytał Bodenstein.

Wąską uliczką prowadzącą do restauracji pałacowej i stajni zbliżały się dwa samochody. Zeszli na bok, żeby je przepuścić.

— Myślę, że możesz mieć rację ze swoją teorią na temat tych morderstw. — Pia nie należała do ludzi, którym z trudem przychodzi przyznać się do błędu. — Jeszcze wczoraj uważałam, że wiązanie naszych trzech ofiar ze sprawą zaginionego kilkadziesiąt lat temu chłopaka to absurd, ale dziś patrzę na to zupełnie inaczej. Na pewno to trop, którego nie wolno nam ignorować.

Bodenstein popatrzył jej w oczy. Pia była bardzo poruszona, kiedy dostrzegła, że szef jest bliski łez. Już wcześniej zwróciła uwagę na to, jak

Oliver reagował na każdą wzmiankę o lisie, choć na co dzień bardzo starannie ukrywał swoje uczucia.

— Zaraz podjadę na komisariat i spojrzę na te zdjęcia — powiedział zachrypniętym głosem, odwrócił się i ruszył w stronę parkingu.

WSZYSTKO ZNIKNĘŁO: portmonetka z całą gotówką, jaką dysponowała, bezużyteczne już karty płatnicze i kredytowe, prawo jazdy, dowód osobisty i dowód rejestracyjny jej porsche boxstera, który w rzeczywistości od dawna już do niej nie należał. Oczywiście ten niewdzięczny ćpun ukradł również jej telefon i komputer, a co gorsza, pistolet jej szwagra i samochód siostry. Felicitas siedziała załamana na brzegu łóżka i po raz drugi czytała list, który Elias zostawił jej na poduszce.

Słowo, że bardzo mi przykro, że Cię zamknąłem. Muszę porozmawiać z Nike, koniecznie. Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz. Pożyczam Twój telefon i komputer, ale spokojnie, potem Ci oddam. Nie leć z tym na psiarnię! Potem Ci wszystko wytłumaczę. Nie martw się o psy, wzięłem je ze sobą. Samochód też oddam. Okazało się, że brakowało po prostu paliwa. Pa! J

Czuła, że cała się trzęsie. Wypełniało ją rozczarowanie i wzburzenie. Uśmiech, który umieścił na końcu, wyglądał tak, jakby chciał z niej zakpić. Felicitas ssła opuszek palca wskazującego. W czasie akcji uwalniania się z pozbawionej okna łazienki boleśnie ułamała sobie paznokiec. Elias miał gdzieś, co się z nią stanie! Myślał tylko o sobie! Jak mogła być tak głupia, żeby mu zaufać? Tak, naprawdę było jej go żal i chciała obdarzyć go matczynym uczuciem. Tego śmiecia! W głębi duszy podobało jej się, że mogła się nim zajmować i go pocieszać. Tymczasem on tylko czekał na odpowiedni moment, żeby ją przechytryć i okraść, jak każdy ćpun. O nie, dość już wyrozumiałości. Pójdzie na policję i zgłosi kradzież.

Tylko co potem? Pięćdziesięciokilkuletnia bezrobotna. Nie znajdzie już pracy, która odpowiadałaby jej umiejętnościom i ambicjom. Na sprzątaczkę

czy kasjerkę zupełnie się nie nadawała. Miała puste konto i windykatrzy deptali jej po piętach. Ludzie, których niegdyś uważała za przyjaciół, odwrócili się od niej, bo zbyt często się na nich wyżywała. Jej rodzice nie żyli, a siostra, która z czysto egoistycznych pobudek zapewniła jej na jakiś czas dach nad głową, bawiła akurat po drugiej stronie kuli ziemskiej. Nikt jej nie potrzebował, nikt za nią nie tęsknił i nikt na nią nie czekał.

Co by zyskała, idąc na policję i zgłaszając, że została okradziona przez Eliasa? Gdzie miałaby potem pójść? Nie miała już na nic ochoty i sił. Złość, która napędzała ją przez całe życie, wypaliła się i zgasła. Podjęła już decyzję, bo nie potrafiła żyć w ubóstwie jak pustelnica.

PIA CAŁKOWICIE zapomniała o dziewczynie Eliasa Lessinga i jej matce, dlatego zdenerwowała się, kiedy dyżurny poinformował ją zza biurka przy słuzie bezpieczeństwa, że na korytarzu przed jej biurem czeka na nią jakaś pani Haverland z córką.

— Tylko tego mi brakowało! — jęknęła. Burczało jej w żołądku, bo nie zdążyła zjeść śniadania, no a teraz na posiłek przyjdzie jej jeszcze poczekać. Biegła schodami na górę, pokonując po dwa stopnie naraz, aż na pierwszym piętrze omal nie zderzyła się z Tarikiem. Policjant równie szybko zbiegał na parter, z telefonem przyciśniętym ramieniem do ucha.

— Hej! — przywitała się zaskoczona. — Co tu dzisiaj robisz?

— Kai zadzwonił, żebym przyjechał. — Pospiesznie wsunął telefon do tylnej kieszeni spodni. — Znaleźliście szkielet tego chłopca, prawda?

— Na to wygląda. — Pia przyjrzała mu się uważnie. — Co się dzieje?

— Nic. A o co chodzi? — odpowiedział i niewinnie zatrzepotał rękami.

— Jeśli masz czas, możesz się przyłączyć. Idę porozmawiać z dziewczyną Eliasa Lessinga.

— Pewnie. Chętnie.

Pia kontynuowała wspinaczkę schodami, a Tarik szedł za nią. W końcu

dotarła na swoje piętro i otworzyła ciężkie drzwi przeciwpożarowe.

— Jeśli dziewczyna się zablokuje i będzie milczeć, mógłbyś użyć swojego czaru. Tę pannę od dzikich kotów w try miga owinąłeś sobie wokół palca.

Młody policjant w jednej chwili oblał się szkarłatem, a ona z zainteresowaniem obserwowała przemianę na jego twarzy. Czyżby miało się okazać, że to nie on olśnił tę rudą badaczkę, lecz sam padł ofiarą jej czaru?

— Przy okazji, masz od niej jakieś wieści? — zapytała.

— Eee... nie. W zasadzie nie.

— W zasadzie? Czyli?

— No w zasadzie, bo ona mi jedynie... — Tarik zamilkł, bo wyszli akurat zza narożnika na korytarz, przy którym znajdowały się biura wydziału K11. Pani Haverland i jej córka wstały z zielonych plastikowych krzesełek, które wyglądały na wyjątkowo niewygodne i w rzeczywistości takie były. Na ich twarzach malował się niepokój zmieszany z niezdrową fascynacją. Pia wiele razy miała okazję zauważyć, że większość osób, które po raz pierwszy mają do czynienia z policją kryminalną, tak reaguje na spotkanie ze śledczymi.

— Dziękuję, że się pani do nas odezwała i przyjechała tutaj — powiedziała Pia po tym, jak przedstawiła siebie i Tarika. — Bardzo mi przykro, że musiała pani czekać.

— Ach, to żaden problem. Cieszę się, że znalazła pani dla nas czas. — Bianca Haverland, czterdzieści kilka lat, szczupła, ze starannie ułożonymi włosami, ubrana drogo, lecz z dyskretną elegancją, podobnie jak pani Lessing idealnie odpowiadała typowi kobiet, które dawny współpracownik Pii Frank Behnke nazywał sarkastycznie *crème de la crème à la Taunus*. Jedyne, czego brakowało do kompletu, to ów typowy, pełen wyższości sposób, w jaki kobiety z tych sfer kładły na stół wizytówkę swego męża — szefa zarządu banku, adwokata czy doradcy biznesowego — razem z kluczami do samochodu z logo jednej z najdroższych marek. Pani Haverland była bardzo

poruszona i zatroskana, a Pia domyślała się, o co może jej chodzić. Narkoman z długą kartoteką policyjną i wyrokiem nie był wymarzonym zięciem dla żadnej matki, a taka perspektywa mogła niejedną kobietą przyprawić o bezsenność.

— Cześć, Nike. — Pia uśmiechnęła się i podała dziewczynie dłoń. Nike miała ciemnokasztanowe oczy matki, jej wydatne kości policzkowe i gęste błyszczące włosy. Błada dziecięca twarz bez śladu makijażu zdawała się składać jedynie z przestraszonych, podkrążonych fioletem oczu. Była drobna i delikatna, w zasadzie bardzo krucha i bardzo... w ciąży.

— Dzień dobry — wyszeptała.

Pia otworzyła drzwi do biura, wprowadziła obie kobiety do środka i gestem wskazała im krzesła dla interesantów. Tarik stanął z boku, a ona zajęła miejsce za swoim biurkiem, wyjęła z szuflady dyktafon i poprosiła o zgodę na nagrywanie rozmowy, a kiedy nie zgłosiły sprzeciwu, uruchomiła urządzenie, podała datę i godzinę spotkania oraz nazwiska osób, które biorą w nim udział.

— Z tego, co dotychczas udało nam się ustalić — zwróciła się do Nike — jest pani związana z Eliasem Lessingiem. Jeśli jest pani z nim zaręczona, nie musi pani odpowiadać na żadne pytania...

— Nasza córka nie ma z tym chłopcem nic wspólnego — przerwała pani Haverland zdecydowanie. — Jesteśmy z mężem przekonani, że wykorzystał przewagę fizyczną nad naszą córką albo odurzył ją narkotykami. Rozważamy złożenie doniesienia na policję. Proszę pamiętać, że Nike nie jest jeszcze pełnoletnia.

Gestem właścicielki położyła córce dłoń na ramieniu, na co dziewczyna skrzywiła się niechętnie i strząsnęła ją szybko. Pia przyjrzała się im uważnie i zamyśliła. Czyżby Nike była dzieckiem, które wbrew staraniom rodziców, ba, im na złość, wybrało sobie inne życie niż to, które dla niej przewidzieli? Potrafiła sobie wyobrazić, jak musiała wyglądać codzienność tej dziewczyny:

wszystko według planu, perfekcyjna organizacja, i tak od rana do wieczora. Rodzice z całą pewnością dysponowali ogromnymi pieniędzmi, które szczerze inwestowali w jej wolny czas, planowanie przyszłości i wykształcenie. Tylko czy przyszło im kiedyś do głowy, by zapytać ją o zdanie?

— Nie mieliśmy pojęcia, że nasza córka spotyka się z tym... chłopakiem — tłumaczyła pani Haverland. — Do dzisiaj nie raczyła nam wyjawić, gdzie się w ogóle poznali i jak... jak doszło do tego — dokończyła, robiąc pełen żalu i wyrzutów gest w stronę brzucha córki. — Potrafi chyba sobie pani wyobrazić, jaki szok przeżyliśmy, kiedy się dowiedzieliśmy o... o jej odmiennym stanie. Nike ma dopiero siedemnaście lat. To wywraca jej życie do góry nogami. Może pani będzie w stanie przemówić jej do rozsądku.

Bianca Haverland mówiła o córce, jakby jej nie było w pokoju. Pia pojęła, jaką presję wywiera na Nike. Dziewczyna miała oczy opuchnięte od płaczu i paznokcie obgryzione do samej skóry.

— Żebyśmy miały jasność — powiedziała Pia. — Nike nie jest o nic oskarżona ani podejrzewana, a spotykamy się jedynie w celu rozmowy ze świadkiem. Nikt nie będzie robił nikomu wyrzutów, a sposób, w jaki pani wychowuje dziecko, to, szczerze mówiąc, również nie moja sprawa. — Przeniosła wzrok na dziewczynę. — Nike, czy rozumie pani, czego dotyczy nasze spotkanie?

Nastolatka potaknęła słabo, jednak unikała kontaktu wzrokowego.

— Czy jest pani zaręczona albo spokrewniona z Eliaszem Lessingiem?

Przeczący ruch głową.

— W takim razie nie przysługuje pani prawo do odmowy odpowiedzi, co więcej, musi pani mówić prawdę.

Nike znów potaknęła.

— Poszukujemy Eliasa, gdyż zabezpieczyliśmy jego odciski palców

w pobliżu miejsca zbrodni. To oczywiście jeszcze nie oznacza, że Elias jest winny lub współwinny jej popełnienia. Poszukujemy go w charakterze świadka — tłumaczyła Pia miękkim głosem. — Chcielibyśmy wiedzieć, kiedy widziała go pani po raz ostatni i kiedy ostatnio rozmawialiście.

Brak reakcji dziewczyny. Za to jej matka zareagowała za nie obie. Taka rozmowa nie miała sensu. Pia też kiedyś miała siedemnaście lat i wiedziała, że Nike się nie odezwie, dopóki matka będzie się przysłuchiwać i komentować każde jej słowo.

— Chciałabym porozmawiać z Nike na osobności — oznajmiła. — Gdyby zechciała pani poczekać na korytarzu.

— Wykluczone! — oburzyła się pani Haverland. — Nasza córka jest niepełnoletnia i ma prawo...

— Mamo, proszę! — przerwała jej Nike, lecz nawet wtedy nie spojrzała w jej stronę. — Nie jestem już dzieckiem.

— Albo będzie pani zadawała pytania w mojej obecności, albo w ogóle — upierała się matka i, nie zważając na protesty córki, położyła jej dłoń na ramieniu. Dziewczyna spięła się natychmiast, lecz ona tego nie zauważyła.

Pia zaczęła współczuć nastolatce. Z całą pewnością trudno było przeciwstawić się matce, która tak bardzo chciała wszystko kontrolować, bo przecież pragnęła tylko dobra córki i tego, by zapewnić jej jak najlepszą przyszłość. Niestety, rodzice czasem zapominają, że dzieci to nie pionki na szachownicy, tylko samodzielne osoby, które mają swoje zdanie i nie chcą, by ktoś, nawet rodzice, nimi komenderował. Elias miał podobny problem w domu, jego matka sama to przecież powiedziała.

W końcu pani Haverland dała się przekonać i wyszła z pokoju, by poczekać na korytarzu.

— Mogę mówić do ciebie po imieniu? — zapytała Pia, kiedy za matką dziewczyny zamknęły się drzwi.

— Pewnie.

— Chcesz się czegoś napić?

— Nie, dziękuję. — Dziewczyna skrzywiła się lekko. — Od razu musiałabym lecieć do toalety.

— Ile ci zostało?

— Dwa tygodnie. — Nike podłożyła dłonie pod brzuch. Na jej ustach pojawił się na chwilę uśmiech, ale równie szybko zniknął. — Rodzice się uparli, że zaraz po porodzie powinnam oddać dziecko do adopcji. Mam zrobić maturę i wyjechać na studia do Ameryki. Z dzieckiem to oczywiście bardzo trudne. Rodzice nie cierpią, kiedy coś idzie niezgodnie z ich planem. Dali mi arest domowy, sprawdzają mi telefon... totalnie im odbiło.

W jej głosie pojawiło się zgorzknienie.

— A ty? Czego ty chcesz? — zapytała Pia.

— Ja? Sama nie wiem... — Nike po raz pierwszy uniosła głowę i spojrzała policjantce w oczy.

— Chodzisz do szkoły?

— Tak. — Nike uniosła brodę, a w jej tonie pojawiła się nutka pogardy. — W końcu musieli się poddać. Pewnie myśleli, że mogą coś sobie zrobić. Rodziców tak naprawdę wcale nie interesuje, co ze mną będzie, tylko co ludzie pomyślą. Pozory! Za wszelką cenę trzeba zachowywać pozory!

Prychnęła lekceważąco.

— Gdzie poznaliście się z Eliasem? — dopytywała się policjantka.

— W takim jednym klubie, we Frankfurcie — odpowiedziała Nike. — Rok temu. Albo jakoś tak. Pojechałam tam w tajemnicy, z kilkoma kumpelami. Rodzice nigdy by mi na to nie pozwolili. To było... nie z tej ziemi. No wie pani... miłość od pierwszego wejrzenia.

Uśmiechnęła się niepewnie, lecz w jej oczach pojawił się błysk.

— Eli był... nie wiem... ale poczuł to samo. — Wzruszyła ramionami, a jej

głos stał się mocniejszy. — Jego rodzice też byli tacy jak moi. Wszystko mu zaplanowali i ustalili, nie pytając go o zdanie. Trzeba być najlepszym, trzeba się rozwijać, mieć ambicje, odnosić sukcesy... inaczej tylko narzekają. Jego ojciec jest jeszcze gorszy od moich starych. W końcu Elias miał tego dość.

— Powiem szczerze, że trochę rozumiem obawy twoich rodziców — przerwała jej Pia. — Elias wielokrotnie wchodził w konflikt z prawem i ma na koncie wyroki. Jest kryminalistą i narkomanem.

— Tak, wiem! On... to tak się po prostu stało... — Nike miała zaczerwienione policzki. — Ale chce skończyć z narkotykami. I na pewno sobie poradzi. Wiem to.

— Hm. — Pia przyjrzała się uważnie młodej kobiecie, która siedziała naprzeciwko: naiwnej dziewczynie z dobrego domu, trzymanej pod kloszem, która nie miała najmniejszego pojęcia, jakiej biedy napytał siebie Elias. Czy Nike w ogóle mogła zrozumieć, czym jest uzależnienie od narkotyków i jak nieprawdopodobnie trudno jest się uwolnić od nałogu? Po raz pierwszy się zakochała i była pewna, że Elias to ten jedyny. Czy będzie próbowała go chronić i z fałszywie pojętej lojalności dla niego kłamać?

— Dlaczego nie powiedziałaś o nim rodzicom? Przecież musiałaś mieć świadomość, że nie będziesz mogła w nieskończoność ukrywać ciąży?

— Dopiero miesiąc temu zauważyli — odparła Nike. — Moi starzy są nienormalni! I chcą, żebym była dokładnie taka jak oni! Studia prawnicze w Anglii, potem praca, żeby hajs się zgadzał, a na koniec jakiś nudziarz za męża, dom w dobrej dzielnicy i dwójka dzieci! A ja tak nie chcę! Chcę studiować psychologię i robić w życiu coś wartościowego! Z drugiej strony... nie chcę im sprawiać przykrości. Oni naprawdę chcą dla mnie dobrze.

Nike patrzyła na swoje dłonie, a po jej policzkach niespodziewanie potoczyły się łzy. Dlaczego płakała? Bo księżę z bajki okazał się ostatecznie żabą? Narkomanem z kłopotami z prawem? Czy dlatego, że choć go kochała,

nie chciała zawieść rodziców?

— Kiedy... kiedy mu powiedziałam, że nie będę się z nim widywać, był kompletnie załamany — wyznała w końcu, nie podnosząc wzroku. — Powiedział, że beze mnie jego życie traci sens. Że dla mnie chce skończyć z narkotykami i zrobić maturę. Przysiągł mi. Powiedział, że jestem pierwszą osobą w jego życiu, na której mu naprawdę zależy. — Uśmiechnęła się niepewnie. — Słodkie, prawda?

Słodkie? Mój Boże — pomyślała Pia. Wręcz przeciwnie. To był brutalny szantaż emocjonalny, który ona sama też kiedyś przeżywała. Nike nie miała żadnych szans, by własnymi siłami uwolnić się z tego toksycznego związku.

— Rodzice strasznie naciskali, więc im powiedziałam... że on mnie... że mi groził i w ogóle. — Siąknęła nosem. — Poczulałam się wtedy tak, jakbym go zdradziła, jak święty Piotr w Biblii. Ustaliliśmy z Elim, że nie będziemy się widywać. Mama dała mi nowy numer telefonu, zmieniła mi skrzynkę mejlową i zmusiła, żebym skasowała konto na Facebooku i na Instagramie.

— Ale i tak się kontaktowaliście, prawda?

— Mhm. — Dziewczyna potaknęła, choć wyraźnie nie czuła się z tym swobodnie.

— Kiedy rozmawialiście po raz ostatni?

— Kilka tygodni temu. — Nike opuściła głowę. — To było wtedy, kiedy mu powiedziałam, że nie chcę się z nim spotykać ani go widywać. Potem nie mieliśmy kontaktu, aż do zeszłego czwartku, kiedy przysłał mi SMS-a. Napisał, że musi na jakiś czas... się zamelinować. Nie mam pojęcia, co miał na myśli.

Nike podniosła głowę. Była zrozpaczona.

— Koniecznie musimy z nim porozmawiać — powiedziała Pia poważnie. — Przez przypadek uwikłał się w bardzo niebezpieczną sprawę.

Nike otworzyła szeroko oczy.

— W nocy ze środy na czwartek na kempingu w lesie między Königstein a Glashütten zginął człowiek — wyjaśniła Pia. — Spłonął w pożarze przyczepy kempingowej. Ogień był tak silny, że nie dało się rozpoznać ciała, jednak z naszych dotychczasowych ustaleń wynika, że stracił życie w wyniku działania osób trzecich. Chodzi więc o morderstwo.

Nike ścisnęła dłonie między kolanami i uważnie jej słuchała. Była bardzo skupiona i marszczyła czoło w taki sposób, że na środku zrobiła się pionowa zmarszczka, taka sama, jak wcześniej u jej matki. Były do siebie bardzo podobne.

— Elias najprawdopodobniej pomieszkiwał w tym czasie w innej przyczepie na tym samym polu kempingowym, choć dostał się do niej wbrew prawu i naruszając czyjeś prawo własności — ciągnęła Pia. — Najprawdopodobniej został w jakiś sposób ranny, bo na miejscu zabezpieczyliśmy ślady krwi. Uciekł do lasu, jednak nawet pies tropiący nie dał rady go odnaleźć, bo trop urywał się po kilku kilometrach.

— Myśli pani, że to Elias mógł tego kogoś zabić? — W oczach dziewczyny tlił się strach.

— Nie, nie sądzę — odparła Pia, choć to nie była prawda. Nie dało się jeszcze jednoznacznie określić, kto co zrobił, a czego nie zrobił. — Jednak zakładamy, że Elias mógł widzieć prawdziwego sprawcę. Co gorsza, sprawca mógł też zauważyć jego, a to oznacza, że Elias znalazł się w prawdziwym niebezpieczeństwie.

Nike jeszcze mocniej zmarszczyła czoło.

— Czy wiesz albo się domyślasz, gdzie może teraz być? — zapytała Pia.

— Nie. — Nike pokręciła głową, choć Pia zauważyła, że na ułamek sekundy jej wzrok uciekł na bok.

— Naprawdę nie? — Policjantka założyła ramiona na piersi i oparła się o blat biurka, które niegdyś należało do Franka Behnkego, a dziś Kai

Ostermann wykorzystywał je jako przedłużenie swojego.

— Elias nie może trafić z powrotem do więzienia! — zawołała dziewczyna z zaskakującą siłą. — Tam nie będzie miał szans skończyć z narkotykami! On zaszył się na tym kempingu tylko po to, żeby zrobić sobie odwyk. Tam nie ma nikogo, żadnych ludzi ani sklepów, w których mógłby... no wie pani... kupić alkohol albo jakieś tabletki. Tam nawet nie było zasięgu! On mówił poważnie, naprawdę chciał skończyć z narkotykami. Musi mi pani wierzyć.

— Wierzę ci, wierzę. — Pia próbowała uspokoić wzburzoną nastolatkę. — Ale nie możemy wycofać z prasy informacji, że go szukamy, bo to dla nas bardzo ważny świadek i musimy go odnaleźć. Morderca z całą pewnością również czyta gazety, co do tego nie mamy wątpliwości. Jeśli zauważy jego nazwisko, zrobi wszystko, żeby go dopaść przed nami. Wiesz, mordercy nie przepadają za świadkami.

Nike bawiła się nitką sterczącą ze sweterka i niepewnie przygryzała dolną wargę. Widać było, że w jej wnętrzu toczy się zacięta walka rozsądku z lojalnością. Z jej twarzy dało się wyczytać, jak trudne chwile przeżywa.

— Spróbuj nam pomóc, Nike — poprosiła Pia. — Jesteś najprawdopodobniej jedyną osobą, której Elias ufa. Może udałoby ci się go przekonać, żeby się z nami skontaktował i porozmawiał.

— Co... jak miałabym to zrobić?

Pia zaprosiła panią Haverland z powrotem do biura. Kobieta usiadła sztywno na krześle, starannie unikając kontaktu wzrokowego z córką. Pia z Tarikiem omówili plan, w jaki sposób za pośrednictwem Nike policja mogłaby odnaleźć Eliasa. Pani Haverland nie odezwała się ani słowem, za to na jej twarzy malowało się zwątpienie, rozpacz i rozczarowanie.

— Miałabym zwabić Eliasa w waszą pułapkę? — zapytała Nike.

— To nie jest pułapka — odparła Pia. — Zrozum, proszę, że tylko u nas będzie bezpieczny, dopóki nie złapiemy osoby odpowiedzialnej za podpalenie

tamtej przyczepy.

— Ale potem znów wsadzicie go do więzienia, prawda?

— Nike! Ten chłopak to... — Pani Haverland nie wytrzymała.

— Ty go w ogóle nie znasz, mamó! — przerwała jej ciężarna nastolatka, ale nie kontynuowała. Zamilkła, wierzchem dłoni otarła łzy z policzków i spojrzała na Pię. W jej oczach pojawił się błysk nadziei, choć policjantka nie potrafiła sobie wytłumaczyć, skąd się wziął. Czyżby się cieszyła, że będzie mogła porozmawiać z Eliasem i w końcu miała ku temu powód, jakim była policyjna akcja? Czy będzie chciała im pomóc?

— Dobrze, zrobię to — powiedziała zdecydowanym głosem. — Zrobię wszystko, czego ode mnie chcecie. Ale pod jednym warunkiem.

— Jakim konkretnie?

— Eliasowi nic się nie może stać — wyjaśniła Nike. — Musi mi pani dać słowo, że nic mu się nie stanie.

ŻYCIE, JAKIE JĄ CZEKAŁO, nie było warte życia, dlatego z nim skończy — tu i teraz. Tabletki wydawały się Felicitas zbyt niepewne i bała się ryzyka, że zamiast martwa, w najlepszym razie stanie się w jakimś stopniu niepełnosprawna. Skok pod samochód czy śmierć po kołami pociągu również nie wchodziły w rachubę. Już wcześniej niejednokrotnie wkurzał ją egoizm samobójców, którzy wybierali ten sposób pożegnania się z ziemskim padołem, bo Bogu ducha winni pasażerowie samochodu, na którego szybie rozbryzgiwał się taki ktoś niczym przejrzały pomidor, do końca życia nosili w sobie traumę. Poza tym nie podobała jej się myśl, że ktoś, krzywiąc się z odrazy, musiałby wydłubywać szczątki jej rozkawałkowanego ciała spomiędzy podkładów kolejowych, zeszkrobywać z pobocza czy wybierać spośród śmieci, pustych butelek i zużytych prezerwatyw. Zamierzała umrzeć w jednym kawałku i wyglądać na tyle dobrze i godnie, na ile to możliwe, kiedy ktoś odnajdzie jej zwłoki. A jeśli nikt się tu nie pojawi przez następnych kilka dni, a jej truchło

odkryją dopiero Manu i Jens? Po trzech tygodniach będzie przedstawiała paskudny widok: zgnilizna i robaki tuczące się jej rozkładającymi się wnętrznościami, tkankami i mózgiem. O nie, nie chciała skończyć jako cuchnąca masa, którą trzeba transportować w plastikowej, szczelnej kuwecie, nie chciała, by ktoś ją tak zapamiętał i za żadne skarby nie chciała umierać nago. O nie, ubierze się na tę okazję bardzo specjalnie, w swoją ulubioną sukienkę od Versace, a potem z podciętymi żyłami położy się w wannie pełnej gorącej wody, by bezboleśnie czekać, aż serce przestanie jej bić. A kiedy Elias wróci, przeżyje koszmar życia. Uśmiechnęła się gorzko. Chłopak zabrał ze sobą psy, więc przynajmniej o nie nie musiała się martwić.

Lecz zanim zakończy życie, chciała jeszcze raz odetchnąć świeżym powietrzem, popijając przy tym najlepsze wino, jakie Jens miał w swojej piwniczce. Felicitas wybrała szampana, wzięła go na górę, otworzyła i nalała do kieliszka. Potem otworzyła drzwi, wyszła na dwór i usiadła na drewnianej ławce. W kieliszku cicho perlił się Ruinart Rosé. Upiła duży łyk, odchyliła głowę i odetchnęła głęboko. Słońce rozgrzewało jej twarz. Wysoko po niebie przesuwiał się jakiś samolot. Słońce przez chwilę odbijało się od jego błyszczącego kadłuba. Po kilku sekundach maszyna zniknęła za wierzchołkami drzew. Ciepło słońca było jednak bardzo zwodnicze. W powietrzu unosił się zapach jesieni, rozkładu i śmierci.

— *Kto teraz domu nie ma, już mieć nie będzie* — mruknęła Felicitas i przesunęła wzrokiem po ścianie milczących drzew. Od dawna już ciemne lasy budziły w niej ponure myśli, szczególnie jesienią. — *Kto teraz sam jest, długo pozostanie sam* ¹.

Tak, pomyślała. Dziś jest dobry dzień, by umrzeć.

ZNAJOMOŚCI SZKODZĄ tylko tym, którzy ich nie mają — pomyślał Bodenstein. Bez skrupułów wykorzystał wyrzuty sumienia Henninga Kirchhoffa, by uruchomić jego wyjątkowo dobre kontakty z frankfurcką prokuraturą, dzięki

czemu wydatnie skrócił drogę służbową i już w niedzielny wieczór mógł dostać z centralnego archiwum akta sprawy sprzed czterdziestu dwóch lat. Dokumentacja dochodzenia z 1972 roku w sprawie zaginionego małego Artura Berjakova odsłaniała nieprawdopodobne dyletanctwo i niedbałość, z jaką je prowadzono. Lektura była tak przygnębiająca, że Oliver z trudem zmuszał się, by przebrnąć przez wszystkie zebrane papiery.

Jako że brakowało ciała i miejsca zbrodni, z początku nie brano pod uwagę zaistnienia przestępstwa i nie poświęcono sprawie zbyt wiele uwagi. Na początku lat siedemdziesiątych policja prowadziła dochodzenia w sposób znacznie różniący się od dzisiejszych standardów, więc musiało minąć aż pięć dni, zanim policja z Frankfurtu przejęła sprawę od lokalnych funkcjonariuszy. Bodenstein nie mógł uwierzyć w to, co czyta. Rodzice Artura zgłosili zaginięcie syna wczesnym rankiem osiemnastego sierpnia 1972 roku na posterunku w Königstein, twierdząc, że nie wrócił na noc do domu. Z początku nikt nie potraktował ich poważnie, a policjant bagatelizował sprawę, tłumacząc, że pewnie chłopak uciekł z domu i niedługo sam wróci. W swojej bezgranicznej ignorancji funkcjonariusz przyjmujący zgłoszenie posunął się tak daleko, że zapisał tę sugestię w raporcie zgłoszenia zaginięcia. Rodzice Artura i jego wówczas trzynastoletnia siostra byli kilkakrotnie przesłuchiwani. Dopiero kiedy to nic nie dało i mimo upływu czasu chłopak nie wrócił, policja uznała za stosowne porozmawiać również z jego kolegami.

Bodenstein czuł się bardzo dziwnie, czytając protokół z rozmowy przeprowadzonej z nim samym, sporządzony dwudziestego czwartego sierpnia siedemdziesiątego drugiego roku, a więc siedem dni po zaginięciu Artura. W tamtych czasach policja nie miała pojęcia o psychologii małych, więc Oliver co rusz potrzasał z niedowierzaniem głową, kiedy czytał pytania i odpowiedzi. Nie można przecież przesłuchiwać dzieci i dorosłych, korzystając z tych samych metod, bo ze względu na stopień dojrzałości

emocjonalnej reagują na te same pytania zupełnie inaczej. On sam poprawnie opisał swój ostatni kontakt z Arturem i podał kilka miejsc, w których lubili się bawić, lecz przemilczał kilka rzeczy, a niektóre celowo przeinaczył. Powód, dla którego tak wtedy postąpił, był zupełnie jasny: jako jedenastolatek odczuwał wyrzuty sumienia, dręczyło go poczucie winy i bał się ewentualnej kary. Razem z Wielandem i Arturem bawili się często w miejscach, do których nie wolno im było się zbliżyć, często przechodzili na drugą stronę drogi prowadzącej do Königstein, bo tam znajdowały się najlepsze miejsca do zabawy: jary, stare wyrobiska górnicze i młyny wodne w dolinie Schlossborn. Przecież nie mógł powiedzieć tego policji! Wieland odpowiadał w bardzo podobny sposób, a pozostałe dzieciaki twierdziły, że nie mają o niczym pojęcia.

Bodenstein zanotował sobie, z kim rozmawiali policjanci z prewencji z Königstein, a potem detektywi z policji kryminalnej z Frankfurtu. Przynajmniej tutaj nie dali plamy, pomyślał, bo na liście znaleźli się właściwie wszyscy mieszkańcy Ruppertshain. Jednak nikt nie widział Artura w dniu jego zaginięcia, a już tym bardziej po zmroku. W 1972 nie funkcjonował jeszcze termin poprawności politycznej, więc wiele osób nie kryło negatywnego nastawienia do obcokrajowców. Dziś byłoby to nie do pomyślenia i tak otwarte manifestowanie nienawiści zostałyby zaklasyfikowane jako przesłanka do potraktowania kogoś jako podejrzanego; wówczas jednak nikt nie zaprzętał sobie tym głowy.

Jaki wpływ na toczące się śledztwo mógł mieć fakt, że prowadzący je używali określenia Rusek? Czy prowadzono by je staranniej, gdyby zaginionym był chłopak ze wsi? Na pewno ludzie podeszliby do sprawy zupełnie inaczej, panowałyby znacznie większa solidarność. Na akcję poszukiwawczą, którą policja zorganizowała dwudziestego szóstego sierpnia, stawilo się łącznie pięćdziesiąt dwoje ochotników, jak wynikało z załączonej

do akt listy, jednak większość — Bodenstein nie miał co do tego wątpliwości — pojawiła się z czystej ciekawości. Artur i jego rodzina byli we wsi obcym elementem. Bardzo niewielu im szczerze współczuło, co prowadzący zaznaczył w załączonej do akt notatce.

Dopiero kiedy rozmowy z mieszkańcami okolicy nie przyniosły żadnych przydatnych informacji, przepytano pracowników i kuracjuszy sanatorium dla osób z chorobami płuc. Również bez sukcesu. Trzydziestego sierpnia Leo Keller podjął próbę samobójczą, po tym, jak w wyniku anonimowego telefonu znalazł się w centrum zainteresowania policji. Konrad Ginsberg, który prowadził wówczas dochodzenie, zmarł w 2009 roku, lecz dzięki Ostermannowi udało się ustalić nazwisko jego asystenta. Bodenstein przykleił jaskrawożółtą karteczkę na teczce z aktami i wybrał numer z kierunkowym Darmstadt. Komisarz Benedikt Rath w stanie spoczynku odebrał po trzecim dzwonku i bez wahania zgodził się jeszcze tego samego dnia spotkać z Oliverem.

PIA NIE MOGŁA się dodzwonić do szefa, a czas naglił, więc zdecydowała, że do rodziców Eliasa pojedzie z Tarikiem. Po tym, co usłyszała od Nike i jej matki, miała w głowie całkowity mętlik i nie potrafiła wyrobić sobie jednoznacznej opinii o Eliasie Lessingu, a koniecznie chciała się dowiedzieć, jakim człowiekiem był w rzeczywistości.

— Już w czasie ostatniej rozmowy z rodzicami Eliasa byłam przekonana, że coś przed nami ukrywają — tłumaczyła, kiedy na wysokości kompleksu Zaubenberg skręcali w lewo, do Ruppertshain. — Prawdę mówiąc, nie byłabym zdziwiona, gdyby miało się okazać, że Elias jednak ma coś wspólnego z tymi morderstwami.

— To by podważało spójność hipotezy szefa — zauważył Tarik.

Kiedy oni byli zajęci rozmową z panią Haverland i jej córką, a Bodenstein pracował w archiwum we Frankfurcie i szukał oryginalnych akt sprawy sprzed

czterdziestu dwóch lat, Kai i Kim zajęli się zestawieniem całej wiedzy o wszystkich morderstwach i spisali każdy najdrobniejszy szczegół na trzech arkuszach papieru, które następnie umieścili na ścianach świetlicy. Wykonali benedyktyńską pracę, zapisując każdą wiadomość, wymieniając wszystkie związki, podobieństwa i różnice, każdą decyzję, którą sprawca — lub sprawczyni — musieli podjąć przed samym czynem i po nim. Do sporządzenia pełnego profilu psychologicznego sprawcy była jednak daleka droga, bo dotychczas nie udało się jeszcze ustalić, jak zginął Artur i czy został zamordowany. Co do jednego za to panowała pełna zgoda: mianowicie, że istniał jakiś związek między jego zaginięciem przed wieloma laty a dzisiejszymi morderstwami. Tymczasem Pia znów zaczynała mieć wątpliwości.

— Tak, wiem. — Zacisnęła usta. — Ale nie czuję się dobrze, porzucając wszystkie inne możliwości na rzecz jednej hipotezy. Rzykujemy naginanie faktów, żeby pasowały do tego, co sobie wcześniej ustaliliśmy.

Zatrzymała się przed domem Lessingów. Pod bramą garażu stał ciemnozielony mini kabriolet, a Pia ucieszyła się, bo miała nadzieję, że zastała samą panią Lessing.

Zadzwonili, a że nikt nie otwierał, zadzwonili powtórnie i kiedy już chcieli wrócić do auta, ktoś niespodziewanie otworzył drzwi.

— Tak? — W progu stała jakaś młoda kobieta i spoglądała na nich nieufnie. Pia pokazała legitymację policyjną i się przedstawiła.

— Chodzi o mojego brata, prawda? — zapytała kobieta.

— Tak, o Eliasa — potwierdziła Pia, potaknęła i przypomniała sobie, co mówiła Pauline Reichenbach. — Pani musi być przyjaciółką Pauline Reichenbach, prawda? Letizia? Czy coś pomyliłam?

— Tak, to ja.

— Bardzo mi miło. Mamy kilka pytań do pani matki. Kiedy można

spodziewać się jej powrotu?

— Pojęcia nie mam. — Letizia wzruszyła ramionami. — Wyszła do klubu tenisowego. Dzisiaj mają jakiś turniej klubowy, mistrzostwa czy coś. Mogę jakoś pomóc?

— Wie pani co? Chyba tak. — Pia się ucieszyła. — Choć oczywiście nie jest pani zobowiązana do udzielania nam odpowiedzi, jeśli uzna pani...

— Tak, rozumiem. Chodzi o krewnych, obciążanie ich i tak dalej, nie ma o czym mówić — przerwała jej Letizia. — Wiem o tym, ale i tak chętnie opowiem wam wszystko, co chcecie wiedzieć o tym czubku. Proszę do środka.

Odsunęła się i gestem zaprosiła ich do domu — dokładnie w ten sam sposób, w jaki zrobiła to wcześniej jej matka. Kiedy mijał ją Tarik, który nie mógł być wiele od niej starszy, otaksowała go uważnie wzrokiem.

Córka pani domu poprowadziła ich w głąb holu, a później schodami w dół, przez kuchnię na taras, a Pia pogratulowała sobie w myślach spontanicznej decyzji, by odwiedzić Lessingów bez zapowiedzi. Ogród na zboczu wzniesienia, na którym stał dom Lessingów, był bardzo zadbany. Soczyście zielona trawa, starannie przystrzyżone krzewy i wierzba płacząca, której miękkie witki sięgały powierzchni owalnego stawu. Wieczne słońce dostawało się pod powierzchnię wody, gdzie odbijało się czerwienią i bielą na grzbietach ozdobnych karpia koi.

— Niesamowite! — Tarik rozejrzał się z zachwytem. — Czuję się, jakbym trafił do raję!

— Nawet do raję można z czasem przywyknąć. — Letizia się uśmiechnęła i wskazała im miejsca na krzesłach zestawu ogrodowego z wypolerowanego drewna tekowego.

— Proszę, usiądźcie. Tutaj możemy porozmawiać.

Na stole leżała książka z wysuniętą zakładką, a obok stała używana popielniczka. Tarik przekrzywił głowę, by dojrzeć tytuł.

— *Morderca z Fryzji Wschodniej* — odczytał na głos. — Dobrze?

— Wciągające — odparła Letizia Lessing. — A nie mogę tego powiedzieć o większości książek.

— Ile ma pani lat, jeśli można spytać? — zainteresowała się Pia.

Letizia zaśmiała się krótko i sięgnęła po papierosa.

— Co jak co, ale na rozpoczęcie rozmowy wybrała pani naprawdę ujmujące otwarcie! — Spojrzała na policjantkę kpiącym wzrokiem. — Dwadzieścia sześć.

— Mieszka pani jeszcze z rodzicami? — Pia chciała najpierw wyrobić sobie zdanie o siostrze Eliasa, zanim przejdzie do właściwego tematu, a to najlepiej było osiągnąć przez zadanie kilku niezobowiązujących pytań, na które powinna udzielić odpowiedzi zgodnie z prawdą. Gdyby później, przy trudniejszych pytaniach zmieniło się jej zachowanie niewerbalne, Pia mogłaby ocenić, czy kłamie.

— Nie, wyprowadziłam się pięć lat temu. Studiuję w Hamburgu i tylko na weekendy przyjeżdżam do rodziców. Tak z ciekawości, jakie to ma znaczenie?

— Czy miała pani ostatnio jakiś kontakt z Eliaszem? Spotkała się z nim pani albo chociaż rozmawiała?

— Nie, od dwóch lat nie miałam z nim żadnego kontaktu. — Letizia po matce odziedziczyła symetryczną twarz i urodę, a po ojcu nieprzeniknione i niezwykle jasnoszare oczy i, niestety, niezdrową cerę. Zastali ją bez makijażu, z błyszczącymi włosami zaplecionymi w dwa luźne warkocze. Jednak ta dziecięca fryzura zupełnie do niej nie pasowała, bo Letizia Lessing w ogóle nie miała w sobie dziewczęcości. — No dobra, to do rzeczy. Co chcecie wiedzieć? — Wsunęła między wargi papierosa i zapaliła.

— Nie przepada pani za bratem, prawda? — zapytała Pia.

— Zdecydowanie nie. — Twarz Letizii w jednej chwili stężała, a między jej brwiami i w okolicach kącików ust pojawiły się zmarszczki. Powoli

wydmuchnęła nosem papierosowy dym. — Ja go nienawidzę.

— Mocne słowa. Dlaczego?

Założyła nogę na nogę, oparła się na kolanie łokciem i przesunęła paznokciem kciuka po górnej wardze.

— Elias zatruł i zniszczył mi życie — oznajmiła. — Przez niego nie mieliśmy szans stać się normalną rodziną. Terroryzował nas wszystkich. Cokolwiek robiłam, musiałam zawsze na niego uważać.

— Czyli? Co pani przez to rozumie? — drążyła policjantka.

— Mój brat to totalny psychol. Już jako dziecko ostro odbiegał od normy. Teraz mówi się o takich, że są nadpobudliwi albo że zwracają na siebie uwagę. Mój ojciec próbował dyscypliną i surowością nauczyć go reguł, za to matka z litości całkowicie go rozpuszczała. Ale w pewnej chwili oboje musieli przyznać, że to na nic. Poddali się, bo w końcu dostrzegli, że gra nie jest warta świeczki, a ich cały wysiłek idzie na marne.

Dziewczyna zaśmiała się gorzko i nieprzyjemnie, potrząsnęła głową i zaciągnęła się papierosem.

— Wie pani, jak to jest, kiedy nigdy nie można zaprosić koleżanek do domu, bo człowiek ciągle się boi, że popieprzonemu braciszкови znowu odbije i rzuci się na kogoś z pięściami? Albo wpadnie w szał? Za każdym razem słyszałam, że muszę być dla niego wyrozumiała, że nie mogę się złościć, bo to nie jego wina. Niech pani spróbuje wyjaśnić jedenastoletniej córce, że nie może być zła na brata, który pociął jej na kawałki ulubioną maskotkę. Powodzenia.

Westchnęła zrezygnowana.

— Wszyscy o nas plotkowali, w końcu w takiej dziurze wszyscy wszystko wiedzą. Każdy udawał zrozumienie i współczucie, kiedy Elias gdzieś publicznie dostawał ataku szału, ale ja wiedziałam, że to tylko poza, bo tak naprawdę nikt nam nie współczuł, każdy się z nas śmiał. Z moich rodziców.

Nieraz słyszałam, że za pieniądze można kupić wiele, ale nie grzeczne i dobrze wychowane dziecko. A to najbardziej niewinne docinki, może mi pani wierzyć. Zawsze strasznie się wstydziłam i okropnie było mi żal mamy. Ona chciała, żeby wszyscy dobrze się czuli i każdy był zadowolony, ale tak się nie da. To niemożliwe, przynajmniej nie wtedy, kiedy jedna ze stron robi wszystkim na złość. Ja kompensowałam sobie ten dramat w ten sposób, że chciałam być lepsza niż wszyscy inni: w szkole i w sporcie. I byłam najlepsza. Oczywiście wszyscy gadali, że jestem przesadnie ambitna, że kujon i tak dalej. Tymczasem ja po prostu nie chciałam, żeby rodzice musieli się o mnie martwić. Dość problemów mieli z Eliaszem.

Letizia spojrzała na Pię. W jej zadziwiająco szarych oczach policjantka dostrzegła niemal błagalną prośbę o zrozumienie i współczucie, choć najprawdopodobniej ona sama nie była tego świadoma. Czasem jest tak, że osoby uchodzące za najbardziej opanowane i zdystansowane są też najdelikatniejsze i najwrażliwsze. Letizia Lessing sprawiała wrażenie kogoś, kto mimo ogromnego wysiłku za każdym razem doznaje porażki, cierpi z powodu zaniżonego poczucia własnej wartości i siebie serdecznie nienawidzi.

— W naszej rodzinie wszystko to tylko piękne pozory. — Mówiąc to, machnęła ręką, jakby wskazywała wszystko dookoła. — Dom, ogród, samochody, posady, piękna żona, dzieci. Nawet jeśli moich rodziców kiedyś łączyło jakieś wielkie uczucie, dawno już wyparowało. Teraz dosłownie rzygają na swój widok. Wszystko przez Eliasa. Obwiniają się nawzajem, że to drugie dopuściło, żeby zniszczył naszą rodzinę i zatrzał nam życie. Rozwód? Gdzie tam, to nie pasuje przecież do idealnego obrazka, dlatego dalej gramy przedstawienie pod tytułem „idealne życie”. Najlepsze, co mogłam zrobić, to stąd zwać, kiedy tylko nadarzyła się okazja. I to tak daleko, jak tylko się dało. I zrobiłam to.

— Czy Elias był kiedykolwiek badany przez lekarza pod tym kątem? Czy miał zdiagnozowane jakieś zaburzenia? — zainteresował się Tarik.

Letizia patrzyła przez dłuższą chwilę przed siebie i z nieprzeniknioną miną milczała.

Dopiero po jakimś czasie wzruszyła ramionami.

— Nie wiem — odpowiedziała.

Pia przyglądała się Letizii. Jej cynizm i obojętność były tylko pozą, bo pod nimi buzował prawdziwy wulkan tłumionych uczuć. Nie powinno się pochopnie oceniać ludzi po tym, jakie na samym początku robią na nas wrażenie. Często rzeczywistość wygląda zgoła odmiennie, choć na pierwszy rzut oka się wydaje, że już wszystko wiadomo. Bardzo rzadko jednak Pia spotykała ludzi tak brutalnie otwartych jak Letizia Lessing. Większość wstydziła się i bała, że ktoś ich negatywnie oceni, więc starali się wszystkich okłamywać — w tym również siebie.

— Czy pani brat bywał czasem agresywny? — zapytała policjantka.

— Czasem? Oczywiście, że tak. Nie raz i nie dwa. — Letizia wsunęła papieros między wargi i podwinęła rękaw. Jej ramię przecinała długa na trzydzieści centymetrów, poszarpana i szeroka blizna. Zamrugła, bo dym zaczął szczypać ją w oczy. — Kiedy to zrobił, miał sześć lat.

— Jak to się stało?

— Trwała wtedy budowa domu. Wieczorem przyjechaliśmy z rodzicami i architektem obejrzeć postępy. Elias zakradł się od tyłu i wypchnął mnie przez okno. Nabiłam się ramieniem na pręt zbrojeniowy schodów. Poza tym złamałam sobie wtedy nogę, ramię i miednicę.

— Co się potem stało z Eliaszem? — zapytała Pia.

— Jak to co, nic. — Letizia zaśmiała się lekceważąco. — Tata powiedział, że powinnam bardziej uważać. W końcu byłam od niego starsza, więc wyszło na to, że to moja wina.

Pia nie pamiętała, kiedy wcześniej spotkała się z tak rozczarowaną i zgorzkniałą młodą kobietą. Niemal jej współczuła. Letizia Lessing zdawała się ofiarą swoich rodziców, którzy troszcząc się o młodsze i trudniejsze dziecko, nie potrafili obronić drugiego.

— Jakie narkotyki zażywa pani brat? — zapytał Tarik.

— Może powinien pan zapytać, jakich nie zażywa — odparła dziewczyna i zdusiła niedopałek w porcelanowej popielnicy. — Zaczął od wączania kleju, a potem poszło z górki. Palił haszysz, łykał ecstasy, brał LSD i zażywał metamfetaminę.

Przyglądała się Tarikowi z zainteresowaniem, które nie miało nic wspólnego z tematem ich rozmowy.

— Pan musi być tym policjantem, o którym opowiadała mi Pauline — skonstatowała w końcu. Wydęła usta i z aprobatą uniosła brwi, potakując jednocześnie. — Spodobał jej się pan.

— Naprawdę? — Tarik zareagował z luzem. — Fajnie. Pauline jest niesamowitą dziewczyną.

— Dziewczyną? — Letizia zaśmiała się kpiąco. — Pan też nie może być wiele starszy od nas. Chociaż... w przypadku obcokrajowców trudno czasem określić wiek.

— Czy domyśla się pani, gdzie mogłabym znaleźć pani brata? Gdzie mógłby się zatrzymać? — Pii wystarczyło to, co dotychczas usłyszała. Elias Lessing miał skłonności do wybuchów agresji i stosowania przemocy, a jego rodzice doskonale o tym wiedzieli. Mimo to milczeli, choć musieli zdawać sobie sprawę, że to wyjątkowo nieodpowiedzialne. Czy robili to rzeczywiście tylko po to, żeby zachować pozory, czy też kryło się za tym coś jeszcze? — Zna pani jego znajomych? Wie pani, z kim może utrzymywać kontakt?

— Nie znam żadnego z degeneratów, z którymi się spotyka — zaprzeczyła dziewczyna i sięgnęła po kolejnego papierosa. Ale na pani miejscu

szukałabym go w lesie.

— W lesie? — powtórzyła Pia, jakby chciała się upewnić, że się nie przesłyszała. — To dosyć ogólne określenie. Dookoła są same lasy. Gdzie dokładnie?

— Pojęcia nie mam. — Letizia zaciągnęła się głęboko tytoniowym dymem. — Nigdy nie sprecyzował tego określenia. Mówił tylko, że idzie do lasu, a potem nie było go przez kilka dni z rzędu.

PAŹDZIERNIKOWA NIEDZIELA zmieniła się w cudowny, ciepły dzień. W głównej sali restauracji „Merlin” w kompleksie Zauberberg, zajmującej dawne pomieszczenia sanatorium dla osób z chorobami płuc, mimo popołudniowej pory panowała pustka, a to za sprawą wspaniałej pogody. Wszyscy goście wylegli na taras, by zasiąść pod otwartą markizą i przy aromatycznej kawie podziwiać fenomenalny widok. Bodenstein również nie oponował, kiedy kelner zaproponował mu stolik na zewnątrz, lecz zanim zajął miejsce, zatrzymał się, by porozmawiać z szefem lokalu. Bandi Arora, pochodzący z Indii gospodarz, już od dziesięciu lat prowadził Merlina, i choć się tu nie urodził, w zawiłych powinowactwach miejscowych rodzin orientował się znacznie lepiej niż niejeden mieszkaniec Ruppertshain z dziada pradziada. Bodenstein dobrze go znał. Dawniej regularnie bywał tu z rodziną, a od pewnego czasu samotnie przyjeżdżał coś zjeść, choć zdarzało mu się również przywieźć ze sobą Karoline czy spotkać się z Cosimą, by przy daniu z makaronu i kieliszku czerwonego wina omówić organizacyjne szczegóły opieki nad Sophią.

Większość mieszkańców Ruppertshain na co dzień unikała restauracji w kompleksie Zauberberg, a pojawiali się tu tylko przy specjalnych okazjach, takich jak okrągłe rocznice czy wesela, dlatego Bodenstein nie był zdziwiony, kiedy się dowiedział, że Sonja Schreck zarezerwowała cały lokal na środowe popołudnie na uroczystą stypę. W środę o drugiej po południu miał się odbyć

podwójny pogrzeb Clemensa i Rosie Heroldów. Należało więc oczekiwać, że w uroczystości weźmie udział bardzo wiele osób. Olivera nie zaskoczył również fakt, że gadatliwy i bardzo sympatyczny gospodarz wie już o tym, że rankiem policja odnalazła szkielet dziecka. Przedostanie się tej wiadomości do opinii publicznej nie było w zasadzie niczym złym, bo jeśli morderca Rosie, jej syna Clemensa i księdza Maurera robił wcześniej wszystko, by nikt się nie dowiedział o miejscu pochówku Artura, to teraz, kiedy tajemnica przestała być tajemnicą, Sophii nic już nie groziło.

Bodenstein przesunął wzrokiem po dachach domów poniżej i się zamyślił. Gdzieś tam, daleko, mieszkali ludzie, którzy dobrze wiedzieli, co wydarzyło się czterdzieści dwa lata wcześniej. Musiał się dowiedzieć, kto do dziś skrywał tę tajemnicę. Najpóźniej jutro odbędzie się konferencja prasowa, w czasie której przedstawiony zostanie profil sprawcy i omówione szczegóły odnalezienia szkieletu na starym cmentarzu leśnym.

— ...dawno jej tutaj nie było — dotarł do niego głos gospodarza. — Wiedziałaś w ogóle, że sprzedała udziały w klinice weterynaryjnej?

— Wybacz, zamyśliłem się. O kim mówisz?

— Och, o Ince, twojej byłej — powtórzył Hindus i przewrócił zniecierpliwiony oczyma. — Udziały w klinice sprzedała swoim wspólnikom. I dom też sprzedała. Do pierwszego stycznia musi się wyprowadzić.

— Doprawdy? — Bodenstein uniósł brwi. Ta wiadomość naprawdę go zaskoczyła. — No proszę, pierwsze słyszę.

Nie wątpił w prawdziwość przekazanej informacji, bo jeśli chodziło o najnowsze plotki, gospodarz restauracji w niczym nie ustępował Sylvii Pokorny. Zaskakujące było jednak co innego, a mianowicie, dlaczego ani Thordis, ani Lorenz mu o tym nie wspomnieli. Czyżby Inka zabroniła go informować o swoich planach?

— Dawniej często u mnie bywaliście, ty i ona, ale od kiedy nie jesteście

razem... dwa lata temu była tu po raz ostatni — ciągnął Bandi. — Pozostali też bardzo rzadko przychodzą. Pewnie dlatego zwróciłem na nich uwagę.

— Na co zwróciłeś uwagę? — Tym razem Bodenstein skupił się na tym, co mówił restaurator. Bandi posiadał nieprawdopodobną pamięć, a co więcej, potrafił wyciągać bardzo trafne wnioski. Znał wszystkie przezwiska, którymi rodzice i dziadkowie nazywali swoich synów i wnuków. W zasadzie każdy inny człowiek musiałby się tu urodzić i wychować, by wiedzieć, o kim mowa, a osoby z zewnątrz nie miały szans połapać się w gąszczu imion i określeń używanych przez lokalnych mieszkańców. Bandi Arora nie miał z tym najmniejszego problemu.

— Siedzieli przy ostatnim stoliku, tam z tyłu, i bardzo żywo o czymś dyskutowali.

— No dobrze, ale kto konkretnie? — Bodenstein spojrzął na zegarek. Rath spóźnił się już dziesięć minut.

— Inka z Simone, Roman i Ralf Ehlers. I jeszcze ten Andi Hartmann, pamiętasz? No i gruby piekarz. Oni akurat nigdy mnie nie odwiedzali. Na koniec dołączył do nich Peter.

Banda w komplecie! Czy takie spotkanie mogło być przypadkowe?

— Kiedy to było?

— W piątek wieczorem, jakoś koło dwudziestej.

— A o której pojawił się Peter?

— Mniej więcej o wpół do dziesiątej.

— Pamiętasz może, o której wyszedł?

— Kto, Peter? Nie zabawił tu długo. Wypił jedno piwo i zostawił ich samych.

Bodenstein przypomniał sobie nastawienie Pii i jej reakcję na Petera Lessinga, któremu za nic nie chciała zaufać. Poczł się bardzo nieswojo. Wcześniej nie raz i nie dwa zdarzało się, że intuicja jej nie myliła. Adalbert

Maurer zginął zamordowany około godziny wpół do jedenastej wieczorem w piątek. Zamówić piwo, poczekać na nie i wypić mogło zająć około piętnastu minut, a wejście w posiadanie kluczy do kościoła i zakrystii również nie nastęczało szczególnych trudności. Jeśli Peter wyszedł z restauracji około dwudziestej drugiej, miał dość czasu, by dopaść starego księdza, pobić go i zamordować.

Jak dobrze można znać kogoś, z kim bawiliśmy się w dzieciństwie, ale potem przez wiele lat nie utrzymywaliśmy żadnych kontaktów? Odpowiedź jest prosta: w ogóle.

Do szefa podszedł jeden z kelnerów i podał mu telefon. Bandi przeprosił Bodensteina i zostawił go samego. Benedikt Rath jeszcze się nie pojawił, a że Bodenstein nie miał co robić, więc, czekając na rozmówcę, napisał krótką wiadomość do Pii.

Jaki temat mógł zajmować szóstkę dawnych przyjaciół, żeby akurat tutaj umówili się na spotkanie i gorącą dyskusję? Bodenstein dość dobrze znał Inkę, by wiedzieć, że nie pielęgnowała dawnych znajomości i najchętniej trzymała się z dala od ludzi. Musiał zatem pojawić się jakiś ważny powód, dla którego zgodziła się na takie spotkanie, a on musiał go jak najszybciej poznać. Była niedziela, więc najpewniej nie będzie jej teraz w domu, lecz, postanowił, nazajutrz pojedzie z nią porozmawiać.

ZABUDOWANIA I KORTY klubu tenisowego w Ruppertshain mieściły się pośród sadów porastających zbocze, nieco powyżej Schönwiesenhalle i boiska. Pia i Tarik dotarli na miejsce już po zakończeniu mistrzostw klubu, więc na parkingu przed zabudowaniami zostało niewiele samochodów. Słońce kryło się powoli za szczytami Taunusu i topiło w złotej poświacie zbocza wzgórz, łagodnie opadając w stronę doliny. Za parkingiem, na łące z pojedynczymi drzewami, pasło się stado czarnych krów. Delikatny wiatr przyniósł intensywną woń krowich placków zmieszana ze słodkim zapachem gnijących

jabłek i grillowanego jedzenia, tworząc wyjątkowy nastrój późnego lata. Z gór powoli schodziła mgła.

— Ależ tu pięknie — stwierdził Tarik i rozejrzał się zachwyconym wzrokiem. — Prawdziwa idylla.

— Nie daj się zwieść pozorom — otrzeźwiła go Pia. — Bo to nic innego jak piękne pozory.

Otworzyła bramę i razem weszli na teren klubu. Na placu zabaw kilkoro dzieci z głośnym śmiechem wspinało się na drabinki, na huśtawkach dwie dziewczynki rywalizowały o to, która rozhuśta się wyżej, a w piaskownicy trzech chłopcy budowali zamek z piasku. Na podwórzu przed głównym budynkiem rozstawiono stoły piknikowe, przy których siedzieli dorośli, a obok skwierczał podwieszany grill. Słysząc było ich śmiech, który co chwila wybuchał ze zdwojoną siłą; nastrój był luźny i niezobowiązujący. Zdawało się, że trzy morderstwa popełnione w ostatnich dniach niedaleko stąd nie zrobiły na ludziach specjalnego wrażenia.

Nikt z obecnych nie zwracał uwagi na Pię i Tarika.

— Tam jest — powiedziała Pia, kiedy dostrzegła Henriette Lessing w otoczeniu rozbawionych znajomych. Obok niej stał mężczyzna o szpakowatych włosach, ubrany w strój do tenisa, i opalonym ramieniem obejmował matkę Eliasa, opowiadając jakąś najwyraźniej zabawną historyjkę.

— Ten gość obok niej to kto? — zainteresował się Tarik.

— Pojęcia nie mam, ale z całą pewnością nie jej mąż — odparła Pia.

Szpakowaty jegomość dotarł do pointy, bo śmiech gwałtownie przybrał na sile. Po chwili mężczyzna puścił Henriette Lessing i całkowicie naturalnym gestem objął kobietę po swojej lewej stronie. Zwykły obłapiacz — pomyślała Pia.

Częstowano winem musującym, a przy jednym ze stołów siedziały kobiety i nachylone do siebie rozprawiały o czymś, chichocząc gdakliwie jak stado

kur.

W pewnym momencie pani Lessing dostrzegła policjantkę. Zaskoczona otworzyła szeroko oczy. Natychmiast zrzędała jej mina. Powiedziała coś do kobiety po swojej prawej stronie i ruszyła w stronę intruzów.

— Steki! Ludzie, steki są gotowe! — zawołał mężczyzna przy grillu. — Kto ma ochotę na pyszny stek?

Kilka osób ruszyło ze śmiechem w stronę grilla, trzymając przed sobą puste talerze. Henriette Lessing stanęła przed Pią i Tarikiem. Miała na sobie krótką sukienkę do tenisa, która ukazywała jej wspaniale wyrzeźbione, smukłe nogi, a na nią narzuciła błękitną bluzę z kapturem z wyhaftowanym logo klubu.

— Co tu robicie? Musicie mnie tak nachodzić? — syknęła z wrogością, która zaskoczyła Pię. W jednej chwili straciła dla niej całe współczucie. — Skąd w ogóle wiedzieliście, gdzie mnie szukać?

Dopiero teraz goście i członkowie klubu tenisowego zwrócili uwagę na przybycie dwóch nowych osób. Rozległy się przytłumione szepty, a w ich stronę skierowały się ciekawskie spojrzenia.

— Pani córka nam to wyjawiała — odparła Pia. — Pierwotnie jechaliśmy tylko do pani, jednak spotkanie i rozmowa z Letizią okazały się nadzwyczaj interesujące.

— Co to ma znaczyć? Bo nie rozumiem? — Henriette Lessing starała się zachować spokój i nie działać pochopnie, jednak przerażenie w jej oczach zdradzało targające nią emocje. Na dodatek czuć było od niej alkohol.

— Dlaczego pani przemilczała, że syn już wcześniej przejawiał skłonności do agresji? I to nader często? — odpowiedziała jej pytaniem Pia.

— Nie tak głośno! — syknęła pani Lessing i obejrzała się ze strachem. — Nie wszyscy muszą wiedzieć, o czym rozmawiamy!

— Proszę pani, czy pani sobie żarty stroi? — Pia pokręciła głową poirytowana. — Przed kim chce pani jeszcze udawać? Jestem przekonana, że

każdy z obecnych wie, że szukamy pani syna!

— Elias nawet muchy by nie skrzywdził! — upierała się pani Lessing.

— Doprawdy? Z tego, co wiem, wyrzucił swoją siostrę przez okno, powodując u niej bardzo poważne obrażenia — przypomniała policjantka.

— Bardzo stara historia. Poza tym nie zrobił tego specjalnie.

— Proszę się zastanowić! — przerwała jej Pia ostrym tonem. — Pani syn ulega wybuchom niekontrolowanej agresji i jest uzależniony od narkotyków. Ma bogatą kartotekę policyjną i wyrok za napad rabunkowy. W naszych oczach to tykająca bomba. Czy dzwonił do pani w czwartek? Pojechała pani po niego do lasu, żeby przewieźć go w jakieś bezpieczne miejsce?

— Nie! — Henriette potrząsnęła gwałtownie głową. — Nie mam pojęcia, gdzie jest teraz mój syn. Bardzo się o niego martwię, może mi pani wierzyć. Mój mąż od zawsze traktował Eliasa zbyt ostro. To jego wina, jestem przekonana, że to wszystko przez niego.

— Obawiam się, że pani mąż nie ponosi całej winy — zaproponowała Pia. — Pani podejście również miało niebagatelną rolę. Ale to nie nasza sprawa, tylko pani. Przyjechaliśmy, bo musimy porozmawiać z Eliasem. Pani syn najpewniej był świadkiem morderstwa, którego sprawca uderzył potem jeszcze dwukrotnie.

Henriette Lessing nie potrafiła wytrzymać nieustępliwego spojrzenia Pii. Zacisnęła usta i zaczęła skubać ucho.

— Proszę pamiętać, że morderca wie, że Elias widział go na kempingu. Z ogłoszeń w prasie poznał jego imię i nazwisko. Jesteśmy przekonani, że spróbuje go zabić, jeśli dotrze do niego przed nami. Naprawdę nie chce pani zrozumieć, w jakim znalazł się niebezpieczeństwie? Jak może pani odwracać wzrok, kiedy dzieją się takie rzeczy? Jak pani może udawać, że nic mu nie grozi? Co z pani za matka?

— Niech pani natychmiast przestanie wzbudzać we mnie wyrzuty sumienia!

— prychnęła Henriette Lessing. — Czego pani oczekuje? Że wycofam się z życia tylko dlatego, że jedno z moich dzieci trochę rozrabia?

— Trochę rozrabia? — Pia z niedowierzaniem potrząsnęła głową. — Pani syn jest kryminalistą i narkomanem. Złamał zasady zwolnienia warunkowego i ma skłonności do agresji.

— Ja już tego dłużej nie wytrzymam! — wyszeptała teatralnie Henriette Lessing. — Za co Bóg mnie tak karze?

— Za tchórzostwo, przede wszystkim za to. — Pia nie zamierzała się nad nią litować. Nigdy nie czuła się dobrze, wywierając tak silną presję na innych, lecz teraz działała w sytuacji, z której nie było innego wyjścia, bo pani Lessing wyraźnie nie chciała współpracować. — Od początku pani to robi! Mamy szansę z pomocą pani syna dopaść mordercę, zanim uderzy ponownie. Jednak Elias musiałby się do nas zgłosić. Jeśli ma pani z nim kontakt, musi nam pani pomóc! Czy może wolałaby pani mieć czyjeś życie na sumieniu tylko dlatego, że w chwili próby okazała się pani tchórzliwa i leniwa?

— Co pani może o mnie wiedzieć? — zaatakowała ją Henriette. Miała oczy pełne łez i z trudem powstrzymywała płacz. Założyła ramiona na piersi, jakby w ten sposób mogła uchronić serce przed pęknięciem. — Jest pani matką? Potrafi pani wczuć się w moją sytuację i zrozumieć, jak to jest, kiedy człowiekowi nie pozostaje nic innego, jak tylko bezradnie patrzeć na własne dziecko na prostej drodze do nieszczęścia?

— Ja wiem, jak to jest — powiedział Tarik, zanim Pia zdążyła zareagować.

— Pan? — Pani Lessing zaśmiała się gorzko. — Pan jest stanowczo zbyt młody, żeby mieć dzieci.

— Mój starszy brat był narkomanem. — Tarik wyciągnął dłoń i dotknął delikatnie łokcia pani Lessing. Pia nie mogła uwierzyć własnym oczom, kiedy patrzyła, jak jej młodszy kolega prowadzi matkę Eliasa w stronę ławki, siada obok niej i ujmuje jej dłoń w swoje. — Proszę mi wierzyć, wiem, jak

strasznie cierpi wtedy rodzina i jak bardzo wszyscy się obwiniają o takie nieszczęście. Moi rodzice przez całe lata robili, co w ich mocy, żeby pomóc mojemu bratu przerwać to błędne koło. Wmawiali sobie, że tym razem jest nadzieja, którą on szybko rozwiewał, wracając do nałogu i łamiąc prawo.

— Pańscy rodzice przynajmniej tworzyli wspólny front. — Pani Lessing zaszlochała i zakryła dłonią usta. — Tymczasem mój mąż... mój mąż zakazał mi wspierać Eliasa, kiedy ten potrzebował pieniędzy, a potem zabronił mi nawet z nim rozmawiać! Kontroluje moją kartę kredytową i historię konta bankowego, żebym nie próbowała zbierać dla niego choćby drobnych sum! Mimo to udało mi się zgromadzić trochę gotówki. Przekazałam ją kuratorce Eliasa, żeby opłacała mu telefon. To była jedyna możliwość, żeby mieć z nim jakikolwiek kontakt.

— Mój ojciec też nie wspierał matki — wyjaśnił Tarik ze współczuciem w głosie. — A musi pani wiedzieć, że w Syrii, skąd pochodzę, kobiety nie mają głosu. Mój brat zhańbił rodzinę i naraził na szwank nasz honor, więc matce nie było wolno nawet wypowiadać jego imienia! Jednak pewnego dnia doszło do naprawdę tragicznej sytuacji. I właśnie wtedy matka sprzeciwiła się ojcu i złamała jego zakaz, dzwoniąc na policję. Strasznie cierpiała, ba, omal nie pękło jej serce, ale robiąc to, uratowała memu bratu życie. Nie było innego sposobu.

Pani Lessing wpatrywała się w Tarika z szeroko otwartymi oczyma i słuchała go jak zhipnotyzowana.

— Dlaczego to zrobiła? Co się stało?

— Zastrzelił dwie osoby, po czym zabarykadował się w sklepie i wziął zakładników.

— O Boże! — sapnęła Henriette Lessing przerażona. — Ile lat miał pański brat, kiedy do tego doszło?

— Dziewiętnaście — wyjaśnił policjant i westchnął ciężko. — To było

bardzo trudne dla mojej mamy. Długo obarczała siebie winą za te zdarzenia. Myślała, że to ona zawiodła.

Pani Lessing potaknęła powoli, jakby potwierdzała w ten sposób również własne odczucia.

— Dziś potrafi już żyć bez ustawicznego strachu i obaw, jednak od czasu akcji w sklepie jest pod opieką terapeuty, który pomaga jej uporać się z poczuciem winy.

— A... pański brat? Co się z nim stało? — zapytała pani Lessing po chwili milczenia.

— Od sześciu lat nie bierze narkotyków. Ale minie jeszcze sporo czasu, zanim będzie mógł wyjść z więzienia.

Twarz Henriette Lessing złagodniała. Ukradkiem otarła łzę, która stoczyła się po jej policzku.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć — powiedział Tarik i puścił jej dłoń. — Nie robię pani żadnych wyrzutów. Wiem, że ma pani jak najlepsze intencje i jedyne, na czym pani zależy, to dobro Eliasa. To, by go chronić.

— Tak, właśnie tak — potwierdziła wzruszona.

— Moja matka również usiłowała chronić mojego brata przed konsekwencjami jego postępowania, jednak dla wszystkich byłoby znacznie lepiej, gdyby dużo wcześniej zadziałała zdecydowanie, zamiast wierzyć, że sam się poprawi. Dlatego bardzo panią proszę, pani Lessing: niech pani nie dopuści do sytuacji, w której będzie już za późno. Proszę nam pomóc odnaleźć Eliasa — powiedział Tarik z naciskiem. — Pani córka wspomniała, że on bardzo chętnie przebywa w lesie. Wie pani może, gdzie konkretnie? O jakie miejsce chodzi?

Pani Lessing spuściła wzrok.

— Nigdy mi tego nie zdradził — odparła cicho. — Jednak kiedy chcę z nim porozmawiać, zostawiam mu sygnał w umówionym miejscu. Wtedy albo do

mnie oddzwania, albo spotykamy się gdzieś dyskretnie.

— Zrobiłaby pani dla nas to samo, żebyśmy mogli porozmawiać z Eliaszem?
— zapytał Tarik.

— Prosi mnie pan, żebym zwabiła własnego syna w pułapkę?

— To nie jest pułapka — zaprotestował policjant łagodnie i spojrzał pani Lessing prosto w oczy, uśmiechając się przy tym przyjaźnie. — Moja koleżanka już wcześniej wspomniała, ale przypominę pani: Elias jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Do czasu ujęcia mordercy tylko my możemy zapewnić mu bezpieczeństwo. A ja jestem przekonany, że zarówno prokuratura, jak i sąd zgodzą się na układ, żeby w zamian za pomoc nie odwieszać mu wyroku. Mógłby wtedy wrócić do normalnego życia.

Milczenie. Pani Lessing intensywnie myślała. Szarpała przy tym nerwowo zapięcie bluzy.

Dzieci, które wcześniej bawiły się na placu zabaw przed budynkiem, gdzieś się przeniosły, a przy stolikach zostali najbardziej wytrwali członkowie klubu. Powoli zaczynały się porządki po turnieju, składano wolne stoły, znoszono szklanki i zbierano śmieci.

— Elias... Elias ma tajny adres mejlowy, z którego korzystam tylko ja — wyjawiała w końcu i zacisnęła usta. — W ten sposób się kontaktujemy.

— Świetnie. — Tarik się uśmiechnął, żeby dodać jej otuchy i podał jej swoją wizytówkę. — Kiedy się znów do pani odezwie, proszę do mnie zadzwonić. O każdej porze dnia i nocy, dobrze?

— ZUPEŁNIE ZAPOMNIAŁEM, jak tu na górze jest cudownie. — Benedikt Rath, nadkomisarz w stanie spoczynku rozejrzał się i zatrzymał wzrok na panoramie doliny, której widok rozpościerał się poniżej tarasu restauracji. — Wtedy tutaj działało jeszcze sanatorium dla gruźlików. Rozmawialiśmy z każdym, kto tu pracował albo bywał. Zaczęliśmy od ordynatora, przez lekarzy, a skończyliśmy na sprzątaczkach. A potem zajęliśmy się wszystkimi

pacjentami.

Był bardzo szczupły, wręcz żyłasty, miał gęste srebrzyste włosy i przystojną ogorzałą twarz. Na pierwszy rzut oka były szef wydziału K23 z Darmstadt nie wyglądał na niemal siedemdziesiąt lat, choć tyle miał w rzeczywistości. Zamówił *tortelloni alla nonna* i białe wino z wodą gazowaną, a Bodenstein zdecydował się na sałatkę z grillowanym kozim serem.

— Przeczytałem wszystkie akta i protokoły z tamtego dochodzenia i byłem ogromnie zdziwiony, że przez tak długi czas nikt nie potraktował poważnie zaginięcia tamtego dziecka — zaczął Bodenstein, kiedy kelner skończył notować jego zamówienie. Celowo nie wyjawiał emerytowanemu policjantowi, kim dla niego był Artur i co go wtedy łączyło ze sprawą. Okazało się jednak, że Rath ma nieprawdopodobną pamięć.

— Pan był jego najlepszym przyjacielem, prawda?

— Tak, to prawda.

— Kiedy pan zadzwonił i powiedział, że znaleźliście szczątki tego biednego chłopaka, poczułem prawdziwą ulgę — wyznał Rath. — Każdy z nas ma jakąś sprawę w swojej karierze, która nie daje mu spokoju. Ja nie mogłem przestać myśleć właśnie o tej. — Westchnął i potrząsnął głową. — Wtedy byłem bardzo młodym, początkującym funkcjonariuszem, miałem ledwie dwadzieścia cztery lata. Miałem dużo zapału i masę dobrych chęci, ale nie połąpałem się zrazu, jak to naprawdę wyglądało.

Do stolika podszedł młody kelner i postawił koszyk z grzankami z serem.

— Nie rozumiem? — zdziwił się Bodenstein.

— Fakt, że policja kryminalna została do tej sprawy włączona dopiero po tak długim czasie, wynikał z jakichś rodzinnych powiązań.

— Dalej nie rozumiem. — Bodenstein zmarszczył czoło.

— Chodziły słuchy, że szef lokalnego posterunku policji w Königstein był spokrewniony z jakąś ważną osobą z wioski. A ta z kolei uważała, że takie

sprawy załatwia się we własnym gronie, więc policja kryminalna z Frankfurtu nie będzie im do niczego potrzebna.

— Pan chyba żartuje! — Oliverowi nie mieściło się w głowie to, co właśnie usłyszał, choć w zasadzie pasowało do wiadomości, które wydobył z akt. Spróbował przypomnieć sobie nazwisko szefa posterunku policji w ówczesnym Königstein, lecz nie potrafił. Teczkę z dokumentami zostawił u siebie na biurku, więc postanowił, że poprosi Kaia, by to dla niego sprawdził.

— To oczywiście nie zostało nigdy oficjalnie stwierdzone, ani nawet nie znalazło się w notatkach dołączonych do akt, ale i tak każdy o tym wiedział. — Rath zabrał się za drugą grzanekę z serem, pachnącą wspaniale pieczonym chlebem, oliwą z oliwek, serem i czosnkiem. — Nie miałem pojęcia, co się dzieje i dlaczego ludzie tak niechętnie reagują na próby nawiązania współpracy. Najgorsze, że uparcie milczeli. Zaginiony chłopak pochodził z tej wioski, w moim odczuciu powinien być traktowany jako jeden ze swoich, a jednak większość sprawiała wrażenie... sam nie wiem, obojętnych?

— Artur i jego rodzina byli przesiedleńcami i w chwili zaginięcia nie mieszkali jeszcze długo w Ruppertshain.

— Tak, miałem wówczas tego świadomość, jednak nie doszukiwałem się jakiegoś związku z tym faktem. Jego rodzice mówili bardzo dobrze po niemiecku, ich córka również. To byli bardzo porządni ludzie, zaskakująco dobrze wykształceni i obyci, tak wtedy uważałem. Tylko że nigdy wcześniej nie spotkałem się z wiejską społecznością i jej zasadami. Wychowałem się w dużym mieście i pracowałem też jedynie w dużych miastach. Może dlatego byłem z początku taki naiwny i myślałem, że ludzie z małych miejscowości mocno trzymają sztamę i pomagają sobie, kiedy jakiemuś dziecku dzieje się krzywda. Okazało się, że jest wręcz odwrotnie.

— Jak zareagował na to pana szef?

— Ginsberg był policjantem starej daty. Nie znał i nie zamierzał poznawać słowa psychologia. Wychodził z założenia, że zawsze i wszędzie każdy będzie próbował go okłamywać, dlatego był wyjątkowo nieufny. Nie udało mu się porozumieć z rodzicami zaginionego, więc przez całe godziny poddawał ich brutalnemu przesłuchaniu, choć nie było ku temu powodów. To było strasznie bezsensowne. Mnie wszyscy uważali za niedoświadczonego nowicjusza i nikt nie traktował serio. — Rath zaśmiał się krótko, lecz nie było w tym słychać rozbawienia. — Przy sprawie pracował jeden ze starszych kolegów, były nazista, który nie robił z tego żadnej tajemnicy. Gorzej, dalej zachowywał się tak, jakby tamte czasy się nie skończyły. Traktował rodziców chłopaka jak podludzi, od samego początku zwracał się do nich per ty. Byłem przerażony! Tymczasem ojciec zaginionego był w Rosji nauczycielem, a matka lekarką. Tutaj musieli pracować w zawodach poniżej ich kwalifikacji i godności. — Przerwał na chwilę i się zamyślił, szukając w pamięci kolejnych szczegółów. Na jego twarzy malowało się współczucie. — Wciąż jeszcze widzę ich rozpacz i to, jak bardzo starali się jej nie okazywać wobec innych. Chcieli zachowywać się spokojnie i z opanowaniem, jednak mój szef uznał to za dowód na to, że zaginięcie syna nie zrobiło na nich wrażenia.

— Musiało minąć dziesięć dni, zanim wyrażono zgodę na wykorzystanie psa tropiącego — zauważył Bodenstein. Wszystko, co dotychczas powiedział Rath, potwierdzało informacje, które wyczytał z akt. Poczuł, jak wypełnia go głęboki smutek. Biedny mały Artur — pomyślał. — Co się właściwie z tobą stało?

— Tak, to prawda. Ale i tego by nie zrobiono, gdybym się tak bardzo nie upierał.

— Przeczytałem notatki, które załączał pan do akt.

— Niestety, psa sprowadzono o wiele za późno. — Rath machnął ręką. — W tym czasie nad okolicą przeszło kilka burz. Nic dziwnego, że nie udało

się znaleźć żadnego śladu.

Kelner przyniósł sałatkę i makaron, a Bodenstein i Rath życząc sobie smacznego, zabrali się do jedzenia.

— Z tego, co wyczytałem, mieliście podejrzanych. — Oliver w końcu mógł przejść do pytań, dla których spotkał się z Rathem. — Wiem również, że jeden z nich do dzisiaj mieszka w Ruppertshain.

— Ma pan na myśli Leona Kellera. — Mężczyzna potaknął. — Miał wtedy dziewiętnaście lat i pracował jako uczeń w tej samej masarni, w której był zatrudniony ojciec Artura. Wcześniej w ogóle nie braliśmy go pod uwagę, w zasadzie zainteresowaliśmy się nim dopiero po tym, jak za pomocą aparatu bolcowego, takiego do uboju zwierząt, próbował odebrać sobie życie.

— Tak, to też już słyszałem — potwierdził Bodenstein.

— Wcześniej mieliśmy innego podejrzanego, a zajęliśmy się nim po sygnale od jednego z pacjentów sanatorium. — Rath upił łyk wina z wodą gazowaną. — Mężczyzna twierdził, że widział pewnego rolnika, najmującego się też do robót na dniówki, w towarzystwie jakiegoś chłopca. Facet miał trudności z wysławianiem się, a kiedy wzięliśmy go w obroty, zaraz się zaplątał i zaczął sobie przeczyć. Zarzucono mu, że jest pedofilem, a on szybko przyznał, że rzeczywiście lubi młodych chłopców. Mój szef uznał, że to mu wystarcza. Muszę w jego obronie dodać, że był pod ogromną presją. Szef policji, opinia publiczna i prasa domagały się jak najszybszego wyjaśnienia sprawy. Rolnik został poddany całej serii wyczerpujących przesłuchań, całymi godzinami zadawano mu tendencyjne pytania i sugerowano odpowiedzi, krzyczano na niego, aż w końcu się załamał. Zamknięty w celi popełnił samobójstwo, a zaraz potem się okazało, że nic się nie zgadza, a jego zeznania nie trzymają się kupy. Dla Ginsberga to był powód do strasznego wstydu i kompromitacji.

— Hm, na ten temat w aktach nie było ani słowa — zdziwił się Bodenstein.

— Nie jestem zaskoczony. — Rath uśmiechnął się słabo. — No cóż, zaraz

potem napatoczył się Keller. W leśnej chatce, w której pomieszkiwał, znaleziono części garderoby, które ponad wszelką wątpliwość należały do zaginionego chłopaka. A tak w ogóle, to na niego trafiliśmy tylko dzięki anonimowemu telefonowi od jakiejś kobiety, która zadzwoniła na policję w Königstein i powiedziała, że powinniśmy zwrócić uwagę na tego człowieka. Twierdziła, że widziała go z Arturem w noc, kiedy chłopak zniknął. Mieli wyjść z lasu poniżej sanatorium i razem szli przez łąki.

— Kim była ta kobieta?

— Nie mam pojęcia. Ani razu się nie przedstawiła. Ten sygnał spadł Ginsbergowi z nieba. Keller natychmiast został prasie przedstawiony jako sprawca. Nie mógł się bronić, bo leżał w śpiączce, a próbę samobójczą potraktowano automatycznie jako przyznanie się do winy.

— Wcześniej często bywaliśmy u Leona w jego chatce. Był naszym trenerem piłkarskim i wszyscy bardzo go lubili. — Bodenstein odłożył sztucce. Odechciało mu się jeść. — Rozgrywał z nami mecze i uczył nas sztuczek z piłką. Mogliśmy czytać jego komiksy, słuchać muzyki i bawić się starym pistoletem, który jego ojciec przywiózł z wojny. Ale nigdy się nam nie narzucał i nie był nieprzyjemny. Wydaje mi się, że po prostu mu imponowało, że my, mali chłopcy, bardzo go lubiliśmy i podziwialiśmy.

— Żaden z dzieciaków, z którymi wówczas przeprowadziliśmy rozmowy, nie powiedział o Kellerze złego słowa, jednak koszulka Artura wystarczyła Ginsbergowi, żeby uznać go za pedofila. Został naszym głównym podejrzanym. Ze śpiączki wybudził się dopiero wiele miesięcy później i niczego nie pamiętał. Amnezja wsteczna, co nie było dziwne, biorąc pod uwagę ciężkie obrażenia głowy.

— Nam, dzieciakom ze wsi, opowiadano, że Keller miał wypadek — przypomniał sobie Bodenstein. — Całe lata go nie było. Byłem prawie dorosły, kiedy wrócił do Ruppertshain i wprowadził się do matki. Mieszka

tam do dzisiaj i pracuje dla miasta w służbach komunalnych.

— Po wybudzeniu ze śpiączki musiał od nowa uczyć się przelżykać, mówić i chodzić — wyjaśnił Rath. — Rozmawialiśmy z nim jeszcze kilka razy, ale nie pamiętał niczego sprzed próby samobójczej.

— Czy zostały mu postawione zarzuty?

— Nie. Brakowało wystarczających dowodów, bo to, co mieliśmy, było bardzo słabe. Kobieta od telefonu nie zgłosiła się na policję. A potem miały miejsce kolejne sprawy, które skupiły na sobie naszą uwagę, a zaginięcie Artura popadło w zapomnienie i nikt już przy tym śledztwie nie grzebał, tym bardziej że prowadzący nie miał powodów do dumy.

Rath resztką makaronu zebrał sos z talerza.

— Nigdy nie przestałem myśleć, co się wtedy naprawdę stało. Ta sprawa nie dawała mi spokoju. Rodzice Artura byli wspaniałymi ludźmi. Nigdy nikogo nie obwiniali i nie nękali nas pytaniami, choć wielu nie daje nam w takich sytuacjach spokoju. Miałem za to wrażenie, że lokalni mieszkańcy za nimi nie przepadają, mówiąc delikatnie. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem takiej wrogości między sąsiadami.

— Patrząc na to śledztwo z perspektywy czasu, ma pan może jakąś teorię?
— zapytał Bodenstein.

— Obawiam się, że ten chłopak znalazł się po prostu w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze — odparł Rath po chwili milczenia. — Stało się coś złego, ale komuś udało się to ukryć. Najciekawsze, że to nie mógł być nikt przyjezdny, sprawcą był jeden z mieszkańców. Rozmawialiśmy ze wszystkimi pacjentami uzdrowiska. Każdy albo miał niepodważalne alibi, albo z powodów zdrowotnych nie był w stanie opuszczać sanatorium o własnych siłach. Prawdę mówiąc, przez cały czas miałem wrażenie, że ludzie ze wsi coś wiedzą, ale nie puszczają pary z gęby.

— Dlatego, że obciążyliby kogoś ze swoich? — zapytał Bodenstein.

— Całkiem możliwe. Z drugiej strony, może po prostu się bali i nie chcieli dać się w nic wciągnąć? Kto wie, co się wtedy kryło za fasadą sympatycznej małej miejscowości. Z nami w każdym razie nikt nie chciał rozmawiać.

— NIE MIAŁAM POJĘCIA, że twój brat odsiaduje wyrok za podwójne zabójstwo.

— Jechali służbowym autem przez Ruppertshain w kierunku kompleksu Zauberberg, gdzie czekał na nich Bodenstein, a Pia wciąż nie mogła otrząsnąć się z szoku po tym, co usłyszała.

— Bo nie odsiaduje — odparł Tarik, pisząc coś na ekranie telefonu. — Mój brat jest doradcą finansowym w banku w Böblingen, gra w piłkę nożną w lidze regionalnej i ma świra na punkcie zdrowego trybu życia.

— Słucham?! — Pia zdębiała.

— Ojej, wymyśliłem tę historyjkę i tyle. — Tarik uśmiechnął się rozbijając i wzruszył ramionami. — Cel uświęca środki, prawda? Jeden z naszych profesorów w szkole policyjnej powiedział, że funkcjonariusz pionu kryminalnego musi być też dobrym aktorem.

— Ty jesteś całkiem niezłym. — Pia nie mogła pojąć, że tak łatwo dała się nabrać. — Byłeś tak przekonujący, że uwierzyłam w każde słowo!

— Pani Lessing również. — Tarik uśmiechnął się zadowolony. — Właśnie dostałem wiadomość od Kaia. Jak dotąd Elias nie kontaktował się z Nike, ale nasi specjaliści z policji krajowej podpięli się pod dziewczynę i mają wszystko na podsłuchu.

Merle Grumbach, osoba odpowiedzialna za pomoc ofiarom przestępstw, została u Haverlandów przede wszystkim po to, by zapewnić im ochronę, ale również po to, by mieć na oku Nike. Pia nie miała pewności, czy może wierzyć nastolatce i jej zapewnieniom. Podejrzewała, że dziewczyna zgodziła się na współpracę z policją głównie ze strachu przed rodzicami, a kiedy przyjdzie decydująca chwila, będzie starała się ostrzec Eliasza.

Pia włączyła migacz i zjechała na parking przed kompleksem Zauberberg.

Wiadomości w gazetach i reportaże w telewizji nie wywołały strachu ani hysterii, ba, wręcz przeciwnie: brakowało miejsc, by zostawić samochód. Być może — pomyślała Pia — to właśnie tragedia przyciąga ludzi? W zasadzie od dawna się zastanawiała, skąd się bierze taka fascynacja przestępstwami i brutalnymi wypadkami komunikacyjnymi. Tragedie uwalniały w wielu przypadkach niezdrowy instynkt podglądactwa, którego jej najwyraźniej brakowało. Zaparkowała samochód tuż za służbowym autem Bodensteina. Wchodząc schodami do restauracji, czuła wabiącą woń jedzenia, wydobywającą się z wentylacji kuchennej. Od razu sobie uświadomiła, że dziś właściwie nic jeszcze nie jadła. Przy jednym z wysokich stolików niedaleko kuchni stał szef i rozprawiał o czymś z właścicielem restauracji, Hindusem Bandim.

— No, nareszcie — przywitał ją i Tarika.

— Wasza pizza będzie gotowa lada chwila. — Bandi zastukał w niewielkie okienko niedaleko stolika, przez które widać było korytarz prowadzący do kuchni. Jego pracownicy natychmiast zrozumieli znak od szefa.

— Jaka znowu pizza? — zdziwiła się Pia.

— Pomyślałem, że pewnie będziecie głodni po całym dniu pracy. — Bodenstein puścił do niej oko i zdusił w popielniczce niedopałek papierosa. — Tuńczyk, sardele, szpinak i podwójny czosnek, tak?

Wymieniona lista dodatków wystarczyła, by wywołać u Pii odruch Pawłowa. Jej żołądek jak na komendę zaczął głośno burczeć, a Pia musiała przełknąć nadmiar śliny, która napłynęła jej do ust.

— Przyniosę wam coś do picia — zapowiedział Bandi. — Pia, dla ciebie cola light?

— O tak, chętnie. Dużą poproszę! — Policjantka uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Dla mnie to samo — odezwał się Tarik.

Mimo że słońce już dawno schowało się za szczytami gór i zrobiło się chłodno, niemal wszystkie stoliki na tarasie ciągnącym się wzdłuż całego frontu restauracji były zajęte. Bodenstein zaprowadził ich do jedynej wolnej, usiadł i położył przed sobą telefon. Zanim podano pizzę, Pia i Tarik zdali mu relację z rozmów z Letizią i Henriette Lessing, a Bodenstein opowiedział o spotkaniu z Benediktem Rathem i o wszystkim, czego dowiedział się z akt sprawy wydobytych z archiwum.

— Siostra Eliasa jest przekonana, że jej brat ma jakąś kryjówkę gdzieś w lesie, bo często znikał na kilka dni i mówił, że idzie właśnie do lasu. — Pia rozdzieliła widelcem kawałki pizzy, żeby nieco szybciej ostygły. — Ty znasz tutejsze okolice i lasy znacznie lepiej od nas, jak myślisz, o co mogło mu chodzić?

— Hm. — Bodenstein się zamyślił. — Jest sporo możliwości, jeśli chodzi o kryjówki. Liczne chatki drwali i leśników, szałas i domki wędkarzy i ekologów, z których korzystają nieregularnie albo w ogóle o nich pozapominali. Stare wyrobiska, szyby kopalniane, wiaty do grilla przy parkingu Landsgraben i na górze Atzelberg. Zrujnowany młyn wodny w Silberbachtal. Stara leśniczówka przy drodze do Eppenhain. Równie dobrze mógł sam sobie sklecić jakiś szałas albo rozbić namiot.

— Koniecznie musimy go znaleźć, i to jak najszybciej. — Pia uniosła kawałek pizzy. — Może udałoby się nam zorganizować funkcjonariuszy do tyraliery? I psy tropiące? Przeczesałibyśmy wtedy spory kawałek lasu.

— Myślałem, że szukamy go w charakterze świadka? — zauważył Bodenstein.

— Zgadza się, przede wszystkim jako świadka — potwierdziła Pia.

Telefon Olivera zaczął wibrować, wydając z siebie delikatne buczenie, a na ekranie pojawiła się jakaś wiadomość. Policjant przesunął palcem po szkle i się uśmiechnął.

— To od mojej teściowej — wyjaśnił przepraszająco. — Odebrała właśnie Sopię od Lorenza i przysłała mi kilka zdjęć.

— Twoja teściowa korzysta z WhatsAppa? — Pia z wrażenia otworzyła szerzej oczy. — Myślałam, że ktoś taki jak ona pisze wiadomości gęsim piórem na czerpanym papierze i wysyła je przez posłańców. — Jeszcze zanim skończyła mówić, zauważyła zaskoczone spojrzenie Tarika, więc szybko wyjaśniła, że gdyby we Włoszech obowiązywała jeszcze monarchia, teściowa szefa, Gabriella hrabina Rothkirch, byłaby tam królową.

— Nie opowiadaj głupot. — Rozbawiony Bodenstein potrząsnął głową. — Skąd ty w ogóle wymyślasz takie historie?

— Oj, no może nie mogłaby zostać królową Włoch, ale za to jest spokrewniona z ostatnim cesarzem Niemiec. — Pia wgryzła się w aromatyczne ciasto i z zachwytem przewróciła oczyma. — Coś takiego było, dobrze pamiętam.

— Od kiedy moja starsza córka Rosalie przeprowadziła się do Nowego Jorku, teściowa bardzo mocno nadgoniła wszystkie technologiczne nowinki, jeśli chodzi o komunikację — wyjaśnił Oliver Tarikowi. — Piszą teraz do siebie przez WhatsAppa, a Gabriella założyła nawet czat rodzinny.

— O rany, super, że starsi ludzie nie boją się takich rzeczy — zachwycił się Tarik, nie przerywając jedzenia. Przez chwilę on i Pia rozkoszowali się swoimi pizzami, a Bodenstein przyglądał im się z uśmiechem.

— Wczoraj wieczorem w tej restauracji spotkali się moi dawni koledzy i koleżanki z bandy — powiedział nagle. — Inka, Reichenbachowie, piekarz Pokorny, rzeźnik Hartmann, Ralf Ehlers... Bandy powiedział, że siedzieli zupełnie z boku, przy jednym stoliku i o czymś bardzo zawzięcie dyskutowali. Potem dołączył do nich na chwilę Peter Lessing. Wypił tylko jedno piwo i zniknął.

— Może regularnie się tu spotykają? — Pia wytarła zatłuszczone palce

w serwetkę, po czym oczyściła nią usta.

— Nie, to było coś wyjątkowego — zaprzeczył Bodenstein. — Właśnie dlatego Bandi zwrócił na nich uwagę. Inka nie odwiedziła tej restauracji ani razu w ciągu ostatnich dwóch lat. Uważam, że powinniśmy z nimi porozmawiać.

— Nie rozumiem, od kiedy spotkania w restauracjach są sprzeczne z prawem? — Pia upiła łyk coli. Nagle naszła ją tęsknota za odrobiną nikotyny. Głód nikotynowy odczuwała zawsze po jedzeniu. Dla Bodensteina związek między trzema aktualnymi morderstwami i zaginięciem Artura zdawał się pewnikiem; innych możliwości w ogóle nie brał pod uwagę. To było dla niego wyjątkowo nietypowe podejście, bo dotychczas zawsze ostrzegał swoich ludzi, żeby nie spieszyli się ze wskazywaniem sprawcy albo motywu, dopóki nie będą mieli całkowitej pewności.

— Muszę wiedzieć, po co się spotkali i o czym rozmawiali — powiedział.

— Nie sądzę, żeby sami chcieli nam o tym powiedzieć, tym bardziej jeśli mają coś do ukrycia — ostudziła jego zapal Pia. W słabym świetle padającym na taras ze środka restauracji przez panoramiczne okna dostrzegła, że szef wygląda na wyczerpanego. Ona sama czuła się równie słabo. — Pogadamy o tym jutro, dobrze? — zaproponowała i ziewnęła dyskretnie. Z całą pewnością nie potrafiłaby się już tego dnia skupić. Zmęczenie bywa przyczyną większej liczby błędów niż głupota czy niedbalstwo. — Wszyscy mamy za sobą bardzo długi dzień i nie sądzę, żebyśmy komukolwiek pomogli, jeśli ze zmęczenia coś zawalimy.

— Zaraz, a to nie jest przypadkiem mój tekst? — Bodenstein uśmiechnął się słabo. — Ale zgoda, masz świętą rację. To był naprawdę bardzo męczący i długi dzień.

Na dodatek wszyscy mieli być w gotowości i czekać na telefon z komendy. Gdyby cokolwiek wydarzyło się tej nocy, zostaną bezlitośnie wyrwani ze snu

i wezwani na miejsce.

MUSIAŁA PRZYTRZYMAĆ SIĘ brzegu wanny, żeby odkręcić kran. Jak zawsze z początku poleciała brązowawa ciecz i dopiero po chwili czysta woda. Siedząc w słońcu, opróżniła całą butelkę szampana i wypaliła wszystkie papierosy, które Elias zostawił w salonie. A przecież już dawno rzuciła ten nałóg. Tylko jakie to miało teraz znaczenie? Żadnego. Za dwie, trzy godziny i tak będzie martwa. Felicitas zatkała odpływ gumowym korkiem i wyspała do wanny resztkę swojej ulubionej soli do kąpieli, jednej z ostatnich pamiątek po dawnym życiu. Starannie rozczesała włosy i upięła je w wysoki kok, włożyła najładniejszą bieliznę i białą suknię, która od lat czekała w szafie. Po raz ostatni miała ją na weselu przyjaciółki, która tę przyjaźń zerwała zaraz po uroczystościach, bo, jak się wyraziła, Felicitas swoim wyglądem ukradła jej całe show. Głupia zdzira.

Udała się do kuchni gospody po nóż. Jeden po drugim wyjmowała je ze stojaka i kciukiem sprawdzała ostrość. Już niedługo zakończy swoją męczarnię. Niemal cieszyła się na moment, w którym klinga przetnie skórę na nadgarstku. Dawniej, kiedy jeszcze była młoda, często nacinała sobie skórę, korzystając z żyłki. Ale zawsze w miejscach, w których nie mogła zrobić sobie nic poważnego, gdzie nie przebiegały żadne ważne żyły ani tętnice, które mogłyby przypadkowo uszkodzić. Ostry ból i widok pęczniejących kropel krwi bardzo ją uspokajały; sprawiały, że przez jakiś czas nie czuła strachu i gniewu, który zazwyczaj ją wypełniał. To była tajemnica, której nie dzieliła nawet z najbliższymi koleżankami, nie mówiąc już o siostrze. Dopiero kilka lat później dowiedziała się, że takie nacięcia miały swoją nazwę: sznyty. I że wiele dziewcząt je robiło. Felicitas przypominała sobie ogromne rozczarowanie, jakiego wtedy doznała. To odkrycie sprawiło, że wyjątkowość jej tajemnicy zniknęła, jakby została jej zrabowana. Od tamtego czasu wstydziła się licznych drobnych blizn na skórze i zaczęła szczerze nienawidzić

każdej dziewczyny, która też się cięła, zupełnie jakby ją z czegoś okradła. Z czegoś, co wcześniej należało tylko do niej.

Ale śmierci nie pozwoli sobie odebrać. Śmierć i decyzja, kiedy odejść, należały tylko do niej. Stęskniła się za sznytami, za widokiem krwi na skórze i za spokojnym dryfem w stronę snu... w stronę nicości. Bo tutaj nie zostało zupełnie nic, na czym by jej zależało. Darowała sobie nawet pisanie listu pożegnalnego. Bo do kogo miałyby go zaadresować? Kogo mogłoby zainteresować, dlaczego zamiast żyć dalej, postanowiła umrzeć? Jedynymi osobami, które zwrócą uwagę na jej śmierć, są dłużnicy. O tak, ci będą mieli powody do złości, a mianowicie dwieście osiemdziesiąt tysięcy euro strat. Felicitas uśmiechnęła się gorzko. W kuchni otworzyła kolejną butelkę wina, wzięła kieliszek z szafki nad blatem i przeszła do łazienki. Nóż położyła na ręczniku przygotowanym na brzegu wanny i wyłączyła wodę. Niespodziewanie usłyszała szum silnika. Uniosła głowę. Zaczęła nasłuchiwać. Czyżby Elias postanowił wrócić? Nie mógł chyba wybrać sobie gorszego momentu! Żeby człowiek nawet nie mógł odebrać sobie w spokoju życia — pomyślała w nagłym przyływie sarkazmu. Uruchomił się reflektor na fotokomórkę, zawieszony na dworze. A potem zgasł. Cisza. Warkot silnika ucichł w oddali.

— *Time to say goodbye* — mruknęła. Zsunęła kaptcie ze stóp i weszła do wanny. Woda była gorąca, bardzo gorąca. Skóra ją paliła i zrobiła się czerwona jak rak w ukropie. Łyczek wina. Ręcznik pod głowę. Nóż. Lewe ramię uniosła nad wodę. Jeszcze tylko energiczne, długie cięcie, którym rozpląta tętnicę, po którym nastąpi... znieruchomiała. Jakieś hałasy przy wejściu do domu. Chłodny powiew poruszył drzwiami do łazienki, których nie zamknęła. Schowała dłoń pod wodę, a nóż ukryła pod udem, kiedy usłyszała czyjeś kroki w korytarzu. Szlag by to trafił!

ZOBACZYMY SIĘ jeszcze dzisiaj? — napisała Karoline w wiadomości wysłanej jedenaście minut po dziewiątej wieczorem. — *Greta wyjechała na cały*

tydzień nad jeziorem. Chata wolna! J

Kusiło go, żeby nie skręcać w lewo, tylko jechać dalej, prosto do Kelkheim, lecz się nie ugiął. Miał poczucie, że przeoczył coś bardzo ważnego, może nawet decydującego i nie dawało mu to spokoju. Wiedział, że mimo zmęczenia i tak nie zaśnie, dopóki nie znajdzie odpowiedzi na pytania, które dręczyły go od rozmowy z Benediktem Rathem.

Brzmi super — odpisał, kiedy zatrzymał się na światłach w Fischbach. — *Mam jeszcze jedno spotkanie. Do której mogę przyjechać?*

Kiedy zechcesz — odpisała Karoline i dodała emotikonkę z buziakiem.

Bodenstein się uśmiechnął. Światło zmieniło się z czerwonego na mrugające pomarańczowe, jak zawsze w trybie nocnym. To oznaczało, że minęła dwudziesta druga. Skręcił w lewo i zjechał na B455.

Ludzie mają skłonność dostrzegać zwykle tylko to, co chcą, a przez to każda prawda jest w gruncie rzeczy subiektywnym odbiorem rzeczywistości, aż do pojawienia się twardych i niepodważalnych dowodów. Jednak nawet fakty mogą zaburzyć i wykrzywić obraz, jeśli nie są kompletne albo zostały przedstawione bez kontekstu. W ciągu wielu lat, które Bodenstein spędził w policji, nauczył się czytać akta starych spraw w taki sposób, by dostrzegać to wszystko, co kryło się między wierszami i zwracać uwagę na to, czego brakuje. Podobnie jak profilerzy, którzy starają się odtworzyć działania i decyzje sprawcy i próbują je zrozumieć, tak on starał się pojąć, jak i dlaczego śledczy poszli tą, a nie inną drogą i dlaczego tak, a nie inaczej postąpili. Akta policyjne, w przeciwieństwie do książki czy filmu, nie mają spójnej akcji i wprawnego narratora, a jednak tworzone są zgodnie z bardzo konkretnymi regułami, które nie zostawiają zbyt wiele przestrzeni do interpretacji. Akta sprawy Artura Berjakova miały wiele białych plam. Były dziurawe niczym ser szwajcarski i nie przedstawiały spójnego obrazu. Czy ta ostentacyjna niestaranność była formą strategii, czy raczej brakiem

profesjonalizmu?

To, czego dowiedział się dzisiaj od Benedikta Ratha, w większości nie znajdowało pokrycia w aktach. Brakowało opinii biegłych, protokołów przesłuchań i zeznań świadków, a ważne fakty były po prostu pomijane. Dlaczego? Czyżby ktoś maczał w tym palce? A może Konrad Ginsberg bał się, że ktoś mógłby zadać niewygodne pytania, dlatego nie poradził sobie z dochodzeniem i dlatego za każdym razem wyciągał niewłaściwe wnioski. W ogóle nikt nie przywiązywał do tej sprawy wagi, na jaką zasługiwała. Powód tego mógł być tylko jeden: policja nie traktowała jej priorytetowo. Artur i jego rodzina nie mieli nikogo, kto mógłby się za nimi wstawić. Dla nikogo się nie liczyli.

Bodenstein jechał przez las w kierunku majątku rodziców. Na wąskiej krętej drodze spotkał kilka samochodów zdążających w przeciwnym kierunku — pewnie gości pałacowej restauracji. Odcinek, którym się poruszał, pokonywał w minionych latach niezliczoną ilość razy, nie mając pojęcia, ba, nie podejrzewając nawet, jak niewiele dzieli go od szczątków Artura i Maxiego. Dziś rano kiedy zobaczył oba szkielety, ogarnął go taki żal, że naprawdę niewiele brakowało, by stracił panowanie nad sobą. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, co by się stało, gdyby przytłoczony emocjami nie wytrzymał i zalał się przy wszystkich łzami. Nie, nie mógł na to pozwolić.

Piękna kuta dwuskrzydłowa brama majątku rodu von Bodenstein była otwarta, dlatego wjechał na podwórze, zaparkował pod kasztanem i wysiadł. W oknie mieszkania jego rodziców paliło się światło, a lampy na zewnątrz, nad wejściem, też były jeszcze zapalone. Jednym skokiem pokonał trzy stopnie na podest i zapukał w ciężkie, dębowe drzwi. W domu nie było dzwonka. Chwilę później otworzył mu ojciec.

— O, to ty — powiedział. — Wejdz, proszę.

— Nie chcę wam zbyt długo zawracać głowy — powiedział Bodenstein

i przestąpił próg. Znalazł się w sieni, gdzie uderzył go znajomy zapach pasty do podłóg. — Mam tylko kilka pytań, na które możecie znać odpowiedzi.

— Ależ nie zawracasz nam głowy. — Ojciec Olivera się uśmiechnął. — Mama znowu ogląda *Downton Abbey*, a ja przeglądam stare zdjęcia.

Bodenstein ruszył za ojcem do dużego salonu. Matka siedziała przed telewizorem i oglądała akurat początek kolejnego odcinka swojego ulubionego serialu. Na stole piętrzyły się albumy fotograficzne i cała masa luźnych zdjęć. Z boku leżała lupa.

— Nie przeszkadzaj sobie, mamó — powiedział Oliver, jednak staruszka pilotem wyłączyła dźwięk.

— To jest przecież DVD, obejrzę potem — odparła. — Napijesz się herbatki? Mam jeszcze zapiekanekę w lodówce.

— Nie, dziękuję, już jadłem. — Bodenstein spojrzał zainteresowany na fotografie. Jego ojciec zajął miejsce za stołem, sięgnął po szkło powiększające i zabrał się za oglądanie starych zdjęć.

— Pamiętacie może, kto był szefem posterunku policji w Königstein w siedemdziesiątym drugim? — zapytał.

— Hm, w tym roku to musiał być chyba Raimund Fischer, prawda? — odparła matka. — Heinrich, jak myślisz?

— Też mi się tak wydaje — mruknął ojciec Olivera.

— Wiecie może, czy jeszcze żyje i gdzie mieszka?

— Och, nie, już dawno nie żyje. — Leonora von Bodenstein potrząsnęła z żalem głową. — Zginął w strasznym wypadku. Przejechał go jego własny traktor.

— Czy był spokrewniony z kimś z Ruppertshain? Może miał tu jakąś rodzinę albo wzenił się w jakąś? — Bodenstein nie był przesadnie rozczarowany wiadomością o jego śmierci, bo liczył się z tym, że po czterdziestu kilku latach szanse na rozmowę z najważniejszymi aktorami

tamtych wydarzeń będą raczej niewielkie.

— Raimund był bratem Gerlinde — wyjaśniła jego matka. — A Gerlinde Lessing była żoną naszego lekarza, pamiętasz go pewnie jeszcze, prawda? Zawsze go bardzo lubiłeś, bo ilekroć przychodził, miał dla was jakieś słodycze.

— Tak, racja, przypominam sobie. — Bodenstein poczuł mrowienie w żołądku. Lessing. Po raz kolejny Lessing. Pomyślał o teorii Wielanda. Czyżby wujek Petera dlatego tak długo nie włączał do sprawy policji kryminalnej, bo Peter miał coś wspólnego z zaginięciem Artura? On i Edgar?

— Och, Oliver, spójrz tylko tutaj! — Ojciec uniósł głowę i uśmiechnął się szeroko. — Popatrz! Tego właśnie szukałem! To są wasze zdjęcia z liskiem!

— Aha. — Choć mógł się czegoś takiego spodziewać, teraz poczuł się, jakby go ktoś zdzielił pięścią w splot słoneczny.

— Twój ojciec przez pół dnia myszkował po strychu, szukając tych fotografii — wyjaśniła matka. — A teraz wzrusza się wspomnieniami i robi się sentymentalny.

— Dobrze, że nie znalazłem ich wcześniej, wtedy, kiedy Clemens mnie o nie pytał — westchnął ojciec Olivera. — Inaczej byśmy już ich nie odzyskali.

— Czekaaj, tato, czyli chcesz powiedzieć, że wiedziałeś, że Clemens pracował nad kroniką okolicy? — zapytał Bodenstein ostrzej, niż zamierzał. — Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś?

— A skąd mogłem wiedzieć, że cię to interesuje? — bronił się ojciec, poirytowany jego tonem. — Clemens już kilka miesięcy temu poprosił nas o zdjęcia, a ja mu je pożyczyłem.

— Już dobrze, nie ma o czym mówić. — Bodenstein starał się załagodzić swój wybuch. — Nie mam przecież do ciebie pretensji. Przy okazji: jeśli w przyczepie Rosie spłonęły oryginały, Clemens miał skany wszystkich zdjęć

na dysku.

— Niezależnie od tego, co by to miało znaczyć, cieszyłbym się, gdyby udało się odzyskać zdjęcia, które ode mnie dostał — burknął hrabia.

— Pamiętasz, jakie dokładnie mu przekazałeś? — zapytał Bodenstein. — Prosił o zdjęcia konkretnych osób, czy raczej skupiał się na jakichś przedziałach czasowych albo wydarzeniach?

— Przede wszystkim interesowały go historyczne zdjęcia okolic. Ale też prosił o ujęcia ludzi i uroczystości. Odpusty, komunie, wesela, inauguracje, dożynki — generalnie wszystko.

Matka Bodensteina przysiadła się do męża i zaczęła przeglądać fotografie leżące z boku.

— Ojej, kochanie, popatrz na to! Czy to nie jest słodkie? — zapytała i podsunęła mu pod nos zdjęcie. Zanim zdążył odwrócić głowę, jego wzrok padł na wyblakły papier. Musiał przełknąć ślinę. Pożółkłe kolorowe zdjęcie z białą ramką przedstawiało go w wieku mniej więcej dziesięciu lat. Siedział na krześle, z Maxim na kolanach. Poczł bolesne ukłucie.

— O tak — powiedział szybko i odłożył je na stół.

— A tutaj, popatrz! Theresa, Quentin i ty, i wszystkie trzy lisie szczeniaki jeszcze razem — Maxi, Midi i Mini. Chodź, Oliver, przysiądź się, pooglądamy razem!

Bodenstein rozważał przez chwilę ucieczkę, lecz w końcu zmusił się, by zostać, i zajął miejsce obok matki. Jedno jedyne zdjęcie wystarczyło, aby — niczym podróżując wehikułem czasu — znalazł się z powrotem w czasach dzieciństwa. Z kieszeni marynarki wyjął okulary i wsunął je na nos.

— Nie pamiętałem, że robiliście tyle zdjęć — powiedział zaskoczony.

— Nie, to nie my, tylko twoja cioteczna babka Elisabeth. Ona była pasjonatką fotografii — odparła matka i nie podnosząc wzroku, podsunęła mu kolejne zdjęcie. — Przyjrzyj się temu, jak myślisz, kiedy zostało zrobione?

Nakryty stół kawowy, a dookoła rumiane twarze dzieci. On miał na sobie koszulkę z lamówką, na kolanach siedział mu Maxi. Na podłokietniku jego krzesła przycupnął Artur i położył dłoń na głowie liska.

— To musiało być w czasie przyjęcia z okazji szóstych urodzin Quentina — powiedział. Krótco przed zniknięciem Artura i Maxiego — dodał w myślach.

Przerzucał kartki w albumach i przyglądał się fotografiom. Ludzie, konie, psy, koty, dzieci i wciąż kolejne zdjęcia lisa, wielkiej atrakcji majątku Bodensteinów. Starannie wycięte artykuły z gazet o Maxim, oswojonym lisie, i inne, o zawodach jazdy konnej, w których brali udział, wszystkie równo złożone i wklejone. Fotografie z turnieju piłki nożnej, który odbył się w czerwcu siedemdziesiątego drugiego. Bodenstein przyjrzał się twarzom zawodników: Konni, bramkarz. Andi, Roman, Edgar, Ralf, Klaus i on sam. I zupełnie z przodu, z piłką pod pachą, Artur. Jedyne uśmiechnięty, choć akurat on nie miał powodów do radości. Zdjęcia Theresy i jej trzech przyjaciółek.

— To jest siostra Artura. — Bodenstein wskazał palcem na długonogą blondynkę, która stała obok Theresy i trzymała ją pod ramię. — A pozostałe dziewczyny? Kim one są?

— Ta mała z warkoczykami to Franziska Hartmann, córka rzeźnika. — Matka Olivera zmrużyła oczy i skupiona przyjrzała się poźółkłej fotografii. — Już nie żyje. Zginęła w wypadku. Jechała rowerem do Fischbach. Kierowcy samochodu, który ją potrącił, nigdy nie udało się odnaleźć. A ta druga... to... Claudia, tak, Claudia miała na imię. Ale nie mam pojęcia, co się z nią stało.

Kiedy Bodenstein przeglądał kolejne zdjęcia, przysłuchiwał się jednym uchem rozmowie rodziców. Mówili o ludziach, z których część już od lat nie żyła. Omówili losy połowy mieszkańców wsi, nie wiedząc nawet, jak wiele ciekawych informacji dostarczyli synowi. Czy byliby gotowi podjąć się gigantycznej pracy i przejrzeć setki zdjęć z Dropboksa Clemensa Herolda?

Może potrafiliby rozpoznać uwiecznionych na nich ludzi? Kazać przesłać im wszystkie fotografie? Pewnie nawet dobrze by się przy tym bawili, nawet jeśli z początku narzekaliby na ogrom pracy. Wspomnienie jednego konkretnego zdjęcia pojawiło się w głowie Olivera, lecz było bardzo niewyraźne, niemal nieczytelne.

— Tak mi coś świta, że miałem też swoje własne albumy, prawda? — przerwał im dyskusję o tym, czy ojciec Hilzego Herberta zginął zimą 1944 na froncie wschodnim czy we Francji. — Gdzie one mogą być?

— Na strychu — odparł ojciec. — Tam jest cała skrzynia z twoimi starymi rzeczami.

Zegar stojący w kuchni wybił jedenastą. Bodenstein dopiero wtedy uświadomił sobie, jak jest późno i że chciał jeszcze jechać do Karoline.

— Gdzie konkretnie je znajdę? — Wstał i zdjął okulary do czytania.

— Na zielonym regale, po prawej stronie przy schodach. Dość wysoko. Chcesz, żebym poszedł z tobą?

— Nie, dzięki. Powinienem dać sobie radę. — Bodenstein popatrzył na rodziców siedzących razem przy stole i pogrążonych we wspomnieniach. Jego ojciec miał ponad osiemdziesiąt lat, a matka siedemdziesiąt sześć. Choć każde z nich było już kruche, umyślowo cały czas pozostawali w najwyższej formie. Co sprawiało, że czuli się młodzi? Ich dobroduszne i radosne przekomarzenia się? Nagle poczuł do nich głęboką sympatię i przywiązanie. W dzieciństwie i młodości czasem oczekiwał od nich nieco więcej serdeczności, może też wyraźniejszej deklaracji miłości. Później nauczył się akceptować ich takimi, jakimi byli: pragmatyczni, nieco szorstcy i oszczędni w okazywaniu uczuć. O tym, że to niekoniecznie wada, dowiedział się znacznie później. Nigdy nie zmuszali do niczego ani jego, ani jego rodzeństwa. Pozwalali im podejmować samodzielnie wszystkie decyzje, lecz kiedy byli potrzebni, zawsze znajdowali czas i nigdy nie odmawiali pomocy, jakby wsparcie było czymś zupełnie

naturalnym. I to samo zrobili dzisiaj. Kiedy zobaczył zdjęcia Maxiego i przeczytał artykuły o nim, lis przestał być symbolem wypartej traumy i przekształcił się w cudowne wspomnienie z dzieciństwa. Znow mógł o nim myśleć, nie czując natychmiast kluczy w gardle. Zdjęcia jako terapia.

— Dobranoc, kochani — powiedział, pocałował matkę w policzek, położył dłoń na ramieniu ojca i ścisnął. — Miłego wieczoru.

— Tobie też, Oliverze. — Staruszek pokiwał głową. — Tylko pamiętaj zgasić światło na strychu, kiedy znajdziesz to pudełko. I dobrze zamknij drzwi.

— Oczywiście, tato. — Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Rodzice zawsze będą rodzicami. — Zgaszę światło i zamknę drzwi.

1. Fragmenty Wiersza jesiennego Rainera Marii Rilkego w przekładzie Mieczysława Jastruna, z tomu Poezje, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974. [\[wróć\]](#)

PONIEDZIAŁEK 13 PAŹDZIERNIKA 2014

Nike? To ja, Eli.

— Eli! Gdzie... gdzie jesteś?

Cisza. Brak odpowiedzi.

— Jak się czujesz?

— Ja? Dobrze, nic mi nie jest. Strasznie cię przepraszam, że tak długo się nie odzywałem, ale... ja... no mam trochę problemów.

— Bardzo się o ciebie boję, Eli. Wiesz, że wszyscy cię szukają, prawda? W telewizji pokazują twoje zdjęcie.

— Tak, wiem. Przysięgam, że nic złego nie zrobiłem. Ale nie ufam gliniarzom i nie będę z nimi rozmawiał. Zaraz by mnie władowali z powrotem do pierdła, bo jestem przecież na warunkowym. Nie chcę siedzieć, jak będziesz rodzić.

— Babka z policji mówiła, że oni chcą cię ochronić. Przed gościem, który podpalił tamtą przyczepę.

— Nike, oni dużo gadają, ale to same kłamstwa. Mówię ci, nie można wierzyć w ani jedno ich słowo. Nie znasz ich. Ale to nieważne. Niedługo będzie po wszystkim. Cudownie słyszeć twój głos.

— Twój też.

— Od dwóch tygodni nic nie jarałem i nie łykałem.

— Serio? Genialnie!

— A co u ciebie? I u dziecka? Wszystko dobrze?

— Tak. Oczywiście. Tylko ciągle kopie.

— O rany, Nike! Jak ja za wami tęsknię. Cały czas o was myślę.

— Ja o tobie też. Kiedy... kiedy się zobaczymy?

— Nie mam pojęcia. Kiedy będziesz chciała. Mam teraz furę. Mógłbym do ciebie wpaść albo... — przerywa — albo nie. Lepiej nie. Gliny pewnie cały czas siedzą u ciebie pod chatą, bo myślą, że jestem głupi i się tam pokażę.

Cisza.

— Dostałaś mój list?

— Nie, niczego nie dostałam.

Cisza.

— Hej, na pewno wszystko dobrze? Nie masz problemów w chacie? No wiesz, przeze mnie?

— Żebyś wiedział.

— Kurczę, strasznie mi przykro.

— Nie przejmuj się.

Kolejna chwila ciszy.

— Nike, muszę kończyć. Odezwę się później. Daj radę, okej?

— Eli... poczekaj! Muszę ci... halo? Elias? Elias!

Połączenie zostało przerwane. W salonie domu rodziny Haverlandów przez dłuższą chwilę panowała martwa cisza. Nike siedziała między matką a Merle Grumbach z policji. Dziewczyna była blada i zaciskała nerwowo palce na smartfonie.

— Nie mogłam się z nim umówić, nie dałam rady — powiedziała ze smutkiem. — Za szybko skończył rozmowę.

— A konkretnie po dwudziestu ośmiu i czterech dziesiątych sekundy — potwierdził technik, który na miejsce przybył jednocześnie z Pią. — Najpewniej się obawiał, że jeśli będzie dłużej rozmawiał, uda się nam go namierzyć.

— Miałam wrażenie, że mi nie wierzy. — Nike czuła się bardzo niepewnie.

— Nie, nie, wszystko poszło bardzo dobrze, świetnie dałaś sobie radę —

pocieszyła ją Pia. — Elias nie może czuć presji.

Merle na trzy minuty przed piątą rano wszczęła alarm informacją, że chwilę temu Elias podjął pierwszą próbę kontaktu z Nike. Wezwanie wyrwało Pię z głębokiego snu, z którego do teraz nie mogła się do końca otrząsnąć. Rodzice Nike czuli się chyba podobnie, bo wyglądali na wyraźnie zaspanych.

— Czy ktoś ma ochotę na kawę? — zaproponował ojciec. Był nieogolony, miał zapuchnięte, czerwone jak u królika oczy i sterczące na wszystkie strony włosy. Ubrany był w płaszcz kąpielowy z emblematem hotelu wyszytym na kieszonce z przodu. Ciekawe — pomyślała Pia — czy go kupił w tym hotelu, czy po prostu zakosił?

— Ja poproszę! — zawołali chórem Pia, Merle i technik, a pan Haverland wstał i ruszył w stronę kuchni. Chwilę później dobiegły ich stamtąd brzęk porcelany i szum ekspresu do kawy, a w powietrzu rozniósł się cudowny aromat świeżo mielonych ziaren.

— Skąd może mieć samochód? — zapytała Nike.

Bardzo dobre pytanie — pomyślała Pia, a odpowiedź na nie w równym stopniu budziła strach i nadzieję. Posiadając auto, Elias Lessing z jednej strony stawał się niebezpiecznie mobilny, a z drugiej, skoro pozostawał w ruchu, bez stałego schronienia, łatwiej będzie go złapać.

— Nie mam pojęcia. — Podeszła do okna zajmującego całą ścianę salonu, od podłogi po sufit, i wyjrzała na zewnątrz, na ulicę pogrążoną jeszcze w mroku poranka. Jakiś mężczyzna z dwoma zziąjanymi psami przetruchtał w pobliżu. Po drugiej stronie drogi ciemnowłosa kobieta popychała wózek, w którym zamiast dziecka leżały gazety. Nieznajoma wrzucała je do skrzynek pocztowych. Dom Haverlandów stał na naprawdę niewielkiej działeczce w jednej z najbardziej pożądanых okolic Bad Soden. Podobnie jak w większości miasteczek przedniego Taunusu, również i tutaj wolne parcele należały do rzadkości, dlatego architekci starali się zmieścić tyle budynków na

każdej działce, ile tylko się dało. I tak w miejscach, gdzie dawniej stał jeden dom, dziś tłoczyły się dwa czy nawet trzy. W zbocza z łupka wgrzyzały się podziemne parkingi, a wąskie uliczki były zastawione autami po obu stronach. Jak dobrze znali się okoliczni mieszkańcy? Czy zauważyliby jakiś nowy, niewidziany tu wcześniej samochód? Pia była przekonana, że prędzej czy później Elias przyjedzie zobaczyć się z Nike.

— Dobra, to co teraz? — Merle Grumbach stanęła obok Pii. Miała twarz obsypaną piegami, dzięki czemu wyglądała na młodszą. W tej chwili malowała się na niej szczerą troską. — Myślisz, że dziewczyna jest w niebezpieczeństwie?

— Sama nie wiem — odpowiedziała Pia półgłosem i się zasepiła. — Dobra, nie wydaje mi się, żeby chciał jej coś zrobić, ale głowy za to nie dam. Wygląda na to, że chłopak jest nieobliczalny. Prędzej czy później na pewno się tu pojawi, o ile już teraz nie czai się gdzieś w pobliżu. Ściga go facet, który zamordował troje ludzi w ciągu kilku dni, więc nawet jeśli Elias miałby nie stanowić zagrożenia dla Nike, ten drugi gość — z całą pewnością.

— Myślisz, że mógłby porwać dziewczynę, żeby zwabić Eliasa?

— To tylko jeden z możliwych scenariuszy. — Pia potaknęła. Rozejrzała się po pokoju. Wnętrze zdominowały okna sięgające od podłogi do sufitu. Dom został zbudowany na zboczu. Z okolicznych pól bez trudu można było za pomocą lornetki zajrzeć do środka, do każdego pomieszczenia. — Wiem, że to może być uciążliwe i problematyczne, ale Haverlandowie powinni opuścić rolety i siedzieć w domu.

— Może lepiej byłoby przenieść Nike dokądś, gdzie będzie bezpieczna, przecież ta dziewczyna jest w zaawansowanej ciąży.

— Prawdę mówiąc, też czuję dyskomfort, że wykorzystujemy ją jako przynętę — przyznała Pia. — Postaraj się ustalić, czy ma jakichś krewnych, u których mogłaby zamieszkać do czasu, aż dopadniemy Eliasa.

Ojciec Nike wrócił z kuchni z tacą zastawioną filiżankami i poczęstował zebranych. Pani Haverland objęła córkę ramieniem i spojrzała na męża. Oboje byli wyraźnie zaniepokojeni. Pełną napięcia ciszę przerwał sygnał komórki. Wszyscy drgnęli przestraszeni i musiało minąć kilka sekund, zanim Pia uświadomiła sobie, że to jej telefon.

— Tak? — odebrała połączenie.

— Cześć, obudziłem? — Usłyszała znajomy głos. Dyżurny z komendy.

— Nie, co się dzieje? — Pia przeczuwała najgorsze. Telefon o tej porze nie mógł oznaczać niczego dobrego.

— Mamy ciężko ranną osobę. — Policjant potwierdził jej obawy. — W Ruppertshain, przy boisku. Pogotowie i nasi z prewencji są już na miejscu.

— Jestem poza domem. Poczekaj, nie rozłączaj się — odpowiedziała Pia, odstawiła kawę na tacę i wyszła na korytarz. — Podnieś priorytet poszukiwań Eliasa Lessinga i dodaj informację, że najprawdopodobniej porusza się teraz autem. W Königstein, Kelkheim i Bad Soden zarządzicie wzmocnione kontrole drogowe, najlepiej od razu, bo przecież zaraz na drogach zrobi się tłok. Wyślij też radiowóz na Egmontstrasse w Bad Soden, do Haverlandów. Obawiam się, że chłopak się tu wybiera.

NA ŁĄCE obok boiska, tuż pod lasem, stał helikopter pogotowia ratunkowego. Wzdłuż wąskiej polnej dróżki prowadzącej w kierunku doliny stały zaparkowane karetki, straż pożarna, radiowóz i na samym końcu srebrny opel komendy policji w Hofheim. Pia stanęła tuż za nim i wysiadła.

Tarik ledwie zauważył jej przybycie, natychmiast ruszył w jej stronę.

— Pia! To Pauline! Ja... — wyjąkał i zaciął się na chwilę. — Rozpoznał ją człowiek, który ją znalazł.

Policjantka miała wrażenie, że na jej sercu zaciska się lodowata pięść.

— Pauline? Pauline Reichenbach? — upewniła się. — Co jej się stało?

— Nie wiadomo, jest nieprzytomna — wyjaśnił młody policjant.
— Lekarze starają się ją ustabilizować do transportu, bo w tym stanie nie mogą ryzykować.

— Kto ją znalazł?

— Tamten siwy facet z psem, o tam. — Tarik wskazał na grupkę ludzi stojących na łące, nieco powyżej drogi. Za nimi wznosiły się budynki stadniny, masywne i ponure, przypominające warowny gród. — Do niego należy tamten czarny mercedes, ten, który stoi przed karetką. Codziennie przyjeżdża tu samochodem, żeby wyprowadzić psa.

— A reszta? Co to za ludzie?

— Dwójka przyszła ze stadniny, a pozostali to raczej przypadkowi przechodnie.

— Rozmawiałeś już z nimi?

— Tak. Nikt niczego nie widział ani nie słyszał. — Tarik przygryzł wargę.
— Lekarz powiedział, że to nie wygląda dobrze. Pauline odniosła bardzo ciężkie obrażenia głowy.

— Chodź — powiedziała Pia. — Muszę pogadać z lekarzem.

— Ja... ja nie mogę. Nie dam rady. — Tarik się zawahał. — Nie chcę widzieć jej w takim stanie.

— Tarik! Weź się w garść! — zganiła go Pia.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła zdecydowanym krokiem wzdłuż ogrodzenia stadniny, wąskim pasem łąki, ciągnącym się między wybiegiem dla koni a wysokim żywopłotem chroniącym zwierzęta przed wiatrem.

Nad pokrytą rosą trawą unosiła się mgła, delikatna niczym welon panny młodej. Pierwsze promienie wschodzącego słońca odbijały się feerią barw w kroplach zwisających z liści, lecz Pia nie miała czasu, by kontemplować piękno wstającego dnia. Każde uderzenie serca wypełniało jej żyły kolejną dawką adrenaliny, a ona, wbrew zdrowemu rozsądkowi, wierzyła, że

dziewczyna nie będzie aż tak ciężko ranna. Drzwi karetki stały otworem, w środku na noszach leżała Pauline, a wokół niej krzątało się dwóch lekarzy i ratowniczką medyczną.

— O, dzień dobry, komisarz Kirchhoff — przywitał się jeden z medyków, który znał Pię z wcześniejszych wezwań.

— Dzień dobry. — Pia nie traciła energii na tłumaczenie, że już od dwóch lat nie nosi tego nazwiska. — Jak to wygląda? Rokowania?

— Pacjentka jest w stanie krytycznym. Nie oddycha samodzielnie i jest skrajnie wychłodzona.

— Da radę?

— W tej chwili bardzo trudno powiedzieć. Na razie mamy stwierdzone otwarte złamanie czaszki i kilka złamań kości. Z taką brutalnością bardzo rzadko się spotykamy.

— O nie... — jęknął Tarik, po czym zadrżał, przycisnął dłoń do ust i odwrócił się, wydając dźwięk, jakby szlochał.

— Dzięki za informacje — powiedziała Pia. Po chwili przypomniała sobie zachwyty, jaki malował się na twarzy Pauline, kiedy przed kilkoma dniami opowiadała jej o projekcie dotyczącym dziko żyjących kotów, który nadzorowała. Policjantka poczuła głęboki smutek na wspomnienie, jak dziewczyna flirtowała z Tarikiem i jak śmiała się bez troski. Nie mogła wtedy przypuszczać, co ją czeka. Czy jej młode życie, pełne oczekiwań, ambicji, szans i marzeń zostanie brutalnie przerwane? Czy jej przyszłość zostanie zniszczona? Ale przez kogo? I dlaczego? Co takiego zrobiła ta biedna dziewczyna, że stała się celem przerażająco brutalnego ataku? Gdzie czekał na nią sprawca? Jak ją zaatakował? Może się z nią umówił? Czy to mógł być ten sam człowiek, który zamordował Rosie Herold, jej syna Clemensa i starego księdza? Poczula, jak wypełnia ją złość, całkowicie przepędzając przerażenie i smutek. O nie, na takie uczucia nie było teraz czasu. Dziewczyna jeszcze żyła.

Wciąż miała szanse, niewielkie, ale zawsze.

— NAJCHĘTNIEJ CODZIENNIE bym się tak budził. — Czującym gestem odsunął kosmyk włosów z jej twarzy i przyciągnął ją do siebie. Dotyk jej miękkiej skóry, jej prawa noga na jego biodrze, czoło wtulone w jego szyję. Czuł szczęście, że trzyma ją w ramionach, że to z nią dzieli tę cudowną rozkosz i słucha, jak uspokaja się jej serce, które jeszcze przed chwilą biło jak szalone.

— Jest na to sposób. — Bodenstein słyszał jej głos i wiedział, że się uśmiecha. — Zamieszkajmy razem.

— Wow. — Odwrócił delikatnie głowę, przycisnął usta do jej skroni, pocałował ją i przez chwilę trwał tak w bezruchu. Wszystko, co dotychczas wydawało się problematyczne i skomplikowane, w jednym momencie stało się proste, zrozumiałe i oczywiste. *Zamieszkajmy razem*. Dwa słowa, które sprawiły, że wszystkie dotychczasowe dyskusje, wszystkie zbyt emocjonalne zachowania i wynikający z nich coraz większy dystans nagle przestały się liczyć.

— Mówisz poważnie?

— Najpoważniej na świecie. — Karoline odchyliła odrobinę głowę, ledwie tyle, by mogła go widzieć. — Kocham cię. I nie chcę marnować więcej czasu. Jeśli mamy czekać na idealny moment, na pewno przejdzie nam koło nosa, a my go nie zauważymy.

Jej słowa poruszyły coś głęboko w jego duszy i w jednej chwili opanowało go takie szczęście, że poczuł ucisk w gardle. Miał wielką nadzieję, że taki dzień w końcu nadejdzie i że Karoline dotrze do tego punktu, choć powoli tracił wiarę, że tak się stanie. Zbyt rzadko dane im było przeżywać chwile takie jak ta, zbyt często nie mieli czasu na rozmowy i nazbyt mocno zaczęli się od siebie oddalać, głównie ze strachu przed niezrozumieniem i zranieniem. Pustki, która w ten sposób powstała, nie były w stanie wypełnić żadne

niezobowiązujące rozmowy o błahostkach. Obawiał się, że to początek końca. A tu proszę, taka niespodzianka!

— Ja też cię kocham — wyszeptał wzruszony. — I uważam, że to doskonały pomysł. Kiedy podjęłaś decyzję?

— Wczoraj w nocy — odparła.

— Wczoraj w nocy? Dlaczego akurat wtedy?

— Bo po raz pierwszy miałam wrażenie, że otworzyłeś przede mną swoje serce — odpowiedziała i pokiwała poważnie głową. — Wcześniej rozmawialiśmy głównie o mnie, a nigdy o tobie. Ty wiesz wszystko, ja, do wczoraj wieczora, nie wiedziałam o tobie właściwie nic. Przez cały czas trwania naszej znajomości nie pokazałeś mi, jaki naprawdę jesteś i co czujesz. Wczoraj w nocy to się zmieniło. Bardzo ci za to dziękuję.

Bodenstein nie wiedział, co odpowiedzieć, a ze wzruszenia głos uwiązł mu w gardle. Czy to mogło oznaczać, że ponosił winę za rozpad wcześniejszych związków? Czy nie przetrwały próby czasu dlatego, że nie potrafił się otworzyć? A może krył to wszystko w sobie, bo przeczuwał, że ani Cosima, ani Nicola, ani nawet Inka nie były nim poważnie zainteresowane?

Przytulił ją jeszcze mocniej i westchnął głęboko. Czuł się obezwładniony czułością i wdzięcznością w stosunku do Karoline.

Zbliżała się północ, kiedy stanął przed jej drzwiami. W rękach trzymał znaleziony na strychu rodziców spory zakurzony karton, w którym mieściły się jego wspomnienia z dzieciństwa. Bodenstein nie wiedział, co w nim odnajdzie, ale kiedy Karoline zaproponowała, żeby razem przejrzeć jego zawartość, nie wahał się ani sekundy. Usiedli przy stole w salonie, otworzyli pudło i zabrali się do pracy, w czasie której opróżnili butelkę muscadet. Oliver pokazał jej albumy z fotografiami z dzieciństwa, których nie widziała nawet Cosima. I opowiedział jej o Maxim.

— On był twoją pierwszą wielką miłością, prawda? — zapytała poruszona.

— W pewnym sensie tak — przyznał, nieco zakłopotany. — Kiedy zniknął, miałem naprawdę złamane serce.

— Moją pierwszą wielką miłością był koń — wyjawiała Karoline. — I nie, nie należał do mnie, ja się tylko nim zajmowałam. Miałam dwanaście lat, kiedy właściciel postanowił go sprzedać. To był też mój pierwszy miłosny zawód. Myślałam, że umrę, tak bardzo cierpiałam po jego stracie.

I nagle wszystko wydało się proste, a Bodenstein nie miał trudności, by mówić o Maxim i o tym, ile mały lis dla niego znaczył. Nigdy wcześniej nie posiadał niczego na własność; niczego, co należałoby tylko do niego. Jego rodzice nie byli majętni i nie przelewało się w domu. Nawet buty, ubrania i zabawki on i jego rodzeństwo dostawali po kuzynach. Aż nagle, zupełnie niespodziewanie, w jego życiu pojawiło się to małe dzikie zwierzę i zaczęło chodzić za nim krok w krok jak cień, szybko obdarzając swojego nowego pana pełnym zaufaniem i bezgraniczną miłością. Maxi miał przy tym bardzo silną osobowość i nie pozwalał się dotykać nikomu poza nim, Arturem i Wielandem.

— Kiedy zniknął on i w tym samym czasie Artur, zostałem sam ze swoim bólem — tłumaczył. — Może to przez bardzo surowe wychowanie, a może przez strach przed kolejnym zawodem i zranieniem, ale nie potrafiłem potem zmusić się do bliskości i zaufania.

Opowiedział Karoline o dawnej bandzie, o Arturze, o swoich strachach i obawach, a ona słuchała go bardzo uważnie. Z każdym wypowiedzianym słowem przestawał czuć żal, a rozmowa zdjęła z jego barków ból i dręczące go wyrzuty sumienia. Było zupełnie inaczej. Wyjęli całą zawartość kartonu i przeglądali stare albumy, przywołując wspomnienia. Oglądali każde zdjęcie, każdy ślad dawnych czasów, przechowywany przez jego rodziców — choć przecież do dzisiaj nie miał pojęcia, że te fotografie w ogóle istnieją. Nagle zaczął przypominać sobie drobne zdarzenia i sytuacje: zabawne, banalne,

smutne i takie, które wówczas, w dzieciństwie, wydawały się śmiertelnie poważne.

— Nigdy jeszcze nikomu o tym wszystkim nie mówiłem — powiedział w końcu, zaskoczony tym, co się stało.

— No i? — zapytała Karoline. — Trudno było?

— Nie. Z tobą nie. Mam wrażenie, że cały czas słuchałaś z zainteresowaniem.

Nie zastanawiając się szczególnie długo, otworzył przed nią najtajniejszy schowek ukryty głęboko w duszy, i proszę, nie wydarzyło się nic złego, żadna katastrofa nie wstrząsnęła jego światem. Ba, ulżyło mu, bo wreszcie mógł z kimś porozmawiać o tych sprawach — z kimś, kogo kochał i komu ufał — z wzajemnością. Dość już długo skrywanych tajemnic. O wszystkich jej opowiedział, odbierając im otoczkę mitu, a kryjące się w nich demony przestały wzbudzać strach. Rozmawiali do trzeciej nad ranem, aż zrozumiał, że Karoline daje mu szansę na pogodzenie się z przeszłością. Stare rany w końcu mogły zacząć się goić.

TARIK STAŁ kilka metrów dalej, przy drewnianym ogrodzeniu wybiegu dla koni. Opierał się obiema rękoma o górną belkę i patrzył gdzieś w przestrzeń. Widać było, że nie czuje się dobrze i jest przerażony, do tego stopnia, że Pia przez chwilę rozważała, czy podejść do młodszego kolegi i go przytulić albo w jakiś inny sposób dodać mu otuchy. Zdecydowała jednak, że nie tędy droga. W policji nie robi się takich rzeczy.

— Rozmawiałeś z nią po tym spotkaniu w lesie przy kempingu? — zapytała rzeczowo. Tarik odwrócił głowę i popatrzył na nią zaczerwienionymi oczyma.

— Zupełnie cię to nie rusza? Nic a nic? — zapytał z wyrzutem w głosie. — Oboje ją przecież znaliśmy... a teraz może umrzeć!

Pia zdawała sobie sprawę, że mogło się wydawać, jakby los Pauline Reichenbach był jej zupełnie obojętny, a brutalna tragedia nic jej nie obeszała,

mimo że w rzeczywistości czuła się zupełnie inaczej. Taka postawa była jej tarczą ochronną, której potrzebowała.

— Dopiero co o tym rozmawialiśmy, pamiętasz? W drodze do Instytutu Medycyny Sądowej — przypomniała mu cicho. — W naszej pracy nie ma miejsca na emocje. Naszym zadaniem jest ustalenie, kto skrzywdził Pauline, a do tego konieczne jest zachowanie chłodnej głowy i zdolności logicznego myślenia. Nie cofniemy tego, co się stało, ale możemy za to dopaść sprawcę i spowodować, że zapłaci za to, co zrobił ofierze.

— Nie nazywaj Pauline ofiarą! — krzyknął Tarik. Zakrył na chwilę dłonią oczy i zaczął masować palcami nasadę nosa. — Proszę! Ona ma imię. To Pauline.

Pia się zamyśliła. Przyglądała mu się z profilu i w pewnej chwili uderzyło ją to, jak bardzo musiał walczyć z przerażeniem i bezradnością, które nabierały zupełnie nowego wymiaru przez to, że poszkodowaną była osoba znajoma i to w dodatku bardzo lubiana. To było jego pierwsze dochodzenie w sprawie morderstwa, więc nie miał żadnych schematów ani sprawdzonych metod, do których mógłby się uciec. Czyżby zdawał właśnie egzamin, do którego, na pewnym etapie, każde z nich musiało podejść, by móc podjąć decyzję, czy to jest właśnie zawód, który chcą wykonywać? Jak Tarik sobie poradzi? Podda się? Nie każdy posiadał wystarczającą odporność psychiczną, by wytrzymać chwile takie jak ta.

— Tarik.

— Tak, wiem. Zachowałem się nieprofesjonalnie. Możesz to opisać w raporcie, nic mnie nie obchodzi — powiedział niczym naburmuszone dziecko i wsunął dłonie w kieszenie spodni.

— Chyba nie sądzisz, że odpuszczę i ot tak sobie pozwolę odejść młodszemu rokującemu koledze! — powiedziała Pia celowo ostrym tonem. — Zdecydowałeś się na nasz zespół i teraz jesteś jego częścią. W tej robocie co

chwila zdarzają się takie przesrane dni, ale oprócz nich są też takie, kiedy dopadamy szmaty, które to powodują.

Na twarzy Tarika pojawił się delikatny, niepewny uśmiech.

— Hej — powiedziała Pia. — Nie poddawaj się. Pauline jest młoda i ma dużo siły. Wszystko przemawia na jej korzyść.

— Ale... jeśli ona... jeśli jej... — zaczął Tarik i nie dokończył. Spojrzał w górę, jak mały chłopiec, który chce ukryć emocje. Zakochał się w tej dziewczynie i teraz coś takiego... Straszna sytuacja. — Napisała do mnie.

Wyjął z kieszeni smartfon, uruchomił jakąś aplikację i przekazał urządzenie Pii.

Mam coś, co może was zainteresować — przeczytała. — *Chętnie ci to przekażę osobiście.*

Pauline wysłała mu tę wiadomość w sobotę, trzy minuty po dwudziestej drugiej, jednak Tarik odczytał ją dopiero w niedzielę rano i zaraz odpowiedział. Pojedynczy szary ptaszek pod tekstem odpowiedzi wskazywał, że wiadomość nie została wyświetlona na jej telefonie. Czyżby to oznaczało, że leżała tu od ponad trzydziestu godzin?

— Co takiego mogła mieć, co byłoby dla ciebie interesujące? Chciała ci to coś osobiście przekazać — zastanawiała się Pia.

— Nie mam pojęcia. — Tarik odetchnął głęboko. Wydawało się, że się nieco uspokoił. — Poza tym pisała, że to mogłoby być interesujące dla nas, czyli dla całej policji. To nic jednoznacznie prywatnego.

— Racja, zgadza się. — Pia potaknęła i wyjęła telefon, żeby zadzwonić do Bodensteina. — Przekaż Kaiowi, żeby spróbował ustalić położenie jej telefonu. A potem musimy odszukać jej samochód.

— Dobrze, już się za to biorę — powiedział Tarik, zadowolony chyba, że może się czymś zająć i przestać myśleć. Odwrócił się, żeby odejść na bok, ale jeszcze raz spojrzął na Pię. — A, i dzięki.

— Nie ma o czym mówić. — Skinęła krótko głową. — Wszyscy kiedyś zaczynaliśmy. Nie mogę ci obiecać, że będzie lepiej, ale z czasem człowiek uczy się sobie z tym radzić.

KAROLINE BYŁA W KUCHNI, kiedy Bodenstein wyszedł spod prysznic i zszedł schodami na dół. Miała na sobie szare spodnie od dresu i ulubiony zielony T-shirt, w którym zawsze spała, a na nogach crocsy. Ciemne włosy upięła w prosty, luźny kok. Na kuchennym blacie czekała już na niego filiżanka z parującą kawą.

— Raz jeszcze dzień dobry. — Bodenstein przygarnął ją do siebie, a ona objęła go w pasie i przytuliła się mocno.

Oliver przemyślał pod prysznicem jej słowa i złożoną mu propozycję. Wprowadzić się do niej. Zamieszkać razem. Wracać do domu, w którym czeka ktoś, kogo się kocha. Bliźniak w Ruppertshain, w którym zamieszkał niecałe cztery lata wcześniej, nigdy nie stał się dla niego prawdziwym domem i nie żałowałby, gdyby miał się stamtąd wyprowadzić.

— Dzwonił twój telefon — powiedziała. — I to kilka razy.

— W takim razie przed kawą szybko sprawdzę, co się dzieje. — Pocałował ją w czubek nosa i podszedł do stołu w jadalni, gdzie poprzedniego wieczoru zostawił telefon. Włączył ekran i sprawdził listę połączeń. Trzy numery zastrzeżone i dwa SMS-y.

Ciężko ranna kobieta w Ruppertshain — pisał Kai w wiadomości z siódmej trzydzieści osiem. — *Pojedziesz zobaczyć, co się dzieje? Pia i Tarik są już na miejscu.*

Oliver poczuł lodowaty dreszcz wzdłuż kręgosłupa. W Ruppertshain znów działo się coś niedobrego! Mieszkańcy okolic i tak byli już bardzo nerwowi, więc nie mógł przewidzieć, jakie skutki wywoła najnowsze zdarzenie.

Pauline Reichenbach jest ciężko ranna, znaleziono ją przy stadninie w Ruppertshain — poinformowała Pia w wiadomości z ósmej dwanaście,

czyli sprzed dwóch minut. *Przyjeżdżasz?*

— Niech to szlag — wymamrotał Bodenstein. Miał mętlik w głowie i próbował uporządkować myśli. Nie, to nie mógł być przypadek! Pauline pokazała przecież Tarikowi i Pii nagranie z fotopułapki w lesie, dobrze знаła okolicę. Czyżby natknęła się na mordercę? Dłonie mu drżały.

— Coś się stało? — zapytała Karoline. Kiedy zobaczyła wyraz jego twarzy, w jej oczach pojawiła się troska.

— Tak. Niestety, muszę jechać do Ruppertshain — odpowiedział. — Przed chwilą znaleziono ciężko ranną kobietę. Znam jej rodziców.

— O nie! To straszne!

Bodenstein sięgnął jedną dłonią po filiżankę i upił łyk kawy, a drugą napisał odpowiedź do Pii.

Jestem poza domem. Daj mi 10 min.

Karoline nigdy jeszcze nie powiedziała mu, co czuje, kiedy wzywano go na miejsce znalezienia zwłok albo ofiary z ciężkimi obrażeniami. Czy w takich chwilach wracały do niej wspomnienia? Czy myślała o swojej zamordowanej matce? Nagle Bodensteina opanowały wyrzuty sumienia.

Ta sytuacja położyła się cieniem na dniu, który zaczął się tak przepięknie. Bodenstein poczuł się tak, jakby tkwił po szyję w bajorze wypełnionym śmiercią i przemocą.

— Przykro mi, naprawdę, ale muszę lecieć. — Schował komórkę. — Zadzwoń, gdy będę mógł.

— W porządku.

— Dzięki — powiedział. — Dzięki za wszystko.

— Nie, to ja dziękuję tobie. — Uśmiechnęła się delikatnie, lecz jej zielone oczy pozostały bardzo poważne. A potem objęła go mocno, pogłaskała po plecach i przez chwilę trwała przytulona. — Niedługo będziesz miał to za sobą. To twoja ostatnia sprawa. Potem nie będziesz musiał tego robić, jeśli nie

zechcesz.

— ZAZWYCZAJ TO CHODZĘ Z PSEM tam wyżej, między olchy. — Szpakowaty mężczyzna był blady i drżał mu głos. Zdradzał objawy szoku po tym, co zobaczył, lecz nie można było się dziwić, bo przecież dobrze znał i ranną dziewczynę, i jej rodziców. — Ale od kiedy tam pełno koparek i ciężarówek, wolę podjechać tutaj.

Pia od razu rozpoznała w nim jowialnego obłąpacza z klubu tenisowego, który poprzedniego dnia siedział obok Henriette Lessing i zabawiał znajomych anegdotkami. Był bardzo przystojnym mężczyzną, typem optymisty, dla którego szklanka zawsze jest w połowie pełna i który z radością idzie przez życie. Kiedy się przedstawił, jego nazwisko wydało się Pii znajome, jednak z początku nie mogła go skojarzyć. Dopiero po chwili sobie przypomniała, gdzie je wcześniej słyszała: Jakob Ehlers był mężem Patrizii, która w sobotę była w kościele, kiedy Bodenstein znalazł w zakrystii ciało zamordowanego księdza. A teraz on znajduje ciężko ranną dziewczynę, która na pierwszy rzut oka mogła wydawać się martwa. Czy to przypadkiem nie jest jeden z kolegów Bodensteina z czasów dzieciństwa? Pia starała się przypomnieć sobie informacje, które znalazła w raportach Olivera. W końcu jej się udało i wiedziała już, w jaki sposób te osoby są powiązane. Żona Ehlersa, Patrizia Ehlers, była siostrą Rosie Herold.

— Kiedy dokładnie zaparkował pan samochód na parkingu i ruszył na spacer? — zapytała Pia.

— Kwadrans przed szóstą — odparł Ehlers. — Zawsze bardzo wcześnie tu przychodzę, bo na ósmą muszę być w pracy. Pracuję w ratuszu w Kelkheim.

— Okej. Którędy konkretnie pan szedł?

— Stąd do boiska, a potem drogą za Schönwiesenhalle w stronę kliniki weterynaryjnej i dalej w kierunku majątku Bodensteinów. Przed lasem skręciłem w drogę wzdłuż stadniny. To mój pies znalazł Pauline. Ja bym jej

pewnie nie zauważył, bo było jeszcze ciemno.

Obiema dłońmi przesunął po twarzy. Miał płytki, przyspieszony oddech. I nagle w jego oczach pojawiły się łzy.

— Ja... ja tam poświeciłem latarką. I... i wtedy ją zobaczyłem. Natychmiast ją rozpoznałem. Biedna Pauline! O Boże! Myślałem, że nie żyje! — Głos mu się załamywał i przestał powstrzymywać szloch. — Jej rodziców znam, od kiedy tylko pamiętam, a mój brat jest ojcem chrzestnym Pauline. Kto mógł to zrobić? Kto mógł zrobić coś tak okropnego?

Sięgnął do kieszeni kamizelki, wyjął zmiętą chusteczkę jednorazową i wydmuchał hałaśliwie nos.

— Co pan zrobił, kiedy ją pan znalazł i rozpoznał? — zapytała Pia bardzo ostrożnie.

— Nagle się zorientowałem, że nie jestem sam i że ktoś stoi obok. To był jakiś biegacz. Zupełnie nie zauważyłem, jak się zbliża. — Jakob Ehlers walczył z emocjami i robił wszystko, żeby wziąć się w garść. — Miał przy sobie komórkę i zaraz wybrał ten numer, no, 110. Albo 112, już nie pamiętam.

— Co się stało z tym biegaczem? Gdzie jest teraz?

— Stoi tam z przodu, wśród gapiów przed stadniną. To ten w niebieskiej kurtce.

— Czy spotkał pan kogoś jeszcze? — drążyła Pia. — Widział pan kogoś, idąc w stronę stadionu? Może zwrócił pan uwagę na coś, co wydało się panu nienaturalne albo podejrzane? Proszę się spokojnie zastanowić i nam powiedzieć.

Pauline musiała leżeć już trochę czasu na tej łące, tak w każdym razie twierdził lekarz z pogotowia, tym bardziej że jej włosy i ubranie były mokre od rosy; między innymi przez to tak się wychłodziła. Pia nie żywiła zbyt wielkiej nadziei, że Jakob mógł zobaczyć sprawcę.

— Nie. — Zmarszczył czoło i potrząsnął głową. — Było jeszcze zupełnie

ciemno. O tej porze roku przed szóstą rano niewielu ludzi chodzi w takie miejsca, ja w każdym razie właściwie nigdy nikogo nie spotykam. No i nie zauważyłem też niczego niepokojącego ani dziwnego.

W końcu nieco się uspokoił, a jego blade policzki nabrały trochę kolorów. Machinalnym gestem pogłaskał psa po głowie.

— A jak mógłby pan cokolwiek zobaczyć, skoro twierdzi pan, że było jeszcze zupełnie ciemno? — zapytała Pia.

— Zawsze o tej porze mam na głowie czołówkę. — Ehlers sięgnął po latarkę, którą nosił na elastycznej taśmie na szyi. — I jeszcze latarkę. Dodatkowo zakładam psu obrozę z oświetleniem diodowym.

— Nie czuł się pan dziwnie albo nieswojo, chodząc w takie odludne miejsca? Szczególnie teraz?

— Co ma pani na myśli? — zapytał Ehlers, wyraźnie zaskoczony.

— No wie pan. Jakkolwiek by patrzeć, w ciągu ostatnich kilku dni zamordowano w okolicach troje ludzi, których pan dobrze znał.

— Chyba... chyba rozumiem, o co pani chodzi. — Ehlers potaknął powoli, niemal zaskoczony, jakby po raz pierwszy połączył to, co się stało, ze swoimi samotnymi spacerami. — Prawdę mówiąc, dotychczas nie zaprzętałem sobie tym głowy. To znaczy, wie pani, nie jestem sam, mam ze sobą psa. Poza tym... kto miałby chcieć mnie zabić?

Pię nieodmiennie zaskakiwało, do jakich wolt i w jak krótkim czasie jest zdolny ludzki mózg. Czy Pauline miała podobne podejście do życia? Była młoda i jak wielu ludzi w jej wieku wierzyła, że jest nieśmiertelna? Czy w ogóle dopuszczała do siebie myśl, że może być w niebezpieczeństwie? Kto wyrządził jej krzywdę — czy to mogła być ta sama osoba, która popełniła trzy ostatnie morderstwa? A może był to ktoś inny, a tamten sprawca nie miał z tym zdarzeniem nic wspólnego?

W tej samej chwili Pia dostrzegła szefa, który rozmawiał z dwójką

funkcjonariuszy prewencji. Poczła ulgę i jednocześnie palące pragnienie, by nie zadręczać go tym, co się tu dzieje.

— Panie Ehlers, mam jeszcze jedno pytanie — zwróciła się do mężczyzny obok. — Wczoraj widziałam pana w klubie tenisowym, jak rozmawiał pan z panią Lessing. Czy wspomniała cokolwiek o swoim synu Eliasie?

— Wczoraj? W klubie tenisowym? — Ehlers spojrzał na nią zdezorientowany i uniósł brwi, a w jego oczach nagle pojawiła się ostrożna czujność. — Ja... nie pamiętam dobrze.

— O czym rozmawialiście? Co mówiła? — Dla Pii taka wymijająca odpowiedź była jednoznacznym potwierdzeniem.

— Tylko o tym, że bardzo się o niego boi. Że policja go szuka, a ona nie wie... — Ehlers przerwał i odwrócił wzrok, żeby nie patrzeć na Pię.

— Czego ona nie wie? — Pia nie dawała za wygraną.

— Och, nie chcę niczego przeinaczyć. — Pan Ehlers pokręcił głową. Był wyraźnie zmieszany i nieswój. — Możliwe, że po prostu źle ją zrozumiałem.

— Panie Ehlers, niech mnie pan dobrze posłucha — powiedziała Pia z naciskiem. — Troje ludzi z miasteczka zostało zamordowanych. Ktoś ciężko pobił młodą dziewczynę, z taką brutalnością, że nie wiadomo, czy w ogóle przeżyje. Co więcej, każdą z tych osób bardzo dobrze pan znał. Elias był w lesie, na kempingu, kiedy Clemens Herold stracił życie i spłonął w jednej z przyczep. On i Pauline Reichenbach też bardzo dobrze się znali. Jeśli pan cokolwiek wie albo słyszał pan coś, co mogłoby nam pomóc w śledztwie, nie może pan milczeć. Nawet jeśli z lojalności chciałby pan to zrobić, to źle pan rozumie lojalność.

— O Boże! Chyba pani nie myśli, że ten chłopak mógłby zrobić coś... coś takiego?! — Ehlers z przerażeniem w oczach potrząsnął gwałtownie głową.

— Nie wiem, niczego nie wykluczam — odparła Pia. — Ale może powie mi pan coś na jego temat?

Mężczyzna nabrał głęboko powietrza, zatrzymał w płucach i dopiero po chwili wypuścił je ze świstem. Nerwowo przebierał palcami po smyczy. Pia źle się czuła, wywierając tak wielką presję na człowieka w bardzo złym stanie emocjonalnym. Jednak musiała przyznać, że w większości sytuacji to się sprawdzało, bo ktoś taki nie był w stanie wymyślić na poczekaniu żadnej bajeczki.

— Henriette bardzo się martwi — wydusił z siebie mężczyzna. — Elias jest nieprzewidywalny i ona się obawia, że jeśli poczuje się osaczony, może zrobić coś... nierozsądnego.

Pia przyglądała mu się w milczeniu i czekała. To nie mogło być wszystko. I nagle poczuła, że to jest ten moment, że jest już bardzo, bardzo blisko rozwiązania zagadki. Czy Jakob Ehlers był tą osobą, którą uda się przekonać do mówienia? Dzięki której zrozumie w końcu przyczyny milczenia i znajdzie twarde dowody? Ehlers był bardzo poważanym i szanowanym człowiekiem, wszyscy go znali, a z większością starych mieszkańców był w ten czy inny sposób spowinowacony albo skoligacony; z całą pewnością znał małe i duże tajemnice tej zgodnie milczącej społeczności. Gdyby tylko udało się nakłonić go do mówienia, by wyjawiał choćby jakiś niewielki sekret, wtedy, być może, spowodowałoby to efekt domina. Nie mogła nie wykorzystać takiej szansy, musiała odwołać się do jego poczucia odpowiedzialności i sumienia.

— Panie Ehlers, jest pan znaną osobą, okoliczni mieszkańcy bardzo pana szanują — zaczęła. Nachyliła się nieco w jego stronę i spojrzała mu w oczy. — Zna pan tutaj każdego. Niech nam pan pomoże, zanim wydarzy się coś złego. Proszę.

Jakob Ehlers przyjrzał jej się uważnie. Raz za razem napinał mięśnie szczęk i ściągał usta. Myślał. Coś się w nim działo. W końcu westchnął i przesunął dłonią po karku.

— Doszły mnie słuchy, że... — zaczął, choć wciąż z wahaniem, i nagle

umilkł. Odwrócił głowę, jakby coś zauważył, i wyprostował się gwałtownie. Jego pies, który dotychczas leżał nieruchomo obok ławki, zerwał się na równe nogi.

— Jakob — przywitał się Bodenstein zza pleców koleżanki.

— Witaj, Oliverze. — Na twarzy Ehlersa pojawił się wyraz ogromnej ulgi, za to Pia doznała rozczarowania łowczyni, której zdobycz w ostatniej chwili wymknęła się z rąk. Bywały szanse, które pojawiały się tylko jeden jedyny raz, i nigdy już się nie powtarzały. To była jedna z nich.

KRÓTKO PRZED DZIEWIĄTĄ RANO udało się na tyle ustabilizować stan Pauline, że lekarze podjęli decyzję o transporcie na oddział ratunkowy szpitala we Frankfurcie. Bodenstein, Pia i Tarik przyglądali się, jak wirnik maszyny pogotowia lotniczego zaczyna się obracać. Po chwili helikopter uniósł się z łąki, wzniosł pionowo w górę, po czym obrócił się i zniknął nad koronami drzew. Bodenstein zawiadomił rodziców Pauline i poinformował, do którego szpitala trafi, więc byli już w drodze. Lekarze i sanitariusze spakowali wyposażenie karetek i odjechali. Zrobili, co w ich mocy, żeby uratować życie rannej dziewczyny. Teraz pozostawało już tylko mieć nadzieję i trzymać kciuki.

Na miejsce przybył Kröger ze swoimi ludźmi. Ubrani w białe jednorazowe kombinezony zabrali się za swoją benedyktyńską i z pozoru całkowicie pozbawioną emocji pracę. Nieco powyżej wąskiej wyasfaltowanej drogi kończącej się przy studni pod lasem, za elektrycznym ogrodzeniem stały dwa konie i z postawionymi uszami przyglądały się ciekawie zamieszaniu. Bardzo rzadko działały się tutaj rzeczy równie interesujące.

— Gdybyście tylko mogły mówić... — mruknęła Pia do koni, po czym odwróciła się i spojrzała na swoich współpracowników. — Dobrze, to teraz zastanówmy się, co tu się wydarzyło. Przede wszystkim, w jaki sposób Pauline znalazła się akurat na tej łące? Czy wybór miejsca ma jakieś znaczenie, czy to czysty przypadek?

W różowawym świetle wczesnego poranka włosy Bodensteina wydawały się bardziej szare niż zazwyczaj. Pia dostrzegła również cienie pod jego oczami. Miała wrażenie, że jest wykończony, dlatego mimo niezadowolenia powstrzymała się przed robieniem mu wymówek za przerwanie rozmowy z Jakobem Ehlersem.

— Nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby napadać właśnie ją — zaczął Bodenstein.

— Dlatego, że coś wiedziała — wyjaśnił Tarik. — Dostałem od niej wiadomość, że chce nam przekazać coś bardzo interesującego.

— Kiedy wysłała tę wiadomość?

— W sobotę wieczorem. Odczytałem ją dopiero w niedzielę rano i zaraz odpisałem, ale mojej odpowiedzi już nie przeczytała.

— W sobotę była w domu Lessingów — dodała Pia. — Na krótko zanim my tam dotarliśmy. I jestem przekonana, że od początku wiedziała, że na nagraniu z fotopułapki w lesie jest Elias, bo go natychmiast rozpoznała. Nie wiem jak, ale wplątała się w tę całą sprawę. Pewnie komuś wydała się zagrożeniem.

— W takim razie dlaczego jeszcze żyje? — Bodenstein się rozejrzył. — Jeśli sprawca dopadł ją w sobotę wieczorem, to by oznaczało, że miał cały dzień na dokończenie dzieła, tymczasem jej nie zabił.

— Może miał jakieś opory? Powstrzymywało go to, że ją znał? — zgadywała Pia. — Poza tym zakładał, że i tak nie przeżyje.

— Cały czas myślisz, że to Peter Lessing, prawda?

— Tak. On albo Elias. Chłopak zadzwonił dziś w nocy do Nike Haverland i powiedział, że ma już samochód.

— Skąd? Czy to auto Pauline?

— Możliwe.

— Ale dlaczego? — zapytał Tarik. — Co takiego mogła wiedzieć Pauline, że Eliasowi albo jego ojcu wydało się to na tyle dużym zagrożeniem, by ją

uciszyć?

— Milion euro za odpowiedź na to pytanie — mruknęła Pia. — Musimy spróbować znaleźć jej komórkę. I dopaść Eliasa. Mam przeczucie, że chłopak bardzo dużo wie.

Ludzie ze stadniny nie widzieli i nie słyszeli niczego, co mogłoby wydawać się dziwne albo niepokojące. Bodenstein, Tarik i Pia wsiedli do swoich samochodów i ruszyli z powrotem, w stronę kompleksu sportowego. Zatrzymali się przy skrzyżowaniu, wysiedli i się rozejrzeli. Z tego miejsca jedna z dróg prowadziła pod górę do klubu tenisowego, mijała go od wschodu i biegła dalej obok lasu aż do kompleksu Zauberberg. Ze swojego miejsca Pia widziała wysoki płot z zieloną siatką mającą chronić korty przed wiatrem. Niecałe dziesięć godzin wcześniej byli tam z Tarikiem i rozmawiali z Henriette Lessing. Kolejna ulica prowadziła prosto na wschód, obok kompleksu sportowego klubu SV Ruppertshain do stadniny, a potem dalej, na maneże i do lasu. Boisko od hali widowiskowo-sportowej oddzielała kolejna asfaltowa uliczka. Prowadziła w dół zbocza, do lotniska klubu modelarskiego; po niecałym kilometrze rozdzielała się na dwie polne drogi. Czwartą ulicą, przebiegającą po drugiej stronie hali widowiskowo-sportowej, można było jechać prosto do oczyszczalni ścieków albo skręcić na zachód, w kierunku Ruppertshain i do kliniki weterynaryjnej dla koni, prowadzonej przez doktor Inkę Hansen. Wszędzie dookoła rozciągały się typowe dla tych okolic sady łąkowe, poprzecinane gęstwiną krzaków jeżyn i kępami drzew. Jakkolwiek by patrzeć, bardzo trudny do sprawdzenia teren, w którym osoba znająca okolicę mogła bez trudu przemieszczać się całkowicie niezauważenie i znaleźć kryjówkę. Szczególnie nocą.

— Kim jest przekonana, że ten, kto zamordował Heroldów i księdza, jest również odpowiedzialny za śmierć Artura. — Pia się zatrzymała. — Moim zdaniem może mieć rację, jednak chciałabym poczekać na określenie sposobu,

w jaki zginął Artur. Dopóki tego nie wiem, wolałabym nie brać za pewnik, że chłopak został wówczas zamordowany przez innego dzieciaka, który dzisiaj ma pięćdziesiąt kilka lat.

— Tylko? — Bodenstein spojrzał na nią uważnie.

— Sama nie wiem. — Pia westchnęła. — Instykt mi podpowiada, że to błąd, a prawda wygląda inaczej, ale na razie nie mam na to dowodów. Mam wrażenie, że to dorosły musiał pochować Artura i złożyć w tym samym grobie lisa. Dlatego ten ktoś nie będzie miał dzisiaj pięćdziesięciu pięciu lat, tylko dobrych dziesięć lat więcej.

— Jak na przykład Leo Keller — zauważył Bodenstein.

— Tak, jak na przykład on. — Pia potaknęła. — Rozmawialiśmy już o tym i zakładaliśmy, że mógł być kochankiem Rosie Herold, i nie wykluczam tego. Kai stara się zebrać dane wszystkich osób, które pasowałyby do naszych widełek czasowych. Dzięki bazom urzędu meldunkowego uda nam się sprawdzić, kto z nich mieszkał wtedy w Ruppertshain. Jednak ja bym była ostrożna, jeśli chodzi o ograniczanie się tylko do mieszkańców tej miejscowości. Równie dobrze sprawcą może być ktoś ze Schneidhain, Eppenheim, Fischbach czy Königstein. Wiem, że napad na Pauline to straszna rzecz, ale możemy go wykorzystać, żeby otworzyć niektórym usta. Może jak się dowiedzą, co jej się stało, zaczną mówić. Trzeba tylko uważać, żeby nie wybrali sobie kogoś na kozła ofiarnego, bo mogą chcieć na własną rękę wymierzyć sprawiedliwość.

— Obawiam się, że możesz mieć rację. — Bodenstein ściągnął usta.
— W takim razie co dalej?

— Musimy najszybciej, jak się da, zwołać konferencję prasową — odparła Pia i głową wskazała na taśmę policyjną przecinającą drogę do stadniny. Przez ten czas zdążyła się zebrać przy niej grupka ciekawskich mieszkańców okolic i powoli docierali na miejsce również przedstawiciele prasy. — Atak na

Pauline przyciągnie wszystkie media. Jeśli dziewczyna nie przeżyje, rozpęta się medialna burza.

Potarła brodę.

— Musimy oficjalnie ostrzec wszystkich mieszkańców okolic, porozmawiać z Leonem Kellerem i twoimi kolegami z podstawówki, tymi, którzy nie lubili Artura. Czyli roboty po szyję.

— Chciałbym pokazać zdjęcia Clemensa moim rodzicom. Mogliby bardzo pomóc w identyfikacji osób, które zostały na nich uwiecznione — zaproponował Bodenstein.

— Pewnie, nie widzę przeszkód. Poproś Kaia, żeby ci je wszystkie wydrukował i wysłał do nich.

— Poza tym muszę porozmawiać z Inką.

— Z jakiegoś konkretnego powodu?

Bodenstein się zawahał, po czym sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej fotografię. Podał ją Pii. Policjantka wzięła do ręki czarno-biały kartonik. Zdjęcie było nieco wyblakłe, ale wyraźne. Przedstawiało grupkę dzieci bawiących się z oswojonym lisem, jakby nieświadomych, że ktoś stoi przed nimi z aparatem.

— W którym roku zostało zrobione? — zapytała Pia.

— Nie jestem sobie w stanie przypomnieć, przy jakiej dokładnie okazji powstało — odparł Bodenstein. — Ale to musiał być początek lata siedemdziesiątego drugiego roku. O, tutaj jesteśmy ja i Wieland. A to są Simone, Inka i Artur. Wczoraj przypomniałem sobie o tym zdjęciu i pojechałem do rodziców, żeby je znaleźć. Przeszukałem pół strychu, zanim dotarłem do albumu, do którego zostało wklejone.

Pia zmrużyła oczy i uważnie obejrzała fotkę. Blondynek Artur bawił się z lisem, który leżał na jego kolanach na grzbiecie i przednimi łapkami sięgał w stronę ręki chłopaka, jakby chciał ją dla zabawy złapać. Obok stały

dziewczynki i patrzyły.

— To nie wszystko. Jest jeszcze drugie zdjęcie — wyjaśnił Bodenstein i wyjął je z kieszeni. — Musiało powstać kilka sekund później.

Fotograf chciał uwiecznić tylko dzieci z pierwszego planu, jednak wystarczyło się przyjrzeć, żeby zobaczyć, co się dzieje z tyłu. Ciemnowłosa dziewczynka odwróciła się i patrzyła na coś poza kadrem. Artur wstał z ziemi i też spoglądał w innym kierunku. Za to mała blond dziewczynka stała z wyciągniętą nogą i wyraźnie kopała lisa, który zwrócił się w jej stronę i obnażał zęby. Oczywiście mogą się mylić, ale zdjęcia, które pozwalają uwiecznić każdy ułamek sekundy, nie kłamią.

— Wygląda to tak, jakby ta dziewczynka była zazdrosna — stwierdziła Pia zaskoczona.

— Odniosłem dokładnie takie samo wrażenie. — Bodenstein potaknął. — I właśnie o tym chcę porozmawiać z Inką.

KLINIKA URAZOWA z oddziałem ratunkowym znajdowała się przy Friedberger Landstrasse we Frankfurcie, w dzielnicy Seckbach, niedaleko autostrady A661. Na dachu głównego budynku stał helikopter pogotowia, którym przewieziono tu Pauline. Tarik z początku protestował, kiedy Pia poleciła mu rozpytywanie mieszkańców okolicznych domów, lecz szybko wziął się w garść. Zamiast niego w dalszych czynnościach miał jej towarzyszyć Cem. Czekala ją rozmowa z rodzicami Pauline i trzeba było przeprowadzić ją jak najszybciej, póki dziewczyna żyła, a pamięć o wydarzeniach ostatnich kilku dni była świeża. W szpitalu musieli zapytać w kilku miejscach jak trafić, zanim znaleźli poczekalnię, w której siedziała rodzina Pauline Reichenbach w oczekiwaniu jakichkolwiek wiadomości, dobrych albo złych.

— Zostawcie nas w spokoju! Wynoście się! — zaatakowała Simone Reichenbach, korpulentna kobieta z krótko przyciętymi, ufarbowanymi na niemal biały blond włosami, ledwie Pia i Cem weszli do pokoju i oznajmili,

kim są. W oczach skrytych za szklami okularów w grubych czarnych oprawkach widać było złość i strach. — Nasza córka walczy o życie! Naprawdę mamy w tej chwili inne zmartwienia niż odpowiadanie na jakieś wasze idiotyczne pytania!

— Doskonale rozumiem, jak się pani czuje — zaczęła Pia. — I bardzo nam przykro, że akurat teraz musimy zadawać te wszystkie pytania, jednak należy ustalić, kto to zrobił pani córce.

— Pani mówi poważnie? Przecież wy nawet nie potrafiliście ustalić, kto zamordował Heroldów i księdza! — prychnęła grubaska, nie kryjąc pogardy. — Może najpierw tym się zajmijcie, co?

— Jesteśmy zdania, że ta sama osoba, która popełniła tamte mordy, próbowała zabić pani córkę.

— Słucham?! — Simone Reichenbach znieruchomiała. — Czyli wiecie, kto to zrobił?!

— Nie, tego jeszcze nie wiemy. Ale najprawdopodobniej Pauline udało się to odkryć. I dlatego morderca próbował ją uciszyć.

Nalana twarz matki rannej dziewczyny zrobiła się biała jak kreda. Kobieta skubała nerwowo chusteczkę jednorazową.

Jej mąż stał przy oknie i z kamienną miną wyglądał na zewnątrz, na parking. Starsze rodzeństwo Pauline, Britta i Colin, oboje tuż przed trzydziestką, siedzieli po drugiej stronie poczekalni. Sprawiali wrażenie bezradnych i przestraszonych.

— Kiedy po raz ostatni rozmawiała pani z córką? — zapytał Cem.

— W sobotę — odparła Simone Reichenbach. — Zadzwoiła do mnie. Chociaż nie... wpadła do mnie. Do hospicjum. Ja... ja jestem szefową hospicjum „Zmierzch”. Ale pan to przecież wie.

Cem potaknął.

— Chciała pożyczyć ode mnie kartę do Selgrosu, bo planowały jechać

z Ronją po zakupy na imprezę u jakiejś koleżanki.

— Ronją? — powtórzyła Pia.

— Tak. To najbliższa przyjaciółka Pauline. Ronja Kapteina. Córka leśniczego. Znają się od przedszkola.

— Jakie zrobiła na pani wrażenie, kiedy przyjechała? Zwróciła pani na coś szczególną uwagę? Była może nerwowa? Bała się czegoś?

— Nie, nic z tych rzeczy. — Matka Pauline potrząsnęła energicznie głową. — Była taka sama jak zawsze. Pauline jest... moja córka jest bardzo odważna. Niczego się nie boi.

— Czy Pauline mieszka jeszcze w domu rodzinnym? — zapytała Pia.

— Nie, wyprowadziła się już dobry rok temu. Wynajmuje teraz mieszkanie ze znajomymi w Kalbach, niedaleko uniwersytetu. Pauline studiuje biologię. Dlatego... dlatego w ogóle się o nią nie martwiliśmy. Prowadzi własne życie, czasem odzywa się codziennie, a czasem przez kilka dni z rzędu nie dzwoni i nie daje znaku życia. — Podłoga przy jej nogach była zasłana drobinkami chusteczki higienicznej. — Pauline nieszczególnie lubi opowiadać o tym, czym się akurat zajmuje.

— Ale tylko dlatego, że was to nic a nic nie interesuje! — Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy głos zabrała starsza siostra Pauline. — Wy się interesujecie tylko sobą i tym, co was dotyczy!

— Nieprawda! Nie opowiadaj bzdur! — zaprotestowała Simone, lecz ton jej głosu świadczył, że nie tyle jest oburzona, co próbuje się bronić, ba, czuje niemal wyrzuty sumienia.

— Czyżby? — Britta Reichenbach stanowiła całkowite przeciwieństwo młodszej siostry: była szczuplejsza i miała przykrótką górną wargę, więc kiedy mówiła, odsłaniała zęby i linię dziąseł. W klasycznie prostym szarym kostiumie i zaczesanych do tyłu szaroblond włosach sprawiała wrażenie starszej, niż mogła być w rzeczywistości. — Przecież wy o niej absolutnie nic

nie wiecie!

— A ty niby wiesz więcej, co? — Tym razem matka zareagowała na zarzuty sarkazmem. — Zaraz pęknę ze śmiechu! Ty już dawno przestałaś interesować się naszą rodziną!

— O nie, to wami przestałam się interesować — odparowała Britta Reichenbach. — Każde z nas bardzo się od was oddaliło, bo trwanie przy was nie miało żadnego sensu! I tak nigdy nie słuchaliście, kiedy próbowaliśmy wam coś opowiadać! Macie w dupie, co się z nami dzieje! Macie w dupie własne dzieci! — Młoda dziewczyna nachyliła się, a na jej szyi pojawiły się czerwone plamy. — Rozmawiamy z Pauline przynajmniej raz w tygodniu, a zazwyczaj częściej. I regularnie się spotykamy. Wiem na przykład, że bardzo martwiła się o Eliasa i że chciała mu pomóc. Ale nikt nie potrafił jej powiedzieć — albo nie chciał! — gdzie go znajdzie. Jego rodzice milczeli, a i w młynie nikt go nie widział.

— Kiedy po raz ostatni rozmawiała pani z siostrą? — zapytała Pia. Wolała interweniować, żeby matka i córka nie skoczyły sobie do gardeł.

— Jakoś w zeszłym tygodniu — wyjaśniła Britta Reichenbach. — Powiedziała mi wtedy, że syn sąsiadów naszych rodziców, Elias, jest poszukiwany przez policję, bo ponoć miał kogoś zamordować. Pauline czasem potrafi być naprawdę lekkomyślna i naiwna. Wierzy na przykład, że ludzie są z natury dobrzy, choć w to chyba już nikt nie wierzy.

— Jakiś przykład tej naiwności?

— Proszę bardzo. Choćby ten cały Elias i jego cała szurnięta rodzina. — Britta Reichenbach prychnęła z odrazą. — U nich chyba każdy ma jakiś problem z głową! Ale Pauline wszystko i wszystkich stara się usprawiedliwiać i współczuje każdemu świrowi i wyrzutowi na świecie!

Głos jej drżał. Nagle po policzkach dziewczyny potoczyły się łzy.

— Pauline to najcieplejsza i najserdeczniejsza osoba, jaką znam. Nikt nie

ma tak wielkiego serca i nie nosi w sobie takiej bezinteresowności — wyszeptwała. — Podziwiam ją za jej idealizm i za jej energię. Ona jest dla mnie i dla wszystkich, którzy ją znają, jak... jak gwiazda na niebie. Jeśli... jeśli umrze...

Nie dokończyła. Ukryła twarz w dłoniach i zanosła się szlochem. Jej rodzice dalej nie ruszali się ze miejsc, a ojciec nawet nie odwrócił się od okna. Tylko brat objął ją ramieniem, a ona oparła o niego głowę. Kolejna rodzina z problemami — pomyślała rzeczowo Pia. Zastanowiła się, czy może wykorzystać spotkanie i zapytać rodziców Pauline o historię z Arturem, jednak uznała, że to nie miejsce ani czas na to. Słowa Britty Reichenbach potwierdziły za to jej podejrzenie i to na razie musiało wystarczyć. Pauline wpadła na trop niebezpiecznej prawdy.

KIEDY PIA I CEM wyszli z poczekalni, dostrzegli idącą w ich stronę szczupłą, około sześćdziesięcioletnią kobietę o krótkich siwych włosach.

— A ta czego tu szuka? — mruknął Cem zaskoczony.

— A kto to jest? — zapytała szybko Pia.

— Leczyła Rosemarie Herold. Przyjechała do hospicjum tamtego wieczoru, kiedy znaleziono ciało i wezwano nas z szefem.

— Ja też ją znam. — Pia często miała problem z zapamiętywaniem nazwisk, jednak nigdy nie zapominała twarzy, a już na pewno nie tych, które w jakiś sposób zwróciły na siebie jej uwagę. Widziała tę kobietę poprzedniego dnia w klubie tenisowym; siedziała po drugiej stronie Jakoba Ehlersa, który objął ją, kiedy puścił Henriette Lessing. — W takim razie zapytajmy, co tu robi.

Wyjęła z kieszeni legitymację policyjną i zastąpiła lekarce drogę.

— Dzień dobry, czy zechciałyby pani zamienić z nami kilka słów?

Kobieta przyjrzała się najpierw Pii, a potem jej zdjęciu na legitymacji, którą miała przed nosem.

— A mam inne wyjście? — Lekarka nie kryła niezadowolenia. — O co

chodzi?

— Czy wczoraj wieczorem była pani w klubie tenisowym? — zapytała Pia.

— Tak, byłam. — Zaskoczona uniosła brwi. — Dlaczego pani o to pyta?

Bez najmniejszych wątpliwości musiała w życiu spędzić niezliczone słoneczne godziny na odkrytych kortach tenisowych, bo jej spękana, wysuszona i opalona na ciemno skóra z dermatologicznego punktu widzenia była w katastrofalnym stanie.

— Pani doktor Basedow, prawda? — upewnił się Cem. — Jako lekarka zajmowała się pani Rosemarie Herold? Spotkaliśmy się już wcześniej, w piątek wieczorem w hospicjum — przypomniał jej.

— Tak, zgadza się. — Lekarka jeszcze bardziej zmarszczyła czoło.

— Po co pani tu przysła?

— Reichenbachowie są pacjentami w mojej przychodni, a poza tym, na prywatnym gruncie, jestem przyjaciółką rodziny. — W jej jasnoblękitnych oczach pojawiła się ogromna nieufność. — Ktoś zadzwonił i opowiedział, co się stało Pauline. Dlatego zaraz wsiadłam w samochód i przyjechałam. Chcę wesprzeć jej rodziców i się upewnić, że Simone jakoś się trzyma.

— Rozumiem... a kto taki zadzwonił do pani z tą wiadomością?

— Patrizia Ehlers. — Na twarzy lekarki pojawił się gorzki uśmiech. — W takich małych miejscowościach wiadomości rozchodzą się lotem błyskawicy. A złe jeszcze szybciej.

— Od jak dawna leczy pani rodzinę Reichenbachów?

— Od dawna, a dokładniej od samego początku, kiedy przejęłam przychodnię po doktorze Lessingu — wyjaśniła doktor Basedow. — Czyli niemal od trzydziestu lat.

— To rzeczywiście bardzo długo. Czy można zaryzykować twierdzenie, że w Ruppertshain poznała pani każdego?

— Zdecydowanie. — Znów przelotny, gorzki uśmiech. — Choć robili

wszystko, żeby mi to utrudnić. Z początku mieli problem, żeby zaakceptować, że kobieta ma ich badać i leczyć. Chodzić do kobiety... ileż ja się na początku musiałam z nimi nawalczyć!

— Oj, niestety wiem, o czym pani mówi. — Pia uśmiechnęła się krzywo. — Jako policjantka cały czas spotykam się z podobnymi reakcjami. Dawniej, kiedy jeszcze zaczynałam w prewencji, ludzie często pytali, kiedy przyślą im prawdziwego policjanta. Zabójcze dla pewności siebie, może mi pani wierzyć.

— Doskonale panią rozumiem. — Lekarka w końcu się uśmiechnęła. Zatem lody zostały przełamane.

— Czy przed panią przychodził kierował jeden z tych Lessingów? Jakaś ich rodzina? — zainteresowała się Pia. — Chodzi mi o sąsiadów państwa Reichenbachów oczywiście.

— Tak, doktor Lessing senior był ojcem Petera — potwierdziła doktor Basedow.

— Zdaję sobie oczywiście sprawę, że obowiązuje panią tajemnica lekarska i nie może pani omawiać z nami problemów swoich pacjentów — zaczęła Pia. — Ale na pewno zna pani Eliasa, prawda?

— Oczywiście, że go znam. — Doktor Basedow zmarszczyła czoło. — Dlaczego pyta pani akurat o niego?

— Pauline również bardzo dobrze go zna. Jej siostra powiedziała nam przed chwilą, że Pauline martwiła się o syna sąsiadów i koniecznie chciała mu pomóc — tłumaczyła Pia. — Podejrzewamy, że Elias może mieć coś wspólnego z atakiem na nią.

— Skąd taki pomysł? — Opalona lekarka pobladła.

— Kiedy w czwartek byliśmy przy leśnym kempingu, Pauline pokazała nam ujęcia z fotopułapki w lesie. Na nagraniu widać było jakiegoś człowieka. I choć film nie był zbyt dobrej jakości, jestem przekonana, że Pauline

natychmiast rozpoznała kto to. To był Elias. Jeszcze tego samego dnia pojechała do jego rodziców, choć zaprzeczała, tak samo zresztą jak Peter Lessing. Dlaczego? Czyżby Pauline coś wiedziała? Co? O czym rozmawiała z Lessingami? Kto mógłby mieć interes w tym, żeby milczała? Elias, bo się boi, że mogłaby go wydać? Jego ojciec, bo chce chronić syna? A może i on ma coś do ukrycia?

— Nie rozumiem, do czego pani zmierza... — Pani Basedow bardzo uważnie przyglądała się Pii.

— W sobotę późnym wieczorem Pauline wysłała do mojego współpracownika wiadomość — wyjaśniła Pia. — Napisała, że ma coś, co może nas zainteresować, i że chce to przekazać osobiście. Mój współpracownik jej odpisał, lecz jego wiadomość już do niej nie dotarła. Letizia Lessing twierdzi, że Elias ma skłonności do agresji. Wypchnął nawet kiedyś siostrę przez okno na budowie. Dziewczyna była ciężko ranna, wręcz obawiano się o jej życie.

W oczach kobiety pojawiła się szczerza troska.

— Rozumiem, o co pani chodzi — stwierdziła. — I rzeczywiście, niewiele mogę pani powiedzieć. Ale jedno na pewno: proszę bardzo ostrożnie traktować wszystko, czego dowie się pani od kogoś z członków rodziny Lessingów.

— Aha.

Doktor Renate Basedow spojrzała na zegarek.

— Może niech pani wpadnie do mnie do gabinetu, powiedzmy o pierwszej — zaproponowała. — Na pewno pani wie, gdzie jest kompleks Zauberberg w Ruppertshain.

— Tak, oczywiście. Na pewno trafię — zapewniła ją Pia.

— I, jeśli to możliwe, wolałabym, żeby przyjechała pani sama — dodała lekarka półgłosem i spojrzała szybko na Cema. — To nic osobistego, żeby nie

czuł się pan urażony. Ale myślę, że lepiej będzie, jeśli będzie pani wyglądała jak pacjentka, a nie jak policjantka.

Po tych słowach zostawiła ich samych i zniknęła w poczekalni, w której Reichenbachowie czekali na zakończenie operacji córki.

— Rozumiesz coś z tego? — zapytała Pia.

— Na razie jeszcze nic — przyznał Cem. — Ale odniosłem wrażenie, że czegoś się boi. I nie jestem szczególnie zaskoczony. Jej pacjenci giną jeden po drugim. Na jej miejscu też czułbym się nieswojo.

— W KRZAKACH, ledwie kilka metrów od miejsca znalezienia tej dziewczyny, zabezpieczyliśmy narzędzie zbrodni — oznajmił głos Christiana Krögera płynący z głośnika telefonu ustawionego na stole w świetlicy. — To łom, na którym udało nam się ustalić zaschnięte ślady krwi i włosy ofiary oraz odciski palców. Zeskanowanie i porównanie z centralną bazą danych daktyloskopijnych szybko dało wynik pozytywny.

— Poczekaj, niech zgadnę — powiedziała Pia. — Należą do Eliasa Lessinga.

— Otóż nie. — Kröger był wyraźnie zaskoczony. — Osoba wskazana przez bazę AFIS to mężczyzna, niejaki Ralf Ehlers.

Niech to szlag. Dałaby głowę, że Pauline Reichenbach zaatakował właśnie Elias. Pasowałoby to logicznie do całości i na dodatek wyjaśniałoby, skąd wziął samochód, o którym wspomniał Nike w rozmowie telefonicznej.

— Ralf Ehlers? — Na twarzy Bodensteina malował się wyraz kompletnego zaskoczenia.

— Z jakiego powodu ten człowiek w ogóle znalazł się w naszej bazie danych? — zapytała Pia.

— To już nie do mnie pytanie — odparł Christian.

— Ja się tym zajmę — zaoferował się Kai, który siedział przy stole obok.

Pia opowiedziała Oliverowi o rozmowie przeprowadzonej z rodziną

Reichenbachów w szpitalu we Frankfurcie i o spotkaniu z doktor Basedow. Od matki i rodzeństwa Pauline niewiele się dowiedzieli, ale przynajmniej poznali imię jej najlepszej przyjaciółki i miejsce zamieszkania: mieszkanie studenckie w Kalbach, niedaleko uniwersytetu.

— Mam przeczucie, że pani Basedow chce powiedzieć mi coś o Lessingach, coś, czym w zasadzie nie powinna się dzielić. — Pia przypomniała sobie ostrzeżenie, które usłyszała od lekarki. — Z całą rodziną coś jest chyba nie tak. Coś ukrywają. A ja coraz bardziej chciałabym wiedzieć, co takiego.

— Skoro już o nich mowa: miałem ci powiedzieć, ale zupełnie zapomniałem. Otóż wujek Petera Lessinga był w siedemdziesiątym drugim szefem posterunku policji w Königstein. To on przez pięć długich dni zwlekał z powiadomieniem kryminalnych z Frankfurtu. Niestety, od niego niczego się już nie dowiemy, bo niedługo potem zginął w bardzo dziwnym wypadku.

Pia starała się zapamiętać wszystkie zależności rodzinne i zorientować się w gąszczu pokrewieństw, ale jak dotąd miała z tym duże kłopoty.

— Dobra, a kim w takim razie jest ten Ralf Ehlers? — zapytała Bodensteina. — Czy to nie jest przypadkiem też jakiś twój kolega ze szkoły?

— Zgadłś — potwierdził Oliver. — To młodszy brat Jakoba, tego, który dzisiaj rano znalazł Pauline. Ralf to czarna owca rodziny Ehlersów. Z tego, co się dowiedziałem, dość krótko był mężem Sonji, córki Rosie. Szybko doszło jednak do rozwodu.

Pia przypomniała sobie dziwną reakcję szefa na słowa Kaia, który w czasie odprawy poinformował wszystkich, że Sonja Schreck przed rozwodem nosiła nazwisko Ehlers. Zapytała go o to.

— Nie miałem o tym pojęcia — odpowiedział Bodenstein. — To było dla mnie... jak by to powiedzieć... zaskakujące.

— Dlaczego niby?

— Ralf był... w zasadzie to nie wiem, jak go opisać. — Bodenstein pokręcił głową. Widać było, że czuje się skępowany. — Wszystkim wydawał się dziwny. Był kompletnie nieobliczalny. Nigdy nie wiedział, kiedy powiedzieć „stop”.

— Dość ogólnikowe to wszystko... możesz konkretniej? — Pia traciła cierpliwość. Za każdym razem, kiedy chodziło o przeszłość, jej szef zamiast wyrażać się precyzyjnie jak zwykle, zaczynał się gubić w aluzjach i nie wiadomo co sugerował.

— Bałem się Ralfa. Naprawdę czułem przed nim strach, a on zdawał sobie z tego sprawę — powiedział. — Jednego dnia był twoim najlepszym kumplem, a następnego publicznie robił z ciebie pośmiewisko. Dorośli wszystko mu wybacжали i nikt nie wierzył, że mógłby zrobić coś złego. Wyglądał przecież tak niewinnie!

— Muszę wam na chwilę przerwać — odezwał się Kai. — Operator, u którego jest zarejestrowany numer Eliasa Lessinga, w końcu ruszył cztery litery. Właśnie dostałem mejlem historię logowań do stacji przekaźnikowych. W ostatnich tygodniach przebywał głównie na terenie między dwiema z nich. Sprawdziłem współrzędne. Miejsce, w którym najczęściej można było go znaleźć, znajduje się w trójkącie wyznaczonym przez Eppenhain, Ruppertshain i Schlossborn. Patrząc na mapę, można by pomyśleć, że to same lasy. Ale zauważyłem tam jeden budynek, konkretnie stary młyn.

— Znam to miejsce — mruknął Bodenstein ponuro. — I wiem też, kto tam teraz mieszka. Wszystko pasuje.

— Co znowu pasuje? — zapytała Pia zdezorientowana.

— Ten stary młyn. Należy do Ralfa Ehlersa.

— Czeka! Czy przypadkiem siostra Pauline też nie wspomniała o jakimś młynie? — wtrącił się Cem.

— Masz rację! — Pia starała się przywołać w pamięci całą rozmowę. —

Powiedziała, że Elias już od dawna nie pokazywał się w młynie.

— Za to pan Ehlers ma u nas całkiem pokazną kartotekę — dodał Kai. — Ciężkie uszkodzenie ciała z użyciem niebezpiecznego narzędzia i to nie raz, a dobrych kilka razy. Złamanie ustawy o posiadaniu i obrocie środkami odurzającymi. Naruszenie miru domowego. Uszkodzenie mienia. Oszustwo. Wyłudzenie. Spędził rok w więzieniu za uszkodzenie ciała. Wygląda też na to, że całkiem dobrze zna ją z Pauline. Obejrzałem sobie jej Facebook, Instagram i Twitter. Dziewczyna jest wyjątkowo aktywna we wszelkiego rodzaju mediach społecznościowych i jakby tego było mało, prowadzi jeszcze blog, na którym zajmuje się głównie ochroną przyrody. Publikuje też sporo fotek z facetami. Chyba rajcują ją starsi goście. A w szczególności pan Ehlers.

— Ralf jest moim rówieśnikiem. — Bodenstein poczuł odrazę. — A Pauline ile może mieć? Najwyżej dwadzieścia pięć!

— Gość świetnie wygląda jak na swój wiek. — Kai przesunął kilka zdjęć na ekranie. — Raczej taki *sugar daddy*, a nie jakiś stary zboczeniec.

— No serdeczne dzięki za starego zboczeńca — burknął Oliver obrażonym tonem. — Ralf i ja jesteśmy z jednego rocznika.

— Dobra, zbieramy się — oznajmiła Pia, spoglądając na zegar na ścianie. Miała jeszcze dwie godziny do spotkania z doktor Basedow. — Złożmy wizytę twojemu staremu kumplowi.

— JEDŹ WOLNIEJ — odezwał się Bodenstein z miejsca pasażera. — To musi być gdzieś tutaj, zaraz będziesz zjeżdżała na lewo... o tam, z przodu!

Pia włączyła migacz i skręciła na leśną drogę szutrową, a za nią to samo zrobił radiowóz. Jechali teraz wyboistym leśnym traktem pełnym opadłego listowia, który prowadził w dół, do doliny strumienia Silberbach. Za którymś z kolejnych zakrętów spomiędzy drzew wynurzył się kompleks zrujnowanych budynków. Spróchniała drewniana brama wisiała krzywo na zawiasach, a mur, który niegdyś okalał teren zabudowań, najbardziej odczuł działanie czasu, bo

zachowały się z niego ledwie dwa filary. Pia zatrzymała samochód.

— Jesteś pewien, że dobrze trafiliśmy? — zapytała. — To miejsce wygląda na zupełnie opuszczone.

— Tak, to jest ten młyn, na pewno — potwierdził Bodenstein. — Wcześniej stał na skraju lasu, ale to są dawne dzieje. Przez wiele lat rzeczywiście nikt tu nie mieszkał i drzewa zarosły całą okolicę.

— Nie ma się co dziwić, też wolałabym każde inne miejsce — powiedziała Pia. — Tutaj jest przerażająco.

— Jakob powiedział mi niedawno, że jego brat lata temu kupił młyn i chciał go wyremontować — odparł Bodenstein. — Ale wygląda na to, że na planach się skończyło.

Pozostałe dwa młyny stały w znacznie bardziej atrakcyjnych lokalizacjach, bliżej trasy krajowej, i te już wiele lat wcześniej zostały odbudowane przez właścicieli i przekształcone w małe klejnociki architektoniczne. Ten jednak, dawniej najbardziej imponujący i największy z całej trójki, miał znacznie mniej szczęścia. Nawet latem panował tu półmrok i słońce rzadko docierało do dna doliny, a wysokie drzewa iglaste sprawiały, że podupadły dom mieszkalny, budynek młyna i stara szopa wyglądały niesamowicie, wręcz budziły grozę. Przed domem stało bardzo stare volvo z otwartą klapą bagażnika. Bodenstein, Pia i dwaj policjanci z prewencji wysiedli z aut, weszli na podwórze i rozejrzeli się uważnie. Ktoś rzeczywiście rozpoczął renowację kompleksu budynków, ale albo szybko przeszła mu ochota, albo skończyły się pieniądze i prace stanęły. Z boku podwórza piętrzyły się hałdy żwiru, piasku i gruzu, dawno już porośnięte chwastami. Dookoła stały fragmenty rusztowań, na palecie leżała pokryta mchem kostka brukowa, a między workami z cementem straszyla zardzewiała betoniarka. Pod zwałami jesiennych liści gniły stosy odpadków.

— O Boże, dawno już nie widziałam takiego chlewu — westchnęła Pia,

rozglądając się. — Jak można żyć na takim śmietniku?

— Mogę się założyć, że pełno tu szczurów — skrzywił się Bodenstein.

— Bez wątpienia — potwierdziła Pia. Znała fobię szefa i zawsze robiła sobie z tego żarty. Spojrzała w stronę samochodu. — Jedno jest pewne: ktoś trzyma tutaj psa, a pewnie nawet kilka.

Tyłna kanapa w volvo leżała złożona, a powstała w ten sposób przestrzeń była wyłożona kocem pokrytym psią sierścią.

— Ja wybrałbym koty. Nienawidzę szczurów. — Bodenstein stanął przy samochodzie i położył rękę na klamce, na wypadek, gdyby z którejś sterty rozkładających się śmieci wyskoczył szczur.

— Wyluzuj trochę i nie nastawiaj się tak — powiedziała Pia zniecierpliwionym głosem. — Musimy sprawdzić, czy zastaliśmy naszego *sugar daddy* Ralfa.

Podeszła do drzwi. Wisiał na nich stary wieniec z wyblakłych plastikowych kwiatów; wyraźny znak, że komuś zależało, by to dołujące miejsce uczynić choć trochę przyjemniejszym. Przed schodami leżało kilkanaście żółtych worków na śmieci, a na dwóch stopniach prowadzących do wejścia stały parami buty i kalosze. Bodenstein szedł za Pią, obserwował ziemię i nawet na chwilę nie podnosił wzroku.

— Widziałeś żółte worki? Przynajmniej segregują śmieci — prychnęła Pia drwiąco.

Na ścianie przy drzwiach brakowało dzwonka, więc policjantka zastukała głośno w obłazę z zielonej farby drewniane skrzydło. Odpowiedziała jej cisza.

— Zostańcie na zewnątrz — polecił Bodenstein dwójce funkcjonariuszy prewencji. — A my wejdziemy do środka i się trochę rozejrzemy.

Pod prowizorycznym zadaszaniem przy ścianie domu stało trzydzieści kilka butli gazowych. Większość była zardzewiała i widać było, że od lat czeka tam

na odmianę losu, jednak część błyszczała nowością. Obok nich Pia dostrzegła dwudziestolitrowy metalowy kanister.

— Widzisz to co ja? — mruknęła.

— Chyba tak — potwierdził Bodenstein i na wszelki wypadek wyjął telefon i zrobił zdjęcie, które natychmiast wysłał do Kaia Ostermanna.

Za domem znajdowało się kolejne, znacznie większe podwórze, jednak równie zaniedbane jak pierwsze. Beton, którym niegdyś zostało wylane, popękał z biegiem czasu, a ze szczelin wyłaziło zielsko i korzenie drzew. Do dużego budynku młyna wodnego, który od dawna już nie miał koła, dobudowana została stodoła z drewnianych desek. Wysoka brama do środka była zamknięta. Wzdłuż ściany stodoły stały siatkowe pojemniki wypełnione jeszcze większą liczbą butli z gazem. I kanistrami z benzyną. Wysokie świerki nie przepuszczały prawie wcale słońca, więc podwórze tonęło w ponurym półmroku. W tle słychać było szum potoku i głośno warczący generator.

Nagle rozległo się dzikie szczekanie. Bodenstein drgnął przestraszony, lecz psy — dwa pitbulle i dwa inne, szarorude ze spiczastymi uszami i jasnoniebieskimi oczyma — znajdowały się na szczęście w solidnie wyglądających kojcach z tyłu domu. Co ciekawe, tylko pitbulle ujadają, a dwa pozostałe stały spokojnie i patrzyły.

Po chwili otworzyły się boczne drzwi stodoły i ze środka wyszedł jakiś mężczyzna. Mimo że Bodenstein przez ponad trzydzieści lat nie widział dawnego kolegi ze szkoły, bez trudu go rozpoznał. Jego blond włosy poszarzały i nosił teraz modną bródkę, która zupełnie nie pasowała do jego wieku, lecz Ralf Ehlers właściwie się nie zmienił.

— Ej! Spokój mi tam! — krzyknął w stronę kojców. Psy momentalnie ucichły, ale dalej skakały na kraty i dziko machały ogonami. — Bądźcie miłe dla naszych gości!

— Wow! — sapnęła Pia z podziwem. — Richard Gere!

— Nie. Ralf Ehlers — poprawił ją Bodenstein trzeźwo.

Mężczyzna odwrócił się zaskoczony.

— To jest teren prywatny! — ostrzegł ich ostro. — Spadajcie stąd albo wypuszczę psy!

— Cześć, Ralf — odparł Oliver. — Tak się wita starych znajomych?

Właściciel młyna zmrużył oczy.

— Oliver? — Podszedł kawałek. Miał długie do ramion włosy, opaloną twarz i kurze łapki wokół oczu. Nosił sprane džinsy i biały obcisły T-shirt, doskonale podkreślający walory jego wysportowanego ciała. Ralf Ehlers sprawiał wrażenie osoby sprawnej i pełnej życia. I pomimo siwej grzywy wyglądał znacznie młodziej niż na pięćdziesiąt kilka lat. Nic dziwnego, że mógł się podobać młodszym dziewczynom, takim jak Pauline.

— No nie mogę! To ty! Oliver von Bodenstein! — zawołał Ehlers, bardziej zaskoczony niż uradowany niespodziewaną wizytą. — Kopę lat! Całe wieki cię nie widziałem!

Bodenstein zignorował przyjacielskie powitanie i przedstawił Pię.

— Dzień dobry. — Pia wyjęła legitymację policyjną, lecz mężczyzna nie raczył nawet na nią spojrzeć.

— Chodźcie do domu, zapraszam. Psy się denerwują, gdy widzą obcych.

Zmusił się do uśmiechu, lecz nie potrafił zamaskować nim nerwowości.

— Po co panu tyle butli gazowych? — zapytała Pia.

— Jakich butli gazowych? — Ehlers był wyraźnie zdenerwowany, ale udało mu się uśmiechnąć. — Ach, o te butle chodzi! To nie moje. Należą do ludzi, którym wynająłem stodołę.

— Co to za ludzie? — zapytał Bodenstein. — I po co im twoja stodoła?

— Wynająłem ją Turkom, dobrze płacą — wyjaśnił Ehlers. — Produkują tam jakieś tureckie słodczy. Dlaczego pytacie? Policja kryminalna zajmuje się teraz takimi rzeczami?

Tym raczej powinny się zająć jakieś organy nadzorujące produkcję żywności — pomyślał Bodenstein, bo utrzymanie odpowiedniej higieny w takim miejscu raczej nie wchodziło w rachubę. To go jednak nie interesowało, bo przyjechał tu z czym innym: miał morderstwa do wyjaśnienia.

— Z całą pewnością słyszał pan, że w ciągu ostatnich czterech dni troje ludzi zostało zamordowanych — powiedziała Pia.

— Tak, takie wiadomości docierają nawet tutaj, do mojej mrocznej doliny. — Ehlersowi przez cały czas uśmiech nie schodził z twarzy. — Ale co ja mam z nimi wspólnego?

— Dziś rano w Ruppertshain znaleziono ciężko ranną dziewczynę — kontynuowała Pia. — Na narzędziu, którym została zmasakrowana, zabezpieczono pańskie odciski palców.

— Że co proszę?! — Ralf Ehlers przeniósł szybko wzrok na Olivera. — To jakiś żart, prawda?

— Nie.

— Szkoda. A kogo niby miałbym ciężko pobić? — Z wcześniejszego uśmiechu nie zostało zbyt wiele, a w jego oczach pojawił się jakiś niedobry błysk.

— Pauline Reichenbach.

— Co? — Ehlers wytrzeszczył oczy. Teraz był już całkowicie poważny, a jego twarz wyrażała niedowierzanie i przerażenie. — Pauline? O Boże! Ale ona... przecież ona tu była! Była...

— Była? I co dalej? — zapytała Pia ostrym tonem.

— Boże, moje złotko! — Ralf Ehlers sprawiał wrażenie szczerze wstrząśniętego. — Jak się teraz czuje? Co się stało?

Jego troska nie była udawana, lecz czy była to troska przyjaciela, czy raczej potencjalnego mordercy, który się martwił, że ofiara wymknęła się śmierci? Bodenstein przyglądał mu się uważnie, zastanawiając się, czy Ralf jest

szczerzy, czy to tylko teatr? Już jako dziecko był świetnym aktorem, a jego popisową rolą było udawanie wcielonej niewinności.

— O to właśnie chcieliśmy pana zapytać — odparła Pia.

— O co chcieliście mnie zapytać? — Ehlers patrzył na nią całkowicie zdezorientowany, a kiedy zrozumiał, do czego Pia zmierza, jego twarz zrobiła się czerwona, a troska ustąpiła miejsca złości. — Co mają znaczyć te wasze głupie insynuacje? Dlaczego w ogóle miałbym krzywdzić Pauline?

— Może dlatego, że się pan z nią pokłócił? Doszło do różnicy zdań, bo pańska młoda kochanka chciała czego innego niż pan.

— Moja młoda kochanka? Teraz to pani chyba sobie żartuje!

— Miał pan romans z Pauline, czy nie?

— Romans! — Ehlers potrząsnął głową. — Czasem uprawialiśmy seks, to prawda, ale nie tworzyliśmy żadnego związku! Tutaj wszyscy się kochamy, takie mamy zasady.

— Kto kocha kogo? — drążyła Pia. — I kto to ci wszyscy, o których pan mówi? Pan i zgraja młodych ludzi, przed którymi może pan odgrywać rolę samca alfa?

— Pani nie wie, o czym mówi! — zaprotestował Ralf.

— Zgoda, nie wiem. I nic mnie to nie interesuje, dopóki pana przyjaciółki są pełnoletnie — ucięła Pia oschle. — Gdzie pan przebywał w sobotę wieczorem, między dwudziestą pierwszą a północą?

— Proszę się nie wygłupiać!

— Jestem śmiertelnie poważna i panu też to radzę. Pańskie odciski palców zostały zabezpieczone na narzędziu zbrodni — przypomniała Pia, bo takie protesty nie robiły już na niej najmniejszego wrażenia. — A po lekturze pańskiej kartoteki wiem, że ma pan skłonności do agresji i nie cofnie się pan przed pobiciem i uszkodzeniem ciała. Dlatego zatrzymuję pana pod zarzutem pobicia Pauline Reichenbach i spowodowania ciężkiego uszczerbku na

zdrowiu. Jeśli w wyniku odniesionych obrażeń dziewczyna umrze, do zarzutów wobec pana dojdzie jeszcze zabójstwo.

— Oliver! — Ehlers odwrócił się do Bodensteina i spojrzał na niego z rozpaczą, unosząc w błagalnym geście złożone dłonie. — Powiedz, proszę, że w to nie wierzysz! — jęknął. — Przecież Pauline to moja chrześniaczka! Trzymałem ją do chrztu! Nigdy, przenigdy nie zrobiłbym jej krzywdy! Zgoda, byłem wcześniej karany, to prawda, ale to grzechy młodości. Głupoty, dziś już bez znaczenia! Dawniej zachowywałem się strasznie impulsywnie, wiem, że to był mój problem! Zawsze potem czułem się podle! Od lat nie zrobiłem niczego głupiego i nie złamałem prawa! — wołał z wytrzeszczonymi oczami, a w kącikach ust zbierała mu się ślina. — Ja się bardzo zmieniłem, Oliver, bardzo!

Bodenstein zaczynał mu nawet wierzyć, lecz w pewnej chwili dostrzegł w jego oczach błysk wyrachowania. Ralf Ehlers w gruncie rzeczy nic się nie zmienił i choć dorosły, wciąż pozostawał dzieckiem: nie akceptował granic, nie trzymał się reguł i nie przejmował się konsekwencjami swoich czynów.

— Oliver, no ja cię proszę! Przecież tyle lat się znamy! — I tak samo jak dawniej wykorzystywał cały arsenał swoich zdolności, by uniknąć problemów. — Byliśmy przyjaciółmi, pamiętasz? Wiesz przecież, że nie zrobiłbym czegoś takiego!

— Przykro mi — mruknął jedynie Bodenstein.

Choć w rzeczywistości w ogóle nie było mu przykro. Za to troszeczkę wstydził się zadowolenia, jakie odczuwał. Sytuacje, które dawno już odeszły w niepamięć, a tak mu się przynajmniej wydawało, wróciły do niego zaskakująco wyraźnie: *Od teraz należysz do bandy. Na śmierć i życie. Kto nas zdradzi, będzie musiał ponieść karę i umrze.* Te słowa, często powtarzane przez Ralfa i Petera, były powodem wielu nieprzespanych nocy. W oczach pozostałych zdradził bandę, bo uwolnił się spod jej wpływu i bawił się tylko

z Arturem i Wielandem. I został za to ukarany. Nagle coś mu przyszło do głowy, przypuszczenie tak niemożliwe, że dostał gęziej skórki. Ale to nie był dobry moment, by zadać Ehlersowi pytanie, które cisnęło mu się na usta.

Na podwórze weszli umundurowani policjanci, a Pia w tym czasie pouczała Ralfa Ehlersa o jego prawach. Mężczyzna zdał sobie w końcu sprawę, że nie ma sensu odwoływać się do starej przyjaźni z Oliverem, bo przecież doskonale wiedział, że nigdy nic takiego między nimi nie było. I tak jak wcześniej, kiedy musiał się tłumaczyć, a był w sytuacji bez wyjścia, mechanizm obronny automatycznie spowodował zmianę trybu z sympatii na atak.

— Chyba wiem, kto mógł tak potraktować Pauline — oznajmił, kiedy na jego nadgarstkach zatrzaskiwały się kajdanki.

— Będziemy potrzebowali wsparcia. — Pia zwróciła się do Bodensteina.
— Kai przesłał mi właśnie na komórkę nakaz aresztowania i nakaz przeszukania.

— Dlaczego? Czego chcecie u mnie szukać? — wtrącił się Ehlers. — Przecież jadę z wami, nie stawiam oporu i powiem wam wszystko, co chcecie wiedzieć.

Po raz pierwszy w jego głosie pojawiła się prawdziwa obawa, a raczej strach, i nie miało to nic wspólnego z Pauline Reichenbach.

— No dobrze — powiedział jeden z umundurowanych policjantów.
— Zapraszam do radiowozu.

— Nie! Sekundka! — zaprotestował Ehlers i się zatrzymał. — Co będzie z moimi psami?

— Zajmiemy się nimi — zapewniła Pia. — Jak się wabią?

— Mayday. I Fiona — odparł Ralf. Obawa i strach w jego oczach ustąpiły miejsca czystej panice. — Ale proszę pani, to nie...

— A dwa pozostałe psy?

— Nie wiem, nie znam ich. Elias musiał je przywieźć zeszłej nocy.

Kiedy na samym początku wyszedł uciszyć pitbulle i powiedział, że mają być miłe dla gości, wcale nie miał na myśli policji, bo wtedy jeszcze ich nie zauważył! Pia spojrzała szybko na Olivera.

— Elias? — zapytał Bodenstein. — Syn Petera?

— Tak, on. — Ehlers potaknął gorliwie. — Często tu bywa. Od lat. Zawsze kiedy w domu ma kłopoty, zrywa się do mnie i mieszka tutaj, bo nie może wytrzymać ze starymi.

Ralf Ehlers nie kłamał, a jego słowa potwierdzała historia logowań telefonu Eliasa do stacji przekaźnikowych. To jednocześnie wyjaśniało, co miała na myśli Letizia Lessing, kiedy mówiła, że jej brat, chcąc mieć spokój, szedł do lasu i przez kilka dni nie wracał.

— Kiedy ostatnio go widziałeś? — zapytał Bodenstein.

Ehlers zastanowił się, nie spuszczając dawnego kolegi z oczu, po czym poruszył głową, jakby chciał rozluźnić mięśnie karku. Za to jego twarz pozostała bez wyrazu.

— Kiedy Elias odwiedził pana młyn po raz ostatni? — powtórzyła Pia.

— Nie pamiętam dokładnie. Przychodzi, kiedy chce, i odchodzi, kiedy mu wygodnie. Nie zawsze daje mi znać, że jest. — Ehlers wzruszył ramionami. — Najlepiej zapytajcie o niego Pauline. Wszędzie go szukała. I może go znalazła.

PO ARESZTOWANIU Ralfa Ehlersa Pia udała się na spotkanie z doktor Basedow, przy czym ledwie udało jej się dotrzeć na miejsce o umówionej porze. Kiedy stanęła przed drzwiami przychodni, pracownica rejestracji, przysadzista czterdziestolatka z włosami przyciętymi na krótkiego boba i ufarbowanymi na miedzianorudy kolor oraz tatuażem w plemienne wzory na otłuszczonym karku, trzymała już dłoń na zamku. Zmierzyła Pię nieprzychylnym spojrzeniem i westchnęła niezadowolona.

— Zamknięte. Proszę przyjść po trzeciej — burknęła, patrząc w inną stronę.

— Byłam umówiona — zaprotestowała Pia i złapała za klamkę, zanim gruba asystentka lekarki zdążyła zamknąć drzwi.

— Co to ma być?! — warknęła masywna kobieta i popatrzyła na nią groźnie. — Pani zostawi te drzwi natychmiast!

— Petra, już dobrze — rozległ się głos doktor Basedow, która akurat wyszła z gabinetu. — Zapomniałam dać znać, że umówiłam jeszcze jedną pacjentkę.

— Ale ja muszę odebrać Marvinę ze szkoły. — Pracownica rejestracji miała złe błyski w oczach, kiedy patrzyła na Pię, bo obawiała się, że przez niezapowiedzianą wizytę jej popołudniowa przerwa jest zagrożona.

— Niech się pani niczym nie przejmuję — uspokoiła ją doktor Basedow. — Poradzę sobie sama.

Poczekają, aż pracownica rejestracji ruszy klatką schodową w dół, a kiedy usłyszały szcęk zamykanych drzwi, lekarka zaprosiła Pię do swojego gabinetu.

— Proszę, niech pani usiądzie.

— Dziękuję. — Pia usiadła na krześle dla pacjentów. — Co u Pauline? Jak się czuje?

— Przeżyła operację — odparła lekarka i zajęła miejsce za biurkiem. — Miała szczęście w nieszczęściu, bo z powodu otwartego złamania kości czaszki obrzęk mózgu nie doprowadził do żadnych uszkodzeń, a wzrost ciśnienia wewnątrzczaszkowego nie miał tak drastycznych skutków, jakie miałyby w przypadku nieuszkodzenia kości. Lekarze wprowadzili ją w stan śpiączki farmakologicznej, żeby dać czas organizmowi na regenerację. Jej życie wciąż wisi na włosku.

Doktor Renate Basedow spojrzała na policjantkę znad okularów do czytania. W promieniach słońca wpadających przez uchylone okno tańczyły

złote drobinki kurzu. Przez chwilę panowała cisza.

— Po co mnie pani zaprosiła? — Pia pierwsza przerwała milczenie.

Renate Basedow nie przestawała świdrować jej wzrokiem. Po chwili zmarszczyła czoło, a wtedy jej brwi niemal się zetknęły.

— Zbyt wiele razy odwracałam wzrok, kiedy powinnam była wykazać się odwagą. Ale przyznaję się, że bałam się konsekwencji. A teraz nie żyje troje ludzi. Ktoś zamordował troje moich pacjentów, których bardzo dobrze znałam, a młoda dziewczyna leży w śpiączce i walczy o życie... Nie mogę dłużej udawać, że mnie to nic nie obchodzi, że to, co się tutaj dzieje, mnie w ogóle nie dotyczy.

Przez cały czas bawiła się oprawkami okularów. Była bardzo zdenerwowana.

— Większość ludzi mieszkających w miasteczku poniżej to moi pacjenci. Wielu z nich leczy się u mnie od trzydziestu lat — ciągnęła lekarka, z pozoru bez związku z tematem rozmowy. — Znam ich wszystkich z imienia, wiem, na co chorują, z kim są spokrewnieni, z kim się przyjaźnią... ale czasem mam wrażenie, że w ogóle ich nie znam. W oczach starych mieszkańców Ruppertshain i tak jestem napływowa i to się nigdy nie zmieni, choć mieszkam tutaj od dziecka. Rodzice byli jednymi z pierwszych, którzy stawiali domy przy starym kamieniołomie. To była wówczas zupełnie nowa dzielnica. Na studia wyjechałam gdzie indziej, potem pracowałam w Berlinie i we Frankfurcie. Większość moich znajomych i przyjaciół marzyła o wielkiej karierze. Ja nie. Ja od zawsze wiedziałam, że chcę być wiejską lekarką. Dlatego kiedy od mamy dowiedziałam się, że doktor Lessing szuka kogoś, kto przejąłby jego gabinet, wróciłam do Ruppertshain.

Westchnęła.

— Lessingowie mieszkają tutaj od pokoleń. Doktor Lessing cieszył się powszechnym szacunkiem — no i był mężczyzną. Ja natomiast byłam

przeciętnie atrakcyjną kobietą, której nie bierze się na poważnie. Owszem, wszyscy uśmiechali się do mnie na ulicy, ale gdybym miała na nich liczyć, umarłabym z głodu, bo ludzie woleli dyskretnie chodzić do starego doktora po poradę, zamiast przyjść do mnie do gabinetu. Gdybym wtedy nie przekonała doktora Lessinga, żeby na jakiś czas wrócił do przychodni, po kilku miesiącach bym zbankrutowała. On był panem doktorem, a wszystkim zza jego pleców sterowała żona.

— Dlaczego doktor Lessing w ogóle postanowił sprzedać przychodnię? Przecież nie był jeszcze wcale taki stary? — Pia słabo liczyła w pamięci, jednak skoro Peter Lessing był w wieku Olivera von Bodensteina, to w 1984 jego ojciec nie mógł być już w wieku emerytalnym.

— Nie, po prostu zachorował. Parkinson — wyjaśniła lekarka krótko. Przerwała na chwilę i zebrała myśli, zanim zaczęła mówić dalej. Zmienił się jednak ton jej głosu, był celowo beznamiętny. — Dwa lata później zmarł nagle na zawał serca. Miał dokładnie sześćdziesiąt lat. W pogrzebie wzięła udział cała wieś, lecz nikt nie uronił ani jednej łzy po człowieku, któremu niby tak wiele zawdzięczali. Udawali smutek, jednak w głębi duszy wszyscy się cieszyli, że już nie żyje. Do tamtego momentu byłam przekonana, że ludzie naprawdę go lubili, ale okazało się, że było wręcz przeciwnie. W rzeczywistości pałali do niego nienawiścią.

— Dlaczego?

— Chełpił się tym, że pierwszy z miejscowości poszedł na studia i obronił doktorat. Uwielbiał udowodniać innym, że są od niego gorsi, bo uważał, że jest ponad wszystkimi. Z dobrodusznym uśmiechem na twarzy potrafił poniżyć i zawsze wiedział, jak kogoś zranić. Był złym człowiekiem. A jego żona jeszcze gorszym. Cieszyło ją sianie zamętu i niezgody. Ludzie się bali doktora Lessinga. Całej rodziny się bali.

Pia się wyprostowała. Ostatnie słowa lekarki sprawiły, że zaczęła słuchać

jeszcze uważniej. Przecież Bodenstein powiedział coś bardzo podobnego o rodzinie Lessingów!

— To, że ludzie nie są z natury mili, to była najbardziej gorzka i rozczarowująca lekcja, jaką dało mi życie — dodała lekarka. — Dawniej byłam zbyt naiwna i mocno wierzyłam, że w każdym człowieku tkwi dobro. Ale za uśmiechami i pozorami kryje się często mroczne wnętrza pełne podłości i egoizmu. Widziałam już wielu takich ludzi i poznałam wiele budzących grozę tajemnic, aż doszłam do wniosku, że już nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć. Jednak za każdym razem się okazywało, że może być jeszcze gorzej. Że są ludzie, którzy nie powinni się nigdy spotkać, bo kiedy to się stanie, budzą się w nich najgorsze demony.

Przez jej twarz przebiegł cień i na chwilę straciła kontrolę nad emocjami. W jej oczach dało się odczytać zadawniony ból wywołany jakimś urazem, odrzuceniem czy raną, która do dziś się nie zagoiła.

— Mówi pani o kimś konkretnym? — zapytała Pia ostrożnie, choć wiele kosztowało ją zachowanie spokoju.

— Przede wszystkim o mojej młodszej siostrze — odparła lekarka, wprawiając Pię w osłupienie. Przez cały czas patrzyła jej prosto w oczy. — Zakochała się nieszczęśliwie w Peterze Lessingu i mimo wszystkich ostrzeżeń się z nim związała. Peter traktował ją jak ostatniego śmiecia, gardził nią, poniżał i zmuszał do uległości. Zachowywał się tak zawsze, przy każdej okazji. I publicznie ją wyśmiewał. Szybko stała się cieniem samej siebie. A potem Peter Lessing poznał Henriette. Bardzo brutalnie zerwał z moją siostrą i szybko wyprawił wystawne wesele w hotelu w zamku w Kronbergu. Moja siostra nigdy już nie podniosła się po torturach psychicznych, jakie stosował Peter. Zachorowała na depresję, wpadła w alkoholizm i w końcu popełniła samobójstwo. Miała dopiero trzydzieści sześć lat.

Doktor Basedow zamilkła. Założyła ramiona na piersi i zamyślona

przygryzała dolną wargę. Pia ani przez chwilę nie wątpiła w prawdziwość jej słów. Przypomniała sobie chłód, z jakim Peter Lessing traktował swoją żonę, i kota, którego zabił, kiedy miał dziesięć lat.

— Czy myśli pani, że Elias byłby w stanie kogoś zamordować? — zapytała Pia.

— Bardzo bym chciała z pełnym przekonaniem zaprzeczyć, ale niestety nie mogę. — Lekarka westchnęła ciężko i oparła się o krzesło. — Czy w ogóle jest ktoś, kto mógłby ręczyć za innego człowieka i jego działania, kiedy znajdzie się on w sytuacji bez wyjścia? Elias popełnił już w życiu całą masę głupot, ale nigdy nikogo celowo nie skrzywdził. Elias jest bardzo labilną osobowością.

Pia dostrzegła w jej wzroku troskę wykraczającą daleko poza zawodowy obowiązek dbałości o pacjenta i zaczęła się zastanawiać, co to takiego. Miała wrażenie, że doktor Basedow bardzo zależy na Eliasie Lessingu, tylko nie potrafiła wytłumaczyć dlaczego. Czyżby istniało jakieś powiązanie między nią a tym chłopcem, które sprawiało, że był dla niej wyjątkowy?

— Jego siostra powiedziała, że kiedy miał sześć lat, byli razem obejrzyć ich dom w trakcie budowy i tam zrzucił ją ze znacznej wysokości. Twierdzi, że Elias ma skłonności do przemocy.

— Słyszałam o tej historii z oknem, ale nigdy w nią nie uwierzyłam — odparła lekarka. — Choć nie dało się jej zweryfikować. Elias już jako dziecko miał mocno rozwiniętą dysleksję, a do tego doszły problemy z koncentracją. Jego rodzice są bardzo ambitni, więc w podstawówce wysyłali go na korepetycje. Z powodu presji, jaką na niego wywierano, pojawiły się zaburzenia zachowania. Rodzice twierdzili, że stracili zaufanie do pediatry, która się nim zajmowała, i przyszli do mnie, twierdząc od samego początku, że ich syn cierpi na schizofrenię. Elias miał wtedy około czternastu lat, zbadałam go i nie zauważyłam żadnych symptomów świadczących o tej chorobie.

Dlatego skontaktowałam się z leczącą go wcześniej lekarką. Powiedziała mi, że Lessingowie bardzo naciskali, żeby skierowała Eliasa na leczenie do jakiegoś specjalisty albo w ogóle do zamkniętego szpitala psychiatrycznego, a ona odmówiła. Kiedy ode mnie usłyszeli mniej więcej to samo, nie kryli złości. Sklęli mnie, zrobili awanturę i zażądali, żebym tę „gównianą diagnozę”, jak się wyrazili, zachowała dla siebie i nikomu o niej nie wspominała, a już w szczególności Eliasowi. Według nich chłopak miał być psychicznie chory, koniec, kropka — prychnęła, lecz więcej było w tym frustracji niż złości. — Zamilkłam wtedy i nic nie powiedziałam. Peter Lessing wiedział, jak być bardzo przekonującym.

— Wiem, o czym pani mówi, mnie też próbował zastraszyć — pocieszyła ją Pia. — Mam wrażenie, że to człowiek z manią kontroli nad wszystkim i wszystkimi. Musi dominować nad rodziną i każdą osobą w swoim otoczeniu, bo inaczej źle się czuje.

Renate Basedow spojrzała na nią w sposób, którego Pia nie potrafiła zinterpretować. Czy była to zgoda? A może podziw?

— Zaniemówiłam, kiedy się zorientowałam, że Peterowi i Henriette zależy tak naprawdę tylko na tym, żeby wysłać syna do zamkniętej kliniki psychiatrycznej, gdyż w ten sposób chcieli ukryć swoją porażkę wychowawczą. I w końcu im się udało. Wysłali go do kliniki, gdzie chłopak był faszzerowany lekami, których w ogóle nie potrzebował. Brakowało mu jedynie miłości, zrozumienia i cierpliwości. Zamiast mu to dać, uczynili z niego ofiarę swoich nadmiernie rozbuchanych wymagań i oczekiwań. Elias się temu przeciwstawiał, robił wszelkie możliwe głupstwa, uciekał z domu, aż w końcu wpadł w uzależnienie od narkotyków. To straszna tragedia, której nie zdołałam zapobiec. Natomiast osobą, która w moim odczuciu jest rzeczywiście chora i potrzebuje pomocy, jest jego siostra. Letizia jest konfabulantką, notorycznie kłamie. Jest przy tym wyjątkowo inteligentna

i potrafi zmanipulować właściwie każdego. Nie cofnie się też przed niczym, żeby osiągnąć cel.

— Zupełnie jak jej ojciec. — Pia nie próbowała ukryć, jakimi negatywnymi uczuciami darzy Petera Lessinga. — Ale czy pani zdaniem Elias jest chory?

— W mojej ocenie nie. Na pewno nie był dzieckiem, które potrafiłoby sprostać nadmiernym wymaganiom, jakie przed nim stawiano, więc wybrał jedyny sposób ucieczki, jaki był mu dostępny. — Doktor Basedow wzruszyła ramionami.

— Dlaczego mi pani to wszystko opowiada? — zapytała Pia.

Lekarka nachyliła się i spojrzała Pii prosto w oczy z taką intensywnością, że policjantka poczuła się nieswojo. Kobieta była spięta i miała przyśpieszony oddech. Znała jakąś tajemnicę, która napawała ją strachem.

— W Ruppertshain wiele się ostatnio mówi o różnych sprawach, szczególnie od chwili, kiedy znaleziono szkielet tego chłopca. Nie mam pojęcia, ile wiecie na temat ówczesnych wydarzeń. Kiedy zaginął, miałam piętnaście lat, ale cały czas doskonale pamiętam, jaki nastrój panował wśród mieszkańców i jakie krążyły wtedy plotki...

Znieruchomiała i zamilkła na odgłos otwieranych do poczekalni drzwi. Po chwili zamknęły się ze szcękaniem. Na linoleum zaskrzypiały czyjeś buty. Renate Basedow przyłożyła ostrzegawczo palec do ust i wstała. Momentalnie zmienił się sposób, w jaki się poruszała; znów była przede wszystkim lekarką.

— Na wszelki wypadek zrobiłabym jednak prześwietlenie ramienia — powiedziała do policjantki. Mówiła zupełnie neutralnym tonem, spokojnym i świadczącym o pewności siebie. — Zaraz wypiszę pani skierowanie do radiologa. Tak, Petro, o co chodzi?

— A nie, nic, tylko chciałam dać znać, że już jestem! — Korpulentna kobieta z rejestracji zajrzała ciekawsko do gabinetu.

— Dobrze, dziękuję. — Renate Basedow skinęła głową. — Przygotuj mi,

proszę, kartoteki pacjentów z zaplanowanymi wizytami domowymi. Będę też potrzebować wyników badań laboratoryjnych pani Roos i pana Bornemanna.

Nie ufała jej. Pewnie nikomu tutaj nie ufała. To była cena, jaką musiała zapłacić za wyrzuty sumienia.

— Pewnie, już się za to biorę. — Ufarbowana kobieta popatrzyła jeszcze raz na Pię, po czym zamknęła za sobą drzwi.

— Czego się pani boi? — zapytała policjantka, lecz doktor Basedow nie odpowiedziała. Nerwowym gestem otworzyła szufladę biurka, wyjęła grubą, wyblakłą kopertę i położyła ją przed Pią na blacie.

— Znalazłam to w biurze doktora Lessinga — powiedziała cicho. — Była przypięta pinezkami pod biurkiem. Otworzyłam i zajrzałam oczywiście do środka, ale nie rozumiałam, o co może chodzić. Potem całkiem o niej zapomniałam. Przypomniałam sobie dopiero, kiedy zamordowano Rosie. Cały czas nie wiem, dlaczego doktor Lessing tak to ukrywał, ale mam nadzieję, że wy to odkryjecie i pomoże wam to w śledztwie.

— Dziękuję — powiedziała Pia. — Przede wszystkim za zaufanie.

— Proszę się odzywać, jeśli będzie miała pani jakieś pytania. Ma pani mój numer. — Lekarka podała jej dłoń, po czym wyszła z gabinetu. Na korytarzu trzasnęły jakieś drzwi. Serce Pii waliło głośno, kiedy szybkim ruchem chwyciła kopertę i ukryła ją w plecaku. Miała przeczucie, że w końcu trafiła na ślad, który wskaże jej drogę przez dziesięciolecia kłamstw i tajemnic.

PIA ZBIEGŁA spiesznie schodami na parter. Wcześniej Kai próbował się z nią skontaktować, lecz zanim do niego oddzwoniła, skontaktowała się z Haverlandami, żeby sprawdzić, czy Elias dał jakiś znak życia. Jak dotąd nie.

Zbliżała się druga. Kusiło ją, by zaspokoić ciekawość i zajrzeć do koperty, ale wolała uzbroić się w cierpliwość i zrobić to dopiero w biurze. Bodenstein nie odbierał telefonu, więc zostawiła mu wiadomość w poczcie głosowej. Mimo cudownego słońca taras restauracji Merlin był zupełnie pusty; na

parkingu poniżej stały raptem trzy samochody. Dziennikarze i reporterzy czekali na rozwój wydarzeń w miejscowości poniżej, wiedziała to od Bodensteina. Na kwaterę główną wybrali sobie gospodę „Pod Zielonym Lasem” i zadbali, by i gospoda, i znajdująca się po przeciwnej stronie ulicy piekarnia państwa Pokornych notowały rekordowe obroty.

Tu, na górę, nie zapędził się żaden z żadnych sensacji dziennikarzy. Wiedziona impulsem Pia wbiegła schodami do lokalu. Również w głównej sali wszystkie stoły stały puste — wiadomość o bestialskim ataku na Pauline dotarła do każdego domu w okolicy, a strach i przerażenie dokonały reszty — ulice były puste, a wieś sprawiała wrażenie wymarłej.

— Witaj, Pia! — Bandi, właściciel restauracji, odłożył na jej widok telefon i wstał od stolika w niszy obok wejścia. Był blady i wyraźnie poruszony ostatnimi wydarzeniami. — Jesteś dzisiaj moim pierwszym gościem i kto wie, czy nie jedynym. Masz na coś ochotę?

— Tak. — Pieprzyć kalorie. — Pizzę z...

— ...tuńczykiem, kaparami i sardelami — dokończył Bandi, który znał jej ulubioną kombinację dodatków. — I cola light.

— Dzięki. — Pia się uśmiechnęła i usiadła przy stoliku. Bandi zniknął w kuchni, a ona wykorzystała chwilę samotności, aby zadzwonić do Kaia i zapytać, o co chodzi. W ciszy słyszała burczenie w żołądku.

— Pia, pojawił się u nas komendant krajowy policji — obwieścił Kai konspiracyjnym szeptem, jakby się obawiał, że ktoś może podsłuchiwać. — Siedzi z Engel w świetlicy. Czekają na ciebie.

— Dzięki, Kai. Zjem coś szybko i zaraz będę. — Napięcie rosło. Szefa policji Hesji Pia знаła jedynie ze zdjęć i okólnika rozsyłanego przez wewnętrzną sieć. Przynajmniej od dziesięciu lat, które spędziła w wydziale zabójstw, ani on, ani żaden z jego poprzedników nie zaszczyli swoją obecnością komendy w Hofheim. Co go tu sprowadzało? Czyżby chodziło

o przekonanie się na własne oczy, kim ona jest, jakie sprawia wrażenie i jak sobie radzi z pierwszym samodzielnym śledztwem, zanim zapadnie decyzja o wyznaczeniu następcy Bodensteina? Co mu powie, kiedy zapyta o postępy? — Masz jakieś wieści od Cema i szefa?

— Szef chciał ściągnąć specjalistę od przesłuchań, żeby zajął się Ralfem Ehlersem — poinformował Kai. — A, właśnie, przy okazji ciekawostka: w stodole przy młynie prosperowała niewielka plantacja marihuany. Całkiem profesjonalna, z oświetleniem, ogrzewaniem i systemem nawadniającym. Generalnie ze wszystkim, co potrzebne. Na miejscu pracuje Christian i jego chłopcy, a koledzy z wydziału do walki z narkotykami są już w drodze.

— To by bardzo wiele tłumaczyło. Na przykład po co Ralfowi Ehlersowi te wszystkie butle gazowe i kanistry z benzyną. — Pia potrząsnęła głową. — A nam usiłował sprzedać bajkę, że wynajął stodołę jakimś Turkom, którzy mieli tam produkować słodycze.

— Jeśli potraktować skręta jako słodycz, to nawet nie skłamał. — Kai dobrze się bawił. — Dobra, to do zobaczenia.

Z kuchni wrócił Bandi i postawił przed nią butelkę coli light.

— To straszne, co się wydarzyło — powiedział i zajął miejsce naprzeciwko niej. — Znam Pauline od małego. Przez dłuższy czas pracowała u mnie jako kelnerka. Rzuciła tę robotę, bo poszła na studia. Kto mógł zrobić coś tak okropnego?

— Mam nadzieję, że szybko uda nam się to ustalić. — Pia upiła kilka łyków. Przyglądała się Hindusowi, który lepiej niż miejscowi znał Ruppertshain i jego mieszkańców. — Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

— To musiało być całkiem niedawno. — Mężczyzna zmarszczył brwi i zaczął się zastanawiać. Nagle jego twarz pojaśniała. — W sobotę? Tak, na pewno. W sobotę około południa, na parkingu pod Selgrosem w Eschborn. Była tam z kilkorgiem znajomych w podobnym wieku. Mieli wózek pełen

zakupów.

To by pasowało do wersji przedstawionej wcześniej przez Simone Reichenbach.

— Znasz którąś z tych osób?

— Z widzenia. Należą to tej samej organizacji ekologicznej co Pauline. Często bywali tu razem. Niestety nie znam ich imion i nazwisk. Chociaż nie, czekaj, jedną z dziewcząt przecież znam. To córka Wielanda.

— Tego leśnika?

— Tak, właśnie jego.

— Hm. Kiedy to było?

— Jeszcze przed południowym szczytem. Musiałem pędzić po wołowinę, bo nasz dostawca zawalił sprawę i zapomniał. Czyli na pewno jeszcze przed dwunastą.

— Dzięki. To pomocna informacja.

Milczeli przez chwilę. Z kuchni docierał cichy gwar rozmów. Tłusta mucha z głośnym bzyczeniem odbijała się od szyby.

— Wiem od żony, że dzisiaj zamknięto przedszkole — powiedział Bandi.

— Rodzice zostali wezwani, żeby zabrać dzieci. Ja też pewnie wcześniej zamknę. I tak nikt nie przyjdzie na obiad.

— A co mówią ludzie z Ruppertshain? — zapytała Pia. — Pewnie słyszysz to i owo, co?

— Wszyscy się boją. — Bandi pokiwał głową. — Każdy myśli, że może być następny.

— A ty? Też się boisz?

Gospodarz się zawahał, po czym wzruszył ramionami.

— Tak. Trochę. Zgoda, też się boję. Wszyscy wiedzą, że znam wielu ludzi. Morderca może sobie pomyśleć, że wiem coś, czego nie powinienem, choć to oczywista nieprawda. — Nachylił się i dokończył półgłosem: — Wystarczy,

żeby ktoś zauważył, jak ode mnie wychodzisz. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Tak, rozumiem. — Pia potaknęła. Strach i podejrzliwość szybko przeistaczały się w chorobliwą i niebezpieczną paranoję. Ile czasu potrzeba, żeby strach został przekuty we wściekłość i żeby ludzie zaczęli szukać kozła ofiarnego?

— Dlatego wysłałam moją rodzinę do przyjaciół — wyjąwił Bandi. — Do czasu, aż znów tu będzie bezpiecznie.

Pizza była gotowa. Pia poprosiła, by ją zapakować, zapłaciła i wyszła z restauracji.

Z całą pewnością pochodzący z Indii gospodarz restauracji nie był jedyną osobą, która tak myślała. Wszyscy mieszkańcy Ruppertshain byli poruszeni ostatnimi wydarzeniami. Pia nie miała im tego za złe. To nie były zbrodnie popełnione w afekcie, które zdarzają się co pewien czas i którymi ludzie najpierw się zdenerwują, a potem otrząsną i wrócą do swoich zajęć. Tutaj działał ktoś, kto wcześniej opracował morderczy plan i realizował jego kolejne punkty, nie wahając się nawet przed podniesieniem ręki na młodą dziewczynę. I ten ktoś był stąd. Był jednym z nich.

MIMO ŻE SZEFE POLICJI HESJI CZEKAŁ, Pia nie pojechała prosto do komendy, tylko zboczyła z drogi, by odwiedzić Ronję Kapteinę, córkę leśniczego, i zamienić z nią kilka słów. Przed leśniczówką, która znajdowała się pośrodku lasu, niedaleko majątku rodziny von Bodenstein, parkowało kilkanaście samochodów, a wśród stojących dookoła ludzi Pia rozpoznała kilkoro dziennikarzy.

Kiedy wysiadła, zewsząd posypały się pytania o stan Pauline Reichenbach i stopień zaawansowania dochodzenia w sprawie morderstw.

— Jutro złożymy oświadczenie! — odpowiadała niezmiennie, torując sobie drogę do drzwi leśniczówki.

Zadzwoniła. Ktoś ostrożnie je uchylił i wyjrzał. Pia pokazała drobnej

kobiecie o krótkich włosach ufarbowanych na kolor dojrzałych bakłażanów legitymację policyjną i weszła do środka.

— To oblężenie trwa już od kilku godzin — poskarżyła się Madeleine Kapteina. — Skąd w ogóle się dowiedzieli, że Ronja przyjaźni się z Pauline?

— Dzisiaj dziennikarze używają też Facebooka — wyjaśniła Pia. — Nie ma w tym żadnej filozofii. W ten sposób da się sprawdzić, kto zna kogo. Przyjechałam porozmawiać z pani córką. Zastałam ją może?

— Tak, jest w kuchni, proszę, zaprowadzę panią. — Pani Kapteina pokiwała głową i ruszyła przodem. — I niech jej pani powtórzy to, co mi pani powiedziała, o tym całym Facebooku i w ogóle o Internecie. Cały czas się o to spieramy, bo Ronja o wszystkim zaraz pisze na swoich kontach. Ja uważam, że to wyjątkowo lekkomyślne. Przez to każdy wie, gdzie akurat ją znaleźć i co robi.

Ronja Kapteina siedziała przy kuchennym stole przy włączonym laptopie i — czego Pia obawiała się najbardziej — zajęta była uzewnętrznianiem swojej troski o zdrowie przyjaciółki na Facebooku, Instagramie i Twitterze.

— Ja naprawdę nie mogę zrozumieć, jak to się stało! — Dziewczyna zaczęła szlochać, ledwie Pia zapytała, kiedy po raz ostatni rozmawiała z Pauline. — To takie straszne! I wszyscy piszą mi takie miłe rzeczy! Proszę, niech pani sama spojrzy. #prayforpauline! Taki hashtag zrobili. To bardzo pocieszające, prawda?

Siąknęła głośno nosem i odwróciła komputer ekranem do Pii, by policjantka mogła zobaczyć komentarze, o których mówiła. Na monitorze widać było profil facebookowy Pauline.

— Nie ułatwia nam pani pracy, rozprzestrzeniając niepotwierdzone spekulacje w Internecie — skarciła ją Pia. Postanowiła, że kiedy stąd wyjdzie, poprosi Tarika, żeby tymczasowo zawiesił profil Pauline.

Ronja знаła Pauline od przedszkola. Mimo że córka leśniczego była

w szoku po brutalnej napaści na przyjaciółkę, bardzo się starała rzeczowo i jasno odpowiadać na pytania policjantki. W sobotę około południa rzeczywiście pojechały do Selgrosu zrobić zakupy na przyjęcie urodzinowe znajomego, które miało się odbyć wieczorem, w Ginnheim, na dziedzińcu gospodarstwa rodziców solenizanta. Pauline obiecała, że pojawi się najpóźniej o wpół do dziesiątej, jednak czas mijał, a ona nie przyjeżdżała. Ronja zaczęła od wysłania jej wiadomości przez WhatsAppa i dostała na nią odpowiedź. Po jedenastej wieczorem Ronja wybrała kilka razy z rzędu numer przyjaciółki, lecz ona już nie odbierała. Z początku włączała się jeszcze poczta głosowa, a później jej telefon został wyłączony. Ronja bez oporów pokazała Pii ostatnią wiadomość, którą otrzymała od Pauline.

Zaraz do was lecę, muszę jeszcze tylko skoczyć do lasu uratować świat — napisała dziewczyna i dołączyła kilka emotikonów.

— Nie mam zielonego pojęcia, o co jej mogło chodzić — wyznała Ronja Kapteina, po czym sięgnęła do pudełka, które stało na stole, wyjęła z niego chusteczkę i wytarła nos. — Ale to cała ona. Zawsze taka była. Pauline ma w sobie coś takiego, że zawsze i wszystkim musi pomagać. Czasem dla żartu przezywaliśmy ją Matką Teresą z Taunusu.

Kiedy Pia zapytała ją o stosunek Pauline do jej ojca chrzestnego Ralfa Ehlersa, Ronja zaczęła unikać jasnych odpowiedzi. W końcu Pia wstała i zamknęła drzwi do kuchni.

— Zdradzisz mi, co się dzieje w młynie u Ehlersa? — zapytała młodą kobietę. — Co tam jest? Komuna hippisowska? Wszyscy jarają skręty, ktoś gra na cytrze, a dobry wujek Ralf robi za guru, czeka, aż będziecie na haju i wybiera sobie jakąś panienkę?

Twarz Ronji oblała się szkarłatem.

— Naprawdę nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak najeżdżają na tego Ralfa — poskarżyła się przekornie. — On naprawdę jest w porządku. Jeśli ktoś nie

ma dokąd pójść, u niego zawsze można przeczekać zły czas. No i w młynie cały czas coś się dzieje i nie ma nudy.

— Czy Ralf był w związku z Pauline?

— Tak trochę, można tak powiedzieć — przyznała Ronja. — Ale to nie jest nic na stałe. Ona raczej to robiła z litości.

— Ona... z litości? — powtórzyła Pia z niedowierzaniem.

— No tak. Ralf jest bardzo samotny. — Ronja wzruszyła ramionami. — A Pauline ma miękkie serce.

Pia pokręciła głową. Gdyby Ralf Ehlers się dowiedział, co sprawiło, że zainteresowała się nim dwudziestopięciolatka, byłby to ogromny cios dla jego ego.

Z plantacją marihuany Pauline z całą pewnością nie miała nic wspólnego, bo uważa narkotyki za największe zło, tłumaczyła Ronja. Dotychczas dziewczyna bez wahania i szczerze odpowiadała na każde pytanie, choć czasem przerywała, zanosząc się szlochem. Dopiero kiedy Pia wspomniała o Eliasie Lessingu, Ronja stała się małomówna.

— Pauline kiedyś zahamowała ostro na środku ulicy, bo na asfalcie siedziała ropucha. Wyskoczyła z samochodu i przeniosła ją bezpiecznie na drugą stronę drogi — opowiadała córka leśniczego. — Wydaje mi się, że Elias to dla niej właśnie taka ropucha, którą chce uratować.

Pia podziękowała jej za pomoc i jeszcze raz poprosiła, żeby bardzo ostrożnie dzieliła się wiadomościami i podejrzeniami w mediach społecznościowych, po czym pożegnała się i wyszła. Kiedy wsiadła do auta, rozległ się sygnał, którym jej telefon informował o przychodzącym mejlu. Henning skończył wstępny raport z oględzin szkieletu Artura Berjakova. Pia otworzyła załączony do wiadomości dokument, stojąc na czerwonym świetle w Fischbach. Po lekturze kilku pierwszych zdań uznała, że lepiej będzie zadzwonić do byłego męża. Profesor Kirchhoff odebrał po pierwszym sygnale.

— Słuchaj, co to znaczy „*perimortem*”? — zapytała bez powitania.

— Powinnaś wiedzieć takie rzeczy — odpowiedział Henning z delikatną kpina. — Tym terminem określamy obrażenia okołomierne, to jest powstałe tuż przed śmiercią lub tuż po śmierci danej osoby — wyjaśnił tonem wykładowcy akademickiego i dodał jeszcze parę zdań, posługując się fachowym językiem, aż w końcu zaczął mówić bardziej zrozumiale. — Szkielet zachował się w bardzo dobrym stanie i można przyjąć, że ciało po złożeniu do grobu nie było już ruszane. Ustaliłem całą listę różnych złamań, lecz w żadnym przypadku nie zaobserwowałem choćby początków zrastania się tkanki łącznej, co pozwala wnioskować, że urazy te powstały bezpośrednio przed śmiercią. Jestem jednak zdania, że nie wszystkie urazy ofiara odniosła jednocześnie i poszczególne złamania miały różną genezę. Złamanie kości nadgarstka prawej ręki i proste złamanie łokcia oraz kości promieniowej, jak i kości pięty oraz prawej kostki sugerują upadek z dużej wysokości. Charakterystyka złamań w obrębie kończyn górnych jest typowa dla sytuacji, gdy poszkodowany próbuje amortyzować upadek. Złamania wieloodłamowe kości udowej prawej i lewej nogi, w dodatku na tej samej wysokości, pozwalają przypuszczać, że ofiara leżała na brzuchu albo na plecach, kiedy po jej nogach przetoczył się jakiś pojazd.

— Chcesz powiedzieć, że ten chłopak został przejechany przez samochód?

— Pia rozmasowała prawą skroń. Czuła wzmagający się, pulsujący ból głowy.

— To by znaczyło, że mógł zginąć w wypadku samochodowym, prawda?

— Pia, no ja cię proszę! — jęknął Henning karcąco. — Czy ja coś takiego powiedziałem? To są czyste spekulacje. Mogę jedynie przypuszczać, że przejechał po nim samochód, ale czy zrobił to celowo, czy może był to wypadek, jeśli w ogóle tak to wyglądało, tego nie mogę stwierdzić, choćbym bardzo chciał.

Przez chwilę Pia milczała. Starła się uporządkować zebrane wiadomości.

Czy to możliwe, że Artur jednak nie został zamordowany? I jakie znaczenie miał fakt, w jaki sposób zmarł?

— Czy masz może ochotę usłyszeć moje skromne zdanie odnośnie do tego, co mogło się wtedy wydarzyć? Ale powtarzam raz jeszcze — mogło! — rzucił Henning.

— Tak, oczywiście. — Już i tak nad wyraz rzadko Henning zgadzał się mówić o spekulacjach, a nie o faktach, na dodatek Pia uznała, że spojrzenie na sprawę z punktu widzenia antropologa sądowego może być bardzo interesujące. Sięgnęła po plecak, który rzuciła wcześniej na siedzenie pasażera, i zaczęła szukać w nim po omacku tabletek aspiryny.

— Chłopak został ranny, i to tak mocno, że właściwie nie mógł się ruszać. — Henning odchrząknął. — Znasz mnie i wiesz, że nie wrywam się nigdy z takimi przypuszczeniami, ale potrafię sobie wyobrazić taką sytuację, że chłopak dostał się na jezdnię w nadziei, że tam znajdzie pomoc. Znajduje jednak co innego: zostaje przejechany przez samochód. Czym ty tam tak hałasujesz? Słuchasz mnie w ogóle?

— Tak, oczywiście! Szukam tabletek na ból głowy.

— Powinnaś pić więcej płynów.

— Dobrze, tato. — Pia wreszcie znalazła listek tabletek i wycisnęła jedną, nie odrywając wzroku od ulicy. — Jestem trochę niewyspana i zmęczona, tylko tyle.

— Dlatego zawsze powtarzam: trzeba się dobrze zastanowić przy wyborze zawodu — odparł Henning rzeczowym tonem. Pia zmusiła się do połknięcia tabletki bez popijania. — Kości drugiego szkieletu należą bez wątpienia do zwierzęcia z gatunku *vulpes vulpes*, znanego pod nazwą lis. O pomoc przy jego badaniu poprosiłem specjalistę na tym polu i razem doszliśmy do wniosku, że zwierzę miało złamany kręgosłup, co najprawdopodobniej przyczyniło się do jego śmierci. To jednak nie wszystko. Zidentyfikowaliśmy

kilka złamanych żeber i pęknięcie czaszki.

Pia natychmiast przypomniała sobie fotografię, którą pokazał jej Oliver. Czy Inka Hansen celowo kopnęła wówczas lisa Bodensteina, czy też broniła się, bo została zaatakowana?

Podziękowała Henningowi za informacje i rozłączyła się. Może jednak prawda miała okazać się znacznie banalniejsza, niż im się wydawało? Rosie Herold przez przypadek przejechała Artura, który leżał na ulicy. Kiedy zobaczyła, że chłopak nie oddycha, wpadła w panikę i przestała racjonalnie myśleć. Może piła wcześniej alkohol, a może bała się policji i późniejszych problemów? I czy Artur na pewno już nie żył? Gdyby samochód przejechał mu jedynie po nogach, nie musiałby od razu umierać. Tylko w jaki sposób Rosie miałyby podnieść ciężką, kamienną płytę grobu? Czy powiadomiła męża i poprosiła go o pomoc, a on się zgodził? A może zwróciła się do kogoś innego? I dlaczego do grobu razem z Arturem trafił lis? Kto po ponad czterdziestu latach za wszelką cenę próbował ukryć prawdę o tamtym wydarzeniu? Dlaczego troje ludzi musiało przez to stracić życie? To wszystko nie miało sensu. Czy może jednak? Pia westchnęła ciężko. Trzy morderstwa i jedno brutalne pobicie. Te sprawy mogły być ze sobą ściśle powiązane — mogły, ale nie musiały. Zmagiła się z nieprzejrzystym gąszczem informacji, podejrzeń, sugestii i tajemnic. Jak miała rozplątać tę gmatwaninę, by nie popełnić błędu i by nikt więcej nie musiał tracić życia?

NIEPEWNOŚĆ BYŁA już nie do wytrzymania. Dlaczego Pauline nie była u Nike? Przecież przysięgała, że do niej pojedzie! Dała słowo! Przynajmniej udało mu się nad ranem zamienić kilka słów z matką jego nienarodzonego dziecka. Niewiele, ale zawsze. Dziwnie brzmiała, zupełnie inaczej niż wcześniej. Obco. Nie rozumiał, skąd się brało dziwne uczucie, które go opanowało w czasie rozmowy. Pojechał do Bad Soden i przebiegł z psami przed domem jej rodziców w nadziei, że uda mu się zobaczyć ją przez okno, lecz zamiast

Nike dostrzegł jakąś obcą kobietę. A na podjeździe stały dwa samochody tak niepozorne, że aż rzucały się w oczy. I jeszcze te numery rejestracyjne z Wiesbaden! Takimi wozami poruszały się jedynie gliny. Kobieta w oknie patrzyła na ulicę, ale go nie poznała. I nic dziwnego — z krótkimi włosami i w okularach nie przypominał siebie. Zatem gliniarze podejrzewali, że pojawi się u dziewczyny, a teraz nabrał pewności: na sto procent założyli jej podsłuch w telefonie! Minęło mu już początkowe rozczarowanie tym, że Nike zgodziła się na ich plan i próbowała zwabić go w pułapkę. Pewnie zmusili ją do tego — gliniarze i jej rodzice do spółki.

I tylko jednej rzeczy nie potrafił sobie za nic wyjaśnić: a mianowicie, dlaczego Pauline nie przekazała jej listu od niego, choć dała przecież słowo, że to zrobi. Co się działo z jego telefonem? Przecież tak strasznie jej zależało, żeby przekazać policji jego stary smartfon, a on jej zaufał. Pojechał do młyna i zostawił tam psy, a potem całymi godzinami jeździł po okolicy, szukając Pauline, lecz bez rezultatu. Nie było jej ani u rodziców, ani w jej mieszkaniu. Co więcej, nawet wyłączyła swój telefon! Jego ostatnią nadzieją był Ralf. On zawsze miał najświeższe informacje. Kiedy wyjechał z Ruppertshain drogą do Schlossborn i chciał zjechać na dróżkę do młyna, na chwilę zanim włączył migacz, dostrzegł dwa radiowozy jadące z przeciwka i oba skręciły tam, dokąd i on się wybierał. Niewiele brakowało, a ze strachu dostałby zawału serca. Zmusił się, by zapanować nad wzbierającą paniką i przyspieszył. Czyżby jechali do młyna, żeby go tam szukać? Ralf go zdradził?

Dokąd mógł się udać? Jedyнным miejscem, które przyszło mu do głowy, był dom przy gospodzie obok pola kempingowego. Wprawdzie spodziewał się, że Felicitas będzie na niego wściekła — i miała do tego prawo! — ale przecież ona akurat nie robi mu krzywdy. Już wcześniej zauważył, że cieszyła się z jego obecności, bo dzięki temu nie siedziała pośrodku lasu sama jak palec. Była takim samym wyrzutkiem jak on. Przejechał przez Schlossborn w stronę

Glashütten, zjechał na B8 i po dziesięciu minutach jazdy dotarł do drogi, która prowadziła prosto do gospody. W duchu układał już sobie wyjaśnienie, które chciał jej wcisnąć. Plan był taki, żeby najpierw dać się jej wykrzyzczyć i udawać w tym czasie skruchę. Ten fortel działał zawsze. Wystarczyło kilka miłych słów, by dała się złapać i miękła niczym masło na rozgrzanej patelni. Zaparkował defendera w garażu, sięgnął po plecak i wszedł do domu. Drzwi nie były zamknięte na zamek, co go trochę zaskoczyło. Czy uwolniła się ze ślepej łazienki na pierwszym piętrze? Dopiero teraz odezwały się w nim wyrzuty sumienia. Znacznie dłużej nie wracał, niż planował, i przez to wszystko zupełnie o niej zapomniał.

— Felicitas! Już wróciłem! — krzyknął.

Na górze panował absolutny bezruch. Zsunął powoli plecak z ramienia i położył go na podłodze. Zajrzał do kuchni. Pusto. I tylko na stole leżał korkociąg z nakręconym jeszcze korkiem. To oznaczało, że udało jej się uwolnić z łazienki. Wyrzuty sumienia nieco zelżały. Pewnie leżała teraz zalana w łóżku. Pchnął drzwi do łazienki i rozpiął spodnie, bo pęcherz dawał już o sobie znać. Łokciem włączył światło i zamarł. Serce w jego piersi na chwilę przestało bić, a mózg odmówił posłuszeństwa i nie chciał przetworzyć tego, co docierało do niego przez zmysł wzroku. Usłyszał jakiś dźwięk, jakiś bulgoczący, zduszony jęk. Minęło kilka sekund, zanim pojął, że wydobył się z jego gardła. Nagle z siłą młota pneumatycznego jego serce znów zaczęło bić. Ogarnęło go przerażenie, zalał się zimnym potem i poczuł, że robi mu się niedobrze.

— O kurwa! — wystękał, przyciskając dłoń do ust, po czym zatoczył się w tył i wypadł na korytarz. Ledwie udało mu się wyjść z domu, a kiedy znalazł się na zewnątrz, zwymiotował obficie. Krew uderzyła mu do głowy i zrobiło mu się ciemno przed oczyma. Szlochając, szedł kawałek na czworakach, a łzy ciekły mu strumieniami po policzkach. Felicitas nie żyła! Nigdy jeszcze nie

widział takiej ilości krwi! Gliniarze na pewno będą chcieli go w to wrobić, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Cały dom był upstrzony jego odciskami palców, a jego rzeczy cały czas się walały po pokojach. Musiał stąd uciec... i to natychmiast. Tylko dokąd?

— LEĆ DO SZEFOWEJ, masz się u niej stawić natychmiast po powrocie — poinformował ją dyżurny, kiedy weszła do służby bezpieczeństwa. — Powiedziała, że masz udać się bezpośrednio do niej.

— W porządku, rozumiem. — Szklane drzwi otworzyły się z cichym buczeniem, a ona od razu ruszyła w stronę klatki schodowej. W pewnej chwili przypomniała sobie jednak o kopercie od doktor Basedow. Dlatego odwróciła się szybko na pięcie i weszła do świetlicy. Poza biurkiem Kaia wszystkie inne były puste.

— No proszę, w końcu jesteś! — Policjant oderwał na chwilę wzrok od ekranu. — Engel chciała się natychmiast z tobą...

— Tak, tak, już wiem. Zaraz idę. — Pia wyjęła z plecaka wytartą kopertę i podała ją koledze. — Nie mam pojęcia, co jest w środku. Dostałam ją od lekarki z Ruppertshain. Może znajdziesz chwilę, żeby do niej zajrzeć. Nie gwarantuję, że znajdziesz tam coś ciekawego, może to same śmieci, diabli wiedzą.

— Dobra, zajmę się tym. — Kai potaknął. — Przy okazji, jesteśmy prawie gotowi z profilem sprawcy. Na miejsce przybył już Gianni Lombardi, ale powiedział, że bez ciebie nie zacznie przesłuchania Ehlersa.

Pia potaknęła i ruszyła pospiesznie schodami na górę. Czuła się jak w szkole, gdy była wzywana na dywanik do dyrektorki. Jej siostra była w związku z Nicolą Engel, lecz wcale nie było jej przez to łatwiej, ba, czasem wręcz trudniej, gdyż nawet podczas prywatnych spotkań Nicola pilnowała oficjalnych form. O przejściu na ty nie było mowy, lecz to akurat Pii było na rękę, bo nie czułaby się swobodnie. Czego tym razem chciała od niej szefowa?

Czekała ją ostra bura za brak jakichkolwiek jednoznacznych ustaleń i postępów? Może o czymś zapomniała albo przeoczyła coś ważnego? Ktoś złożył na nią skargę? Przed sekretariatem szefowej Pia zatrzymała się na chwilę, nabrała głęboko powietrza i dopiero wtedy zapukała. Asystentka dała jej znak, żeby weszła. Doktor Engel siedziała za swoim biurkiem i wpatrywała się w ekran smartfona, lecz kiedy zauważyła Pię, natychmiast odłożyła go na blat.

— Dobrze, że pani już jest. — Była jak zawsze nienagannie ubrana i miała perfekcyjny makijaż, lecz w jej oczach dało się dostrzec trud nieprzespanej nocy. — Proszę, niech pani usiądzie. Jakieś nowe wiadomości?

— Uhm... — zaczęła Pia i poczuła się idiotycznie jak rzadko kiedy. — Ja... dziś rano miało miejsce zdarzenie...

— Nie teraz. — Szefowa machnęła dłonią. — Wszystko pani opowie na dole, przy komendancie głównym.

Westchnęła i dwoma palcami zaczęła masować nasadę nosa. Po chwili przestała i spojrzała na Pię.

— Jestem z zasady bardzo przeciwna podejmowaniu takich decyzji w trakcie toczącego się dochodzenia — zaczęła. — Uważam, że to bardzo źle wpływa na osoby, których to dotyczy, jednak nie mam wyjścia, bo szef policji nalegał.

No, to teraz się zacznie, pomyślała Pia i poczuła się jeszcze bardziej nieswojo. Wezwała mnie, żeby odebrać mi nadzór nad śledztwem i poinformować, że następcą Bodensteina został Cem Altunay.

Miała mokre od potu dłonie i znowu zaczęła ją boleć głowa.

— Zapewne domyśla się pani, o co konkretnie chodzi — ciągnęła Nicola Engel rzeczowym tonem. — Ten temat jest od niedawna bardzo gorący.

— Tak. — Pia zmusiła się do uśmiechu. Nagle poczuła, że ma wszystkiego serdecznie dość. W pracy wypruwała sobie żyły, ale to oczywiście nie

wystarczyło szanownym panom z Wiesbaden, którzy oceniali ją z za wygodnych biurek. Od kiedy Nicola Engel została szefową komendy, nikt nie będzie widział potrzeby, żeby na szefową wydziału kryminalnego wybierać kolejną kobietę. A że radczyni kryminalna z całą pewnością nie chciała zostać posądzona o nepotyzm w jakiegokolwiek formie, więc w naturalny sposób w wyścigu o fotel szefa K11 faworyzowała Cema. Pia nie przyzwyczajała się do myśli, że zostanie następczynią Bodensteina, lecz w głębi duszy żywiła nadzieję, że tak się stanie. Teraz poczuła wzbierającą falę rozczarowania. Czy należało to traktować jako porażkę, skoro wcześniej kilka razy przejmowała tymczasowo dowodzenie wydziałem? Czy się nie sprawdziła? Zawiodła?

— W Wiesbaden zapadła decyzja, kto zastąpi pana von Bodensteina na stanowisku szefa K11 na czas jego nieobecności lub na stałe — zaczęła radczyni kryminalna. — Komendant główny policji w Hesji przekazał mi właśnie informację, że to panią obdarzono największym zaufaniem. Proszę przyjąć moje najserdeczniejsze gratulacje.

— Słucham? — wyjąkała Pia. Z niedowierzaniem patrzyła na Nicolę po drugiej stronie biurka i czuła, jak serce zaczyna jej walić coraz szybciej i z coraz większą siłą. Niewiele brakowało, a z wrażenia zapomniałaby zamknąć usta.

— Bardzo popierałam pani kandydaturę, koleżanko Sander. Przy podejmowaniu tej decyzji nie grały roli żadne uwarunkowania polityczne. Uważam, że będzie pani najlepszą i najbardziej kompetentną następczynią, jaką mogliśmy znaleźć na miejsce pana von Bodensteina. Tak więc proszę mnie nie zawieść i rozwiązać toczące się śledztwo.

— Ja... to znaczy... tak jest. Oczywiście — wydukała Pia, którą ten nagły zwrot akcji całkowicie wybił z rytmu. — I... dziękuję.

— Proszę mi nie dziękować. Jest pani świetną policjantką i z nawiązką zasłużyła pani na tę propozycję. — Nicola Engel się uśmiechnęła. — A teraz

proszę nie trzymać szefa policji zbyt długo w niepewności, bo nie lubi czekać. Widzimy się zaraz na dole, na odprawie.

PIA RUSZYŁA schodami na parter, choć miała wrażenie, jakby przed chwilą dostała cios obuchem w głowę. Szefowa K11! O Boże! Jest pani świetną policjantką! Nagle poczuła się jak uzurpatorka. Czy rzeczywiście dorosła do takiego zadania? Czy była dość dobra, by na stałe prowadzić pracę całego wydziału? Bała się zmian, które wymusi jej nowe stanowisko, bo nie łudziła się, że wszystko zostanie po staremu. Czy reszta zespołu zaakceptuje ją w charakterze przełożonej? Czy cieszyła się wystarczającym autorytetem, żeby zapewnić sobie posłuch i szacunek?

— Hej, wszystko w porządku?

Pia odwróciła się zaskoczona. Z damskiej toalety wyszła Kathrin Fachinger i popatrzyła na nią z troską.

— Jesteś strasznie blada. Dobrze się czujesz?

— Chyba za szybko zjadłam pizzę — skłamała Pia i natychmiast poczuła na sobie złość. Przecież powinna się cieszyć i być dumna z zaufania, jakim obdarzył ją szef policji i radczyni kryminalna, a nie pogrążyć się w wątpliwościach i rozterkach. Gdyby to Cem znalazł się na jej miejscu, najpewniej otwierałby właśnie szampana i zamawiał nowe wizytówki!

Weszła do świetlicy zamienionej w salę odpraw. Przy jednym ze stołów siedziała Kim i pracowała na swoim MacBooku. Tymczasem wrócili także Cem i Tarik oraz Bodenstein, który rozmawiał akurat z komendantem głównym policji w Hesji, jego asystentką i wysokim szpakowatym mężczyzną, którego Pia знаła ze szkoleń, na których wykładał. Gianni Lombardi był uznanym specjalistą od przesłuchań i cieszył się ogromnym szacunkiem. Napisał wiele książek, z których większość należała do kanonu lektur w szkole policyjnej, w której również wykładał. Ona jednak, zaraz po wejściu, podeszła do stolika, na którym Kai rozłożył przygotowane wcześniej materiały. Skinęła w stronę

Tarika, dając mu znak, by podszedł.

— Jak tam? Wszystko w porządku? — zapytała młodszego współpracownika.

— Tak, daję radę. Wszystko okej — zapewnił ją.

— Profil Pauline zniknął tymczasowo z Facebooka?

— Tak, to już załatwiłem. Chociaż powiem szczerze, że oszczędziłem sobie wysyłania oficjalnych wniosków i...

— Wystarczy! Jeśli to, co zrobiłeś, może być nielegalne, to nie chcę nic o tym wiedzieć. — Pokiwała głową i spojrzała na Kaia. — Zaczniemy od prezentacji waszych ustaleń i profilu sprawcy.

— W porządku. — Kai potaknął.

— Co znaleźliście w kopercie? — zapytała Pia.

— Jakieś stare akta pacjentów, raporty lekarskie i protokoły. Wiesz może, o co w nich chodzi?

— Mogę się tylko domyślać. — Pia spojrzała w stronę szefa. Koniecznie musiała mu opowiedzieć o przebiegu rozmów z panią doktor Basedow i z córką jego przyjaciela, Ronją Kapteiną. Ralf Ehlers czekał w jednej z sal przesłuchań, a wstępny raport z analizy szkieletu Artura Berjakova był gotów do omówienia. Musiała jak najszybciej przedyskutować ze współpracownikami strategię dalszego postępowania. — Dobra, słuchajcie, robimy tak. Uwijamy się tutaj w try miga, a potem spotykamy w naszej sali odpraw, na górze. Tylko K11, Christian, Kim i Lombardi.

— Tak jest, szefowa — potwierdził Kai, a Pia drgnęła spłoszona. Spojrzała na niego uważnie. Czyżby wiadomość o jej awansie rozeszła się już po komendzie? Kai nie zwrócił jednak uwagi na jej reakcję i z powrotem zagłębił się w analizie starych akt, które Pia dostała od doktor Basedow. Sprawdziła w telefonie, czy przysły jakieś nowe wiadomości, po czym ruszyła w stronę szefa. Przywitała się z Giannim Lombardim i skinęła głową Stefanowi

Smykalle, rzecznikowi prasowemu komendy, który odpowiedział na jej powitanie niezbyt uradowany. Od kilku dni zmagał się z nawalem pytań od prasy, a jego telefon nie milkł.

— Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać, pani Sander. — Szef policji podał jej rękę. Uważne ciemne oczy o przenikliwym spojrzeniu i mocny uścisk suchej dłoni. — Omawiamy właśnie kwestię konferencji prasowej. Uważam, że istnieją przesłanki, by odbyła się u nas, w Wiesbaden. Tam dysponujemy optymalną infrastrukturą. Zorganizowanie takiego wydarzenia nie nastęrczałoby trudności, prawda? — zwrócił się do swojej asystentki.

— Absolutnie żadnych — potwierdziła pani Völker, a Pia dopiero wtedy zrozumiała, dlaczego Stefan Smykalla miał taką nieszczęśliwą minę.

— Dziękuję za tę propozycję — odparła. — Jednak konferencja odbędzie się tutaj, w hali widowiskowo-sportowej Schönwiesenhalle w Ruppertshain. I będzie otwarta dla mieszkańców.

Spojrzała w stronę Bodensteina i dostrzegła w jego oczach aprobatę dla swojej decyzji.

— Jest pani pewna, że to dobry pomysł? — zapytała pani Völker, nie kryjąc sceptycyzmu. — W tej miejscowości sporo się wydarzyło, czy warto narażać ludność na takie zamieszanie?

— Właśnie dlatego, że tyle się wydarzyło, uważam to za wskazane — odparła Pia i zwróciła się do Bodensteina. — A ty co o tym myślisz?

— Moim zdaniem to bardzo dobry pomysł — oświadczył. — Po napadzie na Pauline Reichenbach bardzo pilnie potrzebujemy pomocy ze strony mieszkańców Ruppertshain i okolic. Poza tym uważam, że należy ich ostrzec. Wychodzimy z założenia, że sprawca mieszka lub mieszkał w okolicy i jest silnie związany z lokalną społecznością.

— Czyżby ponownie nawiązywał pan do tej sprawy sprzed czterdziestu dwóch lat? — Nicola Engel dołączyła do zebranych, nie zamierzając kryć

swojego nastawiania do tej hipotezy. — Wolałabym, żeby pan nie zapominał, że K11 ma obecnie do wyjaśnienia trzy morderstwa i jedno ciężkie pobicie.

Pia spojrzała na szefa i zauważyła, jak bardzo się zdenerwował. Kiedy otworzył usta, żeby odpowiedzieć, policjantka dotknęła jego ramienia i sama zabrała głos.

— Mamy podstawy przypuszczać, że motywy obecnych morderstw mają swoje źródło w sprawie zaginięcia i śmierci Artura Berjakova — wyjaśniła. — Na razie nie możemy podeprzeć tego dowodami, a z Instytutu Medycyny Sądowej nie przyszedł jeszcze ostateczny raport z oględzin i badania odnalezionego szkieletu. Mam nadzieję, że poprzez konferencję prasową uda nam się dotrzeć do ludzi, którzy milczą, bo na razie nie dostrzegają związku między tymi wydarzeniami albo z poczucia fałszywej lojalności chcą chronić sprawców. Obecnie całe Ruppertshain i okolice są w szoku. Zamknięte zostało przedszkole i restauracje. Panuje strach i niepewność. Uważam, że możemy wykorzystać takie nastroje dla naszych celów.

— A jeśli sprawca wpadnie w szal ze strachu przed ujawnieniem i zaatakuje? — Nicola Engel nie chciała dać się przekonać. — Naprawdę jest pani gotowa wziąć na siebie odpowiedzialność za kolejne ofiary, pani Sander?

— Sprawca już przecież zaatakował i jest w szale zabijania — odparł Bodenstein, ubiegając Pię. — Bo jak inaczej nazwałaby pani zamordowanie trzech osób i usiłowanie zabicia młodej dziewczyny w ciągu czterech dni?

Na takie postawienie sprawy nikt nie miał nic do powiedzenia. Kłopotliwą ciszę przerwał dopiero komendant główny policji, który poprosił Pię o przedstawienie dotychczasowych ustaleń śledztwa. Wszyscy zebrani w świetlicy zajęli miejsca.

— Aktualna sytuacja wygląda następująco — zaczęła Pia. — Dziś rano na łące tuż za Ruppertshain znaleziono ciężko ranną Pauline Reichenbach. Dziewczyna została przetransportowana do szpitala, gdzie przeszła operację.

Obecnie jej stan jest krytyczny, a lekarze wprowadzili ją w stan śpiączki farmakologicznej. Pauline nadzoruje projekt badania przemieszczania się kotowatych żyjących na wolności. W czwartek na nagraniu z jednej z fotopułapek rozstawionych w lesie zauważyła mężczyznę, który tuż po podpaleniu przyczepy na kempingu i po wywołanym przez ogień wybuchu poruszał się między drzewami, z dala od drogi. Osobą tą okazał się poszukiwany Elias Lessing, lat dziewiętnaście, z Ruppertshain. Wciąż nie udało się ustalić miejsca jego pobytu. Pauline Reichenbach również pochodzi z Ruppertshain i jest chrześniaczką Ralfa Ehlersa, który został zatrzymany, gdyż jego odciski palców zostały zabezpieczone na łomie będącym narzędziem zbrodni. Jeszcze dziś zostanie przesłuchany.

Powiodła wzrokiem po zebranych. Wszyscy uważnie słuchali i na razie nie mieli żadnych pytań.

— Wciąż jeszcze nie mamy pewności, czy odciski palców Ehlersa na łomie to dowód na jego sprawstwo, czy nie. Na pewno wystarczyły do przekonania sądu do wystawienia nakazu aresztowania. W trakcie czynności po zamordowaniu Rosemarie Herold technicy zabezpieczyli w pobliżu jej zwłok szal należący do Edgara Herolda, jednego z jej synów. Clemens Herold został zamordowany młotkiem, który również udało nam się jednoznacznie połączyć z Edgarem, jego bratem. Przyczepa spłonęła tak dokładnie dzięki użyciu butli gazowych należących albo do Edgara Herolda, albo Ralfa Ehlersa.

— Czy dopuszcza pani możliwość, że ktoś celowo mnoży fałszywe tropy?
— zapytał szef policji z Wiesbaden.

— To jedna z możliwości, tym bardziej uzasadniona, że sprawca działał w sposób inteligentny i starannie zaplanowany. — Pia potaknęła. — Najprawdopodobniej ma łatwy dostęp do obejścia i warsztatu Edgara Herolda oraz do młyna Ralfa Ehlersa. Wszyscy go znają, więc nikt nie zwraca na niego szczególnej uwagi. W naszej ocenie Edgar Herold nie jest podejrzany, tym

bardziej że ma alibi na czas zbrodni.

— Czy jutro w czasie konferencji prasowej ma pani zamiar również szczegółowo omawiać ustalenia śledztwa? — zapytała rzeczniczka prasowa i zmarszczyła brwi.

— Na tyle szczegółowo, na ile uznamy to za wskazane i uzasadnione względami taktyczno-strategicznymi prowadzonego postępowania — tłumaczyła Pia cierpliwie. — Jednak jeśli chcemy prosić lokalną społeczność o pomoc, musimy podać kilka nazwisk i miejsc. Dodatkowo ujawnimy profil psychologiczny sprawcy. Do jego powstania walenie przyczynili się koledzy Ostermann i Omari oraz pani doktor Freitag. Proszę bardzo, wasza kolej.

Kai potaknął i otworzył laptop.

— Nasza analiza została przeprowadzona przede wszystkim pod kątem kryminalistycznym i w trakcie jej powstawania uwzględniliśmy ustalenia z akt sprawy zaginięcia małoletniego Artura Berjakova z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego — zaczął od wprowadzenia. — Po starannym zbadaniu sposobu dokonania poszczególnych zbrodni jesteśmy przekonani, że nie miały podłoża seksualnego, a w ich przebiegu sprawca nie wykazywał się sadyzmem.

Pia popatrzyła w stronę Kim. Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, siostra policjantki puściła do niej oko. Pia nie mogła powstrzymać uśmiechu. To oznaczało, że Nicola Engel zdążyła poinformować Kim o swojej decyzji w sprawie awansu.

— Każdy z tych czynów musiał mieć motyw i bodziec wyzwalający — ciągnął Kai. — Bezpośrednim bodźcem, który pchnął sprawcę do popełnienia trzech pierwszych morderstw, było coś, co Rosemarie Herold powiedziała albo zrobiła, i to nie budzi wątpliwości. Poszukiwanie motywu jest za to znacznie trudniejsze. Najważniejsze pytanie, na które trzeba znaleźć odpowiedź, brzmi: dlaczego dla sprawcy zachowanie tajemnicy śmierci

Artura Berjakova ma aż takie znaczenie? Dlaczego nie chce dopuścić, żebyśmy ją poznali? Co ma do stracenia?

— Istnieje jeszcze możliwość, że obecne morderstwa nie są w żaden sposób powiązane ze sprawą zaginięcia i śmierci tego chłopca — wtrąciła się Nicola. — Dlaczego ktoś miałby tak ryzykować i popełniać trzy morderstwa, żeby ukryć prawdę o zdarzeniu, które miało miejsce czterdzieści dwa lata wcześniej?

— Bo ten ktoś zdaje sobie sprawę, że morderstwa się nie przedawniają? — Kai odpowiedział pytaniem. — Dlatego właśnie wychodzimy z założenia, że Artur Berjakov został zamordowany, a Rosemarie Herold posiadała na ten temat wiedzę, a niewykluczone, że była w tę sprawę uwikłana. Mając świadomość, że jest bliska śmierci, postanowiła uwolnić się od tej tajemnicy i zdradziła ją księdzu. Duchowny również znał mordercę, więc się z nim skontaktował. Sprawca poczuł się osaczony i uznał, że nie ma innej drogi, jak uciszyć wszystkich, którzy wiedzą o tamtej zbrodni. Musimy na pewno ustalić, czy Pauline dowiedziała się czegoś od Eliasa i ta wiedza wydała się mordercy niebezpieczna, co stało się powodem ataku, czy może raczej doszło do tragicznej pomyłki.

— No dobrze, przypuśćmy, że było tak, jak zakładacie. Dlaczego w takim razie sprawca podpalił przyczepę i dopilnował, żeby nic z niej nie zostało? — zapytała radczyni kryminalna.

— Mógł się obawiać, że Rosemarie Herold ukryła w niej jakieś dowody. Dziennik albo coś podobnego.

— Czy to oznacza, że Clemens Herold został przypadkową ofiarą?

— Nie. On również poznał tajemnicę matki. Możliwe, że popełnił ten sam błąd, co ksiądz, i skontaktował się z mordercą.

— Odnośnie do księdza — do rozmowy włączyła się Kim — zastanawialiśmy się, dlaczego w przypadku tego morderstwa sprawca

zmienił swój sposób działania i uznaliśmy, że według niego zainscenizowane samobójstwo miało być równie celnym fałszywym tropem jak podrzucenie szala i wykorzystanie butli gazowych, które miały skierować podejrzenia na Edgara Herolda. Dlatego jesteśmy zdania, że powinniśmy utrzymywać sprawcę w przekonaniu, że daliśmy się nabrać na jego wersję o samobójstwie księdza.

— Sprawcą nie kierują emocje takie jak nienawiść czy zazdrość — ciągnął Kai. — To bardzo inteligentna osoba, która działa racjonalnie, w sposób zaplanowany i przemyślany. Jego *modus operandi* jest wprawdzie w każdym przypadku inny, jednak wszystkie zabójstwa łączy bardzo staranne przygotowanie do ich przeprowadzenia. Nic nie zostało pozostawione przypadkowi, a metody zostały dopasowane zarówno do czasu, miejsca, jak i innych uwarunkowań. Przykładem niech będzie sposób pozbawienia życia Rosemarie Herold. Tutaj sprawca wybrał najcichszą i najdyskretniejszą metodę, jaką jest uduszenie ofiary przez zakrycie jej twarzy i odcięcie dostępu powietrza. W tym wypadku fakt, że znał ją osobiście, nie ma tu nic do rzeczy; chodziło o to, żeby nie zaalarmować otoczenia, w jakim znajdował się on i jego ofiara. Sprawca nie zdaje się na przypadek, co przemawia za tym, że potrafi on przygotować kompleksowy plan działania i go realizować. Do tego potrafi dostosować się do zmieniających się nieprzewidzianych okoliczności. Celowo porzuca narzędzie zbrodni w pobliżu miejsca jej dokonania, by skierować śledztwo na fałszywy trop. Nie zostawia żadnych śladów DNA. Uważamy, że sprawca jest wyjątkowo niebezpieczny, bo nie ma żadnych hamulców i postępuje bardzo brutalnie.

— A w jaki sposób tak przygotowany profil sprawcy miałby pomóc w jego identyfikacji? — zapytała Nicola Engel. — Przecież setki ludzi wykazują się takimi cechami.

Odezwała się komórka Bodensteina. Spojrzał na ekran i wyszedł.

— Nie do końca — odparł Kai. — Z całą pewnością możemy wykluczyć wszystkie kobiety, bo profil wskazuje na mężczyznę. Kobiety mordują w inny sposób, a poza tym nawet silna fizycznie kobieta nie byłaby w stanie powiesić ciała duchownego w taki sposób, w jaki wisiał, kiedy go znaleziono. Podobnie możemy wykluczyć każdego, kto w siedemdziesiątym drugim miał mniej niż dziesięć lat. Sprawca nie może mieć więcej niż około siedemdziesięciu lat, gdyż starszy nie poradziłby sobie z przygotowaniem i przeprowadzeniem podpalenia przyczepy kempingowej. Kolejnym warunkiem jest fakt mieszkania w Ruppertshain.

— Dlaczego akurat tam? — zapytał szef policji.

— Doskonale zna okolicę — wyjaśnił Kai. — Może się swobodnie poruszać po całej miejscowości, bo wszyscy go znają i nie wzbudza podejrzeń ani zainteresowania. Analizujemy w tej chwili wpisy w bazach danych urzędów meldunkowych Kelkheim, Königstein i Glashütten, szukając osób między sześćdziesiątym a siedemdziesiątym rokiem życia, które mieszkały w tych okolicach już w siedemdziesiątym drugim i dalej tu mieszkają. Później wyeliminujemy osoby nieodpowiadające parametrom, o których wspominałem przed chwilą.

— Hm. — Pia zmarszczyła brwi. — Ale jeśli sprawcą kierują jeszcze inne przesłanki niż chęć obronienia siebie, bo na przykład w grę wchodzi dobre imię całej rodziny, w tym na przykład dobre imię rodziców, to sprawca mógłby być znacznie młodszy, prawda?

— Tak, zdecydowanie — potwierdził Kai. — O tym również pomyśleliśmy. Nie da się bowiem wykluczyć, że sprawca nie działa sam, tylko ze współnikiem. On przygotowuje plany, a ktoś je za niego realizuje.

— To znów drastycznie zwiększa liczbę potencjalnych sprawców — westchnęła radczyni kryminalna. — Czyli ta cała praca nie posunęła nas ani o krok.

— W tym miejscu chciałabym zacytować fragment z jednej z moich książek pod tytułem *Człowiek, bestia*. — Kim uśmiechnęła się uroczo. — Profil sprawcy jest niczym więcej, jak dobrze uzasadnionym podejrzeniem. Nie jest kluczem do drzwi, które trzeba otworzyć, ale poręczą, która nas do nich zaprowadzi.

— PRZED CHWILĄ dzwoniła do mnie Karoline — powiedział Bodenstein przed drzwiami świetlicy. — Udało jej się ustalić miejsce pobytu Valentyny Berjakov, siostry Artura. Twierdzi, że dzięki Internetowi. Kobieta pracuje w siedzibie ONZ w Nowym Jorku jako tłumaczka. Kiedy tylko się dowiedziała, że znaleziono szczątki jej brata, postanowiła złapać najbliższy możliwy lot i stawić się tu osobiście.

Komendant główny policji kraju związkowego Hesji poprosił Pię o dwa słowa na osobności, pogratulował jej ogromnego skoku w karierze i zapewnił o pełnym wsparciu, po czym pożegnał się i wyszedł.

Pia nie mogła się skupić. Szefowa K11! Od teraz będzie odpowiedzialna za każde dochodzenie, które przyjdzie im prowadzić, i to bez możliwości zwracania się do Bodensteina z prośbą o pomoc. Czy sobie poradzi? I czy naprawdę tego chce?

— Hej, co się z tobą dzieje? — zapytał Kai, kiedy doktor Engel wróciła do siebie do biura i zostali sami. — Komendant główny coś ci niemiłego powiedział?

— Nie no, coś ty. Wręcz przeciwnie. — Uśmiechnęła się. — Ta prezentacja profilu... super to przygotowaliście. Świetna robota, w ogóle wszyscy się spisali.

— Dzięki. — Kai wzruszył ramionami. Wciąż miał problemy z przyjmowaniem komplementów.

— Macie coś jeszcze?

— Cały czas trwają poszukiwania Eliasa Lessinga i samochodu Pauline

Reichenbach — informował Kai, kiedy szli na górę. — Dookoła Ruppertshain krążą lotne patrole i kontrolują samochody. W tej chwili nie da się wyjechać za miasto, żeby nie trafić na funkcjonariusza.

Dotarli na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się biura wydziału K11, weszli do sali odpraw i zajęli miejsca dookoła dużego stołu. Rozmowy z mieszkańcami domów w pobliżu miejsca znalezienia Pauline nie przyniosły niczego przełomowego. Nikt nic nie słyszał ani nie widział podejrzanych rzeczy. Jedno za to było pewne — Pauline Reichenbach została zaatakowana i pobita w innym miejscu i dopiero potem przewieziona na ławkę koło ośrodka jeździeckiego. Pia zdała relację z rozmów z doktor Basedow, Bandim Arorą i Ronją Kapteiną.

— Ja i Lombardi zaraz weźmiemy się za Ralfa Ehlersa — ciągnęła Pia. — Kathrin, ty i Cem pojedziecie do szpitala urazowego i zadbacie, żeby Pauline Reichenbach trafiła do izolatki i znalazła się pod całodobową ochroną policji. Funkcjonariusze mają pilnować, żeby oprócz rodziców i rodzeństwa dostęp do niej mieli jedynie lekarze i upoważnieni pracownicy szpitala. Jeśli sprawca się dowie, że dziewczyna wciąż żyje, może próbować dokończyć dzieła. Tarik, Kai — wy zajmijcie się aktami pacjentów, które dostałam od doktor Basedow, i razem z Kim pracujcie dalej nad profilem sprawcy. Stefan, ty zorganizujesz jutrzejszą konferencję. Po wszystkie informacje, których będziesz potrzebował, zwracaj się do Kaia. Szefie, ciebie bym prosiła, żebyś jeszcze raz udał się do Ruppertshain.

Członkowie zespołu rozeszli się do swoich zadań.

— Czytałeś już raport od Henninga? — zapytała Pia, kiedy została sama z Oliverem. — Wysłał go tobie i mnie na mejla.

— Tak, już go przejrzałem. — Jego twarz na chwilę spochmurniała. — Miałem nadzieję, że po badaniu szkieletu będziemy mieli pewność. Niestety, po tylu latach to niemożliwe. Zamiast odpowiedzi mamy kolejne zagadki.

— Faktem jest, że Artur skądś spadł i że ktoś złożył potem jego ciało razem z martwym lisem do grobu — odparła Pia. — Cała reszta to czyste spekulacje. Ani nie znamy sposobu, w jaki zginął, ani dokładnego czasu zgonu. Nie wiemy, czy zginął tego samego dnia, kiedy zniknął, czy może dopiero parę dni później.

— Jak moglibyśmy teraz ustalić, co się wydarzyło siedemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku? — Bodenstein ściągnął usta i się zamyślił. — Kluczem do wszystkiego jest przeszłość.

— Porozmawiaj z kolegami i koleżankami z tamtych czasów — zaproponowała Pia. — Paskudnie się z tym czuję, ale myślę, że trzeba wykorzystać stan Reichenbachów. Kiedy do nich dotrze, że atak na Pauline może mieć związek z przeszłością, zaczną z nami współpracować.

— Dobra — potaknął Bodenstein. — Chcesz, żebym od razu się tym zajął?

— Tak. I zacznij od Inki Hansen. Potem porozmawiaj z Leonem Kellerem, on też jest dla nas bardzo ważną postacią. A w tym czasie ja i Lombardi przemaszujemy Ehlersa.

— Co z Peterem Lessingiem? Masz jakieś plany? — przypomniał sobie Bodenstein.

— Tak. — Pia potaknęła. — Nim zajmie się Lombardi. Po tym wszystkim, czego dowiedziałam się od Renate Basedow, Peter Lessing wysunął się na czoło mojej listy podejrzanych.

— Dlaczego?

— Pomyśl jeszcze raz o profilu sprawcy: morderca ma być pozbawiony skrupułów i bardzo inteligentny, poza tym w Ruppertshain nie rzuca się w oczy — odparła Pia. — Peter Lessing jest typem sportowca, w doskonałej kondycji. Bez problemu dałby sobie radę, gdyby musiał kogoś obezwładnić. Nie pracuje na etacie, więc może jeździć po okolicy i nikomu nie musi się tłumaczyć, gdzie był i co tam robił. Już jako dziecko miał inklinacje do podporządkowywania sobie innych i przejawiał agresywne zachowania.

Przypomnij sobie, jak zmusił was wszystkich do milczenia, grożąc pobiciem. Męczył zwierzęta, a to jeden z podstawowych symptomów rozwoju osobowości ze skłonnościami aspołecznymi i kryminalnymi. Mam wymieniać dalej?

— Peter miał jedenaście lat, kiedy Artur zaginął. — Bodenstein próbował protestować.

— Zgoda. To jest jedyny punkt, który nie daje mi spokoju, bo nie pasuje do układanki — przyznała Pia. — Ale nie wykluczam scenariusza, że Peter Lessing i Edgar Herold razem dopuścili się czegoś głupiego, a potem ratowała ich Rosie Herold, bo chciała uchronić syna, i to ona ukryła ciało Artura na cmentarzu. Tym samym Lessingowi też się wtedy upiekło, a dziś robi wszystko, żeby prawda nie wyszła na jaw.

— W ten sposób, że wystawia Edgara jako głównego podejrzanego? — Bodenstein potrząsnął głową. — Prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby Peter był mordercą. Jestem jednak przekonany, że doskonale wie, co się wtedy wydarzyło. Pozostali zresztą też.

WIADOMOŚĆ O BRUTALNYM NAPADZIE na Pauline Reichenbach lotem błyskawicy rozeszła się po Ruppertshain i okolicach. Wszyscy mieszkańcy byli wstrząśnięci i oburzeni, a przy taśmie policyjnej odgradzającej miejsce znalezienia dziewczyny młodzi ludzie zostawiali pluszowe maskotki, kwiaty i zapalone świece. Starsi również przychodzili na łąkę przy ośrodku jeździeckim, stawali w grupkach albo pojedynczo, przerażeni, nie wiedząc, co i dlaczego się zdarzyło. Nikt nie miał żadnych szczegółowych wiadomości i nie wiadomo było nic o okolicznościach tragedii. Pewne było jedynie to, że Pauline jest w stanie krytycznym i że ma bardzo złe rokowania. Zło niczym sieć pajęcza spowijało całą okolicę, sącząc do serc i głów mieszkańców podejrzliwość i strach, zatruwając nawet tych, którzy udawali, że los Pauline jest im obojętny. Pojawiły się pierwsze plotki. Spekulacje i nowe teorie

zataczały coraz szersze kręgi. Już chyba nikt nie wierzył, że sprawcą jest ktoś z zewnątrz. A to oznaczało, że znajomą dziewczynę musiał skrzywdzić ktoś spośród nich. Ta świadomość drastycznie psuła nastrój wspólnoty, budziła wrogość i złość. Teraz wystarczyła już iskra, by doszło do eksplozji.

Przedstawiciele wszystkich mediów z całego kraju zjechali się do niewielkiego miasteczka w Taunusie. Każdy, kto nie dość szybko usunął się z drogi, dostawał pod nos mikrofon. Wielu cieszyło znalezienie się przez chwilę w centrum uwagi, więc można było się spodziewać, że jeszcze tego samego dnia portale internetowe, a nazajutrz wszystkie niemieckie gazety napiszą, że Pauline była najbardziej lubianą osobą w okolicy. Reporterzy szukali łzawych wypowiedzi, które mogliby cytować w swoich reportażach i artykułach. Interesowało ich wszystko, co dawało się opatrzyć chwytliwym tytułem.

Cały czas w okolicy pracowali policjanci i z metodyczną precyzją przepytывali mieszkańców Ruppertshain. Dom po domu, ulica po ulicy, dzwoniли do każdych drzwi — nikogo nie można było pominąć.

Bodenstein był tak pogrążony w rozmyślaniach, że niewiele brakowało, a pomyliłby drogę z Hofheim do Ruppertshain. Ba, nie poznał własnego domu, kiedy go mijał, jadąc do kliniki weterynaryjnej dla koni. W dziwny sposób czuł się bardziej rozbity niż w czasie innych dochodzeń, które prowadził. Z jednej strony cały czas był policjantem: rzeczowym, trzeźwym obserwatorem, analizującym wszystkie informacje i elementy układanki, by potem zestawić je w jedną logiczną całość. Z drugiej strony był Oliverem von Bodensteinem: empatycznym człowiekiem, a jednocześnie złym i pełnym wątpliwości, czy to, co ma zaraz zrobić, jest właściwe. Zazwyczaj nie miał problemów, by pogodzić obie strony swojej osobowości. Dziś jednak ziała między nimi taka przepaść, jakby należały do dwóch różnych osób. Dlaczego rozpacz i strach Simone i Romana Reichenbachów pozostawiały go tak

boleśnie obojętnym? Skąd brał się w nim ten dystans — czy może wręcz cynizm? W pewnej chwili złapał się nawet na myśli, że dobrze, by w końcu poczuli, jak to jest, kiedy człowiek traci coś najbardziej kochanego i najważniejszego w życiu. Kiedy w pierwszym momencie taka myśl przemknęła mu przez głowę, aż go to zaszokowało, a potem nadaremnie szukał jakiejś przyczyny i określenia dla złych emocji, które rodziły się gdzieś w jego wnętrzu i niczym bąble zatrutego gazu unosiły na powierzchnię. Co to było? Złośliwość? Satysfakcja? A może jeszcze gorzej? Może... cieszyło go ich nieszczęście?

Skręcił w prawo, w wąską asfaltową dróżkę biegnącą między tyłami ogrodów i wybiegami dla koni w dół doliny, gdzie znajdowała się klinika weterynaryjna Inki. Niezależnie od nastroju we wsi, tam panował spory ruch: czworonożni pacjenci byli zwożeni przez właścicieli na leczenie nawet z bardzo daleka. Przybyli pewnie wymieniali się wiadomościami o lokalnej tragedii, lecz nie wydawało się, by robiła ona na nich jakiegokolwiek wrażenie. Cokolwiek by się działo, życie musiało toczyć się dalej.

Bodenstein zaparkował samochód na poboczu, przed domem Inki Hansen, w miejscu, gdzie przez ostatnie lata bardzo często się zatrzymywał. Minął budynek biurowy kliniki i wszedł na podwórze. Trwały akurat oględziny i badanie koni. Na parkingu przed kliniką stało kilkanaście samochodów z przyczepami do przewozu zwierząt, część z opuszczonymi rampami rozładunkowymi. Właściciele czekali na postawienie diagnozy albo dopiero na badania, sami i w grupkach.

Bodenstein zapytał, gdzie mógłby znaleźć panią weterynarz, jednak w klinice nikt jej nie widział. Po chwili dostrzegł jej samochód. Stał zaparkowany na tyłach domu, przy drzwiach do kuchni, których często używała niemal jako głównego wejścia. Teraz stały otworem, tak samo jak tylna kłapa jej wozu terenowego. W chwili kiedy tam się znalazł, z kuchni wyszła Inka,

z walizką w każdej dłoni.

— Witaj, Inko — powiedział.

Na jego widok Inkę ogarnął taki strach, że upuściła obie walizki. Szybko wzięła się jednak w garść, dźwignęła jedną z ziemi i wrzuciła do bagażnika.

— Czego tu szukasz? Coś się stało? — zapytała. Nie kryła niezadowolenia z niespodziewanej wizyty. Na to jednak Bodenstein był wewnętrznie przygotowany. Zdziwiłby się, gdyby było inaczej: ich związek i jego koniec bezpowrotnie zniszczył i tak kruchą i nękaną wieloma nieporozumieniami przyjaźń. Bodenstein zajrzał do kuchni przez otwarte na oścież drzwi. Obok stołu stały dwie walizki i kilka składanych plastikowych skrzynek.

— Wyjeżdżasz dokądś? — zapytał.

— Na kongres... w Wiedniu. — Uśmiechnęła się nerwowo. — Spieszę się. Przyjechałeś w jakiejś konkretnej sprawie?

Dopiero teraz Bodenstein zauważył, jak marnie wygląda. W jej oczach czaił się strach, jakby była... zaszczuta. Inka wcale nie wybierała się na kongres w Wiedniu; ona przed czymś uciekała.

— Muszę cię o coś zapytać.

— Ale akurat teraz? Koniecznie? I tak jestem już bardzo spóźniona.

— Nie przyjechałem tu na pogaduszki, tylko służbowo, jako policjant. To nie potrwa długo. Ale jeśli wolisz, mogę wezwać radiowóz i kazać zawieźć cię do komendy.

— Skoro nie mam wyjścia... — Inka dźwignęła drugą walizkę i wrzuciła ją do bagażnika. Sposób, w jaki się zachowywała, sygnalizował obronę. — Słucham, o co chodzi?

Jak powinien zacząć? Czy wyłożyć kawę na ławę i zapytać wprost, po co spotkała się z ludźmi z dawnej bandy w Merlinie? Nie, w ten sposób naraziłby jedynie Bandiego na kłopoty. Mimo to nie zamierzał robić podchodów.

— Wczoraj rano w lesie znaleźliśmy szkielet — oznajmił. — Badanie

w Instytucie Medycyny Sądowej potwierdziło, że to szczątki Artura Berjakova. Pewnie go jeszcze pamiętasz, on...

— Naprawdę nie masz nic lepszego do roboty? — przerwała mu Inka agresywnie. — Córka Simone i Romana leży w szpitalu i Bóg jeden wie, czy w ogóle przeżyje, a troje innych ludzi zostało ostatnio zamordowanych! To powinno cię bardziej interesować niż jakieś stare historie!

Chciała się cofnąć do domu, jednak Oliver zastąpił jej drogę.

— Możesz mi wierzyć, wiem, co robię — zapewnił ją spokojnym głosem. — Uważamy, że osoba, która wtedy zabiła Artura i ukryła jego ciało na cmentarzu w lesie, teraz zamordowała Rosie Herold, jej syna Clemensa i księdza Maurera. Całkiem prawdopodobne, że nie tylko to ma na sumieniu, a próba zabicia Pauline to też jej sprawka.

Inka gwałtownie poblądła i zacisnęła usta.

— A co mnie to może obchodzić? Mnie to w żaden sposób nie dotyczy i nic na ten temat nie wiem!

Siłą precyzyjnie się obok niego, weszła do kuchni i podniosła z ziemi jedną ze składanych skrzynek. Bodenstein spojrział na jej zawartość. Zdjęcia w ramkach, książki, jakieś przedmioty owinięte w gazety. Nie wyglądało to jak rzeczy, które bierze się na kongres.

— Szkielet Artura znaleźliśmy w lesie, ukryty w grobie na terenie starego cmentarza mojej rodziny. Obok jego kości leżały tam też kości Maxiego, mojego liska. Pamiętasz go przecież, prawda? — Zauważył, że Inka na ułamek sekundy stężała. — Maxi zniknął tego samego wieczoru co Artur. Wtedy prawie traciłem rozum, tak się o niego bałem. Siedemnastego sierpnia siedemdziesiątego drugiego wieczorem Artur wyszedł od nas z domu i miał wrócić do siebie, ale nigdy tam nie dotarł. Do dzisiaj wyrzucam sobie, że akurat wtedy mu się coś stało. To była moja wina! Nie powinienem był mu pozwolić, by wracał w pojedynkę!

Inka z wściekłością cisnęła skrzynkę do bagażnika samochodu.

— Daj mi spokój i nie zawracaj mi głowy tymi starymi pierdołami! — prychnęła.

W jej oczach Oliver dostrzegł nienawiść, ale nie tylko... był tam jeszcze strach. Nadeszła chwila, kiedy musiała zmierzyć się z demonami przeszłości i zaczynała rozumieć, że teraz nie ma już odwrotu.

— Przed czym chcesz uciec? — zapytał. — Oboje doskonale wiemy, że tak się nie pakuje człowiek, który wyjeżdża służbowo. Ty się wyprowadzasz, prawda? Sprzedałaś swoje udziały w klinice Miszy i Georgowi i chcesz stąd zniknąć. Nie rozumiem tylko dlaczego?

— Nie twój interes.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, aż w końcu Inka opuściła głowę.

— Co się wtedy stało? — Bodenstein nie zamierzał się wycofać. — Ty to wiesz, Inko, prawda? Wiesz, co się wtedy wydarzyło?

— Daj mi spokój! — wyjęczała ze łzami. — Wynoś się! Wynoś się i zniknij w końcu z mojego życia!

— Nie mogę dać ci spokoju — odparł policjant. — Chodzi o morderstwo. Dlaczego w piątek wieczorem spotkałaś się z Simone, Romanem i resztą bandy w Merlinie? O czym rozmawialiście? Co zrobiliście?

— Dlaczego mi to robisz? — wyszeptała weterynarka, nie podnosząc wzroku. — Czy ty w ogóle potrafisz sobie wyobrazić, przez co przeszłam i ile się nacierpiałam? Od ponad czterdziestu lat staram się o tym zapomnieć. Udaję, że nic się nie stało. Tylko tak da się to jakoś znieść.

Ta odpowiedź odebrała Bodensteinowi mowę. Przez chwilę stał nieruchomo i nie wiedział, co dalej. Krew pulsowała mu boleśnie w skroniach i nie mógł zebrać myśli.

— Ty cierpiałaś? — powtórzył z niedowierzaniem. — Ty? A niby dlaczego ty miałabyś cierpieć?

— Ty... ty tego nie zrozumiesz. — Unikała patrzenia w jego stronę.

Wtedy Bodenstein przypomniał sobie o fotografii, która na zawsze uwieczniła, jak Inka z wściekłością kopie bezbronne zwierzę. Dlaczego to zrobiła? Z zazdrości? Czy po prostu z nienawiści?

— Masz rację, zupełnie tego nie rozumiem — odparł Bodenstein gorzko. Wszystko, przez co razem przeszli, każde wspólne przeżycie — a to znacznie więcej niż tylko związek, który ich zbliżył — w jednej chwili rozpadło się w proch, gdy zaczęła się rozczulać nad swoim losem. Świadomość, że przez wszystkie lata ich przyjaźni nosiła w sobie tajemnicę, że od początku znała tragiczną prawdę i ani razu nawet nie spróbowała wypowiedzieć choćby słówka na ten temat, była niczym pchnięcie prosto w serce.

— Muszę... muszę już jechać — wyjąkała Inka. Znow próbowała uciekać, jak przez całe życie, kiedy zaczynało się robić nieprzyjemnie. Bodenstein otworzył drzwi od strony kierowcy, sprawdził, czy w stacyjce tkwią kluczyki, po czym je wyjął i schował do kieszeni.

— Dzisiaj nigdzie nie pojedziesz. — Starał się mówić jak najspokojniej, choć w środku cały się gotował ze złości. — Zatrzymuję cię pod zarzutem udziału w zamordowaniu Artura Berjakova, do którego doszło siedemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku.

— Słucham?! — Inka wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma.

— Jako osoba oskarżona masz prawo zachować milczenie i nie odpowiadać na pytania. Masz prawo do adwokata. Nie musisz mówić niczego, co mogłoby zostać wykorzystane przeciwko tobie.

— Ty chyba postradałeś zmysły! — Z gardła kobiety z trudem wydobył się szept, a w jej oczach pojawiła się panika, jak u dzikiego zwierzęcia zapędzonego w pułapkę.

— Wcale nie — odparł oziębło. Wszystkie ciepłe i serdeczne uczucia, jakie kiedykolwiek żywił w stosunku do tej kobiety, w jednej chwili wyparowały.

To nie była już piękna, pociągająca Inka, w której kochał się potajemnie przez całą młodość. Stała przed nim wychudzona pięćdziesięciokilkulatka o wymęczonej twarzy i zażawionych oczach. Ktoś całkowicie obcy. Kłamczucha. Kobieta, która oszukała go w sposób niemożliwy do wybaczenia. Ktoś, kogo nigdy naprawdę nie znał. Czuł wzbierający gniew, którego nie potrafił opanować.

Żeby nie stracić panowania nad sobą i nie wypowiedzieć słów, których już nie będzie mógł cofnąć, ani też nie zrobić czegoś, czego mógłby potem żałować, odwrócił się i odszedł kawałek. Inka osunęła się na schodki prowadzące do kuchni i szlochała histerycznie, ale na nim nie robiło to najmniejszego wrażenia. Dłonie drżały mu tak strasznie, że dopiero za trzecim razem udało mu się odblokować telefon i wybrać numer Pii.

— Oliver? Co się dzieje? — Usłyszał głos policjantki. — Byłeś już u Inki?

— Tak. Właśnie tu jestem — odparł z wysiłkiem. — Potrzebuję nakazu aresztowania doktor Inki Hansen. Pod zarzutem współudziału w zamordowaniu Artura Berjakova. Przyślij proszę radiowóz do kliniki. Ja muszę jeszcze coś załatwić.

Głos odmówił mu posłuszeństwa. Szybko przerwał połączenie. *Tak strasznie cię przepraszam, Arturze, tak bardzo mi przykro. Proszę, wybacz mi, że cię nie obroniłem. Ale dam ci słowo, że odzyskam wszystkich, którzy mają cię na sumieniu, i zatroszczę się, żeby spotkała ich należyta kara.*

— SZEFEK ZATRZYMAŁ swoją byłą? Serio? — Cem z niedowierzaniem potrząsnął głową. — Odbiło mu.

— Nie gadaj głupot — zganiła go Pia.

— Powinien zostać odsunięty od tego dochodzenia dla własnego dobra — odparł Cem. — Jest za bardzo uwikłany w to, co się tu dzieje.

— W tej chwili potrzebujemy każdej pary rąk. — Pia protestowała, choć w duszy musiała przyznać mu rację. Martwiła się o szefa, i to bardzo. Nigdy

jeszcze nie widziała, żeby był tak wzburzony, nigdy. Nawet przed pięcioma laty, kiedy zastrzelony został jeden z najbliższych przyjaciół jego ojca, a jego rodzina znalazła się na celowniku gotowych na wszystko kryminalistów.

Pia знаła Inkę Hansen od pierwszej sprawy, nad jaką pracowała po powrocie do policji kryminalnej, i jednocześnie pierwszej rozwiązywanej razem z Bodenstem. Wtedy chodziło o zamordowanie żony jednego z jej współpracowników. Nie przypadły sobie szczególnie do gustu. Inka Hansen była bardzo specyficzną osobą: zamkniętą, niedopuszczającą nikogo do siebie i niemożliwą do przejrzania. Pia nie rozumiała, co w niej tak zafascynowało szefa. A co teraz się między nimi wydarzyło? Czego dowiedział się Bodenstein? Co takiego odkrył, że pozwoliło mu to oskarżyć Inkę o współudział w zamordowaniu jego przyjaciela z czasów dzieciństwa?

— Powiem Kaiowi, żeby zaraz się zajął zorganizowaniem nakazu aresztowania — zaoferował się Cem. Przed chwilą wrócił ze szpitala, w którym leżała Pauline Reichenbach. Jak dotąd stan dziewczyny nie uległ zmianie. Przeniesiono ją do pokoju, w którym łatwiej było zapewnić jej bezpieczeństwo, a przed jej drzwiami czuwał policjant.

— Dzięki. — Bodenstein zadzwonił do niej akurat w chwili, kiedy skończyła przesłuchanie Ralfa Ehlersa. Ojciec chrzestny Pauline z początku zrezygnował z obecności adwokata i z chęcią współpracował, lecz po pewnym czasie po prostu zmienił zdanie. Sprowadzona pośpiesznie adwokatka na widok Gianniego Lombardiego, który miał wśród obrońców opinię osoby, przy której każdy zaczyna w końcu mówić, poradziła swojemu klientowi, żeby na wszelki wypadek w ogóle nie otwierał ust. Z tego powodu przesłuchanie musiało zostać przerwane, a jego kontynuację zaplanowano na kolejny poranek. Ralfa Ehlersa czekała noc w areszcie. Rankiem miał zostać doprowadzony przed sąd, w którego gestii leżała decyzja, czy odciski palców na narzędziu zbrodni to wystarczająca przesłanka, by zatrzymanego aresztować

na znacznie dłużej.

Po drodze do świetlicy Pia przystanęła przy automacie z napojami i kupiła sobie colę zero. Gianni Lombardi wybrał sprite'a. Wysuszone, wręcz duszne powietrze w ciasnych pokojach przesłuchań wywoływało pragnienie.

— Wierzysz Ehlersowi, że naprawdę nie ma nic wspólnego z napadem na Pauline Reichenbach? — zapytała niespodziewanie specjalistę od przesłuchań. — Odniosłam wrażenie, że był naprawdę poruszony tym, co ją spotkało. Nie są spokrewnieni, ale Pauline jest jego chrześniaczką.

— Pamiętaj, że utrzymywał stosunki seksualne z córką swojego najstarszego przyjaciela — zwrócił jej uwagę Lombardi. — Od strony prawnej nie ma w tym nic niewłaściwego, bo oboje są pełnoletni i sami podejmują decyzje. Ale z etycznego punktu widzenia sprawa nie wygląda już tak różowo. Jednak jego to w najmniejszym stopniu nie rusza. Ehlers to osoba, która uważa, że stoi ponad prawem i normami społecznymi. Potrafi patrzeć komuś prosto w oczy i kłamać bez mrugnięcia okiem. Dlatego nie wierzę w ani jedno jego słowo. No, może poza tym, że rzeczywiście dba o psy.

— Ale dlaczego miałby próbować zamordować Pauline? — zastanawiała się Pia. — Poza tym, gdyby miał coś do ukrycia, to czy zgodziłby się zupełnie bez oporu na pobranie próbek śliny? Nie sądzę.

— Ehlers jest typowym cholerykiem. — Lombardi wypił cały napój i odstawił szklaną butelkę do skrzynki obok automatu z napojami. — Potrafi być uroczy i ujmujący, ale tylko wtedy, kiedy wszystko układa się po jego myśli. Za to kiedy ktoś mu się przeciwstawi, przestaje nad sobą panować. Szczególnie po spożyciu alkoholu. Jego pierwsza żona w porę się zorientowała i dała nogę, ale druga nie była tak przewidująca. Wielokrotnie pobił ją tak brutalnie, że kilka razy trafiła do szpitala na dłuższe leczenie.

— Nigdy nie złożyła na policji zawiadomienia o stosowaniu wobec niej przemocy. — Pia potaknęła sfrustrowana. Znała historię problemów z prawem

Ralfa Ehlersa i wiedziała, jak zachowują się ludzie jego pokroju. Bardzo rzadko kobiety decydują się wystąpić do sądu przeciwko brutalnym mężom. Niestety, jeśli w porę nie uda im się uwolnić z takiego związku, zbyt często płacą za to najwyższą cenę.

— Może Pauline zrobiła coś, co go wyprowadziło z równowagi — podsunął Lombardi. — Wpadł w szal, złapał łom i uderzył ją w głowę.

— Takie zachowanie pasowałoby do choleryka — uznała Pia. — Ale z kolei dlaczego miałyby wtedy zostawiać narzędzie zbrodni na łące, nieopodal ofiary? Przecież musiałyby przetransportować ten łom z miejsca, gdzie doszło do pobicia, na miejsce, gdzie porzucił Pauline, a potem przejść kawałek i porzucić go w krzakach. To zupełnie bez sensu.

— Może wręcz przeciwnie. Jego skrzywiona logika powoduje, że nie uważa się za kryminalistę, a swoje przestępstwa traktuje jak wybryki — tłumaczył Lombardi. — Nielegalna uprawa konopi indyjskich, produkcja narkotyków i handel nimi, pobicia z uszkodzeniem ciała, nielegalne posiadanie broni, unikanie płacenia podatków, oszustwa — za każdym razem będzie znajdował usprawiedliwienia i wyjaśnienia, dla niego logiczne i wystarczające. Ehlers jest wprawdzie dość inteligentny, by dostrzec problematyczność sytuacji, w jakiej się znalazł, i pojąć, że to może zagrażać jego wolności, jednak nie doszukaasz się w nim skruchy czy żalu.

Pia raz jeszcze przypomniwała sobie przebieg przesłuchania. I nagle to poczuła: olśnienie! Natychmiast porzuciła wszelkie wątpliwości, jakie żywiła wobec teorii Bodensteina i jego pomysłów. W końcu dostrzegła światelko na końcu tunelu. Hipotetyczna możliwość przerodziła się w praktyczną pewność.

— Ehlers nie miał nic wspólnego z usiłowaniem zabójstwa Pauline Reichenbach — oznajmiła, starając się ze wszystkich sił zachować spokojny ton, mimo że w jej wnętrzu wszystko aż się gotowało. — Właśnie dlatego nie poprosił o adwokata, kiedy proponowaliśmy. Wiedział, że jest niewinny, mimo

że nie ma na ten czas przekonującego alibi. Przypomnij sobie teraz, które z twoich pytań sprawiło, że zamilkł i jednak zażądał adwokata.

Lombardi popatrzył na Pię, zmrużył oczy i się zastanowił.

— Ty możesz mieć rację! — Uśmiechnął się z uznaniem. — Tak naprawdę niepokój pojawił się dopiero, kiedy padło pytanie o Artura Berjakova. Co to może oznaczać?

Normalną praktyką było zapraszanie do przesłuchań podejrzanych specjalistów niezwiązanych z konkretnym dochodzeniem. Bodenstein przekazał wcześniej Lombardiemu spis pytań, na które potrzebował odpowiedzi, i ogólnie nakreślił okoliczności sprawy, której przesłuchanie ma dotyczyć, jednak dokładnego kontekstu i wszystkich zależności specjalista nie poznał.

— To oznacza, że Bodenstein od samego początku miał rację, a jego podejrzenie się właśnie potwierdziło. — Pia wyjęła z kieszeni telefon. Musiała jak najszybciej skontaktować się z szefem. — Oliver należał wtedy do grupy dzieciaków, która tworzyła coś w rodzaju bandy. Po jakimś czasie do Ruppertshain sprowadziła się rodzina Artura, chłopcy się zaprzyjaźnili i zaczęli się ze sobą bawić, pozostałe dzieciaki były zazdrosne, że Bodenstein już się z nimi nie trzyma. Ich złość obróciła się przeciwko Arturowi: dokuczali mu, dręczyli go, naprawdę go znienawidzili. Szef od początku tej sprawy przeczuwał, że oni mają coś wspólnego z zaginięciem Artura. Za to ja miałam wątpliwości, bo to przecież były dzieciaki, jedenasto- czy dwunastoletnie, ale przecież dzieciaki.

— W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku Jon Venables i Robert Thompson uprowadzili dwuletniego Jamesa Bulgera i torturowali go, aż umarł, choć sami mieli wtedy po dziesięć lat — odparł Lombardi. — Również u nas, w Niemczech, można by wymieniać i wymieniać przypadki, kiedy dzieci mordowały inne dzieci.

Oczywiście! Dzieciaki zabiły Artura i małego liska, którego bardzo zazdrościły Oliverowi, a potem rodzice pomogli im pozbyć się ciał chłopca i zwierzęcia, żeby chronić swoje dzieci. A kiedy Rosie Herold pod koniec życia postanowiła pozbyć się tego ciężaru i wyjawiała długo skrywaną tajemnicę księdzu, zapoczątkowała serię tragicznych zdarzeń. Morderstwo się nie przedawnia. Jednak dzieci — o ile to rzeczywiście one były sprawcami śmierci Artura — jako wówczas niepełnoletnie nie mogłyby odpowiadać przed sądem, a również dzisiaj nikt by nie mógł oskarżyć tych osób o coś, co popełniły w przeszłości ani ich za to ukarać. Jednak prasa natychmiast zwęszyłaby sensację i zaczęła o tym pisać, a to z kolei mogłoby zniszczyć im życie, pozbawić szacunku i narazić na ostracyzm, nie mówiąc o ewentualnych rozbitych rodzinach. Zatem motywem dla trzech morderstw i jednego usiłowania zabójstwa była próba ukrycia czynu sprzed czterdziestu dwóch lat, dokładnie tak, jak Bodenstein od początku podejrzewał.

— Co teraz? — zapytał Lombardi.

— Wezwiemy ich wszystkich do nas na komendę — odparła Pia. — Któreś z nich w końcu przerwie milczenie. A jak jedno puści farbę, wszyscy zaczną mówić.

NIE WIEDZIAŁ, dokąd uciekać. Przy każdym wjeździe do miasta stały patrole policji i kontrolowały samochody. Dlatego zaparkował defendera w lesie, niedaleko rzeki i poczekał do zapadnięcia zmroku. Wtedy ruszył dalej pieszo. Do Nike nie mógł się udać. Felicitas nie żyła. W młynie kręcili się gliniarze i pewnie na niego czekali. A Pauline stało się coś złego, słyszał o tym w radiu. Przez chwilę rozważał zwrócenie się o pomoc do doktor Basedow, ale bał się, że morderca może chcieć potem skrzywdzić i ją tak samo, jak skrzywdził Felicitas — zabił ją tylko dlatego, że udzieliła mu schronienia. Niezależnie od tego, jak bardzo nienawidził swojego ojca, uznał, że to jedyna osoba, która mogłaby mu w tej sytuacji pomóc. Nie chciał dzwonić do drzwi. Na obrazie

z kamer zamontowanych dookoła domu natychmiast by go rozpoznali i wezwaliby policję. Ale on znał inny sposób i wiedział, jak niepostrzeżenie dostać się do ogrodu, a stamtąd znacznie łatwiej było wejść do domu.

Kilka minut później skradał się na czworakach przez krzaki za stawem z karpiami. Szczęście się do niego uśmiechnęło! Jego siostra siedziała akurat na tarasie i paliła. Nie zwracała uwagi na to, co się dzieje dookoła, bo nie odrywała wzroku od ekranu smartfona.

— Letizia? — To był głos jego matki. — Zaparzyłam herbatę. Napijesz się, kochanie? Przcisnął się między dwoma krzakami. Rękojeść pistoletu, który nosił wsunięty za pasek od spodni, boleśnie uciskała go w zębra. Matka wyszła na dwór i dołączyła do siostry na tarasie. Musiał działać szybko. Teraz! Podniósł się gwałtownie i zdecydowanym krokiem ruszył przez trawnik.

— Elias! — Matka wpatrywała się w niego przerażonym wzrokiem, jakby zobaczyła ducha.

— Cześć — przywitał się i zatrzymał. Pocił się i trzął na całym ciele, miał wilgotne dłonie.

— Czego chcesz? — zapytała Letizia wrogo. — Wiesz przecież, że masz zakaz zbliżania się do domu. A policja wszędzie cię szuka. Byli też u nas i pytali, gdzie cię można znaleźć.

— Co się stało Pauline? — zapytał. Z nerwów mówił zachrypniętym głosem. Matka i Letizia wymieniły szybkie spojrzenie.

— Leży w szpitalu, jest w śpiączce — wyjaśniła Letizia. — Wyobraź sobie, że ktoś próbował ją zabić. Właściwie nie ma się czemu dziwić, jak człowiek pomyśli, z jakimi patolami się zadawała.

Wzruszyła ramionami i mlasnęła pogardliwie językiem.

Przez głowę Eliasa przelatywało tysiąc myśli na sekundę. Przecież Pauline miała jego komórkę! I list do Nike. A na liście zapisał adres dziewczyny. Jej

adres!

— Chyba najlepiej będzie, jeśli zadzwonimy na policję — usłyszał głos Letizii, która półgłosem rozmawiała z matką. Dziewczyna sięgnęła po telefon.

Nagle ogarnęła go taka nienawiść, że zakręciło mu się w głowie. Męczyli go, drażnili, zaszczuli i przepędzili... Oni ukradli mu życie! Ruszył w stronę siostry i jednym ruchem wyrwał jej telefon z ręki, po czym wziął zamach i cisnął go do stawu. Plusk, i urządzenie zniknęło pod wodą.

— Kompletnie ci już odbiło? Jesteś nienormalny! — Wściekła Letizia wzięła zamach i z całej siły uderzyła go w pierś. Jej jasne oczy wydawały się zrobione ze szkła. Były zimne. Lodowate.

— Elias! Proszę! Odejdź! — wtrąciła się matka. W jej głosie słychać było troskę. — Mam trochę pieniędzy, jeśli potrzebujesz, dam ci wszystkie.

— Nie potrzebuję pieniędzy! — wychrypiał, nie odrywając wzroku od siostry.

— Błagam cię, Eliasie! Nie krzywdź siostry! Bo... bo jeśli coś jej zrobisz, będę musiała zadzwonić po policję. A nie chcę tego robić!

— Ja nie mam jej krzywdzić?! Ja jej?! — Z niedowierzaniem spojrzął na matkę. — Czy coś ci się przypadkiem nie pomyliło?

I nagle w jednej chwili wszystko zrozumiał, jakby w jego głowie przeskoczyła jakaś zapadka. Od kiedy tylko pamiętał, rodzice bardziej wierzyli Letizii niż jemu. Nigdy do nich nie dotarło, jaką jest podstępna i złośliwą wiedźmą.

Niespodziewanie stanął na skraju przepaści. Mama znów go zawiodła. Jak wielokrotnie wcześniej! W zasadzie jak zawsze. A on miał już dość: dość ponizania, dość bycia zakałą. Nie potrafił już dłużej znosić tego poczucia, że wszystkich rozczarował, że nie sprostał oczekiwaniom i totalnie zawiódł. I to akurat teraz, kiedy postanowił wszystko zmienić, kiedy udało mu się rzucić narkotyki — akurat teraz musiał się tak wpakować! Twarze matki i siostry

zaczęły tracić ostrość, bo oczy zasnuł mu welon czerwonej, kipiącej złości. *Masz przecież pistolet!* — przypomniał mu jakiś głos w głowie. — *Po prostu ją zastrzel. Wreszcie będziesz miał święty spokój.*

— PIA! — zawołał Tarik, kiedy tylko weszła do biura. Młody policjant, bardzo podekscytowany, machał w jej stronę. — Chodź szybko! Trafiliśmy na coś wyjątkowo ciekawego! Powinnaś to zobaczyć!

— Co tam takiego macie?

— To są akta z kartotek pacjentów, te, które przyniosłaś w kopercie — wyjaśnił Tarik. — W większości to tylko pojedyncze strony, no i są stare, pochodzą sprzed wielu lat.

— Niech zgadnę, konkretnie sprzed czterdziestu dwóch? — zapytała Pia.

— Zgadza się. — Tarik się uśmiechnął, obnażając zęby. — Mamy tutaj historie zdrowia i choroby Petera Lessinga, Ralfa Ehlersa, Klause Krolla, Romana Reichenbacha, Karla-Heinza Herolda, Inki Hansen i Leona Kellera.

Kai, Kim i Tarik zsunęli cztery stoły i rozłożyli na nich starannie wszystkie dokumenty, które znajdowały się w kopercie od doktor Basedow, a na tablicy na ścianie zapisali pierwsze ustalenia z ich analizy.

— Każda z tych osób miała jakieś obrażenia, które wymagały leczenia — ciągnął Kai. — Rozcięcia, stłuczenia, skręcenie kostki, zmiżdżenie. Na pierwszy rzut oka nie ma w tym niczego zaskakującego, i można by nie zwrócić na to uwagi, gdyby nie fakt, że wszyscy odnieśli obrażenia...

— ...siedemnastego sierpnia siedemdziesiątego drugiego.

— No właśnie.

— Karl-Heinz Herold był ojcem Edgara i Clemensa — powiedziała Pia. — Z czym on się zgłosił do lekarza?

— Miał częściowo zmiżdżoną prawą dłoń — odparł Kai. — Do tego stopnia, że musiał mieć amputowany jeden palec.

— Takie obrażenia można odnieść, na przykład dźwigając ciężkie płyty

kamienne przykrywające groby — podsunął Tarik.

— Co z Inką Hansen? — zapytała Pia.

— Ugryzienie przez psa, w ranę wdało się zakażenie — ciągnął Kai. — Jej leczenie trwało dłużej, bo zapadła na posocznicę.

— Dlatego, że nie została pokąsana przez psa, tylko przez lisa — dokończyła policjantka.

W głębi duszy chciało jej się krzyknąć z radości. To był przełom, o którym marzyła i na który wszyscy czekali! Dzięki doktor Basedow dotarli do informacji, które w jednej chwili skierowały dochodzenie na właściwe tory.

— Wszyscy byli leczeni przez doktora Hansa-Petera Lessinga. Kiedy wyszło na jaw, czego dopuściły się ich dzieci, rodzice ustalili, że lepiej będzie utrzymywać to w tajemnicy. A doktor Lessing schował dokumenty potwierdzające leczenie, żeby policja przez przypadek nie trafiła na taki ślad.

— Jednocześnie jego szwagier Raimund Fischer, który był wtedy szefem posterunku policji w Königstein, zastosował obstrukcję, żeby nie dopuścić do włączenia do sprawy policji kryminalnej z Frankfurtu. Miał w ten sposób zapewnić dzieciakom czas na wyleczenie wszystkich obrażeń — wyjaśnił Bodenstein zza ich pleców. Kiedy pracowali w skupieniu nad aktami, on wszedł niezauważenie do biura. — Opóźnił ich przybycie o całe pięć dni.

— Jesteś wreszcie! — wykrzyknęła Pia. — Teraz na pewno będziemy mogli udowodnić, że miałeś rację!

Chciała jak najszybciej opowiedzieć mu o wnioskach z niedokończonego przesłuchania Ralfa Ehlersa, lecz na widok jego miny zamilkła.

— Udało mi się ustalić, dlaczego dzieciaki z bandy były tamtego wieczoru w lesie — powiedział. Był blady jak kreda, ale mówił rzeczowym i zdecydowanym tonem. — Dotarłem do archiwum klubu sportowego w Ruppertshain. Od pięćdziesiątego czwartego roku z prawdziwą niemiecką skrupulatnością gromadzone są tam wszystkie informacje na temat ich

działalności. I udało mi się trafić na coś bardzo ciekawego.

Po czym opowiedział pokrótce o swoim znalezisku i wytłumaczył, jakie z tego płyną wnioski.

— Śmiała hipoteza — zauważył Gianni Lombardi, który nie znał charakterystyki topograficznej okolic Ruppertshain, i sceptycznie zmarszczył brwi.

— Wiem, to ostatnia deska ratunku — przyznał Bodenstein. — Ale może i z tej jednej deski damy radę coś zbudować?

— Najpóźniej jutro, zaraz po konferencji prasowej, weźmiemy na rozmowę wszystkich, którzy tam byli — obiecała Pia. — Ktoś zacznie mówić, zobaczysz.

— Ja tylko jednej rzeczy naprawdę nie rozumiem — do rozmowy włączył się Tarik. — Dlaczego ten lekarz, Hans-Peter Lessing, nie zniszczył tych akt? Dlaczego ich nie spalił w kominku? Skoro chciał chronić te dzieciaki, to dlaczego miałyby zostawiać coś, co je jednoznacznie obciąża? To przecież bez sensu.

— Wręcz przeciwnie. — Bodenstein uśmiechnął się gorzko. — Żadnej z tych osób nie łączy przyjaźń. Wszyscy mieszkają w tej samej miejscowości, a związani są tylko tym, co się wówczas stało. Doktor Lessing zatrzymał dowody, żeby w razie potrzeby móc ich szantażować. Niestety, to takie proste. I na tyle, na ile jestem w stanie to ocenić, to przez te wszystkie lata nie raz i nie dwa grał tą kartą.

— To po prostu podłe — skrzywił się Tarik.

— O nie — zaprzeczył Bodenstein. — To jest po prostu ludzkie. A my, policjanci i policjantki, możemy się jedynie cieszyć, że ludzie są tak podstępni i małostkowi, bo dzięki temu wiemy teraz, na czym stoimy.

— Trafiliśmy też na inne ciekawe informacje — zauważył Kai.
— W kopercie znajdowały się kompletne akta Leona Kellera, włącznie

z wypisami ze szpitali i klinik rehabilitacyjnych, w których był leczony po próbie samobójczej. Takie dokumenty zawsze trafiają bezpośrednio do przychodni, do której dana osoba należy. W aktach sprawy Artura znajdowało się zdjęcie aparatu ubojowego na bolce, którym Keller miał próbować się zabić. I zaczęliśmy się zastanawiać, bo coś tu wyraźnie nie grało.

— A co konkretnie? — zapytała Pia.

— Zacząłem od tego, że sprawdziłem w Internecie, co to w ogóle jest taki aparat ubojowy — tłumaczył Tarik. — Otóż aparatów ubojowych można używać do ogłuszania i do uboju zwierząt hodowlanych, a samo urządzenie wygląda jak prosta wkrętarka akumulatorowa. Działa w ten sposób, że za pomocą energii gazów prochowych wbija specjalne bolce w czaszkę zwierzęcia. Aparat ubojowy w takiej formie został wynaleziony na początku dwudziestego wieku przez dyrektora masarni w Straubingu i miał za zadanie ogłuszać zwierzęta przed ich ubojem, by oszczędzić im cierpienia. Można powiedzieć, że aparaty ubojowe są wykorzystywane od bardzo, bardzo dawna. Pojedyncze modele mogą się różnić budową i sposobem działania. Niektóre wbijają metalowy bolec przez czaszkę do mózgu zwierzęcia, inne zamiast bolca mają szeroki trzpień, który nie przebija kości czaszki i nie uszkadza mózgu. Leo Keller skorzystał właśnie z urządzenia tego drugiego typu. I teraz najważniejsze!

Zrobił teatralną przerwę, żeby podnieść napięcie i upewnić się, że wszyscy go słuchają.

— Aparaty ubojowe wykorzystują naboje z ładunkiem prochowym, którego eksplozja wypycha bolec lub trzpień. Naboje do takich aparatów występują w trzech rodzajach, oznaczonych kolorami, bo do uboju świni nie potrzeba aż tak dużej ilości prochu, jak do uboju krowy czy byka. Już pobieżna analiza zdjęć z akt sprawy wykazała, że Keller skorzystał z naboju oznaczonego kolorem zielonym, czyli dającego najmniejszą siłę wyrzutu. Jak mówiłem,

zielone naboje służą do uboju świń, cieląt czy owiec. A my zachodziliśmy w głowę, dlaczego wybrał akurat zielony ładunek.

— Może nie patrząc, co chwyta, złapał pierwszy lepszy aparat ubojowy, jakiś nabój i pobiegł z tym do siebie — zasugerowała Pia.

— Nie, nie, nie! — Tarik potrząsnął zdecydowanie głową. — Leo Keller był doświadczonym masarzem. Fachu uczył się u rzeźnika Hartmanna, potem przez rok pracował w ubojni we Frankfurcie, by w końcu wrócić do Hartmanna jako czeladnik. Dlatego możemy mieć pewność, że dobrze wiedział, co jak działa, i zdecydowanie wybrałby niebieski albo czerwony ładunek, żeby mieć pewność co do efektu. Przecież jeśli ktoś chce popełnić samobójstwo, to wchodzi na najwyższą wieżę w okolicy, a nie rzuca się z dwupiętrowego domku, licząc, że a nuż się uda, choć wie, że istnieje znacznie większe prawdopodobieństwo trwałego kalectwa i spędzenia reszty życia na wózku inwalidzkim.

— Jednak ktoś, kto nie zna się na tym fachu i działa w pośpiechu, bo ma mało czasu i napędza go strach, zachowałby się prawdopodobnie tak, jak ty to sugerowałaś, Pia — dodał Kai. — Zakradłby się do ubojni, złapałby pierwszy lepszy aparat ubojowy i w nogi.

Pia zaczynała rozumieć, do czego zmierzali jej współpracownicy.

— Na dodatek naszym zdaniem Keller wycelowałby wylot aparatu w czoło, tak jak w wypadku zwierząt hodowlanych — wyjaśniła Kim. — A nie do potylicy, co choćby z anatomicznych względów jest raczej trudne.

— Poprosiliśmy Christiana, żeby przygotował symulację komputerową. — Kai uśmiechał się zadowolony. — Na podstawie analizy wzrostu Leona Kellera, kąta przyłożenia aparatu ubojowego do czaszki, wyliczonego na podstawie uszkodzenia kości, jego wielkości i wagi można ustalić, jakiego wzrostu był sprawca.

Pia zastanowiła się, co to dla nich oznacza, po czym wymieniła

z Bodensteinem szybkie spojrzenie.

— Wow — powiedziała, wyraźnie pod wrażeniem. — Macie rację.

— To nie była nieudana próba samobójcza, tylko nieudana próba zabójstwa! — dokończył Tarik, uśmiechając się tryumfalnie. — Nasi poprzednicy na to nie wpadli.

— Dlatego, że ich to nie interesowało. Dla nich ważne było wskazanie pierwszego lepszego winnego, żeby zakończyć kłopotliwą sprawę i mieć problem z głowy — powiedział Bodenstein gorzko.

— A że doktor Lessing również wiedział, kim jest niedoszły morderca, do ukrytych akt dołączył dokumentację Leona Kellera, by w razie konieczności móc szantażować kolejną osobę — zakończył Tarik. — I za to składamy mu — pośmiertnie — bardzo, bardzo serdeczne podziękowania.

PODEJRZENIE, ŻE LEO KELLER wcale nie próbował popełnić samobójstwa, tylko jakimś cudem przeżył próbę zabójstwa, zmieniało właściwie wszystko. Duży zegar na ścianie świetlicy wskazywał dziesięć po ósmej, jednak wszyscy zebrani zdawali sobie sprawę, że powinni przygotować się na nocną zmianę. Kim i Tarik usunęli papierowe taśmy, które psycholożka wykorzystywała do robienia notatek w trakcie przygotowywania profilu psychologicznego mordercy i całą sprawę zaczęto analizować od początku.

Bodenstein dyktował Tarikowi i Kaiowi nazwiska mieszkańców Ruppertshain i tłumaczył zawile powiązania między nimi, bo w tej chwili w centrum zainteresowania znaleźli się jego koledzy i koleżanki ze szkoły oraz ich rodzice. Starał się jednocześnie słuchać jednym uchem, jak przy sąsiednim stole Pia przygotowuje Gianniego Lombardiego do przesłuchania Inki.

Bardzo wiele spraw wymagało ponownej analizy, trzeba było sporo przemyśleć i przede wszystkim ustalić, kto i dlaczego podjął próbę pozbycia się Leona Kellera niecałe dwa tygodnie po zaginięciu Artura Berjakova, długo po tym, jak policja kryminalna z Frankfurtu przejęła dochodzenie. Co takiego

mógł wiedzieć, że prawie kosztowało go to życie? Komu mógł zagrozić swoją wiedzą? Dlaczego próba zabójstwa nastąpiła tak późno, a nie zaraz po zaginięciu Artura? A może Leo tak naprawdę nic nie wiedział, tylko potrzebny był kozioł ofiarny, żeby w końcu pozbyć się węszących policjantów? Przy wyborze Leona Kellera sprawca musiał działać bez skrupułów, zdając sobie sprawę, że kierując na niego takie podejrzenie, zniszczy całą rodzinę ofiary. Ludzie posuwają się do niewyobrażalnych sposobów, żeby ratować własną skórę; Pia dobrze o tym wiedziała, bo, niestety, nieraz spotykała się w pracy z takim podejściem.

Odezwała się komórka Bodensteina. Karoline. Przeprosił wszystkich, wstał i wyszedł na zewnątrz.

— Valentinie udało się kupić bilet na nocny lot do Frankfurtu — poinformowała go. — Ląduje jutro, dwadzieścia po szóstej rano. Zaproponowałam jej, że może się u mnie zatrzymać. Masz coś przeciwko?

— Nie, oczywiście, że nie. Jeśli tobie to odpowiada, to wszystko jest dobrze.

— Super. — Przerwała na chwilę. — Jak się czujesz?

— Byłem wcześniej u Inki. Podjąłem decyzję o jej zatrzymaniu.

Dopiero kiedy wypowiedział głośno te słowa, dotarło do niego, co takiego zrobił. Dotychczas był przekonany o słuszności swojego działania i nie miał wątpliwości, że postąpił dobrze, zwłaszcza po tym, co udało się ustalić Kaiowi i Tarikowi. Teraz dopiero zaczął się wahać. Co będzie, jeśli się okaże, że Inka nie miała z tą sprawą nic wspólnego? Była przecież matką żony jego syna, czy nie powinien był wcześniej wziąć tego pod uwagę?

— A jeśli popełniłem błąd? — zapytał i westchnął ciężko. — Może się pomyliłem i zrobiłem głupstwo?

— Musisz sprawdzić każdy ślad, takie twoje zadanie — odparła Karoline. — Jeśli się okaże, że Inka jest niewinna, to ją przeprosisz i wypuścisz. Ale,

mówiąc szczerze, jestem przekonana, że miałeś rację.

— Dlaczego tak myślisz? — zapytał Bodenstein zaskoczony.

— Trudno mi to uzasadnić — wyjaśniła. — To raczej takie przecucie. Tylko kilka razy ją spotkałam i zawsze miałam wrażenie, że jest trochę... nieszczera. I że coś skrywa.

Nieszczera. Ten epitet bardzo dobrze ją opisywał. Przez te wszystkie lata, kiedy łączyła ich przyjaźń — nie wspominając o dwóch latach, kiedy byli parą — Inka ani razu się przed nim nie otworzyła. Istniała jakaś niewidzialna granica, której nie udało mu się przekroczyć, bo nigdy mu na to nie pozwoliła. Ich rozmowy dotyczyły jedynie codziennych spraw, jego i jego rodziny, ale ona nigdy nie była ich przedmiotem. Kiedy tylko czuła, że rozmowa zmierza w niepożądanym kierunku, natychmiast ją ucinęła. Kiedy coś jej nie pasowało, milczała jak zaklęta albo uciekała. Czasem Bodenstein się zastanawiał, dlaczego tak się zachowuje, czy to może przez Sophię albo przez niego? Starał się z nią o tym rozmawiać, lecz nadaremno.

— Bardzo bym chciał, żebyśmy mogli już zamknąć tę sprawę — powiedział Bodenstein i westchnął. — Chciałbym gdzieś z tobą wyjechać. Z tobą i dziewczynkami, dokądkolwiek, najdalej jak się da.

— Jestem za — zapewniła, a on niemal usłyszał w słuchawce jej uśmiech. — A potem wprowadzisz się do mnie i zaczniemy myśleć, czy nie kupić sobie jakieś małego, spokojnego gospodarstwa na wsi.

Bodensteina kusiło, żeby rzucić wszystko i pojechać do niej, ale wiedział, że to nie wchodzi w rachubę. Trzeba było przygotować na następny dzień konferencję prasową, a poza tym nie mógł pozwolić na to, żeby Pia poczuła się zostawiona samej sobie, bez jego wsparcia, mimo że miał ochotę wszystko rzucić.

— Tak zrobimy — odpowiedział i się uśmiechnął. — Dzisiaj wrócę bardzo późno. Może nawet zostanie tu na całą noc.

— Nie ma problemu. Napisz mi wiadomość, jeśli skończysz i będziesz wracał. Jeśli nie, zobaczymy się rano na konferencji prasowej, dobrze?

— Dobrze. Cieszę się, że cię mam.

— A ja, że mam ciebie. Kocham cię.

— Ja ciebie też. — Serce skakało mu z radości na samą myśl, że ta kobieta czeka na niego dziś wieczorem i tak będzie codziennie do końca życia, jeśli wszystko się uda, a nie miał wątpliwości, że się uda. Ona go rozumiała i był przekonany, że zrozumie również te wszystkie niskie uczucia, których z jednej strony się wstydził, a z drugiej potrzebował, bo dawały mu siłę, aby był w stanie na zawsze zamknąć ponury rozdział przeszłości.

Podniesiony na duchu, radosny i pełen nadziei chciał wrócić do budynku, kiedy zatrzymała się obok niego ciemna limuzyna. Boczna szyba powędrowała w dół.

— Cześć, Oliver — przywitał się doktor Florian Clasing. — Siostra mnie poprosiła, żebym do was podjechał. Ponoć zatrzymałeś Inkę.

Clasing był jednym z najbardziej znanych w kraju obrońców w sprawach karnych i jednocześnie bratem Anny-Leny Kerstner, żony jednego ze współwłaścicieli kliniki weterynaryjnej dla koni. Bodenstein znał go od wielu lat, podczas których zdążyli się ze sobą zaprzyjaźnić.

— Witaj, Florian — odpowiedział Bodenstein. — Jesteś jej reprezentantem prawnym?

— Jeszcze nie miałem okazji się z nią spotkać, ale myślę, że tak, będę ją reprezentował — odparł Clasing poważnie, zaparkował na najbliższym wolnym miejscu i wysiadł. — Powiesz mi, o co chodzi? — zapytał. — Co jej zarzucacie? Czy to ma coś wspólnego z ostatnią serią morderstw?

Oczywiście wszystko już wiedział. Prasa cały czas trąbiła o tragicznych wydarzeniach w Ruppertshain i o braku postępów w dochodzeniu. Jednak dotychczas nie wyciekła jeszcze wiadomość, że obecne morderstwa mogą

mieć coś wspólnego z zaginięciem Artura. Bodenstein musiał powiedzieć o tym adwokatowi. W drodze do wejścia głównego w kilku zdaniach naświetlił sytuację i wyjaśnił, dlaczego zatrzymał Inkę.

— Zdajesz sobie chyba sprawę, że to w żadnym razie nie wystarczy, żeby sąd wydał nakaz aresztowania, prawda? — zapytał Clasing, kiedy Oliver skończył mówić.

— Tak, dobrze o tym wiem. — Bodenstein potaknął. Policjant w dyżurce zobaczywszy go, nacisnął guzik i odblokował drzwi. — Ale prawdę mówiąc, mam nadzieję, że Inka nam wyjawí, co się wtedy stało. Nie sądzę, żeby popełniła morderstwo albo żeby miała czyjeś życie na sumieniu. Jednak na pewno ma wiedzę, na której nam bardzo zależy.

— Mogę z nią porozmawiać?

— Oczywiście. Poczekaj tylko chwilę, bo dochodzenie prowadzi moja współpracowniczka, Pia Sander. Dam jej znać, że przyszedłeś.

— Świetnie. Poczekam. — Clasing spojrział na zegarek i podniósł wzrok. — Inka potrafi być bardzo uparta. Mam nadzieję, że uda mi się ją namówić do złożenia zeznań. Co będzie, jeśli odmówi?

— Mamy prawo przetrzymywać ją przez dwadzieścia cztery godziny — odparł Bodenstein. — Jeśli jednak uda mi się jakoś przekonać sąd, że istnieje niebezpieczeństwo ucieczki lub mataczenia, może spędzić dłuższy czas w areszcie śledczym.

— Nie ma takiego niebezpieczeństwa.

— Niestety, obawiam się, że jest i to jak najbardziej realne. — Bodenstein popatrzył na adwokata. — Kiedy do niej podjechałem, pakowała właśnie swoje rzeczy do samochodu, żeby stąd wyjechać. O sprzedaży udziałów w klinice chyba wiesz.

Zamiast udzielić odpowiedzi, Clasing wzruszył ramionami.

— To wszystko, plus fakt, że wczoraj złożyła wniosek online o zezwolenie

na podróż do Stanów Zjednoczonych w elektronicznym systemie ESTA, powinno wystarczyć, by przekonać sędziego o niebezpieczeństwie ucieczki.

SIEDZIELI PRZED NIM jak przestraszone dzieci przed Świętym Mikołajem. Związał im ręce na plecach i nogi w kostkach. I żeby w końcu się zamknęli, zakleił im usta srebrną taśmą. Letizii owinął ją dodatkowo dookoła głowy. Wiedział, że gdy ktoś będzie ją uwalniał, zdjęcie taśmy sprawi siostrze dodatkowy ból. Drobne zadośćuczynienie za to, co mu zrobiła.

Kiedy miał już pewność, że nie będą w stanie uwolnić jedno drugiego, wrócił na górę, wziął prysznic i się ogolił. Potem przebrał się w czyste rzeczy i spakował walizkę. Od lat nie czuł się tak dobrze. Przygotował sobie dwie kanapki i usmażył dwa jajka. Dopiero kiedy skończył jeść, wrócił na dół, do kotłowni w piwnicy. Drzwi były całkowicie dźwiękoszczelne, to wiedział z własnego doświadczenia, dlatego nie przejmował się, że mogą uwolnić się od knebli. Niezależnie od tego, jak głośno by krzyczeli, ich głosy nie dotrą na ulicę.

Usiadł naprzeciwko nich na stołku i zaczął mówić. W końcu nie mieli wyjścia i musieli go wysłuchać. Nie mogli go zakrzyczeć, odwrócić się i odejść albo gdzieś go zamknąć. Teraz była jego kolej! Rodzice byli przerażeni, kiedy opowiadał, w jaki sposób Letizia przez całe lata wykorzystywała go do swoich podłych celów, a on nie miał szans się obronić. Wytłumaczył im, dlaczego zachowywał się tak a nie inaczej i dlaczego uciekał z domu. Zrozpaczony, miał nadzieję, że ktoś w końcu go zatrzyma i zapyta, co się stało. Lecz przez te wszystkie lata trafił tylko na jedną osobę, która mu uwierzyła: doktor Renate Basedow. Ale ojciec tak ją zastraszył, że nie ruszyła palcem, żeby mu pomóc. Ze strachu.

— Zrobiłem sobie detoks i odwyk i od dwóch tygodni jestem czysty — pochwalił się. — Poszukałem też informacji na temat schizofrenii paranoidalnej, którą chcieliście mi wmówić, od kiedy tylko pamiętam. To co,

jesteście gotowi na mały wykład? Bo w sieci znalazłem kilka naprawdę ciekawych teorii. Wskazał pistoletem na ojca, który potaknął jak samochodowy piesek z ruchomą główką. Potem na matkę.

— Zgodnie z koncepcją determinizmu środowiskowego, sformułowaną gdzieś na początku lat siedemdziesiątych, choroby psychiczne mają swój początek głównie w rodzinie, a badania wykazały, że u osób ze schizofrenią czynnik rodzicielski przeszkodził w pełnym rozwoju osobowości i wykształceniu własnych celów. — Uśmiechnął się chłodno. — Im dłużej o tym myślę, tym głębiej jestem przekonany, że wiem, kto tutaj idealnie pasuje do definicji rodziny wpędzającej dzieci w schizofrenię: rodzice z tendencją do dominowania, całkowicie pozbawieni przy tym zrozumienia dla potrzeb własnych dzieci. Nie otwarcie represyjni, ale udający przyjaciół i markujący wsparcie, jednak przez cały czas wywierający na dziecko ogromną presję i bezwzględnie forsujący swoją wolę, tak bardzo, że dzieciak żyje w permanentnym stresie. No i co, coś wam to przypomina?

Wstał i kopnął Letizję.

— Tylko że nie mnie wpędziliście w chorobę, ale ją — powiedział. Potem zerwał taśmę zakrywającą usta dziewczyny i dźgnął ją pistoletem w zębra. — No, śmiało. Opowiedz teraz starym, jak to było naprawdę z tym wypadkiem. Dalej! Nikt nie będzie ci przerywał, słowo!

— Ja... nie wiem, o czym ty w ogóle mówisz — jęknęła. Wtedy pociągnął za spust. Wystrzał zagrział ogłuszająco w ciasnym pomieszczeniu, a odrzut był mocniejszy, niż się spodziewał. Ze ściany spadł kawałek tynku.

— Następnym razem przestrelę ci kolano — zagroził znenawidzonej siostrze. — Już! Masz mówić!

INKA HANSEN nie chciała rozmawiać z prawnikiem, którego przysłali jej znajomi, więc doktor Florian Clasing opuścił budynek policji i odjechał. Z miną niezdradzającą żadnych emocji wysłuchiwała standardowego pouczenia

o przysługujących jej prawach i ledwie skinęła głową, kiedy Pia poinformowała ją, że całe przesłuchanie będzie utrwalane zarówno w formie obrazu, jak i dźwięku. Od pół godziny kłamała jak z nut. Czy naprawdę mogła mieć nadzieję, że jeszcze uda jej się z tego wszystkiego wykręcić?

— Gdzie się pani wybierała? — zapytała Pia.

— Jechałam na kongres. Do Wiednia.

— Sprawdziłszy to. W najbliższym czasie w Wiedniu nie odbywają się żadne kongresy ani konferencje związane z weterynarią.

— Chciałam... chciałam pojechać z córką... na południe Francji.

— Rozumiem. A gdzie dokładnie, bo południe Francji to całkiem spory obszar.

— Do... Arles.

— Rozumiem. Oczywiście zarezerwowała pani wcześniej hotel, prawda?

— Nie. Chciałyśmy pojeździć po okolicy i zostać tam, gdzie nam się spodoba.

— Dlaczego wystąpiła pani wczoraj z wnioskiem o pozwolenie na podróż do USA?

— Bo zostałam zaproszona na konferencję, która ma się tam odbyć.

Inka Hansen kłamała naturalnie, płynnie i bez wahania. Pia westchnęła. Miała już dość.

— Pamięta pani Maxiego, małego liska, którego Oliver von Bodenstein wykarmił mlekiem z butelki? — zmieniła temat.

— Tak. — Inka Hansen spojrzała na nią podejrzliwie.

— Lubiła go pani?

— Generalnie lubię zwierzęta.

— Hm. — Pia położyła przed weterynarką powiększony fragment zdjęcia, który dostała od Bodensteina. — Może się nie znam, ale na moje oko to nie wygląda na okazywanie sympatii.

Na czole Inki wystąpiły kropelki potu.

— Nienawidziła pani Maxiego, prawda? — zapytała Pia. — Nie podobało się pani, że akurat on miał takie zwierzątko, ale to nie wszystko. Pani była zazdrosna nie tylko o Maxiego, ale też o to, że Oliver przestał się trzymać z wami, od kiedy we wsi pojawił się ten chłopak z Rosji. O to, że przestał się bawić z dziećmi ze wsi, bo znalazł sobie nowego przyjaciela. Czy tak było?

Inka Hansen milczała. Uparcie wpatrywała się w jakiś nieokreślony punkt na ścianie nad Pią.

— Pani doktor — zaczęła Pia z naciskiem. — Życie stracił wtedy mały chłopiec, dziecko jeszcze, bo miał dopiero jedenaście lat. Przecież pani też ma córkę. Naprawdę nic panią nie obchodzi, że rodzina Artura od ponad czterdziestu lat żyje w niepewności? Że nie wiedzą, co się stało z ich synkiem?

Podsunięła Ince przed nos zdjęcie szkieletu Artura, ułożonego anatomicznie na metalowym stole sekcyjnym w sali w Instytucie Medycyny Sądowej.

— Niech pani popatrzy na te zdjęcia! Proszę nie odwracać wzroku!

Inka Hansen zrobiła minę, która nie wyrażała żadnych emocji. Pia знаła ją właśnie taką, trudną do zrozumienia i przejrzenia. Wydawała się skupiona, jakby była na egzaminie, w czasie którego nie chciała popełnić żadnego błędu. Policjantka uznała, że przyjaznym podejściem i odwoływaniem się do jej matczynych odruchów raczej niewiele tu osiągnie. Nadszedł czas, by wykorzystać silniejsze uczucia.

Lombardi spojrział w swoje notatki. Przed rozpoczęciem przesłuchania Bodenstein bardzo szczegółowo omówił z nimi kilka kwestii.

— Czego się pani boi, pani doktor? Czy ktoś pani groził? Czy to dlatego niespodziewanie wyszła pani z pomysłem sprzedaży świetnie prosperującej kliniki weterynaryjnej? To było przyczyną, dla której zamierzała pani opuścić

Ruppertshain? — Współczucie w głosie Gianniego Lombardiego sprawiło, że Inka przełknęła głośno ślinę. Potrząsnęła głową i zmieniła pozycję. Po chwili odruchowo uniosła dłoń i dotknęła ucha. Jej wzrok co rusz kierował się w stronę dużego lustra na ścianie, zza którego Bodenstein obserwował przesłuchanie.

— Kogo się pani boi? Kto i dlaczego wzbudza w pani taki strach? — naciskał Lombardi. — Czym pani grozili?

— Nikogo się nie boję. — Inka Hansen potrząsnęła głową, jednak mowa jej ciała wyraźnie zdradzała, że kłamie. — O co w ogóle wam chodzi? Dlaczego zadajecie tyle pytań?

— A Peter Lessing? Czy jego się pani boi? — zapytała Pia. Weterynarka zadrżała. Trafiony, zatopiony! Pia bezlitośnie poszła za ciosem.

— Przypomina pani sobie, jak on i pozostali chłopcy dręczyli zwierzęta? Jak je zabijali? Żaby, świnki morskie, koty i króliki? Brała pani w tym udział? Przyglądała się pani? Sprawiało to pani przyjemność? Może nawet dobrze się pani bawiła, mogąc też zadawać im cierpienie? Może lubiła pani słuchać, jak wyją z przerażenia tuż przed śmiercią? Podobala się pani władza nad ich życiem?

Stosowała właśnie bardzo brutalną i ponurą technikę interwencji. Pia nienawidziła, kiedy musiała uciekać się do metod, które obliczone były tylko i wyłącznie na uderzenie w najczulszy punkt przesłuchiwanego, by zmusić je do ujawnienia skrywanych sekretów, które te osoby za wszelką cenę chciały zachować tylko dla siebie.

— Nie, niczego takiego nie pamiętam. — Inka Hansen uparcie odmawiała wszelkiej współpracy. — Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

— Mówię o siedemnastym sierpnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku — wyjaśniła Pia. — Miała pani wówczas jedenaście lat. Tego dnia zniknął bez śladu pani rówieśnik, chłopiec, którego pani znała.

— Przykro mi, w tej sprawie nie mogę pani pomóc — odparła kobieta.
— Nic takiego nie pamiętam.

— Dziś Artur miałby tyle lat co pani. Czy ani razu nie przemknęło pani przez myśl, co mu się przytrafiło?

— A może wcale nie musiała się pani nad tym zastanawiać? — wtrącił Lombardi. — Bo przecież pani wiedziała, do czego wtedy doszło, prawda?

Cisza. Brak odpowiedzi.

— Co pani poczuła, kiedy wczoraj się pani dowiedziała, że odnaleziono szkielet Artura i kości Maxiego? Zaskoczenie?

— Jak by się pani czuła, gdyby to pani córka zaginęła, a pani nigdy by się nie dowiedziała, co się z nią stało?

Pia i Lombardi zadawali pytania na zmianę, nie robiąc przerw. Policjantka widziała, że każde z nich trafia Inkę niczym pchnięcie nożem. Poznawała to po panicznych błyskach w oczach i sposobie, w jaki zaplatała palce. Na razie jednak nie dawała się sprowokować. Niezależnie od tego, o co pytali, jej odpowiedzi były standardowe i niewiele mówiące.

— Nie mam pojęcia, o czym mówicie. Nic nie pamiętam.

Pia i Lombardi wymienili szybkie spojrzenia. Nie potrafili zrozumieć, co mogło budzić w niej tak ogromny lęk. Albo może nie co, a kto?

— Chciałaby się pani czegoś napić? — zapytał Lombardi. — Mogę przynieść pani szklankę wody. Możemy też zrobić krótką przerwę.

— Nie, dziękuję. Nie chce mi się pić. Chcę wrócić do domu — oznajmiła Inka Hansen. — Nie możecie mnie tutaj przetrzymywać. To jest jakaś policyjna samowola. Nie zgadzam się.

— Mamy prawo zatrzymać panią na dwadzieścia cztery godziny — wyjaśniła jej Pia. — I właśnie korzystamy z tego prawa. — Jutro z samego rana trafi pani przed sąd, a sędzia zadecyduje, czy powinniśmy panią wypuścić, czy może zachodzą przesłanki, żeby wystawić nakaz aresztowania

i zatrzymać na dłużej. Już teraz mogę powiedzieć, że po tych wszystkich kłamstwach, jakie nam pani serwuje, może się pani pożegnać z perspektywą rychłego powrotu do domu.

Dopiero w tym momencie Inka Hansen zaczęła rozumieć powagę swojego położenia.

— Czego ode mnie chcecie? — W jej tonie słychać było tłumioną agresję. — Trafiłam tu, bo wasz przełożony chce wyrównywać jakieś osobiste rachunki. Mści się na mnie! Mogę się założyć, że siedzi teraz za tą szybą, patrzy, co ze mną robicie, i świetnie się bawi! Mam rację?

W końcu! Inka Hansen wreszcie dopuściła do głosu emocje! Na ten moment Pia czekała od początku przesłuchania. Kobieta dała się zapędzić w pułapkę i przeszła do obrony. Zbliżali się do punktu, którego bardzo się bała.

— Nikt na nikim się nie mści — zapewniła Pia, kręcąc głową. — Chcemy jedynie wiedzieć, co się wydarzyło tamtego wieczoru, kiedy zniknął Artur.

— Już kilka razy wam tłumaczyłam, że nie mam pojęcia, bo nic nie pamiętam!

— Nie wierzę pani.

— W zasadzie moglibyśmy pani pomóc odzyskać pamięć — zaproponował Gianni Lombardi i nachylił się nad stołem. — Siedemnastego sierpnia siedemdziesiątego drugiego roku wieczorem w Schneidhain odbywał się turniej piłkarski, tak zwane Wakacyjne Mistrzostwa w Piłce Nożnej, a drużyna juniorów z klubu sportowego Ruppertshain poniosła w nich sromotną porażkę.

Inkę Hansen zdradziło delikatne drżenie kącików ust, kiedy padły słowa o piłce nożnej i turnieju w Schneidhain. Widocznie zupełnie nie liczyła się z myślą, że ktoś po tylu latach będzie w stanie przypomnieć sobie o tym wydarzeniu.

— Do czego doszło, kiedy wracała pani z pozostałymi dziećmi przez las do Ruppertshain? Bo maszerowała pani wtedy z nimi, prawda? Wpadliście

po drodze na Artura?

— Zupełnie nie mogę sobie tego przypomnieć. — Inka Hansen ze stężałą twarzą walczyła, by nic nie dać po sobie poznać. A jednak jej oddech stał się nieco szybszy, a z brody skapnęła kropelka potu.

— Pani kłamie — stwierdziła Pia.

— Nie — wymamrotała weterynarka i spuściła wzrok.

— Ależ tak, to są same kłamstwa. — Pia nie odpuszczała. — Umiera pani ze strachu! To przerażenie, panika. Widzę to. Troje ludzi straciło życie dlatego, że zbyt wiele o tej sprawie wiedziało. Pani może być następna. Pani albo pani córka na przykład. Zrobiliście tamtej nocy coś bardzo złego i obiecaliście sobie, że nigdy nikomu o tym nie powiecie. Przez czterdzieści lat z okładem udawało się pani wypierać z pamięci tamten wieczór, lecz w końcu przeszłość panią dopadła. Jutro będziemy rozmawiać ze wszystkimi dawnymi członkami pani bandy. Jednego po drugim przesłuchamy tak jak panią. Ralf Ehlers już teraz czeka w pokoju obok. Dzisiaj został zatrzymany. Myślę, że Reichenbachowie okażą się najbardziej rozmowni, szczególnie kiedy do nich dotrze, dlaczego ich córka walczy teraz o życie i być może nigdy już nie obudzi się ze śpiączki.

— Ja nie zrobiłam niczego złego! — Weterynarka podniosła głos. Prawie piszczała.

— Ale za to pani doskonale wie, co zrobili wtedy inni. Była pani przy tym — odparła Pia. — I mimo że nie dałoby się pani o nic oskarżyć, bo była pani wtedy jeszcze dzieckiem, to dziś pani nazwisko znalazłoby się pod obstrzałem, bezpośrednio powiązane z czterema morderstwami. Koniec nieskazitelnej reputacji, co? Zawsze coś się przyklei, jak ktoś wpadnie w takie błoto. Nigdy, nigdy już nie uwolni się pani od tej sprawy, niezależnie od tego, co będzie pani robić.

Cisza.

Słowa Pii wreszcie przyniosły efekt. Inka Hansen zaczynała rozumieć, że zaprzeczanie i kłamstwa nie są rozwiązaniem. Zaciśnęła powieki, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy.

Lombardi wyjął z teczki kilka fotografii i położył je na stole. Zwęglone zwłoki Clemensa Herolda, okropny widok. Wychudzone i zniszczone nowotworem ciało Rosie Herold, martwa twarz z sinymi ustami. Opuchnięta głowa księdza Adalberta Maurera z zaschniętymi śladami krwi wokół nosa i ust. Martwe, puste oczy. Koszmary na papierze z połyskiem.

— Proszę przyjrzeć się tym zdjęciom — polecił Lombardi.

— Córka pani najbliższej przyjaciółki została załuczona niemal na śmierć i porzucona jak worek ze śmieciami na łące, niecałe pięćset metrów w linii prostej od pani domu — oznajmiła Pia. — Nie robi to na pani wrażenia?

— Oczywiście, że robi — szepnęła Inka Hansen.

— O czym rozmawialiście w piątek wieczorem, kiedy spotkała się pani z resztą znajomych z dzieciństwa? Ustaliliście wtedy, że będziecie iść w zaparte i tłumaczyć, że nic nie pamiętacie?

Weterynarka skrzyżowała ramiona na piersi w daremnej próbie opanowania czy może raczej ukrycia drżenia.

— Niechże pani do cholery patrzy na to zdjęcie! — ryknął na nią Lombardi tak gwałtownie, że kobieta aż podskoczyła. — Niech pani patrzy, coście zrobili! Pani i pani koledzy! Czworo ludzi, których pani dobrze знаła! Jedna osoba spłonęła żywcem, druga została uduszona, trzecia zakatowana na śmierć, a czwarta walczy o życie! Wie pani, jak to jest płonąć żywcem? Albo czuć, jak ktoś zaciska pętlę na szyi? Potrafi pani sobie wyobrazić, co przeżywała Pauline, zanim pierwsze uderzenie łomu roztrzaskało jej czaszkę?!

Chcąc nie chcąc, Inka Hansen przesunęła wzrokiem po rozłożonych na stole fotografiach, a Pia widziała, że jej opór słabnie. Kobieta zbladła, a potem poszarzała na twarzy. Jej oczy wypełniły się łzami. Zgarbiła się i przycisnęła

dłonie do ust. Zaczęła płakać, lecz Pia nie potrafiła ocenić, czy jest to spowodowane żalem nad sobą, czy wyrzutami sumienia. W gruncie rzeczy teraz nie miało to już dla niej żadnego znaczenia.

— Pani doktor — naciskała. — Co się wtedy stało? Proszę mówić!

— Nie! Nie! — szlochała weterynarka. — Nie mogę... przy pani nie potrafię o tym opowiedzieć!

— Niech będzie. — Pia wstała. — W takim razie wychodzę.

Po czym opuściła salę przesłuchań i weszła do pomieszczenia obok, z którego mogła obserwować, co się stanie. W milczeniu usiadła obok Bodensteina. Wraz z jej wyjściem Lombardi zmienił się w uważnego, empatycznego i pełnego współczucia słuchacza. Po niedługim czasie jego strategia przyniosła wyniki.

— To przez Artura! To on wszystko zepsuł! — wyszlochała Inka zbolalym głosem. — Wcześniej byłam taka szczęśliwa! Wszystko było takie idealne! A potem pojawił się on i w jednej chwili wszystko się zmieniło. My... chcieliśmy tylko dać mu nauczkę! Nie chcieliśmy, żeby umarł! Tylko... tylko żeby sobie poszedł. Żeby wszystko było tak jak wcześniej.

— Co dokładnie się wtedy stało?

— Byliśmy na meczu w Schneidhain. — Inka mówiła z denerwującą manierą zapłakanej małej dziewczynki. — Chłopcy przegrali i pokłócili się z trenerem. Za karę nie wpuścił ich do autobusu, którym mieliśmy wracać do Ruppertshain. Simone i ja z solidarności z nimi zdecydowałyśmy się też iść piechotą. To był gorący i parny dzień. Pamiętam, że w powietrzu czuć było burzę. Peter i Edgar byli naprawdę wściekli. Odbijało im ze złości. Chcieli po drodze pójść popływać w stawie przeciwpożarowym, a kiedy tam dotarliśmy, to... to tam był Artur. — Znow zaniósł się szlochem. — Siedział na stogu drewna i bawił się z... bawił się z Maxim.

Pia spojrzała szybko na szefa. Bodenstein miał kamienną minę, za którą

skrywał emocje. Siedział nachylony, z łokciami opartymi na kolanach i intensywnie wpatrywał się przez jednostronne lustro w kobietę, która niegdyś była jego wielką miłością. Co się działo w jego sercu? Co czuł?

— Kim był Maxi?

— To był lis. Oswojony lis Olivera — wyjaśniła Inka Hansen i obiema dłońmi naraz otarła łzy z policzków. — Artur zaczął uciekać, kiedy nas zobaczył, a myśmy go gonili. To miała być tylko zabawa. Nie chcieliśmy mu nic zrobić, najwyżej napędzić stracha. W ogóle trudno go było spotkać samego. Oliver ani na chwilę go nie opuszczał. Pilnował go. — W jej głosie pojawił się gorzki ton. Odsunęła dłonie od twarzy, odchrząknęła i zaczęła mówić znacznie szybciej, jakby chciała mieć to już za sobą. — Peter, Edgar i Ralf wpadli w szal, bo Artur nam zwiął. Ale potem go zobaczyli. Wlazł na drzewo i się schował. Chłopacy chcieli czekać, aż zejdzie, ale ja i Simone musiałyśmy wracać. Dlatego... zostawiłyśmy ich tam i poszłyśmy do domów. To wszystko, nic więcej nie wiem. Dopiero następnego dnia się dowiedziałam, że Artur nie wrócił na noc do domu. Peter zwołał bandę w naszej tajnej bazie i zmusił nas, żebyśmy przysięgli na życie naszych rodziców, że nigdy nikomu nie zdradzimy, że tamtego wieczoru spotkaliśmy Artura. Wiedziałam już, że musiało się stać coś złego, to było jasne, ale chłopacy nigdy nie powiedzieli nam, co się zdarzyło.

— I wszyscy milczeliście, żeby nie złamać przysięgi? — dopytywał się Lombardi.

— Chyba tak. Tak myślę. — Inka Hansen potaknęła i odsunęła z twarzy kosmyk włosów. Ulżyło jej. Znowu siedziała wyprostowana.

Gianni Lombardi patrzył na nią i milczał. Minęła minuta, potem kolejna. Cisza była jedną z najskuteczniejszych metod, by zasiać w kimś ziarno niepewności. Naprawdę niewielu ludzi potrafi wytrzymać taką sytuację, nie otwierając w końcu ust.

— Dlaczego pan nic nie mówi? — Udało się. Inka Hansen prawie uwierzyła, że opowiedziana przez nią historyjka wystarczy policji.

Lombardi dalej milczał. Złożył dłonie w taki sposób, że palcami dotykał ust i nosa. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z siedzącej naprzeciwko weterynarki. Kobieta zaczęła czuć się nieswojo — poprawiła się na krześle, potem znowu i znowu. Wsunęła włosy za ucho. Rozglądała się. Z każdą sekundą stawała się coraz bardziej nerwowa. Założyła nogę na nogę. Potem ją zdjęła.

Trzy minuty ciszy.

Cztery minuty.

— O co panu chodzi? — Nie wytrzymała. — Niechże pan coś powie. Chyba że nie ma pan już żadnych pytań i mogę iść do domu.

— Czekam, aż zacznie pani mówić dalej — wyjaśnił Lombardi spokojnie.

— Ja? A o czym miałabym mówić? Przecież już wszystko opowiedziałam.

— Nie. To nieprawda.

— Niby dlaczego? A czego na przykład nie powiedziałam? — Ton jej głosu się zmienił i stał się piskliwy.

— Ona rzeczywiście się nie boi — mruknęła Pia, nie odrywając wzroku od lustra weneckiego. — Ona ma po prostu coś na sumieniu.

— Jak to się stało, że Maxi panią ugryzł? — zapytał Lombardi.

— A skąd taki pomysł? Dlaczego pan sądzi, że mnie ugryzł? — Inka Hansen uniosła brwi, próbując udawać zaskoczenie. I tylko jej śmiech był nieco za głośny.

— Blizna na pani prawej dłoni. To nie jest przypadkiem pamiątka po tamtym ugryzieniu?

— Nie. — Kobieta schowała dłoń między kolana. — To blizna po ugryzieniu psa.

— W siedemdziesiątym drugim przez to ugryzienie zapadła pani nawet na

posocznicę. — Lombardi zachował spokój i z kamienną twarzą podsunął jej kopię dokumentów lekarskich. — Z tego powodu między osiemnastym a dwudziestym czwartym sierpnia codziennie odwiedzała pani doktora Lessinga.

Twarz Inki Hansen gwałtownie pobladła. Przełknęła głośno ślinę. Nie potrafiła dłużej ukrywać przerażenia.

— To jak będzie?

— Maxi... — wymamrotała, a jej oczy znów wypełniły się łzami. — Tak, on mnie wtedy ugryzł. A ja chciałam go tylko pogłaskać.

— Czy przetrąciła mu pani kark?

— Nie! — oburzyła się. — To nie ja! Chłopacy grozili Arturowi, że zabiją Maxiego, jeśli nie zlezie z drzewa.

— I?

Bodenstein podniósł się gwałtownie z krzesła.

— Jadę do domu — oznajmił zdecydowanie. — Dłużej tego nie zniosę.

WTOREK 14 PAŹDZIERNIKA 2014

Kilka minut po północy Bodenstein minął znak z napisem Ruppertshain i skręcił w prawo, w ulicę, przy której stał jego dom. Najchętniej pojechałby prosto do Karoline, ale obiecał teściowej podrzucić jej trochę ubrań i kilka zabawek Sophii. Wyznanie Inki poruszyło go, ba, wstrząsnęło nim i go przeraziło. Nigdy nie brał pod uwagę możliwości, że to z jego powodu wydarzyły się te straszne rzeczy czterdzieści dwa lata temu. Członkowie bandy mieli mu za złe, że się od nich odwrócił i znalazł sobie inne towarzystwo, a złość tym wywołaną wyładowali na Arturze.

Inka widziała siebie raczej w roli ofiary niż sprawczyni. Żałosne, jak długo zaprzeczała, jak długo kluczyła i jak sama sobie przeczyła, a potem, zrozpaczona, błagała o wyrozumiałość. Z jej ust nie padło ani jedno słowo żalu czy skruchy. Jak w ogóle udało jej się utrzymać tajemnicę przez tyle lat? Jak, wiedząc to wszystko, mogła mu spojrzeć w oczy? Przecież ponad dwa lata byli parą, jedli przy wspólnym stole, dzielili wspólne łóżko i prowadzili wspólne życie! Co wtedy myśleli pozostali, którzy też znali tajemnicę? Co za upokorzenie! Czy kpili z niego za plecami? Śmiali się z jego nieświadomości i łatwowierności? *Cha, cha, cha! Ten głupi Bodenstein! Gdyby tylko wiedział!* Bezsilna złość mieszała się z rozgoryczeniem.

Przez całą młodość podkochał się w Ince, więc dosłownie złamała mu serce, kiedy po jego bardzo ciężkim wypadku podczas jazdy konnej i zastał ją w jednym z boksów, obściskując się z Ingvarem. Załamany wyjechał na studia do Hamburga, jak najdalej od domu, żeby tylko o niej zapomnieć. Dopiero wiele lat później wyznała mu, że z Ingvarem nigdy nie łączyło jej nic

poważnego, bo od zawsze kochała tylko jego! Jaką naiwnością się popisał, wierząc jej bez zastrzeżeń! Czy to była prawda? A tak w ogóle, co z tego, co kiedykolwiek do niego powiedziała, było prawdą, a co kłamstwem? Jak wyglądałoby jego życie, gdyby nie miał tak ciężkiego wypadku? Gdyby to on, a nie Ingvar Rulandt, został utytułowanym jeźdźcem i skoczkiem? Przecież bardzo długo o tym marzył. Czy Inka zostałaby wtedy jego żoną? Nie potrafił sobie wyobrazić, jak wielkie mogłoby być jego rozczarowanie i zawód, gdyby w takiej sytuacji światło dzienne ujrzała tajemnica skrywana przez Inkę.

Bodenstein był wyczerpany, ale jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Pragnął zemsty; czuł, że musi wziąć odwet. Przypomniał sobie o klątwie, którą matka Artura rzuciła na mieszkańców Ruppertshain: choroba, nieszczęście i brutalna, bolesna śmierć miały być karą dla tych, którzy mieli na sumieniu życie jej syna. Ale nie tylko dla nich — również dla ich rodzin, dzieci i wnuków, do czasu, aż zostanie im wymierzona sprawiedliwość. Bodenstein nie był przesądny, ale trudno było zaprzeczyć, że przynajmniej Rosie Herold zapłaciła za swój czyn straszną i bolesną śmiercią. Klątwa dopadła również Inkę, która przecież nigdy nie zaznała szczęścia, bo tajemnica z przeszłości kładła się cieniem na wszystkim, co robiła.

Zaparkował samochód na podjeździe i wysiadł. Dopiero kiedy uruchomił się reflektor z czujnikiem ruchu zamontowany pod balkonem, dostrzegł postać zaczajoną na niego w ciemnościach. Był kompletnie nieprzygotowany na tę napaść. Kiedy napastnik zaatakował go z całym impetem, Bodenstein stracił równowagę, zatoczył się i padł na ziemię.

CZUŁA OGROMNE FIZYCZNE ZMĘCZENIE, lecz jej głowa wciąż była pełna myśli. Gdyby tylko miała odrobinę więcej czasu i mogła starannej przeanalizować wszystko, co wydarzyło się dzisiaj i czterdzieści dwa lata temu, a potem odszukać powiązania i wyeliminować fałszywe tropy i mnożące się cały czas kłamstwa! Mimo dzisiejszych zeznań Inki Hansen wciąż brakowało wielu

fragmentów układanki, a niektórych nie dało się nigdzie dopasować.

Pia leżała obok smacznie śpiącego i pochrapującego cicho męża. W sypialni panowała ciemność, lecz ona nie mogła zasnąć. Co chwila spoglądała na czerwone cyfry wyświetlane na suficie przez budzik projekcyjny. Opowiedziała Christophowi o zeznaniach Inki i o tym, do czego ta się przyznała. Znał ją, bo była weterynarzem i razem ze współnikami z kliniki od wielu już lat zajmowała się zwierzętami z zoo Fundacji Opla. Podobnie jak Pia nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

00:49

Pia zamknęła oczy i spróbowała od samego początku prześledzić historię opowiedzianą przez Inkę Hansen, z jej wszystkimi nieszczęśliwymi zbiegami okoliczności i przypadkami. Całość brzmiała logicznie i przekonująco, a złamania kości odnalezionego szkieletu, które Henning starannie opisał w raporcie, pasowały do jej wersji wydarzeń. Artur, dla którego lis był ważniejszy niż własne bezpieczeństwo, zaczął schodzić z drzewa, lecz coś poszło nie tak, bo spadł ze znacznej wysokości i mocno się połamiał. Jego poświęcenie poszło na marne, bo i tak nie uratował Maxiego. Chłopcy w swojej zapiekłej złości przetrącili zwierzęciu kark. Potem, zgodnie z zeznaniami, Inka Hansen i Simone Reichenbach zostawiły ich samych i poszły do domów. Co się stało w czasie ich nieobecności? Co zrobili pozostali? Czy zabili Artura tam, gdzie spadł, czy może zostawili go ciężko rannego w lesie? Czy złamali prawo? Oskarżenie ich o nieudzielenie pomocy byłoby całkowicie bez sensu, bo żaden z chłopców nie był wówczas pełnoletni, co zwalniało ich od odpowiedzialności karnej. Ponosili jednak odpowiedzialność moralną za to, co się stało, i ci z nich, którzy mieli sumienie, musieli przez te wszystkie lata zmagać się z poczuciem winy. I dobrze im tak.

Jak ciało Artura i martwy lis znalazły się w starej mogile na cmentarzu

rodzinnym Bodensteinów? Jeśli to, co zeznała Inka, było zgodne z prawdą, żadne z dzieci nie pisnęło w domu ani słowa o wypadku w lesie. Skąd więc Rosie Herold mogła wiedzieć, co się stało z Arturem? Czy mimo przyrzeczenia jedno z dzieci złamało przysięgę milczenia i się wygadało?

01:36

Tak, to musiało tak właśnie wyglądać, bo w przeciwnym razie dlaczego ojciec Petera Lessinga miałby zadbać, żeby zniknęły dowody w postaci dokumentacji medycznej małoletnich pacjentów? Z drugiej strony, gdyby wiedział o wszystkim od początku, prawdopodobnie w ogóle nie umieszczałby w ich kartotekach informacji o leczeniu. A może już na samym początku nabrał podejrzeń i postanowił zyskać narzędzie nacisku na niektórych mieszkańców wsi? Czy raczej wtajemniczono go nieco później, kiedy nie dało się ukryć niektórych faktów? A może... może to wszystko wyglądało całkiem inaczej? Może to on wpadł na pomysł, żeby zatuszować sprawę, kiedy się dowiedział, że jego syn jest w to zamieszany?

01:55

Musi ustalić, jakie stosunki łączyły mieszkańców miasteczka czterdzieści dwa lata wcześniej, w 1972 roku. Chciała dowiedzieć się o wzajemnych animozjach, wrogości czy pretensjach. Doktor Lessing nie schował tych dokumentów ot tak sobie. Musiał mieć w tym jakiś cel. Tylko jaki?

— TY BYDLAKU! — syknęła Thordis. Jej symetryczną twarz wykrzywił grymas złości. — Co ci odbiło, żeby aresztować moją matkę?

Bodenstein, który przed chwilą o mało nie dostał zawału serca, z trudem dźwignął się z ziemi, najpierw na kolana, a w końcu na nogi. Otrzeptał brudny garnitur. Wprawdzie liczył się z tym, że prędzej czy później będzie musiał stawić czoło rozeźlonej synowej, jednak niespodziewany nocny atak i jej wściekłość całkowicie go zaskoczyły.

— Odpowiedz mi w końcu? — zażądała Thordis, nie hamując agresji.

— Co to miało być? Żałosna, tania zemsta za to, że cię rzuciła? Tak to postanowiłeś załatwić?

— Przede wszystkim, twoja matka nie została aresztowana, lecz zatrzymana, a po drugie...

— Daruj sobie te szczegóły! — przerwała mu niegrzecznie. — Aresztowana czy zatrzymana... na to samo wychodzi!

— ...po drugie, to nie ona, tylko ja zakończyłem nasz związek — dokończył Bodenstein niewzruszony. W końcu jego serce się uspokoiło i puls wrócił do normy. — A teraz powinnaś stąd zniknąć, bo inaczej wezwę radiowóz i oskarżę cię o naruszenie miru domowego.

— Chcę porozmawiać z mamą! I to natychmiast!

— Wykluczone. Wybij to sobie z głowy.

— Nie dopuściłeś do niej adwokata! — zarzuciła mu Thordis. — To łamanie jej praw! Będzie mogła cię za to pozwać!

W domu po przeciwnej stronie ulicy w jednym z okien zapaliło się światło i rozległ się szum podnoszonej rolety.

— Doktor Clasing miał do niej dostęp i z nią rozmawiał. — Bodenstein z trudem panował nad wzburzeniem. Nie był w nastroju, by z wyrozumiałością i spokojem stawić czoło niesprawiedliwym zarzutom i histerycznej furii Thordis. — To ona go odesłała, nie ja.

— Kłamiesz! — prychnęła dziewczyna ze złością. — Kiedy ją wypuścicie?

— Na pewno nie za szybko. Przyznała się i złożyła zeznania. Najwyraźniej nie chciała, żeby Florian usłyszał, co ma nam do powiedzenia. Umarłaby pewnie ze wstydu, gdyby przy tym był.

— Przyznała się?! — powtórzyła Thordis i zaśmiała się kpiąco. — A do czego miałyby się niby przyznać, co?

Sarkazm w jej głosie coraz bardziej działał mu na nerwy.

— Że razem z kilkoma chłopakami ze wsi tak bardzo dręczyli innego

dzieciaka, że doprowadzili do jego śmierci — wyjaśnił, nie bawiąc się w owijanie w bawełnę.

— To nieprawda. To nie może być prawda — zaprzeczyła jego synowa, lecz w jej głosie nie było słycać wcześniejszej pewności siebie. — Wymyślasz jakieś bzdury, żeby ją załatwić!

— Nie mam żadnych powodów, żeby chcieć ją załatwić. Tak się za to złożyło, że dzieciak, którego zabiła twoja matka z pozostałymi, był moim najlepszym przyjacielem.

Zaskoczenie, wstrząs i niedowierzenie, które na zmianę pojawiały się na twarzy Thordis, wzbudziły w nim ponurą satysfakcję. Gorzkie rozczarowanie, które przeżył, i wydarzenia ostatnich dni ujawniły niezbyt sympatyczną część jego osobowości, której posiadania w ogóle się nie spodziewał.

— Od tamtego zdarzenia minęły już czterdzieści dwa lata, jednak morderstwo się nie przedawnia.

Thordis pobladła. Zacisnęła zęby i pięści, jakby znów chciała się na niego rzucić. Nie dostrzegał już niczego, co wcześniej sprawiało, że była wyjątkowo piękną młodą kobietą.

— Nie wierzę w ani jedno twoje słowo! — syknęła. — Nienawidzisz jej i chcesz ją w coś wrobić! To przecież oczywiste!

— To nieprawda, że jej nienawidzę. Ja nią gardzę — poprawił ją Bodenstein. — A ty sama powinnaś wiedzieć najlepiej, że twoja matka to mistrzyni kłamstwa i niedopowiedzeń. Czy może jednak wyjawiała ci w końcu, kto jest twoim biologicznym ojcem? — Celowo powiedział to lekceważącym tonem. Wiedział, że to dla Thordis bardzo drażliwy temat i dlatego chciał ją zranić. — Nie męczyło cię pytanie, dlaczego tak uparcie to przed tobą ukrywa? Co?

Dziewczynę niespodziewanie opuścił zapał bojowy i musiała teraz walczyć ze łzami, a Bodenstein zdał sobie sprawę, jak podle i brutalnie postąpił.

Swoją złość na Inkę wyładował na jej Bogu ducha winnej córce. Uspokoił się, kiedy zobaczył łzy spływające po jej policzkach.

— Przepraszam cię — powiedział zawstydzony. — Nie powinienem był mówić takich rzeczy. Naprawdę mi przykro.

— Nie masz mnie za co przepraszać, przecież powiedziałeś prawdę.

Bodenstein patrzył na młodą kobietę i ból rozdzierał mu serce, bo dawno nie widział u nikogo tak wielkiego smutku i rozpacz.

— Nie chciałem cię zranić — powiedział cicho. — Byłem tak rozczarowany tym, co dziś usłyszałem z ust twojej matki, że mnie poniosło i wyładowałem się na tobie. To było nie fair. Bardzo cię przepraszam.

Thordis stała nieruchomo i wpatrywała się w niego bez słowa. Nie mogła już dłużej opanować drżenia ust, aż w końcu emocje wzięły górę i dziewczyna zalała się łzami. Przytuliła się do niego i płakała tak rozpaczliwie, że Bodenstein nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek widział kogoś w tak złym stanie. Przytulił ją mocno, głaskał po plecach i szeptał uspokajające słowa, tak jakby trzymał w ramionach Sopię.

— Bardzo cię przepraszam — wyjąkała, wstrząsana szlochem. — Przepraszam. Przez całe życie marzyłam, by mieć ojca takiego jak ty. A teraz, kiedy zostałeś moim teściem, zachowuję się wobec ciebie wstrętne.

— Nie mam ci tego za złe — zapewnił ją, lecz jego słowa odniosły skutek odwrotny od zamierzonego, bo Thordis zanosła się jeszcze gwałtowniejszym płaczem. Podprowadził ją do schodów i usiedli na drugim stopniu. Z kieszeni marynarki wyjął paczkę papierosów. Thordis nie mogła przestać szlochać, ale wytarła nos.

— Ja po prostu nie mogę pojąć, dlaczego mama od zawsze robiła taką tajemnicę z tego, kim jest mój ojciec — powiedziała łamiącym się głosem. — To dlatego ostatnio ciągle się kłócimy z Lorenzem.

— Bo nie wiesz, kim jest twój biologiczny ojciec? — zapytał Bodenstein

zaskoczony.

— Bo przez to nie chcę mieć dzieci! — Thordis znów zaniósła się szlochem i przycisnęła ramiona do piersi. — Nie mam pojęcia, jakie w sobie noszę geny. A mama musi przecież mieć jakiś powód, dla którego tak starannie ukrywa tożsamość mojego ojca. Możliwe, że została zgwałcona przez jakiegoś psychopatę.

Szczerza troska, strach i rozpacz, które słychać było w jej głosie, sprawiły, że Bodenstein na nowo poczuł złość na Inkę. Ta kobieta naprawdę niszczyła wszystko, czego się tknęła! Z czystego egoizmu, a może i tchórzostwa, dręczyła córkę, zamiast powiedzieć jej prawdę.

— Chodź — powiedział do Thordis. — Nie siedźmy na dworze, bo tutaj możemy tylko złapać katar. Wyślij Lorenzowi wiadomość, żeby wiedział, że nic ci nie jest i zostaniesz tu na noc.

— Jesteś dla mnie taki dobry, a ja tak się zachowałam! — Dziewczyna znów poczuła wyrzuty sumienia. — Strasznie cię przepraszam!

— Nie masz mnie za co przepraszać. Tym bardziej że ja też powiedziałem o kilka słów za dużo. — Bodenstein podał jej rękę i pomógł wstać. Objął ją ramieniem i poprowadził w stronę drzwi.

— No dalej, dziewczyno. Wypijemy po koniaczku i zaraz poczujesz się lepiej. Albo po dwa koniaczki.

DWADZIEŚCIA MINUT przed czwartą nad ranem, o najciemniejszej porze nocy, kiedy mrok staje się jeszcze gęstszy przed nastaniem poranka, Bodenstein ponownie zadzwonił do drzwi Lessingów. W środku dalej panowały martwa cisza i bezruch. Wszystkie domy wzdłuż ulicy tonęły w ciemnościach, lecz nie tak kompletnych jak ten, przed którym stał. Przed większością posesji podświetlone były tabliczki z numerami, gdzieś migąły czerwone diody kamer przemysłowych. Tu nie było widać żadnego światełka.

— Coś tu nie gra. Na podjeździe stoją dwa samochody, a nikt nie reaguje,

gdy się dobijamy do drzwi — stwierdziła Pia. — Komórka Petera Lessinga jest wyłączona.

Ani słowem nie odniosła się do tego, że Bodenstein zadzwonił do niej, kiedy w końcu zapadła w twarde i głęboki sen. Szczególne okoliczności wymagają szczególnych środków, oboje to wiedzieli. Niecałe pół godziny później była w Ruppertshain. Czekał na nią na parkingu pod kompleksem Zauberberg. W czasie krótkiej jazdy do domu Lessingów opowiedział jej o rozmowie z Thordis i wyjaśnił, dlaczego tak bardzo mu zależało, by koniecznie i bezzwłocznie porozmawiać z Peterem. Przyczyny, które leżały u podstaw działań jego ojca, doktora Lessinga, mogły stanowić właśnie ten element układanki, którego im brakowało. Po wysłuchaniu jego relacji Pia była tego samego zdania.

— W środku cisza, to co robimy? — zapytał jeden z umundurowanych policjantów.

— Wy spróbujcie dostać się do ogrodu i sprawdźcie, jak tam wygląda sytuacja — zdecydowała Pia. — A my poczekamy tutaj i spróbujemy jeszcze raz zadzwonić.

Dwójka policjantów zniknęła w ciemności. Kiedy ich kroki ucichły, zapanowała cisza, w której słyhać było jedynie szum wiatru w koronach drzew pobliskiego lasu. Na razie było jeszcze sucho, lecz w powietrzu czuć było zbliżający się nieuchronnie deszcz. Pia co rusz ziewała dyskretnie i wciąż jeszcze miała zapuchnięte od snu oczy, lecz mimo to jej mózg pracował na najwyższych obrotach.

— Zupełnie nie potrafię dostrzec sensu w tym, dlaczego Inka tak broni tożsamości biologicznego ojca Thordis. To naprawdę dziwne — powiedziała, by przerwać ciszę. — No chyba że ma coś naprawdę paskudnego do ukrycia. W czasie przesłuchania na wzmiankę o Peterze Lessingu zareagowała strachem, przy czym wcale nie jestem przekonana, że chodziło o złamanie

przysięgi z dzieciństwa.

— Czego w takim razie miałyby się bać?

— Nie wiem. Może Inkę coś łączyło z jego ojcem. Czy może być coś gorszego i bardziej obciachowego niż romans z ojcem kolegi z piaskownicy? Możliwe, że tak właśnie było i dowiedziała się o tym matka Petera, która potem się bała, że jeśli tajemnica wyjdzie na światło dzienne, stanie się pośmiewiskiem. A co by było, gdyby to ona schowała dokumentację leczenia tych dzieciaków, żeby mieć asa w rękawie, którym będzie mogła ich szantażować? Doktor Basedow twierdziła, że to ona miała ostatnie zdanie w rodzinie i doktor Lessing musiał jej słuchać.

— Ciekawa hipoteza. Ale prawdę mówiąc, trudno mi sobie wyobrazić, żeby stary Lessing zdecydował się na tak ryzykowny romans — powiedział Bodenstein i pokręcił głową. — W ten sposób sam wystawiłby się na niebezpieczeństwo szantażu, a na to był zdecydowanie za bystry.

Jeden z policjantów wrócił z ogrodu i poinformował Pię, że szklane drzwi na taras są otwarte na całą szerokość.

— Dobrze. W takim razie wchodzimy — zdecydował Bodenstein. — Mam złe przeczucia.

— O nie, czekaj! — zawołała Pia. — Zakładamy kamizelki kuloodporne.

Otworzyła bagażnik samochodu służbowego, wyjęła ze środka dwie kamizelki z kevlaru i podała jedną Oliverowi. Oboje przygotowali latarki i ruszyli do ogrodu. Pierwsze krople deszczu Bodenstein poczuł na twarzy, kiedy przechodził przez płot i za umundurowanymi funkcjonariuszami przeciskał się przez krzaki. Pia szła na samym końcu. Kiedy dotarli do trawnika, wyjęła broń i włączyła latarkę. Nikt się nie odzywał.

— Patrzcie! — Pia wskazała na elegancki tekowy stolik. Stała na nim taca z dwiema filiżankami, dzbanek, cukiernica i mlecznik. — Wygląda na to, że dwie osoby na tarasie chciały napić się herbaty, ale ktoś je zaskoczył

— powiedziała.

Bodenstein pierwszy wszedł do tonącego w mroku domu. Wewnątrz panowała martwa cisza. Tutaj również nie działały światła z czujnikami ruchu. Nie było słychać buczenia lodówki i nie mrugała dioda czujnika dymu pod sufitem.

— Ktoś musiał wyłączyć główny bezpiecznik — powiedział Oliver. Powoli przesuwali się dalej, pomieszczenie po pomieszczeniu. Napięcie sięgało zenitu. Pia otworzyła frontowe drzwi, żeby wpuścić pozostałych funkcjonariuszy i dalej już w szóstkę zabezpieczali dom. Łóżka w dużej sypialni były pościelone i nieużywane. W piwnicy trafili na skrzynkę z bezpiecznikami. Oliver miał rację, bo okazało się, że ktoś rzeczywiście celowo wyłączył dopływ prądu. Po przełączeniu odpowiedniej dźwigienki w całym domu zapaliły się światła. Z chwilowo głośniejszym szumem uruchomiła się lodówka w kuchni nad nimi. Do drzwiczek skrzynki z zabezpieczeniami ktoś przykleił jasnożółtą karteczkę.

— *W kotłowni czeka niespodzianka!* — odczytała Pia.

Wymieniła z Bodensteinem szybkie spojrzenia. Czego mogli się spodziewać po drugiej stronie ciężkich metalowych drzwi, pomalowanych na czerwony kolor?

— Nienawidzę kotłowni, kojarzysz chyba dlaczego — mruknęła policjantka.

— Tutaj przynajmniej jest ciepło. — Bodenstein aż za dobrze pamiętał, o czym mówiła Pia: o godzinach spędzonych w zimnej kotłowni domu podejrzanego, w której razem zostali uwięzieni kilka lat wcześniej.

Jeden z policjantów przekręcił klucz, który tkwił w zamku. Wystarczyło uchylić ciężkie skrzydło, a uderzyła ich ostra woń moczu i odchodów. Peter i Henriette Lessing siedzieli na gołej betonowej posadzce i mrugali oślepieni nagłym jasnym światłem. Wyglądało na to, że nic im nie jest, choć byli bardzo

przestraszeni. Bodenstein spodziewał się zastać w niewielkim pomieszczeniu mrozącą krew w żyłach scenę, więc kamień spadł mu z serca i z uczuciem ulgi schował pistolet. Podszedł do Henriette Lessing, nachylił się i odkleił taśmę z jej ust.

— Czy jest pani ranna? — zapytał, kucając przed nią, żeby uwolnić jej dłonie i kostki. Smród uryny był trudny do wytrzymania. Musieli siedzieć tu już od dłuższego czasu.

— Nie. — Pani Lessing przesunęła językiem po wyschniętych wargach. — Strasznie chce mi się pić.

Jej mąż się nie ruszał. Siedział oparty o ścianę i patrzył gdzieś przed siebie.

— Czy to był Elias? On was tu uwięził? — zapytała Pia.

— Tak. Ale nic nam nie zrobił. — Kobieta zaczęła płakać. — Tak okropnie mi wstyd. O Boże, to naprawdę straszne. Boże, wolałabym nie żyć.

— Gdzie jest pani córka? Jej samochód stoi na zewnątrz, przed garażem. Letizia jeździ ciemnozielonym mini, prawda?

— Elias... ją uprowadził. — Pani Lessing zaniósła się szlochem. Była przerażona i w szoku.

— Musicie go znaleźć. — Peter Lessing z trudem podniósł się z podłogi i zaczął rozmasowywać opuchnięte nadgarstki. — On nie jest niczemu winny.

Pia miała wrażenie, że opuściła go cała energia i witalność, jakby przez te kilka dni, które minęły od ich spotkania, postarzał się o dobrych parę lat. On i jego żona musieli być w szoku, bo Pia nie potrafiła inaczej uzasadnić ich obojętności, gdy pytała o Letizję.

— Nie bardzo rozumiem — zaczęła Pia. — Proszę opowiedzieć, co tu się wydarzyło.

— Elias ma broń — rzucił Peter Lessing i wyszedł z Bodensteinem z kotłowni. Żony nie zaszczycił ani jednym spojrzeniem. *Nawet jeśli moich rodziców kiedyś łączyło jakieś wielkie uczucie, dawno już go zabrakło. Teraz*

dosłownie rzygają na swój widok — powiedziała Letizia. Pia podała rękę Henriette Lessing i pomogła jej wstać.

— Nie mieliśmy o tym wszystkim pojęcia — wyszłochała kobieta i mimowolnie zaczęła się bawić zawieszka na łańcuszku. — Naprawdę o niczym nie wiedzieliśmy, musi mi pani uwierzyć! Popełniliśmy straszny błąd! Pomyliliśmy się!

— Proszę się uspokoić i odetchnąć. Zaraz mi pani opowie, co tu się stało. — Pia zaczynała podejrzewać, o czym mówi Henriette, jednak kobieta była tak wstrząśnięta i rozbita, że należało wątpić, czy będzie w stanie opowiedzieć coś składnie i z sensem. Mimo to musiała spróbować. — No dobrze, dlaczego pani sądzi, że Elias może skrzywdzić siostrę?

— Ja... ja bym go nawet zrozumiała, gdyby chciał — wyszeptała pani Lessing. — To potworne... my... my siedziałyśmy na tarasie, a on nagle stanął na trawniku. Letizia powiedziała coś pogardliwego... ona zawsze go tak traktowała. Elias wtedy wziął jej komórkę i wrzucił do stawu, a potem zamknął nas w piwnicy. Po jakimś czasie przyprowadził też mojego męża. A potem... potem opowiadał takie rzeczy... okropne rzeczy! Letizia... to ona prowokowała Eliasa, że zachowywał się jak chory! A ten ciężki wypadek córki, kiedy Elias miał ją niby wypchnąć przez okno... ona sama go spowodowała, bo była pijana! Uważaliśmy, że Elias kłamie, i myśleliśmy, że jest psychopatą, a tymczasem on robił tylko to, do czego zmuszała go starsza siostra! Mój mąż go za to... o Boże... czy ja mu to jakoś mogę wynagrodzić?

Przycisnęła dłoń do ust i zaczęła gwałtownie oddychać, aż Pia pomyślała, że zaraz straci przytomność. Smród unoszący się z jej ubrania przyprowadził policjantkę o mdłości, a ona mimo to musiała wyciągnąć z pani Lessing jak najwięcej na temat Eliasa i broni, którą miał, by przekazać te informacje dalej.

— Co pani mąż mu za to robił? — drążyła Pia.

— On go... za każdym razem, kiedy Elias zrobił coś głupiego, Peter

zamykał go za karę w kotłowni i gasił światło. — Henriette Lessing nie mogła powstrzymać łez, które spływały jej strumieniami po policzkach.

— A pani mu na to pozwalała? — zapytała Pia z niedowierzaniem.

— On chciał jedynie, żeby Elias się opamiętał... i zrozumiał w końcu, co jest dobre, a co złe! — zapewniła ją pani Lessing. — Wtedy wierzyliśmy, że nasz syn potrzebuje twardej ręki i wyjdzie na ludzi. Peter zawsze powtarzał, że jego ojciec właśnie tak go wychowywał i nie uważał, żeby to mogło komuś zaszkodzić!

Pia nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

— Błagam! Znajdźcie mojego synka! — jęczała i szlochała Henriette Lessing, chwytając Pię za rękę. — Tak strasznie się boję, żeby nie zrobił czegoś, czego będzie potem żałował do końca życia!

— Od pięciu dni staramy się go znaleźć — odparła Pia ostrym tonem. — Gdyby od początku była pani z nami szczerą, prawdopodobnie już dawno bylibyśmy po rozmowie z nim i nie doszłoby do tej sytuacji.

— Ma pani rację, to wszystko nasza wina. Tak wiele zła mu wyrządziliśmy! Nie sądzę, żebyśmy byli w stanie kiedykolwiek mu to wynagrodzić. — Henriette Lessing puściła Pię i ukryła twarz w dłoniach, po czym osunęła się na kolana. — Chyba wiem, gdzie jest Letizia. Znajdziecie ją w kanale w garażu. Kiedy Elias był małym dzieckiem, często go tam zamykała.

PYTANIE, CZY ELIAS dysponuje bronią, czy jedynie jej atrapą, straciło aktualność z chwilą zlokalizowania w ścianie piwnicy zdeformowanego pocisku. Pia znalazła pustą łuskę, która po wystrzale spadła na podłogę i wtoczyła się pod umywalkę.

— Dziewięć milimetrów — stwierdziła zmartwiona, po czym zabezpieczyła ją w przejrzystym woreczku na dowody.

Elias nie zawahał się pociągnąć za spust broni w ciasnej kotłowni, by podkreślić swoją determinację i pokazać, że nie żartuje. Wymachiwać bronią

i straszyć nią ludzi to jedno, a strzelanie z niej to coś zupełnie innego. Elias nie zatrzymał się i przekroczył tę granicę, a to oznaczało, że w przyszłości, jeśli poczuje się zagrożony, nie będzie się bał użyć pistoletu. Chłopak znalazł się w wyjątkowo skomplikowanej i stresującej sytuacji. Dysponował w tej chwili czarnym bmw x5, które ukradł matce, i pistoletem z ostrą amunicją. Pia przekazała nowe informacje do centrali i wróciła do domu. Funkcjonariusze, którzy przyjechali na miejsce radiowozem, kierując się wskazówką Henriette, udali się do garażu i rzeczywiście znaleźli tam w kanale związaną i zakneblowaną siostrę Eliasa. Chłopak użył mocnej taśmy i oprócz ust zakleił jej oczy. Ku ogólnemu zaskoczeniu, Letizia po uwolnieniu nie przejawiała najmniejszych oznak szoku. Była za to wyraźnie niezadowolona z tego, w jakim stanie została odnaleziona. Pół godziny później Pia zajęła miejsce naprzeciwko młodej kobiety. Letizia upiła maleńki łyżeczek parującej kawy z dużego kubka, który trzymała w obydwu dłoniach, jakby chciała się ogrzać.

— Proszę mi opowiedzieć, co się właściwie wydarzyło — zaczęła Pia.

— W ogrodzie pojawił się mój brat, wyciągnął broń i groził nią mnie i mamie — odparła Letizia i podmuchała na kawę. — Zaprowadził nas do piwnicy, związał i zamknął. A potem zaczął się na tatę. Przy okazji, nie wygląda już tak, jak na zdjęciach, które pokazujecie w gazetach. Ściął włosy i zaczął nosić okulary.

— Czego Elias chciał od pani? — dopytywała się policjantka.

— Nie mam pojęcia. — Dziewczyna wzruszyła ramionami. — Najpierw groził mi pistoletem, a kiedy chciałam zadzwonić do ojca, wyrwał mi z ręki telefon i wrzucił do stawu. Potem nas uwięził.

— Ale przecież musiał mieć jakiś powód, żeby tu przychodzić? Po co to zrobił?

— Nawet jeśli go miał, to nam go nie zdradził.

— Pani brat bardzo dużo ryzykował, bo w Ruppertshain roi się od policji,

a na drogach wjazdowych ustawione zostały punkty kontrolne — upierała się Pia. — Kiedy prowadził panią i pani matkę do piwnicy, musiał coś mówić, prawda? Co takiego?

— Nie mam zielonego pojęcia, czego od nas chciał! — zapewniła młoda kobieta. — Byłam śmiertelnie przerażona, bo ten czubek celował do mnie z broni! Najpierw siedziałam Bóg jeden wie jak długo w ciemnej piwnicy, a potem zamknął mnie w tej śmierdzącej dziurze w garażu!

Niespodziewanie jej oczy wypełniły się łzami, a dłonie zaczęły drżeć. Czyżby w końcu szok zaczął dawać objawy? A może tylko udawała? Pia w jednej chwili przypomniała sobie słowa doktor Basedow, którymi lekarka opisała córkę Lessingów: *Letizia jest konfabulantką, notorycznie kłamie. Jest przy tym wyjątkowo inteligentna i potrafi zmanipulować właściwie każdego. Nie cofnie się też przed niczym, żeby osiągnąć cel.*

— Mojemu bratu do końca odbiło! — Dziewczyna zanosła się szlochom i przycisnęła pięść do ust. Rozpacz sprawiła, że jej oczy stały się ciemniejsze i nabrały głębi. Wyglądała jak wzbudzająca litość kupka nieszczęścia. — On jest chory. Jest psychicznie chory i ma broń! Potrzebuję ochrony policyjnej! Zupełnie bym się nie zdziwiła, gdyby Pauline to on...

— Wystarczy już! Skończ wreszcie kłamać! — Pia odwróciła się zaskoczona. Za nią stała Henriette Lessing. Jej piękna twarz była blada i wykrzywiona grymasem złości. — Pakuj swoje rzeczy i wynoś się z tego domu! Natychmiast, ty załgana jędzo!

— Ale mammo! Chyba nie uwierzyłaś w te bajki? Przecież on to wszystko sobie wymyślił, żeby się na mnie zemścić! — Letizia uniosła dłonie, by podkreślić swoją niewinność, a łzy ciurkiem płynęły jej po policzkach. — Elias kłamał, bo zawsze był o mnie zazdrosny!

— Zaraz, czyli Elias jednak z paniami rozmawiał — zauważyła Pia cierpko. Powoli miała dość tej dziwnej rodziny. — Bo z tego, co pani mówiła, nie

zdradził nikomu, po co ryzykował odwiedziny u rodziców?

— Nic takiego nie powiedziałam — zaprzeczyła Letizia. Przyłapanie na kłamstwie nie zrobiło na niej najmniejszego wrażenia. Otarła łzy i udało jej się nawet zdobyć na słaby uśmiech. Socjopatka, pomyślała policjantka. Dziewczyna poczuła się pewniej i uznała, że uda jej się wybronić. — Poza tym nie dała mi pani dojść do słowa, wystarczyło mi nie przerywać.

To była kropla, która przepełniła czarę. Od tygodnia Pia prawie nie spała, odpowiadała za wyjaśnienie trzech morderstw i pobicia Pauline Reichenbach, więc ostatnią rzeczą, na jaką miała teraz ochotę, było marnowanie czasu.

— Wystarczy — powiedziała ostro. — Pani Lessing, zadam teraz pani kilka pytań i oczekiwałabym zwięzłych, konkretnych odpowiedzi. Wyrzuty sumienia proszę zachować dla siebie, nie muszę słuchać, jak pani jest przykro. Proszę również nie używać zbędnych przymiotników. Jeśli się pani nie zastosuje, dalsza część naszej rozmowy może mieć miejsce na komisariacie. Czy wyraziłam się jasno?

— Tak.

— Dobrze, to do rzeczy. Po co Elias tu przyjechał?

— Nie mów nic nieprzemyślanego, mamó! — wtrąciła się Letizia.

— Pani ma trzymać teraz buzię na kłódkę — zganiła ją Pia.

— Elias opowiedział nam o rzeczach, które robiła mu siostra... przez całe lata... — wyjaśniła pani Lessing. — Nie mieliśmy o niczym pojęcia. Chodziliśmy z nim od lekarza do lekarza, bo myśleliśmy, że jest chory... psychicznie chory. Nie potrafiliśmy inaczej wytłumaczyć sobie jego zachowania.

— On jest... — Letizia nie miała zamiaru siedzieć cicho, na co Pia gestem przywołała jednego z umundurowanych funkcjonariuszy, którzy czekali przy stole.

— Niech pan odstawi pannę Lessing do Hofheim, tam poczeka na rozmowę.

Kolega Lombardi się tym zajmie, kiedy tylko stawi się w pracy.

Policjant skinął głową, zadowolony, że w końcu ma coś do roboty.

— Co to ma być? — oburzyła się Letizia. — Popieprzyło cię, głupia psiaro?

— Ostrzegałam — odparła Pia lodowatym tonem.

— Proszę ze mną — powiedział zdecydowanie policjant i wyciągnął dłoń.

— Nawet się nie waż mnie dotknąć, ty śmierdzący śmieciu! — warknęła dziewczyna. — Trzymaj łapska przy sobie, bo cię pozwę!

— Letizio! — jęknęła wstrząśnięta pani Lessing.

— Dopuściła się pani czterech aktów znieważenia policjanta na służbie. Takie wykroczenie będzie panią sporo kosztować. — Pia uśmiechnęła się słodko, bo wiedziała, że doprowadzi w ten sposób siostrę Eliasa do szewskiej pasji. I miała rację. Letizia obrzuciła ją, swoją matkę i funkcjonariuszy wulgarnymi epitetami i robiła wszystko, by zostać w domu. Peter Lessing, który dotychczas siedział w salonie, wstał z miejsca i ruszył w stronę otwartej kuchni. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, wziął zamach i wymierzył córce policzek tak silny, żeomal nie ściął jej z nóg.

— Długo udawało ci się nas zwodzić — powiedział zduszonym głosem. — Za długo. Wynoś się z mojego domu. I lepiej wybij sobie z głowy jakiegokolwiek próby powrotu.

— Pożałujesz tego! — wysyczała Letizia Lessing nienawistnym tonem i splunęła ojcu pod nogi. Potem się odwróciła i z wysoko uniesioną głową ruszyła w towarzystwie dwójki policjantów schodami na górę, do drzwi wyjściowych.

PETER LESSING zdążył wziąć prysznic i odświeżony usiadł na wysokim stołku barowym przy barku kuchennym, na którym stała filiżanka kawy. On jej jednak nie ruszył. Bodenstein stał oparty o marmurowy blat, z kawą w dłoni. Kiedy Pia weszła, obaj milczeli.

— Pański syn ukradł bmw x5 pana żony — poinformowała policjantka.

— W samochodzie jest wbudowany lokalizator GPS — odpowiedział mężczyzna. — Na wypadek kradzieży. Zamontowaliśmy go, kiedy ukradziono nam auto.

Mów mi jeszcze — pomyślała Pia. — Zamontowałeś GPS, bo chciałeś wiedzieć, gdzie jeździ twoja żona, a nie jako zabezpieczenie.

— Bardzo panią proszę, niech pani zrobi wszystko, by Elias wrócił cały i zdrowy — powiedział mężczyzna zmęczonym głosem.

— Nie mogę tego panu zagwarantować — odpowiedziała Pia. Musiała bardzo się pilnować, by w żaden sposób nie okazać mu niechęci i nie powiedzieć czegoś nieprzemyślanego. — Jeśli zostanie zatrzymany na którejś z blokad i wyjmie broń, może mieć poważne problemy.

Lessing westchnął. Ostatniej nocy zaszła w nim zaskakująca przemiana. Zniknęły gdzieś wyniosłość i zarozumiałość. Wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w jakiś punkt w ogrodzie, który zaczynał wyłaniać się z ciemności w pierwszych promieniach budzącego się słońca.

— Wiem, że ma pan za sobą bardzo ciężką noc — powiedziała Pia. — Ale musimy zadać panu kilka pytań. Możemy zaczynać?

— Tak, proszę bardzo.

Pouczyła go krótko o przysługujących mu prawach i z formalnych względów poprosiła o zgodę na nagrywanie rozmowy. Kiedy skinął głową, uruchomiła odpowiednią aplikację na swoim telefonie i położyła go na blacie przed Peterem Lessingiem.

— Pytania będą dotyczyły między innymi sprawy morderstw, które miały miejsce w ostatnich dniach. Ofiarami padły osoby znane panu, prawda?

— Tak, to prawda — potwierdził Lessing.

Ku jej rozczarowaniu mężczyzna od samego początku w pełni z nią współpracował. Jego odpowiedzi były zwięzłe, precyzyjne i bardzo rzeczowe.

Unikał niepotrzebnych dywagacji i nie próbował się tłumaczyć.

— Jaki był pański stosunek do rodziców? — zapytała.

— Dlaczego akurat to panią interesuje? — Po raz pierwszy przestał wyglądać na dwór i spojrzął jej w oczy.

— Czy byli surowi, czy raczej pobłażliwi?

— Byli raczej surowi.

— Jak zareagowali, kiedy się dowiedzieli, że dręczy pan zwierzęta?

Tym razem całkowicie ją zaskoczył, bo kiedy usłyszał pytanie, na jego twarzy pojawił się zmęczony uśmiech.

— Wie pani co? — zaczął. — Nie mam pojęcia, co Oliver naopowiadał o tamtym zdarzeniu. Ale zgoda, zabiłem wtedy kota. I do dzisiaj się tego wstydę. To było coś w rodzaju... próby odwagi. Miałem wtedy dziesięć lat i zostałem za to przykładowo ukarany.

— Jednocześnie zagroził pan członkom bandy, że jeśli którykolwiek otworzy usta, spotka go coś złego, prawda?

— Tak, to prawda.

— W takim razie jak się ta sprawa wydała? Ktoś nie wytrzymał i zaczął mówić?

— Nie. Sam się przyznałem. — Peter Lessing przesunął dłonią po twarzy. — Przez tego kota dręczyły mnie koszmary. Zacząłem moczyć się w nocy. Rodzice zauważyli, że coś jest ze mną nie tak i zażądali wyjaśnień. Nie cackali się ze mną. W końcu wszystko im opowiedziałem.

Pia spodziewała się raczej oporu i wymówek, więc otwartość Lessinga bardzo ją zaskoczyła. Posłała Bodensteinowi szybkie spojrzenie. Wyznanie Petera brzmiało bardzo wiarygodnie. Oliver potaknął, dając jej znak, żeby kontynuowała.

— Wspomniał pan, że to było coś w rodzaju próby odwagi. Kto jej od pana zażądał?

Chwila zawahania.

— Po takim czasie nie jestem w stanie sobie przypomnieć.

Tym razem wyraźnie skłamał. Doskonale pamiętał. Pia, choć miała tego świadomość, nie naciskała. Wolała poczekać na bardziej odpowiedni moment.

— Gdzie pan był w zeszły piątek między dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią?

— Tutaj.

— A w nocy ze środy na czwartek w zeszłym tygodniu?

— W Erfurcie. Sprawy zawodowe.

— Rozumiem, że dysponuje pan rachunkiem za hotel, który to potwierdzi?

— Nie, ale za to mam paragony ze stacji benzynowej — odparł Lessing. — Wracałem do domu. Bardzo lubię jeździć nocą, bo autostrady są puste, nie ma ruchu i mogę w spokoju pomyśleć. Na miejsce dojechałem tuż przed północą.

— Gdzie pan przebywał w sobotę wieczorem między dwudziestą a północą?

— Również tutaj, w domu. Wypiliśmy z żoną butelkę wina i stosunkowo wcześnie poszliśmy spać.

Nawet nie próbował wymyślać sobie alibi. A przecież wiedział, kiedy doszło do morderstw, prawda? Czy mogła potraktować jego otwartość jako oznakę niewinności?

— Siedemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku otrzymał pan głęboką ranę ciętą w prawą dłoń. — Niespodziewanie zmieniła temat. — Jak to się stało? Czym się pan zranił?

Dotychczas Lessing odpowiadał na wszystkie pytania otwarcie, lecz zmęczonym głosem, jakby nic go nie interesowało. Tym razem Pia od razu dostrzegła, że na jego twarz wróciły kolory, a na czoło wystąpiła żyła. Usiadł prosto.

— Jeśli tak było, nie za bardzo to pamiętam. — Tym razem skłamał, na co

wskazywały komunikaty niewerbalne, które nieświadomie wysyłało jego ciało. — Ile to już minęło, ponad czterdzieści lat przecież.

— Może pomogę panu odświeżyć wspomnienia — zaproponowała Pia. — Tamtego dnia wieczorem odbywały się wakacyjne rozgrywki piłkarskie, a reprezentacja klubu sportowego z Ruppertshain, w której pan grał, poniosła sromotną porażkę 0:6 w meczu z drużyną ze Schneidhain.

— Przez piętnaście lat aktywnie trenowałem piłkę nożną. — Lessing był teraz bardzo uważny i pobudzony. — Od piątego roku życia. Myśli pani, że zapamiętałem każdy mecz, w którym brałem udział?

— Nie, wcale tak nie myślę. — Pia uśmiechnęła się z wyrozumiałością, a Lessing odprężył się nieco. — Ale może jednak zapamiętał pan akurat ten konkretny? Bo zaraz po nim, wracając z innymi dziećmi przez las, obok stawu przeciwpożarowego majątku Bodensteinów spotkał pan Artura Berjakova.

Twarz Lessinga stała się purpurowa.

— Wypieranie się to droga donikąd — zauważyła Pia chłodnym tonem. — Rozmawialiśmy wczoraj z Inką Hansen i Ralfem Ehlersem. Jeśli nawet przypomniał im pan w zeszły piątek na spotkaniu w Merlinie, że złożyli przysięgę milczenia, to chyba pana nie posłuchali.

Lessing uniósł głowę i wyjrzał przez okno. Jabłko Adama na jego szyi poruszało się w górę i w dół, zdradzając napięcie i zdenerwowanie, które mężczyzna chciał ukryć za niewzruszoną miną.

Telefon Pii zaczął wibrować.

— Szwajcarski psychiatra Carl Gustav Jung powiedział kiedyś, że zdrowi ludzie nie dręczą innych, za to z zasady robią to ci, którzy sami doświadczyli dręczenia. Nie bez przyczyny stał się pan takim człowiekiem, jakim pan jest w tej chwili. Pański ojciec poniżał pana i zamykał w piwnicy, kiedy coś pan przeskrobał albo zachował się według niego niewłaściwie. A pańska matka

najprawdopodobniej przyglądała się temu beczynnim. Nie protestowała; tak samo jak pańska żona, kiedy zamykał pan Eliasa w kotłowni. Gdyby nie ogrom zła, jakie pan spowodował, pewnie potrafiłabym nawet panu współczuć.

— To byłoby zbyt proste, gdybym chciał obarczyć rodziców odpowiedzialnością za wszystkie błędy, jakie popełniłem. — Lessing odwrócił głowę i spojrzał na Pię. Z jego twarzy zniknęły wypieki i została smutna szarość, a oczy straciły blask. — Zgoda, na pewno nie byli ciepłymi i serdecznymi ludźmi. Ojciec był bardzo porywczy, skory do wybuchów i szybko sięgał po pas. Nauczyłem się z tym żyć. Za to metody mojej matki były znacznie bardziej wyrafinowane. Udawała zrozumienie, choć w gruncie rzeczy chodziło jej tylko i wyłącznie o zachowanie kontroli. Nigdy niczego nie potrafiłem przed nią ukryć. Przesłuchiwała mnie, dopóki nie wyciągnęła ze mnie całej prawdy. A potem zaczynały się kary. Niewspółmierne do przewinienia i upokarzające.

Przesunął dłonią po twarzy.

— Nigdy nie wiedziałem, co tak naprawdę o mnie myślą. Kochałem ich i jednocześnie nienawidziłem. I nigdy nie pozbyłem się uczucia, że ich zawodzę, że nie jestem w stanie sprostać ich oczekiwaniom. Dlatego byłem cały czas sfrustrowany i wściekły, jednak ta złość nie była skierowana na matkę i na ojca. O nie, wyładowywałem ją na słabszych. Na tych, którzy musieli mnie słuchać. Chciałem być zupełnie innym rodzicem dla swoich dzieci i unikać tamtych błędów, jednak czas pokazał, że zawiodłem na całej linii. Robiłem im to samo, co moi rodzice mnie.

— Właśnie z tego powodu wrócił pan do Ruppertshain dopiero po śmierci matki, tak?

— Tak.

— A dlaczego w ogóle chciał pan tu wracać? I to akurat w to miejsce? Przecież mógł pan zbudować dom gdzie indziej?

— Sam nie wiem... — Wzruszył ramionami.

— O nie, sędzę, że doskonale pan wie — stwierdziła Pia. — Czuł się pan w obowiązku, by po śmierci matki dalej strzec tajemnicy. A już na pewno decyzję pomogła panu podjąć wiadomość, że do Ruppertshain wróciła pana dawna znajoma, Inka Hansen.

Słyszając jej imię, Lessing zdrzął ledwie zauważalnie. Pia pogratulowała sobie w duchu bezbłędnego trafienia.

— Czy to ona zażądała od pana zabicia kota?

Bodenstein spojrział na nią przerażony i dezorientowany.

— Tak — potwierdził Lessing szeptem.

— Czy to był również jej pomysł, żeby gonić Artura po lesie?

— Tak. — Lessing mówił bardzo cichym głosem, niemal szeptał. Oparł się łokciami o blat barku i ukrył twarz w dłoniach.

— Jak to się stało, że miała nad panem taką władzę? — dopytywała się Pia.

Po tym pytaniu zapadła męcząco długo cisza, lecz Pia potrafiła czekać. Gdzieś na piętrze trzasnęły drzwi. Policjantka popatrzyła na Bodensteina i spojrzeniem dała mu znać, że trzeba powstrzymać Henriette Lessing, zanim wpadnie do kuchni i przerwie rozmowę. Wiedziała, że w obecności żony Peter Lessing nie powie ani słowa więcej.

— Co takiego wiedziała Inka Hansen o panu, wówczas dziesięcioletnim chłopcu? — zapytała Pia ostrożnie.

— Nasze matki, moja i Inki, się przyjaźniły — zaczął Lessing zachrypniętym głosem. — Ja miałem... miałem pewien... problem... i bardzo z tego powodu cierpiałem. To była tajemnica i nikt jej nie znał... dopóki Inka się nie dowiedziała, bo moja matka powiedziała jej mamie. Myślałem, że umrę ze wstydu. Znienawidziłem wtedy Inkę, ale nic już nie mogłem poradzić.

— O jakim konkretnie problemie pan mówi? — zapytała Pia.

Lessing przełknął głośno ślinę. Walczył z sobą. Zamknął oczy.

— Miałem stulejkę.

Banalność problemu Lessinga całkowicie wybiła ją z rytmu. Nie wiedziała nawet, jak zareagować, bo spodziewała się jakiegoś naprawdę poważnego wyznania. Mężczyzna uniósł powieki i dostrzegł jej konsternację.

— Tak, wiem, że dla pani to może być zabawne. Dzisiaj zresztą sam nie mogę uwierzyć, że tak strasznie to przeżywałem — powiedział. — Ale wtedy... wtedy czułem się potwornie upokorzony. Inka miała mnie w garści. I to wykorzystywała. Zawsze wiedziała wszystko o mnie i o pozostałych. Jej matka miała świetne układy, jak byśmy dzisiaj powiedzieli.

Na jego twarzy niespodziewanie pojawił się wyraz ulgi, zupełnie jakby dzięki temu wyznaniu pozbył się z barków ciężącego mu brzemienia.

— Wróciliśmy do Ruppertshain, bo odziedziczyłem dom po rodzicach i zyskaliśmy świetną działkę, na której mogliśmy coś zbudować — ciągnął. — Inka przeprowadziła się tutaj dopiero po tym, jak zamieszkaliśmy w nowym domu. Henriette za nic by nie zrozumiała, gdybym jej zaproponował sprzedaż nieruchomości i wyprowadzkę gdzieś indziej. Musiałbym opowiedzieć o tych wstydliwych sprawach z dzieciństwa, a tego po prostu nie mogłem zrobić.

— Wolał pan to wszystko wypierać z pamięci? Zaprzeczać?

— Tak. Inkę widywałem bardzo rzadko, i tylko z daleka. Sama też utrzymywała dystans i nie próbowała nawiązywać kontaktu. To nam bardzo ułatwiało życie.

— Teraz wypieranie tamtych zdarzeń ze wspomnień nic już nie da, bo same wróciły ze zdwojoną siłą — zauważyła Pia. — Pan i reszta pańskiej bandy chcieliście zachować w tajemnicy historię z Arturem. A jednak niespodziewanie zostaliście skonfrontowani z przeszłością.

Lessing spojrział na Pię wyczekująco.

— Po co spotkał się pan z dawnymi kolegami i koleżankami w Merlinie

w piątek wieczorem? O czym rozmawialiście?

— Tamto spotkanie zainicjowała Simone, to był jej pomysł. Od niej się dowiedzieliśmy, że Rosie została zamordowana, a dochodzeniem ma kierować Oliver von Bodenstein. Już wcześniej słyszeliśmy o tym, że jej przyczepa kempingowa spłonęła. A potem nas odwiedziliście, pani i Oliver.

— Co dalej?

Lessing nabrał głęboko powietrza, przez chwilę siedział nieruchomo i wstrzymywał oddech.

— Na tym spotkaniu ustaliliśmy, że pod żadnym pozorem nie będziemy mówić o tamtej sprawie z Arturem. Tak na wszelki wypadek, gdyby Oliverowi przyszło do głowy zadawać jakieś pytania — powiedział. — Nikt nie miał prawa puścić pary z ust.

— Co spowodowało, że połączył pan sprawę trzech morderstw z ostatnich kilku dni z tamtą sprawą sprzed kilkadziesiątu lat? — zainteresowała się Pia.

— Dlatego... — Odwrócił głowę i spojrzał na Bodensteina. — Dlatego, że od samego początku się baliśmy, że ta sprawa wypłynie przez głupi przypadek.

— Cóż. Poczucie winy to bardzo ciężki krzyż, ba, czasem przerażająco ciężki. Aż człowiek chce go zrzucić z ramion, prawda? — powiedziała Pia, a Peter Lessing opuścił wzrok. Tej nocy musiał przyznać się przed samym sobą, że zawiódł, i to na całej linii. To, czego dowiedział się od Eliasa, uświadomiło mu, że w zasadzie przegrał życie. Był ofiarą, która stała się sprawcą, lecz niezależnie od tego, jego czyny były niewybaczalne. — Czasem, mimo że tego nie chcemy, niektóre sytuacje wymykają się nam spod kontroli. Zdarza się, że dochodzi wtedy do katastrofy. Wiemy, że pan i reszta bandy w drodze powrotnej z meczu w Schneidhain natknęliście się w lesie na Artura. Urządziliście sobie na niego polowanie. Chłopak nie miał najmniejszych szans, sam przeciwko waszej dziewiątce. Próbując się ratować, wspiął się na drzewo, jednak wam to nie wystarczyło, bo zbyt mocno go nienawidziliście.

Chłopaka próbował bronić lis, więc przetrąciliście mu kark. Na razie przyjmujemy wersję, że nie zabiliście Artura. Sam spadł z drzewa i się połamał, a potem szukając pomocy, doczołgał się do ulicy, gdzie przejechała go Rosie Herold. Pański ojciec dowiedział się o całej sprawie. I przez te wszystkie lata ukrywał prawdę.

Lessing znieruchomiał. Wpatrywał się w nią poblady, z szeroko otwartymi oczami.

— Uważamy, że pański ojciec razem z Rosie Herold i jej mężem ukryli zwłoki Artura i truchło lisa na cmentarzu rodzinnym von Bodensteinów. Pański wuj, który w tamtym czasie był szefem posterunku policji w Königstein, przez kilka dni opóźniał przekazanie sprawy policji kryminalnej z Frankfurtu. Wychodzimy z założenia, że pańscy rodzice o wszystkim wiedzieli i że to dzięki nim udało się całą sprawę ukryć za zasłoną milczenia. Pański ojciec zatrzymał dokumenty leczenia pana i pozostałych dzieciaków z obrażeń, których się nabawiliście, goniąc Artura. Nie chciał, żeby te papiery trafiły w ręce policji. Domyślamy się, że ojciec szantażował nimi rodziców pozostałych członków bandy, ilekroć tego potrzebował.

— To nieprawda! — wyszeptał Lessing.

— A jednak obawiam się, że to prawda. — Pia potaknęła. — Pańscy rodzice celowo utrzymywali pana i pozostałych w bandzie w błędnym przekonaniu, że zabiliście Artura. Do dziś uważa się pan przez to za mordercę.

Lessing zgarbił się i oklapł. Pia miała wrażenie, że coś w nim pękło.

— W Ruppertshain mieszka jakiś człowiek, który zna tę tajemnicę i jest gotów zrobić wszystko, żeby nie ujrzała światła dziennego. Uważamy, że Rosie zdradziła jego tożsamość Clemensowi i staremu księdzu. Dlatego cała trójka musiała umrzeć. A ironia losu polega na tym, że kiedy sprawca podpalał przyczepę kempingową z Clemensem w środku, był obserwowany przez pańskiego syna. Morderca zna imię i nazwisko Eliasa. Pański syn jest dla

niego zagrożeniem. Zabije go, jeśli dostanie go w swoje łapy. Dlatego chcemy zapewnić mu ochronę.

— O Boże... — wyszeptał Lessing i przekrzywił głowę. Był przerażony. Nie miał już sił i energii, aby udawać. Pia wykorzystwała jego słabość.

— Jeszcze tylko dwa pytanko, panie doktorze — poprosiła. — Na co zmarła pańska matka?

— Spadła ze schodów — wymamrotał. — Złamanie szyjki kości udowej. Trzeba ją było operować. Nie przeżyła zabiegu.

— Czy kiedykolwiek łączyły pana intymne relacje z Inką Hansen? — ciągnęła Pia.

Lessing uniósł głowę.

— Nie, nie łączyły nas żadne relacje. — Jego oczy rozblęskły nienawiścią. — Ale raz ją przeleciałem.

— Kiedy to było?

— W czasie wesela Simone i Romana. Była załamana, bo Oliver przyszedł z dziewczyną i nie zwracał na nią uwagi. — Lessing zaśmiał się gorzko. — Zająłem się nią. Pocieszałem i flirtowałem. Dała się nabrać. Typowe dla niej. Zawsze była nieostrożna i pozbawiona wrażliwości. Poszliśmy razem do lasu. Całkiem romantycznie. Zatrzymaliśmy się w tamtym miejscu, ale go nie poznała. Wtedy jej udowodniłem, że mój problem, z którego tak się naśmiewała, zniknął bez śladu.

— To były wakacje osiemdziesiątego trzeciego, prawda?

— Tak — potwierdził Lessing. — Niedługo potem wyjechała do Ameryki. Pisała do mnie. Poinformowała mnie, że jest w ciąży. Odpisałem jej, takie tam bajki i kłamstewka. Nawet poleciałem do Ameryki, w styczniu osiemdziesiątego czwartego. Miała już wielki brzuch i ucieszyła się z moich odwiedzin. Ona naprawdę uwierzyła, że się z nią ożeni! Zupełnie jakbym miał ot tak zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło i co mi zrobiła!

Powiedziałem jej prosto w twarz, że jej nienawidzę i żeby sobie nie myślała, że zajmę się nią albo dzieckiem. A potem odwróciłem się na pięcie i zostawiłem ją tak, jak stała. To była moja zemsta. Przez całe lata do mnie pisała, ale wszystkie listy wyrzucałem bez czytania. Dla mnie ten rozdział był już definitywnie zamknięty.

— Dlaczego nie wystąpiła o alimenty na dziecko? — zapytała Pia.

— Na to była zbyt dumna. — Lessing prychnął gorzko. — Nawet nie wpisała mnie w akcie urodzenia dziecka.

— SODOMA i GOMORA — mruknęła Pia, potrząsając głową, kiedy wyszli z domu Lessingów. — Wierzyć się nie chce.

— Nawet nie wiem, jak to skomentować — potwierdził Bodenstein zrezygnowanym tonem. — Muszę to wszystko przetrwać.

Peter Lessing wsiadł do radiowozu, który miał go zawieźć na komendę w Hofheim, by mógł powtórzyć zeznania i podpisać protokół.

Komórka Pii znów zaczęła wibrować. Poirytowana odebrała połączenie i przyłożyła słuchawkę do ucha.

— Pia, bardzo przepraszam, że ci tak rano przeszkadzam — odezwała się jakaś kobieta, nie przedstawiając się.

— A kto dzwoni? — zapytała Pia oschle. Nienawidziła, kiedy rozmówca zapominał się przedstawić.

— Merle. Słuchaj, Nike zniknęła! Matka poszła do jej pokoju sprawdzić, czy wszystko w porządku, a dziewczyny już nie było!

— Niech to jasna cholera! — zaklęła Pia, zupełnie się nie hamując. — Jak to się mogło stać?

— Ja też czasem muszę się położyć i odpocząć — odparła Merle urażonym tonem. — A przecież nie mogę leżeć na dywaniku koło łóżka jakiejś siedemnastolatki!

— Elias Lessing dysponuje bronią palną. — Pia zignorowała wyrzuty

policjantki. — Porusza się teraz beemką x5, którą ukradł matce.

— Bosko.

— Czy Nike zostawiła jakąś wiadomość?

— Nie, żadnej. Okazało się, że ma drugi adres mejlowy. I iPada, o którym jej rodzice nie raczyli nas poinformować. Na nagraniu z kamery przemysłowej zamontowanej na domu widać, że za dwie czwarta nad ranem wyszła tylnym wyjściem z piwnicy, z plecakiem zarzuconym na ramię. Obawiam się, że od początku grała na dwa fronty.

— Niestety, też się tego boję. — Z nisko wiszących szarych chmur zaczął siąpić przenikliwie zimny deszcz. Pia wsunęła głowę w ramiona i obiegła samochód służbowy. Bodenstein otworzył jej drzwi od strony pasażera. Wskoczyła do środka i opadła na fotel. — Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, Merle. Jedź teraz do domu i się wyśpij.

— Coś się stało? — zapytał Bodenstein, uruchamiając silnik.

— Nike związała — wyjaśniła Pia ponuro. — Od początku robiła nas w konia i nie zamierzała pomagać dopaść Eliasa. Już pewnie odjechali w siną dal. Cholera, nie będzie łatwo go zatrzymać.

— A może jednak nieświadomie nam pomoże — zauważył Bodenstein. — Jeśli są gdzieś razem, będziemy mogli porozmawiać z Eliaszem przez jej komórkę.

— Pod warunkiem, że ją w ogóle wzięła.

— Hm. Mówiłaś, że Elias już do niej dzwonił, prawda? Mamy numer telefonu, jakiego używał?

— Niestety, nie. Numer był zastrzeżony.

— Jak się porozumiewali?

— Mejlowo. Krótco przed czwartą nad ranem Nike wyszła z domu przez piwnicę. Miała ze sobą plecak.

— Muszą mieć jakiś cel. — Bodenstein skręcił w Robert-Koch-Strasse

i pojechał w górę, do kompleksu Zauberberg, gdzie Pia zostawiła swój samochód. — Na pewno wybrali miejsce, w którym oboje czują się bezpiecznie. Elias dobrze wie, że wszyscy go szukają, a wokół Ruppertshain rozmieszczone są policyjne punkty kontrolne.

Telefon Pii znów zaczął dzwonić. W jednym ze stawów Towarzystwa Wędkarstwa Sportowego „Spokój Taunusu” e.V. odkryto zatopione auto. W drodze na miejsce byli już strażacy, ratownicy medyczni i karetka, żeby wydobyć i zabezpieczyć wrak.

— Wiesz może, gdzie jest tutejsze towarzystwo wędkarskie? „Spokój Taunusu”... — Pia spojrzała na szefa. — W jednym ze stawów znaleźli zatopiony samochód.

— W lesie, przy B8. Dokładnie tam, gdzie się odbija w bok do kempingu i gospody — wyjaśnił Bodenstein i zatrzymał się obok samochodu Pii na parkingu pod tarasem restauracji Merlin. — Słuchaj, a mamy już może wyniki badania krwi z land rovera pani Molin?

— Pojęcia nie mam. — Dopiero kiedy skończyła mówić, zorientowała się, do czego zmierza szef. — Zaraz, chcesz powiedzieć, że Elias mógł jeździć land roverem, a nie toyotą Pauline?

— Tak, zastanawiam się właśnie nad taką możliwością — przyznał Bodenstein. — Dlaczego właściwie założyliśmy, że wziął samochód Pauline?

— Dlatego, że jej przyjaciółka Ronja Kapteina twierdziła, że Pauline chce się spotkać z Eliasem.

— W czwartek ruszyliśmy z poszukiwaniami chłopaka, ale od tego czasu nikt go nie widział — podsumował Oliver i wyłączył wycieraczki, które głośno zaskrzypiały na suchej szybie. — Tymczasem on mógł od samego początku siedzieć przyczajony w gospodzie przy kempingu. Jeśli krew z land rovera jest jego, to całkiem możliwe, że siostra najemczyni gospody znalazła go gdzieś w lesie, zabrała do siebie i ukryła.

— Elias miał przywieźć dwa psy do młyna Ralfa Ehlersa i zamknąć je u niego w kojcach! — Pia przypominała sobie kolejne fakty. — A w gospodzie na pewno były psy; słyszałam, jak szczekają, kiedy przyjechałam tam w czwartek rano.

— Tylko po co miałyby je stamtąd zabierać?

Pia i Oliver wymienili szybkie spojrzenia.

— Dobra, w takim razie plan wygląda następująco — powiedziała policjantka zdecydowanym tonem. — Mamy jeszcze cztery godziny do rozpoczęcia konferencji prasowej. W tym czasie Cem i ja odwiedzimy towarzystwo wędkarskie i gospodę przy kempingu, a po konferencji zgarniemy wszystkich, którzy czterdzieści lat temu byli na meczu w Schneidhain, i przewieziemy do komisariatu. Skonfrontujemy ich z rewelacjami Inki Hansen, Petera Lessinga i Ralfa Ehlersa. Co więcej, nie będziemy rozmawiali z każdym osobno, tylko ze wszystkimi naraz. Zobaczysz, że napięcia między nimi dadzą bardzo ciekawy efekt.

— W porządku. — Bodenstein potaknął. — Co z Leonem Kellerem? Chętnie bym go zatrzymał, dla jego bezpieczeństwa, bo na konferencji padnie to nazwisko i ludzie mogą wyciągnąć błędne wnioski.

— A będziemy mieli dość miejsca? — Pia zmarszczyła czoło, otworzyła drzwi i wyjęła komórkę, żeby zadzwonić do Cema.

— Jakoś sobie poradzimy — odparł Bodenstein. — Aha, Pia, jeszcze jedna sprawa...

— Tak? — Policjantka już wysiadała, ale słysząc ton jego głosu, odwróciła się i popatrzyła uważnie.

— Świetnie to wszystko ogarniasz — powiedział poważnie. — Naprawdę. Byliby głupcami, gdyby nie wybrali ciebie na moją następczynię.

— Dzięki. — Pia się zawahała, ale uznała, że to właściwy moment, by podzielić się z nim informacją, którą dotychczas przekazała jedynie

Christophowi. — Wiesz chyba, że wolałabym, żebyś został. Ale... wczoraj Engel wezwała mnie do siebie i powiedziała, że w Wiesbaden zapadła już decyzja.

— O, proszę. Kogo wybrali?

— Ja przejmuję schedę.

— Genialnie! Wspaniała wiadomość! — Bodenstein uśmiechnął się radośnie. — Gratuluję, Pia! Rany, ale się cieszę! A już zacząłem się bać, że Engel będzie chciała cię wyeliminować z gry tylko dlatego, że to ja cię poleciłem.

— Czułam, że to było dla niej bardzo trudne. — Pia też spróbowała się uśmiechnąć, ale z marnym skutkiem. — Jednak też mnie poparła.

— Nie mogli inaczej wybrać, po prostu nie mogli. Wszyscy dobrze wiedzieli, że jesteś najlepsza do tej roboty.

— Dzięki. — Pia wysiadła, nachyliła się i jeszcze raz zajrzała do samochodu. — Jeśli po roku wolności zatęsknisz za K11, z największą radością oddam ci biurko.

— MIEJMY NADZIEJĘ, że w bagażniku nie będzie kolejnego ciała — mruknęła Pia do Cema, kiedy holownik centymetr po centymetrze wyciągał zardzewiałą toyotę Pauline Reichenbach ze stawu hodowlanego. Woda i szlam wylewały się przez otwarte okna samochodu, a na powierzchni dookoła unosiło się sporo zdechłych ryb. Przyczyną ich masowej śmierci była benzyna wypływająca z przedziurawionego baku. Tłuste plamy wskazywały również na wyciek oleju z silnika. Mimo delikatnej mżawki, przy brzegu niewielkiego stawu stało pięciu starszych mężczyzn z rękoma w kieszeniach kamizelek wędkarskich i z ponurymi minami przyglądało się akcji wyciągania wraku. Jeden z nich, grubawy i niewysoki, w wyblakłej czapce z daszkiem, od dwudziestu minut tłumaczył coś policji i strażakom. Jego lamentsy przebijały się nawet przez szum motoru holownika.

— Ten samochód nie leży tam od dzisiejszego ranka — odparł Cem. Przyjechał prosto do Ruppertshain, a po drodze Pia opowiedziała mu pokrótce o wydarzeniach minionej nocy. — Może najpierw pojedźmy do gospody porozmawiać z panią Molin — zaproponował.

Jak zawsze prezentujący świetne maniery trzymał parasol tak, żeby osłaniać Pię. Sam miał na sobie elegancki antracytowy płaszcz przeciwdeszczowy i dopasowane kolorystycznie kalosze. Wyglądał jak fotomodel na sesji zdjęciowej w plenerze.

— Dzień dobry, dobry! Pan tu szefuje kryminalnym? — Gruby mężczyzna podszedł, brodząc w kałużach. Najwyraźniej od funkcjonariuszy z prewencji ani strażaków nie otrzymał informacji, których się domagał. Stał teraz naprzeciwko Pii i Cema, podparł się pod boki i popatrzył na nich nieufnie. — A pan to obcokrajowiec, co?

— Zależnie od miejsca, wszyscy jesteśmy gdzieś obcokrajowcami — odparł Cem bardzo uprzejmie. — Moja rodzina pochodzi z Turcji.

— Proszę, proszę. Przynajmniej nauczył się pan trochę naszego języka. — Grubas wzruszył ramionami, ale na wszelki wypadek zaczął mówić znacznie głośniej i wolniej, jakby się bał, że Cem go nie usłyszy. — Czy pan mnie rozumie?

— Tak mniej więcej. — Cem z jakiegoś powodu uznał całą sytuację za zabawną. — Ale proszę mówić jeszcze wolniej i głośniej. Mam problemy z lokalnym dialektem.

Mężczyzna nie dostrzegł ironii w słowach policjanta.

— Ja jestem Kohl Werner. Jestem przewodniczącym Towarzystwa Wędkarstwa Sportowego „Spokój Taunusu” 1974 e.V.

Przewodniczący wypowiedział nawet skrót towarzystwa jako „e kropka fał kropka”. Pia z trudem powstrzymała się od śmiechu.

— Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt cztery to rok powstania, rozumie mnie

pan?

— Ależ oczywiście, panie Kohlwerner — potwierdził Cem śmiertelnie poważnie. — A co znaczy „e kropka fał kropka”?

Pia nie wytrzymała i dała mu kuksańca w zębra. Nie mieli teraz czasu na żarty.

— Ano! Towarzystwo zarejestrowane, ma się rozumieć — wyjaśnił Werner Kohl i przejęty potaknął, żeby podkreślić znaczenie swoich słów. — Mamy dwudziestu ośmiu członków, z czego dwunastu aktywnych. A przez ten złom będziemy mieć pięćdziesiąt tysięcy euro strat, jak nie więcej! — Kohl gestykulował żywo, podkreślając, jaka tragedia go spotkała. — Pstrągi, liny, karpie — narybek na przyszły sezon! Wszystkie śnięte! Płot przewalony, nasyp rozwalony, wodę w pierdu trzeba wylać, wszystko do dupy, pan patrzy! To nie pierwszy raz, ale nigdy tak źle nie było.

— Jeśli jest pan przewodniczącym, powinien pan rozmawiać raczej z moją szefową. — Cem wskazał głową na Pię. — Ja jestem tylko od parasola.

— Co? Ale... jak... — wyjąkał Werner Kohl i przyjrzał się jej lekceważąco przez dwuogniskowe szkła okularów. — Że ta panienka to niby pana szefowa? — Odwrócił się do kolegów i uniósł ramiona. — Wiecie, kogo nam przysłali? Obcokrajowca i babę! To ma być dzisiejsza policja! O kant dupy rozbić. Ten kraj na psy schodzi, tyle w temacie!

Pia знаła ludzi jego pokroju, którzy mieli ogromne uprzedzenia w stosunku do wszystkiego, co wykraczało poza ich ograniczone horyzonty. Wiedziała również, że aby przywołać tego typu człowieka do porządku, trzeba mu wskazać miejsce w szeregu. Wyjęła więc legitymację policyjną, a zrobiła to ostentacyjnie, tak żeby grubasek mógł zobaczyć zarys kabury z bronią służbową.

— Nadkomisarz policji kryminalnej Sander, wydział zabójstw w Hofheim — wyrecytowała beznamiętnie. — Rozumiem, że jest pan podenerwowany

i tylko dlatego udam, że nie słyszałam tych dyskryminujących wypowiedzi, panie Kohl. Rozumiemy się?

— Wydział zabójstw? — Nalana twarz przewodniczącego klubu zrobiła się czerwona.

— Samochód należał do młodej kobiety, która padła ofiarą przestępstwa — odparła Pia. — Staw i jego bezpośrednie otoczenie zostaną zabezpieczone, żebyśmy mogli zbadać, czy to nie tutaj dokonano tego czynu, dlatego bardzo proszę, by ani pan, ani pańscy koledzy nie zbliżali się do niego.

— Ja już nic nie rozumiem. — Kohl zdeorientowany pokręcił głową. — Dlaczego ta panna władowała się autem do naszego stawu?

— Nie sądzę, żeby zrobiła to z własnej woli — odparła Pia, tracąc powoli cierpliwość, a Cem musiał się odwrócić, bo nie wytrzymał już ze śmiechu.

— Czyli że co, to nie te wariaty z Königstein?

— Obawiam się, że nie. Nie słyszał pan przypadkiem, że w zeszły czwartek na kempingu przy gospodzie spłonęła przyczepa z człowiekiem w środku?

Mój ty Boże — pomyślała — skąd ten człowiek się urwał?

— E, nie, my z moją starą w górach byli. — Kohl podrapał się zawstydzony po głowie i odwrócił się do kolegów. Zupełnie się nie spodziewał takiego obrotu sprawy.

Wtedy Pii przyszedł do głowy pewien pomysł.

— Panowie, poproszę trochę bliżej! — Gestem przywołała pozostałych wędkarzy. Mężczyźni wahali się przez chwilę, ale podeszli. — Rozumiem, że lubicie łowić ryby i często tu bywacie?

Wszyscy potaknęli.

— Czy w zeszły czwartek zauważyliście może coś nietypowego w okolicy?

Piątka mężczyźni wymieniła skonsternowane spojrzenia.

— No niby co, chłopaki? W lesie przecież się działo — odpowiedział jeden z nich. — Ogień był.

Sto punktów, o to chodziło.

— Akurat my z Kurtim czyściliśmy z gówien filtr na dużym stawie — zaczął opowiadać drugi, wysoki i szczupły, z zajęczą wargą i tikiem nerwowym. — No i jechał tu taki wóz, od telewizji. I musiał stanąć, o, tutaj zaraz, bo jakaś pinda w terenówce pędziła z drugiej strony. Skręciła w tę dróżkę obok. Jechała jak wariatka, mało nam ogrodzenia nie rozwaliała.

Pia słuchała bardzo uważnie.

— Widział pan tę kobietę już wcześniej?

— Czy widziałem? No pewnie! To przecie siostra naszej Manueli z gospody, co nie. A ta to głupia zdzira jest, mówię pani. Na dzień dobry nie odpowie, jak się człowiek grzecznie wita.

Koledzy wędkarza pomrukami i potakiwaniem wyrazili pełne poparcie dla jego słów.

— Pamiętają panowie, kiedy dokładnie to było? — dopytywała się Pia.

— Ciężko będzie... no nie wiem, o dziewiątej, co, Kurti?

— Jo — potwierdził zapytany. Nie wyglądał na szczególnie gadatliwego.

— Czy zauważyli panowie, żeby ta kobieta wracała?

Kurti i wędkarz z zajęczą wargą potaknęli.

— Ja widziałem... ale to dopiero później, będzie ze trzy godziny jak nic.

— Diabli wiedzą, co ona tam w lesie wyprawiała, bo przecież ta droga to się kończy kawałek dalej i tyle.

— Czyli widzieliście ją dwie albo trzy godziny później, jak wracała tą samą drogą — podsumowała Pia, z trudem zachowując cierpliwość. — Gdzie skręciła na rozwidleniu? Z powrotem do gospody?

— No przecież mówię. Ale... ta blond jędza to nie prowadziła już. Ona siedziała obok — do rozmowy włączył się małomówny Kurti. — Ktoś inny kierował.

Może Elias Lessing? Jeśli tak, mieliby w ręku logiczne wyjaśnienie,

dłaczego pies pośrodku lasu stracił trop uciekającego chłopaka. Pia podziękowała wędkarzom i poinformowała, że w późniejszym terminie zostaną poproszeni o powtórzenie swoich zeznań, by można je było oficjalnie zaprotokołować, po czym razem z Cemem podeszła do lawety, na której stał samochód Pauline Reichenbach.

— E KROPKA FAŁ KROPKA. — Pia potrząsnęła głową, wyjęła z kieszeni parę lateksowych rękawiczek i wciągnęła je na dłonie. Potem wspięła się na lawetę, otworzyła drzwi toyoty od strony kierowcy i zajrzała do środka. Cem ruszył jej śladem i zajął się sprawdzaniem zawartości bagażnika.

— Zwłok brak — oznajmił. — W każdym razie ludzkich.

Wyjął ze środka kilka śniętych rybek i wyrzucił je na pobocze. Pia się nachyliła i wsunęła do auta. Wnętrze zatopionego wozu niemiłosiernie cuchnęło. Kiedy otworzyła schowek podręczny, ze środka wylała się resztką wody. Pod warstwą szlamu dostrzegła kształty jakichś przedmiotów, lecz nie potrafiła ich rozpoznać. To będzie zadanie dla Christiana. Wsunęła dłoń do kieszeni bocznej w drzwiach i opuszkami palców wyczuła jakiś przedmiot. Smartfon!

— Mam coś! — oznajmiła.

— Ja też. Nawet sporo — odparł Cem zza samochodu. — Między innymi znalazłem laptop. Robimy coś z tym wszystkim?

— Nie, niech leży. To robota dla techników, nie dla nas. — Pia wsunęła znaleziony smartfon do plastikowej torebki na dowody, po czym zeskoczyła na ziemię. Co tu się stało? Czy Pauline, która przecież rozpoznała Eliasa na nagraniu z fotopułapki, pojechała do gospody przy kempingu, by namówić syna sąsiadów do zgłoszenia się na policję? A on, ze strachu, że jeśli odmówi, dziewczyna go wyda, sięgnął po łom i ją zaatakował? Czy to on utopił toyotę Pauline w stawie hodowlanym, żeby zatrzeć ślady, a ją samą, pobitą do nieprzytomności, wywiózł land roverem kobiety z gospody na łąkę obok

ośrodka jeżdżeniego? Tylko gdzie przebywała między tymi zdarzeniami? Zaginęła w sobotę, późnym wieczorem, a pierwszy sygnał o jej znalezieniu wpłynął w poniedziałek z samego rana.

— Obawiam się, że Elias stał się całkowicie nieobliczalny — powiedziała, kiedy wracali do samochodu. — Nikomu nie ufa.

— Do tego ma ze sobą dziewczynę, która lada chwila może zacząć rodzić — dodał Cem i podszedł do auta od strony pasażera, żeby otworzyć jej drzwi.

Dlaczego Elias odwiózł psy z gospody do młyna Ralfa Ehlersa? Dlaczego nie zabił Pauline? A może chciał i wydawało mu się, że już nie żyje?

Cem przyspieszył i szarpnął gwałtownie kierownicą, żeby ominąć dziurę w drodze. Drzewa po obu stronach zaczęły się przerzedzać i już z pewnej odległości zamajaczył między pniami budynek gospody i dom mieszkalny przy kempingu.

— Garaż jest pusty — stwierdziła Pia, kiedy przejeżdżali obok. — Land rovera brak. Cholera! Kiedy my szukaliśmy toyoty Pauline, Elias przez cały czas jeździł tym wozem.

Na parkingu przed gospodą czekała na nich dwójka umundurowanych policjantów z Königstein. Cem i Pia wysiedli i się rozejrzeli. Las dookoła tonął w ciszy. Nie było słyhać ćwierkania ptaków, a wiatr znad polany zacinał mżawką. Przyczepy na kempingu wydawały się wymarłe.

— Obeszliśmy obydwie budynki — poinformował jeden z policjantów. — Wygląda, jakby nikogo nie było.

— Dobra, wchodzimy — zdecydowała Pia i pokiwała głową. — My wejdzimy od frontu, a wy zabezpieczcie tylne drzwi, na wypadek gdyby jednak ktoś czał się w środku i chciał zwać.

Rozdzielili się. Pia i Cem ruszyli w stronę domu z płaskim dachem, tuż obok budynku gospody. Drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz. Wymienili szybkie spojrzenia i jednocześnie sięgnęli po broń. W bagażniku samochodu

służbowego znajdowały się kamizelki kuloodporne. Pia się zawahała. Może lepiej byłoby je nałożyć i dopiero wtedy wchodzić do środka? Jak na jej miejscu zachowałby się Bodenstein?

— Hej, wszystko w porządku? — szepnął Cem.

Pia potaknęła. Była spięta. W dłoni trzymała broń gotową do strzału, a w czubkach palców czuła pulsowanie krwi. Cem pchnął drzwi nogą i ruszył przodem. Pia weszła tuż za nim. Już od progu poczuli falę gorącego powietrza, niosącego niemożliwy do pomylenia słodkawy zapach zaawansowanego rozkładu.

— *Aman allahim!* O Boże! — jęknął Cem po turecku i z odrazą wydał policzki. — Spóźniliśmy się!

Pia przełknęła ślinę, z trudem tłumiąc odruch wymiotny. Przesuwali się wąskim korytarzykiem i z bronią gotową do strzału zaglądali do kolejnych pomieszczeń. Sufity z ciemnego drewna sprawiały, że pokoje wydawały się niskie, małe i przytłaczające. Ściany pokryte drewnianą boazerią i obwieszone tandetnymi obrazkami nie poprawiały ogólnego wrażenia. Niewielkie biuro było puste, podobnie jak sypialnia, w której stało podwójne łóżko, lecz ślady używania widać było tylko po jednej stronie. W kuchni panował porządek. Za ostatnimi drzwiami przy korytarzyku kryła się łazienka. Smród rozkładającego się ciała stawał się coraz bardziej intensywny.

— No to ją znaleźliśmy — mruknął Cem. — Ależ to obrzydliwe!

Wanna była w połowie wypełniona wodą, która przybrała rdzawobrazowy kolor, a w niej leżało zanurzone ciało Felicitas Molin. Widok był trudny do zniesienia. Kobieta miała na sobie suknię, która niegdyś była zapewne biała, lecz nasiąknięta krwią zbliżała się barwą do koloru wody. Brzeg wanny pokrywała zakrzepła krew, na podłodze leżała rozbita butelka po winie, a kieliszek z resztką alkoholu stał na stołku obok. Cem nachylił się nad zwłokami i obejrzał je uważnie.

— Moim zdaniem ktoś podciął jej gardło — powiedział rzeczowym tonem.
— Jeśli rzeczywiście tak zginęła, to przynajmniej długo się nie męczyła.

Pia, niezależnie od braku sympatii dla Felicitas Molin, bardzo jej współczuła, bo nikt nie zasługuje na taki koniec.

— Dlaczego leży w wannie w ubraniu? — zapytała.

— Może zabójca ją napadł, obezwładnił i wrzucił do wody? — zgadywał Cem. — Ona wcześniej przygotowała sobie kąpiel, przyniosła wino i planowała się odprężyć, ale zanim zdążyła się rozebrać, ktoś przyszedł i ją zamordował.

— Hm. — Pia się zastanowiła. — Możliwe, że rzeczywiście tak to wyglądało. Idę zadzwonić do Kaia.

Schowała broń, sięgnęła po telefon i uciekła na dwór. Łapczywie wypełniła płuca świeżym powietrzem, odetchnęła kilka razy głęboko i dopiero wtedy wybrała numer do Kaia, żeby w kilku słowach opisać mu, co się wydarzyło.

— My też coś dla ciebie mamy — poinformował ją. — W czasie badań laboratoryjnych ubrań Pauline Reichenbach zabezpieczono na nich psią sierść.

— To by pasowało do układanki — powiedziała. Elias zapakował nieprzytomną dziewczynę do bagażnika land rovera, którym wcześniej wywiózł do młyna dwa psy Felicitas Molin.

— A krew z land rovera pani Molin należy bez najmniejszych wątpliwości do Eliasa Lessinga.

Żadna niespodzianka. Wszystkie ślady układały się w logiczną całość.

— Skradzione bmw x5 pani Lessing udało się namierzyć w Bad Soden — ciągnął Kai. — Niestety, kiedy nasi ludzie pojawili się na miejscu, okazało się, że to tylko lokalizator GPS, a samochodu tam nie było.

Elias usunął więc urządzenie i się go pozbył, żeby uniemożliwić namierzenie go. Pia zakończyła rozmowę i wróciła do domu. Cem schodził akurat na parter.

— Popatrz, to leżało na szafce obok łóżka w sypialni na górze — powiedział, podając jej karteczkę zamkniętą w przejrzystym woreczku na dowody. Pia miała trudności, by odczytać koślawe odręczne pismo.

Słowo, że bardzo mi przykro, że Cię zamknąłem. Muszę porozmawiać z Nike, koniecznie. Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz. Pożyczam Twój telefon i komputer, ale spokojnie, potem Ci oddam. Nie leć z tym na psiarnię! Potem Ci wszystko wytłumaczę. Nie martw się o psy, wziąłem je ze sobą. Samochód też oddam. Okazało się, że brakowało po prostu paliwa. Pa! J

Podniosła wzrok.

— To wiadomość od Eliasa.

— Dlatego nie sędzę, żeby to on zamordował panią Molin — powiedział Cem. — Miał zamiar wrócić.

— Nie wiemy, czy to wszystko nie zdarzyło się właśnie po jego powrocie — zauważyła Pia. — Przyjechał zły, doszło do kłótni, wrzucił ją do wanny i podciął gardło.

— Potem wpadł w panikę i, uciekając, zapomniał zamknąć za sobą drzwi — dokończył Cem. — Też całkiem możliwe.

Razem wyszli na zewnątrz, żeby nie zniszczyć żadnych śladów.

— Zapewniła mu kryjówkę — mruknął Cem ponuro. — Chciała go chronić. Okłamała nas, kiedy w piątek byłem tu z szefem. A w podziękowaniu ten śmieć ją zamordował.

— Może ukrywanie go nie było jej dobrowolną decyzją. Mógł ją jakoś zaszantażować, czymś jej zagrozić. A potem pojawiła się tu Pauline, napięcie jeszcze bardziej wzrosło i sytuacja wymknęła się spod kontroli. — Pia pomyślała o ojcu Eliasa. Peter Lessing przyznał, że w wychowaniu dzieci popełnił te same błędy, co jego rodzice. Cytat z Junga, który mu przytoczyła, był bardzo celny. Kiedy mówi się o wykorzystywaniu dzieci, pierwsze skojarzenia zawsze dotyczą przemocy seksualnej, lecz stosowanie wobec nich

przemocy psychicznej bywa znacznie brutalniejsze i zostawia rany, które nigdy się nie goją. Rodzice posiadają ogromną władzę nad swoimi dziećmi, które są na nich zdane na dobre i na złe. Niezależnie od tego, jak okrutnie doświadczono, dzieci zawsze będą próbowały bronić swoich rodziców-oprawców. Ale tylko do czasu, kiedy przestaną być dziećmi. Jaki zgubny mechanizm działał w tej dysfunkcyjnej rodzinie, która od pokoleń uchodziła za godną szacunku i cieszącą się powodzeniem? Czyżby Elias uznał, że czas pomścić całe cierpienie, którego doznał? Czy może raczej to było jego rozpaczliwe wołanie o pomoc? Nieważne, co pchnęło go do takich czynów; w tej chwili stanowił zagrożenie dla każdego, kto stanie na jego drodze.

BODENSTEIN PRZECIĄŁ DZIEDZINIEC przed ratuszem w Kelkheim, prostym budynkiem z lat siedemdziesiątych, mieszczącym się przy ulicy Gagernring, niedaleko hali miejskiej. Dawniej informacja o odnalezieniu kolejnych zwłok uwalniała sporą dawkę adrenaliny. Tym razem, kiedy Pia poinformowała go przez telefon, że właśnie odkryli z Cemem ciało Felicitas Molin, leżące od jakiegoś czasu w wannie w gospodzie leśnej, on nie poczuł i nie pomyślał zupełnie nic, może poza: „Jeszcze to!”. W ostatnich dniach i godzinach wydarzyło się zbyt wiele niepojętych rzeczy, by był zdolny do emocjonalnych reakcji. Miał wrażenie, że układ limbiczny uruchomił jakiś mechanizm samoobrony i po prostu się wyłączył; reszta jego mózgu działała poprawnie, chroniona przed zalewem uczuć takich jak złość czy rozczarowanie, osiągając dzięki temu chorobliwie wręcz wysoki poziom trzeźwości i rzeczowości. Wybrał numer Tarika Omariego. Stara wdowa Keller, którą ten odwiedził pół godziny wcześniej, powiedziała, że jej syn wziął moped i jak co dzień o wpół do siódmej rano pojechał do pracy. Zaniepokoiło ją pytanie o Leona, więc chciała się dowiedzieć, dlaczego tak pilnie musi z nim rozmawiać. Wiedziała oczywiście, co się dzieje w mieście, i bała się, że ludzie przypomną sobie dawne podejrzenia, kiedy znów zaczną się mówić o „tej starej sprawie”.

Bodenstein wyjaśnił starszej kobiecie, że w pełni podziela jej obawy i właśnie dlatego chciałby zabrać Leona do komendy, gdzie mógłby zapewnić mu bezpieczeństwo. Słyszając to, dała mu telefon do syna, lecz Oliverowi nie udało się do niego dodzwonić. W biurach zarządu cmentarza miejskiego, mieszczących się w piwnicy ratusza, uśmiechnięta kobieta poinformowała go, że tego przedpołudnia Leo pracuje na cmentarzu, jednak nie można się dziwić, że nie odbiera, gdyż prawie nigdy tego nie robi, jeśli nie zna numeru dzwoniącego, a pan Bodenstein z całą pewnością to zrozumie, bo przecież ten nasz Leo i jego wymowa... Na koniec kobieta obiecała sama do niego zadzwonić i skierować go do kaplicy, gdzie miał poczekać na policję.

— Tak, szefie? — Tarik odebrał w chwili, kiedy Bodenstein już chciał się rozłączyć. — Zaraz będę w Ruppertshain.

— Najpierw proszę podskoczyć na cmentarz miejski w Kelkheim. W sali pożegnań będzie czekał Leo Keller, trzeba przewieźć go do nas, do komendy. Powiadomiłem już kogo trzeba, Keller też wie. Niech mu pan koniecznie wytłumaczy, że to tylko dla jego bezpieczeństwa i że jego matka została poinformowana. Ja przyjadę do niego dopiero po konferencji prasowej i wszystko z nim omówię.

— W porządku — potwierdził Tarik. — Coś jeszcze?

— Potem niech pan jedzie do Ruppertshain — polecił Bodenstein. — Będziemy potrzebowali samochodów, żeby przewieźć sześć osób do Hofheim, proszę się tym zająć. I niech Lombardi będzie gotów. Ralf Ehlers, Inka Hansen i Peter Lessing też muszą być obecni przy konfrontacji.

— Pewnie, szefie. Przyjąłem, biorę się do roboty.

Tarik Omari okazał się strzałem w dziesiątkę, jeśli chodzi o sprawność działania K11. Nigdy nie trzeba mu było powtarzać poleceń, żadne zadanie nie wydawało się dla niego za trudne ani zbyt nieprzyjemne... Bodenstein aż nazbyt dobrze pamiętał Franka Behnkego i Andreasa Hassego, którzy bez

przerwy uskarżali się na warunki pracy i podział zadań. Co rusz wybuchały z ich powodu kłótnie, które skutecznie psuły dobrą atmosferę w pracy. Cieszył się, że Pia została wybrana na jego następczynię i miał pewność, że w Tariku Omarim i Cemie Altunayu znajdzie wsparcie, na które zawsze będzie mogła liczyć. Cem szybko sobie poradzi z rozczarowaniem, że wybrano Pię, a i na jego miejsce też szybko znajdą dodatkową osobę.

Znów musiał się zatrzymać i poczekać na otwarcie przejazdu kolejowego w Kelkheim, a potem po raz kolejny przejechał przez Fischbach w kierunku Ruppertshain. Karoline odebrała z lotniska Valentynę Berjakov i obie kobiety były już w drodze do hali widowiskowo-sportowej Schönwiesenhalle, gdzie mieli się spotkać. Co musiała odczuwać Valentina, wracając po latach do miejsca, gdzie ona i jej bliscy spotkali się z ogromną falą niechęci i otwartej wrogości? Co będzie, jeśli zarzuci mu winę? Jeśli uzna, że jego brak uwagi przyczynił się do tragedii? Dotychczas nie miał jeszcze czasu pomyśleć, jak może wyglądać jego ponowne spotkanie z siostrą Artura. Teraz jednak czuł coraz większy niepokój i robiło mu się nieswojo.

W Ruppertshain trwała prawdziwa wędrówka ludów, więc kiedy Bodenstein zjechał z ulicy Ober den Birken na Wiesenstrasse, musiał zwolnić i dalej poruszał się w tempie maszerujących dookoła mieszkańców. Wokół hali widowiskowo-sportowej panował niebywały rozgardiasz. Wzdłuż wszystkich ścieżek i przejazdów parkowały niezliczone furgonetki transmisyjne wszystkich chyba nadawców w kraju, bo zainteresowanie mediów przekroczyło najśmielsze oczekiwania organizatorów konferencji prasowej. Spora liczba policjantów wpuszczała do środka hali tylko te osoby, które przeszły staranną kontrolę osobistą. Po wydarzeniach sprzed paru lat, kiedy w czasie zebrania mieszkańców w Ehlhalten wybuchła panika, w wyniku której doszło do ofiar śmiertelnych, a wiele osób odniosło obrażenia, nikt nie chciał brać na siebie ryzyka i ograniczono liczbę widzów, którzy mogli zasiąść

na miejscach dla publiczności. Funkcjonariusz rozpoznał Bodensteina i dał mu znak, żeby jechał dalej. Parking za halą był tak zapchany, że nawet nie szukał miejsca, tylko ustawił się za innym autem, blokując mu wyjazd. Droga do ośrodka jeździeckiego znów była otwarta i wielu ludzi pielgrzymowało do miejsca, w którym znaleziono Pauline Reichenbach. Ekipy filmowały stopy kwiatów, góry maskotek i świece, które za kilka dni Leo i jego brygada przyjadą zebrać i wywieźć na śmietnik.

Zerwał się zimny wiatr. Przegonił deszczowe chmury i rozkołysał gałęzie drzew otaczających parking za halą. Po błyszczącym od wcześniejszego deszczu asfalcie tańczyły liście w kolorach jesieni. W promieniach październikowego słońca błyszczał złoto dumny miłorząb japoński. Bodenstein odetchnął głęboko, zanim przestąpił próg hali. Już niedługo będzie mógł rozkoszować się takimi dniami, nie myśląc o morderstwach i trupach. Niespodziewanie poczuł, że nie może się już doczekać ostatniego dnia pracy w K11.

W KUCHNI hali widowiskowo-sportowej zastał Pię rozmawiającą z prokuratorem Rosenthalem, Kim i Nicolą Engel. Obok stali Kai, Cem, Stefan Smykalla i rzeczniczka prasowa komendy głównej policji w Hesji, przysłuchując się w skupieniu. Bodenstein się rozejrzał. Gdzie się podziewały Karoline i Valentina?

— No, jesteście wreszcie! — Pia przerwała w pół zdania, zostawiła wszystkich i podeszła do niego. Wyglądała na wyczerpaną. Wszyscy członkowie wydziału gonili resztkami sił. Mieli za sobą kilka nieprzespanych nocy i żadnych jednoznacznych śladów.

— Wszystko wskazuje na to, że Elias Lessing przez kilka dni ukrywał się u Felicitas Molin — wyjaśniła półgłosem. — W jej domu znaleźliśmy odręcznie napisany przez niego list, w którym bardzo przeprasza, że ją zamknął, ale koniecznie musiał spotkać się z Nike. Rzeczywiście zawiózł jej

psy do młyna Ralfa Ehlersa i przez cały czas poruszał się samochodem, który jej zabrał, czyli land roverem jej siostry. Elias często bywał we młynie i dobrze znał to miejsce. Bez kłopotu mógł stamtąd zabrać łom.

— Kiedy zginęła Felicitas Molin?

— Henning wstępnie ocenił czas zgonu na niedzielę w południe — wyjaśniła Pia. — Jednak dużo dokładniejsze wskazanie godziny może okazać się niewykonalne ze względu na to, że ogrzewanie w domu włączono na pełną moc, a ona prawdopodobnie od początku leżała w wannie pełnej gorącej wody.

— Hm. — Bodenstein potrafił sobie wyobrazić, w jakim stanie znajdowało się ciało zamordowanej i ani trochę nie zazdrościł Pii tego, co przeżyła. — Tylko dlaczego Elias miałby ją zamordować i próbować zabić Pauline?

— Jeśli rzeczywiście on jest sprawcą, to byłyby to czyny popełnione w afekcie. Może Pauline usiłowała go namówić, żeby sam zgłosił się na policję? Elias zatopił jej auto w stawie rybnym, żeby zatrzeć ślady. Broń, którą ma, należy do szwagra Felicitas Molin. Christian znalazł w domu przy gospodarze pozwolenie i amunicję. — Pia przerwała na chwilę i zamyślona przygryzła dolną wargę. Była blada ze zdenerwowania. — Felicitas była wściekła na Eliasa za to, że ją zamknął. Kiedy wrócił, zaczęła mu robić wymówki, a on nie wytrzymał i ją zabił.

— Jakkolwiek było, Elias jest obecnie uzbrojony i nie zawaha się użyć broni. Nie jest sam, porusza się z Nike Haverland. Gdyby był niewinny, dawno by się do nas zgłosił — stwierdził Bodenstein. — Zresztą sama zobacz. Dotychczas myśleliśmy, że nie umie prowadzić, tymczasem się okazało, że umie, tylko nie ma prawa jazdy.

— A jeśli współpracował przy tym wszystkim ze swoim ojcem? — zapytała Pia. — Butle z gazem i kanister z benzyną mógł wziąć z młyna, i tak nikt by nie zauważył, że czegoś brakuje. Elias to doświadczony włamywacz, więc

również nie miałyby problemu z kradzieżą szala Edgara Herolda, żeby podrzucić nam fałszywy ślad. Lessing wykorzystuje syna jak narzędzie, a Elias robi wszystko, co mu każe ojciec, żeby mu się przypodobać. Gdyby sprawa miała się wydać, Lessing mógłby — i jestem przekonana, że zrobiłby to bez wahania — wskazać na syna, który miałby szansę na złagodzenie wyroku ze względu na wiek. Na co on sam rzecz jasna nie mógłby liczyć.

W kuchni umilkły rozmowy i wszyscy otoczyli Pię i Bodensteina, żeby się przysłuchiwać prezentowanym hipotezom.

— Słuchajcie, za dwadzieścia minut musimy zaczynać — przypomniał Stefan Smykalla. — Starajcie się zaprezentować jedną wersję i się nie sprzeczać, okej?

Bodenstein nawet nie spojrzał w jego stronę.

— Nie odniosłem wrażenia, żeby Lessing cokolwiek przed nami udawał. Więcej, jestem przekonany, że prawie się załamał, kiedy sobie uświadomił, że popełnił te same błędy, które popełniali jego rodzice. Jego szok i niedowierzanie były zupełnie szczere, kiedy dowiedział się od ciebie, że to nie oni zabili Artura. Dlaczego miałyby więc teraz mordować czworo ludzi?

— Lessing chciał pilnować, żeby to gówno się nie rozlało. — Pia mówiła szybko, a jej oczy błyszczały z ekscytacji. — Kiedy rano skonfrontowaliśmy go z informacją o ranie i leczeniu z siedemdziesiątego drugiego, był całkowicie zaskoczony. Nie miał pojęcia, że doktor Basedow dysponowała papierami jego ojca, zresztą nikt nie wiedział, gdzie są. Reszta szantażowanych żyje w przekonaniu, że są u niego!

Intuicja podpowiadała Bodensteinowi, że Pia nie ma racji. Powoli starał się odszukać właściwą drogę w gąszczu fałszywych tropów i ślepych uliczek.

— To w tej chwili i tak całkowicie bez znaczenia. — Do rozmowy włączyła się Nicola Engel. — Wszystkie zarzuty i tak już się przedawniły, a inne nigdy nie miałyby szansy znaleźć się w sądzie, bo sprawcy byli niepełnoletni.

— Dokumentacja medyczna pacjentów to nasz dowód — zaprotestowała Pia.

— Dowód? Ale na co? Dzieciaki się pokaleczyły, wielka mi rzecz. Każdą taką ranę można wyjaśnić na setki niewinnych sposobów. — Radczyni kryminalna wczuła się w rolę adwokata diabła i po raz kolejny zaskoczyła wszystkich szczegółową znajomością akt. — Karl-Heinz Herold był ślusarzem. Zmiażdżenie i utrata palca to przecież ryzyko zawodowe w tym fachu. Poza tym pani Hansen i pan Lessing złożyli zeznania i przyznali się do kilku rzeczy, prawda?

— Problem polega na tej mnogości, bo do niczego konkretnego się nie przyznali. — Pia potrząsnęła głową.

— W takim razie proszę to naprawić — odparła doktor Engel.

— Obawiam się, że oceniamy to wszystko zbyt racjonalnie — wtrąciła się Kim. Dotychczas siostra Pii w milczeniu śledziła rozmowę. — Tutaj sprawą kluczową jest próba strzeżenia lokalnej tajemnicy, za którą ktoś jest gotów zabijać. W grę wchodzi lokalne sympatie i animozje. Na szali leży szacunek, uznanie i władza. I właśnie dlatego na waszym miejscu odwoływałabym się nie do rozsądku mieszkańców, ale do ich serc i sumień. Musicie obudzić w nich emocje, bo tylko to rozwiąże im języki.

Otworzyły się drzwi. W kuchni przez chwilę było słyhać szum rozmów z korytarza, który szybko ucichł.

— Jeśli trzeba, ja również mogę coś powiedzieć.

Wszyscy jak na komendę odwrócili głowy, a serce Bodensteina zabiło kilka razy szybciej na widok Karoline. Po chwili przesunął wzrok na kobietę, która stała obok niej. Valentina. Siostra Artura. Z ładnej długonogiej dziewczyny o blond warkoczykach wyrosła szczupła, atrakcyjna kobieta, tak piękna, że na chwilę odebrało mu mowę. Dawny blond ustąpił miejsca siwiźnie, lecz jej oczy nic się nie zmieniły: dalej były chabrowobłękitne i pełne światła, choć

w jej spojrzeniu krył się smutek.

— Myślę, że gdybym mogła przemówić do zebranych, to sam fakt, że jestem siostrą Artura, wzbudziłby spore emocje. — Jej głos, ciepły i dźwięczny, natychmiast obudził w Bodensteinie wspomnienia radosnych wieczorów w domu Berjakowów. Jej matka mówiła w ten sam sposób. Ma oczy Artura, pomyślał nagle, lecz ta myśl nie wypełniła go smutkiem, tylko nadzieją.

— Valentina! — zawołał i uśmiechnął się szeroko. — W ogóle się nie zmieniłaś!

— Ciebie też z miejsca rozpoznałam. — Valentina odpowiedziała mu uśmiechem. Mówiła płynnie, bez śladu obcego akcentu. — Wyglądasz jak wtedy twój ojciec!

Przyglądali się sobie uważnie, szukając życzliwie w swoich postarzałych twarzach znajomych rysów. Bodenstein po raz ostatni widział Valentine, kiedy miała siedemnaście albo osiemnaście lat. Po maturze dostała stypendium i wyjechała na studia do Anglii i nigdy potem się już nie spotkali.

— Dziękuję, że przyjechałaś — powiedział zachrypniętym głosem. Serdecznym gestem wyciągnęła w jego stronę dłonie, a on je bez wahania ujął.

— To ja tobie dziękuję, że się nigdy nie poddałeś — odparła Valentina. Najwyraźniej nie była na niego zła i nie chowała urazy, że zawiódł jej brata. — Mama bardzo się ucieszyła, kiedy jej powiedziałam, że w końcu odnaleziono Artura.

— Ach! — Bodenstein był zaskoczony. — Nie miałem pojęcia, że twoja matka jeszcze żyje!

— Skończyła osiemdziesiąt sześć lat. Po śmierci taty przyjechała do mnie, na Long Island. — Valentina uśmiechnęła się smutno. — Niestety, cierpi na demencję. Coraz rzadziej ma dobre dni.

Puściła go, a Oliver przedstawił jej swoich współpracowników.

— Gdyby zechciała pani przemówić w obecności prasy, mogłaby nam pani

bardzo pomóc — uznała Pia. — Tylko czy jest pani na to naprawdę gotowa?

— Tak, oczywiście. — Valentina potaknęła. — Zrobię wszystko, by się dowiedzieć, co się wówczas stało.

I wtedy nagle Bodenstein zyskał jasność, jak powinien wyglądać plan konferencji. Kim miała całkowitą rację. To wszystko, co udało im się dotychczas ustalić, i to, jakie mieli podejrzenia, nie miało większej wartości. Tutaj gra toczyła się o przełamanie zmowy milczenia.

GDZIE SIĘ PODZIEWA TARIK? Już dawno powinien być z powrotem! Bodenstein zajrzał do hali przez szparę w drzwiach. Przed podium tłoczyli się przedstawiciele prasy, a na stole, za którym zasiedli Pia, prokurator Rosenthal, Valentina Berjakov i Nicola Engel, wyrósł las mikrofonów. Za plecami przedstawicieli mediów, z ich kamerami, mikrofonami i telefonami zebrali się mieszkańcy Ruppertshain. Bodenstein wyluskiwał z tłumu znajome twarze, lecz sporo było też młodych ludzi, których wcześniej nie spotkał; najpewniej koledzy i koleżanki Pauline Reichenbach. Dostrzegł Wielanda z żoną i córką. Bandiego. Sonję Schreck z mężem Detlefem, Irene Vetter, Jakoba Ehlersa z matką i Patrizią. Małżeństwo Pokornych, Hartmannów i Klause Krolla. Doktor Basedow. Luzię Landenberger z hospicjum. Przybyli nawet jego rodzice wraz z Quentinem i Marie-Louise. Morderstwa poruszyły całą okolicę. To, że Reichenbachowie woleli czuwać przy córce w szpitalu, było dla niego całkowicie zrozumiałe. Nie zdziwiło go również, że brakuje Edgara Herolda i Henriette Lessing.

Nie miało znaczenia, że ludzi na takie spotkania najbardziej przyciągała żądza sensacji i ciekawość. Im więcej informacji im przekażą, tym większa szansa, że ktoś zauważył coś, co miałoby jakiś związek z atakiem na Pauline Reichenbach, i znajdzie w sobie dość odwagi, by zgłosić się z tym na policję. Prawda była już na wyciągnięcie ręki. Ktoś musiał w końcu złamać zmwę milczenia.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi, kiedy wyszedł z zaplecza na salę. Wszyscy bardzo uważnie słuchali słów Nicoli Engel, która przywitała zebranych. Cem stał z przodu, plecami do podium, i przyglądał się gościom jak porządkowy na stadionie.

— Oliver! — Ojciec Bodensteina wyciągnął dłoń, kiedy go mijał. Policjant zatrzymał się i przykucnął.

— Co się stało?

— Tutaj masz te zdjęcia, które przysłał nam twój kolega — szepnął ojciec i wyjął spod krzesła płócienną teczkę. — Nie wiedzieliśmy, czego konkretnie szukacie, więc na odwrocie podpisaliśmy wszystkie osoby, które na nich widać. Mam nadzieję, że ci się to przyda.

— Świetna robota, tato. Bardzo dziękuję.

— Kim jest kobieta obok twojej szefowej? — Matka nachyliła się i spojrzała na niego uważnie.

— To Valentina Berjakov. — Bodenstein założył pasek teczki na ramię. — Specjalnie przyleciała z Nowego Jorku.

Nadeszła kolej Pii. Opowiedziała po kolei o wszystkich morderstwach i opisała ich okoliczności, po czym zaczęła mówić o ataku na Pauline. Obok stołu stała nowoczesna tablica multimedialna, którą Kai obsługiwał ze swojego laptopa. Po kolei wyświetlał na niej zdjęcia zamordowanych i poszukiwanego Eliasa Lessinga. Kiedy oczom zebranych ukazała się roześmiana buzia Pauline Reichenbach, w sali rozległo się pełne smutku westchnienie.

— Dziś rano w Domu Przyjaciół Lasu znaleziono ciało kobiety — ciągnęła Pia. — Wychodzimy z założenia, że to piąta ofiara tego samego mordercy. Sprawca bardzo dobrze orientuje się w okolicy. Zakładamy również, że wszyscy znacie go z widzenia, dzięki czemu nie rzuca się w oczy. Dlatego bardzo proszę się zastanowić, czy kiedy były popełniane opisane

wcześniej morderstwa, nie zauważyli państwo w okolicy czegoś, co wówczas mogło wam się wydać bez znaczenia.

Raz jeszcze dla pewności wymieniła miejsca znalezienia wszystkich ofiar, daty i godziny morderstw. W sali panowała cisza jak makiem zasiał. Bodenstein ze skupieniem obserwował Klause Krolla, Konniego Pokornego i Andiego Hartmanna. Pia trzymała się ustalonego planu, obliczonego na osaczenie sprawcy. Kim wpadła na pomysł, żeby oficjalnie ogłosić zamiar wykonania testów genetycznych wszystkich mężczyzn między dwudziestym a siedemdziesiątym rokiem życia, co miało zwiększyć presję.

— Jesteśmy zdania, że motywem wszystkich tych zbrodni jest próba ukrycia zdarzenia, które miało miejsce kilkadziesiąt lat temu, tutaj, w Ruppertshain — mówiła Pia bardzo spokojnym i poważnym głosem. Przeszła do omawiania najważniejszej części. Na tablicy multimedialnej pojawiła się fotografia Artura z Maxim w ramionach. Chłopak uśmiechał się do obiektywu, tryskał energią i zdawał się nie mieć żadnych trosk.

— W niedzielę odnaleziono szczątki Artura Berjakova, który zaginął siedemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku. Jego ciało i martwy lis zostały ukryte w starym grobie na prywatnym cmentarzu rodzinnym w lesie. Starsze osoby spośród państwa z całą pewnością doskonale pamiętają tamte wydarzenia. Dochodzenie policji. Przesłuchania. I to, że dwóch mężczyzn było wówczas fałszywie oskarżanych o coś, czego nie zrobili. Że błędy i bezpodstawne oskarżenia zniszczyły życie dwóm rodzinom. Wierzimy, że są dziś wśród nas osoby, które znają prawdę i wiedzą, co się wówczas naprawdę rozegrało. Które mogłyby zdradzić nam i bliskim, jak i dlaczego jedenastoletni chłopiec musiał stracić życie. Mamy nadzieję, że te osoby zbiorą się w końcu na odwagę, której wcześniej im zabrakło, i zgłoszą się do nas, zanim zginą kolejni ludzie.

Pia zamilkła. Dziennikarze natychmiast zasypali ją pytaniami.

— Skąd pomysł, że dzisiejsze zbrodnie są powiązane ze sprawą sprzed lat?
— zawołał ktoś.

— W naszej ocenie są ku temu przesłanki.

— Jakie?

— Dla dobra śledztwa nie odpowiem panu na to pytanie, w każdym razie jeszcze nie teraz — odparła Pia. — Mogę jedynie zdradzić, że dysponujemy zeznaniami dwóch osób, które przyznały się do udziału w tamtych zdarzeniach.

Przez kilka sekund w sali znów panowała całkowita cisza. Klaus Kroll, Andi Hartmann i Konni Pokorny nawet nie drgnęli. Kto spośród starych mieszkańców wiedział, o kogo chodzi? Nikt nie odwracał głowy. Ludzie zamarli na swoich miejscach, jakby się bali, że najmniejszy ruch ściągnie na nich podejrzenia. Dowód na wyrzuty sumienia całej miejscowości.

— Później umożliwimy państwu zadawanie pytań — poinformowała Pia dziennikarzy. Na tablicy ukazało się zdjęcie szkieletu Artura. Zebrani w większości zareagowali gwałtownym, przestraszonym sapnięciem, lecz sekundę później zastąpiła je fotografia uśmiechniętego chłopaka z lisem w ramionach. Pia streściła wyniki badań odnalezionego szkieletu: Artur połamiał się w wyniku upadku ze znacznej wysokości. Poza tym stwierdzono złamania wieloodłamowe kości udowych, co sugerowało, że przejechał po nim samochód. To były fakty, których czterdzieści dwa lata temu nie znano.

Ludzie, zastanówcie się dobrze! — Pia miała ochotę wykrzyknąć te słowa.

— Jest dziś z nami siostra Artura — powiedziała głośno. — Na co dzień mieszka w Nowym Jorku, jednak kiedy się dowiedziała, że po czterdziestu dwóch latach niepewności odnaleziono szczątki jej brata, natychmiast wsiadła w samolot i przyleciała. Oto pani Berjakov.

Po sali rozszedł się pomruk i zapanowało ogólne poruszenie, które uspokoiło się dopiero, gdy siostra Artura wyjęła mikrofon z uchwytu i wstała. Okrążyła stół i podeszła do krawędzi podium. Stała tam przez chwilę

i w milczeniu przyglądała się ludziom zebranych na widowni. Piękna kobieta w prostej czarnej sukience, ogniwo łączące wydawałoby się dawno zapomnianą przeszłość z teraźniejszością. Valentine oślepił na chwilę nieprzerwany błysk fleszy. Z czymś takim nikt się nie liczył. To była gotowa historia na pierwsze strony wszystkich gazet.

— Czterdzieści pięć lat temu — zaczęła dźwięcznym głosem — musieliśmy z rodzicami uciekać ze Związku Radzieckiego do Niemiec. Mówiliśmy po niemiecku i czuliśmy się Niemcami, bo nasi przodkowie wywędrowali do Rosji w osiemnastym wieku, szukając tam szans na lepsze życie. Jednak po drugiej wojnie światowej wszyscy obywatele pochodzenia niemieckiego byli zsyłani przez Stalina na Syberię albo do Kazachstanu. Rodzice mojego ojca zmienili nazwisko z Berger na Berjakov, lecz to niewiele pomogło. Jeszcze dwadzieścia lat po wojnie Niemcy cierpieli prześladowania i wykluczenie społeczne. Nie było mowy o równości szans. Miałam dwanaście lat, kiedy w końcu mogliśmy uciec do Niemiec, bo wydano nam wreszcie akty urodzenia i niemieckie paszporty. Zamieszkaliśmy w Ruppertshain, bo mieliśmy tutaj bardzo daleką rodzinę. Byliśmy Niemcami w Niemczech, tak nam się w każdym razie zdawało. Tymczasem spotkało nas odrzucenie. Mało powiedziane: to była czysta nienawiść. W Związku Radzieckim słyszeliśmy na każdym kroku, że jesteśmy „faszysty”, tutaj nazywano nas „Iwanami” i „brudnymi Ruskami”. Dla mnie i mojego młodszego brata to był prawdziwy szok. Nie potrafiliśmy zrozumieć nienawiści i wrogości, jakie nas spotykały. Przecież nikomu nic nie zrobiliśmy. Nasi rodzice wykonywali prace, których nikt inny by się nie podjął. Artur przeżywał to szczególnie, bo chłopcy ze wsi grozili mu i przy każdej okazji bili. W domu nigdy o tym nie mówił, bo nie chciał martwić rodziców. Artur był kochanym chłopcem, żywym, mądrym i utalentowanym. Chciał się uczyć, żeby później zostać neurochirurgiem albo kosmonautą. Nie dane mu było jednak zrealizować te marzenia.

Przerwała na chwilę i nabrała powietrza. Mówiła opanowanym, mocnym głosem. Żadnych teatralnych gestów, żadnych wyrzutów czy zgorzknienia. Dumnie znosiła trudny do zaakceptowania, niesprawiedliwy los. Piękna kobieta, otoczona aurą smutku, choć nie dawała po sobie poznać, z jakim trudem przychodzi jej mówić o przeszłości i na nowo rozdrapywać stare rany. Wszystkie kamery były skierowane na jej twarz.

— Wieczorem siedemnastego sierpnia siedemdziesiątego drugiego roku mój brat spotkał na swojej drodze złych ludzi. Nie wrócił do domu. Nasze życie nigdy już nie miało być takie samo. Przez czterdzieści dwa lata dręczyła nas niepewność, co się wtedy stało. To złamało i zniszczyło moich rodziców, a ja poprzysięgam sobie, że nigdy nie pokocham ani człowieka, ani zwierzęcia. Morderca zabił tamtego wieczoru nie tylko Artura. Jego ofiarą padli również moi rodzice. I ja. A dziś ten człowiek morduje kolejne osoby. To ktoś, kogo najprawdopodobniej wszyscy znacie. Ktoś, kto tu mieszka. Jeśli cokolwiek wiecie, nie milczcie! Przypomnijcie sobie o wszystkim i znajdźcie odwagę, by pójść na policję! Proszę! Zróbcie wszystko, żeby nikt więcej nie stracił życia i żeby kolejne rodziny nie musiały przeżywać cierpienia! Dziękuję państwu za uwagę, również w imieniu Artura, który cieszył się, że będzie dorosły, lecz mu to odebrano. Gdyby nie został zamordowany, miałby dzisiaj pięćdziesiąt cztery lata.

W sali zapanowało tak silne poruszenie, że Bodenstein miał wrażenie, iż stało się ono niemal namacalne. Kilka kobiet dyskretnie ocierało oczy. Oliver dopiero po chwili się zorientował, że wstrzymuje oddech, tak mocno zadziały na niego słowa Valentyny. Siostra Artura odłożyła mikrofon i zeszła z podium. Dziennikarze rzucili się naprzód i wszyscy naraz zaczęli wykrzykiwać pytania tak głośno, że rzecznik prasowy nie miał szans nad tym zapanować, więc wzruszył jedynie ramionami i się poddał.

Idealnie — pomyślał Bodenstein. Był wzruszony. Właśnie na takie

wystąpienie liczył. Czuł, że dzięki niemu mają szansę na przełom.

BODENSTEIN PIERWSZY opuścił halę. Pia poprosiła go wyraźnie, żeby trzymał się w cieniu, a rozmowy ze swoimi dawnymi znajomymi z bandy pozostawił jej i Lombardiemu. Obawiała się, że w jego obecności nie będą tak chętni do zwierzeń. Dlatego stanął z boku i przyglądał się tłumowi wychodzącemu z konferencji prasowej. Część z tych, którzy go mijali, milczała zasmucona, a inni dyskutowali wzburzeni. Co pewien czas omiatały go nieśmiałe spojrzenia, lecz kiedy na nie odpowiadał, ludzie natychmiast odwracali głowy. Nikt nie miał w sobie dość odwagi, by z nim porozmawiać. Wiadomości przekazane przez Pię i Valentine bardzo ich wzburzyły, lecz czy to wystarczy, aby skłonić ich do mówienia?

W miarę upływu czasu Bodenstein coraz bardziej pozbywał się idealizmu, który skłonił go do wstąpienia do policji i przez pierwsze lata kariery dodawał skrzydeł. Mimo to dotychczas mocno wierzył, że na świecie więcej jest ludzi przyzwoitych niż złych. Teraz zaczynał mieć wątpliwości. Przyglądał się twarzom mijających go ludzi i z coraz większym rozgoryczeniem dostrzegał druzgocącą prawdę: większość miała wszystko gdzieś. Cieszyli się po prostu, że to nikt z ich rodziny. Żaden z nich z własnej woli nie wystąpi przed szereg i nie zadzwoni na policję, bo skupia się jedynie na własnej wygodzie i bezpieczeństwie swojego ciasnego świata. Być może ludzie nie chcieli mówić niczego złego o swoich sąsiadach, na wypadek gdyby ich podejrzenia okazały się nieuzasadnione. Później wszyscy wytykaliby ich palcami. Patrząc z tej perspektywy, nie mógł mieć im tego za złe.

Bodenstein obszedł Schönwiesenhalle i udał się na parking po swój samochód. Idąc, sprawdził telefon: siedem nieodebranych połączeń od Tarika.

— Jak poszło? Wszystko dobrze? — zapytał zamiast powitania.

— Nie! — odpowiedział Tarik. — Nie było go w sali pożegnań. Obszedłem cały cmentarz i rozmawiałem z jego kolegami. Nikt nie ma pojęcia, gdzie się

podział. Obawiam się, że mógł nam po prostu zwać.

— Ten człowiek jest niepełnosprawny ruchowo i porusza się mopedem — przypomniał mu Bodenstein w przyływie złości. — Daleko raczej nam nie zwał.

— Dobra, szefie, co mam teraz robić?

— Niech pan wraca do Ruppertshain. Spotykamy się pod domem matki Kellera przy Wiesenstrasse.

Zakończył rozmowę i zatrzymał się gwałtownie, bo do busa klubu sportowego z kamiennymi minami wsiadali właśnie Andi Hartmann, Konni Pokorny i Klaus Kroll. Kiedy furgonetka wytoczyła się za bramę, Bodenstein podszedł do drzwi kuchni i wszedł do środka. Karoline odwróciła się, popatrzyła na niego i zrozumiała, jaki jest spięty.

— Ja się zajmę Valentiną — zapewniła go. — Przynajmniej o to nie musisz się martwić.

— Dzięki. — Oliver zmusił się do uśmiechu, po czym ruszył na poszukiwanie Pii. Czekala na niego pod sceną w towarzystwie siostry. Prasa wreszcie wypuściła Valentinę ze swych szponów.

— Leo Keller zniknął — oznajmił Bodenstein. — Zaraz biorę Tarika i jedziemy razem do jego matki. Może wrócił po prostu do domu, bo się zaczął bać?

— W porządku. — Pia zmarszczyła czoło. — Przy okazji, land rover pani Molin stał niedaleko lasu, na parkingu.

— Elias go tam zostawił i do rodziców poszedł dalej piechotą — zgadywał Bodenstein. — Potem wziął bmw matki. Ale nie może ukrywać się w nieskończoność. Kiedyś będzie musiał zatankować, a wtedy będzie nasz.

— Martwię się o tę dziewczynę — odparła Pia. — Boję się, że weźmie ją jako zakładniczkę.

— Nie, tego moim zdaniem nie robi. — Bodenstein starał się mówić

przekonującym tonem, lecz w rzeczywistości takiej pewności nie miał. Chłopak był tykającą bombą. — Za to morderca, który go szuka... to jest prawdziwe zagrożenie. Dla nich obojga i dla dziecka.

— Wyślę radiowóz do szpitala po Reichenbachów, żeby przywieźli mi ich do Hofheim — powiedziała Pia. — Chcę mieć wszystkich razem, kiedy wybije godzina prawdy. Całą dziewiątkę. Nikt nie wyjdzie z tego pomieszczenia, dopóki nie będę miała kompletu zeznań. Nawet gdyby to miało oznaczać siedzenie z nimi do rana.

Mówiła to z przekorą, choć w jej głosie słychać było obawę, a Bodenstein wiedział, że jest zdeterminowana i nie popuści, dopóki nie osiągnie zamierzonych efektów. Znał to uczucie, to pobudzające, jednocześnie chłodne i syntetyczne podejście, instynkt łowczy, który każe zapomnieć o zmęczeniu i wyczerpaniu i przeć dalej pomimo fizycznych ograniczeń. Dla kogoś pracującego w policji kryminalnej taki instynkt jest równie niezbędny jak cierpliwość, wytrzymałość, odporność i umiejętność analitycznego myślenia. On go jednak utracił. Czuł, że z miesiąca na miesiąc jest w coraz gorszej formie, a ta paskudna sprawa wysysa z niego ostatnie siły. Jego motywacją, dzięki której miał energię do działania, było coś zupełnie innego: całkowicie nieprofesjonalne pragnienie zemsty.

— SZLAG BY TRAFIŁ. — Elias uderzył otwartą dłońią o kierownicę. — Musimy zatankować.

Już od rana wskazówka poziomu paliwa wskazywała na pole rezerwy, a komputer informował, że pozostały zasięg to sześćdziesiąt kilometrów. Rzeczywistość okazała się bardziej skomplikowana, niż zakładał w swoich planach. Nie było już mowy, żeby autostradą dojechać do domu letniskowego rodziców we Francji. Nike twierdziła, że gliny mają systemy, które pozwalają automatycznie odczytywać numery rejestracyjne samochodów przez kamery zamontowane na bramkach do wychwytywania sygnałów z ciężarówek

i naliczania elektronicznego myta. Elias nie miał pojęcia, czy tak rzeczywiście było, jednak nie zamierzał ryzykować. A na stacjach benzynowych na pewno są kamery. Dopadną go, zanim zdąży podjechać pod dystrybutor.

Co teraz? Jakie miał opcje? Gdzie mogliby spędzić noc? Zastanawiał się nad odkręceniem numerów z jakiegoś innego samochodu, ale Nike zdecydowanie protestowała przeciwko takiemu rozwiązaniu. Czego się spodziewała, że jak będzie wyglądała ucieczka z nim? Że pojadą na wakacje? Elias był na skraju wytrzymałości, a sytuacji nie poprawiał bezustanny płacz Nike. Jej początkowy zachwyty wolnością, której nie doświadczała na co dzień, ulotnił się w jednej chwili, kiedy usłyszeli przez radio komunikat policji o poszukiwaniach, który potem emitowany był co godzinę.

W związku z ostatnimi morderstwami policja poszukuje dziewiętnastoletniego Eliasa Lessinga. Mężczyzna porusza się czarnym bmw x5 o numerach rejestracyjnych MTK-HB 129. Elias Lessing ma metr siedemdziesiąt osiem wzrostu, jest bardzo szczupły, ma krótkie blond włosy. Może również nosić okulary. Towarzyszy mu siedemnastoletnia Nike Haverland, która jest w dziewiątym miesiącu ciąży. Elias Lessing jest uzbrojony i niebezpieczny. W przypadku zauważenia poszukiwanego należy niezwłocznie powiadomić policję i zachować ostrożność.

Nike musiała wiedzieć, o jakie morderstwa chodzi. Przyznał się jej, że kiedy wrócił do domu przy gospodzie, znalazł w wannie martwą Felicitas. On nie miał z jej śmiercią absolutnie nic wspólnego, przysiągł to Nike na wszystkie świętości, lecz mimo to dostrzegł w jej oczach zwątpienie. A jeszcze głębiej czaił się strach.

Na niewielkim parkingu leśnym u podnóża wzniesienia o nazwie Kleiner Feldberg nic się nie działo. Z jednej strony było to zaletą, a z drugiej zagrożeniem, bo samotne auto w takim miejscu przyciągało uwagę. Ale nie miał już wyboru. Brakowało mu paliwa. I nie wiedział, gdzie się skryć.

— *I jeszcze jedno obwieszczenie policji* — rozległo się z głośników samochodu.

Elias gwałtownie wyłączył radio.

— Eli — wyszeptała Nike drżącym głosem. — Proszę. Zachowajmy się rozsądnie.

— Chryste, Nike! Tyle razy ci to tłumaczyłem! — zaczął krzyczeć. — Nie wrócę do więzienia, rozumiesz?

— Co w takim razie chcesz zrobić? Przecież nie możesz się już zawsze ukrywać!

Najgorsze było to, że mówiła prawdę. Rzeczywiście, nie mógł do końca życia uciekać. Mój Boże, do końca życia! Nerwowo nie wytrzyma kolejnych trzech dni!

Dlaczego, do cholery, nie został w tej zasranej przyczepie? Dlaczego musiał z niej wyjść? Po co się skradał jak ciekawski idiota? Tę pieprzoną sytuację, w jakiej się znalazł, zawdzięczał właśnie temu, że zobaczył go gość, który podłożył ogień. A teraz, dzięki poszukiwaniom policji, znał jego nazwisko.

— Ta kobieta z policji była w zasadzie całkiem miła — powiedziała Nike z wahaniem. — Jeśli się do niej zwrócimy, może wszystko znów będzie okej.

Ależ ona była naiwna! Już nic i nigdy nie będzie dobrze! Okradł Felicitas, jeździ bez prawa jazdy, napadł na członków własnej rodziny, uwięził ich w piwnicy i groził bronią. Najprawdopodobniej oskarżą go zamordowanie Felicitas! Elias z rezygnacją oparł głowę na kierownicy. Nagle poczuł, że nie ma już sił. Nie chciał się już ciągle bać. Dlaczego gliniarze nie mogli wreszcie dopaść gościa, który na niego polował? Wtedy już nic by mu nie groziło i mógłby zacząć nowe życie. Z Nike. I już wkrótce z dzieckiem, które będzie tylko ich dwojga.

— Co zrobimy, kiedy się ściemni? — zapytała Nike. — Jesteśmy w środku lasu.

— Znam tę okolicę — odparł głucho. — Niczym się nie przejmuj. Będę na ciebie uważał.

— Wiem.

Poczuł jej dłoń na udzie. Przykrył ją własną dłonią i zacisnął palce. Ufała mu. Jeszcze. Musiał się poddać; inaczej bezpowrotnie zniszczy wszystko, co między nimi jest.

— W porządku — powiedział wreszcie. — Jutro rano pojedziemy na policję.

— Serio?

Elias odwrócił głowę i spojrzał jej w oczy. Uśmiechała się, a jej spojrzenie było pełne nadziei.

— Tak. Serio. — Również zmusił się do uśmiechu, po czym uruchomił silnik. — I wiem już, gdzie spędzimy dzisiejszą noc.

TARIK CZEKAŁ przed bramą wiodącą na podwórze domu Annemie Keller. Na parterze trzypiętrowego budynku przy Wiesenstrasse znajdował się nieczynny od przeszło czterdziestu lat sklep wielobranżowy. Wypłowiecie od słońca żaluzje były opuszczone do samej podłogi, a na przeszklonych drzwiach wisiała od środka tabliczka z informacją „Zamknięte do odwołania”. Widok ten przypomniał Bodensteinowi o sprawie, którą prowadził z Pią w miejscowości nieopodal. Tam również lokalni mieszkańcy bezlitośnie mścili się na pewnej rodzinie i usiłowali ją zniszczyć, obarczając rodziców podejrzanego odpowiedzialnością za jego domniemane winy.

Zadzwoił. Niedługo potem otworzyło się okno na pierwszym piętrze i wychyliła się starsza pani.

— Ach, to znowu ty. — Nie dało się nie zauważyć braku entuzjazmu na widok Olivera. — Leo jeszcze nie wrócił.

— Tym razem chciałem porozmawiać z panią — odpowiedział Bodenstein niewzruszony. — Leo zniknął i bardzo mnie to martwi.

Staruszka przyglądała mu się przez kilka sekund bez ruchu, niczym sokół oceniający ofiarę. Po chwili cofnęła się do środka i po prostu zamknęła okno.

— Co teraz? — zapytał Tarik zaskoczony.

— Teraz czekamy — wyjaśnił Bodenstein. — Stara jest i powoli chodzi.

— Prawdę mówiąc, nie sprawiała wrażenia, jakby chciała kontynuować rozmowę z nami. — Tarik pokręcił głową.

— Będzie chciała, spokojnie — zapewnił go Bodenstein. — Wystarczy poczekać i sam kolega zobaczy.

Mijały minuty. W końcu za bramą rozległo się szuranie, szcękniętą kluczem w zamku i otworzyła się wąska furtka z boku. Staruszka przyjrzała się krytycznie Tarikowi, po czym zrobiła im miejsce i starannie za nimi zamknęła. Kwadratowe podwórze wyłożone nowoczesną kostką było zamieciono do czysta, a z fug nie wyrastało zielsko ani mech. Niewielki ogródek warzywny na tyłach zabudowań był bardzo zadbany, a na grządkach kwitły jesienne odmiany kwiatów. Dom z ogrodzeniem przy ulicy łączył podłużny płaski budynek, który niegdyś pełnił rolę stajni.

— Leo jest niewinny — oznajmiła staruszka zdecydowanym tonem. — Nie zrobił nic z tych rzeczy, które mu wtedy zarzucano.

— Też jesteśmy o tym przekonani, pani Keller — zapewnił ją Bodenstein. — Mimo to, tylko dla jego bezpieczeństwa, chcielibyśmy umieścić go na kilka dni w miejscu, gdzie moglibyśmy go chronić. Mam złe przeczucia, a nie mogę go znaleźć.

— Bo się boi, że znów zacznie się na niego nagonka, tak samo jak wtedy. — Staruszka zacisnęła palce na uchwytych swojego chodzika. Spod bladej, cienkiej jak pergamin skóry wychynęły błękitne żyłki. — Ja też się boję. Leo to dobry chłopak. Nigdy mnie nie zawiódł i zawsze mi pomagał. A nie było mu łatwo, oj, nie było. Gdyby wtedy stąd wyjechał i już nie wrócił... Ale nie, on twierdził, że nie może zostawić mnie samej. Nie może się pogodzić z tym, że

nie pamięta, co się wtedy wydarzyło. — Głos zaczął jej się łamać, a w oczach pojawiły łzy. — Ty przecież najlepiej wiesz, co oni nam zrobili! I nikt już nas potem nie odwiedzał. Przechodzili na drugą stronę drogi, żeby nie mijać naszego domu! A potem jeszcze te obrzydliwe plotki, że Leo lubi małych chłopców. Przecież on był trenerem piłki nożnej, on to kochał. Mój syn nie potrafił tego znieść. Nie widział innego wyjścia, jak popełnić samobójstwo.

Staruszka zaczęła szlochać, a jej twarz wykrzywiło cierpienie. Strach i ból sprzed lat wcale nie osłabły, wciąż ją dręczyły, tak samo jak na początku.

— Pani Keller, chcemy zapewnić Leonowi bezpieczeństwo. — Bodenstein się nachylił i położył dłoń na ręce staruszki. — Udało nam się ustalić, że Leo wcale nie próbował odebrać sobie życia, tylko ktoś inny próbował go zamordować za pomocą aparatu ubojowego.

— Że co? — Na twarzy staruszki pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdumienia. — Ale.. ale... przecież wszyscy mówili, że było inaczej! Panowie z policji! I lekarze! Każdy w Ruppertshain to powtarzał. A kiedy go znaleźli, trzymał to urządzenie w ręku.

— Ktoś próbował go wtedy zamordować, a na koniec tak zainscenizował miejsce zbrodni, żeby wyglądało, jakby Leo sam chciał odebrać sobie życie — wyjaśnił Bodenstein. — Mamy na to dowody.

Ta wiadomość przeważała szalę. Staruszka nie wytrzymała. Przycisnęła dłoń do piersi, z trudem dowlokła się do drewnianej ławeczki stojącej pod ścianą domu i osunęła się na nią. Wytarła nos i upuściła chusteczkę na ziemię, lecz nie zwróciła na to uwagi. Rozglądała się nieprzytomnie po podwórzu.

— Nic już nie rozumiem — wychrypiała skołowana. — No przecież ci wszyscy specjaliści... policja kryminalna... jak oni mogli się pomylić? Nie mogli, prawda? To taka twoja sztuczka, żeby mnie nabrać, co?

Spojrzała na niego z wyrzutem. Bodenstein uświadomił sobie wtedy, jak wiele musiała wycierpieć. Pamiętał przecież, jak hojnym i miłym człowiekiem

był jej mąż; ona zresztą również. Każde dziecko, które przyszło po coś do sklepu, mogło sięgnąć do słoja z cukierkami i się poczęstować. Zapisywali w zeszycie, kiedy ktoś nie miał pieniędzy na zakupy, i nigdy nie żądali zwrotu długów. A potem nikt już im za to nie podziękował. Potępienie miejscowych wpędziło jej męża w alkoholizm i doprowadziło do bankructwa. Bodenstein rozumiał, że staruszka miała powody, by mu nie ufać.

— Nie, proszę pani. Leo jest naprawdę niewinny — zapewnił ją. — Wiemy, że on nie miał z tym nic wspólnego. Ktoś uczynił z niego kozła ofiarnego, żeby odsunąć od siebie podejrzenia.

— Mój Boże, Boże mój... — wymamrotała staruszka. Po jej pokrytym zmarszczkami policzku potoczyła się jedna łza, a potem następna. — Co teraz? Co teraz? Gdyby tylko mój Heinz jeszcze żył... Ale jestem zupełnie sama i mam tylko Leona...

— I chcemy zadbać, żeby dalej go pani miała — powtórzył Bodenstein cierpliwie. — Gdzie może w tej chwili przebywać? Koniecznie muszę z nim porozmawiać.

Annemie Keller siąknęła głośno, otarła łzy z policzka i usiadła prosto. Niepewność zniknęła z jej spojrzenia, ustępując miejsca czemuś zgoła innemu.

— Nigdy nie chciałam uwierzyć, że Leo naprawdę mógłby chcieć popełnić samobójstwo. W końcu znam mojego chłopca — oznajmiła. Mówiła teraz innym, bardziej zdecydowanym tonem. — Ten, kto mu to wtedy zrobił, to ta sama osoba, która teraz zabiła Rosie, jej syna i starego księdza?

— To całkiem prawdopodobne — potwierdził Bodenstein ostrożnie.

— I ten morderca gdzieś tutaj mieszka? — W jej oczach pojawiły się złe błyski, które na Bodensteina zadziałały jak system ostrzegawczy.

— Przyjmujemy taką wersję, to prawda.

— W takim razie — pani Keller ruszyła przez podwórze, zaciskając sztuczną szczękę — to ja ci powiem. Dzisiaj rano zadzwoniłam do Leona,

zaraz po tym, jak tu przyszedłeś. Kazałam mu się ukryć, dopóki się wszystko nie wyjaśni.

— Ale dlaczego miałyby pani coś takiego zrobić?

— Bo żadne z nas już nikomu nie ufa — wyjaśniła staruszka z gorzkim uśmiechem. — A już na pewno nie policji.

— PRAWDĘ MÓWIĄC, nie potrafię się nawet na nią o to gniewać — powiedział Bodenstein do Tarika Omariego, kiedy wyszli od wdowy Keller i stanęli na ulicy. — Czterdzieści dwa lata temu nasi ludzie skazali go bez wyroku i bez dowodów. Uznali, że jest sprawcą, żeby móc jak najszybciej zamknąć sprawę i odesłać akta do archiwum. Od tamtego czasu wszyscy tutaj żyją w przekonaniu, że Leo wykorzystał Artura, zamordował go i ukrył gdzieś ciało. I nawet jeśli dopadniemy prawdziwego zabójcę, nie uda nam się naprawić krzywd, jakich doznał on i jego rodzina.

— A jest pan pewny, że wtedy to rzeczywiście nie był on? — zapytał Tarik. — Mógł być przecież tym tajemniczym mężczyzną, z którym spotykała się Rosie Herold. Jakaś młoda kobieta zeznała, że widziała, jak wracał z lasu. Dlaczego i po co miałyby sobie coś takiego wymyślić?

— Oczywiście, że jakieś wątpliwości zawsze pozostaną — przyznał Bodenstein. — Ale u nas obowiązuje domniemanie niewinności, przynajmniej do chwili, kiedy nie pojawią się niepodważalne dowody winy.

Wsunął ręce w kieszenie i zamyślony spojrzał na kompleks Zauberberg, który górował majestatycznie nad wioską. Słońce chyliło się ku zachodowi i powoli zbliżał się wieczór. Na jasnym jesiennym niebie widać było błądy sierp księżyca. Gdzie by się ukrył, gdyby był na jego miejscu? Czy Leo miał znajomych, którym mógłby zaufać?

— Chatka — powiedział wreszcie, bardziej do siebie niż do Tarika, i ruszył do samochodu. — Niech kolega jedzie za mną.

Ruszyli prosto Wiesenstrasse, aż do hali widowiskowo-sportowej. Tam

zaparkowali samochody i dalej na piechotę przeszli obok stadionu i lotniska klubu modelarskiego, w dół doliny, dróżką prowadzącą dalej do majątku rodziny von Bodenstein. Po lewej stronie, za zardzewiałym płotem z siatki i wysokimi żywopłotami znajdowały się prywatne działki, o które nikt nie dbał.

— W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku ludzie z Francji nakupili tutaj działek wydzielonych z pól uprawnych i nielegalnie pobudowali domki wypoczynkowe — wyjaśnił Bodenstein. — Wszyscy jak jeden mąż sadzili jodły, bo te drzewa szybko rosną. Potem, kiedy podrosły, nikt już o nie nie dbał i wyszło jak wyszło.

Jodły, krzaki jeżyn i wszelkiego rodzaju krzewy rozrastały się niepokojone, tworząc mroczny, zwarty las, w którym tu i ówdzie można było spotkać na wpół zawalone, rozpadające się stare altanki. I tylko jedna parcela sprawiała zupełnie inne wrażenie: była zadbana i równie czysta jak podwórze domu wdowy Keller.

— Ta chatka należy do Leona — oznajmił Bodenstein i lekko szarpnął za furtkę z drucianej siatki. Była nie tylko zamknięta na zamek, ale dodatkowo zabezpieczona masywnym zapięciem rowerowym. — Często tu bywaliśmy jako dzieci. Nie było jeszcze tych wszystkich drzew, więc na łące graliśmy w piłkę nożną.

— Jak się tam dostaniemy? — zapytał Tarik.

— Jak to jak? Przez płot, górą — wyjaśnił Bodenstein, uniósł nogę i wsunął czubek buta w oczko siatki.

— Ale szefie... to jest naruszenie miru i pewnie nawet włamanie — przypomniał mu Tarik.

— Słucham? Nie rozumiem, co kolega mówi. — Bodenstein przeszedł na drugą stronę. — No już, proszę za mną.

— To jest podżeganie do naruszenia miru domowego. — Tarik wzruszył

ramionami. — Tak tylko mówię, pro forma.

Za niewielkimi oknami chatki panowała ciemność. Nigdzie też nie było widać mopedu Leona Kellera. Gruba warstwa opadłego igliwia tłumiła ich kroki, kiedy okrążali budynek. Pod drzewami panował tak gęsty mrok, że mało co widzieli.

— Nikogo nie ma — stwierdził Tarik. — Co teraz? Będziemy się jeszcze włamywać?

— Chyba nie spodziewa się pan, że zaprzeczę — odparł Bodenstein i podszedł do drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Najwyraźniej Leo uznał, że zapięcie rowerowe na furtce jest wystarczającym zabezpieczeniem. Oliver wszedł do środka i odszukał włącznik na ścianie. Wnętrze wypełniło się światłem. W powietrzu unosił się zapach wilgoci i stęchlizny. Nieliczne meble pokrywała warstwa kurzu. Na wyłożonej płytkami podłodze tu i ówdzie leżały mysie odchody.

— Nie wygląda na to, żeby ktoś tu mieszkał — stwierdził Tarik. — Ale niedawno ktoś był.

— Skąd ta pewność?

— Ślady butów w kurzu na posadzce. — Tarik wskazał na ziemię. — O, tutaj, widzi pan? Ktoś przeszedł na drugą stronę domu.

— Nieźle. — Bodenstein z uznaniem pokiwał głową. — Niech kolega zrobi od razu kilka zdjęć.

Ostrożnie, żeby ich nie zatrzeć, Bodenstein dotarł po śladach do kuchni. W niewielkim pomieszczeniu stała kuchenka, piekarnik, lodówka i kilka szafek z półkami zawieszonymi powyżej. Z boku znajdował się stół z dwoma krzesłami. Bodenstein dostrzegł kalendarz sprzed trzech lat, otwarty na marcu. Żadnych drobiazgów na wierzchu, wszystko pochowane. Zlew suchy. Policjant otworzył lodówkę. Była wyłączona, a jej drzwiczki delikatnie uchylone. Natychmiast poczuł unoszący się ze środka charakterystyczny słodkomiedziany

zapach krwi. Półki były puste, poza kilkoma saszetkami z musztardą i dwiema puszkami piwa. Za to w zamrażarce leżała plastikowa siatka. Serce zabiło mu szybciej. Z kieszeni marynarki wyjął rękawiczki jednorazowe i szybko je wciągnął, po czym wyjął zawiniątko. Nie było szczególnie ciężkie. Zajrzał do środka. Żadnych odciętych części ciała, tylko szmatka owinięta dookoła jakiegoś przedmiotu. Ostrożnie ją wyjął i odwinął. Na widok kuchennego noża z ostrzem pokrytym grubą warstwą zakrzepłej krwi zrobiło mu się ciężko na sercu. Nie dalej jak dwadzieścia minut wcześniej zapewniał starą wdowę, że jej syn jest niewinny. A teraz proszę!

— Szeffie, wszystko już... — zaczął Tarik, wchodząc do kuchni, lecz natychmiast zamilkł. — Co to?

— Zakrwawiona koszulka — wyjaśnił Bodenstein rzeczowo. — I nóż kuchenny. Były schowane w zamrażalniku lodówki, w plastikowej siatce.

— Ups... — mruknął młody policjant.

— Obawiam się, że mogłem popełnić błąd — szepnął Bodenstein. Pia miała rację. Był zbyt zaangażowany w tę sprawę, by obiektywnie oceniać sytuację, a chęć zemsty sprowadziła go na manowce.

— Będziemy potrzebowali techników — zdecydował. — I nakazu przeszukania domu Kellerów. — Westchnął ciężko. — Dodatkowo trzeba upublicznić dane Leona Kellera i dodać go do listy osób poszukiwanych.

— ZACZEKAJ W SAMOCHODZIE — polecił Nike. — A ja się najpierw rozejrzę, czy jest bezpiecznie.

— Nie, proszę! Pójdę z tobą! — Ze strachem złapała go za ramię. — Nie zostawiaj mnie samej w nocy pośrodku lasu! Okropnie tu nieprzyjemnie.

Elias wahał się przez chwilę, jednak w końcu wzruszył ramionami. Zapomniał już, że większość ludzi uważa las nocą za groźne miejsce. On widział to zupełnie inaczej. Bardzo dobrze czuł się otoczony leśną ciszą i spokojem.

— W porządku.

Zaparkował bmw między gęsto posadzonymi jodłami za stodołą, gdzie nie było łatwo go wypatrzyć. Potem wysiedli, a Nike chwyciła go za rękę.

— Gdzie my właściwie jesteśmy? — wyszeptała.

— Tutaj mieszka mój przyjaciel — wyjaśnił.

— Jak to, tutaj? W środku lasu?

— Tak. To stary młyn wodny.

Czego policja tu szukała? Przyjechali z powodu Pauline? Przepisnęli się pod nisko wiszącymi gałęziami jodeł i dotarli do furtki, przez którą weszli na dziedziniec młyna. Suche gałązki strzelały pod ich butami, spłoszyli też jakąś sowę, która przeleciała tuż nad ich głowami. Nike pisnęła ze strachu i przytuliła się do niego.

— Co to było? — wyszeptała.

— Nic takiego. Tylko sowa.

— O Boże, ale się boję!

— Niepotrzebnie. Jestem przecież przy tobie.

Elias uniósł głowę i zaczął nasłuchiwać. W otaczającej go ciszy jedynym wyraźnym odgłosem był szum strumienia. Agregat prądotwórczy nie działał, co musiało oznaczać, że gliniarze zlikwidowali hodowlę zioła i wywieźli sprzęt i sadzonki. Spróbował otworzyć bramę, ale była zamknięta.

— Chodź, wejdziemy od tyłu — powiedział i pociągnął Nike za sobą. Jego wzrok zdążył się już przyzwyczaić do ciemności, a poza tym znał na pamięć każdy centymetr kwadratowy tego miejsca. Bez trudu znajdował drogę wśród krzaków i leżących na ziemi gałęzi. Za to Nike co chwila się potykała i gdyby jej nie trzymał, już dawno by się przewróciła. Nagle krzyknęła z bólu i się zatrzymała. Puściła go i przycisnęła obie dłonie do brzucha.

— Co się dzieje? — zapytał przestraszony.

— Nic takiego, tylko mnie zabolalo — wyszeptała zaniepokojona. — Chyba

powinnam się położyć. I muszę szybko do ubikacji.

— Już, zaraz — zapewnił ją. — Po to tu jesteśmy. Chodź, jeszcze tylko kilka metrów.

Ujął ją za rękę i pociągnął za sobą. Dotarli do wjazdu. Na podwórzu stało stare volvo Ralfa z otwartą tylną klapą. Nie było słycać psów, a w domu panowała ciemność. Coś tu się nie zgadzało.

— Obawiam się, że go nie ma — powiedział ściszym głosem.

— I co teraz? — Nike zadrżała bliska łez. Gdyby przyjechał tu sam, przespałby się w aucie albo po prostu gdzieś w lesie. Jednak Nike nie była w najlepszym stanie. Strach o dziecko okazał się silniejszy niż dziwne uczucie, które go opanowało.

— Wiem, gdzie jest klucz — powiedział. — Zostaniemy tu na noc.

— A to będzie w porządku? Przecież nie możemy tak po prostu wejść do czyjegoś domu!

— Ralf to mój przyjaciel. Wierz mi, że nie będzie miał nic przeciwko.

Elias się nachylił i odsunął doniczkę z zaschniętą hortensją. Po omacku odnalazł klucz, podniósł go i otworzył drzwi. Weszli do środka. Kiedy zamknął za sobą, po raz pierwszy od wielu dni poczuł ulgę. Tutaj byli bezpieczni. Policja nie wróci tu zbyt szybko.

Włączył lampkę stojącą na komodzie i ściemnił nieco światło, po czym zaprowadził Nike do toalety.

— Zaraz położysz się na kanapie. — Pogłaskał ją czule po policzku, a ona się do niego przytuliła.

— Cały czas kopie — wyszeptala, po czym ujęła jego dłoń i przyłożyła do brzucha. — Czujesz?

— Tak! — Łzy wzruszenia napłynęły mu do oczu. Jego syn! Jego dziecko! Już niedługo do nich dołączy! Będzie żył, oddychał i będzie tylko jego!

Nike się uśmiechnęła. Była przepiękna. I byli razem. Nic innego się nie

liczyło. Później się zastanowi, co zrobią dalej. Wreszcie byli bezpieczni i wreszcie mogli odpocząć. Objął ją ramieniem, wprowadził do salonu i... zamarł. Krew w jego żyłach w jednej chwili stężała. W półmroku przed nimi stał jakiś mężczyzna i celował do nich z pistoletu. Wtedy Elias zrozumiał, że przywożąc tu Nike, popełnił największy błąd w życiu.

DOOKOŁA DUŻEGO STOŁU w pozbawionym okien pokoju przesłuchań w podziemiach komendy policji w Hofheim panowała całkowita cisza. Niski sufit sprawiał, że pomieszczenie wydawało się mniejsze, niż było w rzeczywistości. Jasne, niemal białe światło jarzeniówek nadawało twarzom zebranych osób niezdrowy zielonkawy odcień. Nikt się nie ruszał, a jednocześnie wszyscy wiedzieli, z jakiego powodu tu trafili. Dopadła ich przeszłość. Nadeszła godzina prawdy. Już nie dało się dłużej odsuwać tego momentu. Kierowani starym przyzwyczajeniem spoglądali ukradkiem na Petera Lessinga, lecz dawny przywódca bandy siedział nieruchomo u szczytu stołu z wzrokiem wbitym w złożone dłonie. Czy był mordercą? Może myślał o synu, któremu groziło śmiertelne niebezpieczeństwo? O żonie? A może po prostu o tym, co zrobić, by wyplątać się z tego całego ambarasu możliwie bez strat?

Pia przyglądała się kolejnym twarzom. Banda. Przywódca. Członkowie. Obok Lessinga siedział Klaus Kroll, brat Rosie Herold i Patrizii Ehlers, komendant ochotniczej straży pożarnej, przewodniczący związku ogrodników, honorowy przewodniczący lokalnego klubu sportowego, policjant z posterunku w Kelkheim i ostatni z gospodarzy z Ruppertshain uprawiających rolę jako zajęcie dodatkowe, masywny i dobroduszny człowiek o ciemnych włosach, tylko gdzieniegdzie poprzeplatanych siwizną. Nie potrafił ukryć zdenerwowania. Zaczął wiercić się na plastikowym krześle, nie wiedząc, gdzie podziać swoje wielkie dłonie i jak ułożyć długie nogi. Dla niego gra toczyła się o najwyższą stawkę — o dobre imię, szacunek i autorytet. Czy był

mordercą? Z całą pewnością mógł wejść na teren zakładu Edgara Herolda, nie wzbudzając niczyjej uwagi. Od zawsze należał do lokalnej społeczności i dzięki temu był prawie niewidzialny.

Pia przesunęła wzrok na Andreasa Hartmanna. W jego wypadku sytuacja wyglądała niemal identycznie. Sklep rzeźniczy, nad którym mieszkał, znajdował się dokładnie naprzeciwko warsztatu Edgara Herolda i również on miał bardzo wiele do stracenia. Czy pamiętał jeszcze o ostracyzmie, z jakim spotkała się rodzina Kellerów, kiedy na ich syna padło podejrzenie o zamordowanie dziecka? Jak przez to stracili klientów i zbankrutowali? Jego mógł spotkać dokładnie taki sam los, gdyby się wydało, co naprawdę się wtedy wydarzyło. Według słów Bodensteina, Hartmann był strasznym raptusem, łatwo się obrażał i był bardzo pamiętliwy. Lecz mimo tych wszystkich cech, które czyniły z niego osobę nieobliczalną, Oliver nie widział w nim bezwzględного mordercy starannie planującego swoje zbrodnie. Do tego brakowało mu inteligencji. To samo dotyczyło Konstantina Pokornego, piekarza. Jego zresztą z grona podejrzanych o aktualne morderstwa wykluczała chorobliwa otyłość i wywołane przez nią kłopoty z poruszaniem się.

Pia spojrzała na zegar ścienny, po czym popatrzyła na Gianniego Lombardiego. Gdzie był Bodenstein? Czy miała zaczynać bez niego? Chciała zakończyć to wszystko, tu i teraz.

Hartmann żuł nerwowo gumę. Dłonie wsunął do kieszeni spodni, a nogi wyciągnął pod stołem, jakby chciał sprawiać wrażenie osoby pewnej siebie i opanowanej. Gorączkowo skakał wzrokiem po twarzach pozostałych. Czuł się równie nieswojo jak Konni, Edgar i Klaus.

Rozległo się pukanie do drzwi. Policjant siedzący na taborecie przy wejściu wstał i otworzył. Wszyscy odwrócili głowy.

— Ej, no cześć chłopaki! — Ralf Ehlers uśmiechnął się szeroko, siadając na miejscu wskazanym przez Lombardiego, przy drugim końcu stołu. — Jak

fajnie znów was widzieć. Zupełnie jak za starych dobrych czasów, co?

Nikt mu nie odpowiedział. Jego adwokatka z początku bardzo stanowczo oponowała przeciwko pomysłowi Pii, jednak potem dostrzegła szansę dla swojego klienta zawarcia z policją jakiegoś układu. Ehlersowi natomiast zależało jedynie na tym, żeby ktoś zajął się jego psami, a grożąca mu kara za nielegalną uprawę konopi indyjskich nie robiła na nim wrażenia. W przeciwieństwie do pozostałych wydawał się dobrze bawić.

Inka Hansen miała twarz bladą jak kreda i worki pod oczyma. Usiadła, nie podnosząc wzroku. Pierwsza noc w areszcie zmieniała każdego, kto nigdy wcześniej nie był zamknięty w celi. Nagła izolacja, poczucie bezsilności, samotności i świadomości popełnionego czynu zawsze pozostawiały ślad. Ta jedna noc wystarczyła, by ją złamać. Dziś była tylko cieniem wczorajszej Inki Hansen.

Na sam koniec do pomieszczenia wprowadzono rodziców Pauline. W milczeniu zajęli wskazane miejsca. Oczy obojga były zaczerwienione od płaczu, a troskę i strach mieli dosłownie wypisane na twarzach. Kłopotliwa cisza stawała się coraz trudniejsza do zniesienia. Poza Ralfem Ehlersem nikt nie odważył się patrzeć na innych.

— No dobrze — zaczęła Pia. Stała za krzesłem Petera Lessinga, a Gianni Lombardi naprzeciwko niej, po przeciwnej stronie stołu. W pomieszczeniu zrobiło się duszno. Zebrani nie dostali niczego do picia. Mieli przed sobą gładki blat stołu. Przyjazna atmosfera nie byłaby Pii na rękę. — Chyba wszyscy wiecie, dlaczego tu jesteście.

— Ja nie mam pojęcia — syknęła Simone Reichenbach agresywnym tonem. — Za to wiem na pewno, że złożę na panią skargę, bo nie można postępować tak nieludzko. Bez żadnego ostrzeżenia zmusiła nas pani do opuszczenia naszej córki, to jest bezczelność!

— Robimy wszystko, by wyjaśnić okoliczności napadu na pani córkę —

odparła Pia lodowatym tonem. — Wszyscy dobrze wiecie, co się wtedy wydarzyło. Teraz my również mamy na ten temat wiedzę. Chcielibyśmy się jednak dowiedzieć więcej.

— Jak pani w ogóle śmie zachowywać się wobec nas jak jakaś inkwizytorka? — Simone Reichenbach znów nie wytrzymała i weszła jej w słowo. — Moje dziecko leży w śpiączce, a pani, pod pretekstem wyjaśniania kilku obecnych morderstw, odgrzewa jakieś stare historie? — Odsunęła energicznie krzesło, wstała i przesunęła wzrokiem dookoła stołu. — Dlaczego pozwalacie się tak traktować? Co to w ogóle za przedstawienie?! Ile wtedy mieliśmy lat, co? Dziesięć? Jedenaście? To był tragiczny wypadek i tyle!

Roman chciał ją złapać za ramię, lecz ona strząsnęła jego rękę, jakby oganiała się przed natrętnym owadem.

— Od pięciu dni nie udaje się wam złapać Eliasa! — Simone Reichenbach podniosła głos i wycelowała oskarżycielsko palec w Petera Lessinga. — Tak! Ty i Henriette pozwoliliście temu wariatowi chodzić na wolności! A każdy tutaj wie, do czego ten chłopak jest zdolny! Jeśli się okaże, że to on skrzywdził Pauline, własnymi rękoma rozszarpie go na strzępy!

Lombardi spojrzał pytająco na Pię, lecz ona potrząsnęła dyskretnie głową. Nie ingerować. Dać im się wygadać.

— Nie wierzę, żeby Elias coś jej zrobił — odezwał się Ralf Ehlers. — Dobrze go znam. Często u mnie pomieszkuje. Pauline zresztą też. Tak, tak, to do mnie przychodzą wasze dzieciaki ze swoimi problemami i nieszczęściami, o których wy nie chcecie nic wiedzieć! Bo dla was wszystko jest ważniejsze niż własne dzieci: praca, sukcesy i szacunek na mieście!

— No tak, najłatwiej jest odgrywać dobrego wujka, jak się nie ma własnych dzieci! — warknął Roman Reichenbach. — Zresztą, zabroniliśmy Pauline zadawania się z takimi lumpami jak ty.

— I myślicie, że to coś dało? Cały czas chętnie odwiedza swojego ojca chrzestnego. — Ralf Ehlers uśmiechnął się złośliwie, ignorując obraźliwy epitet. — Wasze dzieciaki świetnie się u mnie czują, bo je szanuję, traktuję poważnie ich problemy i akceptuję takimi, jakimi są.

— Nie zachowuj się tak, jakbyś mógł być przykładem dla innych — syknął Andi Hartmann cynicznie. — Jesteś leniem i nieudacznikiem, który przez cały boży dzień nic nie robi.

— Mówisz tak z czystej zazdrości. — W oczach Ehlersa pojawiły się błyski rozbawienia. — Bo mam fajniejsze życie niż wy wszyscy razem wzięci. Zasuwanie jak mrówki od rana do późnej nocy, żeby hajs się zgadzał. Ja nigdy nie byłem bogaty, ale też niczego mi nigdy nie brakowało. Za to zwiedziłem cały świat.

— Włącznie z zakładami karnymi — dopiekł mu Klaus Kroll.

— No i co, też jakaś przygoda. — Ralf wzruszył ramionami.

— Byłeś utrzymankiem — mruknął Konni Pokorny. — Żenujące.

— Mówisz tak, bo żadna kobieta nie chciałaby utrzymywać ciebie, prawda? — odparł Ehlers. — Boże, spójrz na siebie! Jak ty wyglądasz?! Tak przy okazji, Sylvia też od czasu do czasu wpada do mnie do młyna zapalić jointa i poużalać się, jakie ma z tobą przesrane życie.

— Akurat! Nigdy by czegoś takiego nie zrobiła! — Grubas poczerwieniał. — Nie pieprz!

— Ależ gdzież bym śmiał! — Ehlers świetnie się bawił, prowokując pozostałych. Oparł się wygodnie i splótł palce na brzuchu. — No dalej, Simone, siadaj już. Nie wprowadzaj nerwowej atmosfery.

— Jak śmiesz tak mówić do mojej żony! — ryknął Roman Reichenbach. — Wydaje ci się, że cały czas możesz sobie na wszystko pozwalać?

— A nie? — Ehlers uśmiechnął się szeroko. — Ja nie muszę żadnemu klientowi włączyć w dupsko tak jak wy. Albo pozwalać na siebie wrzeszczeć

jakieś wstrętnej babie. Co nie, Edgar? Ile razy miałeś już ochotę ukręcić łeb tej twojej Conny, żeby w końcu zamknęła jadaczkę?

— Twoja matka umiera przez ciebie ze wstydu — syknęła Simone Reichenbach, pryskając jadowicie śliną. — Gdyby nie miała twojego brata i Patrizii, byłaby sama jak palec.

— Ale na szczęście ich ma, prawda? To po co jeszcze ja miałbym się pchać? Ten cały kult rodziny, komu to potrzebne... rzygać się człowiekowi chce, kiedy znów to słyszy.

— Ty się rzeczywiście nic a nic nie zmieniłeś — stwierdził Roman Reichenbach, nie kryjąc odrazy. Wciąż ten sam egoistyczny dupek!

— A ty jesteś tym samym tchórzem co dawniej — odparował Ralf. — No dalej, schowaj się za żonką, tak jak wtedy za mamusią.

Emocje wokół stołu zaczynały się gotować, lecz Pia nie zamierzała na razie ingerować, choć wiedziała, że to ryzykowna gra. Dotychczas jedynie Inka Hansen i Peter Lessing przyznali się do tego, co się wtedy stało, choć żadne z nich nie zagłębiało się w szczegóły. Jeśli pozostali będą milczeć albo się wypierać, ich zeznania okażą się bezwartościowe. Czekwała więc cierpliwie, aż w swoim wzburzeniu zapomną o mikrofonach i policji i zaczną skakać sobie do gardeł. Jej strategia przynosiła efekty. Im dłużej trwała ta wymiana zdań, tym więcej było w nich złości, żalu, jadu i nienawiści. Choć w pierwszej chwili zgodnie zaatakowali Ralfa, po kilku minutach sytuacja się zmieniła — wszyscy przeciwko wszystkim. Jedynie Inka Hansen, Peter Lessing i małomówny Klaus Kroll trzymali się z dala od kłótni.

— Które z was przetrąciło kark temu lisowi? — zapytał Lombardi, zaskakując ich, kiedy przerwali na chwilę dla nabrania oddechu.

— To on! — krzyknęli natychmiast Edgar Herold, Hartmann i gruby piekarz i bez chwili wahania wskazali na Klause Krolla. W sali zapadła cisza tak głęboka, że byłoby słychać przelatującą muchę. Ralf Ehlers zaczął bić brawo.

— Ale jesteście głupi — powiedział. — Dajecie sobą manipulować tak samo, jak dajecie się naciągać na kasę.

— Czy to prawda, panie Kroll? — upewniła się Pia. — Czy to pan zabił lisa?

— Tak, to prawda — odparł mężczyzna. — Ukręciłem mu kark. Popatrzył na Inkę Hansen, a w jego oczach pojawiła się czysta nienawiść. Tak silne emocje po tylu latach! — Poprosiła, żebym dokończył to za nią, bo sama nie dała rady. Ale to ona nie mogła ścierpieć tego zwierzaka.

— Co się wydarzyło potem? — zapytała Pia. Jej komórka zaczęła wibrować. Wyjęła ją z kieszeni i odczytała wiadomość przysланą przez Bodensteina.

— Kiedy załatwiłem lisa, uciekłem do domu — poinformował Kroll. — Ale Artur jeszcze wtedy żył. Zgoda, zostawiłem go bez pomocy, to prawda. Ale strasznie go nie lubiliśmy. Wszyscy.

— Zabił pan lisa na oczach Artura i odszedł, ryzykując, że chłopak o wszystkim powie innym? — Lombardi potrząsnął głową. — Trudno mi w to uwierzyć.

— Ale to prawda. — Kroll wzruszył ramionami. — To z Maxim... pożałowałem tego już w chwili, kiedy to zrobiłem. Bardzo tego żałowałem. Od tamtego czasu nie ma dnia, żebym nie myślał o tym lisku. Kilka razy szukałem go po lesie, żeby pochować. — Skrzywił mięsiste usta w gorzkim grymasie. — Ale wtedy nie interesowało mnie, czy Artur powie o tym Oliverowi czy nie. Jedyne, co się dla mnie liczyło, to Inka. Dużo za późno zorientowałem się, że mnie wykorzystała. Dużo za późno.

BODENSTEIN NICZYM OGLUSZONY rozglądał się po mieszkaniu Leona Kellera, które znajdowało się w podłużnym budynku, dawniej służącym za stajnię. Załamał się, kiedy zrozumiał, że zawiódł i przez swój błąd skierował całe śledztwo na fałszywe tory. Parkiet na podłodze, eleganckie, drogie meble,

nowoczesna kuchnia, gabinet z regałami pełnymi książek, które zajmowały trzy ściany, od podłogi, do sufitu. Na biurku komputer, stos notatek i wydruków. Urządzenia sportowe. W sypialni obok łóżka książka, a na niej okulary. *W sieci* Thomasa Pynchona. Lektura, o którą raczej nikt by nie podejrzewał niepełnosprawnego pracownika miejskiego.

Niemal całe dorosłe życie Bodenstein spędził w Kelkheim i od czasu do czasu widywał z daleka Leona Kellera, kiedy ten jechał mopedem albo z ekipą innych robotników sadił kwiaty, przycinał drzewa, odśnieżał chodniki czy wywoził śmieci. W nieodłącznym pomarańczowym kombinezonie stopił się z obrazem miasta, a Bodenstein nigdy nie wiązał go ze sprawą zaginięcia Artura, którą sam wyparł z pamięci, tylko z tragiczną historią młodego wysportowanego człowieka, którego tajemnicze zdarzenie uczyniło kaleką i zepchnęło na margines życia. Teraz jednak było inaczej.

Co się wówczas wydarzyło? Skąd tak dyletancka próba użycia aparatu ubojowego? Kto to zrobił? I... kim Leo Keller był naprawdę?

— Szefie? — Cem stanął w drzwiach sypialni. Przyjechał prosto z Domu Przyjaciół Lasu i przywiózł ze sobą Krögera i jego ekipę. Starsza pani Keller z początku nie chciała otworzyć im drzwi do dawnej stajni, lecz skapitulowała, kiedy Bodenstein zagroził ich wyłamaniem. Szybkie zerknięcie do dwóch pokoiów na drugim piętrze domu wystarczyło, by nabrać pewności, że Leo Keller z nich nie korzystał.

— Co jest? — Bodenstein się odwrócił.

— Znaleźliśmy coś, szefie. Powinieneś sam to zobaczyć.

Ruszył za Cemem do przedpokoju. Ktoś otworzył klapę w suficie i rozłożył schodki prowadzące na strych. Policjanci ruszyli na górę. Nad całą stajnią rozciągało się pomieszczenie na tyle niskie, że ledwie można było się tam wyprostować. Pod jednym z okien dachowych stał stary fotel, a dookoła niego kilka białych tablic, na których kolorowymi pisakami zapisane zostały różne

nazwiska. Niektóre łączyły kolorowe strzałki, inne zostały przekreślone, a jeszcze inne wzięte w kółeczko. Bodenstein spojrział na imię i nazwisko umieszczone jak nagłówek nad pozostałymi i napisane grubszymi literami:

ARTUR BERJAKOV

Bodenstein poczuł ciarki na plecach, kiedy czytał kolejne nazwiska.

Raimund Fischer † 1973

Franziska Hartmann † 1978

Heinz Keller † 1981

Hans–Peter Lessing † 1984

Karl–Heinz Herold † 1998

Gerlinde Lessing † 2001

Heribert Hansen † 2001

Rosie Herold † 2014

Clemens Herold † 2014

Adalbert Maurer † 2014

— Wygląda jak lista ofiar seryjnego mordercy — zauważył Cem. — Wyjątkowo skrupulatnego, starannego i niesamowicie zorganizowanego seryjnego mordercy.

To się przecież nie mogło zgadzać. Leo Keller odniósł bardzo poważne obrażenia, miał uszkodzony mózg. Całymi miesiącami leżał w śpiączce. Nie byłby w stanie zaplanować i zrealizować czegoś takiego. Czy może jednak?

— Rozumiesz może, co to wszystko znaczy? — zapytał Christian Kröger. Bodenstein z mieszaniną zgrozy i fascynacji przyglądał się tablicom. Wspomnienia spotkań z Leonem Kellerem zupełnie niespodziewanie zaczęły wypełniać jego głowę. Nieporadny sposób, w jaki się poruszał. Jąkanie się i niewyraźna wymowa. Puste spojrzenie. Strużki śliny ściekającej mu z kącika ust. Nie, Bodenstein zdecydowanie nie potrafił połączyć tego człowieka z mieszkaniem i tablicami, które miał przed sobą. To było po prostu

niemożliwe.

— Nie, nie mam pojęcia. Nic już z tego nie rozumiem — odparł.
— Obawiam się jedynie, że daliśmy się omamić. Dawaliśmy się okłamywać ponad czterdzieści lat.

— NO DOBRZE — oznajmiła Pia energicznym tonem. — Wystarczy już tego przerzucania się winą. Bardzo państwa proszę o spokój i współpracę, a za pięć minut będzie po wszystkim.

Krótką wiadomość od Bodensteina sprawiła, że wyniki toczącej się konfrontacji traciły drastycznie na znaczeniu. Jednak razem z Lombardim zbyt daleko zaszli, by ot tak po prostu przerwać. Musiała doprowadzić do końca to, co zaczęła, i to najszybciej, jak się dało.

Z ramionami założonymi na piersiach ruszyła dookoła stołu, spoglądając w twarze tych, których już dawno nie łączyły więzi przyjaźni.

— Wszyscy państwo, którzy tutaj siedzicie, od czterdziestu dwóch lat żyjecie w przekonaniu, że zabiliście dziecko, swojego rówieśnika — zaczęła.
— Sami byliście wówczas dziećmi, ale zrobiliście coś, co według powszechnie akceptowanych norm społecznych jest moralnie karygodne. Mianowicie dręczyliście dziecko, którego nie lubiliście, poddaliście je brutalnemu mobbingowi, jak by to nazwano dzisiaj. Ale za to, co wydarzyło się siedemnastego sierpnia siedemdziesiątego drugiego roku wszyscy ponieśliście już karę: to wyrzuty sumienia, które od tamtego czasu towarzyszą wam na każdym etapie życia, bo zakładam, że nikt z was nie zapomniał, coście wtedy zrobili.

Pokorny, Hartmann i małżeństwo Reichenbachów wodzili za nią spojrzeniami, w których mieszała się nadzieja i milczące błaganie o rozgrzeszenie. Pozostali unikali kontaktu wzrokowego z policjantką.

— Przysięgliście sobie wtedy, że nigdy nikomu nie zdradzicie, co się stało, i z nikim nie będzie o tym rozmawiać. Mimo że byliście jeszcze dziećmi,

mieliście świadomość, że zrobiliście coś bardzo złego. Oczywiście to czysta spekulacja, kiedy mówię, że mogliście uratować Arturowi życie. Wystarczyło wezwać pomoc, zamiast zostawiać go w lesie samego, rannego, na pastwę losu. Zdecydowaliście się jednak na inne rozwiązanie i pogodziliście się z tym, że może spotkać go coś jeszcze gorszego. Na temat waszych ówczesnych motywacji również trudno powiedzieć coś pewnego, to cały czas raczej spekulacje. Strach przed karą? A może tak bardzo go nie lubiliście, że nie obchodziło was, co się z nim stanie? Cokolwiek to było, każdy z was musi teraz żyć ze świadomością tamtego wyboru. Jednak z całą pewnością któreś z was złamało obietnicę milczenia, bo wasi rodzice dowiedzieli się o sprawie. Nie wiem jak — czy to przez rany, których się nabawiliście w lesie? Może. Możliwe też, że wyrzuty sumienia u któregoś z was okazały się silniejsze niż lojalność wobec grupy. Niezależnie od tego, jak było naprawdę, efekt był taki, że wasi rodzice dowiedzieli się o wszystkim i postanowili wziąć sprawy w swoje ręce, co, jak miało się okazać, przyniosło fatalne skutki dla wszystkich zainteresowanych.

Pia zatrzymała się za krzesłem Simone Reichenbach i popatrzyła na Edgara Herolda. To, co chciała zrobić, to był strzał w ciemno, bo nie dysponowała żadnymi dowodami sugerującymi taki obrót sprawy.

— Panie Herold — zwróciła się bezpośrednio do niego. — Podejrzewamy, że to pan był osobą, która wygadała się przed rodzicami.

Wszystkie oczy natychmiast skierowały się na ślusarza. Ten poderwał głowę i oblał się czerwienią.

— To nieprawda! Przysięgam, że to nieprawda! — zapewnił z całą mocą. — Wolałbym odgryźć sobie język, niż im cokolwiek opowiedzieć. Musi mi pani wierzyć, wy zresztą też.

Ulga była tak wielka, że Pii przez chwilę zakręciło się w głowie, bo miała nadzieję, że dokładnie taka odpowiedź padnie.

— Wierzę panu, panie Herold — oznajmiła. — A teraz opowiem państwu swoją wersję tego, co wydarzyło się tamtego wieczoru. Pańska matka, Rosemarie Herold, spotkała się wtedy z jakimś mężczyzną, a zrobiła to w tajemnicy przed pańskim ojcem, co zresztą często jej się zdarzało. Może miała jakiś romans, może nie, nie wiem. Na pewno chodziło o coś, co pod żadnym pozorem nie mogło wyjść na jaw. Mimo ciężkich obrażeń Arturowi udało się doczołgać do drogi albo na któryś z parkingów. Miał nadzieję, że tam znajdzie pomoc. Martwego lisa, którego bardzo kochał, nie chciał zostawiać samego w lesie, więc zabrał go ze sobą. Nie do końca wiadomo, czy potem wydarzył się wypadek, czy było to działanie celowe, jednak ktoś, najprawdopodobniej pańska matka, która spotkała się z kochankiem, panie Herold, przejechała go samochodem. Wpadła w panikę i razem z kochankiem uradzili, że nie ma innego wyjścia, jak ukryć gdzieś ciało chłopaka. Nie dowiemy się, czy był już martwy, czy dopiero oni go zabili, zanim schowali jego i Maxiego w grobie na od dawna nieczynnym cmentarzu rodzinnym von Bodensteinów.

— O Boże... — wyszeptała Simone Reichenbach i przycisnęła dłoń do ust. Wszyscy pozostali również byli wstrząśnięci. Dopiero teraz, z opóźnieniem, zaczynało do nich docierać, że jednak nie zabili Artura, choć od przeszło czterdziestu lat byli o tym przekonani. Świadomość, że mordercą miał się okazać ktoś inny, niewiele im pomagała. Wręcz przeciwnie. Pojmowali, że mieli szansę go uratować. Ale tego nie zrobili.

— Oto, co się wydarzyło później — ciągnęła Pia. — O sprawie dowiedział się doktor Lessing, wówczas jedyny lekarz w Ruppertshain. Jak, albo od kogo, to pewnie pozostanie tajemnicą. Jednak wiemy na pewno, że zadbał, by Rosemarie Herold, jej kochankowi i wam wszystkim uszło to na sucho. Jego szwagier Raimund Fischer był szefem posterunku policji w Königstein i celowo o prawie tydzień opóźnił włączenie do sprawy policji kryminalnej

z Frankfurtu. Pan doktor Lessing, pozornie okazując dobre serce i bezinteresowność, sprawił, że z waszych kartotek zniknęła dokumentacja opisująca leczenie obrażeń, jakich się nabawiliście. Policji celowo podrzucano fałszywe tropy. Z początku wszystkim wam i waszym rodzicom kamień spadł z serca, jednak nie na długo, bo doktor Lessing zaczął was szantażować. Okazało się bowiem, że dokumentacja medyczna wcale nie została zniszczona, tylko przezornie ukryta. Jemu zależało na władzy. A z takimi atutami mógł jej być pewny. Miał waszych rodziców w garści.

Pia zauważyła, że nastrój w sali zaczął się mocno zmieniać.

— Lessing senior stał się dzięki temu bardzo ważną postacią w Ruppertshain — tłumaczyła. — Już wcześniej był bardzo wpływowym człowiekiem, ale z tymi papierami osiągnął dużo wyższą pozycję. Mógł kontrolować waszych bliskich, bo wiele mu zawdzięczali. Jednak ludzie nie lubią czuć wdzięczności. Lessing miał wprawdzie władzę, lecz nie cieszył się sympatią. Kiedy zmarł, nikt nie uronił łzy na jego pogrzebie. A schedę po nim przejął Peter Lessing, który podobnie jak ojciec do dziś miał was w garści. Już wtedy był waszym przywódcą. On decydował, a wy wszyscy musieliście słuchać. Jednak tajemnica, którą was szantażował, przestała być tajemnicą. Wszyscy już wiecie, że to nie wy zabiliście Artura.

Zebrani dookoła stołu jak na komendę zwrócili oczy na ojca Eliasa. Niepewność i strach, które dotychczas królowały w ich spojrzeniach, ustąpiły miejsca nienawiści i pogardzie.

— Bardzo bym chciała, żebyście państwo spróbowali sobie przypomnieć, co dokładnie się wówczas wydarzyło — ciągnęła Pia. — Może przyjdą wam do głowy jakieś banalne szczegóły, o których wcześniej nie myśleliście albo zapomnieliście. Minęło przecież sporo czasu. Coś wam przychodzi do głowy? Jakieś imiona? Plotki? Podejrzenia? Gdyby udało nam się odkryć, z kim feralnego wieczoru spotkała się Rosemarie Herold, automatycznie

dowiedzielibyśmy się, kto dzisiaj robi wszystko, żeby ta tajemnica nie została ujawniona. Prawdopodobnie to ten sam człowiek, który w ostatnich dniach zamordował cztery osoby i usiłował zabić Pauline.

Simone Reichenbach zaczęła szlochać.

— To było tak dawno temu — oznajmił Klaus Kroll. — Jeśli Rosie spotkała się wtedy z jakimś mężczyzną, to ten człowiek już pewnie nie żyje.

— Niekoniecznie. Jeśli wówczas miał około dwudziestu lat, dziś będzie miał sześćdziesiąt kilka — zaprzeczyła Pia. — A jeśli rzeczywiście miałoby się okazać, że już nie żyje, to być może miał syna, który teraz robi, co w jego mocy, by uchronić dobre imię ojca.

Przez chwilę w sali panowała kompletna cisza.

— Tamtego wieczoru moja matka nie wróciła do domu na noc — zaczął Edgar Herold. Wszyscy, włącznie z Pią, spojrzeli na niego zaskoczeni. Mężczyzna oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach. — Ojciec szalał ze złości, ale nie mógł jechać jej szukać, bo wzięła samochód — mówił dalej głucho. — Był pijany, jak prawie zawsze, i wyładowywał złość na mnie. Wtedy już nie odważał się dręczyć Clemensa, bo mój starszy brat mógł mu oddać z nawiązką. W końcu jednak był tak pijany, że po prostu usnął. Wtedy razem z Clemensem wymknęliśmy się z domu i na piechotę ruszyliśmy szukać mamy. Tamtego wieczoru była bardzo silna burza i obawialiśmy się, że mama mogła spowodować jakiś wypadek. Po drodze spotkaliśmy naszego trenera piłki nożnej, Leona Kellera. On się kolegował z moim bratem, wtedy był strasznie wzburzony. Myślałem, że to wszystko przez przegrany mecz. Clemens też się na niego wkurzył i chciał się z nim bić. Niewiele rozumiałem z ich kłótni, ale pamiętam, że zapytałem Clemensa, dlaczego nasza matka jest dziwką i co to w ogóle znaczy. Nie odpowiedział.

Popatrzył na Pię z wyrazem twarzy, który odzwierciedlał rozpacz, jaką wzbudziła w nim świadomość, że zmarnował sobie życie. Jego grubo ciosana

twarz była koloru popiołu. Pia zobaczyła w nim przestraszonego jedenastolatka, który chroniąc się przed brakiem miłości, agresją, przemocą i zakłamaniem, jakie panowały w jego rodzinnym domu, otoczył się murem cynizmu i obojętności. Niespodziewanie ogarnęło ją współczucie i zaczęła go żałować.

— Od tamtej nocy bezustannie zadaję sobie pytanie, co się stało z Arturem. Nie potrafię tego wyprzeć z pamięci. Potem nic już nie było takie samo. Moja matka i ojciec tylko się kłócili, wrzeszczeli na siebie i się bili. A ja byłem przekonany, że to moja wina.

Jego spojrzenie powędrowało w kierunku Petera Lessinga, który jeszcze ani razu nie uniósł głowy.

— Ty nas wszystkich oszukiwałeś! — wybuchnął ślusarz niespodziewanie. — To ty nie chciałeś, żebyśmy do niego wrócili! Ty nawrzeszczałeś na Konniego i Romana, kiedy chcieli biec do majątku Bodensteinów sprowadzić pomoc. Ty nas zmusiłeś, żebyśmy milczeli. Ty i tylko ty jesteś winny temu, że to wszystko się wydarzyło, bo niepotrzebnie się kłóciłeś z sędzią, który dał ci czerwoną kartkę i przegraliśmy mecz! To dlatego musieliśmy wracać piechotą do domu! I przez to byłeś taki wściekły, że rzuciłeś się na Artura, kiedy go spotkaliśmy! — Herold zerwał się z miejsca tak gwałtownie, że przewrócił krzesło. — No śmiało, przyznaj się, jak wciskałeś nam tę swoją kłamliwą historyjkę, żebyśmy trzymali gęby na kłódkę, a w razie czego mieli wspólną wersję!

Peter Lessing uniósł głowę i spojrzał Edgarowi w oczy. Pia nie byłaby zaskoczona, gdyby z powodu tych wszystkich zarzutów i pod presją grupy stracił panowanie nad sobą — lecz nic takiego się nie stało. Wszystko zdawało się spływać po nim jak po kaczce.

— Otwórz w końcu gębę i powiedz, jak było naprawdę! — krzyczał Edgar. — Nie ma już powodu kłamać!

— Edgar ma rację, ale nie do końca — oznajmił Ralf Ehlers. — Peter rzeczywiście zabronił nam biec po pomoc. Nie lubił Artura, ale przecież nikt z nas go nie lubił. Jednak to Inka była najbardziej zazdrosna o Artura, bo został najlepszym przyjacielem Olivera, który przez to nie chciał mieć z nami nic wspólnego.

— Czy to prawda? — zapytała Pia.

Wahanie. Niepewność. Nikt nie patrzył w stronę Inki Hansen, która siedziała jak skamieniała i nie odrywała wzroku do swoich splecionych dłoni.

— Tak, to prawda — potwierdził w końcu gruby piekarz. — Bo w gruncie rzeczy to Inka wszystkim sterowała. Peter jej za to nienawidził.

Potakiwanie, ze wszystkich stron.

— Peter wymyślił wersję, że w ogóle nie spotkaliśmy Artura — zaczął wyjaśniać Roman Reichenbach. — Zgodnie z nią mieliśmy wrócić prosto ze Schneidhain do domów.

Cisza.

— Co się wtedy dokładnie stało? Jak przebiegało wasze spotkanie z Arturem? — zapytał Lombardi. — Kiedy nam to powiecie, będziecie wolni, możecie wstać i wyjść.

Musieli doprowadzić rzecz do końca, mimo że mieli już pewność, że to nie przybliży ich do mordercy Rosie Herold, Clemensa i starego duchownego. Jednak te wielkie emocje, które się tu rodziły, mogły obudzić wspomnienia i wśród opowieści mogło paść nazwisko, które poprowadzi ich we właściwym kierunku.

— Goniliśmy Artura, aż uciekł nam na drzewo. Był zwinny jak wiewiórka. — Edgar Herold przerwał pełne napięcia milczenie. — Żadne z nas nie mogło dotrzymać mu kroku. Staliśmy na dole i czekaliśmy, aż zejdzie. Inka rzuciła się na lisa, ale on ją ugryzł. Wtedy Klaus dopadł to biedne zwierzę, a Inka zaczęła wrzeszczeć na niego, żeby mu skreślił łeb. Artur krzyczał z góry, żeby tego nie

robili i że zaraz zejdzie, ale było już za późno. Przy czym on tak się spieszył, że się pośliznął i spadł. Simone, Klaus i Andi uciekli pierwsi. Potem Roman i Konni. Na końcu zostaliśmy tylko Ralf, Peter, Inka i ja. Jej zupełnie odbiło i rzuciła się na Artura, który leżał pod drzewem, i zaczęła go kopać i po nim skakać. Ralf i ja w końcu nie wytrzymaaliśmy i ją odciągnęliśmy. Błyskało już i grzmiało, więc musieliśmy wracać, żeby nie dostać ostrej bury w domach. A tak by było, gdybyśmy nie wrócili przed burzą. — Głos mu drżał, a po nieogolonym policzku potoczyła się pojedyncza łza. — A on... Artur... on za nami wołał... prosił nas o pomoc... Ja... ja się obejrzałem... Do końca życia nie zapomnę tego widoku. Jak on tam leżał... ten Artur... i jak... jak on przytulał... martwego lisa... i płakał... — Łzy szerokim strumieniem spływały mu na brodę. — Od tamtej chwili nie potrafię spojrzeć w lustro. Wstydzę się, że okazałem się takim tchórzem. Bardzo tego żałuję. Zapłaciłem za to ogromną cenę, może mi pani wierzyć. Od czterdziestu dwóch lat bez przerwy ją płacę. Każdego pieprzonego dnia!

PO TYM, JAK EDGAR HEROLD ZACZAŁ, innym również rozwiązały się języki. Nie mieli kłopotów, żeby mówić o tym, co się wydarzyło, a na twarzach mieli wypisaną ulgę, że po tak długim czasie w końcu mogą zrzucić z barków ten ciężar. Wszyscy, z wyjątkiem Inki Hansen. Nie odezwała się ani słowem nawet wówczas, kiedy Lessing otwarcie wyznał, czym go szantażowała. Pia puściła do domów wszystkich z wyjątkiem Ralfa Ehlersa, bo wciąż brakowało logicznego wyjaśnienia, skąd na łomie, którym pobito Pauline Reichenbach, znajdowały się jego odciski palców.

Pia zebrała wszystkie papiery. Spieszyła się do Ruppertshain, żeby opowiedzieć Bodensteinowi o wynikach konfrontacji. Przez cały czas czuła dziwne mrowienie z tyłu głowy i miała poczucie, że coś przeoczyła. Rosie Herold nie spotkała się tamtego dnia na schadzce z ojcem Petera Lessinga, bo wtedy ten na pewno zniszczyłby zaraz wszystkie dowody, zamiast je

przechowywać. O nie, Lessing dostrzegł po prostu, że można wykorzystać te wiadomości, aby kogoś szantażować. Tylko kogo? Konkurenta do sprawowania władzy we wsi? Albo kogoś, czyja wdzięczność była dla niego ważna? Kogoś, kto miał bardzo dużo do stracenia... Czyżby ojca któregoś z dzieciaków?

Kiedy wracała schodami na górę, znów przypomniała sobie słowa C.G. Junga. Jego zasada synchroniczności dotycząca wszechzwiązku zdarzeń zakładała pojawienie się równolegle dwóch wydarzeń o podobnym znaczeniu dla obserwatora, jednak niepowiązanych przyczynowo. Pia zatrzymała się gwałtownie. Teraz, kiedy poznała historię widzianą oczami dzieci, zrozumiała, że doszło do dokładnie takiej sytuacji. Ci, którzy gonili Artura i zapędzili go na drzewo, a potem zostawili w lesie rannego, nie mieli nic wspólnego z tym, czego dopuściła się Rosie i jej tajemniczy kochanek. To były dwa całkowicie oddzielne wydarzenia, które ktoś zaczął postrzegać jako powiązane. Żadne z dzieci nie zdradziło się słowem o wypadku w lesie. Rodzice wyciągnęli swoje własne wnioski i — celowo lub nie — przekonali dzieci, że to one zabiły Artura. To kolejna już tragedia w tej układance, tym razem spowodowana brakiem zaufania w rodzinach i żądzą władzy, która kierowała doktorem Lessingiem.

Jednak gdzie w tej układance było miejsce dla Leona Kellera? Gdyby był nieznajomym, który spotkał się wtedy z Rosie, raczej na pewno nie wykrzyczałby jej synowi w twarz, że jest dziwką. Leo Keller coś zauważył. Coś brzemiennego w skutkach i zgubnego. Z kim o tym rozmawiał? Komu mogła zagrozić jego wiedza? I dlaczego atak na niego miał miejsce dopiero jakiś czas po zdarzeniu?

Pia biegiem pokonała ostatnie stopnie i raz jeszcze zajrzała do świetlicy, w której znajdował się sztab specjalnej grupy operacyjnej. Chciała zapytać o wrażenia po konferencji prasowej. Popatrzyła na współpracowników, którzy

mimo późnej godziny siedzieli skupieni przy biurkach i z pełnym poświęceniem pracowali, nie zważając na to, że dawno już powinni być w domach. Telewizor na ścianie grał bez dźwięku. Wszystkie stacje pokazały w wiadomościach fragmenty konferencji. O dziewiątej wieczorem całe nagranie umieszczone na YouTube miało już trzy miliony odtworzeń, a użytkownicy w niezliczonych komentarzach informowali o swoim współczuciu dla Valentyny Berjakov i ostro krytykowali nieudolność policjantów. Dlaczego jeszcze nikogo nie aresztowali? Dlaczego nie radzili sobie z ujęciem mordercy? Krytyka policji brała się z oglądania amerykańskich seriali, takich jak *CSI*, w których profiler, technik w laboratorium czy analityk komputerowy nawet najbardziej skomplikowane sprawy rozwiązywali z pomocą najnowszych technik i technologii w ciągu kilku godzin, góra dni. Oglądający takie filmy wierzyli, że wystarczy wprowadzić do komputera kilka danych i — szast-prast — na ekranie ukazuje się zdjęcie sprawcy albo ofiary ze szczegółowym biogramem, aktualnym numerem konta i telefonu oraz współrzędnymi, gdzie akurat przebywa. W rzeczywistości praca policji bywa znacznie bardziej żmudna i niewdzięczna. Składa się na nią przekopywanie się przez stopy akt i analiza nieprawdopodobnej liczby danych, przy czym nie wolno pominąć najdrobniejszego szczegółu.

— Dostaliśmy całą masę zupełnie nieprzydatnych informacji, ale to już standard. — Kathrin Fachinger obróciła się na krześle i zdjęła z głowy słuchawki z mikrofonem, podłączone do telefonu. W zasadzie tylko dwa telefony były w jakimś stopniu interesujące.

Razem z pozostałymi odbierała połączenia od widzów, którzy widzieli konferencję prasową i dzwonili na jedną z dziewięciu gorących linii. Kathrin zmarszczyła czoło i zaczęła kartkować listę. Każde połączenie dostawało swój numer i było klasyfikowane jako ślad.

— O, mam. Ślad numer czterdzieści siedem. Niejaka Antje Ortenstein twierdzi, że w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych Rosemarie Herold można było spotkać w lokalu o nazwie Sweet Pussycat w Königstein przy Georg-Pingler Strasse. Ponoć pracowała tam w obsłudze.

— Przynajmniej jakaś sensowna wiadomość. Odwiedzi nas ta kobieta?

— Niestety. — Kathrin potrząsnęła głową. — Mieszka we Flensburgu. Mam za to jej telefon i adres. I jeszcze ślad numer sto jedenaście. Claudia Ellerhorst. Dawniej mieszkała w Ruppertshain i była koleżanką Valentyny Berjakov. Przyjdzie jutro rano, ale gdyby ktoś chciał do niej wcześniej zadzwonić, na wszelki wypadek zostawiła swój numer telefonu.

Pia miała nadzieję, że dowiedzą się czegoś ciekawszego, lecz zdawała sobie sprawę, że im dawniej wydarzyła się sytuacja, o którą pytano, tym mniejsze były szanse na pomocny odzew ze strony społeczeństwa.

— Są też wieści z laboratorium — poinformował Kai, nie odrywając wzroku od ekranu laptopa. — Psia sierść z ubrania Pauline Reichenbach jest długa, czarna i falowana.

— Czyli nie pochodzi od pitbullów Ralfa Ehlersa. I również na pewno nie od psów, które Elias przywiózł do młyna i zamknął w kojcu — wywnioskowała Pia na podstawie otrzymanej właśnie informacji. — Świetnie, po prostu coraz lepiej.

— Smartfon i komputer z samochodu Pauline są najprawdopodobniej nie do uratowania. Zbyt długo przebywały w wodzie. — Kai w końcu podniósł wzrok i założył dłonie za głowę. — Mimo to technicy robią wszystko, co w ich mocy. Nie ma najmniejszego śladu po Eliasie i jego dziewczynie. Jakby zapadli się pod ziemię.

— Zadzwonź jeszcze raz do Haverlandów. Zapytaj o najlepszą przyjaciółkę ich córki i ludzi, z którymi utrzymuje kontakty. Może ma ciocię, którą lubi. Dowiedz się też, czy nie mają gdzieś w pobliżu domku letniskowego.

— Zaraz będzie północ — zauważył Kai.

— Nie sadzę, żeby leżeli w łóżkach — odparła Pia. Jej wzrok padł na zdjęcie Eliasa zawieszone na jednej z tablic magnetycznych. W budynku obok gospody Dom Przyjaciół Lasu roило się od jego odcisków palców. Wszyscy byli niemal pewni, że to on zamordował Felicitas Molin. Jednak czy ten drobny chłopak o delikatnych ustach rzeczywiście był zdolny do tak brutalnego czynu? Do podcięcia komuś gardła kuchennym nożem tak głęboko, że ostrze oparło się na kręgosłupie, potrzebna była ogromna siła i bardzo silne emocje.

Gdzie się ukrywał? Wszędzie w okolicy grunt palił mu się pod nogami. W końcu będzie musiał zatankować. Czy zaryzykuje wizytę na stacji benzynowej? W duchu liczyła, że za chwilę przyjdzie informacja, że został namierzony. Miała też nadzieję, że nikt nie będzie odgrywał bohatera i nie sprowokuje go do skorzystania z broni.

Jakie miał w ogóle opcje? Komu mógł zaufać? Felicitas nie żyła. Pauline leżała w śpiączce. Ralf Ehlers siedział w celi... zamarła. Co Ehlers powiedział wcześniej? Że nie wierzy, żeby Elias coś zrobił Pauline, bo go zna. Bo Elias często u niego bywał.

— Stój! — zawołała do Kaia, który wybierał już numer do państwa Haverlandów. — Chyba wiem, gdzie są Elias i Nike.

— Gdzie?

— W młynie Ralfa Ehlersa! — Pia sięgnęła po komórkę i wybrała numer szefa. — Znajdziemy go tam, zobaczycie. Często w młynie przemieszkiwał. To tam zawiózł psy Felicitas Molin. Cholera, dlaczego wcześniej na to nie wpadłam?!

ŚRODA 8 PAŹDZIERNIKA 2014

B yła pierwsza nad ranem, kiedy Pia dotarła na leśny parking między Ruppertshain a Schlossborn, na którym do akcji przygotowywała się już mała armia. Odziani w czarne mundury funkcjonariusze oddziału realizacyjnego zakładali hełmy i sprawdzali wyposażenie. Bodenstein i potężny łysy policjant stali nachyleni nad mapą okolicy rozłożoną na masce groźnie wyglądającego czarnego wozu taktycznego, wykorzystywanego przez mobilny oddział realizacyjny policji. Joachim „Joe” Schäfer, dowódca jednostki, był niepoprawnym typem macho, ale zarazem najlepszym człowiekiem do takich akcji. Pia знаła go z wcześniejszych wspólnych akcji bojowych i jako wykładowcę dwóch przedmiotów w szkole policyjnej. Po raz ostatni spotkała go przed pięcioma laty, gdy również uzbrojony młody chłopak wziął dwójkę zakładników. Na szczęście obyło się wtedy bez rozlewu krwi.

— Hej, Joe! — przywitała atletycznego dowódcę jednostki specjalnej. Schäfer się odwrócił.

— No patrzcie, kogo my tu mamy! Była pani Kirchhoff! — Uśmiechnął się szeroko. — Cześć, Pia! Niestety, twoje aktualne nazwisko wyleciało mi z głowy.

— Zabrzmiało to tak, jakbym co dwa lata je zmieniała. — Po czterdziestu ośmiu godzinach niemal całkowicie pozbawionych odpoczynku i snu Pia nie była w nastroju na wysłuchiwanie zaczepek Joego. — Jaki status?

— Od strony Schlossborn postawiliśmy blokadę, drugą na wysokości parkingu — odparł Bodenstein i palcem wskazał oba miejsca na mapie. — Dom ma dwa wejścia. Chłopcy Joego wchodzą od frontu i jednocześnie

zabezpieczają tył.

— Przy odrobinie szczęścia zaskoczmy ich we śnie i nie będą stawiali oporu. — Schäfer się uśmiechnął. — Są tam psy? Albo reflektory z czujnikiem ruchu?

— W tej chwili nie ma tam zwierząt — odpowiedziała Pia. — Jednak z naszym celem przebywa młoda dziewczyna, która jest w bardzo zaawansowanej ciąży. To siedemnastolatka, a my nie mamy pewności, czy przebywa tam dobrowolnie, czy została do tego zmuszona. Dlatego proszę nie używać granatów hukowych ani gazu łzawiącego, jeśli to nie będzie absolutnie konieczne.

— W porządku. — Joe Schäfer uniósł brwi i przyjrzał się Pii uważnie. — Jakież dodatkowe informacje?

— Nasz cel jest uzbrojony, dysponuje pistoletem kaliber dziewięć milimetrów z ostrą amunicją. Już raz go użył.

— To wiem.

Na parking wjechała karetka pogotowia, a za nią kolejny radiowóz.

— W takim razie ruszajmy.

Schäfer poszedł omówić akcję ze swoimi ludźmi, a Pia została sama z Bodensteinem. Dotychczas nie miała okazji opowiedzieć mu o szczegółach konfrontacji w sali przesłuchań, lecz i teraz nie był to dobry moment.

— Wiesz, co mnie cały czas zastanawia? — zapytała. — Nie rozumiem, dlaczego ten ktoś nie usunął z grobu szkieletu Artura. Miał na to ponad czterdzieści lat, mógł przenieść jego szczątki i ukryć gdzieś, gdzie byśmy go nie znaleźli.

— Wiesz, że też się nad tym głowiłem — odparł Bodenstein. — Doszedłem do wniosku, że to Rosie dopiero następnego dnia razem z mężem ukryła zwłoki Artura. Może mu wmówiła, że nie zauważyła chłopaka i przez przypadek go przejechała. A nasz sprawca nigdy się nie dowiedział, co się stało z ciałem.

— Mówimy o tym tak, jak byśmy mieli pewność, jak to wtedy wyglądało.
— Pia westchnęła i potrząsnęła głową. — A przecież opieramy się jedynie na domysłach. Tymczasem opinia publiczna zaczyna nas ostro naciskać. Na razie mamy jeszcze kryte plecy, ale jeśli szybko nie zakończymy śledztwa, zaczną się poważne problemy.

Bodenstein oparł się o błotnik wozu taktycznego. Zapalił papierosa. W błysku płomienia zapalniczki Pia dostrzegła na jego twarzy zwątpienie we własne siły i frustrację.

— Hej, szefie, na pewno wszystko w porządku? — zapytała ostrożnie.

— Nie — odpowiedział szczerze. — Nic nie jest w porządku. Jak mogłem się aż tak pomylić?

— Pomylić? A kiedy się pomyliłeś? — zdziwiła się Pia.

— Wiesz co? Powinienem być się zaraz na początku wycofać z udziału w tej sprawie. To naprawdę zły pomysł, żeby śledczy badał coś, w co sam jest tak bardzo zaangażowany.

— Obawiam się, że cię nie rozumiem.

— Choćby Leo Keller. Powinniśmy byli przesłuchać go znacznie wcześniej. Ty chciałaś wezwać go na rozmowę już w niedzielę, ale ja oponowałem, bo się bałem, że ludzie mogą sobie o nim przypomnieć i zacznie się polowanie na czarownice. Dlaczego nie zauważyłem, że pasuje do naszego profilu?!

— Bo nie pasował! — zaprotestowała Pia z naciskiem. — Założyliśmy, że sprawcą jest osoba bardzo sprawna fizycznie i ponadprzeciętnie inteligentna, do tego mobilna i niezależna, dzięki czemu może przemieszczać się po okolicy w godzinach pracy i nikt nie zwraca na nią uwagi, bo ją zna. Leo Keller to ograniczony umysłowo pracownik służb komunalnych, który od zawsze porusza się rozklekotanym mopedem, ma ponad sześćdziesiąt lat i cały czas mieszka z matką.

— To jeszcze nic nie znaczy. — Bodenstein zaciągnął się mocno

papierosem.

— Nieprawda, to znaczy bardzo wiele! — Pia potrząsnęła głową. — Nie popełniłeś żadnego błędu, Oliver! I jeśli Leo rzeczywiście nie jest tym, za kogo się podawał, to nie twoja wina. Nikt nie mógł tego przewidzieć.

— Dobra, jesteśmy gotowi. — Z ciemności wynurzył się Joe Schäfer. Miał na głowie hełm i maskę taktyczną. — Wy jedziecie na miejsce z nami, więc założcie kamizelki kuloodporne. Gdy będziemy blisko, obowiązuje cisza. Nocą w lesie każdy dźwięk wydaje się dwa razy głośniejszy niż za dnia.

SIERP KSIĘŻYCA zniknął za chmurami, kiedy zatrzymali się w pobliżu młyna i wysiedli z samochodu. Nocą w ich okolicy nigdy nie było idealnie ciemno, bo w pobliżu leżało ogromne miasto, strefa przemysłowa Höchst i lotnisko. Za to tutaj, w dolinie skrytej za wzniesieniami, między wysokimi drzewami, mrok nocy był nieprzenikniony. Do Pii i Bodensteina podeszli Cem i Tarik, którzy na miejsce przybyli innym wozem oddziału specjalnego. Nie było wiatru, a całe niebo przykryły gęste, ciężkie chmury. Członkowie oddziału realizacyjnego poruszali się bezgłośnie niczym duchy. Sprawnie rozdzielili się na dwie grupy, z których jedna od razu zniknęła za budynkiem, by zabezpieczyć tylne wyjście, a druga ruszyła od frontu. Dzięki noktowizorom bez najmniejszych problemów omijali śmieci i gruz na podwórzu. Przed domem stało volvo Ralfa Ehlersa, dokładnie tak, jak je zostawił. W budynku panowała ciemność. Żadnego ruchu. Pia podskoczyła ze strachu, kiedy obok niej zupełnie niespodziewanie pojawił się Joe Schäfer.

— W lesie za stodołą stoi czarne bmw x5 — szepnął jej na ucho. Napięcie rosło, bo czym innym było uczestnictwo w nocnej akcji bojowej, której wynik był trudny do przewidzenia, a czym innym w takiej, kiedy istniała pewność, że poszukiwana osoba znajduje się w budynku, który zaraz zostanie zabezpieczony. Jednocześnie Pia coraz bardziej martwiła się o Nike Haverland.

— To samochód, którym przemieszczał się chłopak — potwierdziła. Najchętniej weszłaby do środka razem z roslými policjantami, żeby zapewnić dziewczynie bezpieczeństwo i w razie konieczności usunąć ją z linii strzału. Wiedziała jednak, że proszenie Schäfera o pozwolenie na uczestnictwo w szturmie byłoby stratą czasu.

— Dobra, w takim razie wchodzimy! — szepnął szef oddziału. — Wy schowajcie się za paletą z kostką brukową, tam z przodu, i poczekajcie, aż będzie czysto. Zaczynamy!

— Gdybyś zechciał dać nam noktowizor, pewnie nawet byśmy mogli trafić do tej palety — powiedziała trzeźwo.

— Noktowizora ci nie dam, ale zaprowadzę cię tam za rękę — odparł Schäfer i przeprowadził ją przez podwórze. Bodenstein, Cem i Tarik szli za nią i również schowali się we wskazanym miejscu. Schäfer wrócił do swoich ludzi. Dookoła panowała cisza, zakłócana jedynie przez delikatny szum drzew. Mijały sekundy, potem minuty i nic się nie działo. Pia drżała z niecierpliwości i zdenerwowania. Dlaczego to tak długo trwało?

— O Boże! — sapnął niespodziewanie Bodenstein i podskoczył gwałtownie. — To był szczur! Przebiegł mi po ręce!

W tej samej chwili rozległ się huk i drzwi wypadły z futryny, a w jednym z okien błysnęło. Pia usłyszała krzyki.

— Cholera jasna! — Kobieta nie wytrzymała za paletą i schyłona ruszyła biegiem przez podwórze. Przecież prosiła Schäfera, tego dupka skończonego, że ma być ostrożny, prawda? Mówiła mu wyraźnie, że tam jest ciężarna nastolatka, więc nie ma używać pirotechniki! Udało jej się pokonać całą drogę w ciemnościach bez potknięcia i wbiec do drzwi po schodkach, gdzie zderzyła się z jednym z policjantów, który równie szybko jak ona do środka, chciał wydostać się na zewnątrz. Przez kilka sekund widziała przed oczyma wirujące gwiazdki.

— Co tam się stało? — zapytała ze złością i potarła czoło.

— Dziewczyna ma już bóle. — Głos funkcjonariusza brzmiał głucho, tłumiony przez maskę i hełm. — Potrzeba karetki i lekarza.

— Niech to szlag! — Pia przecisnęła się obok niego do wnętrza, które wydawało się malutkie przez potężnych, ubranych na czarno mężczyzn z bronią.

— Skąd ja wiedziałem, że nie będziesz grzecznie czekała na zewnątrz, Kirchhoff — powiedział Schäfer z wyraźną dezaprobatą w głosie i zdjął maskę. — Gdybyś tak zrobiła na kursie, oblałbym cię na egzaminie.

— Ty też byś oblał, Schäfer! — Pia nie pozostała mu dłużna. — Jako osoba koordynująca całe śledztwo wydałam ci bardzo jednoznaczne polecenie, by nie używać granatów!

Schäfer prychnął rozeźlony.

— No i? — W korytarzu pojawił się Bodenstein.

— Nie stawiali oporu — burknął Joe. — Cel rozbrojony. Mamy całą trójkę.

— Jak to? Nike już urodziła?

Schäfer w odpowiedzi wskazał głową w stronę pokoju. Bodenstein i Pia przecisnęli się do środka. Elias Lessing klęczał na dywanie i nie raczył nawet podnieść głowy. Na jego kolanach opierała głowę Nike Haverland. Była bardzo blada, a on ręczniczką wycierał jej twarz z potu i trzymał za rękę. Dziewczyna leżała na plecach. Oddychała gwałtownie i miała szeroko otwarte oczy.

— Nie wytrzymam! — wyjęczała i zadrżała z bólu. Dopiero wtedy Pia dostrzegła drugiego mężczyznę obok. Nike trzymała go drugą ręką.

— Oddychaj — powiedział miłym głosem i bez śladu jękania. — Staraj się spokojnie oddychać!

— Cześć, Leo — przywitał się Bodenstein.

Mężczyzna odwrócił głowę. Na jego ustach pojawił się delikatny uśmiech.

Żadnych tików nerwowych. Żadnego ślinienia się.

— O, Oliver. Witaj — odparł. — Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Daj mi tylko kilka chwil.

CZAS BARDZO ŁASKAWIE obszedł się z Leonem Kellerem: jego twarz znaczyły wprawdzie liczne zmarszczki, lecz wciąż był tak samo zwinny i umięśniony jak w młodości. Miał gęste, krótkie ciemne włosy, poprzeplatane siwymi pasmami. W latach siedemdziesiątych zapuścił je do ramion.

Funkcjonariusze z oddziału wycofali się do wozów i odjechali. Na podwórzu stała karetka z otwartymi drzwiami. Przyjechali też rodzice Nike Haverland. Ulgę, że odnaleźli córkę całą i zdrową, zakłócała jedynie świadomość, że za chwilę zostaną dziadkami, a Nike ani myśli oddać dziecka do adopcji. Dziewczyna leżała w karetce, Elias siedział obok niej i głaskał ją po rękę.

Leo Keller stał w otwartych drzwiach i patrzył na nich.

— No i jak, jesteś już gotów? — zapytał Bodenstein. Nie mógł się doczekać, by zadać mu te wszystkie pytania, które kłębiły się w jego głowie.

— Chcą mu dać na imię Leo — obwieścił Keller z zadowolonym uśmiechem.

— Miejmy nadzieję, że to będzie chłopak, a nie dziewczynka — odparł Bodenstein oschle.

— Nic się nie przejmuj, wtedy byłaby Leonora. — Keller puścił do niego oko. — Jak twoja matka.

Bodenstein potrząsnął głową.

— Chodź, musimy jechać. Mamy kilka spraw do omówienia.

— Żebyś wiedział. — Keller potaknął i ruszył za Bodensteinem przez podwórze do auta, które Cem przyprowadził z parkingu. Na miejsce przybyli również Peter Lessing i jego żona, lecz Elias, który z ciężkim sercem opuszczał swoją dziewczynę, nie zaszczycił ich ani jednym spojrzeniem. Pia

założyła mu kajdanki i odprowadziła do radiowozu.

O wpół do czwartej nad ranem ulice były puste. W drodze do komendy w Hofheim minęli zaledwie kilka samochodów. Leo siedział spokojnie na przednim siedzeniu. Ręce trzymał na kolanach i patrzył na drogę przed maską.

— Pewnie cały czas się zastanawiasz, dlaczego przez czterdzieści lat udawałem wioskowego idiotę — powiedział po chwili.

— Tak, to mi nie daje spokoju — potwierdził Bodenstein. Wciąż jeszcze nie mógł dojść do siebie rozbity metamorfozą człowieka, którego przez całe życie uważał za osobę niepełnosprawną umysłowo i ruchowo. Człowieka, któremu od zawsze współczuł. — Po ci to było? Na co to całe przedstawienie? Dlaczego po prostu nie wyjechałeś dokądś, gdzie nikt cię nie zna?

— Nie mogłem zostawić matki samej. Nie po tym, co ona i mój tata musieli przeze mnie przejść. Urodziła się w Ruppertshain i tu spędziła całe życie, tak samo jak jej rodzice i dziadkowie. Nie chciała zostawiać taty samego na cmentarzu, dlatego dałem jej słowo, że zostanę razem z nią.

— Ale przecież byłeś naprawdę ciężko ranny i przez kilka miesięcy leżałeś w śpiączce. Jak to możliwe, że wyzdrowiałeś i nikt tego nie zauważył?

— To nie jest tak, że całkowicie wyzdrowiałem, na pewno nie — odparł Leo. — Na szczęście uszkodzeniu uległy tylko te części mózgu, które potrafią się regenerować. Mimo to potrzebowałem wielu lat, żeby znów nauczyć się mówić czy odzyskać sprawność ruchową. Miałem świetnych lekarzy, których doprowadziłem na skraj szaleństwa, bo nie potrafili zrozumieć, jak to możliwe, że doszedłem do pewnego miejsca i dalej nie robiłem już żadnych postępów. To był mechanizm obronny. Teraz w końcu mam szansę całkowitego powrotu. Przez te wszystkie lata tak bardzo przyzwyczałem się do swojej roli, że stała się moją drugą naturą. To mi bardzo pomagało. Ludzie zakładali, że nic do mnie nie dociera, bo się jąkałem, śliniłem i niewyraźnie mówiłem.

Bodenstein nie był pewny, czy potrafi sobie wyobrazić skalę podwójnego

życia Leona i wynikających z tego konsekwencji. Mężczyzna nie wiedział, że jest podejrzany o popełnienie kilku morderstw, ani tym bardziej że policja przeszukała jego mieszkanie. Oliver ustalił wcześniej z Pią, że dopiero na komendzie skonfrontują go z tymi faktami.

— Oficjalnie cały czas figurujesz w aktach sprawy Artura Berjakova jako sprawca, którego ze względu na stan zdrowia nie da się przesłuchać ani postawić mu zarzutów — oznajmił Bodenstein.

— I jeszcze z braku dowodów. Tak, wiem o tym. — Leo pokiwał głową. — Nie znaleziono ciała, nie było świadków i nikt nie potrafił wskazać miejsca, gdzie miałyby zostać dokonana zbrodnia. Teraz się to zmieniło.

Westchnął ciężko.

— Od czterdziestu lat staram się sobie przypomnieć, co się wówczas wydarzyło, jednak czas przed moją próbą samobójczą i po niej jest jak czarna dziura. Nic nie pamiętam. Próbowałem naprawdę wszystkiego, kontaktowałem się z najlepszymi specjalistami, poddawałem się hipnozie, chodziłem do psychoterapeuty, próbowałem nawet przez osoby o nadprzyrodzonych zdolnościach kontaktować się z duchami i pytać, co się stało z Arturem i czy ja miałem z tym cokolwiek wspólnego. I nic. Najmniejszego śladu, wszystko na marne.

— Doznałeś bardzo ciężkiego uszkodzenia mózgu.

— Tak, to prawda. Ale to też jest dla mnie zagadką, bo do dzisiaj nie potrafię zrozumieć, dlaczego miałbym targnąć się na swoje życie. Nie umiem sobie wyobrazić, że byłbym w stanie skrzywdzić dziecko, a poza tym lubiłem Artura. Miał niesamowity talent, był grzeczny i nikomu nie robił na złość. Wciąż dzień i noc dręczy mnie niepewność, czy mam na sumieniu życie dziecka. Jestem mordercą czy nie?

— W tej chwili mamy pewność, że nie próbowałeś popełnić samobójstwa — wyjawiał Bodenstein. — Ktoś chciał cię zabić.

— Słucham?! — Leo znieruchomiał.

— Wiemy to dzięki błyskotliwości jednego z młodszych współpracowników — tłumaczył policjant. — Przyjrzał się dokładnie aparatowi ubojowemu, którego miałeś użyć, przeanalizował jego budowę i działanie i stwierdził, że użyłeś najslabszego ładunku.

— No i?

— Byłeś rzeźnikiem i dość długo pracowałeś w masarni i ubojni. Nikt początkujący, tylko profesjonalista. Gdybyś chciał się zabić, użyłbyś najmocniejszego ładunku, prawda?

Mężczyzna potaknął w milczeniu.

— I najprawdopodobniej przyłożyłbyś sobie to ustrojstwo do czoła, a nie do potylicy.

— Tak, pewnie tak — potwierdził Leo zachrypniętym głosem. — Ale... ale co to może oznaczać?

Czy naprawdę tego nie rozumiał?

— To, że stanowiłeś dla kogoś zagrożenie — wyjaśnił Bodenstein. — Wiedziałeś coś, co mogłoby zaszkodzić mordercy. Dlatego chciał się ciebie pozbyć i jednocześnie upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, bo wówczas samobójstwo było traktowane przez policję jako przyznanie się do winy.

Spojrzał na Leona kątem oka.

— Wcześniej jakaś kobieta zadzwoniła anonimowo na policję i zgłosiła, że widziała cię wychodzącego z lasu w noc zaginięcia Artura. A policja dodała dwa do dwóch.

— CO OZNACZAJĄ NAZWISKA, które były wypisane na tablicy znalezionej w pańskim mieszkaniu? — zapytał Gianni Lombardi.

— Szukałem różnych informacji — wyjaśnił Leo Keller. — Robiłem, co mogłem, żeby odkryć prawdę.

— A dlaczego akurat teraz? Dlaczego nie dwadzieścia czy trzydzieści lat

wcześniej?

— Bo dopiero teraz coś się zmieniło. Z powodu śmierci Rosie Herold.

— Co takiego się zmieniło z powodu jej śmierci?

— Ludzie zaczęli mówić.

— Wcześniej unikali tematu i nie rozmawiali o zaginięciu Artura?

— Nie. Nigdy.

— No dobrze. Co w takim razie mówią teraz?

— Dyskutują o domysłach. Wymieniają się plotkami.

— Aha.

Minęła czwarta nad ranem, a Pia zasypywała Leona pytaniami, nie dając ani jemu, ani sobie czasu na zastanowienie. Bodenstein z rosnącym dyskomfortem przyglądał się sposobowi, w jaki razem z Lombardim prowadziła przesłuchanie. W ich oczach Keller był podejrzany o dokonanie morderstwa. Wprawdzie poinformowali go o jego prawach, jednak w jego odczuciu nie dość jasno mu powiedzieli, że powinien wezwać adwokata, zanim zacznie odpowiadać na ich pytania. Gdyby miało się okazać, że rzeczywiście jest mordercą, takie zaniedbanie mogło doprowadzić do niewłączenia zeznań podejrzanego do materiału dowodowego i do odrzucenia aktu oskarżenia.

— Od czterdziestu lat czekałem na ten moment — tłumaczył Keller. — Chcę wiedzieć, co się wtedy stało. To mi nie daje spokoju. Ktoś okradł mnie z życia.

— Skąd ta pewność? — Pia usiadła przy stole, splotła dłonie i ani na chwilę nie spuszczała wzroku z mężczyzny naprzeciwko. — Może to jednak był pan. W końcu nic pan nie pamięta.

— Właśnie ta niepewność doprowadza mnie do obłądu.

— Co pan robi, jeśli się okaże, że to jednak pan zamordował Artura?

— Tylko dlaczego miałbym to robić? — Keller spoglądał na Pię wzrokiem królika patrzącego na węża. Bał się, zdradzały to jego gesty i sposób, w jaki

siedział. Pozbawiona okien sala przesłuchań, jaskrawe światło jarzeniówek, agresywne pytania Pii i Lombardiego — wszystko to sprawiało, że zgodnie z ich zamierzeniem coraz bardziej tracił pewność siebie.

— To ja panu powiem, co my uważamy — zaczęła Pia. — Obawiał się pan, że Rosie może umrzeć i zabrać ze sobą tajemnicę do grobu. Po to udał się pan do hospicjum i próbował wyciągnąć z niej informacje. Powiedziała panu wszystko, ale prawda się panu nie spodobała, bo wyszło, że to jednak pan zamordował Artura. Dlatego pan do niej wrócił i ją udusił.

— Nie! — Leo Keller zaczął się pocić. — To nieprawda!

— Głupia sprawa, bo się okazało, że Rosie powiedziała o tym również Clemensowi i staremu księdzu. Obaj wiedzieli, co się wtedy stało, dlatego musiał ich pan uciszyć — ciągnęła Pia niewzruszonym tonem. — Nie miał pan najmniejszych problemów, żeby zaopatrzyć się w potrzebne narzędzia, nikt też nie zwracał uwagi, jak pan jeździł po Ruppertshain. Tylko że na kempingu doszło do sytuacji, której pan nie przewidział: pojawił się Elias. Świadek. Dlatego jego też musiał pan uciszyć. Felicitas Molin nie chciała zdradzić, gdzie go pan znajdzie, więc poderżnął jej pan gardło kuchennym nożem.

— Ale... ale przecież gdybym chciał zamordować Eliasa, zrobiłbym to we młynie, jak tam przyszli, prawda? — zaprotestował Leo.

— Niekoniecznie, bo nie pojawił się sam. Powstrzymała pana obecność dziewczyny w ciąży. — Pia odrzuciła jego argument. — Możliwe, że się pan zorientował, że Elias pana nie poznał. Ile jeszcze nazwisk ma pan na liście osób do usunięcia?

— Jakiej znowu liście? — Keller drżał jak osika. Udawał, czy był szczerze przerażony? Miał wiele lat, by przygotować się do takiej sytuacji. Pia wyjęła z akt karteczkę.

— Raimund Fischer, Franziska Hartmann, Heinz Keller, Hans-Peter Lessing, Karl-Heinz Herold, Gerlinde Lessing, Heribert Hansen — przeczytała

i uniosła wzrok. — Wszyscy to pana ofiary?

— Moje ofiary?! — wyszeptał Keller i z wrażenia otworzył oczy tak szeroko, jakby zaraz miały mu wyjść na wierzch. — To ja jestem ofiarą! To ja przez cały czas żyję w strachu.

— Przed czym? Przecież dopiero pół godziny temu dowiedział się pan, że to nie była próba samobójcza tylko czyjś atak — odparła Pia chłodno. — Czy może się mylę? Udawał pan zaskoczenie? Nie wierzę, że był pan ofiarą. Uważam, że pan jest sprawcą.

— Nie! — Keller stracił panowanie nad sobą i zerwał się z miejsca. — Nic nie zrobiłem!

— Proszę natychmiast siadać! — warknęła Pia, a on posłusznie usiadł.

— Skąd może mieć pan pewność, że nic pan nie zrobił? — zapytał Lombardi. — Przecież niczego pan nie pamięta!

— To prawda, niczego nie pamiętam — potwierdził Leo Keller. — Nic nie wiem, przysięgam!

Lombardi i Pia wymienili znaczące spojrzenia.

— Dlaczego mielibyśmy uwierzyć w pana niewinność? Podobnie prokurator albo sędzia? — Pia pokręciła głową. — Człowiek, który przez czterdzieści lat kłamał i udawał kogoś innego, nie jest najbardziej wiarygodnym świadkiem. Jest pan bardzo dobrym aktorem. Skąd mamy wiedzieć, że akurat teraz mówi pan prawdę?

Oddech Leona Kellera stał się bardzo szybki i płytki. Mężczyzna zaciskał dłonie i nerwowo przełykał ślinę.

— W lodówce pana domku w lesie znaleźliśmy nóż, którym podcięto gardło Felicitas Molin — powiedziała Pia i podsunęła mu zdjęcie zwłok. — Był zawinięty w koszulkę z przyszytą metką z pana nazwiskiem. Jak pan to wyjaśni?

— Już od dawna nie korzystam z tego domku — wychrypiał Keller. — Nie

mam pojęcia, jak to się tam mogło znaleźć!

— Akurat to, że nie korzysta pan z chatki w lesie, brzmi całkiem wiarygodnie. — Pia potaknęła. — Ale pan tam był. W kurzu na podłodze zostawił pan wyraźne odciski butów. W tej chwili laboratorium sprawdza wszystkie pary obuwia z pana mieszkania i jeśli któraś podeszwa będzie pasować do śladów, to powiem szczerze, że sytuacja nie będzie wyglądała zbyt ciekawie.

Keller milczał. Pot perlił mu się na czole.

— Podoba się panu w Ruppertshain? Lubi pan tam mieszkać? — zapytał Gianni Lombardi.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. — Keller wzruszył ramionami. — Dokąd miałbym się wyprowadzić?

— Pisuje pan pod różnymi pseudonimami popularne powieści i całkiem przyzwoicie pan na tym zarabia. Znacznie lepiej w każdym razie niż jako pracownik komunalny. Znaleźliśmy wyciągi z pana konta. Ma pan odłożone ponad sześćset pięćdziesiąt tysięcy euro. Z taką kasą można zamieszkać w każdym miejscu na świecie.

— To nie jest tak, jak pan myśli! — Keller uniósł dłonie. — Od przeszło czterdziestu lat z nikim poza matką nie mogłem normalnie porozmawiać! Tylko dzięki czytaniu i pisaniu nie postradałem zmysłów. I to mnie...

— Jest pan oszustem — przerwał mu Lombardi. — Udając niepełnosprawność, celowo wzbudzał pan litość i współczucie. I przy okazji dzięki temu udało się panu doprowadzić do zamknięcia śledztwa i uniknąć oskarżenia o popełnienie morderstwa. A teraz boi się pan ujawnienia, bo to będzie oznaczało, że w końcu zostanie pan pociągnięty do odpowiedzialności. Zapewne pan wie, że w Niemczech morderstwo się nie przedawnia.

— Dlaczego powiedział pan Clemensowi, że Rosie, jego matka, jest dziwką? — zapytała Pia.

— Przecież nic takiego nie powiedziałem! — wyjąkał Keller i popatrzył na nią zdezorientowany.

— Ależ powiedział pan, powiedział. Clemens i Edgar ruszyli szukać matki, bo nie wróciła do domu na noc. Spotkał ich pan w nocy z siedemnastego na osiemnastego sierpnia siedemdziesiątego drugiego roku.

Bodenstein nie mógł już dłużej wytrzymać siedzenia w pokoiku za lustrem i biernego przyglądania się przesłuchaniu. Skąd w ogóle Pia i Lombardi mieli takie informacje? Dlaczego poddawali tego człowieka takiej presji? Zerwał się z miejsca i już położył dłoń na klamce, zdecydowany przerwać ten spektakl, lecz w ostatniej chwili się opanował. Leo Keller nie był jego dawnym przyjacielem. Był podejrzanym. A on nie mógł zakłócić śledztwa z powodu własnych wyrzutów sumienia.

— Zupełnie tego nie pamiętam — wyszeptał Keller. Miał poszarzałą twarz i nerwowo pocierał dłońmi uda.

— Niech pan nam opowie o meczu w Schneidhain — zaczęła Pia. — Puchar Wakacji. Juniorzy z klubu sportowego w Ruppertshain zbłąźnili się wysoką przegraną, a pan tak się wściekł na chłopaków z drużyny, że kazał im pan wracać piechotą, zamiast jechać autobusem.

Keller spoglądał na nią zaskoczony i marszczył brwi tak mocno, że niemal stykały się nad jego nosem.

— Peter zagrał dużo poniżej swoich możliwości, a co gorsza, pokłócił się z sędzią i dostał czerwoną kartkę — ciągnęła Pia, wyjmując kolejną fotografię z teczki. Było to powiększenie zdjęcia drużyny piłkarskiej, które znalazła na Dropboksie Clemensa Herolda. — Jest pan w stanie powiedzieć, kto jest tutaj kim?

Leo Keller wyjął z kieszeni na piersi okulary i założył je drżącymi dłońmi, po czym pochylił się nad zdjęciem. Bez wahania wymienił wszystkie uwiecznione na nim osoby.

— Właśnie, a jak skończył się ten mecz? — zapytał Lombardi mimochodem.

— Sześć do zera — odparł Keller odruchowo. Nagle podniósł głowę i pobladł, a na jego twarzy pojawił się wyraz bezgranicznego zaskoczenia. — Skąd... skąd ja to wiem? Ja... ja nie wiedziałem nawet o tym meczu! Jak to możliwe, że teraz go tak dobrze pamiętam?

— Dlatego, że odbył się, jeszcze zanim doznał pan obrażeń mózgu. — Lombardi uśmiechnął się, zadowolony jak kot, który złapał mysz.

BODENSTEIN WYSZEDŁ z niewielkiego pomieszczenia, z którego można było przez jednostronne lustra obserwować przesłuchania w obu salach. Nie czekał na Pię i Lombardiego, tylko energicznym krokiem ruszył do tylnych drzwi, wyszedł na dwór i usiadł na schodkach, po czym zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem.

Życie w takiej niepewności musiało być przerażające i trudne do zniesienia, a jednocześnie jak silny jest instynkt przetrwania w człowieku! Czy w życiu Leona, za maską wioskowego idioty, pojawiały się jakieś powody do radości? Jakież szczęśliwe, wesołe czy ekscytujące chwile, które dawały mu siłę, by trwać dalej? Jak można było dzień za dniem i rok za rokiem wieść taki żywot, choć jego jakość przedstawiała się tak mizernie? Na dodatek Leo i jego matka przez te wszystkie lata żyli w miejscowości, której społeczność najpierw obarczyła winą zbiorową całą rodzinę, a następnie się od niej odwróciła.

Nagle Bodenstein przypomniał sobie motto swojego dawnego szefa, nadkomisarza Menzela z wydziału zabójstw we Frankfurcie: wracaj po śladach!

Gdyby teraz wrócił po śladach, na samym początku trafiłby na siebie. Zamiast oglądać *Bonanzę*, mógł odprowadzić Artura do domu jak każdego wieczoru i chłopak nie spotkałby w lesie reszty bandy. Potem nie doszłoby do sytuacji z Rosie i Artur żyłby nadal, szczęśliwie żonaty, z rodziną. Maxi padłby ze starości, a nie przez Klause Krolla, który skrzył mu kark. Doktor

Lessing nikogo by nie szantażował, Leo nie zostałby kaleką, a jego rodzice do samej emerytury prowadziliby niewielki sklepik wielobranżowy. Nic z tego, co przyniosło ludziom tylko cierpienie, w ogóle by się nie wydarzyło! Rosie, Clemens i stary ksiądz Maurer nie zostaliby zamordowani. Pauline Reichenbach nie leżałaby w śpiączce, a Felicitas Molin nie wykrwawiłaby się z podciętym gardłem. Taka była gorzka prawda — to on wprowadził w ruch ten okrutny i tragiczny mechanizm skutków i przyczyn, właśnie on!

Dlaczego tyle zepsuł?! Ogarnęły go ogromne wyrzuty sumienia. Nikt nie będzie mu niczego wyrzucał i nie poniesie za to odpowiedzialności — ale to chyba było w tym wszystkim najgorsze.

TEJ NOCY nikt nie zmrużył oka. Nikomu nie przeszło nawet przez myśl, żeby rzucić wszystko, wrócić do domu i położyć się do łóżka. Pia spoglądała na ich twarze i widziała zmęczenie i senność. Wciąż nie doszło do przełomu w śledztwie, a każdy badany trop okazywał się ślepą uliczką. Pierwsze przesłuchania Leona Kellera i Eliasza Lessinga pozwalały przypuszczać, że żaden z nich nie miał nic wspólnego z zamordowaniem Felicitas Molin i napadem na Pauline Reichenbach, jednak ani jeden, ani drugi nie dysponowali alibi na niedzielny wieczór, bo zgodnie z wynikami sekcji zwłok, to wtedy, między ósmą a jedenastą wieczorem, miało dojść do zabójstwa w domu przy leśnej gospodzie. Sprawca znów zagrał im na nosie i podrzucił nóż komu innemu, podsuwając fałszywy trop.

Kathrin zatroszczyła się o śniadanie dla wszystkich. Kanapki i świeża kawa poprawiły nieco nastroje. Kim i Gianni Lombardi wspólnie prowadzili rozmowę z Eliaszem, a kiedy skończyli, zrobili sobie przerwę, bo zaraz mieli kontynuować nocne przesłuchanie Leona Kellera.

— Motyw, środki i możliwości — wyliczyła Pia, jedząc bułkę. — Keller zdecydowanie mógł to zrobić. Nikt nie zwracał na niego uwagi, kiedy jeździł po okolicy. Wszyscy się przyzwyczaili do jego widoku.

— A to, że umie doskonale udawać, to chyba wszyscy już wiemy — dodał Cem. — Nie do końca wierzę w szczerść jego reakcji na wiadomość o tym, że podejrzewamy go o te morderstwa.

— Z Beethovenstrasse w Kelkheim do hospicjum jest spory kawałek. Trudno byłoby mu pokonać tę drogę piechotą — wtrącił się Kai, kartkując akta. — Edgar Herold podwiózł go do klienta i zostawił wczesnym popołudniem, a potem sam pojechał do marketu budowlanego. Keller nie miał do dyspozycji żadnego środka transportu, dzięki któremu mógłby się dostać do hospicjum i szybko wrócić.

Tak, to była prawda. Pia westchnęła sfrustrowana. Gdyby tylko Pauline Reichenbach odzyskała przytomność albo technicy w laboratorium zdołali odzyskać nagranie z telefonu Eliasa Lessinga! Rozpaczliwie potrzebowali faktów. Czegoś namacalnego. Dowodów. Spekulacje to zbyt mało, by budować na nich sprawę.

— Co powiedział Elias Lessing? — zapytała.

— W rozmowie z nim wykorzystaliśmy nieco inną technikę przesłuchania — powiedziała Kim. — Zakładam, że słyszeliście o wywiadzie kognitywnym, zwanym też przesłuchaniem poznawczym?

Wszyscy potaknęli. Stosując tę technikę, nie zadawało się pytań wprost, tylko skłaniało przesłuchiwanego do przywołania rzeczy, o których zapomniał albo w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że je zauważył, a polegała ona na cofnięciu się dalej niż w zwyczajowym przesłuchaniu. Osoba składająca zeznania miała przypomnieć sobie przebieg dnia przed zdarzeniem, o które chodziło przesłuchującym, ze wszystkimi codziennymi czynnościami, banalnymi troskami, przemyśleniami i emocjami, które przeżywała. Czasem wystarczało wspomnienie zapachu, który zeznający wtedy poczuł, albo uczucia, które go opanowało, by osadzić właściwe zdarzenie we właściwym kontekście sytuacyjnym. Inną techniką przesłuchania poznawczego było

swoiste odwrócenie chronologii wspomnień, by świadek poszczególne momenty opisywał w kontekście swoich wrażeń. Zamiast podążać od początku, przesłuchujący zaczynał od końca jakiejś sytuacji, ewentualnie od środka. Trzecią ze stosowanych technik było skłonienie świadka do przyjęcia innego punktu widzenia i spojrzenia na zdarzenie oczami innej osoby. Należało jednak pamiętać, że ten rodzaj przesłuchania działał tylko w przypadku niektórych osób, wymagał specyficznej metodologii, a jego stosowanie było sztuką, której trzeba było się długo uczyć, przy czym i tak nie każdy mógł ją opanować.

— Elias jest w bardzo nieciekawym stanie — oznajmił Lombardi. — Dopiero teraz do niego dotarło, że w gruncie rzeczy to on ponosi odpowiedzialność za śmierć Felicitas Molin. Zapewniła mu schronienie, bo cieszyła się na myśl, że nie będzie siedzieć w tym domu sama pośrodku lasu, a jednocześnie się bała, że morderca może wrócić. Przez cały czas próbowała nakłonić Eliasa, żeby sam się zgłosił na policję i przekazał nam komórkę z nagraniem z podpalenia, ale on odmawiał. Tłumaczył, że się boi powrotu do więzienia. Gdyby zrobił, co mu podpowiadała, Felicitas by żyła, a Pauline nie leżała w śpiączce.

— Okłamała mnie i szefa, kiedy z nią rozmawialiśmy — poinformował ich Cem. — Popełniła błąd, który kosztował ją życie.

Pia zwiesiła głowę i się zamyśliła. Cztery trupy. Ciężko ranna młoda kobieta. A wliczając Eliasa, mieli kolejną osobę, która do końca życia będzie przeżywała traumę. Nowa wina, której nie da się naprawić. A od czego wszystko się zaczęło? Czy jedna zdrada małżeńska i strach przed jej ujawnieniem mogły rzeczywiście uruchomić całą sekwencję tragicznych zdarzeń? Poruszyć kulę śnieżną, która runęła w dół lawiną, zasypując po drodze wszystkich, którzy stanęli jej na drodze?

— Zeznania Eliasa dotyczące nocnego pożaru przyczepy kempingowej

Rosie Herold są bardzo rozczarowujące. Widział wprawdzie sprawcę, ale nie potrafi go opisać. Szczupły, sprężyste ruchy. Skromnie, bym powiedziała.

— Zeznał również, że Felicitas Molin kilka dni przed podpaleniem widziała jakiegoś mężczyznę, który wyjeżdżał samochodem z kempingu. Ona miała lepszą pamięć niż Elias. Powiedziała, że to było ciemne kombi i poruszało się bez świateł.

Kolejny fragment układanki, która w trakcie trwania śledztwa przybrała niespotykane rozmiary.

— Ralf Ehlers porusza się niebieskim volvo — zauważył Bodenstein. — Wieczorem każdy samochód można uznać za ciemny.

— Kai, możesz sprawdzić w bazach danych, kto w Ruppertshain jeździ ciemnym kombi? — zapytała Pia.

— Jak najbardziej. Ale to potrwa i lista będzie bardzo długa.

— Nieważne, trzeba sprawdzać wszystko, co się da. — Pia odchrząknęła. — Dzisiaj o czternastej na cmentarzu komunalnym w Ruppertshain odbędzie się pogrzeb Rosie i Clemensa Heroldów. Wszyscy weźmiemy w nim udział. Szefie, ty i Cem najpierw pojedziecie porozmawiać z matką Leona Kellera. Spróbujcie wyciągnąć z niej, czym Leo się wtedy zajmował, może pamięta, co robił w wolnym czasie, z kim się przyjaźnił, czy miał wrogów i tak dalej.

— Pewnie. — Bodenstein i Cem potaknęli.

— Tarik, ty pojedziesz do szpitala urazowego we Frankfurcie i dowiesz się, co z Pauline. — Jej uwagi nie uszedł nagły błysk w oczach młodszego kolegi. — Tylko nie siedź tam za długo, jesteś mi potrzebny tutaj.

— Ja będę dyżurowała przy telefonie — zaproponowała Kathrin. — Poza tym spróbuję skontaktować się z siostrą pani Molin. W tej chwili przebywa w Australii i to może być trudne.

— Świetnie. — Pia potaknęła. — Dzisiaj trzeba wypuścić Letizję Lessing.

— Co z Ralfem Ehlersem? — zapytał Bodenstein.

— On zostaje, przynajmniej do czasu, aż nie zyskamy dowodów, że nie ma nic wspólnego z atakiem na Pauline Reichenbach — zdecydowała Pia po chwili wahania. — Poza tym może się nam jeszcze przydać. W zależności od tego, co Gianni i Kim wyciągną z Leona Kellera.

— W jego przypadku również planujemy zastosowanie metody przesłuchania kognitywnego — poinformował Lombardi. — Już wcześniej zadziwiająco dobrze zareagował na próbę powrotu do zdarzeń sprzed próby samobójczej, a konkretne wspomnienie meczu może być świetnym punktem wyjściowym do dalszej pracy.

— Właściwie... i tak nie mamy nic do stracenia. — Pia sięgnęła po połówkę bułki z serem. — Działajcie. Ja zadzwonię do Antje Ortenstein. Do roboty, widzimy się tutaj w południe.

— Zdjęcia! — krzyknął Bodenstein i podniósł się z krzesła. — Ojciec oddał mi wczoraj zdjęcia Clemensa. Mam je w samochodzie, poczekajcie, przyniosę je, może pomogą Leonowi w odzyskiwaniu pamięci.

— Świetny pomysł. — Pia potaknęła.

Zadania zostały rozdzielone i wszyscy się rozeszli, a Pia po raz pierwszy miała wrażenie, że ostatnie i decydujące elementy układanki są już na wyciągnięcie ręki. Nagle coś jej przyszło do głowy.

— Oliver!

Bodenstein zatrzymał się i odwrócił.

— Może byłoby dobrze, gdyby ludzie się dowiedzieli, że Leo Keller nie jest niepełnosprawny, jak dotychczas myśleli — powiedziała i się uśmiechnęła. — Wpadnij do Pokornych na kawkę i poplotkujcie chwilę.

ROZLEGŁ SIĘ SYGNAŁ WOŁANIA. Pia czekała. Wróciła do swojego pokoju i usiadła za biurkiem. Tutaj łatwiej było jej się skupić. Już chciała odłożyć słuchawkę, kiedy ktoś odebrał. Antje Ortenstein była zdyszana i zaraz przeprosiła, że tyle kazała na siebie czekać. Musiała pilnować wnuków, bo

córka poszła do lekarza, a w przedszkolu od tygodnia strajkowały opiekunki. Pia nie przerwała i pozwoliła jej mówić. Gadatliwy świadek był zawsze lepszy od takiego, z którego każde słowo trzeba było wciągać niemal siłą. Antje Ortenstein pochodziła ze Schneidhain, a do szkoły uczęszczała w Königstein. Rodzice mieli niewielkie gospodarstwo, a ojciec pracował dodatkowo w Hoechst AG. Nie dostawała od nich dużego kieszonkowego, więc szybko znalazła sobie pracę, żeby zarobić pieniądze na realizację swojego największego marzenia, wycieczkę do USA. Jako ucząca się cukierniczka dostawała psie grosze w Café Kreiner, zakładzie, w którym terminowała, więc wiosną 1971 podjęła pracę w Sweet Pussycat, gdzie pojawiała się wieczorami, trzy razy w tygodniu i w soboty. Bardzo dobrze pamiętała Rosie Herold, dlatego kiedy zobaczyła w telewizji konferencję prasową i usłyszała o dawnej znajomej, natychmiast postanowiła zadzwonić na gorącą linię.

— Rosie przychodziła w każdy czwartek wieczorem, w towarzystwie najlepszej przyjaciółki. Wcześniej miały jakieś zajęcia w szkole — opowiadała Antje Ortenstein. — Tak myślę, że one na te wieczorne zajęcia chodziły tylko po to, żeby potem wyjść na miasto i się zabawić. Bardzo chętnie godziły się, żeby im stawiano drinki i lubiły flirtować.

— Czy Rosie Herold spotykała się wtedy z jakimś konkretnym mężczyzną?
— zapytała Pia.

— Nie, nie sędzę. Mieliśmy wprawdzie wielu stałych gości, ale przychodziło też sporo kuracjuszy, którzy do Königstein przyjeżdżali tylko na kilka tygodni. Często wychodziła wcześniej niż przyjaciółka i mówiła coś o spotkaniu z jakimś tajemniczym kochankiem, po czym przewracała oczami i wybuchała śmiechem.

— Pamięta pani może, jak nazywała się jej przyjaciółka?

— Tak, oczywiście! — Pani Ortenstein miała nieprawdopodobną pamięć.

— Uważałam wtedy, że ma piękne nazwisko, bo brzmiało bardzo egzotycznie: Estefania Ugonelli! Była Włoszką precudnej urody, z długimi, czarnymi włosami i wielkimi, okrągłymi oczyma. Taka w typie Lollobrigidy. W przeciwieństwie do przyjaciółki nie była mężatką, więc Rosie strasznie zazdrościła Estefanii, kiedy upolowała jakiegoś chłopaka, a ona musiała wracać do dzieci i do męża.

Pia poczuła, jak serce zaczyna jej mocniej bić. Kobiety często powierzają najbliższym przyjaciółkom nawet najintymniejsze sekrety. Czy również Rosie zwierzała się Estefanii? Czy opowiedziała jej, z kim się w tajemnicy spotyka? Czy ta przyjaciółka jeszcze żyje? Tak niecodzienne imię i nazwisko dawały nadzieję na to, że Kai ją znajdzie w jakichś bazach danych!

— A potem Estefania zaczęła przychodzić do nas sama — ciągnęła pani Ortenstein. — Ale bez Rosie nie bawiła się już tak dobrze.

— Dlaczego Rosie nie pojawiała się już w lokalu?

— Ponoć mąż zabronił jej chodzić w takie miejsca samej. Miał się dowiedzieć, że przesiaduje w Sweet Pussycat, ktoś mu pewnie o tym doniósł. Cóż, właściwie trudno się dziwić. Tak naprawdę dziwne jest to, że tak długo się nie zorientował. — Antje Ortenstein westchnęła. — To były zupełnie inne czasy. Wtedy mężatki nie mogły same chodzić do takich lokali. Rosie mocno oberwała od męża, a potem zaszła w ciążę.

— Kiedy to było? Pamięta pani jeszcze?

— Hm. — Pani Ortenstein się zamyśliła. — Pracowałam tam do Wielkanocy siedemdziesiątego trzeciego, ale ona już dużo wcześniej przestała nas odwiedzać. Myślę, że po raz ostatni widziałam ją u nas latem siedemdziesiątego drugiego. Potem spotkałam ją kilka razy w Königstein, na rynku albo w Café Kreiner, ale nie rozmawiałyśmy za dużo, zamieniłyśmy raptem kilka słów i tyle.

— Pamięta pani, gdzie mieszkała Estefania?

— Pochodziła z Fischbach — odparła pani Ortenstein. — Zawsze przyjeżdżały razem samochodem. Zazwyczaj były mocno wstawione, kiedy od nas wychodziły. Tylko że wtedy nikt nie kontrolował ludzi, czy nie prowadzą po alkoholu. Na dodatek Rosie miała świetne kontakty w policji w Königstein, bo szefem posterunku był jej sąsiad, o ile dobrze pamiętam. On też często u nas bywał. Próbował ją podrywać, wyraźnie mu się podobała. Później zginął w jakimś wypadku, słyszałam, że pod własnym traktorem.

Pia siedziała już jak na szpilkach. Raimund Fischer, szef posterunku policji i szwagier doktora Lessinga, przez niemal tydzień opóźniał włączenie do sprawy policji kryminalnej z Frankfurtu. Czyżby zrobił to nie dla Lessinga, jak dotychczas zakładali, ale na prośbę Rosie? I czy rzeczywiście zginął w wypadku, czy może ktoś mu pomógł, bo za dużo wiedział i stanowił zagrożenie? Jego nazwisko było pierwsze z przekreślonych na liście, którą znaleźli u Leona. Co to mogło oznaczać?

— ZAPOMNIAŁEM ZATANKOWAĆ — powiedział Cem, kiedy byli na wysokości Liederbach. — Niech to szlag!

— Zjedź zaraz na lewo. — Bodenstein oderwał wzrok od ekranu telefonu. Lorenz napisał do niego przez WhatsAppa, a on zastanawiał się, czy poinformować syna, że wie, kto jest ojcem Thordis. — W Kelkeim jest Shell, tam możemy zatankować i pojechać dalej przez Fischbach do Ruppertshain.

— Super. — Cem włączył migacz, zjechał przy cmentarzu miejskim w Kelkheim, minął go i przez rondo wjechał do miasta. Na stacji benzynowej nie było dużego ruchu, więc zatrzymał się bezpośrednio pod dystrybutorem. Kiedy Cem wysiadł i zaczął nalewać paliwo, Oliver skupił się na pisaniu wiadomości do Lorenza. Uznał, że to nie byłoby w porządku, gdyby swojej synowej, która od trzydziestu lat żyła w niepewności, wysłał po prostu wiadomość z wyjaśnieniem, kto jest jej ojcem. Poza tym musiał się zmierzyć ze swoją niechęcią, bo przez wnuki, które mogłyby się pojawić, byłby

spowinowacony z rodziną Lessingów. Dlatego dał mu jedynie znać, że wie, kto jest ojcem jego żony, ale chce jej to przekazać osobiście, a nie przez telefon. Podskoczył, słysząc głośne pukanie w szybę. Zaskoczony zobaczył zaczerwienioną twarz z sumiastymi wąsami. Dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie kto to.

— Cześć, Detlef. — Rozmowa z siedzenia pasażera byłaby w jego oczach brakiem szacunku, więc wysiadł i stanął obok auta.

— No hej, Oliver, kopę lat. Co tu w ogóle robisz? — Mąż Sonji Schreck ubrany był w wysmarowane olejem farmerki, a dłonie miał czarne jak węgiel. Bodenstein przypomniał sobie, że dawny kolega prowadzi warsztat samochodowy przy stacji benzynowej.

— Tankuję — odparł oficjalnym tonem. — A ty?

— No co mam robić, haruję tu od rana do nocy! — Schreck wskazał głową na bramę warsztatu.

— Nie idziesz na pogrzeb?

— Nieee. Tego Clemensa to ja nie cierpiałem, to co, mam teraz stać nad jego trumną i udawać, jaki to jestem smutny? — prychnął pogardliwie i wsunął kciuki pod szelki farmerek. Kiedy tak stał naprzeciwko, w rozkroku, z pełnym zadowolenia uśmiechem, brudny i gruby, Oliver przestał się dziwić, dlaczego Sonja wydała mu się taka smutna i zrezygnowana. — A ta Rosie to mojej Sonji tylko życie utrudniała. W ogóle mi nie żał, że oboje nie żyją.

Cem słyszał ich rozmowę, lecz dopiero na te słowa uniósł brwi.

— Te, a wy to serio zapuszkowaliście Leona? — W wodnistych oczach Detlefa pojawił się błysk. — Elfriede Roose, co to mieszka obok zaraz, powiedziała, że go zgarnęliście i przeszukujecie mu chatę. Nasz głupek znowu coś nawywijał?

A zatem czysta ciekawość sprawiła, że gruby mechanik podszedł i zapukał w szybę.

— Leo nas wszystkich nabrał. Do teraz nie mogę uwierzyć, że dawaliśmy mu się tak wodzić za nos. — Bodenstein mówił tonem starego znajomego. — Przez czterdzieści lat udawał, że jest niespełna rozumu, a tymczasem to była taka gra! Nie jąka się, nie kuleje i nie ślini! Jest zupełnie normalny i mówi jak każdy inny.

— Co ty powiesz?! — Schreck wytrzeszczył oczy, a Bodenstein niemal dosłownie widział, jak ta wiadomość trafia do jego mózgu, jest rozbierana na czynniki pierwsze, aż w końcu mechanik zaczyna ją rozumieć. — Leo! Ale z niego numer!

— Ja też nic z tego nie rozumiem. — Bodenstein potrząsnął głową. — Mało z krzesła nie spadłem, mówię ci. A to, co nam opowiedział, to już w ogóle są niewiarygodne historie. Wiesz, przez czterdzieści lat wszyscy myśleli, że jest... no rozumiesz... nieco szurnięty.

— To ci dopiero numerant! Ja cię kręcę! — powtórzył Schreck zasapanym falsetem. — Jak on to zrobił?

— Wy przypadkiem nie byliście wcześniej kumplami? — zapytał Bodenstein. — Bo tak coś mi się wydaje. Czy Leo miał wtedy dziewczynę? Może kochał się w jakiejś?

— No on to był przecież z Patrizią, ale krótko. — Schreck wzruszył ramionami.

— Patrizią? Żoną Jakoba? — upewnił się policjant.

— Z nią. Wszyscy się za nią uganiali, ale dla niej żaden z nas nie był dość dobry. — W jego głosie słyhać było dawną pretensję. — Ona chciała koniecznie Jakoba. Chciała być wielką panią, z mężem adwokatem. Robiła wszystko, co mogła, żeby go zdobyć. Tylko on miał już narzeczoną. A na Patrizię to nawet nie chciał spojrzeć. — Schreck uśmiechnął się zjadliwie. — Nabijał się z niej tylko.

Pistolet dystrybutora odbił, ale Cem przytomnie stał, udając, że ciągle

tankuje.

— Jej to nie przeszkadzało. Wyrachowana taka już była. Miała plan. Przygotowała pułapkę, a Jakob w nią wpadł. — Zaśmiał się złośliwie. — I na balu karnawałowym w gospodzie w sali na górze Jakob zrobił się na cacy. Obrócił ją w męskim kiblu, kiedy Leo pakował do samochodu instrumenty zespołu.

— Skąd wiesz?

— Bo tak jakby byliśmy przy tym. — Jego czerwona twarz zrobiła się o ton czerwiejsza. — Staliśmy na czatach, Clemens i ja. Często pomagaliśmy Jakobowi.

— Byliście dobrymi kumplami. — Bodenstein wzdrygnął się z obrzydzenia na myśl o tym, jak pryszczaty Detlef z zajęczą wargą stoi i się podnieca, kiedy jego przystojny kumpel Jakob obraca w toalecie jakąś pannę.

— No tak to było. Tak to było. — Schreck nawet nie krył złośliwej radości, jaką odczuwał na samo wspomnienie tamtych wydarzeń. Nie wyglądało również, żeby miał jakiegokolwiek wyrzuty sumienia. — Nikt nie mógł przypuszczać, że Jakob ją zaraz zaciąży. — Zaśmiał się obleśnie. — Patrizia mu powiedziała dopiero po kilku miesiącach, jak wrócił na weekend z woja. No i jego wielkie plany poszły się kochać. Miał jechać na studia za granicę, tymczasem został we wsi i musiał się żenić! — Mimo że minęło tyle lat, nie mógł przestać się cieszyć z nieszczęścia kolegi, któremu zazdrościł wyglądu. — O ja cię, ale go zrobiła! Normalnie nie mogę! A niby taki bystry! Długo jeszcze się z niego śmialiśmy. Przede wszystkim Clemens, on to się nie mógł powstrzymać.

— Jak Leo zareagował na wiadomość, że jego dziewczyna zaszła w ciążę z jego najlepszym przyjacielem? — zapytał Cem.

— Zachwycony to on nie był — przyznał Schreck. — Ale było już po sprawie, to co mógł zrobić?

— A co z panem? — drążył Cem. — Jak pan i pańscy koledzy zareagowaliście na wiadomość, że Leo zamordował dziecko, a potem chciał popełnić samobójstwo?

Schreck wydał policzki. Jego świńskie oczka skakały nerwowo między Cemem a Oliverem. Potem przesunął brudną dłoń po głowie.

— Nie mogliśmy w to uwierzyć — powiedział po chwili wahania. — Bo jak się kogoś tak długo zna, to człowiek nie może sobie wyobrazić, że on takie coś...

— Ale na policji mówił pan coś zupełnie innego.

— Tak. Nie! Nie pamiętam już — plątał się gruby mechanik.

— Wie pan, co się wtedy naprawdę stało?

— Skąd! Pojęcia nie mam, słowo! — O ile przedtem wydawał się nieswój, to teraz wyraźnie się bał. — Ludzie dużo gadali. A człowiek to posłucha i w końcu też zaczyna w to wierzyć.

— Byłby pan zaskoczony informacją, że Leo Keller wcale nie próbował popełnić samobójstwa? — zapytał Cem. — Ktoś próbował go zamordować. Czy to pana dziwi?

— Ja... co? Ale... no tak... bo... rzeczywiście, to mnie zaskoczyło — wyjąkał nerwowo. — Kto miałby chcieć go zabić?

— To chyba najważniejsze pytanie. — Cem patrzył mu przenikliwie w oczy, aż Schreck nie wytrzymał i odwrócił wzrok. — Czy pan nas przypadkiem nie okłamuje? Śmiało, proszę mówić, co pan wie. Może pan kryje mordercę?

Detlef Schreck pobladł w ułamku sekundy i cofnął się o krok. Po jego pewności siebie nie został ślad.

— Nie! Nie! Oczywiście, że nie! — Głos mu się załamywał. — Słowo honoru! Ja nic nie wiem!

— Skąd wzięła się pana niechęć do Clemensa Herolda? Przecież byliście wcześniej kolegami? — Cem nie ustępował, a Bodenstein nie zamierzał mu

przerywać. Nie usłyszał już odpowiedzi Schrecka — ta go zresztą i tak nie interesowała, bo w jego głowie powoli rodziło się nieprawdopodobne podejrzenie.

ZGODNIE Z DANymi z urzędu meldunkowego, Estefania Ugonelli mieszkała w Prüm, w górach Eifel. To oznaczało, że dawna przyjaciółka Rosie albo nigdy nie wyszła za mąż, albo nie zmieniła nazwiska. Niezależnie od tego, jaka była przyczyna, że dalej się tak nazywała, fakt ten bardzo ułatwił im poszukiwania. Kai bardzo szybko znalazł w Internecie informację, że Estefania do niedawna prowadziła agencję pocztową i kiosk z prasą, który tymczasem sprzedała.

Kiedy próbował się z nią skontaktować, Pia z Nicolą Engel usiadły w pomieszczeniu obok sali przesłuchań i przez lustro weneckie przyglądały się, jak Lombardi i Kim z nieludzką cierpliwością i unikając pytań, które mogłyby w jakikolwiek sposób sugerować odpowiedź, próbują pomóc Leonowi Kellerowi przywołać z przeszłości zdarzenia, których już nie pamiętał. Mężczyzna robił, co mógł i starał się współpracować, ale przez czterdzieści lat w jego głowie mieszało się to, co słyszał, z tym, co rzeczywiście przeżył, tworząc dziwny i niezrozumiały kolaż obrazów. Niestety, psychoterapeuci, psychologowie, hipnotyzerzy i astrologowie, których Keller prosił o pomoc w dotarciu do prawdy, przyczynili się tylko do zwiększenia tego mętliku. Pia rozmyślała o tym, co Bodenstein przekazał jej przez telefon o rozmowie z Detlefem Schreckiem. Jej podświadomość starała się jej coś powiedzieć — tylko co?

— Nie rozumiem, co mielibyśmy w ten sposób osiągnąć. — Z zamyślenia wyrwał ją głos przełożonej. — To jest zwykłe marnowanie czasu.

— Ale też nasza ostatnia nadzieja — odparła Pia. — Co nam po tych wszystkich poszlakach i wskazówkach, skoro nie możemy umieścić ich w kontekście sytuacyjnym? Dotychczas to śledztwo to nic więcej jak

nagromadzenie hipotez i przypuszczeń. A tam siedzi nasz jedyny świadek naoczny.

— Świadek, który ma uszkodzony mózg i niczego nie pamięta — dokończyła doktor Engel. — Albo dalej wodzi nas za nos.

— Tylko dlaczego miałyby to robić? — Pia nie odrywała wzroku od twarzy Kellera za szybą. Skupienie go wyczerpywało, a jednak się nie poddawał i przeglądał stare zdjęcia, mając nadzieję, że któreś obudzi w nim iskierkę wspomnień.

Jeszcze przed kilkoma godzinami Pia była święcie przekonana, że to on jest sprawcą, którego szukali. Teraz jednak zrewidowała swoje poglądy. Leo nie miał wystarczająco silnego motywu. Nawet jeśli Rosie wypowiedała się księdzu z romansu z nim i z tego, że razem zabili dziecko, w jego przypadku to nic nie zmieniało, bo i tak od zawsze był traktowany jak morderca Artura.

— Ma szansę oczyścić swoje nazwisko i robi, co w jego mocy, żeby ją wykorzystać, bo nie chce żyć tak jak dotąd. Niezależnie od wszystkiego, pojutrze zaczynamy masowe testy genetyczne.

— Co nam to da, skoro nie mamy materiału porównawczego?

— Ale przecież mamy! — Pia się wyprostowała. — Sonja Schreck, córka Rosie Herold, pozwoliła nam pobrać próbkę swojego DNA. Laboratorium będzie szukało mężczyzn potencjalnie z nią spokrewnionych.

— Tylko niech pani uważa, żeby się nie zgubić w takim mnóstwie szczegółów — ostrzegła ją radczyni kryminalna. — Najważniejsze słowo to perspektywa. I proszę nie traktować tego jako krytykę, lecz jako radę.

— Dziękuję — mruknęła Pia gorzko. Wiele by dała, by móc jej odpowiedzieć, lecz Engel miała niestety rację. Przeoczyła jakiś ważny fragment układanki. Gdzieś pośród gmatwaniny ścieżek, możliwości, hipotez i przypuszczeń wił się ten jeden właściwy ślad. Czowała, że jest bardzo blisko, a jednak wciąż nie mogła go dostrzec. Może dlatego, że był aż nazbyt

oczywisty, przez co wydawał im się zbyt prosty? Najwyższy czas uporządkować fakty i wyeliminować wątpliwości. Pia tylko jednym uchem słuchała rozmowy toczącej się w sąsiednim pokoju, przekazywanej przez głośnik przy lustrze. Nagle ją olśniło! Zerwała się na równe nogi, jakby ktoś ją polał wrzątkiem, wybiegła na korytarz, szarpnęła klamkę do sali przesłuchań i wpadła do środka. W żadnym razie nie wolno przeszkadzać podczas takiej czynności, ale teraz było jej to obojętne, tak samo jak wściekłe spojrzenia Lombardiego i Kim.

— T-shirt, w który zawinięty był nóż! — wykrzyknęła podekscytowana do Kellera. — Kiedy miał go pan na sobie po raz ostatni?

— Ja... chyba nie pamiętam. — Leo Keller nie rozumiał, co się dzieje. — Mam dwanaście takich samych, to moje ubranie robocze.

— Gdzie je pan przechowuje?

— W... w mojej szafce w szatni, w pracy — odpowiedział Keller.
— Dlaczego to takie ważne?

— Kiedy są brudne, bierze je pan do prania?

— Nie. Używane ubrania robocze wrzucamy do pojemnika na brudne rzeczy, który raz w tygodniu jest zabierany przez zewnętrzną firmę. Równocześnie przywożą wyprane ubrania z zeszłego tygodnia i rozkładają je do naszych szafek.

— Gdzie znajduje się pojemnik na brudy?

— W piwnicy ratusza. Zaraz obok szatni.

— Czy każdy mógłby sobie z niego coś wyjąć? To znaczy, czy jest zamykany?

— Nie, nie jest zamykany. — Keller potaknął niepewnie. Cały czas nie miał pewności, czy to, co mówi, przemawia na jego korzyść czy niekorzyść.

— Dziękuję! — zawołała Pia i wypadła na korytarz. Przed drzwiami omal nie zderzyła się z doktor Engel.

— Czy zechciałaby mi pani... — zaczęła radczyni kryminalna.

— Nie ma czasu do stracenia! — przerwała jej policjantka. — Muszę koniecznie porozmawiać z Ralfem Ehlersem! Jest pani w stanie go szybko sprowadzić?

— Tak, oczywiście. — Engel popatrzyła na nią skonsternowana.

Przeskakując po trzy stopnie naraz, Pia pędziła na górę, do biura. Nawet najbystrzejsi mordercy popełniają w końcu błąd. A ona ten błąd właśnie znalazła.

KIEDY BODENSTEIN i Cem podjechali pod dom starszej pani Keller, akurat była u niej sąsiadka.

— Dzień dobry, pani Hartmann. — Oliver przywitał się z matką Andreeasa, jego kolegi ze szkoły. Elisabeth Hartmann miała na sobie podomkę nałożoną na wełniany sweter, a w dłoni trzymała siatkę z bułkami. Była drobną, rezolutną kobietą o krótko ściętych, szpakowatych włosach i zniszczonych dłoniach, które najlepiej świadczyły o tym, że nigdy nie stroniła od ciężkiej pracy.

— Co z moim synkiem? — zapytała pani Keller na ich widok.

— Nic mu nie jest i dobrze się czuje — zapewnił ją Bodenstein. — Proszę się o nic nie martwić. Wczoraj w nocy wszystko nam opowiedział.

— Naprawdę? — Staruszka przyjrzała mu się podejrzliwie.

— Tak. Już nie musi dłużej udawać.

Po drodze do pani Keller zajrzeli z Cemem do piekarni i przy jednym z wysokich stolików barowych wypili kawę i zjedli po kanapce. Konni Pokorny nie wystawił nosa z zaplecza, za to jego żona czujnie nastawiała uszu, kiedy głośno dyskutowali o Leonie Kellerze. Oczywiście nie wytrzymała długo, ciekawość wzięła górę i szybko znalazła jakiś pretekst, żeby podejść do ich stolika. Bodenstein był przekonany, że dzięki Detlefowi Schreckowi i Sylvii Pokorny wiadomość o tym, że Leon Keller ponad czterdzieści lat się maskował, dotrze do każdego mieszkańca jeszcze przed pogrzebem Rosie

i Clemensa Heroldów.

— No, to dobrze. — Starsza kobieta westchnęła. Przez pół życia była przez wszystkich traktowana jak trędowata jako matka niepełnosprawnego umysłowo robotnika podejrzewanego o pedofilię i zamordowanie dziecka. — Cieszę się, że w końcu będzie mógł przestać udawać.

— Co udawać? — zainteresowała się pani Hartmann, a Bodenstein sobie uświadomił, że kobieta dobrze zna Leona. Wcześniej w ich masarni uczył się fachu, a kiedy doszło do tragicznych wydarzeń, był ich pracownikiem. Dlatego się nie wahał i wyjaśnił, że Leo przez te wszystkie lata jedynie udawał niepełnosprawnego, a robił to wyjątkowo przekonywająco.

— Ale po co? — Pani Hartmann była całkowicie zaskoczona.

— Bo się bał, że będzie musiał iść do więzienia za coś, czego nie zrobił — wyjaśnił Bodenstein. — Policja uważała wtedy, że Leo wykorzystał Artura, a potem go zabił, a nie było dowodów świadczących na jego korzyść. Dziś się to zmieniło, tym bardziej że znaleźliśmy szczątki Artura.

— Och, Annemie, muszę na chwilę usiąść — mruknęła staruszka wyraźnie poruszona. Bodenstein wiedział, że minie sporo czasu, zanim wszystko zrozumie, jednak już teraz ogarnęły ją wyrzuty sumienia, które, kiedy pojmie wszystkie niuanse tej sprawy, nie opuszczą jej do końca życia. Starsza pani Hartmann należała bowiem do tych, którzy najgorliwiej dręczyli i odrzucali Leona i jego matkę. I doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

— Tak, Elisabeth, usiądź sobie. — Pani Keller, wsparta na chodziku, wskazała głową na ławkę przy drzwiach do domu. W jej oczach pojawił się błysk tryumfu. Uwolniona od ciężkiego brzemienia, wyglądała teraz, jakby ubyło jej lat.

Pani Hartmann ciężko opadła na ławeczkę. Pobladła chwyciła się za gardło.

— To znaczy... że Leo jest... on...

— Że Leo nie jest debilem! — przerwała jej pani Keller, ujmując rzecz

zwięźle i dobitnie. — Udawał upośledzonego, bo jest niewinny. To wyście wyrządzili mu krzywdę.

— Ale w takim razie dlaczego chciał wtedy popełnić samobójstwo?

— Nie chciał — zaprzeczył Bodenstein. Kobieta spojrzała na niego jak na wariata. — Ktoś próbował go zabić aparatem ubojowym. Jak przypuszczamy dlatego, że coś wiedział.

DOKTOR ENGEL rzeczywiście udało się błyskawicznie ściągnąć Ralfa Ehlersa, który już pół godziny później zajął miejsce za stołem w sali przesłuchań komendy policji w Hofheim. Kai znalazł numer do Estefanii Ugonelli, a gdy mimo kilku prób dodzwonienia się kobieta nie odebrała, poprosił lokalną policję o pomoc w dotarciu do niej. Jeden z tamtejszych funkcjonariuszy znalazł dawną przyjaciółkę Rosie Herold w ogrodzie jej domu i poprosił, by skontaktowała się z Pią. Wystarczyła krótka rozmowa, by kobieta wsiadła do radiowozu, który miał ją przywieźć do Hofheim.

Gianni Lombardi i Pia usiedli naprzeciwko Ralfa Ehlersa. Policjantka drżała z ekscytacji.

— Co słuchać u moich piesków? — zapytał mężczyzna na powitanie.

— Mają dobrą opiekę. Tymczasowo przebywają w schronisku dla zwierząt w Kelkheim — zapewniła go Pia. — Przy odrobinie szczęścia szybko je pan odbierze.

— Świetnie. — Pobyt w więzieniu nie zrobił na Ehlersie wielkiego wrażenia. Wynikało to prawdopodobnie z tego, że nie pierwszy raz przebywał za kratkami i w ogóle nie przejmował się, co ludzie powiedzą. Na dodatek wiedział, że policja nie może trzymać go w nieskończoność. — No dobrze, to jak mogę pomóc?

— Proszę cofnąć się pamięcią do siedemdziesiątego drugiego — powiedziała Pia. — Do wakacji, kiedy zaginął Artur.

— Nie znudziło się pani wałkowanie tego tematu? Myślałem, że już sobie

wszystko wyjaśniliśmy. — Ralf pokręcił niechętnie głową.

— Jeśli chodzi o pana i całą resztę bandy to tak — potwierdziła Pia. — Teraz nas interesuje, co porabiał wtedy pański brat.

— Mój brat? — Ehlers zastanawiał się przez chwilę intensywnie, ani na chwilę nie przestając patrzeć Pii w oczy. W końcu się odprężył i uśmiechnął.

— Tak, pamiętam. To był prawdziwy skandal. Wszyscy o tym gadali i śmiali się za jego plecami — wspominał z szerokim uśmiechem. — Mój brat na Boże Narodzenie zaręczył się z dziewczyną z Königstein, córką ważnego i dzianego gościa z Deutsche Bank. Rodzice mało nie popękali z dumy! Poza tym Jakob dostał się na uniwersytet, miał studiować prawo w Monachium. Mama chwaliła się tym na każdym kroku. Przygotowała już nawet listę gości na wesele i zastanawiała się, jak ich wszystkich usadzić przy stołach. Wyobrażała sobie, że popija szampana z rodzicami synowej i mówi do nich na ty, choć teść zarządza największym bankiem. — Zachichotał. — Tyle że mój brat wpadł na głupi pomysł i jeszcze przed ślubem zaciążył inną pannę. Córeczka bogatego tatusia natychmiast zerwała zaręczyny. Ale dla moich rodziców i tak najgorszym poniżeniem było to, że ich bystry Jakob zrobił bachora akurat dziewczynie od Krollów!

— Czyli? — Pia przypomniała sobie, jak Jakob Ehlers obejmował w klubie tenisowym najpierw Henriette Lessing, a potem doktor Basedow.

— Chodzi o to, że Krollowie... oni uchodzą za... patologię, że się tak wyrażę — wyjaśnił Ralf. — Dziewięcioro dzieciaków i co jedno, to głupsze. Patrizia akurat była bystra. Załatwiła Jakoba, zrobiła go, jak chciała. Celowo poczekała do czwartego miesiąca, zanim mu powiedziała o ciąży. Jej rodzice oczywiście bardzo naciskali, żeby wyszła za Jakoba, w końcu ją zhańbił. Brat wzbraniał się, jak mógł. Miał przecież wielkie marzenia, cały świat stał przed nim otworem. Pamiętam, że w domu była przez to gigantyczna awantura. Cała wieś miała złośliwą satysfakcję. Nabijali się z niego. Dla moich rodziców to

była bardzo gorzka lekcja. Porażka na całej linii. Mama najchętniej wyprowadziłaby się do innej miejscowości.

— Kiedy to mniej więcej było?

— Wesele odbyło się jesienią. — Ralf Ehlers zaczął liczyć. — I to był ostatni gwizdek, że tak powiem, bo trzy tygodnie później Patrizia urodziła dziecko.

— Dlaczego pański brat się poddał?

— Takie czasy. — Ehlers wzruszył ramionami. — Oboje byli wtedy niepełnoletni. Rodzice podejmowali decyzje. Podjęli taką i po sprawie.

— Dlaczego pana brat nie został ostatecznie prawnikiem? To było przecież jego marzenie?

— Z żoną i dzieckiem musiał się skupić na zarabianiu pieniędzy. Na początku przez kilka lat mieszkali u nas w domu na poddaszu, bo tak było taniej. Dopiero kiedy Jakob skończył naukę w ratuszu i zaczął więcej zarabiać, mogli sobie pozwolić na coś swojego.

— Czy był z tego powodu niezadowolony?

— Dla niego to było ogromne upokorzenie, bez dwóch zdań — odparł Ralf Ehlers. — Myślę, że walczył z sobą i cierpiał, ale dobrze to ukrywał, bo miał w sobie zbyt wiele dumy, żeby okazywać taką słabość.

— Co z jego przyjaciółmi? Clemensem Heroldem, Leonem Kellerem i Detlefem Schreckiem?

— Leonowi załatwił jakąś robotę w mieście. Nawet po jego próbie samobójczej nie zostawił go na lodzie, mimo tego, co ludzie gadali. Z Clemensem i Detlefem już potem nie trzymał, tym bardziej że Clemens wyprowadził się z Ruppertshain.

— Jak zareagował pański brat na wiadomość, że poślubił pan siostrę Clemensa Sonję?

Ralf Ehlers się zawahał. To było pierwsze pytanie, przy którym zaczął się

zastanawiać, o co Pii naprawdę chodzi.

— Dlaczego tak to panią interesuje?

— Proszę po prostu odpowiedzieć. Ucieszył się, kiedy się dowiedział? Czy może chciał przeszkodzić waszemu małżeństwu? — Pia wstrzymała oddech. Była cała spięta. To nie jest tak, że prawda jest niczym latarnia pośród mroku nocy. O nie, prawda tkwi schowana głęboko, w najtrudniej dostępnych zakamarkach, a na światło dzienne można ją wydobyć jedynie uporem i ciężką pracą. I to właśnie robiła. Teraz musiała spiąć wszystko w logiczną całość i zdobyć dowody, że się nie pomyliła.

— Hm. — Ehlers spojrzał na nią zaskoczony. — Rzeczywiście, ostrzegał mnie, żebym się zastanowił. I to nie raz. Ale nie chciałem go słuchać.

— Nie uważa pan, że to dziwne?

— No pewnie. Oczywiście. Tak na co dzień Jakob zupełnie się mną nie przejmował. W zasadzie to mnie nie znosił. Ale dlaczego pani o to wszystko pyta?

— Bo przypuszczam, że pański brat Jakob jest ojcem pańskiej byłej żony — wyjaśniła Pia. Ehlers wytrzeszczył z wrażenia oczy. — Sonja urodziła się piątego kwietnia siedemdziesiątego trzeciego. Pański brat w wakacje siedemdziesiątego drugiego, a więc kilka miesięcy wcześniej, miał romans z Rosie Herold, który zakończył się siedemnastego sierpnia siedemdziesiątego drugiego roku. W dniu, kiedy razem zabili Artura Berjakova.

— MÓJ BOŻE! — Elisabeth Hartmann zasłoniła dłonią usta. Zaskoczenie zmieniło się w konsternację, która szybko ustąpiła miejsca czystemu przerażeniu. Powoli zaczynała do niej docierać doniosłość tej wiadomości.

— Nigdy, przenigdy nie potrafiłam sobie wyjaśnić, dlaczego ten chłopak miałby odbierać sobie życie — powiedziała powoli, kiedy otrząsnęła się z pierwszego szoku. — Zimą chciał zdać egzamin mistrzowski.

— Czy miał wtedy dziewczynę?

— Nie, nie sędzę. — Jej spojrzenie powędrowało na chwilę w stronę matki Leona. — Przez jakiś czas był z Patrizią Kroll i bardzo to przeżył, kiedy wyszła akurat za jego najlepszego przyjaciela.

— Patrizia! — prychnęła Annemie Keller. — Mój Leo nie był niby dla niej dość dobry, bo był zwykłym rzeźnikiem! A ona chciała prawnika! I willę! Ha! I co dostała? — Zaśmiała się ze złośliwą satysfakcją. — Urzędnika miejskiego i domek w drugiej linii zabudowy!

— A co z Rosie? Było coś między nimi? — zapytał Bodenstein ostrożnie.

— Z Rosie? — Pani Keller zmarszczyła czoło. — A co niby miałyby między nimi być? Rosie była mężatką i miała dwóch chłopaków!

— Dotarły do nas słuchy, że mimo to nie była szczególnie przywiązana do ideałów małżeńskiej wierności — odparł Bodenstein.

Obie staruszki wymieniły pospieszne spojrzenia. Były tylko nieznacznie starsze od Rosie Herold i miały dzieci w podobnym wieku.

— Tak, tak — potwierdziła w końcu Elisabeth Hartmann. — Rosie zawsze miała kogoś na boku, każdy to wiedział. Ale o takich rzeczach się nie mówiło. Tym bardziej że miała męża, z którym nikt nie chciał zadzierać.

— Ale w końcu i on się dowiedział, że przyprawiła mu rogi — dodała pani Keller z pogardą w głosie. — Co się działo! Rosie potem chodziła z podbitymi oczami! A przez wypadek nie mogła już nigdzie jeździć samochodem.

— Wypadek? — zainteresował się Bodenstein. Wyprostował się i poczuł, jak mocno bije mu serce. Wiedział, że jest już bardzo blisko rozwiązania zagadki. Zmuszał się do cierpliwości, choć przychodziło mu to z trudem. Poczuł wibrowanie komórki w kieszeni marynarki.

— Ich samochód był potem strasznie pokiereszowany — oświadczyła Annemie Keller i zachichotała na wspomnienie tamtych wydarzeń. — Ponoć chciała wyminąć sarnę, która wyskoczyła jej przed maskę. Ale każdy wiedział,

że za kołnierz nie wylewała, a potem wsiadała za kierownicę.

— Bez Raimunda Fischera dawno by już nie miała prawa jazdy — potwierdziła Elisabeth Hartmann. — On zawsze przymykał oko, jak o nią chodziło.

Kawałeczek tutaj, okruszek tam — tak jak Bodenstein przypuszczał, prawda przez te wszystkie lata kryła się we wspomnieniach mieszkańców Ruppertshain. Każdy coś wiedział, ale nikt nigdy nie zebrał tych fragmentów w całość, bo w gruncie rzeczy nikomu nie zależało na odgrzebywaniu tej historii. Artur był kimś obcym, a Leo Keller stał się kozłem ofiarnym. Każdy był zadowolony, że nie trafiło na niego.

— Ale chodziły pewnie plotki, z kim miała romanse, prawda? — pytał dalej. Komórka nie przestawała wibrować. Wyjął ją z kieszeni i podał Cemowi.

— Nie.

— Ja też nie pamiętam.

Staruszki unikały kontaktu wzrokowego. Nie ze swojej winy. Milczenie i wykręty to naturalne mechanizmy obronne człowieka, a one nie potrafiły się maskować.

— Milcząc i zaprzeczając, kryjecie panie mordercę! — powiedział Bodenstein z naciskiem. — Rosie Herold nie żyje, jej mąż również. Ale Leo żyje i mógłby oczyścić się z zarzutu zamordowania dziecka i pedofilii. Wystarczy, żeby panie nam pomogły dotrzeć do prawdy!

— Szefie... — zaczął Cem, ale Bodenstein nie zwracał na niego uwagi.

— Ktoś zgłosił na policję, że wieczorem w dniu, kiedy zaginął Artur, Leo był widziany, jak wychodził z lasu — ciągnął Oliver. — Dlatego został uznany za podejrzanego. I dlatego ktoś próbował go potem zamordować. — Bodenstein zwrócił się bezpośrednio do pani Hartmann i zdecydował się zaryzykować. — Nie wykluczamy, że osoba, która chciała go wtedy zabić, jest

odpowiedzialna za cztery obecne morderstwa i ma na sumieniu również pani córkę!

— Naszą Franzi? — Elisabeth Hartmann znieruchomiała. — Ale... to niemożliwe... to był przecież wypadek!

— Tak, wypadek, kilka takich wydarzyło się po rzuceniu klątwy. Przypominam, że nigdy nie został wyjaśniony — zauważył Bodenstein. — Podobnie jak tajemnicza śmierć Raimunda Fischera.

Dolna warga staruszki zaczęła drżeć. Jej oczy zaszyły łzami. Jęknęła rozpaczliwie, zgarbiła się i ukryła twarz w dłoniach. Bodenstein nie czuł dla niej litości. Czasem, szukając prawdy, nie da się uniknąć odrobiny okrucieństwa.

— Szefie — powiedział Cem półgłosem i podsunął mu telefon. — Musisz to przeczytać! Koniecznie!

Bodenstein odwrócił się zdenerwowany, sięgnął po swoją komórkę, spojrzął na ekran i zmrużył oczy. Nagle zrobiło mu się niedobrze, jakby ktoś wyrzucił go pięścią w żołądek, a jednocześnie połączenia nerwowe w jego głowie zaiskrzyły, jakby płynął nimi prąd.

Szukamy Jakoba Ehlersa. To nasz sprawca. Mamy dowody. Spotkanie o 12 w Merlinie. Żadnych ruchów przed spotkaniem.

— DOBRZE, podsumujmy wszystko raz jeszcze, żeby nie popełnić żadnego błędu. — Pia siedziała u szczytu stołu. Była zdecydowana i pełna energii. W restauracji poza nimi nie było nikogo. Bodenstein dodzwonił się na komórkę właściciela Merlina i poprosił, żeby przyszedł wcześniej i ich wpuścił. Oficjalnie lokal miał otworzyć swoje podwoje dopiero po pogrzebie, dla gości zaproszonych na stypę, dlatego kiedy na miejsce dotarli ostatni funkcjonariusze, Bandi z powrotem zamknął drzwi.

Bodenstein przesunął wzrokiem po znajomych twarzach ludzi ze swojego wydziału. Wszyscy byli skupieni, w oczach mieli euforię, a po zmęczeniu

i wyczerpaniu nie pozostał żaden ślad. Świadomość, że już wkrótce będą u celu, pozwoliła każdemu sięgnąć do najgłębszych rezerw. Wytropili zdobycz i osaczyli ją, a teraz drżeli z niecierpliwości, by w końcu uderzyć.

Już w czasie dochodzenia czuł się wśród nich obco, jakby z jakiegoś powodu przestał pasować do zespołu. Od kiedy przeczytał wiadomość od Pii, dopadło go poczucie klęski i słabości. Czy powinien był wcześniej pomyśleć o Jakobie Ehlersie? Dlaczego całkowicie pominął go w swoich analizach, kiedy zastanawiał się nad listą podejrzanych? Tylko dlatego, że był w wojsku i w związku z tym istniała mała szansa, żeby akurat wtedy wrócił? Dlaczego pominął taką możliwość? Dlaczego jej nie sprawdził? Czy rzeczywiście był zbyt mocno zaangażowany w to osobiście, żeby zachować obiektywizm? Na wiele osób, które znał przez całe życie, spoglądał teraz pod całkiem innym kątem, zupełnie jakby nagle wróciła mu ostrość widzenia.

— Jakob Ehlers miał romans z Rosie Herold, mniej więcej od października siedemdziesiątego pierwszego do sierpnia siedemdziesiątego drugiego — tłumaczyła Pia, a Oliver otrząsnął się ze smutnych rozmyślań i skupił na jej słowach. Jeszcze tylko ta jedna sprawa. Kilka dni. A potem niech się inni martwią. — Przyjaciółka Rosie Estefania Ugonelli potwierdziła to w rozmowie telefonicznej.

— Czy świadek wymieniła jego nazwisko? — zapytała doktor Engel.

— Nie — odparła Pia. — Rosie Herold w tej kwestii była wyjątkowo dyskretna. Mówiła tylko, że idzie postawić na bacność swojego żołnierza, robiła przy tym bardzo dwuznaczne gesty i chichotała. Pani Ugonelli wiedziała wprawdzie, gdzie się spotykają, ale nigdy nie pojechała za nią, żeby zobaczyć, o kogo chodzi.

— Jakob Ehlers od siedemdziesiątego pierwszego był w wojsku. — Głos zabrał Kai Ostermann. — Wtedy jeszcze służba wojskowa trwała osiemnaście miesięcy. Jego jednostka stacjonowała w Wetzlar, ale on miał dobry kontakt

z dowódcą. Udało mi się skontaktować z nim telefonicznie. Potwierdził, że Jakob Ehlers niemal co tydzień w czwartek około dwudziestej pierwszej wychodził z koszar, ale zawsze wracał przed pobudką. Jakob Ehlers i Rosie Herold mieli spotykać się w tajemnicy na parkingu leśnym przy trasie L3369 między Königstein a Ruppertshain. Latem siedemdziesiątego drugiego eskapady Ehlersa nagle się urwały. Jego przełożony nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy to się stało, ale zakładam, że ostatni raz wybrał się na nocną schadzkę siedemnastego sierpnia.

— Pani Ugonelli pojedzie z nami na cmentarz — ciągnęła Pia. — Razem włączymy się w tłum żałobników. Jestem pewna, że ze strony Jakoba Ehlersa czeka nas jakaś reakcja na jej obecność. Pani Ugonelli i Rosie przez całe lata były najbliższymi przyjaciółkami, więc prawdopodobnie założy, że kobieta coś wie.

— A jeśli nie? Jak dotąd nie widzę dość dowodów, żeby choć pomarzyć o akcie oskarżenia o morderstwa — zauważyła dyrektor Engel. — Poza tym on może w ogóle jej nie znać.

— O nie, zna ją na pewno — zaprotestowała Pia. — Upewniłam się.

Słowo „reakcja” obudziło w Bodensteinie wspomnienie krótkiej rozmowy z księdzem Maurerem, tuż po potrąceniu go przez autobus. Umilkł wtedy w pół zdania i wyglądał na strasznie poruszonego, aż Bodenstein się zdziwił. Dopiero teraz zrozumiał, że Maurer zobaczył wtedy wśród ciekawskich twarz Jakoba Ehlersa!

— Technicy z centralnego laboratorium policji poradzili sobie z komórką Eliasa — wtrącił się Kai Ostermann. — Uruchomili ją i zgrali wideo z kempingu. Jego jakość nie jest powalająca, ale wystarczy, by rozpoznać na nim Ehlersa. A w tle stoi jego samochód. Z tego już się nie wywinie. Na ubraniu Pauline zabezpieczono czarne, lekko falowane włosy pochodzące z sierści psa. Tarik sprawdził, że Ehlers płaci podatek za psa. Wystarczy teraz

sprawdzić, czy jest czarny.

— Nie trzeba, jest czarny — zapewnił go Bodenstein. — Czarny, duży i włochaty. Kiedy w sobotę wieczorem byłem u Patrizii, żeby oddać jej klucze do kościoła, Jakob akurat wrócił z nim ze spaceru. Tyle że on miał zabłocone buty, a pies zupełnie czyste łapy. Powiedział wtedy, że chodził w okolicach placu budowy. Ale to nie mogła być prawda, bo pies byłby równie brudny jak on. To wtedy pojechał do gospody, napadł na Pauline i zatopił jej auto w stawie rybnym.

— Jakob Ehlers mógł też bez problemu zabrać koszulkę Leona Kellera z pojemnika z brudnymi rzeczami w ratuszu — dodał Kai. — Dobrze zna leśną chatę Kellera, ba, jako jego najlepszy przyjaciel miał klucz do drzwi i do zapięcia rowerowego na furtce. W Ruppertshain nikt nie zwraca na niego uwagi, więc może poruszać się po całej miejscowości, nie wzbudzając zainteresowania. Z ratusza do hospicjum jest żabi skok, a klucze do kościoła przed zamordowaniem księdza Maurera mógł bez trudu podebrać żonie z torebki tak, żeby nie zauważyła.

— Tutaj muszę zadać dodatkowe pytanie. — Nicola Engel odchrząknęła. — Skoro Jakob Ehlers miał być tak dobrym przyjacielem Leona Kellera, dlaczego ten nawet przed nim udawał upośledzonego?

— Przestał mu ufać — wyjaśniła Kim. — Ehlers miał wyrzuty sumienia, bo sądził, że przez tę sprawę z Patrizią przyczynił się do jego próby samobójczej. Dlatego załatwił mu pracę w służbach komunalnych w mieście i dbał o niego. On sam przypomniał Leonowi, że kiedyś podebrał mu dziewczynę.

— W rzeczywistości był mu nawet wdzięczny, bo dzięki Leonowi nie musiał się obawiać, że ktoś odkryje jego czyn — dodał Lombardi. — Poza Rosie nikt nie wiedział o Arturze.

— W tym punkcie nie możemy mieć pewności — zauważył Bodenstein. — Patrizia mogła działać z nim w zмовie.

Pół godziny wcześniej skontaktowała się z nim Valentina Berjakov. Jedna z jej dawnych koleżanek zobaczyła w telewizji konferencję prasową i zaraz zadzwoniła na gorącą linię, po czym się spakowała i z samego rana przyjechała z Lüneburga. Razem udały się na spacer po Ruppertshain, żeby obudzić wspomnienia. I jedno z nich, któremu wówczas nie poświęciły czasu, jako że wydawało się nazbyt trywialne, teraz wzbudziło ich uwagę. Leżały w trawie na łące za masarnią Hartmannów i patrzyły w niebo. Trzy trzynastolatki: Valentina, Claudia i Franziska Hartmann. To był upalny dzień pod koniec sierpnia, w masarni robotnicy posprzątali już po pracy i zostawili otwarte drzwi, żeby przewietrzyć pomieszczenia. Z piwnicy budynku wyszła ciężarna kobieta i rozejrzała się ukradkiem, lecz nie zauważyła trójki dziewcząt wśród wysokiej trawy. Koleżanki obserwowały ją z zainteresowaniem i stąd Valentina i Claudia pamiętały, że zniknęła na ścieżce prowadzącej przez łąki w stronę chaty Leona Kellera. Piętnaście minut później pojawiła się znowu; szła spieszonym krokiem i szlochała.

Pia wysłuchiwała uważnie relacji Cema z rozmowy z paniami Keller i Hartmann. Stara żona rzeźnika przypomniała sobie w końcu o burzliwej kłótni między Jakobem a Leonem na dziedzińcu masarni, która miała miejsce niedługo przed próbą samobójczą tego drugiego. Zdziwiła się, bo chłopcy byli zawsze świetnymi kolegami. Nie udało jej się podsłuchać, o co konkretnie im poszło, jednak przyjęła, że Leo miał pretensje o odbicie mu dziewczyny. Mając wiedzę, którą dzisiaj udało im się zgromadzić, można było założyć zgoła inny temat tej kłótni. Patrizia Ehlers? Możliwe. Ale raczej na pewno dotyczyła również zabójstwa Artura Berjakova.

— Mamy dość dowodów przeciwko Jakobowi Ehlersowi — stwierdziła Pia. — Nakaz aresztowania jest gotowy. Wchodzimy po pogrzebie. Cem i Tarik, wy trzymacie się w pobliżu wejścia na cmentarz, ja z Ugonelli wmieszamy się w tłum. Będziemy mieli na miejscu ludzi po cywilnemu,

dodatkowo poleciłam obserwację domu Ehlersów. Wszystkie drogi wyjazdowe na czas pogrzebu i po nim zostaną zamknięte, również polne i trasy przez Schlossborn, Eppenhain i Königstein. Pogrzeb będzie nagrywany, a my zostaniemy w kontakcie dzięki dyskretnemu systemowi łączności. — Spojrzała na zegarek. — Dobra, jest trzynasta dziesięć. Ruszamy! Do roboty! Ta świnia nie może uniknąć sprawiedliwości!

WIELKIE TŁUMY LUDZI chcących uczestniczyć w nabożeństwie żałobnym wlewały się głównym wejściem do kościoła, podczas gdy inni ustawiali się w długiej kolejce do księgi kondolencyjnej wystawionej na dziedzińcu przed świątynią. Niektórzy rozmawiali półgłosem, ale większość milczała. Mieszkańcy okolicy wciąż jeszcze nie doszli do siebie; w powietrzu wisiał strach i czuć było powszechną podejrzliwość. Jak by zareagowali, gdyby wiedzieli, że morderca jest wśród nich? Jakob Ehlers przyszedł w towarzystwie żony, matki, dwóch synów i synowej. Włożył czarny garnitur, czarny krawat i przybrał pełen smutku wyraz twarzy; na pierwszy rzut oka niczym nie różnił się od pozostałych żałobników. Był kameleonem, który potrafi dopasować się do każdej sytuacji. Czuł się pewnie i niczego nie podejrzewał. Bodenstein wmieszał się w tłum, przywitał z rodzicami i ze znajomymi, z których większość spoglądała na niego z onieśmieleniem w oczach. To nie miało nic wspólnego z jego pracą w policji: nie był po prostu jednym z nich, ani wcześniej, ani teraz. Niezwykle wyraźnie odczuł to przez kilka ostatnich dni, dzięki czemu nie czuł już żalu, że pożegna się z tym miejscem i wspomnieniami z dzieciństwa.

Udało mu się uniknąć spotkania z Jakobem Ehlersem. W beznadziejnie przepelnionym kościele znalazł miejsce stojące za konfesjonałem. Przed ołtarzem wystawiono przybrane kwiatami trumny — białymi goździkami Rosie i kremowymi liliami Clemensa. Za nimi pracownicy firmy pogrzebowej ustawili las wieńców od znajomych i mieszkańców, starannie rozwijając

szarfy. Słodki zapach kwiatów przyprawiał Bodensteina o ból głowy. Wielu ludzi przystawało przed trumnami, kłaniało się zmarłym i odchodziło szukać miejsca. Rozejrzał się. Z rdzennych mieszkańców Ruppertshain nie brakowało chyba nikogo. Po prawej od wejścia w pierwszym rzędzie siedział Edgar z rodziną, a obok niego Sonja z dorastającymi dziećmi. Po drugiej stronie nawy głównej zasiadła Mechthild Herold, jednak ani razu nie spojrzała w stronę szwagra i szwagierki. Tragedia jedynie pogłębiła podział rodziny. Za nią siedzieli obcy ludzie, prawdopodobnie koledzy Clemensa z pracy. Jakob zajął miejsce w drugim rzędzie, niecałe pięć metrów od zakrystii, w której zamordował starego księdza Maurera i z kamienną twarzą przyglądał się kolejce ludzi chcących pożegnać zamordowanych. Czy coś odczuwał na widok tych trumien? Ich wieka skrywały ciała ludzi, którzy stracili życie z jego ręki. Czy to robiło na nim jakieś wrażenie? Gratulował sobie w duchu sprytu? Może świadomość dokonania zbrodni wypełniała go zadowoleniem?

Gdyby nie przytłaczająca ilość śladów, poszlak i dowodów wskazujących na Jakoba, Bodenstein, obserwując jego zachowanie, zaczęłby wątpić, czy to na pewno on. Przez ostatnich trzydzieści lat spotkał wielu morderców i czasem potrafił zrozumieć — choć nigdy usprawiedliwić — dlaczego stali się tym, kim się stali. Jednak nie tym razem. Czyny Jakoba Ehlersa budziły grozę i nie dało się ich uzasadnić okolicznościami, bo kierowała nim podłość i egoizm, a po dokonaniu zbrodni nie odczuwał nawet odrobiny żalu.

Bodenstein zauważył zaskoczony, że z jego duszy zniknęło otępienie, a nienawiść i wściekłość kotłowały się w jego wnętrzu niczym płynna lava. Musiał się bardzo powstrzymywać, żeby nie rzucić się na Jakoba, nie podnieść go za ubranie z ławki i nie zetrzeć mu z twarzy tej udawanej niewinności. Przez słuchawkę w uchu słyszał głos Pii. Policja obstawiła cmentarz, a w kościele znajdowała się czwórka funkcjonariuszy w cywilu. Z zakrystii wyszedł ksiądz, a chórek dziecięcy, który Rosie prowadziła już od lat, zaczął

podniosłym *Ave Maria*. Wielu ludzi szlochało. Jednak ani ich żal, ani dziecięce głosiki, ani nawet niemiecka wersja pieśni pożegnalnej *Auld Lang Syne* zaintonowana zza ołtarza przez chór stowarzyszenia chóralnego Alemannia-Concordia, nie znalazły drogi do serc najbliższych. Ich twarze pozostały stężałe i nieruchome, a oczy suche. Dowiedzieli się zbyt wielu niewybaczalnych rzeczy, by potrafili się przełamać i poczuć żalobę. Bodenstein drgnął, kiedy Jakob Ehlers odwrócił głowę i ich spojrzenia się skrzyżowały. Skinął nieznacznie głową, na co Ehlers odpowiedział tym samym i pogłaskał dłoń szlochającej żony.

Ty wyrachowana świniu — pomyślał Bodenstein. Ledwie podązał za wzruszającymi słowami księdza, a gdyby ktoś go zapytał, kto jeszcze uczcił zmarłych, nie potrafiłby odpowiedzieć, tak wiele złości szumiało mu w głowie. Wreszcie nabożeństwo się skończyło. Obydwa chóry razem zaśpiewały *Time to say goodbye*, żałobnicy wstali i ruszyli w stronę wyjścia, a za nimi potoczyły się katafalki pchane przez pracowników firmy pogrzebowej.

— CEL NA CMENTARZU — mówiła Pia spiętym głosem. — Czekamy do końca ceremonii i wchodzimy, kiedy będzie chciał ruszyć do wyjścia. Wszyscy na miejscach?

— Tak — potwierdził Cem.

— Tak — dodał Tarik.

Po nich gotowość zgłosili kolejni funkcjonariusze. Wszystkie drogi zostały zamknięte i nikt nie mógł wjechać do Ruppertshain ani go opuścić, nie przechodząc kontroli policyjnej.

Drogę na cmentarz Bodenstein pokonał piechotą w tłumie innych żałobników, trzymając się kilka metrów za Jakobem i jego rodziną, za to w towarzystwie swoich rodziców. Nekropolia w Ruppertshain leżała w idyllicznej scenerii, przy samej granicy miasta, otoczona z obu stron przez

las, a na miejsce można było się dostać jedynie wąską lokalną uliczką. Przed bramą i kaplicą Bodenstein odbił w prawo, pokonał nasyp, minął pomnik ku czci poległych i wszedł do lasu. Stał teraz sam, za drzewem na skraju, kilka metrów za siatką otaczającą cmentarz. Miał stąd doskonały widok na ludzi poniżej, stłoczonych na niewielkim terenie, nieprzystosowanym do tak masowych odwiedzin. Grobowiec rodzinny Heroldów znajdował się z tyłu cmentarza; grabarze przygotowali wcześniej dwie mogiły, teren dookoła wyłożyli materiałem przypominającym sztuczny trawnik. Obie trumny spoczęły na belkach nad dołami, do których miały zostać opuszczone — grabarze okazali się szybsi od żałobników.

Dzień był spokojny i ciepły, jeden z najpiękniejszych w październiku. Niebo nad Taunusem miało barwę stalowobłękitną, nie zasłaniały go chmury, a ciepłe jesienne słońce rozświetlało feerią barw usychające liście. W lekkim i czystym powietrzu unosiły się pajęczne nici. Pod butami Bodensteina strzelały wyschnięte gałązki, kiedy zmieniał nogę, na której się opierał. Uspokoił nieco oddech i poskromił buzującą w duszy nienawiść. Miał w sobie dostatecznie dużo profesjonalizmu, by nie dać się zaślepić pragnieniu zemsty i nie popełnić żadnego błędu.

Dookoła unosiły się zapachy ziemi, jesieni i przemijania. Kolorowe liście opadały bezgłośnie z gałęzi. Ludzie na cmentarzu w końcu znieruchomieli, a procesja ciągnęła się aż na ulicę. Dźwięcznie zabrzmiały dzwony żałobne, a ich echo spłynęło w dolinę. Ksiądz i ministranci wyglądali jak białe plamki na tle masy ciemno odzianych żałobników. Mimo że duchowny przemawiał podniesionym głosem, Bodenstein rozumiał jedynie pojedyncze słowa. Niestrudzenie przeczesywał uważnym wzrokiem zgromadzony tłum. Dostrzegł znajomą twarz Pii, która stała na alejce powyżej grobu. Obok niej zobaczył drobną, czarnowłosą kobietę, przyjaciółkę Rosie.

— Widzisz go, szefie? — zapytała Pia przez radio.

— Jeszcze przed chwilą go widziałem, ale teraz... nie. Brak kontaktu wzrokowego. Brak kontaktu wzrokowego! — powtórzył. — Ostatni raz kontakt był na dwunastej!

Serce zaczęło mu bić szybciej, a w ustach poczuł suchość. Jeszcze minutę wcześniej Jakob stał w pobliżu księdza! Bodenstein wychylił się zza drzewa i spróbował rozpoznać widziane twarze. Większość mężczyzn nosiła marynarki i krawaty, wielu z nich miało siwe włosy. Cholera! Poczuł falę gorąca. Kora pod palcami wydawała mu się aż nazbyt chropowata, a delikatny powiew wiatru przywiał woń kadzidła. Nie istniała możliwość, by Jakob wydostał się z cmentarza niezauważony! Cały teren został obstawiony przez policję, a jeden z funkcjonariuszy wszystko nagrywał.

— Chyba coś zauważył — szeptała Pia. — Też nie mogę go znaleźć. Uwaga! Przygotujcie się! Nie możemy pozwolić mu uciec!

Z dziko bijącym sercem Bodenstein przyglądał się twarzom żałobników, starając się wyłuskać spośród nich Jakoba Ehlersa. Jednak mimo że tłum żałobników już nie maszerował, to wciąż się poruszał. Ludzie się odwracali, przesuwali i ustępowali sobie miejsca. Pia nie mogła się szybko wydostać stamtąd, gdzie stała, a żeby uwolnić się od tłoku, musiałaby przejść po kilku grobach.

— Po prostu nie wierzę! — usłyszał głos Nicoli Engel, która siedziała w jednym z radiowozów. — Gdzie on jest? Proszę raportować!

— Cholera! — mruknął Bodenstein i wyrwał słuchawkę z ucha. W tej samej chwili kątem oka zauważył jakiś ruch nieco poniżej, na skraju lasu. Odwrócił głowę i dostrzegł siwą czuprynę Jakoba! Musiał przejść górą przez siatkowe ogrodzenie. Dlaczego? Czy rozpoznał Estefanię Ugonelli? Czy jej widok spowodował, że pojął, iż jego gra została przejrzana i zastawiono na niego pułapkę?

Bodenstein rzucił się biegiem naprzód, na skos w górę porośniętego zbocza,

by odciąć Jakobowi drogę. Pędził przez krzaki i poszycie lasu. Po chwili dostrzegł uciekającego mordercę. Jakob miał nad nim przewagę i na dodatek był znacznie sprawniejszy fizycznie niż on. Dokąd uciekał? I przede wszystkim dlaczego? Przecież musiał zdawać sobie sprawę, że nie ma najmniejszych szans! Nawet gdyby udało mu się wyrwać pogoni, to i tak byłby to sukces na krótką metę, bo życie, którego bronił morderstwami, skończyło się bezpowrotnie. Bodenstein pędził ile sił w nogach przez nieznaną tereny. Młode drzewa, krzaki jeżyn i skały przykryte warstwą opadających liści zmuszały do biegu zakosami. Jako dzieci często się tu bawili. Za zboczami góry Rossert leżało Eppenhain, a polana na górze często była świadkiem i areną bitew toczonych z dziećmi z tego miasteczka. Dawniej znał tu każdą ścieżkę: lekko i zwinnie niczym sarny przemykali nad nierównościami i pokonywali przewrócone drzewa. Tyle że od tamtego czasu minęło czterdzieści lat z okładem. Słyszał dudnienie serca i świszczący oddech, ale zmusił się do jeszcze szybszego biegu. Las zaczął się przerzedzać. Bodenstein zatrzymał się na chwilę. Dysząc ciężko, oparł się ręką o pień i rozejrzał. Tam! Jakob wyprzedził go o dobrych pięćdziesiąt metrów i cały czas biegł. Nagle Bodenstein przejrzał jego plan. Po drugiej stronie grzbietu znajdował się nieczynny stary kamieniołom, w którym niegdyś wydobywano kwarcyt. Ponad pięćdziesiąt lat temu zawieszono działalność, głównie z powodu problemów logistycznych. Dziś to miejsce było równie niebezpieczne jak dawniej, bo łatwo było spaść z brzegu wyrobiska w trzydziestometrową przepaść. To z nim Jakob wiązał swoje plany na wypadek, gdyby policja go przejrzała!

— Dopadnę cię! — warknął Oliver i rzucił się w dalszą pogoń. Nie chciał pozwolić, żeby ten morderca tchórzliwym samobójstwem uszedł ziemskiej sprawiedliwości. Przeszkodzi mu, nawet gdyby musiał ryzykować zdrowie lub życie. W jego głowie pojawili się Artur i Maxi. Pomyślał o Valentinie, którą okrutna przeszłość obrabowała z miłości i zaufania. I o Pauline, niewinnej

młodej kobiecie. I Felicitas Molin, która nie miała z tą sprawą absolutnie nic wspólnego, a mimo to Jakob brutalnie ją zamordował. Te wszystkie obrazy obudziły w nim nieludzką złość, która niczym paliwo pozwoliła mu biec szybciej niż kiedykolwiek. Pot strumieniami zalewał mu twarz i ściekał po plecach, każdy mięsień sprawiał ból, ale nie poddawał się i gnał, nie spuszczać wzroku z postaci przed sobą. Jednak Jakob też zaczął zwalniać. Zmęczenie i wiek dawały o sobie znać. Wbiegł na stromy kawałek zbocza, ale się zsunął. Ziemia tutaj, blisko szczytu wzniesienia, była podstępna i nierzadko pod mchem i liśćmi znajdowała się płaska płyta skalna. Bodenstein zauważył uradowany, że dystans między nimi jest coraz mniejszy... i właśnie wtedy nogą zahaczył o jakiś korzeń, stracił równowagę i zaczął staczać się w dół zbocza, dopóki jakieś drzewo nie zatrzymało boleśnie jego upadku. Leżał przez chwilę na plecach i łapał rozpaczliwie powietrze. Stracił but i chyba skręcił kostkę, ale w tej chwili to było bez znaczenia. Spróbował wstać, jednak ból w nodze był niczym porażenie prądem, które momentalnie sparaliżowało mu mózg. Zły na swoją słabość i rozczarowany swoim ciałem zawył dziko i rozpaczliwie, aż rozległo się echo.

— Jakob! — ryknął. — Stój! Nie uciekniesz mi!

Z wysiłkiem, opierając się o drzewo, wstał z ziemi. Płuca paliły go żywym ogniem, a serce waliło jak szalone, jakby chciało rozerwać pierś. Zdeterminowany zaczął posuwać się dalej, kulejąc, skacząc na jednej nodze i w jednym bucie. Tylko wściekłość i nienawiść pchały go naprzód. I akurat w momencie, kiedy już był pewny, że będzie musiał się poddać, bo złapała go tak silna kolka, że nie mógł oddychać, zaś ból stał się tak intensywny, że nie wystarczyło adrenaliny, by go uśmierzyć, a przed oczyma tańczyły mu mroczki, właśnie wtedy otworzyła się przed nim polana; półokrągła, zalana słonecznym światłem łąka, której przeciwległa krawędź kończyła się urwiskiem kamieniołomu. Jaka mała wydawała się teraz, oglądana oczyma dorosłego!

A jednocześnie jaka była wielka, gdy ciało odmawiało posłuszeństwa, a z powodu uszkodzonej nogi z trudem można było się poruszać. Niecałe dwadzieścia metrów na prawo od niego z lasu wypadł Jakob. Zatoczył się, potknął o jakieś kamienie i nie odwracając, z determinacją równą determinacji Bodensteina chciał biec dalej, ku swemu celowi, równie egoistycznemu jak wszystko, co zrobił w życiu. Bodenstein dobył broni i oddał strzał ostrzegawczy.

— Jakob! — zaryczał i padł na kolana. — Wiedziałeś, że to Patrizia usiłowała zamordować twojego przyjaciela Leona? Przyznała ci się, że z masarni zabrała aparat ubojowy i zakradła się do jego chatki, żeby chłopak nie wszedł jej w drogę? Nie tylko ty ją okłamywałeś, ona ciebie też!

Jakob się zatrzymał. Stał pośrodku łąki i odwrócił się powoli.

— To nieprawda! — odkrzyknął.

— A jednak! Mamy świadków, którzy ją widzieli! — Bodenstein znów wstał i wycelował w prawe kolano Jakoba. Jednak dłonie drżały mu tak mocno, że nie odważył się pociągnąć za spust, bo nie chciał przez przypadek go zabić.

— Nie podchodź! — Jakob uniósł ręce w obronnym geście i cofnął się kilka kroków. Jego oczy płonęły, był czerwony na twarzy. — Łżesz!

— Wyjaśnij mi chociaż, dlaczego musiało do tego wszystkiego dojść! — zażądał Bodenstein. — Czy ci wszyscy ludzie musieli umrzeć tylko dlatego, że miałeś romans z Rosie i zrobiłeś jej dziecko?

— Co ty w ogóle możesz wiedzieć! — wyrzucił z siebie Jakob. Podpierał się pod boki i oddychał równie głośno jak Bodenstein. — Ja naprawdę kochałem Rosie! Ale nie mogłem pozwolić, żeby zniszczyła mi życie!

— Zamordowałeś dziecko! — krzyknął Bodenstein wściekły.

— To był wypadek! — odpowiedział Jakob. — Rosie przejechała go na parkingu, a kiedy wysiedliśmy, myśleliśmy, że nie żyje! Ale wtedy on się

ocknął i nas rozpoznał! Rosie wpadła w panikę, dlatego go udusiłem! Nie miałem innego wyjścia!

— Jak to, nie miałeś innego wyjścia?! Zamordowałeś mojego najbliższego przyjaciela tylko dlatego, że bałeś się spotkania z mężem Rosie! — ryknął Bodenstein i schował broń do kabury. Nienawiść wypełniła jego duszę bez reszty i właśnie w nim eksplodowała, zmieniając wściekłość w rządę mordy, o którą nigdy by się nie podejrzewał. Kiedy rzucił się w stronę Jakoba, nie czuł bólu. Zdzielił go pięścią z całej siły i obaj padli na ziemię. Walczyli zawzięcie i były to zmagania na śmierć i życie, niecałe pięć metrów od pionowego urwiska. Jakob się bronił, lecz Bodenstein i tak zyskał przewagę.

— Nie! — skomlał Jakob. — Proszę! Przestań!

— Ty zaszraś świnio! — wystękał Bodenstein i przyklęknął na ramionach Jakoba. Jego pięść trafiła prosto w twarz mężczyzny, któremu ufał i któremu się zwierzył. Przypomniawszy sobie, jak Jakob zaprosił go na coś mocniejszego. Udawał, że razem piją, a zapewne naśmiewał się z Bodensteina do rozpuku. Jak opętany raz za razem unosił pięść, by z siłą kafara trafić Jakoba w twarz. Chciał poczuć, jak pękają mu zęby. Czerwona mgła przysłoniła mu świat; Oliver złapał Ehlersa za szyję i zacisnął palce. Nagle ktoś schwycił go za ramiona i pociągnął w tył.

— Starczy, Oliver, naprawdę wystarczy! — krzyknął ktoś zza jego pleców. Bodenstein opanował się i zaskoczony dostrzegł dobroduszną twarz Wielanda Kapteiny. Nie miał siły, by wstać. Sapiąc rozpaczliwie, przyklęknął na trawie i przerażony spoglądał na ręce, którymi przed chwilą omal nie zabił człowieka. Uderzał tak mocno, że popękała mu skóra na kostkach.

— Wieland! — wyszeptał. — Słyszałeś, co powiedział?

— Tak, każde słowo — zapewnił go leśnik. — Masz może przypadkiem kajdanki?

— Sprawdź przy pasku, powinny tam być.

Wieland wcisnął mu do rąk strzelbę, odpiął kajdanki od paska i podszedł do Jakoba Ehlersa, który leżał na ziemi i jęczał rozpaczliwie:

— Wieland! Dobrze, że jesteś! On mnie pobił! Widziałeś przecież, prawda?

— Widziałem jedynie, że się potknąłeś i upadłeś na twarz — burknął Wieland, szarpnął go i posadził. — No dalej, wstawaj, żałosny śmieciu! — Złączył mu dłonie na plecach i założył kajdanki.

Bodenstein usłyszał jakieś odległe głosy. Rozejrzał się zaskoczony, zanim pojął, że dochodzą ze słuchawki, która wisiała na jego ramieniu. Złapał ją dwoma palcami i wcisnął do ucha.

— Pia? — wychrypiał.

— Oliver! W końcu! Co się dzieje? — zapytała koleżanka bardzo podenerwowanym głosem. — Co z Ehlersem?

— Siedzi przede mną w kajdankach. Wieland go pilnuje.

— A gdzie jesteście?

— Jesteśmy w lesie — odparł. — W miejscu, gdzie to wszystko się zaczęło.

Kiedy skończył, wyjął z ucha słuchawkę i przesunął wzrokiem po kolorowym lesie dookoła. Westchnął, osunął się na ziemię i spojrzał w niebo. Wdychał woń wyschniętej trawy i ziół. Przez chwilę miał wrażenie, że znów ma jedenaście lat i całe życie przed sobą. Poczł, że wypełnia go błogi spokój. Zagadka została rozwiązana. Wreszcie był wolnym człowiekiem.

CZWARTEK 9 PAŹDZIERNIKA 2014

Z aczynał się wieczór, kiedy Pia wjechała na parking szpitala w Bad Soden, zostawiła samochód i ruszyła piechotą w stronę wejścia do prywatnej kliniki. Poprzedniego dnia Bodenstein prosto z leśnej polany trafił na salę operacyjną. Pia z początku zakładała, że koniecznie będzie chciał być obecny przy przesłuchaniu Jakoba Ehlersa, jednak ku jej zaskoczeniu zupełnie mu na tym nie zależało. On już zrobił, co miał do zrobienia, a cała reszta należała do niej, podobnie jak sukces, którego była autorką: w ciągu tygodnia rozwiązała zagadkę kilku morderstw i dopadła sprawcę.

W recepcji zapytała o numer pokoju Bodensteina, po czym wsiadła do windy i wjechała na trzecie piętro. Nie mogła się już doczekać odpoczynku, snu i Christopha, którego przez ostatnich kilka dni prawie wcale nie widywała, jednak przed wolnym weekendem chciała odwiedzić Olivera. Pokój numer pięć znajdował się na końcu korytarza. Zapukała.

— Otwarte — rozległo się ze środka.

— Wow! — Nie mogła powstrzymać zaskoczenia. Elegancko urządzonego pokój z dużym oknem i parkietem na podłodze kojarzył się raczej z luksusowym hotelem niż z kliniką. Jedyne szpitalne łóżko, na którym leżał jej szef i czytał książkę, zakłócało spójność obrazu. — Dla takich warunków też mogłabym się połamać.

— Mamy szczęście z tym ubezpieczeniem, całkowicie się zgadzam. — Bodenstein zdjął okulary, odłożył książkę i się uśmiechnął. — Co za miła niespodzianka. Ale mogłaś się nie kłopotać. Domyślam się, że padasz z nóg.

— I się nie mylisz. Wszyscy mamy za sobą trudny tydzień. — Pia

odpowiedziała mu uśmiechem. — Mimo to chciałam jeszcze do ciebie zajrzeć.

— Bardzo miło z twojej strony. Przysuń sobie krzesło. Gdybyś miała ochotę, to mam tu nawet minibar z colą light.

— Dzięki. — Pia przyniosła sobie krzesło i usiadła obok łóżka. — Jak się czujesz?

— Całkiem nieźle. — Bodenstein rzeczywiście był odprężony i spokojny. — Operacja się udała, bez problemu ustawili złamane kości i połączyli zerwane ścięgna. Dzisiaj chodziłem już nawet o kulach.

— Wspaniale. Czyli niedługo wracasz do służby.

— Raczej nie. Myślę, że pójdę na długie zwolnienie lekarskie. — Bodenstein uśmiechnął się nieznacznie. — A potem wykorzystam zaległy urlop.

Pia znów poczuła bolesne ukłucie. Wraz z końcem roku zamknie się ważny etap w jej życiu.

— Naprawdę tak ci spieszno nas zostawić? — zapytała.

— Nie, Pia. — Bodenstein spoważniał. — Będzie mi was bardzo brakowało, szczególnie ciebie. Jesteś naprawdę niesamowita. Wszyscy jesteście niesamowici. Poza tym przecież nie umieram. Nie zapominaj, że zawsze będę ci służył pomocą.

— Dzięki, trzymam cię za słowo. — Pia zmusiła się do uśmiechu. Przez chwilę oboje milczeli.

— Pauline wybudziła się ze śpiączki — powiedziała w końcu policjantka. — Wyobraź sobie, że od razu poznała Tarika.

— Świetna wiadomość.

— Jakob Ehlers złożył bardzo obszerne zeznania. W zasadzie nie miał innego wyjścia, bo Leo Keller przypomniał sobie naprawdę sporo szczegółów. Reszty dopełniła wiadomość, że to jego żona usiłowała zabić Leona Kellera i przez te wszystkie lata trzymała to w tajemnicy. To go dobiło.

— Pia westchnęła. — Keller przypomniał sobie o kłótni w masarni. Poszło im o Patrizię. Był w niej szaleńczo zakochany.

— A Jakob kochał jej siostrę, która miała już męża. — Bodenstein pokręcił głową i westchnął. — I dla niej został mordercą.

— Inni ludzie też się nieszczęśliwie zakochują, ale nie biegają i nie zabijają z tego powodu sześciorga osób — odparła Pia.

— Sześciorga? — Bodenstein uniósł brwi.

— Raimund Fischer też zapłacił najwyższą cenę — potaknęła Pia. — Rosie zawróciła mu w głowie i to on, a nie jej mąż, pomógł w nocy ukryć ciało Artura i Maxiego w grobie na waszym rodzinnym cmentarzu. Potem zaczął ją tym szantażować. Jakob rozwiązał szybko problem na prośbę dawnej kochanki — prychnęła. — Tak naprawdę tragedia rozpoczęła się właśnie tamtej nocy. Leo Keller wracał przed północą z Königstein i na parkingu przy lesie zobaczył dwa samochody. Od razu rozpoznał wóz swojego przyjaciela Jakoba, a że wiedział o jego romansie z Rosie, więc pojechał dalej. Gdyby wtedy się zatrzymał, być może uratowałby Arturowi życie. Nie zrobił jednak tego. Jednocześnie wył z wściekłości, bo wiedział, co Jakob tam robi, podczas gdy jego ciężarna narzeczona, kobieta, którą on kochał, czekała na niego, myśląc, że jest w koszarach.

— Nieco później spotkał Edgara i Clemensa.

— Tak jest. Leo Keller ostrzegł w końcu Patrizię, że jej przyszły mąż ją zdradza. Nie wyjawiał jej jednak z kim. Błagał Patrizię, by nie wychodziła za Jakoba. Nie rozumiał, jakie to było dla niej ważne. Do tego stopnia, że nie obchodził jej romans Jakoba. Chciała go za męża bez względu na cenę.

— A że Leo nie dawał za wygraną, wpadła na pomysł z zainscenizowanym samobójstwem. No tak, teraz wszystko zaczyna pasować.

— Aha. To ona zadzwoniła na policję i zostawiła anonimową wiadomość o Leonie wracającym z lasu. Niestety, jej nie dosięgnie karzące ramię

sprawiedliwości, bo musiałaby zostać oskarżona o ciężkie uszkodzenie ciała, a taki zarzut przedawnił się już lata temu. Mimo to do końca będzie żyła z poczuciem winy.

— Jak stary Lessing wpadł na trop tej sprawy? — zainteresował się Bodenstein.

— Raimund Fischer wtajemniczył swojego szwagra. Przynajmniej częściowo. Wmówił mu, że za śmierć Artura odpowiadają dzieciaki, w tym jego syn. Zrobił to, żeby odsunąć podejrzenia od Rosie i siebie. To było podłe — stwierdziła Pia. — Aż trudno uwierzyć w rozmiar tego wszystkiego. I wszystko przez jedną schadzki na parkingu!

— Czasem wystarczy kamyczek, by ruszyła lawina — zauważył Bodenstein filozoficznie. — Jakob nie miał pojęcia, czego dopuściła się Patrizia, a ona z kolei nic nie wiedziała o Rosie.

— Całkowicie straciła panowanie nad sobą, kiedy się dowiedziała, że Sonja jest córką Jakoba — potwierdziła Pia. — Nie miała też pojęcia, że to jej mąż morduje ludzi.

— Tak w każdym razie twierdzi. — Bodenstein był sceptyczny.

— Nie kłamie, ja jej wierzę. Załamała się, kiedy odtworzyłam jej nagranie z przesłuchania męża, ten fragment, gdzie się przyznaje. — Pia wyciągnęła nogi i założyła stopę na stopę. — Uważał się za wyjątkowo przebiegłego, kiedy podkładał fałszywe tropy, żeby nas zmylić. A okazało się, że to był właśnie jego główny błąd. Gdyby nie podrzucił szala Edgara albo nie użył łomu swojego brata, możliwe, że nigdy nie trafilibyśmy na jego ślad, bo cała reszta była przeprowadzona i zaplanowana naprawdę dobrze. — Ziewnęła. — Chociaż... zatopienie auta Pauline w stawie było idiotyczne. Znacznie mądrzej by postąpił, gdyby je podpalił. Kolejnym błędem było zostawienie Pauline przy życiu. Myślał, że ją zabił i chciał z samego rana przenieść zwłoki kawałek dalej, ale jakiś biegacz pokrzyżował mu szyki.

— Nie ma zbrodni doskonałych — zauważył Bodenstein. — Dlaczego zamordował Felicitas Molin?

— Nie chciała mu zdradzić, gdzie jest Elias — wyjaśniła Pia. — Przy czym ona mogła naprawdę nie wiedzieć. Ehlers twierdzi, że zastał ją w wannie, ubraną i z nożem w dłoni, bo chciała popełnić samobójstwo. Rzuciła w niego butelką wina i zrzuciła mu maskę. Utrzymuje, że ją zabił, bo zobaczyła jego twarz.

Zamilkła.

— Myślisz, że powinniśmy byli wcześniej wpaść na jego ślad? — zapytała po chwili.

— Też się nad tym zastanawiałem — przyznał Bodenstein.

— Z dzisiejszej perspektywy wiele rzeczy wydaje się oczywistych. — Pia potrząsnęła głową. — Rano przy ośrodku jeżdżecim zapytałam go, czy nie boi się chodzić po lesie tak po ciemku, kiedy w okolicy grasuje morderca. Był bardzo zaskoczony. Oczywiście, że się nie bał. W końcu doskonale wiedział, kto zabija.

— Jakob jest bystry — potwierdził Oliver. — Wodził nas jakiś czas za nos. Ale my też jesteśmy nieźli. Potrzebowaliśmy tylko tygodnia, by rozwiązać sprawę.

— Niby tak, a jednak mogliśmy zapobiec śmierci Felicitas Molin.

Przez chwilę milczeli.

— Jedź już do domu — odezwał się w końcu Bodenstein. — Jedź i porządnie się wyśpij.

— Zdecydowanie mam taki zamiar. — Była tak zmęczona, że w ciepłym szpitalu, na wygodnym krześle oczy same jej się zamykały. W pewnej chwili przypomniała sobie o czymś. Wstała, sięgnęła po torbę, którą zostawiła na fotelu, i podała ją Bodensteinowi. — Przynoszenie kwiatów facetowi jest raczej bez sensu. Dlatego pomyślałam, że może to ci się spodoba. Niech to

będzie mała pamiątka ostatniej wspólnej sprawy. Żebyś nigdy o mnie nie zapomniał.

— Zachowujesz się tak, jakbym miał wyjechać na zawsze do Australii. — Bodenstein się uśmiechnął i spróbował wyczuć palcami, co jest w środku. — Co mi przyniosłaś?

— Zajrzyj. — Pia w napięciu obserwowała, jak Bodenstein sięga do papierowej torby i wyjmuje z niej nieco wytartego pluszowego liska.

— To była jedna z moich ulubionych maskotek — wyjaśniła. — Ale nie ulubiona. Na pierwszym miejscu zawsze była sowa. Tylko dlatego mogę się z nim rozstać.

Bodenstein zacisnął usta, a Pia przez chwilę miała obawę, że zaraz się rozpłacze.

— On jest naprawdę... cudowny — wychrypiął, po czym siąknął nosem i się uśmiechnął. — Maxi. Tak, tak go nazwę. Maxi. Dzięki, Pia.

— Nie ma o czym mówić. — Musiała się pilnować, żeby zabrzmiało to całkiem zwyczajnie. — Przy okazji, do piątku za dwa tygodnie musisz być już na nogach. Engel robi dla mnie imprezę. Będę naprawdę obrażona, jeśli się nie pojawisz.

— Oczywiście, że się pojawię — zapewnił Bodenstein. — W najgorszym razie przyjadę na wózku.

EPILOG

Sobota 20 grudnia 2014

Trzymaj, tutaj są wszystkie klucze. — Bodenstein ułożył na kuchennym blacie klucze do wszystkich zamków w domu. — Ten jest do drzwi wejściowych, ten do garażu, ten do bramy wjazdowej, a ten do piwnicy. Klucze do drzwi wewnętrznych są w zamkach.

— Super. — Leo Keller uśmiechnął się zadowolony. — W styczniu wchodzą malarze, a potem, mam nadzieję, szybko się wprowadzę.

Bodenstein potaknął.

Ostatni raz przeszedł się po pustych pomieszczeniach domu, który kupił od niego Leo Keller. Ledwie tydzień po aresztowaniu Jakoba zmarła Annemie Keller, spokojna i szczęśliwa, że jej syn nie zrobił nic złego. Leo dowiedział się od Wielanda Kapteiny, że Oliver sprzedaje dom i obaj szybko doszli do porozumienia.

Poprzedniego dnia przyjechała firma przeprowadzkowa i wywiozła meble i kartony z rzeczami do domu Karoline w Hornau. Bodenstein uściskał Leonowi dłoń, życzył mu wszystkiego najlepszego oraz wesołych świąt, po czym z lekkim sercem opuścił miejsce, które przez cztery ostatnie lata było dla niego domem.

— Tato! Chodź już, bo choinka straci wszystkie igły! Musimy szybko dać jej pić! — wołała Sophia podekscytowanym głosem, kiedy zobaczyła, że zmierza w stronę samochodu. Zanim przyjechał przekazać dom nowemu właścicielowi, zatrzymali się w Schlossborn i kupili piękną jodłę kaukaską, którą młody sprzedawca pomógł zapakować na dach samochodu. Dopiero

kiedy Bodenstein wręczył mu napiwek, rozpoznał w nim Eliasa Lessinga. Chłopak przeszedł całkowitą metamorfozę. Wrócił do domu i zapewniał, że przygotowuje się do matury. Nike i mały Leo również czuli się bardzo dobrze. Ona i Elias planowali zamieszkać razem zaraz po skończeniu szkoły.

— Dobrze — powiedział Bodenstein do córki. — W takim razie pospieszmy się, zanim drzewko będzie łyse, bo musimy jeszcze wpaść do babci i dziadka, zanim pojedziemy do domu.

Nie miał już większych kłopotów z chodzeniem, a jeżdżenie, dzięki automatycznej skrzyni biegów, również nie nastroczało problemów. Sophia usiadła na podstawce na tylnej kanapie i zapięła pas. Ją również czekały zmiany. Po przerwie świątecznej pójdzie do szkoły w Kelkheim i na stałe zamieszka z tatą u Karoline. Cosima wprawdzie wróciła do kraju, ale tydzień później wyjechała na kolejną wyprawę. Pozbycie się odpowiedzialności za opiekę nad córką było jej więc bardzo na rękę.

Bodenstein po raz ostatni wyjechał tyłem z podjazdu przed domem, dotarł do pierwszego skrzyżowania, skręcił w lewo i po stu metrach minął tablicę z nazwą miejscowości. Tym razem już na dobre opuszczał Ruppertshain.

Przed czterema tygodniami szczątki Artura i Maxiego spoczęły na cmentarzu rodzinnym pośrodku lasu, w tym samym miejscu, gdzie przez czterdzieści lat leżały ukryte. Wszystkie tajemnice zostały wyjaśnione. No, może z wyjątkiem tajemnicy śmierci Franziski Hartmann, bo nie udało się ustalić, kto był odpowiedzialny za jej wypadek.

Thordis poznała swojego ojca i od razu znalazła z nim wspólny język. Jej matka wyjechała z kraju. Bodenstein nie miał pojęcia, gdzie zamieszkała Inka, ale też go to zupełnie nie interesowało. Otwierał właśnie nowy rozdział i cieszył się na wspólne życie z Karoline i obiema dziewczynkami.

— Wiesz co, tato? Pamiętasz, jak pojechaliśmy w nocy do tego pożaru? — zapytała Sophia. — Tam, gdzie się spalił człowiek?

— Tak, oczywiście, że pamiętam — odparł Bodenstein i spojrzął na odbicie córki w lusterku wstecznym. — Dlaczego pytasz?

— No bo — zaczęła dziewczynka i zrobiła przebiegłą minę — powiedziałam Grecie, że też widziałam zwłoki.

— Dlaczego tak powiedziałaś? Przecież to nieprawda!

— Ale tylko trochę nieprawda! — upierała się Sophia. — Z daleka trochę widziałam.

— No dobrze. Ale o co chodzi?

— Żebyś się nie wygadał przed Gretą. — Sophia uśmiechnęła się niewinnie. — Teraz mamy remis.

— Wiesz co? Najlepiej będzie unikać tego tematu — zdecydował Oliver. — W ten sposób żadne z nas nie będzie musiało kłamać. Okej?

Sophia wyjrzała przez okno.

— O, tato, popatrz! — krzyknęła i wskazała palcem na dużą tablicę przy drodze. — Czarny punkt! Tutaj w nocy rozbija się więcej samochodów niż na drodze do Königstein!

— Nie tylko w nocy, kochanie. Nie tylko w nocy. — Bodenstein nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Jego współpracownicy wręczyli mu na pożegnanie bardzo szczerze doładowaną kartę podarunkową do księgarni, żeby się nie nudził na urlopie. Jednak dopóki Sophia była w pobliżu, nie było mowy o nudzie. Choć czasem miał na to wielką ochotę.

PODZIĘKOWANIA

Ponownie z pomysłu powstała opasła powieść — już ósma część serii z parą śledczych, Pią i Oliverem. Gdy ponad dziesięć lat temu pisałam tom pierwszy, którego akcję osadziłam w swojej ojczyźnie, górach Taunus, nie śniłam o tym, że pojawi się tyle kolejnych części. Za to, że mogłam pisać dalej, dziękuję rzeszy zachwyconych Czytelników!

To ogromna frajda, móc wysłać policję na polowanie za mordercą po własnym podwórku. Bo choć intrygi kryminalne zasadzają się na zdarzeniach fikcyjnych, to miejsca akcji są zawsze prawdziwe.

Mała miejscowość Ruppertshain istnieje naprawdę i dobrze ją znam. Na miejsce akcji niniejszej powieści wybrałam ją z powodu jej położenia — na zboczu góry i w otoczeniu lasów. Chciałabym jednak z całą mocą podkreślić, że postaci z moich powieści nie mają swoich wzorów w rzeczywistości, chociaż... momencik! Wyjątkiem od reguły jest Ajay „Bandi“ Arora, szef restauracji Merlin w kompleksie Zauberberg w Ruppertshain, który pozwolił mi na wplecenie swojej osoby w opowieść. Wszystkie inne postaci są fikcyjne. Wszelkie podobieństwa są niezamierzone, więc gdyby się jakieś zdarzyło, możecie mi wierzyć, byłoby to dziełem przypadku. Jeśli więc ktoś jest pewny, że w którejś z postaci rozpoznał siebie albo sąsiada, zapewniam, że jest w błędzie! Samo Ruppertshain koniecznie trzeba odwiedzić. W rzeczywistości nie jest tak niebezpieczne, jak można by mniemać. A za każdym razem kiedy cieszę oczy zapierającym dech w piersiach widokiem z tarasu restauracji Merlin, mam nieodpartą wrażenie, że jestem na urlopie.

Dziękuję wszystkim, którzy wspierali mnie podczas pisania, przede

wszystkim mojemu partnerowi Matthiasowi Knößowi, który odciążał mnie na wszystkie sposoby i zapewniał mi wolną głowę. Dbał o to, bym nie umarła z głodu, cierpliwie wysłuchiwał pisarskich rozterek, wielokrotnie czytał manuskrypt i odwiedzał ze mną miejsca akcji. Dziękuję, kochany! Z Tobą u boku pisanie sprawia mi podwójną radość.

Dziękuję Wolfgangowi Männerowi za cenne informacje na temat Ruppertshain w roku 1972 i dziś. Jego wspomnienia były mi bardzo pomocne i w znacznym stopniu przyczyniły się do dodania historii autentyczności. Dziękuję Jörgowi Antkowiakowi, komendantowi ochotniczej straży pożarnej w Königstein za wyczerpujące informacje dotyczące pracy strażaków.

Wielkie podziękowania kieruję do moich testowych czytelniczek, na których feedback zawsze mogę liczyć w tempie natychmiastowym, podobnie jak na ich wsparcie — moim siostrom Claudii Löwenberg-Cohen i Camilli Altvater, mojej agentce Andrei Wildgruber, przyjaciółkom Simone Jakobi, Catrin Runge i Susanne Hecker.

Dziękuję Axelowi Petermannowi, byłemu szefowi wydziału zabójstw w Bremie i doświadczonemu profilerowi za przeogromną i przyjazną pomoc i jego cenne rady, sugestie i wskazówki. Drogi Axelu, wielkie dzięki!

Dziękuję komendantowi Stefanowi Müllerowi z komendy w Westhessen, który byłby w rzeczywistości zwierzchnikiem Pii i Olivera, za wsparcie i za możliwość zasypywania tysiącami pytań szefa K11 w Wiesbaden.

Last but not least: stokrotne dzięki mojej fantastycznej redaktor Marion Vazquez, która jak zwykle z wyczuciem, skupieniem i dobrym słowem towarzyszyła powstaniu niniejszej powieści, równocześnie zapewniając mi tyle wolnej przestrzeni, ile trzeba. Już się cieszę na nasz kolejny wspólny projekt!

Dziękuję wszystkim pracownikom wydawnictwa Ullstein za ogromne zaufanie, za wielkoduszność, zachwyt, wsparcie i za bezproblemową,

cudowną współpracę. Jesteście najlepsi!

Jeśli zapomniałam komuś podziękować, przepraszam! Po prostu dziękuję wszystkim, którzy we mnie wierzą!

Nele Neuhaus lipiec 2016